

# LEE CHILD CZASAMI WARTO UMRZEĆ

Z angielskiego przełożył  
LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI



Wydanie elektroniczne

## LEE CHILD

Pisarz brytyjski, od 1998 mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 wybrany prezesem stowarzyszenia Mystery Writers of America. Kształcił się na prawnika, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach z pracy w wyniku restrukturyzacji, zainwestował we własną karierę literacką. W 1997 ukazała się jego pierwsza powieść – **Poziom śmierci**. Książka zdobyła nagrodę Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, m in.: **Echo w płomieniach**, **Siła perswazji**, **Jednym strzałem**, **Elita zabójców**, **Nic do stracenia**, **Jutro możesz zniknąć**, **61 godzin**, **Czasami warto umrzeć**, **Ostatnia sprawa** i **Poszukiwany**. Książki Childa publikowane są w 43 krajach. W grudniu 2012 miała miejsce premiera filmu *Jack Reacher* z Tomem Cruise'em w roli głównej, opartego na powieści **Jednym strzałem**.

*Tego autora*

POZIOM ŚMIERCI

UPROWADZONY

WRÓG BEZ TWARZY

PODEJRZANY

ECHO W PŁOMIENIACH

W TAJNEJ SŁUŻBIE

SIŁA PERSWAZJI

NIEPRZYJACIEL

JEDNYM STRZAŁEM

BEZ LITOŚCI

ELITA ZABÓJCÓW

NIC DO STRACENIA

JUTRO MOŻESZ ZNIKNAĆ

61 GODZIN

CZASAMI WARTO UMRZEĆ

OSTATNIA SPRAWA

POSZUKIWANY

BEZ POWROTU

NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE OPOWIADANIA KRYMINALNE 2010

(współautor)

**[www.leechild.com](http://www.leechild.com)**

*Mojej córce Ruth*

## **Jack Reacher: CV**

### **Imiona i nazwisko:**

Jack Reacher  
(drugiego imienia nie ma)

### **Odznaczenia służbowe:**

#### **Wysokie:**

Srebrna Gwiazda,  
za wzorową służbę Service Medal,  
Legia Zasługi

#### **Ze środkowej półki:**

Soldier's Medal,  
Brązowa Gwiazda,  
Purpurowe Serce

#### **Z dolnej półki:**

„Junk awards”

### **Narodowość:**

Amerykańska

### **Urodzony:**

29 października 1960 roku

### **Charakterystyczne dane:**

195 cm; 99-110 kg;  
127 cm w klatce piersiowej

### **Matka:**

Josephine Moutier Reacher,  
ur. 1930 we Francji, zm. 1990

### **Ubranie:**

Kurtka 3XLT,  
długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

### **Ojciec:**

Żołnierz zawodowy,  
korpus piechoty morskiej,  
służył w Korei i Wietnamie...  
zm. 1988

### **Wykształcenie:**

Szkoły na terenie  
amerykańskich baz wojskowych w Europie  
i na Dalekim Wschodzie;  
Akademia Wojskowa West Point

### **Brat:**

Joe, ur. 1958,  
zm. 1997;  
5 lat w wywiadzie armii Stanów Zjednoczonych;  
Departament Skarbu

### **Ostatni adres:**

Nieznany

**Przebieg służby:**

13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych;  
w 1990 zdegradowany z majora do kapitana,  
zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

**Czego nie ma:**

Prawa jazdy; prawa do zasiłku federalnego;  
zwrotu nadpłaconego podatku; dokumentu ze zdjęciem;  
osób na utrzymaniu

W chwili gdy zadzwoniła komórka, Eldridge Tyler jechał długim, prostym odcinkiem szosy w Nebrasce. Było późne popołudnie. Zabrał wnuczkę do sklepu, żeby kupić jej nowe trampki, i teraz odwoził ją do domu. Jego silverado z drugim rzędem siedzeń w szoferce było w szaroburym kolorze gazety z poprzedniego dnia, dziewczynka leżała na tylnym siedzeniu, ale nie spała. Trzymała wyciągnięte w górę nogi i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się zafascynowana w wielkie białe adidas, mając nimi pół metra nad twarzą i wydając dziwne dźwięki. Miała osiem lat i Tyler podejrzewał, że wnuczka jest lekko opóźniona w rozwoju.

Komórka Tylera nie była zbyt nowoczesna, ale pozwalała przypisać różne dzwonki do różnych numerów. Większość numerów dzwoniła standardowym brzęczykiem producenta aparatu, ale czterem przypisano dźwięki z kategorii alarmowych, takich jak syrena wozu strażackiego czy syrena sygnalizująca zanurzenie łodzi podwodnej. I właśnie taka syrena odezwała się w komórce Tylera tamtego późnego popołudnia, podczas jazdy długim, prostym odcinkiem dwukierunkowej szosy w Nebrasce, piętnaście kilometrów na południe od sklepu i trzydzieści kilometrów na północ od domu. Sięgnął po aparat przyczepiony do deski rozdzielczej, nacisnął guzik, przyłożył do ucha i mruknął: „Tak?”.

– Możesz być nam potrzebny – powiedział męski głos.

– Znowu? – zdziwił się Tyler.

– Ty i twoja strzelba. Jak poprzednio.

– Powiedziałeś „możesz”?

– Na razie to tylko ostrzeżenie.

– A co się dzieje?

– Kręci się jakiś facet.

– Blisko?

– Trudno powiedzieć.

– Ile może wiedzieć?

– Coś wie. Ale nie wszystko.

– Co za jeden?

– Nikt. Przyjezdny. Po prostu facet. Ale węższy. Sądźmy, że to były wojskowy. Chyba służył w żandarmerii. Może nie wyzbył się żandarmskich przyzwyczajęń.

– Jak dawno temu służył?

– Kupę lat.

– Jakieś powiązania?

– O żadnych nam nie wiadomo. Nikt za nim nie zatęskni. Bez stałego adresu. Praktycznie bezdomny włóczęga. Przywiało go tu jak śmiecia. A teraz musi wywiać.

– Jak wygląda?

– Byczysko. Co najmniej metr dziewięćdziesiąt i na oko ze sto dziesięć kilo. Ostatnio widziany w starej brązowej kurtce z kapturem i welnianej pilotce. Dziwnie sztywno chodzi, jakby go coś bolało.

– Dobra – mruknął Tyler. – To gdzie i kiedy?

– Chcemy, żebyś popilnował stodoły – wyjaśnił głos. – Jutro przez cały dzień. Nie możemy dopuścić, żeby dostał się do środka. Nie teraz. Jeśli się go nie pozbędziemy dziś wieczorem, to się w końcu kapnie. Polezie tam i zacznie węszyć.

– Sądźysz, że polezie tak sobie?

– Myśli, że jest nas czterech. Nie wie o piątym.

– To dobrze.

– Namierz go i zastrzel.

– Zrobię to.

- Tylko nie spudłuj.
- A kiedyś spudłowałem?

Tyler rozłączył się, umieścił komórkę na desce rozdzielczej i lekko przyspieszył. W lusterku widział adidasy wnuczki, przed sobą i za sobą miał pustkę zimowych pól z zapadającymi ciemnościami po lewej i zachodzącym słońcem po prawej.

•••

Stodołę zbudowano dawno temu, jeszcze w czasach, gdy średniej wielkości drewniane zabudowania gospodarskie uważano za najważniejsze dla rolnictwa w Nebrasce. Później zastąpiono je wielkimi konstrukcjami stalowymi, które stawiano w miejscach dobieranych wyłącznie pod kątem logistyki transportowej. Ale stara stodoła wciąż stała, powoli chyląc się ku upadkowi, murszejąc i coraz bardziej zapadając. Otaczał ją duży dziedziniec pokryty starą masą bitumiczną, spękaną i wyboistą po latach zimowych mrozów i letniej spiekoty, ze szparami porośniętymi przez chwasty. Wrota zrobiono z masywnych drewnianych belek scalonych stalowymi sprzęgami, zawieszono na stalowej szynie i zaopatrzone w stalowe kółka, jednak stopniowe zapadanie się budynku spowodowało, że kółka zakleszczyły się w prowadnicach i wrót nie dawało się już przesunąć. Do środka można się było dostać tylko przez niewielkie drzwiczki, które umieszczono we wrotach nieco na lewo od środka. Były tak małe, że zmuszały dorosłego mężczyznę do pochylecia głowy.

Eldridge Tyler obserwował drzwiczki przez lunetkę na strzelbie. Zajął pozycję godzinę przed czasem, długo przed świtem, bo takie postępowanie uznawał za roztropne. Był człowiekiem cierpliwym, słownym i bardzo skrupulatnym.

Zjechał swoim silverado z szosy, skręcił w wyboisty trakt wyżłobiony przez traktory i zaparkował w starej szopie bez przedniej ściany, której używano do składowania jutowych worków z nawozami, by je ochronić przed wiosennymi deszczami. Ziemia była zmarznięta na kamień i jego przejazd nie wzniesił tumanów kurzu ani nie pozostawił śladów. Zgasił wielki ośmiocylindrowy silnik, zawrócił do wjazdu do szopy i przez całą jego szerokość przeciągnął cienki przewód w czarnej plastikowej osłonce, umieszczając go na wysokości połowy łydki rosnącego mężczyzny.

Potem zawrócił do półciężarówki, wspiął się na skrzynię ładunkową, z niej na dach szoferki i umieścił strzelbę i dużą brezentową torbę na półce pod dwuspadowym daszkiem szopy, tworzącym coś w rodzaju stryszku. Sam też ułożył się na półce i uniósł lekko żaluzję na wywietrzniku w szczytowym fragmencie ściany. Wiedział, że gdy tylko się rozjaśni, będzie miał stąd doskonały widok na stodołę, oddaloną dokładnie sto dziesięć metrów od szopy. Nie był to żaden szczęśliwy przypadek. Znalazł tę kryjówkę wiele lat temu, gdy jego czterej przyjaciele po raz pierwszy zwrócili się do niego o pomoc, i miał czas dokładnie ją obejrzeć i przygotować. Wbił gwoździe do zaczepienia pułapki z drutu, zmierzył krokami odległość do stodoły i poluzował żaluzję na wywietrzniku. Teraz ułożył się wygodnie na półce pod dachem, opatulili, jak mógł, przed zimnem i zaczął czekać na wschód słońca. Istotnie wkrótce weszło, blade i anemiczne.

Posługiwał się strzelbą Grand Alaskan, produkowaną w Ameryce przez firmę Arnold Arms Company. Komora mieściła pociski Magnum kaliber trzysta trzydzieści osiem, lufa miała sześćdziesiąt sześć centymetrów długości, kolbę wytoczono z angielskiego orzecha. Kosztujące siedem tysięcy dolarów cacko wystarczało, by zabić niemal wszystko poruszające się na czterech łapach, i było aż za dobre na cele dwunożne. Lunetka Ultravid firmy Leica za dziewięćset dolarów miała standardowy krzyżyk celowniczy na siatce w okularze. Tyler ustawił zbliżenie na dwie trzecie zakresu, dzięki czemu pole widzenia na odległość stu dziesięciu metrów obejmowało obszar o średnicy około trzech metrów. Blade słońce wisiało nisko nad horyzontem i jego łagodne szarawe światło rozchodziło się niemal poziomo nad uspioną okolicą. Później miało się nieco wzniesić i zaraz po południu rozpocząć wędrówkę w dół ku zachodowi. Było mu to bardzo na rękę, bo oznaczało, że nawet ubrany na brązowo cel będzie przez cały dzień dobrze widoczny na brunatnym tle drewnianych belek.

Tyler założył, że jego cel jak większość ludzi jest praworęczny i ustawi się trochę na lewo



od środka, by móc sięgnąć prawą ręką do skobla drzwiczek na wrotach. Założył także, że ktoś obolały i usztywniony podejdzie możliwie najbliżej drzwiczek, by do maksimum ograniczyć ruchy. Drzwiczki miały niecały metr osiemdziesiąt wysokości, ale ponieważ umieszczono je w przesuwanych wrotach, ich dolna krawędź znajdowała się jakieś dwadzieścia centymetrów nad ziemią. Środek głowy kogoś o wzroście metr dziewięćdziesiąt znajduje się mniej więcej metr osiemdziesiąt pięć nad ziemią, a to oznaczało, że idealny punkt celowania na osi pionowej znajduje się piętnaście centymetrów poniżej górnej krawędzi drzwiczek. Mężczyzna ważący sto dziesięć kilo musi być szeroki w barach, więc środek jego czaszki w chwili otwierania drzwi znajdzie się jakieś czterdzieści pięć centymetrów w lewo od prawej ręki, to zaś oznaczało, że należy przyjąć punkt celowania na osi poziomej około piętnastu centymetrów od lewej krawędzi drzwi.

Piętnaście centymetrów poniżej górnej krawędzi, piętnaście centymetrów w bok od lewej krawędzi. Tyler sięgnął za siebie i wyjął z torby dwa woreczki długoziarnistego ryżu. Oba kupił dopiero co w sklepie spożywczym, po dwa i pół kilo każdy. Ułożył je przed sobą i wcisnął w nie wypolerowaną podstawę lufy z drewna orzechowego. Przytknął policzek do kolby i wpatrując się w krzyżyk celowniczy w lunetce, ustawił go na lewy górny narożnik drzwi, przesunął lekko w dół i lekko w lewo i delikatnie położył palec na spuście. Zacerpnął głęboko powietrza i wypuścił. Słyszał, jak stojąca pod nim półciężarówka cicho trzeszczy w miarę stygnięcia, roztaczając woń benzyny i spalin, zmieszaną ze stęchłym zapachem kurzu i butwiejącego drewna. Słońce powoli się wznosiło i robiło się coraz jaśniej. Powietrze było wilgotne i ciężkie, zimne i gęste. Takie, w którym piłka baseballowa nie wylatuje poza płytę boiska, a oblepiony nim pocisk trafia pewnie do celu.

Tyler czekał. Wiedział, że może przyjdzie mu czekać cały dzień, i był na to gotowy. Nigdy nie brakowało mu cierpliwości. Skracał sobie czas, wyobrażając sobie możliwy przebieg wydarzeń. Wyobrażał sobie, jak rosły mężczyzna w brązowej kurtce wkracza w pole widzenia lunetki, nieruchomieje, potem odwraca się plecami i kładzie rękę na skoblu.

W odległości stu dziesięciu metrów od niego.

Jeden celny strzał.

I po sprawie.

Rosły mężczyzna w brązowej kurtce z kapturem nazywał się Jack Reacher i dla niego wszystko zaczęło się wczesnym wieczorem od dzwonka telefonu sześć kilometrów dalej. Telefon zadzwonił w recepcji motelu przy skrzyżowaniu dróg, gdzie wysadził Reachera kierowca, który go podwiózł. Teren wokół był ciemny, martwy i zupełnie płaski i motel stanowił jedyny przejazd życia w zasięgu wzroku. Został zbudowany czterdzieści lub pięćdziesiąt lat wcześniej na fali inwestycyjnego entuzjazmu. Może wówczas istniały plany szybkiego rozwoju regionu, których nigdy nie zrealizowano, a może od początku był to poroniony pomysł. Na drugiej ćwiartce skrzyżowania sterczały resztki niedokończonych i opuszczonej stacji benzynowej, na trzeciej widać było fundamenty pod jakąś rozległą budowlę – duży sklep czy może nawet niewielkie centrum handlowe – która nigdy nie powstała. Czwarta ćwiartka była zupełnie pusta.

Ale motel jakoś przetrwał. Całość miała dość dziwny wygląd i kojarzyła się Reacherowi z rysunkami z komiksów dla chłopców o wyprawach na Księżyc lub Marsa i wznoszonych tam koloniach osadników. Główny budynek był rotundą z kopulastym dachem, za nią ciągnął się rząd domków o takim samym kształcie, które zataczały lekki łuk, stopniowo malejąc, co sztucznie podkreślało perspektywę. Większe domki bliżej głównej rotundy były przeznaczone dla rodzin z dziećmi, mniejsze i bardziej oddalone dla par i pojedynczych gości. Ściany wszystkich pomalowano srebrzystą farbą, przy oknach i drzwiach domków sterczały aluminiowe elementy imitujące anteny. Wszystkie tonały w niesamowitej niebieskawej poświacie, rzucanej przez świetlówki ukryte pod okapami daszków. Ścieżki wysypano szarym żwirem i obramowano drewnianymi listwami także w srebrnym kolorze. Słup z szyldem motelu obudowano sklejką pomalowaną na srebrno i tak ukształtowaną, by imitowała rakietę kosmiczną na trójnogu wąskich skrzydełek. Nazwę „Apollo Inn” namalowano literami przypominającymi liternictwo stosowane na czekach bankowych.

Niemal całe wnętrze głównej rotundy było otwartą przestrzenią i tylko w głębi wydzielono fragment z wejściem do biura motelu i dwójgim drzwi prowadzących zapewne do toalet. Na prawo od wejścia znajdował się łukowaty kontuar recepcji, po przeciwnej stronie umieszczono identycznie zakrzywiony bar. Całość pomieszczenia o mniej więcej trzydziestometrowej średnicy pełniła funkcję salonu z niedużym parkietem do tańca i kilkunastoma stolikami, każdy z własną lampką z abażurem z frędzlami i krzesłkami wyściełanymi czerwonym pluszem. Wewnętrzna strona kopulastego dachu stanowiła pusta czasza podświetlona czerwonymi neonówkami. Poza tym w pomieszczeniu było jeszcze mnóstwo ukrytych punktów świetlnych, a wszystkie świeciły na czerwono lub różowo. Z wmontowanych w ściany głośników płynęły ciche dźwięki pianoli. Całość sprawiała dość niesamowite wrażenie i zapewne miała nawiązywać do Las Vegas z lat sześćdziesiątych, które ktoś przeniósł w przestrzeń kosmiczną.

Nie licząc jednego gościa i barmana, w całym pomieszczeniu nie było nikogo. Reacher stanął przy recepcji, barman przeszedł za kontuar recepcyjny i gdy Reacher spytał o nocleg, na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, jakby nieczęsto słyszał takie pytania. Szybko się jednak opanował i po zainkasowaniu trzydziestu dolarów w gotówce wręczył Reacherowi klucz. Miał pięćdziesiąt pięć, może sześćdziesiąt lat, nie był zbyt wysoki ani zbyt szczupły, jego głowę zdobiła czupryna pofarbowana na rdzawy kolor, który Reacherowi kojarzył się bardziej z Francuzkami w pewnym wieku. Mężczyzna schował trzydzieści dolarów do szuflady i z namaszczeniem odnotował przychód w wielkiej księdze. Zapewne był spadkobiercą pomyślników, którzy to wszystko zbudowali. Zapewne też przez całe życie nie ruszył się stąd na krok i nie pracował nigdzie indziej, a tu wiązał koniec z końcem, pełniąc pięć funkcji naraz: kierownika, recepcjonisty, barmana, złotej rączki i pokojówki. Zamknął księgę, schował do szuflady i ruszył w stronę baru.

– Macie tu kawę? – spytał Reacher.

Mężczyzna odwrócił się, uśmiechnął i z widoczną satysfakcją rzucił: „Jasne”, jakby podjęta

kiedyś decyzja, by co wieczór trzymać w gotowości filtracyjną zaparzakę do kawy, znalazła wreszcie uzasadnienie. Reacher ruszył za nim przez neonową poświatę i usiadł na stołku trzy miejsca od jedyne go klienta. Klient był mężczyzną około czterdziestki i miał na sobie grubą tweedową marynarkę o sportowym kroju, ze skórzanymi łatami na łokciach. Łokcie trzymał oparte o kontuar, dłońmi oplatał szklankę z bursztynowym płynem i kostkami lodu. Siedział z pochyloną głową i tępy m wzrokiem wpatrywał się w zawartość szklanki, zapewne nie pierwszej tego wieczoru. Może nawet nie trzeciej i nie czwartej. Twarz miał pokrytą kropelkami potu i wyglądał na niezłe wstawionego.

Barman z rdzawymi włosami nalał kawę do porcelanowego kubka z emblematem NASA i ostrożnie przesunął po blacie. Kubek mógł stanowić dla niego bezcenny antyk.

– Śmietanka? – spytał. – Cukier?

– Nie i nie – odrzekł Reacher.

– Nocleg w drodze?

– Mam zamiar wyruszyć na wschód najwcześniej, jak się da.

– Jak daleko na wschód?

– Do końca. Do Wirginii.

Barman z farbowaną czupryną pokiwał ze zrozumieniem głową.

– A więc musi pan najpierw pojechać na południe. Aż do międzystanowej.

– Taki mam zamiar – potwierdził Reacher.

– Skąd pan jedzie?

– Z północy.

– Samochodem?

– Autostopem.

Facet z kolorowymi włosami zamilkł, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Barmani lubią w swoich barach pogodną atmosferę, a ten temat nie zapowiadał się zbyt pogodnie. Złapanie okazji w środku zimy na bocznej drodze, w stanie zajmującym czterdzieste pierwsze miejsce pod względem gęstości zaludnienia wśród pięćdziesięciu stanów Ameryki, nie mogło być łatwe, uznał więc, że lepiej będzie głośno tego nie mówić. Reacher uniósł kubek, próbując utrzymać go bez ruchu. Taki sobie sprawdzian. Nie wypadł najlepiej. Wszystkie ścięgna, więzadła i każdy mięsień od końców palców po klatkę piersiową piekły i bezustannie drgały, a na powierzchni kawy tworzyły się małe koncentryczne kręgi. Zebrał się w sobie i przytknął kubek do ust, starając się to zrobić spokojnym, płynnym ruchem, ale wyszło mu nerwowe, niezbyt opanowane szarpnięcie. Pijak przy barze przez chwilę mu się przyglądał, po czym bez słowa odwrócił głowę. Kawa była gorąca i za długo stała, ale zawierała kofeinę, a o to Reacherowi głównie chodziło. Pijak upił łyk, odstawił szklankę na tekturową podstawkę i wpatrzył się w nią smętnie. Usta miał lekko rozchylone i w kącikach utworzyły się pęcherzyki śliny. Upił kolejny łyk, Reacher zrobił to samo, tym razem spokojniej. Wszyscy trzej milczeli. Pijak wysączył szklankę do końca i dostał nową porcję. Burbon Jim Beam, co najmniej potrójna miarka. Drzenie ręki Reachera nieco się uspokoiło. Na kawę zawsze mógł liczyć.

I wtedy zadzwonił telefon.

A właściwie dwa równocześnie. Widocznie do jednej linii podłączono dwa aparaty – jeden na ladzie w recepcji, drugi na półce za barem – i zadzwoniły oba. Pracujący na pięć etatów facet z kolorowymi włosami nie mógł być wszędzie. Podniósł słuchawkę i rzucił: „Motel Apollo Inn” z takim entuzjazmem, jakby odbierał pierwszy telefon w dniu uroczystego otwarcia motelu. Przez chwilę słu chał w milczeniu, potem przyłożył słuchawkę do piersi i powiedział:

– To do pana, doktorze.

Reacher odruchowo spojrział za siebie, ciekawy, do kogo barman mówi, ale nikt za nim nie stał. Za to odezwał się siedzący przy barze pijak:

– Kto?

– Pani Duncan – odrzekł barman.

– Co jej jest?

– Ma krwotok z nosa i nie może go zatamować.

– Powiedz, że mnie tu nie ma.

Barman przekazał kłamstwo i odłożył słuchawkę. Siedzący przy barze zapadł się w sobie i jego twarz niemal zrównała się z krawędzią szklanki.

– Jest pan lekarzem? – zapytał Reacher.

– A panu co do tego?

– Pani Duncan jest pańską pacjentką?

– Formalnie rzecz biorąc.

– I ją pan olewa?

– Coś pan za jeden? Komisja etyczna? Krew jej leci z nosa.

– Której nie może zatamować. To może być coś poważnego.

– Ma trzydzieści trzy lata i jest okazem zdrowia. Ani śladu nadciśnienia czy wad serca. Nie jest narkomanką. Nie ma się czym przejmować. – Pijak podniósł szklankę i siorbnął, przełknął, znów siorbnął i znów przełknął.

– Jest mężatką? – Reacher nie dawał za wygraną.

– A co, od małżeństwa dostaje się krwotoku z nosa?

– Czasami. – Reacher pokiwał głową. – Kiedyś służyłem w żandarmerii. Czasami wyciągali nas z posterunku i wysyłali do kwater małżeńskich. Często bite kobiety łykają dużo aspiryny dla uśmierzania bólu. Aspiryna rozcieńcza krew, więc przy następnym łomocie nie mogą jej zatamować.

Pijak milczał.

Barman odwrócił twarz.

– A co? Często się to zdarza? – spytał Reacher.

– To tylko krwotok z nosa – mruknął pijak.

– Boi się pan mieszać do domowej awantury, tak?

Cisza.

– Może mieć też inne urazy – ciągnął Reacher. – Mniej widoczne. Jest pańską pacjentką.

Cisza.

– Krwawienie z nosa jest równie niebezpieczne, jak krwawienie z czegokolwiek innego.

Jeśli się tego nie zatamuje, kobieta straci przytomność. Jak przy upływie krwi z rany od noża.

Gdyby to była rana od noża, toby jej pan tak nie zostawił, prawda?

Cisza.

– Jak pan sobie chce. – Reacher wzruszył ramionami. – Nie moja sprawa. Zresztą i tak nic by pan nie poradził. W tym stanie nie może pan nawet pojechać do niej samochodem, obojętnie jak daleko stąd mieszka. Ale powinien pan do kogoś zadzwonić.

– Nie mam do kogo – mruknął pijak. – Najbliższa stacja pogotowia jest sto kilometrów stąd. Nie wyślą karetki sto kilometrów do krwawiącego nosa.

Reacher upił kolejny łyk kawy. Pijak tym razem nie sięgnął po szklankę.

– Jasne, że miałbym problem z dojechaniem – powiedział w zadumie. – Ale na miejscu bym sobie poradził. Jestem dobrym lekarzem.

– To strzeż mnie, Boże, przed złym.

– Na przykład wiem, co dolega panu. Znaczy, fizycznie. Bo umysłowo się nie wypowiadam.

– Nie przeciągaj struny, kolego.

– Bo co?

Reacher nic nie powiedział.

– To tylko krwotok z nosa – powtórzył lekarz.

– I jak by pan temu zaradził? – spytał Reacher.

– Małe miejscowe znieczulenie. Trzeba zatkać gazą oba otwory nosowe. Ciśnienie powstrzyma krwawienie bez względu na to, czy jest po aspirynie, czy nie.

Reacher skinął głową. Pamiętał te sposoby z czasów służby wojskowej.

– No to jedźmy, doktorku – powiedział. – Ja pana zawiozę.

Chwiejąc się, doktor pomaszerował po płaskiej pustej podłodze takim krokiem, jakby wspinał się pod górę. Udało mu się jednak dotrzeć do wyjścia, a zimne powietrze nieco go otrzeźwiło. W każdym razie na tyle, by odnalazł kluczyki. Pomacał się po kieszeniach i wyciągnął sfatygowane skórzane etui z pękiem kluczy na kółku. Spękane złociste litery na etui układały się w napis DUNCAN TRANSPORTATION.

– Z tych samych Duncanów? – spytał Reacher.

– Mamy tu tylko jedną rodzinę Duncanów – burknął lekarz.

– I wszystkich pan leczy?

– Tylko ją. Jej mąż jeździ do Denver. A z tego, co mi wiadomo, jego ojciec i stryjowie leczą się sami korzonkami i jagodami.

Subaru kombi doktora było jedynym samochodem na parkingu i okazało się w miarę nowe i w miarę czyste. Reacher wymacał w etui pilota i odblokował drzwi. Lekarz ruszył do drzwi kierowcy, ale zreflektował się i zmienił kierunek. Reacher wcisnął się za kierownicę, odsunął fotel, uruchomił silnik i odnalazł włącznik świateł.

– Jedziemy na południe – powiedział lekarz.

Reacher odchrząknął.

– Lepiej niech pan na mnie nie chucha. Ani na pacjentkę.

Wyciągnął ręce ku kierownicy tak niepewnie, jakby zamiast rąk miał rękawice baseballowe na długich patykach. Gdy udało mu się je oprzeć, zacisnął kurczowo palce i przez chwilę trzymał nieruchomo w nadziei, że naprężenie ramion zelżeje. Wyjechał z parkingu i skręcił na południe. Było zupełnie ciemno i po bokach nic nie było widać, ale Reacher wiedział, że w obie strony ciągną się niekończące się płaskie pola.

– Co się tu uprawia? – spytał, głównie po to, by lekarz nie przysnął.

– Kukurydzę, oczywiście. Wszędzie tylko kukurydza i kukurydza. Cholernie dużo kukurydzy. Więcej, niż mieści się w głowie człowieka zdrowego na umyśle.

– Jest pan stąd?

– Urodziłem się w Idaho.

– Tam z kolei ziemniaki.

– Lepsze to niż kukurydza.

– Więc co przywiodło pana do Nebraski?

– Małżeństwo. Żona się tu urodziła i wychowała.

Przez chwilę jechali w milczeniu, po czym Reacher zapytał:

– To co mi jest?

– Co?

– Powiedział pan, że pan wie, co mi dolega. W każdym razie fizycznie. No to słucham.

– Co to ma być? Jakiś sprawdzian?

– Niech pan nie udaje, że by się panu nie przydał.

– Idź pan do diabła. Funkcjonuję.

– To niech pan to udowodni.

– Wiem, co panu jest – powiedział lekarz. – Tylko nie wiem od czego.

– A co mi jest?

– Naciągnął pan sobie wszystko, od zginacza mięśnia *digiti minimi* po *quadratus lumborum* obustronnie i w miarę symetrycznie.

– Mógłby pan mówić po angielsku?

– Nadwyrężył pan sobie wszystkie mięśnie, ścięgna i więzadła uczestniczące w poruszaniu rękami, od czubków palców po zaczep na dwunastym żebrze. Jest pan cały obolały, czuje pan dyskomfort i pańskie zdolności motoryczne szlag trafił, bo wszystko w panu protestuje.

- Rokowanie?
- Wyliże się pan.
- Kiedy?
- Za parę dni. Może tydzień. Niech pan łyka aspirynę.

Jechali w milczeniu. Reacher opuścił lekko szybę, chcąc, by pęd powietrza wywiały opary burbona. Minęli trzy stojące blisko siebie domy sto metrów od szosy, od której prowadził jeden wspólny podjazd. Wszystkie trzy miały wspólne ogrodzenie z prętów na metalowych słupkach i widać było, że całość jest dość wiekowa i czasy świetności ma już za sobą. Lekarz odwrócił głowę i obrzucił domy długim, ponurym spojrzeniem, po czym bez słowa przeniósł wzrok na drogę.

– A jak pan to zrobił? – zapytał.

– Co jak zrobiłem?

– Jak pan tak nadwyrężył ramiona?

– Pan tu jest lekarzem. Niech pan mi to powie.

– Dwukrotnie zetknąłem się z identycznymi objawami. Po jednym z huraganów na Florydzie zgłosiłem się na ochotnika. Nie jestem takim złym facetem.

– No i?

– Ci, których dopadła poza domem wichura wiejąca z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, albo się turlali po ulicy, albo próbowali czegoś się trzymać. To oznacza ciężar własny ciała kontra napór huraganu, a to potężne obciążenie. W rezultacie doznali takich właśnie urazów. Ale patrząc na pana, powiedziałbym, że pańskie mają nie więcej niż dwa dni. Mówił pan, że jedzie z północy, a stąd na północ nie było żadnych huraganów. Nie mówiąc o tym, że to nie jest sezon na huragany. Jestem gotów się założyć, że przez ostatni tydzień nigdzie na świecie nie było huraganu. Ani jednego. I dlatego nie wiem, jak się pan tak urządził. Ale życzę szybkiego powrotu do zdrowia. Naprawdę szczerze panu życzę.

Reacher nie zareagował.

– Na następnym skrzyżowaniu w lewo – powiedział lekarz.

• • •

Po pięciu minutach dotarli do domu Duncanów. Dom był podświetlony od zewnątrz i nawet na białą skrzynkę na listy przy drodze świeciły dwa umieszczone po bokach reflektorki. Na skrzynce widniało napisane dużymi literami nazwisko „Duncan”. Dom wyglądał na zaadaptowaną wiejską chałupę. Nie imponował rozmiarami, był natomiast utrzymany w nieskazitelnym porządku. Od frontu rozciągał się pogrążony w zimowym śnie trawnik, na którym ustawiono starą dwukółkę na wysokich kołach ze szprychami i długimi dyszlami.

Podjazd kończył się przed oddzielnym dużym budynkiem, który w czasach rolniczej przeszłości mógł służyć za stodołę, teraz jednak mieściły się tu garaże z trzema boksami. Jeden z nich był otwarty na oścież, jakby ktoś wyjeżdżał w pośpiechu.

Reacher zatrzymał samochód przy ścieżce prowadzącej do wejścia do domu.

– Pora na pański występ, doktorku – powiedział. – O ile pacjentka wciąż tu jest.

– Na pewno jest.

– No to chodźmy.

Wysiedli z samochodu.

Lekarz wziął z tylnego siedzenia skórzaną torbę i ruszywszy ścieżką, powtórzył pokaz pijackiego chodu o tyle teraz uzasadnionego, że wysypana żwirem ścieżka była rzeczywiście trudna do pokonania. Udało mu się jednak bez pomocy Reachera dotrzeć do drzwi z pięknego starego drewna, które pokryto warstwą lśniącą białą farbą. Reacher dostrzegł mosiężny przycisk dzwonka i wdusił go zgiętym palcem. Wewnątrz zabrzączał elektryczny dzwonek, po czym zapadła cisza i dopiero po dłuższej chwili dobiegł ich odgłos powolnych kroków. Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich twarz.

Okolona czarnymi włosami twarz miała pobladłą skórę i wystraszone oczy, od nosa przez usta i szyję ciągnęła się i znikająca pod bluzką czerwona pręga, nos był zakryty zakrwawioną chustką. Szyję ozdobił sznur zakrwawionych pereł, bluzka była jedwabna i cała mokra. Kobieta odjęła chustkę od nosa. Miała pękniętą wargę i krwawe obwódki na zębach. Z nosa wciąż ciekła obfita strużka krwi.

– Jednak przyjechałeś – powiedziała.

Lekarz zamrugał, z wysiłkiem wytrzeszczył oczy i wykrzywiwszy usta, skinął głową.

– Trzeba to obejrzyć – wymamrotał.

– Piłeś – prychnęła kobieta. Przeniosła wzrok na Reachera.

– A pan kto?

– Jego kierowca – wyjaśnił Reacher.

– Bo jest pijany?

– Poradzi sobie. Może nie pozwoliłbym mu operować mózgu, ale z krwotokiem z nosa sobie poradzi.

Kobieta skinęła głową, przyłożyła chustkę do twarzy i szerzej otworzyła drzwi.

• • •

Przeszli do kuchni. Lekarz był zdrowo zalany, ale przypadek nie należał do skomplikowanych, a jemu zostało wystarczająco dużo zawodowych odruchów, żeby sobie poradzić. Reacher moczył szmatki w ciepłej wodzie i podawał lekarzowi, który obmył twarz kobiety z krwi, wypełnił dziurki od nosa kawałkami gazy i opatrzył rozcięte wargi przyklepcami motylkowymi. Podał jej też środek przeciwbólowy, który sprawił, że była lekko oszołomiona. Trudno było ocenić stan jej twarzy. Nos bez wątplenia był już wcześniej rozbijany, ale poza tym miała gładką cerę, drobnokościstą twarz i duże ładne oczy. Była szczupła, dość wysoka i ubrana w sposób świadczący o zamożności. Zamożności dowodziło też wnętrze domu. Było przytulne. Po latach froterowania podłoga z szerokich desek uzyskała lustrzany połysk, pokoje zdobiły drewniane meble i gustowne drobiazgi w pastelowych kolorach. Na regałach stało mnóstwo książek, na ścianach wisiały obrazy, podłogi pokryto puszystymi dywanami. Na ścianie w salonie wisiało zdjęcie ślubne w srebrnej ramce. Widać na nim było młodszą i nienaruszoną wersję pani domu u boku wysokiego, patykowatego mężczyzny w szarym garniturze. Miał ciemne włosy, długi nos, błyszczące oczy i pewną siebie minę, ale nie sportowca czy robotnika, nie naukowca ani poety. A także nie rolnika. Raczej biznesmena. W każdym razie kogoś, kto spędza czas w zamkniętych pomieszczeniach. Kogoś pewnego siebie i pełnego energii, ale nie radości życia.

Reacher wrócił do kuchni i ujrzał lekarza myjącego ręce nad zlewem i panią domu szcztokującą włosy.

– Lepiej się pani czuje? – zapytał.

– Nie najgorzej – odparła przez nos.

– Męża nie ma w domu?

– Postanowił pojechać na kolację. Z kolegami.

– Jak ma na imię?

- Na imię ma Seth.
- A pani?
- Eleanor.
- Łyka pani aspirynę, Eleanor?
- Tak.
- Bo Sethowi często się to zdarza?
- Przez dłuższą chwilę milczała, po czym wolno pokręciła głową.
- Potknęłam się – powiedziała cicho. – O róg dywanu.
- Kilka razy w ciągu ostatnich paru dni? O ten sam róg?
- Tak.
- Na pani miejscu pozbyłbym się tego dywanu.
- To już się na pewno nie powtórzy.

• • •

Posiedzieli dziesięć minut w kuchni, czekając, aż Eleanor pójdzie na górę, weźmie prysznic i się przebierze. Usłyszeli najpierw szum lejącej się wody i zaraz potem jej głos wołający z góry, że wszystko w porządku i że kładzie się już do łóżka. Wyszli, zatrzasnąwszy za sobą frontowe drzwi. Zataczający się doktor dotarł do samochodu i zwałił się na fotel pasażera, wciskając między nogi torbę lekarską. Reacher uruchomił silnik i na wstecznym biegu wyjechał na drogę. Skręcił kierownicę, wcisnął pedał gazu i ruszył tam, skąd przyjechali.

- Dzięki Bogu – powiedział lekarz.
- Że z nią wszystko w porządku?
- Że Setha Duncana nie było w domu.
- Widziałem go na zdjęciu. Na moje oko nie wygląda zbyt groźnie. Założę się, że ich pies to pudel.

– Nie mają psa.

– To taka przenośnia. Mogę sobie wyobrazić, że wiejski lekarz boi się wtrącać do rodzinnej awantury, którą urządza facet chodzący w podkoszulku, pijący piwo i trzymający na podwórku dwa bulterierki, które miotają się wśród starych gratów kuchennych i wraków samochodów. Ale Seth Duncan nie pasuje mi do tego obrazka.

Lekarz milczał.

– A jednak pan się go boi – ciągnął Reacher. – A więc jego siła bierze się z czegoś innego. Na przykład z pieniędzy albo władzy politycznej. Ma ładny dom.

Lekarz milczał.

- Na pewno on to zrobił?
- Tak.
- Jest pan tego pewny?
- Tak.
- I robił to już wcześniej?
- Tak.
- Ile razy?
- Mnóstwo. Czasem ogranicza się do klatki piersiowej.
- Zgłaszała to na policję?
- Nie mamy tu policji. Mamy władze okręgowe. Ale jest do nich sto kilometrów.
- Mogła zadzwonić.
- Nie chce składać skargi. Zawsze tak jest. Jeśli odpuszczą za pierwszym razem, to już po herbacie.

– Dokąd ktoś taki jak Duncan może iść z kumplami na kolację?

Lekarz nie odpowiedział, a Reacher nie powtórzył pytania.

- Wracamy do motelu? – spytał lekarz.
- Nie, odwożę pana do domu.
- Dzięki. To bardzo uprzejme z pana strony. Tylko że ode mnie do motelu jest kawał drogi.



– To już nie moje zmartwienie. Zatrzymuję pański samochód. Może pan rano przyjechać po niego autostopem.

• • •

Osiem kilometrów przed motelem lekarz znów wlepił wzrok w trzy domy na końcu długiego podjazdu, potem odwrócił głowę i kazał Reacherowi skręcić w lewo, w prawo i znów w lewo, w drogę biegnącą skrajem ciemnego pustego pola, która doprowadziła ich do nowego domu pośrodku mniej więcej hektarowej pustej działki ogrodzonej płotem.

– Ma pan klucze? – spytał Reacher.

– Są na kółku z samochodowym.

– A jakieś inne?

– Żona mnie wpuści.

– Miejmy nadzieję. Dobranoc.

Reacher patrzył przez szybę, jak lekarz niepewnie pokonuje pierwsze metry podjazdu, potem zawrócił i ruszył do głównej szosy. Jeśli nie wiesz gdzie, skręcaj w lewo, brzmiało jego motto. Skręcił na północ, ujechał niecałe dwa kilometry, po czym zjechał na pobocze i się zamyślił. Gdzie taki facet jak Duncan może jeść kolację z kolegami?

Reacher postawił na jakąś nieodległą knajpę ze stekami. Tereny rolnicze, wszędzie farmy i zamożni kmiotkowie, którzy pozują na luzaków z podwiniętymi rękawami koszul i rozluźnionymi krawatami, żłopiają kuflami lokalnie warzone piwo i jedzą krwiste steki z polędwicy, używając sobie słownie na głupich babach, które boją się cholesterolu. Okręgi w Nebrasce są wielkie i rzadko zaludnione, a to oznacza, że odległości między lokalami mogą sięgać pięćdziesięciu i więcej kilometrów. Ale noc była ciemna, a knajpy ze stekami zawsze reklamują się neonowymi napisami. To element prowincjonalnej kultury. Albo słowo *steakhouse* świeci na czubku dachu w postaci neonu o antycznym kroju, albo do knajpy przyciąga elegantszy, podświetlany reflektorami szyld reklamowy.

Reacher zgasił światła, wysiadł z subaru i uchwycił się dachowego bagażnika, wgramolił najpierw na maskę, a stamtąd na dach samochodu. Wyciągnął szyję, tak że jego oczy znalazły się prawie trzy i pół metra nad płaskim terenem, i zaczął penetrować ciemności, zataczając wzrokiem pełne koło. Na północy widać było błękitną poświatę motelu, w odległości jakichś piętnastu kilometrów na południowy zachód coś świeciło bladoróżowo. Może to tylko stacja benzynowa, ale poza motelem była to jedyna plama światła na całym horyzoncie, więc nie miał wyboru. Ruszył najpierw na południe, potem na zachód, jeszcze dwukrotnie się zatrzymując i weryfikując kierunek jazdy. W miarę zbliżania się poświata nabierała intensywności. Czerwony neon, nieco zaróżowiony w wieczornej mgiele. Mógł reklamować cokolwiek. Sklep z alkoholami. Kolejny motel. Stację benzynową.

Reklamował restaurację. Reacher wyjechał wprost na nią. Budynek był długi, a w oknach paliły się świece. Wykończenie ścian imitowało stodołę, mocno wklęsły dach kojarzył się ze starą kłaczą na pastwisku. Stojący samotnie budynek otaczało półhektarowe klepisko. Krawędź dachu zdobiło świecące na czerwono ptasie gniazdo i słowo *Steakhouse* wypisane antycznym liternictwem, też czerwonym. Budynek otaczała gromadka zaparkowanych samochodów ustawionych maskami do ściany. Przypominały prosiaki ssące maciorę lub samoloty wokół pirsu lotniczego. Osobowe, półciężarówki i SUV-y, niektóre nowe, niektóre stare, niemal wszystkie z miejscową rejestracją.

Reacher zaparkował subaru bliżej drogi. Wysiadł i przez chwilę stał, wdychając zimne powietrze i gimnastykując ramiona, by pobudzić krążenie. Nigdy nie zażywał aspiryny i nie miał zamiaru zacząć. Kilka razy trafił do szpitala, gdzie podłączono go do kroplówki z morfiną, i miło to wspominał, ale był zdecydowany, by poza oddziałem intensywnej terapii zdawać się wyłącznie na czas i siłę woli. Nic innego nie wchodziło w rachubę.

Wszedł do restauracji. Za drzwiami znajdowała się niewielka kwadratowa sionka i następne drzwi, za którymi stał pusty pulpit kierownika sali z księgą rezerwacji i podręczną lampką. Po prawej otwierało się wejście do niewielkiej salki jadalnej, w której dwie pary akurat kończyły posiłek, po lewej widniało wejście do drugiej identycznej salki. Krótki korytarzyk na wprost prowadził do głównej sali jadalnej. Niski sufit, belkowanie na ścianach, dużo mosiężnych elementów. Ciepła, domowa atmosfera.

Reacher ominął pulpit i zajrzał do głównej sali. Tuż za łukowatym wejściem stał dwuosobowy stolik zajęty przez jedną osobę: mężczyznę w czerwonej klubowej bluzie drużyny futbolowej Cornhuskers z uniwersytetu w Nebrasce. W głębi sali stał ośmioosobowy stół, przy którym siedziało siedmiu mężczyzn. Wszyscy byli w marynarkach i koszulach z krawatami, trzech wzdłuż jednego boku, trzech wzdłuż drugiego, mężczyzna z fotografii u szczytu. Wyglądał starzej i był jeszcze bardziej kościsty i jeszcze bardziej pewny siebie niż na fotografii, ale to był on. Bez cienia wątpliwości. Nie można go było z nikim pomylić. Na stole pozostałości po skończonej uczcie: talerze, szkło, widelce i noże do steków z wytartymi drewnianymi trzonkami.

Na widok Reachera mężczyzna przy pierwszym stoliku wstał i zastąpił mu drogę z ręką

uniesioną gestem policjanta z drogówki, po czym położył mu ją na piersi. Był dobrze zbudowanym facetem, wzrostem niemal dorównywał Reacherowi, był natomiast dużo młodszy i nieco tęższy. Osilek w dobrej kondycji fizycznej i z błyskiem inteligencji w oczach. Kombinacja mięśni i mózgu. Niebezpieczne połączenie. Reacher wołał dawne czasy, kiedy w parze z mięśniami szła tępota. To wszystko przez oświatę. Przez pęd do społecznego awansu. Przyszło płacić genetyczną cenę za posyłanie osiłków do szkół.

Nikt przy dużym stole nie zwrócił na nich uwagi.

– Jak ci na imię, grubasku? – spytał Reacher.

– Jak mi na imię? – powtórzył mężczyzna.

– To nie jest trudne pytanie.

– Brett.

– Więc sprawa jest taka, Brett. Albo zabierzesz dłoń z mojej piersi, albo ja ci ją zabiorę z nadgarstka.

Osilek opuścił rękę, ale się nie odsunął.

– Co znowu?

– Przyszedł pan do pana Duncana?

– A tobie co do tego?

– Pracuję u pana Duncana.

– Naprawdę? – zdziwił się Reacher. – I co u niego robisz?

– Umawiam spotkania.

– No i?

– Pan nie jest umówiony.

– A na kiedy mógłbym się umówić?

– Co by pan powiedział na nigdy?

– Nie ucieszyłbym się.

– Musi pan stąd wyjść.

– A co, robisz za jego ochroniarza? Jesteś jego gorylem? Kim on jest, u diabła?

– Zwykłym obywatelem. A ja jestem jednym z jego asystentów, nic więcej. A pan musi wrócić do swojego samochodu.

– Chcesz mnie odprowadzić na parking?

– Ja tylko wykonuję swoje obowiązki, proszę pana.

Siedmiu mężczyzn siedziało z łokciami na stole i z głowami wyciągniętymi do przodu i słuchało opowieści Duncana, od czasu do czasu wybuchając gromkim śmiechem. Wyglądało na to, że wszyscy doskonale się bawią. Z innych części restauracji dochodziły kuchenne hałasy i brzęk sztućców i szkła na drewnianych blatach stołów.

– Jesteś pewny? – powiedział Reacher.

– Byłbym zobowiązany – odrzekł młodzieniec.

Reacher wzruszył ramionami.

– Dobra, to chodźmy. – Zawrócił i zaczął iść w stronę wyjścia. Minał pulpit kierownika sali, otworzył pierwsze drzwi, potem drugie i wyszedł na wieczorny ziąb. Rosły ochroniarz nie odstępował go ani na krok. Reacher przecisnął się między dwiema półciężarówkami i poszedł przez parking w stronę subaru. Ochroniarz zrobił to samo. Kilka kroków przed samochodem Reacher zatrzymał się i odwrócił. Ochroniarz również stanął i nagle znaleźli się twarzą w twarz tuż obok siebie. Ochroniarz nie wyglądał na zaniepokojonego. Czekał na dalszy ciąg rozluźniony, spokojny, pewny swego.

– Mogę dać ci radę? – spytał Reacher.

– W jakiej sprawie?

– Jesteś inteligentny, ale żaden z ciebie geniusz. Właśnie zamieniłeś korzystną dla siebie sytuację na znacznie gorszą. W środku mogłeś mieć świadków, skorzystać z telefonu i liczyć, że ktoś się wtrąci, tu nie masz nic. Z własnej woli zrezygnowałeś ze znaczącej przewagi. Mógłbym ci teraz do woli skopać tyłek i nikt by nawet nie ruszył palcem.

– Niczyjego tyłka nie musimy kopać.

– To prawda. Ale ja muszę przekazać panu Duncanowi wiadomość.  
– Jaką wiadomość?  
– Bije żonę. Muszę mu uświadomić, że to nie jest właściwe postępowanie.  
– Na pewno się pan myli.  
– Widziałem efekty na własne oczy. I teraz chcę się widzieć z Duncanem.  
– Naprawdę, proszę pana, z nikim się pan nie zobaczy. Tylko jeden z nas wróci stąd do budynku i tym kimś nie będzie pan.  
– Podoba ci się praca u kogoś takiego?  
– Nie narzekam.  
– Ale możesz zacząć. Ktoś mi mówił, że najbliższe pogotowie jest sto kilometrów stąd. To może oznaczać, że poleżysz tu przez godzinę.  
– Proszę, żeby pan wszedł do samochodu i odjechał.  
Reacher włożył ręce do kieszeni kurtki. Wolał je schować i uchronić przed nowym urazem.  
– Twoja ostatnia szansa, Brett. Jeszcze możesz spokojnie odejść. Nie musisz się narażać dla takiego łachudry.  
– Wykonuję tylko swoją pracę.  
Reacher kiwnął głową, rzucił cicho: „Posłuchaj, chłopcze” i młodzieniec odruchowo nachylił się, by nie umknął mu dalszy ciąg zdania. W tej samej chwili Reacher wymierzył mu kopniaka w podbrzusze. Użył prawej nogi wyćwiczonej przez prowadzenie samochodu i obutej w ciężki bucior, potem zrobił krok do tyłu i patrzył, jak zgięty wpół ochroniarz charczy, wymiotuje, ciężko dyszy i pryska śliną. A potem kopnął go jeszcze raz, tym razem w bok głowy, robiąc nogą wymach jak piłkarz, który wali z woleja w kierunku bramki. Młodzieniec okręcił się na piętach i runął na ziemię z takim impetem, jakby chciał się w nią wkręcić.  
Nie wyjmując rąk z kieszeni, Reacher ruszył w stronę wejścia do restauracji.

Uczta w głównej sali trwała w najlepsze. Łokcie zostały już zabrane ze stołu i teraz cała siódemka siedziała wygodnie rozparta na krzesłach. Wszyscy byli rozluźnieni, czuli się tu jak u siebie i doskonale bawili. Ich twarze lekko spąsowiały od gorąca i wypitego piwa i sześciu biesiadników ledwo słuchało pełnej przechwałek opowieści siódmego, by, gdy tylko skończy, przebić go własną opowieścią. Reacher podszedł do stołu, stanął za krzesłem Duncana, wyjął ręce z kieszeni i położył mu je na ramionach. Przy stole zapadła pełna zdumienia cisza. Reacher oparł się na rękach i krzesło z Duncanem odchyliło się do tyłu i zachybotało na dwóch nogach. Potem Reacher je puścił i krzesło wahnęło się do przodu. Duncan zerwał się na nogi, odwrócił i stanął twarzą do napastnika. Na jego twarzy malował się przestach i złość, ale także wyraz nonszalancji na użytek kolegów. Rozejrzał się szybko po sali, zobaczył, że w zasięgu wzroku nie ma ochroniarza, i na jego twarzy nastąpiło raptowne przewartościowanie proporcji: zniknęła cała nonszalancja i znaczna część złości, pozostał sam strach.

– Seth Duncan? – rzucił Reacher.

Chudzielec nie odpowiedział.

– Mam dla ciebie wiadomość, kolego.

– Od kogo? – burknął Duncan.

– Od Krajowego Stowarzyszenia Doradców Małżeńskich.

– Jest w ogóle coś takiego?

– Pewnie jest.

– Jaką wiadomość?

– Właściwie to bardziej pytanie.

– Dobra, co za pytanie?

– Pytanie brzmi: a tobie jak się to podoba? – Reacher walnął go prosto w nos, wymierzając potężny cios pięścią w chrząstkę i kość nosową i rozkwaszając jedno i drugie. Odrzucony do tyłu Duncan runął plecami na stół, tłukąc talerze i szkło i rozrzucając po podłodze sztućce.

Znieruchomiał, nie próbując się nawet podnieść.

Reacher ruszył do wyjścia, minął pulpit kierownika sali i wyszedł na parking.

• • •

Klucz otrzymany od rudowłosego recepcjonisty/barmana oznaczony był wielką szóstką. Reacher zaparkował pod domkiem numer sześć, wszedł do środka i znalazł się w miniaturowej wersji recepcji: pokój był idealnie okrągły i tylko w jednym miejscu spłaszczony, by w powstałym wycinku koła pomieścić szafę i łazienkę. Sufit miał kształt czaszy i też był podświetlony świetłówkami. Dosunięte do ściany łóżko umieszczono na specjalnie zaprojektowanym podeście, by pasował do zakrzywionej ściany. Obok stał okrągły stolik i fotel w kształcie wanienki, nieco dalej, na większym okrągłym stole, ustawiono staromodny kineskopowy telewizor, na okrągłym nocnym stoliku stał również staromodny aparat telefoniczny z obrotową tarczą. Łazienka była malutka, ale było w niej wszystko, co potrzeba, łącznie z wanną z prysznicem. Szafa na ubrania miała niemal wielkość łazienki.

W pokoju było wszystko, co potrzebne, i nic zbędnego.

Reacher rozebrał się, położył ubranie na łóżku i poszedł wziąć prysznic. Ustawił temperaturę wody na najgorętszą, jaką się dało wytrzymać, i wystawił na jej strumieniu kark, ramiona, ręce i klatkę piersiową. Uniósł najpierw jedną rękę, drugą, a potem obie. Ruszały się, ale z oporami, niczym części właśnie zmontowanej maszyny, które wymagają dotarcia. Dobra wiadomość była taka, że knykcie palców prawej dłoni w ogóle go nie bolały.

• • •

Lekarz Setha Duncana mieszkał w Denver w stanie Kolorado, dobrze ponad trzysta kilometrów na południowy zachód. Był doskonałym fachowcem – co do tego nie było wątpliwości – ale z racji miejsca zamieszkania w sytuacjach awaryjnych raczej się nie przydawał. Do najbliższej stacji pogotowia była godzina drogi samochodem, a nikt przy zdrowych zmysłach nie zwracał się o pomoc do miejscowego konowala. W rezultacie jeden z kolegów zawiózł Duncana do domu jego stryja, Jaspera Duncana. Jasper Duncan należał do ludzi, którzy radzą sobie z nietypowymi wyzwaniem o nietypowych porach. Mieszkał osiem kilometrów na południe od motelu, w pierwszym z trzech domów stłoczonych na końcu podjazdu. Dom był graciarnią mieszczącą masę przeróżnych przedmiotów, które odkładano przez lata z myślą o dniu, kiedy będą mogły się do czegoś przydać. Stryj Jasper był korpulentnym mężczyzną po sześćdziesiątce oraz skarbnicą niezwyklej umiejętności i ludowych mądrości.

Posadził Setha na kuchennym krześle i obejrzał ranę, potem dokądś poszedł, w czymś poszperał i wrócił ze strzykawką ze środkiem znieczulającym. Środek był specyfikiem weterynaryjnym przeznaczonym dla trzody, ale wszystkie ssaki są do siebie podobne i znieczulenie zadziałało. Po dostatecznym znieczuleniu miejsca zranienia Jasper chwycił złamaną kość między kciuk a palec wskazujący i nastawił, po czym poszedł poszperać i wrócił z aluminiową klamrą na twarz. Właśnie takich rzeczy można się było po nim spodziewać. Trochę ją powyginał, dopasował kształt do nosa bratanka i przymocował do twarzy przylepcem. Do dziurek od nosa napchał skrawków gazy, gąbką zmoczoną w ciepłej wodzie obmył twarz z krwi.

A potem poszedł do telefonu i zadzwonił do najbliższych sąsiadów.

W sąsiednim domu mieszkał jego brat Jonas Duncan, za Jonasem ich brat Jacob Duncan, ojciec Setha. Pięć minut później wszyscy czterej Duncanowie zasiedli przy kuchennym stole Jaspera i rozpoczęli naradę wojenną.

– Zaczniemy od początku, synu. Kto ci to zrobił? – odezwał się Jacob Duncan.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem – wymamrotał Seth.

– Nie, zaczniemy od początku. Gdzie, do cholery, podział się twój chłoptaş Brett? – warknął Jonas.

– Facet napadł go na parkingu. Brett wyprowadzał gościa z knajpy, a on go kopnął w jaja, a potem jeszcze w głowę. I zostawił na ziemi.

– Przeżył?

– Ma wstrząs mózgu. Nawet nie wie, którego dziś mamy. Bezużyteczny gnój. Chcę kogoś innego.

– Jest ich pod dostatkiem – zauważył Jonas.

– No więc, kto ci to zrobił? – powtórzył Jasper.

– Wielki skurwiel w brązowej kurtce z kapturem i wełnianej pilotce na głowie. Nic więcej nie widziałem. Nic więcej nie pamiętam. Po prostu poszedł i mnie walnął.

– Dlaczego to zrobił?

– Nie wiem.

– Coś ci powiedział?

– Coś mamrotał. Ale Brett powiedział, że przyjechał samochodem lekarza.

– Nie wie, którego dziś mamy, a pamięta, jakim samochodem tamten jeździł?

– Może przy wstrząsach tak bywa.

– I jesteś pewny, że to nie lekarz tak cię urządził?

– Już mówiłem: nigdy nie widziałem go na oczy. Znam lekarza. A poza tym pieprzony doktorek by mnie nie tknął. Nie odważyłby się.

– Coś przed nami ukrywasz, synu. Co? – powiedział Jacob Duncan.

– Strasznie mnie boli głowa.

– Nie wątpię. Ale nie o to pytam.

– Nie chcę o tym mówić.

– Sam wiesz, że musisz. Nie możemy machnąć na to ręką.

Seth Duncan spojrzał w lewo, spojrzał w prawo i powiedział:

– No więc pokłóciłem się dziś wieczór z Eleanor. Przed wyjściem z domu. Nic poważnego,

ale musiałem jej przyłożyć.

– Jak mocno?

– Mogłem jej rozkwasić nos.

– Jak bardzo?

– Wiesz, jaka jest delikatna.

W kuchni zapadła cisza.

– Spróbujmy to zebrać do kupy – odezwał się wreszcie Jonas Duncan. – Twoja żona zadzwoniła do lekarza.

– Wie, że jej nie wolno.

– Ale mimo to mogła to zrobić. Bo jest delikatna. I lekarza mogło nie być w domu. Mógł jak zwykle siedzieć w motelu i jak zwykle mieć w sobie pół butelki whiskey Jim Beam. I może Eleanor właśnie tam się do niego dodzwoniła.

– Lekarz wie, że ma się od niej trzymać z daleka.

– Ale mógł nie posłuchać. Lekarzom różne dziwne pomysły przychodzą do głowy. Może był za bardzo pijany, żeby prowadzić. Bo zwykle jest. Więc poprosił kogoś, żeby go zawiózł. Bo tak się przejął.

– Jakiego kogoś?

– Kogoś w motelu.

– Nikt by się nie odważył.

– Nikt z miejscowych, zgoda. Nikt, kto wie, że nie należy tego robić. Ale ktoś obcy mógł się zgodzić. W końcu to motel. Po to są motele. Dla przyjezdnych, którzy zatrzymują się na noc.

– No dobra, i co dalej?

– Może temu obcemu się nie spodobało to, co zobaczył w twoim domu, i postanowił cię poszukać.

– Eleanor by mnie wydała?

– Musiała to zrobić. Bo skąd inaczej by wiedział, gdzie cię szukać? Jeśli to obcy, to nie zna okolicy.

– Co on ci dokładnie powiedział? – drażył Jacob Duncan.

– Pieprzył coś o doradcach małżeńskich.

Jonas Duncan pokiwał głową.

– No proszę. Tak to musiało wyglądać. Mamy do czynienia z przyjezdnym, który uniósł się moralnym oburzeniem. Z gościem motelu.

– Chcę, żeby tego gorzko pożałował – prychnął ze złością Seth Duncan.

– Pożałuje, synu – zapewnił go ojciec. – Spuścimy mu zdrowy wpierdol i pojedzie w swoją drogę. Kogo tam mamy?

– W każdym razie nie Bretta.

– Ale jest jeszcze paru jego kolegów – zauważył Jonas.

– Wybierz dwóch i przyślij ich do mnie na instruktaż.

Po kąpieli Reacher włożył wszystkie ciuchy, łącznie z kurtką, bo w pokoju było zimno, potem zgasił światło, usiadł w wanienkowym foteliku i zaczął czekać. Nie sądził, by Seth Duncan zdecydował się zawiadomić policję. Posterunek znajdował się w siedzibie władz okręgu sto kilometrów stąd. Tu nie było nikogo i z nikim nie trzeba było się liczyć. Zresztą zgłoszenie na policję musiałyby zawierać opis wydarzeń, a od tego był już tylko jeden krok do przyznania się, że pobił żonę. Żaden zadufany facet nie zdobyłby się na coś takiego.

Ale zadufany facet, który właśnie stracił ochroniarza, może mieć pod ręką innych ludzi – jednego lub kilku – na zastępstwo. I choć funkcja ochroniarza z definicji polega na chronieniu przed zagrożeniami, a nie na ich stwarzaniu, może uda mu się namówić dwóch czy trzech zastępców, by tym razem odstępili od reguły, zwłaszcza jeśli są zaprzyjaźnieni z Brettem. A Reacher wiedział, że wyśledzenie go nie będzie trudne. Motel Apollo Inn jest przypuszczalnie jedynym miejscem noclegowym na obszarze pięciuset kilometrów kwadratowych i jeśli alkoholowe zwyczaje doktora są powszechnie znane wśród miejscowych, odtworzenie łańcucha wydarzeń nie będzie trudne. Telefoniczne wezwanie, pomoc lekarska, interwencja.

I dlatego Reacher ubrał się, zasznurował buty, usiadł w ciemnościach i zaczął nasłuchiwać chrzęstu opon na żwirze.

•••

Blisko siedemset pięćdziesiąt kilometrów na północ od miejsca, gdzie siedział Reacher, kończą się Stany Zjednoczone i zaczyna Kanada. Najdłuższa na świecie granica lądowa biegnie wzdłuż czterdziestego dziewiątego równoleżnika, przecinając pasma górskie, drogi, rzeki i strumienie, a także miasta, pola i lasy. Jej zachodni odcinek o długości blisko trzech tysięcy kilometrów jest idealnie prostą linią, która ciągnie się od stanu Waszyngton po Minnesotę i której ani kawałek nie jest chroniony w sensie militarnym, sama zaś granica na długich odcinkach nie ma żadnych oznakowań ani szlabanów granicznych, jest jednak strzeżona pilniej, niż się ludziom wydaje. Między stanem Waszyngton a Minnesotą znajdują się pięćdziesiąt cztery oficjalne przejścia graniczne, w tym siedemnaście całodobowych, trzydzieści sześć dziennych i jedno całkowicie pozbawione obsługi, ale wyposażone w linie telefoniczne łączące je z urzędami celnymi. Poza przejściami granica jest wybiórczo pilnowana przez niewiadomą liczbę przeszkolonych strażników, a co bardziej odludne fragmenty są wyposażone w kamery monitorujące. Dodatkowo na długich odcinkach zastosowano ukryte pod ziemią czujniki ruchu. Dzięki tym zabezpieczeniom władze obu państw orientują się niezłe, co się dzieje na dzielącej je granicy.

„Orientują się niezłe” nie znaczy jednak, że wiedzą wszystko. W stanie Montana, na wschód od Gór Skalistych i poniżej linii lasu, przez setki kilometrów ciągną się tereny przechodzące od poszarpanych szczytów w łagodne równiny, w większości porośnięte drzewami iglastymi, których gęstwinę przerywają tylko miejscami iskrzące się w słońcu strumienie, jeziora i piaszczyste, pokryte igliwem ścieżki. Jedna z takich ścieżek całymi kilometrami wije się przez gąszcz drzew, by ostatecznie dobić do równie krętej, ale szerszej drogi szutrowej, ta zaś wiele kilometrów dalej, na północ od niczym niewyróżniającego się miasteczka Hogg Parish, zaczyna się trudno dostrzegalnym skrętem w lewo z lokalnej szosy.

Szary furgon dostawczy skręcił w lewo i potoczył się wolno, chrzęszcząc oponami na szutrze, podskakując w koleinach i tańcząc na boki na wyraźnej wypukłości drogi. Resory pojękiwały, a reflektory nie rozjaśniały ciemności, bo paliły się tylko światła pozycyjne. Pojazd zagłębiał się coraz bardziej w zdającą się nie mieć końca zimną ciemność, potem raptownie skręcił w przecinkę przeciwpożarową i jego koła zaczęły się toczyć po ubitej ziemi. Z lewej i prawej ciągnęły się zmrożone pnie drzew, nad przecinką widać było niewielki skrawek nocnego nieba z mnóstwem gwiazd, ale bez księżyca. Furgon jechał jak po sznurku, prowadzony przez sygnał



GPS z satelitów komunikacyjnych tysiące kilometrów wyżej, który wyznaczał mu drogę i granice bezpieczeństwa.

Leśna przecinka ciągnęła się przez wiele kilometrów, by na koniec zamienić się w piaszczysty trakt. Furgon zwolnił do szybkości chodu i wpasował się w koleiny, które zostały na trakcie po licznych wcześniejszych przejazdach. Podążał wyznaczonym przez nie torem, który wił się to w prawo, to w lewo w takiej gęstwinie, że sterzące kikuty gałęzi co chwila ocierały się o boki skrzyni ładunkowej. Jechał tak przez ponad godzinę, by ostatecznie dotrzeć do dawno wybranego miejsca, trzy kilometry na południe od granicy. Nikt nie znał dokładnego rozmieszczenia czujników ruchu, ale wszyscy uznawali, że należy się ich spodziewać w pasie o szerokości mniej więcej po półtora kilometra z obu stron granicy. Coś na kształt pola minowego. Na wszelki wypadek dodano jeszcze następne półtora kilometra i ogołocoło polanę z krzaków, tak by można było zawrócić na niej samochodem.

Furgon wjechał na polanę, zawrócił i ustawił się przodem na południe, w pozycji gotowej do odjazdu. Silnik został wyłączony, światła pozycyjne zgaszone.

Zaczęło się czekanie.

•••

Reacher już od godziny siedział w ciemnościach w foteliku w kształcie wanienki, obmyślając plany na następny dzień. Musi ruszyć na południe, dotrzeć do autostrady międzystanowej i pojechać nią na wschód. Złapanie okazji na tej szosie nie będzie problemem. Przejechał w ten sposób większość autostrad w kraju. Było na nich dość poboczy, przydrożnych parkingów i pojazdów, których kierowcy – zarówno prywatni, jak i zawodowi – czuli się często samotni i chętnie zabierali przygodnych pasażerów. Problemem będzie dostanie się do międzystanowej, bo miał do pokonania odcinek biegnący przez zupełne pustkowie. Od chwili gdy podwożący go kierowca wysadził go na tym skrzyżowaniu, ani razu nie słyszał innego pojazdu. Noc jest zawsze gorsza pod tym względem od dnia, ale znajdować się w pobliżu skrzyżowania dróg i nie słyszeć żadnych pojazdów było w Ameryce czymś niespotykanym. Właściwie w ogóle panowała głucha cisza i nie było też słyszeć ani wiatru, ani nocnych odgłosów przyrody, mimo iż uważnie nasłuchiwał wszelkich dźwięków, zwłaszcza chrzęstu żwiru pod kołami. Zupełnie jakby nagle ogłuchł. Na wszelki wypadek uniósł rękę i pstryknął palcami przy uchu. Nie ogłuchł. Ale nic ponadto. Wstał, by skorzystać z łazienki, i wrócił na miejsce.

I wtedy coś usłyszał.

Nie przejeżdżający samochód, nie szum wiatru, nie nocnego ptaka.

Ani nie chrzęst opon na żwirze.

Usłyszał kroki.

Kroki na żwirze. Jedna para nóg. Ktoś nadchodził, stawiając lekkie, niepewne kroki. Reacher wlepił wzrok w okno i dojrzał przesuwający się za nim cień. Niewysoki i smukły, z głową wciśniętą w kołnierz płaszcza.

Kobieta.

Rozległo się pukanie do drzwi, ciche i niepewne. Mała nerwowa dłoń w rękawiczce. Być może przynęta. Nietrudno wpaść na pomysł, żeby przodem wysłać kogoś niebudzącego strachu i skłonić cel ataku do otwarcia drzwi, wywołując fałszywe poczucie bezpieczeństwa. To oczywiste, że taka „przynęta” byłaby niepewna i zdenerwowana.

Reacher po cichu przemknął do łazienki, otworzył okno, wyjął siatkę i wrzucił do wanny. Potem wtulił głowę w ramiona i wygramolił się na zewnątrz, przenosząc nogi jak nożyce nad parapetem i zsuwając się na żwir. Stał na srebrzystej listwie ograniczającej wyżwirowaną ścieżkę i po cichu po niej ruszył, stawiając stopy jak na linie. Obszedł swój okrągły domek i zaszedł kobietę od tyłu.

Stała przed drzwiami sama.

Nie widać też było żadnych samochodów na drodze ani na parkingu, nikt nie stał rozplaszczony na ścianie domku przy drzwiach, nikt nie kuczał pod jego oknem. Tylko samotna kobieta przed drzwiami. Wyglądała na zmarzniętą. Miała na sobie wełniany płaszcz i szal i była bez nakrycia głowy. Miała około czterdziestki, była drobnej budowy i wyglądała na zdenerwowaną. Uniosła rękę i znów zapukała.

– Tu jestem – powiedział Reacher.

Gwałtownie sapnęła, odwróciła się i położyła dłoń na piersi. Jej usta ułożyły się w pełne zdumienia O.

– Przykro mi, jeśli panią wystraszyłem, ale nie spodziewałem się żadnych gości.

– Może należało – mruknęła.

– No cóż, jeśli nawet, to nie pani.

– Możemy wejść do środka?

– Kim pani jest?

– Przepraszam. Jestem żoną lekarza.

– Miło mi panią poznać – powiedział Reacher.

– Możemy wejść do środka? – powtórzyła.

Reacher wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Żona lekarza weszła pierwsza, za nią Reacher, który zaryglował drzwi od środka. Przeszedł przez pokój i zamknął też drzwi do łazienki, by powstrzymać strumień zimnego nocnego powietrza wlatującego przez otwarte okno. Odwrócił się i zobaczył, że kobieta stoi niepewnie na środku pokoju. Wskazał ręką fotelik i rzucił:

– Proszę, niech pani siada.

Usiadła, nawet nie rozpinając płaszcza. Widać było, że jest spięta. Gdyby miała torebkę, na pewno ułożyłaby ją w geście obronnym na kolanach.

– Przeszłam pieszo całą drogę z domu – powiedziała.

– Przyszła pani po samochód? Trzeba to było zostawić mężowi na rano. Tak się z nim umówiłem.

– Jest zbyt pijany, żeby prowadzić.

– Ale chyba do rana wytrzeźwieje.

– Rano może być za późno. Musi pan stąd uciekać.

Natychmiast. Grozi panu niebezpieczeństwo.

– Tak pani sądzi?

– Mąż powiedział, że wybiera się pan na południe do międzystanowej. Zawiozę pana.

– Teraz? To chyba ze sto pięćdziesiąt kilometrów.

– Sto dziewięćdziesiąt.  
– Jest środek nocy.  
– Tu jest dla pana niebezpiecznie. Mąż mi opowiedział, co się wydarzyło. Naraził się pan Duncanom. Wtrąciliście się w ich sprawy. Na pewno go za to ukarzą, ale panem też się zajmą.  
– Jacy oni?  
– Duncanowie. Jest ich czterech.  
– Jak go ukarzą?  
– Och, tego nie wiem. Ostatnim razem dostał zakaz przychodzenia tu przez miesiąc.  
– Tu? Do motelu?  
– Ten bar to jego ulubione miejsce.  
– Jak mogli mu zakazać?  
– Powiedzieli Vincentowi, żeby go nie obsługiwał. Właścicielowi.  
– A dlaczego właściciel motelu robi to, co mu każą Duncanowie?  
– Mają firmę transportową. Wszystkie dostawy dla motelu przechodzą przez nich. Ma z nimi kontrakt na wyłączność. Praktycznie został do tego zmuszony. Duncanowie tak działają. Więc jeśli Vincent się nie podporządkuje, to parę dostaw się spóźni, parę zaginie, parę ulegnie uszkodzeniu. On o tym wie i wie też, że to by go zrujnowało.  
– A co mają zamiar zrobić ze mną? – zainteresował się Reacher.  
– Zatrudniają futbolistów z drużyny uniwersyteckiej. Z Cornhuskers. Okazali się dość dobrzy na stypendium sportowe, ale za słabi na NFL. Na ogół obrońcy. Rośli chłopcy.  
W stylu Bretta, pomyślał Reacher.  
– Szybko dojdą prawdy i wykombinują, jak pana znaleźć. Zresztą gdzie indziej mógłby pan być? I odwiedzą pana. Być może już tu jadą.  
– Skąd?  
– Baza Duncanów jest trzydzieści kilometrów stąd. Większość ich ludzi mieszka w sąsiedztwie bazy.  
– Ilu mają tych futbolistów?  
– Dziesięciu.  
Reacher zamilkł.  
– Mąż słyszał, jak pan mówił, że wybiera się pan do Wirginii.  
– Taki mam plan.  
– Tam pan mieszka?  
– Nie bardziej niż gdziekolwiek indziej.  
– Powinniśmy już jechać. Ma pan poważny problem.  
– Jeśli nie przyślą od razu wszystkich dziesięciu, to nie taki poważny – rzekł Reacher.  
– Jakich dziesięciu?  
– Futbolistów.  
– Powiedziałam, że jest ich dziesięciu.  
– Z jednym już się spotkałem. Jest chwilowo niedysponowany. Od wczorajszego wieczoru mają o jednego mniej.  
– Co się stało?  
– Wtrącił się między mnie i Seta Duncana.  
– Co pan zrobił Sethowi?  
– Złamałem mu nos.  
– Słodki Boże! Dlaczego?  
– A dlaczego nie?  
– O słodki, słodki Boże! Gdzie są kluczyki?  
– A co się stanie z panią Duncan?  
– Musimy stąd jechać. Natychmiast.  
– Proszę mi najpierw odpowiedzieć.  
– Panią Duncan też ukarzą. Za telefon do męża. Zakazali jej do niego dzwonić. Tak jak jemu zakazali ją leczyć.

- Jest lekarzem. Nie miał wyboru. Lekarze chyba po to składają przysięgę, nie?
- Jak się pan nazywa?
- Jack Reacher.
- Musimy jechać, panie Reacher. Natychmiast.
- Co zrobią pani Duncan?
- To nie pańska sprawa – ucięła kobieta. Trudno mu było się nie zgodzić, bo też tak uważał.

Jego sprawą było dotrzeć do Wirginii i właśnie zaoferowano mu przebycie najtrudniejszego odcinka, i to szybko i bezpłatnie. Autostrada I-80 czekała na niego dwie godziny drogi stąd, potem już tylko pobocze i załapanie się na któregoś z ostatnich nocnych kierowców lub pierwszych porannych. Może nawet uda mu się zjeść śniadanie. Może znajdzie się w pobliżu przydrożnego parkingu z knajpą Pod Niedomytą Łyzeczką. Talerz jajek na bekonie i kawa.

– Co oni jej zrobią? – powtórzył pytanie.

– Pewnie nic wielkiego.

– Jakiego typu nic wielkiego?

– Mogą jej podać koagulanty. Jeden ze stryjów Seta ma zapas środków medycznych. Albo nie pozwolą łykać tak dużo aspiryny. Żeby następnym razem nie było aż takiego krwotoku. I pewnie na miesiąc ją uziemią. To wszystko. Nic poważnego. Nic, czym musiałby się pan przejmować. Od dziesięciu lat są małżeństwem i nie trzymają jej pod kluczem. Gdyby chciała, dawno mogła go zostawić.

– Tylko że tym razem niechący przyczyniła się do złamania mężowi nosa. Będzie chciał zemścić się na niej, bo nie może na mnie.

Żona lekarza milczała. Po jej minie widać było, że argumenty Reachera zaczynają do niej trafiać. W dziwacznym okrągłym pokoju zapadła cisza. A potem Reacher usłyszał chrzęst opon na żwirze.

Reacher zerknął przez okno. W sumie cztery opony, masywne terenowe gumy z głębokim bieżnikiem, wszystkie na kołach dużej półciężarówki Forda. Pojazd miał wzmocnione zawieszenie, szperacze zamontowane na ramie na dachu, wygiętą rurę wlotu powietrza i wyciągarke przed maską. W mroku panującym w kabinie widać było dwie rosłe sylwetki z byczymi karkami i szerokimi barami. Samochód powoli przejechał wzdłuż rzędu domków i zatrzymał się pięć metrów za subaru. Reflektory nie zgasły, silnik nie przestał pracować na wolnych obrotach. Drzwi kabiny otworzyły się i wysiadło dwóch mężczyzn.

Z wyglądu byli podobni do Bretta, tylko jeszcze rośniejsi. Obaj przed trzydziestką, lekko licząc po metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i sto czterdzieści kilo każdy. Duży obwód w pasie niknął w porównaniu z potężnymi klatkami piersiowymi i masywnymi barami. Obaj mieli krótko ostrzyżone włosy, małe oczy i mięsiste twarze. Należeli do tego gatunku młodych mężczyzn, którzy zjadają po dwa obiady i nadal są głodni. Ubrani byli w czerwone klubowe bluzy futbolistów Cornhuskers, które w niebieskiej poświacie motelowych lamp wyglądały szaro.

Żona lekarza podeszła do okna i stanęła obok Reachera.

– Słodki Jezu! – jęknęła.

Reacher nic nie powiedział.

Mężczyźni zatrzasnęli za sobą drzwi auta i jak na dany znak podeszli od tyłu do paki. Weszli na nią i podeszli do skrzyni na narzędzia doczepionej na całej szerokości pleców kabiny. Unieśli wieko i jeden wyjął młotek, drugi dwustronny klucz francuski z co najmniej czterdziestopięciocentymetrową rękojeścią. Zostawili wieko otwarte, obeszli pojazd od przodu i weszli w światło reflektorów, a ich cienie stały się monstrualne. Jak na swoje rozmiary poruszali się lekko i zwinnie, jak zazwyczaj futbolisci. Zatrzymali się na moment, popatrzyli na domek i ruszyli.

W stronę subaru.

Zaatakowali samochód z taką furją, jakby coś ich opętało. Grzmocili w niego przez parę minut gdzie popadnie. Hałas był ogłuszający. Wybili wszystkie szyby – przednią, boczne i tylną – i rozbili przednie reflektory i tylne lampy. Porobili głębokie wgniecenia w masce, drzwiach, dachu, błotnikach i tylnej klapie. Wetknęli ręce do środka i potłukli wszystkie zegary na desce rozdzielczej, pogruchołali przełączniki i rozwalili radio.

Cholera, szlag trafił podwózkę, pomyślał Reacher.

– To kara dla męża – szepnęła kobieta. – Tym razem bardziej dotkliwa.

Obaj zaprzestali dzieła zniszczenia równie nagle, jak je zaczęli. Przez chwilę stali bez ruchu po obu stronach zdemolowanego samochodu, ciężko dysząc i trzymając narzędzia w opuszczonych rękach. Okruchy szkła z szyb samochodowych lśniły na żwirze, echo towarzyszące łomotowi ucichło i na parkingu zapadła cisza.

Reacher zdjął kurtkę i rzucił ją na łóżko.

Mężczyźni ruszyli w stronę domku. Reacher otworzył drzwi i wyszedł za próg. Wolał stawić im czoło na zewnątrz. Bójka stoczona w pokoju bez względu na wynik skończyłaby się demolką, a właściciel motelu miał dość zmartwień.

Futbolisci zatrzymali się trzy metry przed Reacherem, niemal stykając się ramionami i dzierżąc narzędzia: trzy metry sześciennie mięśni i kości, dwieście osiemdziesiąt kilo żywej wagi – wszystko rozgrzane w nocnym chłodziu i pałające żądzą zniszczenia.

– Zagrajmy w zgaduj-zgadulę, chłopcy – odezwał się Reacher. – Spędziliście cztery lata na uniwerku, ucząc się grać w piłkę. Ja spędziłem trzynaście lat w armii, ucząc się zabijać ludzi. Jak myślicie, jak bardzo się was boję?

Brak odpowiedzi.

– I byliście w tym tacy słabi, że nawet nie wzięli was do jakiejś drużyny. Aja byłem tak

dobry, że wciąż mnie nagradzali medalami i awansami. Więc jak bardzo wy się boicie?

– Nie bardzo – warknął futbolista z kluczem francuskim.

Błędna odpowiedź, ale nie zaskakująca. Chłopak, który w szkolnej drużynie jest na tyle dobrym obrońcą, by zasłużyć na przyjęcie z honorami do słynnej drużyny uczelnianej w Lincoln, musi mieć poczucie, że odniósł nie lada sukces. Pojawienie się choćby na moment na boisku wspaniałego Memorial Stadium zapewnia zawodnikowi reputację kogoś, kto koleguje się z najlepszymi z najlepszych. A niedostanie się do jednej z drużyn National Football League to naprawdę żaden wstyd. Linia oddzielająca sukces od niepowodzenia w świecie wielkiego sportu bywa czasem niezwykle cienka, a powody znalezienia się po jednej lub po drugiej stronie są często bardzo arbitralne. Obaj chłopcy przez blisko dwadzieścia lat swego młodego życia zaliczali się do elity. Cieszyli się sławą w najbliższym sąsiedztwie, potem w całym miasteczku, potem w okręgu, potem może nawet w całym stanie. Pławili się w popularności i byli hołubieni, a wszystkie dziewczyny były ich. I pewnie od ósmego roku życia nie dali się nikomu pokonać w bójce.

Tyle że nigdy nie brali udziału w prawdziwej bójce. Takiej, jaką staczają ludzie, którym płacą za to, by walczyli lub ginęli. Popychanie się i wymachiwanie rękami na ulicy przed szkołą albo na chodniku przed lodziarnią, albo przy ognisku na powitanie lata ma tyle wspólnego z prawdziwą bójką, co gra na jedną bramkę w parku z meczem o Superpuchar. Byli nie tylko amatorami, ale amatorami zadufanymi w sobie, którzy przywykli do tego, że sam ich wygląd i reputacja wystarczają do załatwienia sprawy. W rzeczywistym świecie nie zdążyliby nawet podnieść ręki, bo już by nie żyli.

Choćby taka sprawa: fatalny dobór narzędzi walki. Najlepsza jest zawsze broń strzelająca, drugie miejsce zajmuje kłująca, trzecie tnąca. Tępe narzędzia znajdują się na szarym końcu listy. Wymuszają spowolnienie ciosu, a ich duża bezwładność w razie chybienia jest groźna. Ale jeśli już trzeba się nimi posłużyć, jedynym liczącym się jest zamach zza głowy, tak by można przyspieszyć i wymierzyć cios jednym płynnym ruchem. A ci dwaj stali w ramię w ramię, trzymając broń w zewnętrznych rękach. To oznaczało, że będą uderzali z forhendu, a to z kolei oznaczało, że będą musieli najpierw wziąć zamach do tyłu, zatrzymać rękę i wyrzucić ją do przodu. Pierwsza faza tego cyklu posłużyła jako ostrzeżenie. Najzupełniej wystarczające. Nie będzie żadnego elementu zaskoczenia. Równie dobrze mogliby dać ogłoszenie do gazety albo wysłać telegram Western Union.

Reacher się uśmiechnął. Spędził dzieciństwo i młodość w bazach wojskowych na całym świecie, pobierając lekcje walki u zadziornych latorośli marines i szlifując umiejętności w bójkach z kipiącymi nienawiścią młodymi autochtonami na zakurzonych placach w rejonie Pacyfiku i w ciemnych zaułkach Europy. W porównaniu z tym warunki, w jakich ci dwaj dorastali w swych miasteczkach w Teksasie, Arkansas czy Nebrasce, można było uznać za cieplarniane. I gdy ich uczono biegania, skakania i chwytania, jego nauczyciele najpierw go złamali, a potem na nowo poskładali. A byli z tych, którzy potrafią skrócić komuś kark tak błyskawicznie, że ofiara dowiaduje się o tym dopiero, gdy nie może skinąć głową, bo głowa już toczy się po ulicznym bruku.

– Mamy dla ciebie wiadomość, kolego – powiedział futbolista z francuzem.

– Naprawdę? – zainteresował się Reacher.

– Właściwie to bardziej pytanie.

– Masz do wydukania jakieś trudne słowo? Może potrzebujesz więcej czasu? – Reacher zrobił krok do przodu i nieco w prawo, stając symetrycznie wobec obu i jakieś dwa metry przed nimi. Gdyby stał na szóstce tarczy zegarowej, młodzieńcy znaleźliby się na jedenastce i jedynce. Na jedenastce trzymający francuza, na jedynce ten z młotkiem.

Futbolista z francuzem ruszył pierwszy. Przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i rozpoczął krótki zwarty zamach, w rezultacie czego klucz miał się odbić od napiętych mięśni ofiary pod kątem czterdziestu stopni i umożliwiwszy w ten sposób zadanie ponownego ciosu niskim płaskim łukiem, złamać Reacherowi lewą rękę między barkiem a łokciem. Facet nie był idiotą. Całkiem zgrabnie pomyślany pierwszy ruch.

Tylko że nie udało mu się go dokończyć.

Reacher przeniósł ciężar na lewą nogę, a prawą wykonał błyskawiczny wykop tuż za

cofającym się francuzem, śmigając nią w tym samym kierunku i z tą samą szybkością, może nawet ciut szybciej. Dlatego zanim francuz zdążył znieruchomieć i rozpocząć wymach do przodu, obcas buta Reachera zetknął się z kolanem napastnika i jakby przeszył je na wylot, wbijając rzepkę głęboko w staw kolanowy i niemal ją rozrywając, co spowodowało zerwanie ścięgien, naciągnięcie więzadeł i zwichnięcie stawu, tak że noga zdecydowanie wbrew naturze mogła się teraz zgiąć do przodu. Młodzieniec zachwiał się i zaczął padać na ziemię, ale nim pokonał pierwsze pięć centymetrów w pionie i nim w jego gardle zrodziły się pierwsze tony wycia z bólu, Reacher już zdążył go wyminąć, odepchnąć ramieniem i usunąć z podręcznej pamięci. Futbolista był już tylko jednonogim nieuzbrojonym kaleką, a Reacher nigdy nie uważał jednonogich kalek za zagrożenie godne uwagi.

Jego kompanowi z młotkiem został ułamek sekundy na podjęcie decyzji. Mógł się nim zamachnąć do przodu, ale musiałby wykonać niemal pełną rotację ciała, bo Reacher znalazł się prawie za nim, a dodatkowym utrudnieniem stał się padający na twarz okaleczony kolega. Mógł również zamachnąć się do tyłu i na ślepo zaatakować miejsce za plecami, licząc, że z Bożą pomocą uda mu się trafić.

Wybrał zamach do tyłu.

Czego Reacher w zasadzie się spodziewał i na co był przygotowany. Kątem oka obserwował szarpnięcie ręki, wygięcie do tyłu nadgarstka i odgięcie łokcia. W tym momencie Reacher wparł się nogami w ziemię, wychylił do przodu i walnął nasadą dłoni w czubek łokcia faceta. Potężne uderzenie pchnęło łokieć w jedną stronę, zamach pociągnął w drugą, staw łokciowy puścił, nadgarstek za bardzo się odgiął. Młotek wypadł mu z ręki i zgięty wpół osiłek zaczął tańczyć i podskakiwać, próbując znaleźć taką pozycję, w której złamany łokieć powróci do normalnego ułożenia. Wykonał ciasny piruet w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i stanął niepewnie twarzą w twarz z Reacherem. Ten, nawet nie czekając, aż młotek dotknie ziemi, z całej siły walnął czołem w twarz oszołomionego osiłka. Cios był potężny, kość zderzyła się z kością i Reacher, nie czekając na efekt, odskoczył w stronę zdemolowanego subaru i zaplanował najbliższe półtorej sekundy.

Mężczyzna od francuza leżał na ziemi, bezradnie przetaczając się z boku na bok, oszołomiony nie tyle z bólu – bo ten prawdziwy miał dopiero nadejść – ile z przerażającej świadomości, że znane mu dotąd życie właśnie dobiegło końca. Strach, jaki być może nękał go na boisku, przed odniesieniem poważnej kontuzji w wyniku czołowego zderzenia z innym zawodnikiem, właśnie znalazł uzasadnienie i resztę życia spędzi o lasce i w usztywniających szynach, i już zawsze będzie kuśtykał, walczył z bólem, frustracją i bezrobociem. Jego kompan od młotka wciąż jeszcze stał odchylony na piętach i mrugał z niedowierzaniem, z nosa ciekła mu krew, ręka zwisała bezwładnie, mętny wzrok dowodził, że nie bardzo rozumie, co się z nim dzieje.

Wystarczy, mógłby powiedzieć ktoś żyjący w cywilizowanym świecie – w świecie filmów, telewizji, zasad fair play i przyzwoitych zachowań. Ale to nie był świat Reachera. W jego świecie nie wszczynano się bójk, ale te wszczęte brutalnie kończyło i w żadnym razie nie przegrywało. Był spadkobiercą mądrości wielu pokoleń, które zdobywały ją na podstawie własnego bolesnego doświadczenia, że najpewniejszym sposobem na przegranie walki jest uznanie, że została zakończona, gdy jeszcze tak nie jest. I dlatego podszedł do futbolisty od młotka i ryzykując dodatkowe nadwyrężenie ramion, walnął prawym sierpowym w trójkątny kawałek ciała między żebrami a wypukłością wyhodowaną na sześciopakach piwa. Precyzyjnie wymierzony i skoordynowany cios trafił prosto w splot słoneczny. Twarz chłopaka wykrzywił grymas bólu, a jego ciało bezwładnie zgięło się wpół. Reacher odczekał, aż głowa ofiary znajdzie się wystarczająco nisko, po czym wymierzył w twarz ostatecznego kopniaka. Nie szczędził przy tym siły, wykazał jednak szczątkową litość, uznając, że wybite zęby i złamana szczeka i tak są lepsze od trwałego uszkodzenia mózgu.

Potem podszedł do chłopaka od klucza francuskiego, odczekał, aż przetoczy się we właściwe położenie, i jednym kopnięciem w czoło pozbawił go przytomności. Potem schylił się, podniósł klucz i złamał nim jeden nadgarstek na raz, potem drugi na dwa, po czym zawrócił do chłopaka od młotka i zrobił to samo na trzy i cztery. Obaj zostali świadomie użyci w roli broni,

a żaden rozsądny żołnierz nie zostawia na polu walki broni, która mogłaby się jeszcze przydać wrogowi.

Na twarzy patrzącej przez okno żony lekarza malowało się przerażenie i odraza.

– No co? – mruknął Reacher, wchodząc do pokoju.



Silnik półciągarówki wciąż spokojnie pracował, reflektory nadal świeciły. Obaj futboliści leżeli w półcieniu, lekko parując. Trzy metry sześćcienne mięśni i kości, dwieście osiemdziesiąt kilo żywej wagi, tyle że już w poziomie. Ciężko będzie ich ruszyć.

– I co my, na litość boską, teraz zrobimy? – jęknęła żona lekarza.

– Z czym? – zapytał Reacher.

– To straszne, co pan zrobił.

– Dlaczego?

– Bo nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Dlaczego nie? Co się tu, u diabła, dzieje? Co to za ludzie?

– Już mówiłam. Futboliści.

– Nie ci. Mam na myśli Duncanów. Tych, którzy ich tu przysłali.

– Widzieli mnie?

– Ci dwaj? Nie sądzę.

– To dobrze. Naprawdę nie mogę być w to zamieszana.

– Dlaczego nie? Co się tu dzieje?

– To nie pańska sprawa.

– Niech im to pani powie.

– Tak strasznie się pan wściekł.

– Ja? – zdziwił się Reacher. – Wcale się nie wściekłem. Ledwo mnie to obeszło. Gdybym wściekł się naprawdę, resztki tych dwóch trzeba by splukiwać węzłem strażackim. A nam wystarczy tylko wózek widłowy.

– Co pan z nimi robi?

– Niech mi pani opowie o Duncanach.

– To miejscowa rodzina. To wszystko. Seth, jego ojciec i dwóch stryjów. Kiedyś zajmowali się rolnictwem, teraz prowadzą firmę transportową.

– Który z nich rządzi futbolistami?

– Nie wiem, kto podejmuje decyzje. Może decydują większością głosów. A może muszą osiągnąć jedynomyślność.

– Gdzie mieszkają?

– Wie pan, gdzie mieszka Seth.

– A pozostali trzej? Starsze pokolenie?

– Kawalek na południe stąd. Trzy domy obok siebie na pustkowiu. Każdy w jednym z nich.

– Widziałem je. Pani mąż im się przyglądał.

– A patrzył pan na jego dłonie?

– Dlaczego?

– Bo pewnie trzymał kciuki zaciśnięte na szczęście. To jak gwizdanie koło cmentarza.

– Dlaczego? Kim oni, u diabła, są?

– Gniazdem szerszeni. A pan wsadził w nie kij i teraz sobie pojedzie.

– Co miałem zrobić? Dać im się skatować?

– My tak robimy. Biją nas, a my grzecznie się uśmiechamy i spuszczaemy wzrok. Żyjemy z tym, żeby przetrwać.

– O czym pani, do cholery, mówi?

Kobieta pokręciła głową.

– To nic takiego – powiedziała po chwili. – Nic, z czym nie dałoby się żyć. Tak sobie przynajmniej wmawiamy. Jeśli się wrzuci żabę do wrzątku, to od razu wyskoczy. Ale gdy się ją włoży do zimnej wody i zacznie podgrzewać, to nawet nie zauważy, kiedy się ugotuje.

– I tak jest z wami?

– Tak. Tak właśnie jest z nami.  
– Proszę mi podać jakieś szczegóły.  
– Nie – zachnęła się. – Nie, nie i nie. Nie usłyszysz pan ode mnie złego słowa o Duncanach. I chcę, żeby to było dla wszystkich jasne. Jestem tutejsza i znam ich od urodzenia. To przyzwoita rodzina. Nie można im nic zarzucić. Absolutnie nic.

• • •

Żona lekarza przez dłuższą chwilę stała przy zdemolowanym subaru, po czym ruszyła pieszo w drogę powrotną do domu. Reacher zaproponował, że ją odwiezie półciężarówką futbolistów, ale nie chciała o tym słyszeć. Patrzył za nią, aż wessały ją ciemności i zniknęła z pola widzenia. Dopiero wtedy przeniósł wzrok na dwóch osiłków rozciągniętych na żwirze pod jego drzwiami. Nie miał szans na udźwignięcie nieprzytomnego mężczyzny o wadze stu czterdziestu kilo. Sto czterdzieści kilo na sztandze może tak, ale sto czterdzieści kilogramów bezwładnego wora mięśni i kości wielkości lodówki – nie ma mowy.

Otworzył drzwi kabiny i wsiadł. Wewnątrz unosił się zapach sosnowego odświeżacza powietrza i gorącego oleju. Wrzucił bieg i podjechał kawałek do przodu, stanął i cofnął tak, by tylna kłapa znalazła się na wprost obu leżących. Wysiadł, obszedł samochód od przodu i przyjrzał się wyciągarce na ramie przed maską. Na bęben o napędzie elektrycznym nawinięty był zwój cienkiej stalowej linki zakończonej karabinkiem. Za pomocą zapadki można było bęben zablokować, do sterowania napędem służyły przyciski na obudowie.

Reacher zwolnił zapadkę i zaczął rozwijać linkę: trzy metry, sześć, dziesięć. Przeciągnął ją nad maską i kabiną, między dwoma szperaczami na dachu, wzdłuż paki i po ziemi w pobliżu leżących. Otworzył kłapę i wpiął karabinek w pasek pierwszego z brzegu. Obszedł samochód od przodu i wcisnął przycisk zwijania.

Silnik zaczął pracować i bęben zwijał linkę, najpierw wybierając luz. Potem linka się naprężyła, zadrgała jak cięciwa łuku i zaczęła złobić rowek w przedniej krawędzi maski i ramie szperaczy na dachu. Bęben zwolnił i rżąc z wysiłku, pokonywał opór. Ciężarówka aż przysiadła na resorach. Reacher obszedł ją od tyłu i stwierdził, że pierwszy z chłopaków jest ciągnięty po żwirze brzuchem do dołu, a jego ręce i nogi wloką się bezwładnie. Został tak dociągnięty do opuszczonej kłapy, potem linka zazgrzytała na krawędzi i zaczęła ciągnąć w górę. Pas na brzuchu nieszczęśnika naprężył się i ciało zawisło w powietrzu, obracając się powoli z rękami i nogami zwieszonymi w dół. Reacher odczekał chwilę, po czym popychając, obracając i nakierowując ciało chłopaka, doprowadził do tego, że przewinęło się przez krawędź i poszorowało po podłodze skrzyni ładunkowej. Reacher wrócił na przód pojazdu, odczekał chwilę i unieruchomił wyciągarkę. Wrócił na tył, odczepił karabinek od paska i powtórzył całą operację z drugim nieszczęśnikiem, postępując jak weterynarz wezwany do dwóch martwych jałówek.

• • •

Reacher przejechał osiem kilometrów na południe, zwolnił i zatrzymał się tuż przed odchodzącym w prawo podjazdem do trzech stojących razem domów. Zostały pomalowane na biało pewnie jeszcze za czasów poprzedniego pokolenia mieszkańców, ale w świetle księżycy wciąż blade połyskiwały. Wszystkie były solidnie zbudowanymi rozłożystymi budynkami, stojącymi blisko siebie na krótkim łuku. Nie było trawnika ani jakichkolwiek ozdobnych krzewów – widać było tylko wysypany żwirem podjazd, trochę chwastów i trzy zaparkowane samochody, a dalej solidne ogrodzenie na stalowych słupkach i niknące za nim w ciemnościach puste pole.

W jednym z okien na parterze domu po prawej paliło się światło, ale poza nim brak było jakichkolwiek oznak życia.

Reacher podjechał kawałek dalej i wjechał tyłem w podjazd. Pod oponami zachrząścił żwir, dość hałaśliwie anonsując jego wizytę. Przejechał w ten sposób około pięćdziesięciu metrów, mniej więcej do połowy podjazdu. Zatrzymał się, wysiadł i otworzył tylną kłapę. Wdrapał się na skrzynię, chwycił pierwszego z leżących za pasek i kołnierz i szarpnąwszy w górę, najpierw odciągnął, a potem dotoczył do krawędzi paki. Na koniec wbił podeszwę buta w biodro nieprzytomnego

i pchnął. Mężczyzna runął z wysokości metra na bok, przekręcił się i znieruchomiał na wznak.

Zwrot do nadawcy.

Reacher zawrócił po drugiego osiłka i wlokąc go i tocząc, zepchnął ze skrzyni na rozciągnięte ciało kolegi. Potem zamknął klapę, zeskokczył na ziemię, usiadł za kierownicą i szybko odjechał.

• • •

Czterej Duncanowie wciąż jeszcze siedzieli przy stole w kuchni Jaspera. Nie było to zaplanowane wcześniej spotkanie, ale zawsze mieli długą listę spraw do omówienia i teraz korzystali z okazji. Powodem ich największego niepokoju było rosnące opóźnienie na granicy kanadyjskiej.

– Nasz przyjaciel z południa bardzo ciśnie – powiedział Jacob.

– Nie da się kontrolować spraw, które są poza naszą kontrolą – burknął Jonas.

– Powiedz to jemu.

– Dostanie swoją dostawę.

– Kiedy?

– Kiedyś.

– Zapłacił z góry.

– Zawsze tak robi.

– Kupę forsy.

– Zawsze jest kupa.

– Ale tym razem się niepokoi. Oczekuje od nas działania. No i jeszcze coś. Coś bardzo dziwnego. Zadzwoił do mnie i rozmawiał tak, jakby nawiązywał do wcześniejszej rozmowy.

– Co?

– Na pewno był zdenerwowany. Ale też trochę agresywny, jakbyśmy nie traktowali go poważnie. Jakby dzwonił do nas wcześniej, a my to olaliśmy. Jakbyśmy zignorowali jego wcześniejsze interwencje. Czuję się trochę tak, jakby on był na trzeciej stronie, a ja dopiero na pierwszej.

– Odbija mu.

– Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że któryś z nas wcześniej z nim rozmawiał.

– Ja na pewno nie – zachnął się Jonas Duncan.

– Ani ja – dodał Jasper Duncan.

– Na pewno?

– Oczywiście.

– Bo właściwie nie ma innego wytłumaczenia. A pamiętajcie, z nim nie ma żartów. To bardzo niemiły gość.

Bracia Jacoba wzruszyli ramionami. Dwaj mężczyźni po sześćdziesiątce, sękaci, żyłaści i sterani życiem.

– Na mnie nie patrz – burknął Jonas.

– Ani na mnie – powtórzył Jasper.

Jedynym, który dotąd nie powiedział ani słowa, był Seth Duncan. Syn Jacoba.

– Coś przed nami ukrywasz, chłopcze? – spytał jego ojciec.

Seth popatrzył na stół, potem niepewnie spojrział w górę znad wielkiej aluminiowej klamry na twarzy. Jego ojciec i dwaj stryjowie nie spuszczały z niego wzroku.

– To nie ja złamałem dziś nos Eleanor – wymamrotał.

Jasper Duncan wyjął z kuchennej szafki napoczętą butelkę burbona Knob Creek i wetknął trzy sękaty palce i gruby kciuk w cztery wyszczerbione szklanki. Postawił wszystko na kuchennym stole, odkorkował butelkę i nalawszy cztery solidne porcje, przesunął szklanki po porysowanym blacie. Jednoznaczny, dobrze przećwiczony gest. Usiadł na swoim miejscu, wszyscy czterej unieśli szklanki i upili po łyku, po czym szklanki stuknęły ponownie o blat stołu. Cicha seria czterech stuknięć w nocnej ciszy.

– Od początku, synu – powiedział Jacob Duncan.

– Zajmuję się tym – burknął Seth Duncan.

– Nie najlepiej, jak widać.

– To mój klient.

Jacob pokręcił głową.

– Ty go nam naraileś, ale jesteśmy rodziną. Wszystko robimy razem, nic osobno. Nie prowadzimy interesów na boku.

– Traciliśmy pieniądze.

– Nie musisz wracać do starych spraw. Znalazłeś klienta gotowego płacić więcej za ten sam towar i niewątpliwie to doceniamy. Ale dodatkowa korzyść niesie z sobą dodatkowe ryzyko. Zawsze jest coś za coś. Darmowe obiady nie istnieją.

Więc co się stało?

– Mamy tydzień opóźnienia.

– Nie mamy. Nigdy nie podajemy konkretnych terminów.

Seth Duncan milczał.

– Co? Podałeś termin dostawy? – zachnął się Jacob.

Seth pokiwał głową.

– Głupio zrobiłeś, synu. Nigdy nie określamy terminów. Sam wiesz, że nie możemy sobie na to pozwolić. Jest sto spraw poza naszą kontrolą. Choćby pogoda.

– Oparłem się na analizie najgorszych okoliczności.

– Za dużo kombinujesz. Zawsze może się zdarzyć coś gorszego od najgorszego. Tego możesz być pewny. I co się stało?

– Odwiedzili mnie dwaj faceci. U mnie w domu. Dwa dni temu. Jego mięśniacy.

– Gdzie był wtedy Brett?

– Musiałem go uprzedzić, że się ich spodziewam.

– A tak było?

– Tak jakby.

– Dlaczego nic nam nie powiedziałeś?

– Bo to ja się tym zajmuję.

– Nie najlepiej, synu, jak widać. I co zrobili?

– Powiedzieli, że przyszli przekazać wiadomość od szefa. Wyraży niezadowolenia.

Powiedziałem, że rozumiem. Wyjaśniłem. Przeprosiłem. A oni powiedzieli, że to im nie wystarczy. Że kazano im zostawić po sobie ślad. Powiedziałem, że nie mogą tego zrobić. Że muszę być sprawny i pilnować biznesu. I wtedy zbili Eleanor. Żeby postawić na swoim.

– Tak po prostu?

– Najpierw mnie spytali. Wymogli na mnie zgodę. Na niej też. Kazali mi ją trzymać. Bili ją na zmianę. Potem ją przeprosiłem. Wiecie, co mi powiedziała? A co za różnica, czy oni teraz, czy ty później. Wiedziała, że jestem wpieniony.

– I co dalej?

– Prosiłem ich o tydzień zwłoki. Dali mi czterdzieści osiem godzin.

– Czy to znaczy, że znów się pojawili? Dziś wieczorem?

- Tak. I znów zrobili to samo.
- A kim był ten człowiek w restauracji? Jednym z nich?
- Nie. Już wam mówiłem, nigdy wcześniej go nie widziałem.
- Jakiś przypadkowy przejezdny. – Jonas Duncan pokiwał głową. – Tak jak myśleliśmy.

Dowodzą tego jego słowa. Obcy, który się wtrącił w nie swoje sprawy.

- Ale przynajmniej jego mamy z głowy – parsknął Jacob.

W tym momencie usłyszeli za oknem jakiś szmer. Chrząst opon na żwirze. Samochód na ich podjeździe. Jechał wolno, cicho rzeżąc na niskim biegu, zatrzymał się w połowie podjazdu. Silnika nie zgaszono. Przez chwilę nic się nie działo, potem głucho uderzenie i towarzyszące mu jakby westchnienie, i znów cisza, i kolejne uderzenie. Następnie silnik zawarczał głośniejsze, usłyszeli szybką zmianę biegów i znów zapadła cisza.

• • •

Pierwszy wyskoczył z domu Jonas Duncan. W świetle księżycy w odległości pięćdziesięciu metrów dojrzał dwa niewyraźne kształty. Z dwudziestu je rozpoznał, z pięciu dostrzegł, w jakim są stanie.

- Nie mamy go z głowy – mruknął. – Niezupełnie. Jeszcze nie.
  - Co to, u diabła, za skurwiel? – prychnął Jacob Duncan.
- Seth Duncan i jego stryj Jasper nic nie powiedzieli.

• • •

Reacher zaparkował półciężarówkę obok zdemolowanego subaru i spostrzegł, że w drzwiach jego domku stoi pan Vincent, właściciel motelu. W tym świetle jego czupryna sprawiała wrażenie czarnej.

- Wymienia pan zamek? – spytał Reacher.
- Mam nadzieję, że nie będę musiał.
- Tylko co?
- Tylko nie może pan tu zostać.
- Zapłaciłem trzydzieści dolarów.
- Zwrócę je panu oczywiście.
- Nie w tym rzecz. Umowa to umowa. Niczego panu nie zniszczyłem.

Vincent milczał.

- Już wiedzą, że tu jestem – domyślił się Reacher. – Bo gdzie indziej mógłbym być?
- Przedtem nie było problemu.
- Kiedy przedtem?
- Póki nie zapowiedzieli, że nie może pan tu zostać. Jeśli się o czymś nie wie, to nie przestępstwo. Ale teraz już nie mogę ich zignorować. Nie po tym, jak mnie uprzedzili.

- Kiedy pana uprzedzili?
- Dwie minuty temu. Telefonicznie.
- Zawsze pan robi to, co panu każą?

Vincent nie odpowiedział.

- Pewnie głupio pytam – mruknął Reacher.
- Straciłbym wszystko, czego się dorobiłem. A przede mną moja rodzina. Całe lata wytężonej pracy.

- Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku? – rzekł Reacher.
- Skąd pan wie?
- Po prostu zgaduję. Lądowanie na Księżycu i cała reszta. Program „Apollo”.
- Pamięta pan tamte czasy?
- Jak przez mgłę.
- Było cudownie. Tyle się wtedy działo. Nie wiem, co się później porobiło, ale wtedy to naprawdę wyglądało na początek nowej ery.
- I tak było. Tyle że nie takiej, jakiej się pan spodziewał.

- Przykro mi, że muszę pana wyprosić.
- Zaproponuje mi pan podwiezienie do autostrady międzystanowej?
- Tego też nie mogę zrobić. Nie wolno nam pomagać panu w jakikolwiek sposób.
- Nam?
- Nam mieszkańcom. Wszystkich uprzedzają.
- No cóż, przynajmniej mam samochód – powiedział Reacher. – Sam się odwiozę.
- Niech pan tego nie robi. Oskarżą pana o kradzież. Naślą na pana policję. Nie ujedzie pan nawet pół drogi.
- Policja też jest na rozkazy Duncanów?
- Nie, właściwie nie. Ale kradzież to kradzież, nie?
- Chcą mnie tu przytrzymać?
- Teraz już tak. Rozpoczął pan wojnę. A oni chcą ją dokończyć.

Reacher stał na zimnie przed domkiem i się rozglądał. Tyle że właściwie nie było na co patrzeć. Niebieska neonowa poświata z trudem sięgała zdemolowanego subaru i tuż za nim rozpływała się w ciemnościach. Na niebie świecił księżyc i miliard zimnych gwiazd.

– Zostało panu jeszcze trochę kawy? – spytał Vincenta.

– Nie wolno mi pana obsługiwać.

– Nie wydam pana.

– Mogą nas obserwować.

– Akurat teraz wiozą dwóch swoich do szpitala.

– Nie wszyscy.

– To ostatnie miejsce, do którego zajrzą. Kazali panu mnie wyrzucić. Uznają, że ich pan posłuchał.

– No nie wiem.

– Ubijmy interes – powiedział Reacher. – Wyjadę, żeby oszczędzić panu kłopotów. Może pan zatrzymać te trzydzieści dolarów, bo to nie pańska wina. W zamian za to da mi pan filiżankę kawy i odpowie na kilka pytań.

• • •

W salonie panował półmrok, paliło się tylko jedno światło za barem. Wszystkie nastrojowe róże i czerwienie zostały zgaszone, bar oświetlała pojedyncza, świecąca jasnym zielonkawym światłem jarzeniówka. Muzyka była wyłączona, jarzeniówka wyraźnie migotała i głośno bzycała, poza tym i szumem powietrza w systemie grzewczym w salonie panowała cisza. Vincent nalał wody do zbiornika ekspresu i z puszki wielkości beczki nasypał mielonej kawy do papierowego filtra wielkości kapelusza. Włączył ekspres i po chwili Reacher usłyszał pyrknięcie i syk wody, i do dzbanka zaczął skapywać cenny brązowy płyn.

– Zaczniemy od początku – zagaił.

– Początek to bardzo stare dzieje.

– Zwykle tak bywa z początkami.

– To stara tutejsza rodzina.

– To też się zdarza.

– Pierwszym znanym mi osobiście był stary Duncan. Był farmerem i kontynuował długą rodzinną tradycję pracy na roli. Pewnie pierwszy z rodu trafił tu w ramach nadań ziemi, może po wojnie secesyjnej. Uprawiali kukurydzę i fasolę i wciąż powiększali swoje włości. Wszystko odziedziczył stary Duncan. Miał trzech synów: Jacoba, Jasperra i Jonasa. Wszyscy wiedzieli, że nienawidzą rolnictwa, jednak do śmierci staro utrzymywali gospodarstwo w należytym porządku. Nie chcieli mu łamać serca. Ale potem wszystko sprzedali i zajęli się transportem. Z tym jest dużo mniej pracy. Podzielili ziemię i rozprzedali wśród sąsiadów. Wszyscy uznali to za rozsądne posunięcie. Ogromne włości z czasów koni i mułów w czasach traktorów i nowoczesnej gospodarki nie były już takie wielkie. Cena ziemi była wysoka, ale bracia starali się uatrakcyjnić ofertę. Jeśli nabywca zobowiązywał się korzystać z ich transportu do zwózki plonów, dawali duże upusty. I to zdaniem wszystkich też brzmiało rozsądnie. Każdy miał to, na czym mu zależało, i wszyscy byli zadowoleni.

– I co się stało?

– Zmiany postępowały stopniowo. Popadli w konflikt z jednym z sąsiadów. To stare dzieje, chyba ze dwadzieścia pięć lat temu. Ale zrobiło się nieprzyjemnie. Konflikt ciągnął się przez całe lato i po żniwach nie było komu zwieźć jego plonów. Duncanowie odmówili, cały zbiór zgnił na polu i właściciel nie zarobił tamtego roku ani grosza.

– Nie mógł poszukać kogoś innego, kto by mu to zwiózł?

– Wtedy Duncanowie rządzą już w całym okręgu. Nikomu nie opłacało sięjechać taki kawał drogi po zbiory z jednego pola.

– A ten sąsiad nie mógł sam tego zwieźć?

– Wszyscy farmerzy posprzedawali swoje ciężarówki. Uznali, że nie są potrzebne, bo mieli pozawierane umowy, zresztą potrzebowali gotówki na spłatę pożyczki.

– Mógł coś wynająć. Tylko na ten jeden raz.

– Nie wyjechałby nawet za bramę. Klauzule wpisane drobnym drukiem do umowy przewidywały, że tylko ciężarówkom Duncanów wolno wywozić plony z farmy. Nie było sposobu, żeby to podważyć. Ani na drodze sądowej, ani tym bardziej polubownie, bo w tamtym czasie pojawili się już futboliści. Pierwszy nabór. Teraz to już są starsi panowie.

– A więc wszystko kontrolowali – zauważył Reacher.

Vincent pokiwał głową.

– To proste. Bo można pracować przez cały rok, ale gdy nadchodzi pora żniw, plony trzeba zwieźć. W przeciwnym razie można równie dobrze siedzieć na tyłku i nic nie robić. Farmerzy żyją od żniw do żniw. Nie mogą sobie pozwolić na utratę całego zbioru. Duncanowie znaleźli idealne narzędzie nacisku. Czy stało się to samo z siebie, czy tak to zaplanowali, tego nie wiem. Ale gdy tylko zorientowali się, czym dysponują, zaczęli to wykorzystywać na całego.

– W jaki sposób?

– Nic szczególnego. Ludzie płacą im troszkę więcej i nie podskakują. Tylko tyle.

– Pan też?

Vincent znów pokiwał głową.

– Dziesięć lat temu musiałem przeprowadzić drobny remont. Duncanowie obiecali pożyczyć mi pieniądze bez odsetek, o ile podpiszę z nimi umowę na wyłączność dostaw.

– I wciąż pan ich spłaca?

– Tak, wciąż ich spłacamy.

– Dlaczego siedzicie cicho i nic w tej sprawie nie robicie?

– Chciałby pan rewolucji? Rewolucji tu nie będzie. Ludzie muszą jeść. A Duncanowie są sprytni. Nie ma konkretnej rzeczy, do której można by się przyczepić. Rozumie pan?

– Jak z tą żabą we wrzątku – przypomniał sobie Reacher. – Żona lekarza tak to nazwała.

– Wszyscy tak to nazywamy.

– Ale i tak w końcu się gotujesz i giniesz.

– Jeszcze nieprędko. – Vincent odwrócił się i napełnił kubek kawą. Kolejny z emblematem NASA. Przesunął go w stronę Reachera i powiedział: – Moja matka była krewną Neila Armstronga. Pierwszego człowieka na Księżycu. Dziesiątą wodą po kisielu, czy jakoś tak.

Reacher powąchał kawę i upił łyk. Była doskonała. Świeża, gorąca i mocna.

– Nixon miał wtedy przygotowaną mowę, wiedział pan o tym? – ciągnął Vincent. – W razie gdyby nie udało im się wrócić. Gdyby nie mogli wystartować z Księżycu. Wyobraża pan to sobie? Siedzieć na Księżycu, widzieć na niebie Ziemię i patrzeć, jak kończy się zapas powietrza?

– A nie ma jakichś przepisów? Antymonopolowych, zapobiegających ograniczaniu wolnego handlu czy czegoś w tym rodzaju?

– Wynająć adwokata to to samo co ogłosić bankructwo. Ile trwa sprawa w sądzie? Dwa, trzy lata? A dwa, trzy lata bez zbiorów to samobójstwo. Pracował pan kiedyś na roli? Albo prowadził motel? Może mi pan wierzyć, że pod koniec dnia nie ma się ochoty wertować kodeksów. Ma się tylko ochotę walnąć się do łóżka.

– Zdemolowanie samochodu lekarza to nie taki znów drobiazg – zauważył Reacher.

– Zgadza się. To było gorsze niż zwykle. Wszyscy jesteśmy tym trochę poruszeni.

– Wszyscy?

– Utrzymujemy między sobą kontakt. Mamy tu coś w rodzaju drzewa telefonicznego. Od jednego pnia odchodzi wiele gałęzi. Gdy się coś dzieje, dzielimy się wiadomościami.

– I co ludzie mówią?

– Najczęściej, że pewnie lekarz na to zasłużył. Że za bardzo się wychylił.

– Bo zajął się swoją pacjentką?



– Nie była chora. Pojechał tam z interwencją.  
– Zdaje się, że wszyscy tu jesteście chorzy – burknął Reacher. – Jesteście bandą tchórzliwych mięczaków. Przecież można coś zrobić. Choćby jeden z was. Zgadzam się, to trudne, ale gdyby wszyscy się skrzyknęli i zwrócili do innej firmy transportowej, to na pewno by się podjęła. Jeśli Duncanom się to opłaca, innym też by się opłaciło.  
– Duncanowie mogliby wystąpić na drogę sądową.  
– To niech występują. Wtedy to oni będą mieli trzy lata opłat adwokackich bez przychodów. Ten sam but, tylko na innej nodze.  
– Nie sędzę, żeby ktoś inny chciał przejąć ten biznes. Firmy dzielą się terytoriami i nie wchodzą sobie w drogę.  
– Ale można spróbować.  
Vincent nie odpowiedział.  
– Wszystko jedno – westchnął Reacher. – Jest mi naprawdę obojętne, komu stąd wywiozą kolby kukurydzy albo jak, albo kiedy i czy w ogóle. Albo kwintal fasoli. Czy cetnar, czy kwartę, czy na co się tam mierzy cholerną fasolę. Bawcie się z tym sami. Albo się nie bawcie. Wasza sprawa. Ja i tak ruszam do Wirginii.  
– To nie takie proste – rzekł Vincent. – Nie tu. Ludzie od tak dawna żyją w strachu, że już nawet nie pamiętają, jak to jest się nie bać.  
Tym razem Reacher nie odpowiedział.  
– I co pan teraz zrobi? – spytał Vincent.  
– To zależy od Duncanów. Mój plan A przewiduje złapanie okazji i wyjazd stąd. Ale jeśli chcą wojny, wdrozę plan B i będę im podrzucał pod dom kolejnych futbolistów, aż żaden im nie zostanie. I wtedy wybiorę się do nich w odwiedziny. Ich wybór.  
– Niech się pan trzyma planu A i jak najszybciej stąd wyjedzie. Dobrze panu radzę.  
– Jeśli mi pan pokaże, że coś jedzie po szosie, to może posłucham.  
– Muszę pana o coś prosić.  
– O co?  
– Klucz do pokoju. Przykro mi.  
Reacher sięgnął do kieszeni i położył klucz na barze. Wielki, mosiężny z szóstką.  
– Gdzie pan spędzi noc? – spytał Vincent.  
– Lepiej, żeby pan nie wiedział. Duncanowie mogliby pana spytać. A pan by im powiedział, prawda?  
– Musiałbym.

• • •

Nie było już o czym gadać. Reacher dopił kawę, wyszedł z motelu i podszedł do ciężarówki. Linka od wyciągarki lekko wgniotła ramę szperaczy na dachu i przód pojazdu z daleka wyglądał tak, jakby miał zeza. Ale kluczyk w stacyjce dał się obrócić, silnik bez wahania zaskoczył i Reacher wyjechał z motelowego parkingu. Jeśli nie wiesz dokąd, skręcaj w lewo, brzmiało jego motto. Skręcił na południe i ruszył wolno ze zgaszonymi światłami, przyzwyczajając wzrok do nocnych ciemności i szukając drogi, która dokądś go zaprowadzi.

Ciągnąca się przed nim szosa była prostą wąską wstęgą pośród ciemnych pól po lewej i ciemnych pól po prawej stronie. Księżyc i gwiazdy świeciły na tyle jasno, że dawało się rozróżnić kształty, tyle że nie bardzo było co rozróżniać. Od czasu do czasu pojawiało się pojedyncze drzewo, ale w zasadzie otaczały go puste i płaskie jak stół pola. Po przejechaniu pięciu kilometrów Reacher dostrzegł jednak w głębi pola po prawej dwa budynki: jeden większy, drugi mały. Nawet z tej odległości i nawet po ciemku nie miał wątpliwości, że oba są stare i drewniane. Bryły nie były już idealnie prostokątne, a ściany nie stały idealnie pionowo, jakby ziemia wsysała je centymetr po centymetrze, a kąty coraz bardziej się rozjeżdżały.

Reacher zwolnił i skręcił na wiodącą ku nim polną drogę, będącą tak naprawdę równoległymi koleinami wyłobionymi w ziemi przez opony traktorów. Między koleinami rosło pasmo wysokiej trawy, o tej porze roku zmrożonej na sztywno. Samochód podskakiwał i trząsał na wybojach, strzelające spod kół kamyki ginęły w ciemnościach. Koleiny ciągnęły się prosto, potem skręciły, potem jeszcze raz, zgodnie z szachownicą pól. Podłoże było twarde jak skała i spod kół nie wzbil się nawet pyłek. Dwie stare budowle były coraz bliżej, rosnąc w oczach. Z bliska widać było, że większy budynek to stodoła, mniejszy służył za szopę. Były oddalone od siebie jakieś sto, może sto dwadzieścia metrów i oba obrośnięte chaszczami, których przyniesione przez wiatr nasiona same się tu zasiały i ukorzeniły. Zimą chaszczce stanowiły płataninę suchych badyli, ale latem zamieniały się pewnie w soczysty ukwiecony łąn.

Reacher przyjrzał się najpierw stodole. Stała otoczona resztkami spękanej masy bitumicznej, którą niegdyś pokryto podwórzec. Zbudowano ją z drewnianych belek, które kiedyś musiały być twarde jak stal, teraz jednak były częściowo zmurszałe i cała konstrukcja chyliła się ku upadkowi. Przesuwne wrota były na tyle wielkie, że mogły pomieścić nawet największe maszyny rolnicze, ale zapadnięcie się budynku spowodowało, że kółka zakleszczyły się w prowadnicach i prawy dolny narożnik wrót wbił się głęboko w ziemię. Stalowe kółko nad nim wysunęło się z górnej prowadnicy i sterczało w powietrzu.

We wrotach znajdował się niewielki otwór zakryty drzwiczkami. Drzwiczki były zamknięte, budynek nie miał okien.

Reacher zawrócił i ruszył w stronę szopy. Miała tylko trzy ściany i jej węższy koniec od strony stodoły był otwarty. Koleiny wyłobione przez traktor prowadziły do środka i ginęły w ciemnym wnętrzu. Szopa najwyraźniej służyła kiedyś, dawno temu, za podręczny magazyn. Była z grubsza dwukrotnie dłuższa i trochę szersza od jego półciężarówki.

Wręcz wymarzona.

Reacher wjechał do samego końca i zatrzymał się z maską wcisniętą pod półkę pod szczytową częścią dachu, stanowiącą coś w rodzaju stryszku. Zgasił silnik, wysiadł i zawrócił do wyjścia z szopy. Oddalił się na mniej więcej dwadzieścia metrów i odwróciwszy się, spojrzął na szopę. Stojąca w niej półciężarówka była zupełnie niewidoczna.

Uśmiechnął się.

Czas się przespać.

Ruszył przed siebie.

• • •

Szedł po śladach kół traktora. Grunt pod nogami był nierówny i twardy i poruszał się wolno. Byłoby szybciej, gdyby wszedł na porośniętą trawą wybrzuszenie między koleinami, wiedział jednak, że zmrożona trawa może pokaleczyć nogi i zostają na niej ślady. A Reacher należał do ludzi, którzy nie lubią zostawiać po sobie śladów. Dotarł do szosy, skręcił w lewo i ruszył środkiem, gdzie biegłaby biała linia, gdyby komuś przyszło do głowy ją namalować. Noc była cicha i spokojna, powietrze mroźne, gwiazdy świeciły jasno. W zasięgu wzroku nic poza nim się nie

ruszało. W oddali nie było już widać niebieskawej łuny. Światła motelu zgaszono na noc.

W niecałą godzinę pokonał pięć szybkich kilometrów i dotarł do skrzyżowania przy motelu. Zatrzymał się sto metrów przed nim i rozejrzał. Po lewej sterczały fundamenty pod centrum handlowe, za nimi po drugiej stronie drogi porzucona stacja benzynowa. Po prawej był pusty narożnik, a za skrzyżowaniem motel – teraz już tylko niewyraźnie rysujący się w ciemnościach.

I żadnych zaparkowanych samochodów.

Żadnych zaparkowanych ciężarówek.

Żadnych obserwatorów.

Żadnej zasadzki.

Reacher ruszył przed siebie. Podeszedł do motelu od tyłu, od najmniejszego z domków. Wszędzie panowała cisza. Trzymając się srebrzystej listwy i uważając, by nie wejść na żwir, dotarł do okna łazienki w domku numer sześć. Wciąż było otwarte, wyjęta siatka leżała w wannie. Usiadł na parapecie, pochylił głowę, przeniósł nogi nad parapetem i wślizgnął się do środka. Zamknął za sobą okno, wyprostował się i rozejrzał.

Ręczniki leżały tam, gdzie je rzucił po kąpiel. Widać Vincentowi nie chciało się posprzątać. Pewnie zostawił to sobie na jutro. Nie musiał się spieszyć. Nikt się nie spodziewał nagłego napływu gości. Nie w sercu Nebraski i nie w środku zimy.

Reacher przeszedł do pokoju i stwierdził, że w nim też niczego nie ruszono. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak zostawił. Nie zapalił światła i nie zaciągnął zasłon. Poluzował pościel na wszystkich krawędziach łóżka i wsunął się pod koce bez zdejmowania z siebie czegokolwiek, nawet butów. Już nieraz tak spał. Wiedział, że czasem dobrze jest być od razu gotowym do akcji. To dlatego nie zdjął butów. Ułożył się na lewym boku, przekręcił na prawy, znalazł najwygodniejszą pozycję i po chwili spał jak zabity.

• • •

Obudził się pięć godzin później ze świadomością, że się pomylił. Z pięciu funkcji motelowych Vincent pełnił tylko cztery, bo do sprzątanía pokoiów zatrudniał pokojówkę, a właściwie gospodynię motelu. Reachera obudził chrzest jej kroków na żwirze, chwilę później ujrzał ją przez okno. Wyraźnie zmierzała do jego domku, żeby posprzątać. Zrzuciwszy koce, usiadł, spuścił nogi na podłogę i szybko zamrugał. Nie czuł już tak ostrego bólu rąk i ramion, ale być może były tylko odrętwiałe od snu. Za oknem wstawał zimny mglisty poranek. Od świtu nie upłynęło dużo czasu.

Ludzie widzą to, czego się spodziewają. Gospodyni użyła uniwersalnego klucza dla obsługi, otworzyła drzwi na oścież i weszła do domku, który spodziewała się zastać pusty. Jej wzrok prześlizgnął się po sylwetce Reachera na łóżku i jak gdyby nigdy nic powędrował dalej i dopiero po dobrej sekundzie zatrzymał się i powrócił do niego. Ale nawet wtedy właściwie nie zareagowała. Nie okazała zdumienia, nie podskoczyła, nie krzyknęła. Zachowała się spokojnie jak doświadczona, znająca życie kobieta, której byle co nie zaskoczy. Miała około sześćdziesiątki, może nawet ciut więcej, była biała i przysadzista, w jej nieco pożółkłych blond włosach srebrzyły się siwe pasma. Musiała mieć sporo genów niemieckich lub skandynawskich.

– Przepraszam – powiedziała – ale pan Vincent mówił, że ten domek jest pusty.

– Bo miał być – odrzekł Reacher. – I lepiej niech nadal tak myśli. Jeśli człowiek o czymś nie wie, to nie musi się tym przejmować.

– Pan jest tym gościem, którego Duncanowie kazali wyrzucić. – Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Pewnie znów zadziało drzewo telefoniczne.

– Dziś się stąd wyniosę. Nie chcę mu przysparzać kłopotów.

– Obawiam się, że kłopotów przysporzył pan sobie. Jak chce się pan stąd wynieść?

– Złapię okazję. Stanę za skrzyżowaniem i będę machał. To dla mnie nie pierwszozna.

– I sądzi pan, że zatrzyma się pierwszy samochód, który nadjedzie?

– Może.

– Jak pan ocenia szanse?

– Niewielkie.

– Pierwszy samochód na pewno się zatrzyma. Bo pierwszy prawie na pewno będzie należał do kogoś z miejscowych i ten ktoś od razu powiadomi Duncanów. Dostaliśmy wyraźne instrukcje. Wszyscy o panu wiedzą. I dlatego następny będzie już pełen ludzi Duncanów. A także trzeci i czwarty. Napisał pan sobie poważnej biedy. Teren tu jest zupełnie płaski, jest środek zimy i nie ma gdzie się schować.

Gospodyni krzątała się po pokoju w zorganizowany, z góry zaplanowany sposób. Wykonywała rutynowe czynności, ignorując anomalie w postaci siedzącego na łóżku bezprawnego gościa. Zajrzała do łazienki, jakby chciała ocenić rozmiary czekającego ją zadania, i popchnąwszy biodrem wanienkowy fotelik, ustawiła go na właściwym miejscu, o czym świadczyły odciski w wykładzinie ślady nóżek.

– Ma pani telefon komórkowy? – spytał Reacher.

– Pewnie. I nawet trochę wolnych minut.

– Wyda mnie pani?

– Niby kogo mam wydać? Przecież domek jest pusty.

– Co leży na wschód stąd? – spytał Reacher.

– Nic, co mogłoby pana interesować. Dwa kilometry dalej droga zamienia się w szutrową i właściwie prowadzi donikąd.

– A na zachód?

– To samo.

– To po co skrzyżowanie z drogami, które prowadzą donikąd?

– Pozostałości po jakimś zwariowanym planie sprzed pięćdziesięciu lat. Przy szosie miał powstać niemal dwukilometrowy ciąg handlowy, a na wschód i zachód od niego osiedla domów mieszkalnych. Wykupiono nawet ziemię od kilku farmerów, ale na tym się praktycznie skończyło. Nawet stacja benzynowa padła, a to już jest jak pocałunek śmierci, nie?

– Ale motel wciąż działa.

– Ledwo, ledwo. Pan Vincent zarabia głównie na pojeniu doktora.

– Sądząc po tym, co wczoraj widziałem, nieźle mu to idzie.

– Bar nie może mieć tylko jednego klienta.

– Ale pani płaci pensję.

– Pan Vincent to przyzwoity człowiek. – Kobieta pokiwała głową. – Pomaga, jak może. Tak naprawdę jestem farmerką, ale zimą pracuję tu, bo potrzebuję pieniędzy. Głównie na spłatę Duncanów.

– Za wywózkę zbiorów?

– Płacę im więcej niż inni.

– Dlaczego?

– To stare dzieje. Bo nie odpuściłam.

– Czego?

– Nie wolno mi o tym rozmawiać. – Kobieta się skrzywiła. – To zakazany temat. Od tego wszystko się zaczęło. I w dodatku się myliłam. To było fałszywe pomówienie.

Reacher wstał, przeszedł do łazienki, opłukał twarz w zimnej wodzie i umył zęby. Za jego plecami kobieta wprawnymi ruchami zdjęła pościel, rzucając ją na jedną kupkę, koce na drugą.

– Wybiera się pan do Wirginii – powiedziała.

– Mój numer ubezpieczenia społecznego też pani zna?

– Doktor powiedział żonie, że jest pan wojskowym gliniarzem.

– Kiedyś byłem. Ale już nie jestem.

– To co pan robi teraz?

– Rozglądam się za śniadaniem.

– Tu nie podają śniadań.

– A gdzie można coś zjeść?

– Jakąś godzinę drogi na południe jest przydrożna knajpa. W miasteczku. Miejscowi gliniarze wpadają tam na poranną kawę i pączka.

– Wspaniale.

Gospodyni wyszła z pokoju i zdjęła z wózka świeżą pościel. Prześcieradło, poszwę, poszewki na poduszki.

- Ile Vincent pani płaci? – zapytał Reacher.
- Płacę minimalną. Tylko na tyle go stać.
- Mogę pani zapłacić więcej za przygotowanie śniadania.
- Gdzie?
- U pani.
- To ryzykowne.

– Dlaczego? Tak okropnie pani gotuje?

Po jej twarzy przemknął uśmiech.

– Daje pan duże napiwki?

– Jeśli kawa jest dobra.

– Używam ekspresu mojej matki.

– A jej kawa była dobra?

– Najlepsza na świecie.

– No to sprawa załatwiona.

– Sama nie wiem. – W głosie kobiety słychać było wahanie.

– Przecież nie przeszukają wszystkich domów po kolei. Spodziewają się mnie znaleźć gdzieś w terenie.

– A jeśli pana nie znajdą?

– To już nie pani zmartwienie. Mnie dawno tu nie będzie. Lubię zjeść dobre śniadanie, ale nie siedzę nad nim godzinami.

Kobieta zastanawiała się jeszcze przez chwilę, trzymając czystą białą poszewkę przyciśniętą do piersi niczym flagę.

– No dobra – mruknęła w końcu.

• • •

Siedemset czterdzieści kilometrów dalej na północ switało trochę później z racji szerokości geograficznej. Stojący na piaszczystej drodze i ukryty w krzakach szary furgon był cały pokryty kroplami rosy po zimnej nocy. Kierowca obudził się jeszcze w ciemnościach, wysiadł i odlał się pod drzewem, zjadł czekoladowy baton, popił zimną wodą i wsunawszy się z powrotem do śpiwora, zaczął obserwować przez szybę, jak blade światło wstającego dnia zaczyna sączyć się przez gałęzie. Wiedział, że w najlepszym razie przyjdzie mu czekać cały dzień, w gorszym dwa, ale może się zdarzyć, że potrwa to aż trzy lub cztery dni. Ale z dłuższym czekaniem wiązały się też większe pieniądze i większa frajda, więc nie miał nic przeciwko czekaniu.

Był człowiekiem z natury cierpliwym.

I zdyscyplinowanym.

• • •

Reacher stał nieruchomo na środku pokoju, gospodyni krzątała się po domku, sprząając. Pościeliła łóżko, obciągając pościel tak równo i sztywno, że można by na nim grać w cymbergaja, wymieniła ręczniki na czyste, postawiła nową buteleczkę szamponu i położyła nowe mydło w papierowej osłonce, na koniec zagięła w strzałkę końcówkę papieru toaletowego przy sedesie. A potem poszła po swój samochód – starego zdezelowanego pick-upa, prymitywnego i bardzo przerdzewiałego, na łysych oponach i z naderwanym zawieszaniem. Objechała zdemolowane subaru i stanęła tak, by drzwi pasażera znalazły się tuż obok wyjścia z domku, po czym rozejrzała się czujnie. Po chwili zamarła w bezruchu. Reacher widział po jej minie, że najchętniej by się wycofała i odjechała bez niego. W końcu jednak się zreflektowała, przechyliła przez szerokość szoferki, otworzyła drzwi pasażera i nerwowo poklepała siedzenie. Szybciej!

Reacher wyskoczył z domku i usiadł obok niej.

– Jeśli się na kogoś natkniemy, schyli się pan i schowa.

Jasne?

Reacher kiwnął głową, czując, że nie będzie to łatwe. W sfoferce było ciasno. Stary chevrolet był wyplamiony i zakurzony, deska rozdzielcza z wytartego plastiku niemal opierała mu się na kolanach, tylne okienko znajdowało się tuż za jego głową.

– Ma pani może torbę? – zapytał.

– Bo co?

– Mógłbym ją założyć na głowę.

– Nie pora na żarty – burknęła. Wrzuciła bieg i stara skrzynia biegów potrzebowała chwili, by na to zareagować. Coś zachrobotało pod maską, z dziurawego tłumika wydobył się dźwięk jak z silnika motocyklowego. Skręciła w lewo, przejechała skrzyżowanie i ruszyła na południe. Na drodze nie było żadnego ruchu. W dziennym świetle otaczające ich pola były ogromne, zupełnie płaskie i pozbawione jakichkolwiek wyróżniających cech. Wszystko było białe od szronu, bładoszare niebo wisiało wysoko. Po pięciu minutach Reacher dostrzegł dwa stare budynki po prawej – zapadającą się stodołę i niewielką szopę, w której schował zdobyczną półcieżarówkę. Po kolejnych trzech minutach minęli trzy domy Duncanów. Kobieta kurczowo zacisnęła dłonie na kierownicy i Reacher dostrzegł, że krzyżuje palce na szczęście. Pick-up potoczył się dalej, a kierująca nim kobieta zaczęła częściej zerkać we wsteczne lusterko niż przed siebie. Dopiero po ujechaniu jakichś dwóch kilometrów trochę się uspokoiła i odetchnęła z wyraźną ulgą.

– To tylko zwykli ludzie – powiedział Reacher. – Trzech starszych facetów i jeden młodszy chudzielec. Nie mają żadnej magicznej mocy.

– Ale w nich jest zło – odrzekła kobieta.

• • •

Siedząc w kuchni Jonasa Duncana i czekając, aż głos zabierze Jacob, zaczęli jeść śniadanie. Wiedzieli, że szykuje się do wypowiedzenia swego zdania, co było równoznaczne z ogłoszeniem decyzji. Świadczyło o tym jego zachowanie. Wielokrotnie już tak bywało, że Jacob nagle milkł i przez dłuższą chwilę siedział zamyślony i jakby nieobecny, a potem dzielił się z nimi swoimi przemyśleniami, rzucał jakiś mądry pomysł lub przedstawiał wnikliwą analizę sytuacji albo składał propozycję pozwalającą upiec trzy lub cztery pieczenie na jednym ogniu. Dlatego cierpliwie czekali – Jonas i Jasper, jedząc ze smakiem, Seth, z niechęcią grzebiąc w jedzeniu, bo gryzienie sprawiało mu ból. Spod aluminiowej klamry wyzierało rozchodzące się po twarzy zasinienie. Rano obudził się z oczami tak podbitymi, że wielkością i barwą przypominały nadpsute gruszki.

Jacob wreszcie odłożył nóż i widelec, wytarł usta mankietem koszuli i położył ręce na stole.

– Musimy zadać sobie pytanie – zaczął.

Jonas jako gospodarz czuł się w obowiązku zareagować pierwszy.

– Jakie pytanie? – zapytał.

– Musimy się zastanowić, czy może opłaci nam się przehandlować odrobinę reputacji i mniemania o sobie za znaczące korzyści.

– W jaki sposób?

– Mamy do czynienia z prowokacją i zagrożeniem. Źródłem prowokacji jest obcy z motelu, który wtrąca się w sprawy zupełnie go niedotyczące. Źródłem zagrożenia jest nasz kolega z południa, któremu puszczają nerwy. Pierwsze wymaga ukarania, do drugiego nie powinno być w ogóle dojsć. Nie należało obiecywać żadnego terminu. Ale stało się i teraz musimy sobie z tym poradzić bez roztrząsania, kto jest winny. Niewątpliwie Seth zrobił to, co uznał za najlepsze dla wszystkich.

– Jak mamy sobie z tym poradzić? – Jonas się skrzywił.

– Rozważmy najpierw pierwszą sprawę. Tego obcego w motelu.

– Chcę, żeby naprawdę dostał za swoje – burknął Seth.

– Wszyscy tego chcemy, synu. I już spróbowaliśmy to zrobić, prawda? Ale nie bardzo nam wyszło.

– I co, teraz już się go boimy?

– Troszkę tak, synu. Straciliśmy przez niego trzech naszych ludzi. Bylibyśmy głupi, gdybyśmy się przynajmniej trochę tym nie przejęli. A głupi nie jesteśmy, nieprawdaż? O to nikt

nigdy Duncanów nie oskarży. Stąd moje pytanie w kwestii szacunku do siebie samych.

– Chcesz pozwolić mu odejść?

– Nie, chcę powiadomić naszego kolegę z południa, że to on jest źródłem problemu. Że przez niego doszło do opóźnienia dostawy. I podsuniemy naszemu koledze myśl, że skoro i tak już ma tu dwóch swoich ludzi i zależy mu na przyspieszeniu dostawy, to jego ludzie mogliby zająć się obcym z motelu. Wygrywamy w ten sposób na dwóch frontach, prawda? I to na trzy sposoby. Po pierwsze, Seth ma od razu z głowy tych dwóch bandziorów, po drugie, obcy z motelu zostaje pobity lub zabity, po trzecie, nasz kolega z południa przestaje się pieklić, bo widzi, że zwłoka naprawdę nie nastąpiła z naszej winy. Dochodzi do wniosku, że jesteśmy osaczeni przez wrogów, co ktoś taki jak on bez trudu zrozumie, bo on miewa podobne problemy. Inaczej mówiąc, problem staje się naszą wspólną sprawą.

Przy stole zapadła cisza.

Po dłuższej chwili Jasper Duncan powiedział:

– Mnie się to podoba.

– Mnie też – odrzekł Jacob. – Inaczej bym tego nie proponował. Jediną wadą tego rozwiązania jest lekki uszczerbek na reputacji i szacunku do siebie w tym sensie, że nie sami wymierzmy karę człowiekowi, który wystąpił przeciwko nam. Przyznamy się przed naszym kolegą z południa, że miewamy problemy, których nie potrafimy rozwiązać.

– To nic wstydlwego – powiedział Jonas. – To bardzo złożony biznes.

– Uważasz, że jego ludzie są lepsi od naszych? – odezwał się Seth.

– Oczywiście, że tak, synu – odparł Jacob. – Nasi chłopcy są bardzo dobrzy, ale jego ludzie grają w innej lidze. Nie ma porównania. I musimy o tym pamiętać. Nasz przyjaciel z południa musi pozostać naszym przyjacielem, bo byłby z niego bardzo nieprzyjemny wróg.

– A jeśli ta zwłoka się przedłuży? – zastanowił się Jasper.

– Jeśli nic się nie zmieni? Powiedzmy, że dziś dopadną tego faceta z motelu, a towaru nie będzie jeszcze przez tydzień? Wtedy nasz kolega z południa się kapnie, że go okłamaliśmy.

– Nie sądzę, żeby udało im się tak od razu go dopaść – rzekł Jacob.

– Dlaczego nie?

– Bo wygląda na prawdziwego kozaka. Jak dotąd, wszystko na to wskazuje. Może im to zająć parę dni, a w tym czasie dostawa będzie już w drodze. A jeśli nawet nie, to zawsze możemy powiedzieć, że dla ostrożności postanowiliśmy przetrzymać cargo poza granicami kraju do czasu ostatecznego załatwienia sprawy. Nasz kolega może to kupić. Oczywiście może też nie kupić.

– A więc hazard.

– To istotnie hazardowa zagrywka. Ale prawdopodobnie najlepsza, na jaką nas stać.

Wchodzimy w to czy nie?

– Powinniśmy zaoferować pomoc – powiedział Jasper. – I informację. Powinniśmy uzyskać zgodę ludności.

– Oczywiście – potwierdził Jacob. – Nasz kolega nie spodziewałby się niczego innego.

Wydamy odpowiednie instrukcje i ogłosimy sankcje.

– I nasi chłopcy też powinni przy tym być. Z uszami i oczami szeroko otwartymi. Musimy stworzyć pozory, że przynajmniej się przyczyniliśmy.

– Oczywiście. – Jacob kiwnął głową. – Więc jak, wchodzimy w to czy nie?

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli.

Pierwszy odezwał się Jasper:

– Ja jestem za.

– Ja też – dodał szybko Jonas.

Jacob Duncan skinął głową i rozłożył ręce.

– No to mamy większość. Z czego bardzo się cieszę, bo wyznam, że pozwoliłem sobie zadzwonić do naszego kolegi z południa dwie godziny temu. Nasi chłopcy i jego ludzie już rozpoczęli polowanie.

– Chcę przy tym być – burknął Seth. – Chcę widzieć, jak dostanie za swoje.



Reacher podświadomie spodziewał się ujrzeć wiejską rudę ze zmurszałych desek jak na starych fotografiach z zakurzonego Południa, jednak samochód skręcił w długi, wysypany żwirem podjazd wiodący do schludnego piętrowego domu, za którym rozciągały się setki hektarów pól. Kobieta zaparkowała za domem obok walącej się stodoły i paru szop, z których dochodziło gdakanie kur i chrupkanie świń. Powietrze było rześkie, ziemia oszroniona, niebo bladoszare. Zima na wsi w pełnej krasie.

– Nie chcę być niegrzeczna, ale ile ma pan zamiar mi zapłacić? – spytała kobieta.

– Zastanawia się pani nad obfitością śniadania? – Reacher się uśmiechnął.

– Coś w tym rodzaju.

– Moja średnia śniadaniowa na zachód od Missisipi to około piętnastu dolców z napiwkami.

Kobieta zrobiła zdziwioną minę. I się uśmiechnęła.

– To fura pieniędzy – powiedziała. – Moja dwugodzinna stawka. Jakbym miała dziewięćdziesięć tygodniowy tydzień pracy.

– Ale to nie jest czysty zysk. Proszę pamiętać, że jestem głodny.

Wprowadziła go przez tylne drzwi do sieni. W środku było tak, jak dom Setha Duncana mógł wyglądać przed kosztowną renowacją. Niskie sklepienia, małe szybki z nierównego szkła w oknach, spaczona podłoga. Całość wyglądała staro i niemodnie, ale wszędzie panował porządek i widać było, że utrzymywano go tu przez ostatnie sto lat. Kuchnia aż lśniła czystością. Piec kuchenny był wygaszony.

– Jeszcze pani nie jadła? – spytał Reacher.

– Ja nie jem – odparła kobieta. – W każdym razie śniadań.

– Odchudza się pani?

Kobieta nie odpowiedziała i Reacher uświadomił sobie niezręczność pytania.

– Ja stawiam – powiedział szybko. – Trzydzieści dolców za śniadanie dla dwojga.

– Nie potrzebuję jałmużny.

– To nie jałmużna. To tylko rewanż, nic więcej. Naraziła się pani, przywożąc mnie tutaj.

– Chciałam się tylko przywozicie zachować.

– I ja też. Od pani zależy, czy pani z tego skorzysta.

– Skorzystam – mruknęła.

– Jak ma pani na imię? Zwykle, gdy siadam z kobietą do śniadania, przynajmniej znam jej imię.

– Na imię mi Dorothy.

– Miło mi panią poznać, Dorothy. Jest pani mężatką?

– Byłam. Już nie jestem.

– Wie pani, jak ja się nazywam?

– Nazywa się pan Jack Reacher. Wszystkich nas powiadomiono. Wszyscy wiedzą.

– Powiedziałem tylko żonie lekarza.

– A ona powiedziała Duncanom. Ale niech się pan jej nie dziwi. To u nas norma. Tak jak wszyscy próbuje spłacać dług.

– Ile jest im winna?

– Stała po mojej stronie. Wtedy, dwadzieścia pięć lat temu.

•••

Roberto Cassano i Angelo Mancini jechali na północ wypożyczoną impalą. Zatrzymali się w Marriotcie Courtyard, jedynym hotelu w stolicy okręgu, która sprowadzała się do paru uliczek pośrodku miliarda kilometrów kwadratowych absolutnej pustki. Doświadczenie nauczyło ich pilnować stanu paliwa. Jeżdżąc po Nebrasce, warto tankować do pełna na każdej napotkanej stacji,

bo do następnej może być milion kilometrów.

Obaj byli z Vegas, co jak zwykle znaczyło, że naprawdę pochodzą z innego miejsca – Cassano z Nowego Jorku, Mancini z Filadelfii. Zwrócili na siebie uwagę w swoich rodzinnych miastach, potem awansowali do Miami już jako gracze pierwszoligowi, by ostatecznie dostać transfer do siedziby najważniejszych drużyn w mieście na pustyni w Nevadzie. Turystom się wmawia, że to, co się dzieje w Vegas, zostaje w Vegas, ale nie dotyczyło to Cassana i Manciniego. Obaj wciąż zmieniali miejsca pobytu, bo wysyłano ich do gaszenia pożarów na długo, zanim pierwsze iskry zdążyły rozgorzeć płomieniem mogącym sparzyć ich szefa.

Właśnie to przywiodło ich na rolnicze pustkowia niemal tysiąc trzysta kilometrów na północny wschód od ich jarzącej się światłami i blichtrzem bazy. W systemie dostaw wystąpiła poważna wpadka grożąca tym, że lada dzień może dojść do kompromitacji. Ich szef złożył konkretne obietnice pewnym konkretnym osobom i niewywiązanie się z nich mocno podważyło jego reputację. Dlatego Cassano i Mancini zajmowali się sprawając od siedemdziesięciu dwóch godzin, i by odpowiednio zaznaczyć swoją obecność, dołożyli trochę żonie jednego z miejscowych kmiotków. A potem ktoś z rodziny kmiotka zadzwonił z wiadomością, że winę za wpadkę ponosi jakiś intruz, który wtyka nos, gdzie nie należy. Pewnie wszystko to zmyślili. Pewnie jedno z drugim nie ma związku. Pewnie to tylko wymówka. Ale Cassano i Mancini byli zaledwie sto kilometrów od tego miejsca, więc szef kazał im pojechać na północ i się rozejrzeć, bo jeśli kmiotek kłamał, świadczyłoby to o jego słabości i drobna pomoc udzielona teraz mogłaby dobrze procentować w przyszłości. To oczywiste. W końcu są w Ameryce, a sukces w amerykańskim biznesie polega na skutecznym duszeniu cen w hurcie.

Wjechali na gównianą wąską szosę, minęli gówniane skrzyżowanie i wjechali na parking przed gównianym motelem. Zauważyli go już wcześniej. W nocy wyglądał nawet fajnie, ale za dnia o wiele gorzej. W świetle dziennym był smutny i zaniedbany. Przy jednym z domków stało zdemolowane subaru, ale poza nim nie było nic, na czym można by zawiesić wzrok. Zaparkowali przed głównym budynkiem, wysiedli, przeciągnęli się i ziewnęli. Dwaj znudzeni miastowi, wiecznie w podróży. Cassano był średniego wzrostu, dobrze umięśniony, miał ciemne włosy i pusty wzrok. Mancini wyglądał podobnie. Obaj mieli na sobie dobre buty, ciemne garnitury i kolorowe koszule bez krawatów. Obaj byli ubrani w długie wełniane płaszcze i często ich z sobą myłono.

Weszli do środka z zamiarem poszukania właściciela motelu i znaleźli go bez trudu. Stał za barem i mokrą szmatą ścierał z blatu lepkie krążki po szklankach. Żałosny palant z ufarbowanymi na rudo włosami.

– Reprezentujemy rodzinę Duncanów – oznajmił Cassano. Kmiotek zapewnił go przez telefon, że powołanie się na rodzinę odniesie skutek, i nie mylił się. Palant ze ścierką zrobił krok do tyłu, wyprostował się i niewiele brakowało, a stanąłby na baczność i zasalutował. Zupełnie jakby był w wojsku i rozdarł się na niego jeden z oficerów. – Miałeś tu wczoraj jednego gościa – dodał groźnie.

– Nie, proszę pana, nie miałem. Wyrzuciłem go.

– Wczoraj było zimno – mruknął Mancini.

Człowiek za barem nic nie odpowiedział, bo nie bardzo zrozumiał.

– Jeśli nie nocował tu, to gdzie, do cholery, nocował? – warknął Cassano. – Nie masz tu żadnej konkurencji. A nie mógł spać w krzakach. Choćby dlatego, że w Nebrasce nie ma żadnych krzaków. A po drugie, zamarzłoby na kość.

– Nie wiem, dokąd poszedł.

– Na pewno?

– I tak by mi nie powiedział.

– A są tu jakieś poczciwe dusze, które mogły przygarnąć obcego?

– Nikt by tego nie zrobił. Duncanowie zabronili.

– A więc musiał przenocować tutaj.

– Już panu mówiłem, że tu go nie było.

– Sprawdziłeś jego pokój?

– Zanim się stąd wyniósł, oddał klucz.

- Do pokoju można się dostać na różne sposoby, durniu. Sprawdziłeś jego pokój?
- Gospodyni już go posprzątała.
- Coś mówiła?
- Nie.
- Gdzie jest teraz?
- Skończyła pracę i pojechała. Wróciła do domu.
- Jak ona się nazywa?
- Dorothy.
- Daj nam adres tej Dorothy – burknął Mancini.

Śniadanie za piętnaście dolarów w wykonaniu Dorothy okazało się prawdziwą ucztą. Na początek kawa w oczekiwaniu, aż ugotuje i usmaży się reszta: owsianka, jajka na bekonie i tosty – wszystko w ogromnych ilościach, wszystko świeże i gorące, wszystko podane na co najmniej pięćdziesięcioletnich porcelanowych talerzach, do tego stare masywne sztuce z ciężkimi kanciastymi uchwytami.

– Przepyszne – powiedział Reacher. – Bardzo pani dziękuję.

– Bardzo proszę. I dziękuję za moje.

– To nie jest w porządku, żeby ludzie przez Duncanów nie dojadali.

– Ludzie nie robią wielu rzeczy przez Duncanów.

– Wiem, co ja bym z tym zrobił.

Uśmiechnęła się.

– Wszyscy tak kiedyś mówiliśmy, ale to było dawno temu. Przez nich byliśmy najpierw głodni i wyczerpani, a potem się postarzeliliśmy.

– A co na to młodzi?

– Wyjeżdżają najszybciej, jak się da. Ci z żyłką awanturniczą rozjeżdżają się po kraju. To wielki kraj. Inni trzymają się blisko domu, w Lincoln albo Omaha.

– I co tam robią?

– Znajdują sobie pracę. Wielu chłopców wstępuje do policji stanowej. To zawsze popularny zawód.

– Ktoś powinien ich tu wezwać.

Dorothy nie zareagowała.

– A co się stało dwadzieścia pięć lat temu? – zapytał Reacher.

– Nie mogę o tym rozmawiać.

– Ze mną pani może. Nikt się nie dowie. Jeśli kiedykolwiek dojdzie do mojego spotkania z Duncanami, zajmiemy się sprawami bieżącymi, nie starymi dziejami.

– Zresztą i tak się myliłam.

– W jakiej sprawie?

Nie odpowiedziała.

– Czy to pani była tym sąsiadem, z którym Duncanowie mieli konflikt?

Brak odpowiedzi.

– Pomóc pani posprzątać po śniadaniu?

Pokręciła głową.

– W restauracji pan po sobie nie zmywa, prawda?

– Jak dotąd się nie zdarzyło.

– Gdzie pan był dwadzieścia pięć lat temu?

– Nie pamiętam. Gdzieś w świecie.

– Był pan w wojsku?

– Niewykluczone.

– Ludzie mówią, że pobił pan wczoraj trzech futbolistów.

– Nie wszystkich naraz.

– Chce pan jeszcze kawy?

– Jasne – powiedział. Kobieta wsypała świeżą porcję kawy do ekspresu i go włączyła. – Ilu farmerów podpisało umowy z Duncanami? – zapytał.

– Wszyscy. Wszyscy na naszym terenie. W sumie czterdzieści farm.

– To ogromna masa kukurydzy.

– Także soi i lucerny. Stosujemy płodozmian.

– Odkupiła pani część dawnej posiadłości Duncanów?

– Czterdzieści hektarów. Ładny kawałek ziemi. Wypełnił mi narożnik pola. Wyglądało to sensownie.

– Jak dawno temu?

– Będzie ze trzydzieści lat.

– A więc przez pierwsze pięć lat wszystko było dobrze?

– Nie opowiem panu, co się wydarzyło.

– Myślę, że pani powinna. I myślę, że tak naprawdę pani chce.

– Po co to panu wiedzieć?

– Sama pani powiedziała: nasłali na mnie trzech futbolistów. Chciałbym przynajmniej zrozumieć dlaczego.

– Bo rozkwaśił pan nos Sethowi.

– Rozkwaśiłem wiele nosów, ale nikt nigdy nie nasyłał na mnie emerytowanych sportowców.

Dorothy nalala do kubków świeżą kawę i podała jeden Reacherowi. W kuchni zrobiło się ciepło od ognia pod blachą. Wyglądało na to, że ciepło utrzyma się przez cały dzień.

– Dwadzieścia pięć lat temu Seth Duncan miał osiem lat – zaczęła.

– I co dalej?

– Mieszkańcy naszego kawałka okręgu tworzyli zwartą społeczność. Oczywiście farmy były rozrzucone po dużym terenie, ale kursy szkolnego autobusu jakby wytyczały granice naszej wspólnoty. Wszyscy wszystkich znali. Dzieci bawiły się raz w jednym domu, raz w drugim.

– I co dalej?

– Tylko do domu Setha Duncana nikt nie chciał chodzić. Zwłaszcza dziewczynki. A Seth bardzo lubił bawić się z dziewczynkami. Bardziej niż z chłopcami.

– Dlaczego nikt nie chciał?

– Nikt wyraźnie tego nie powiedział. W takiej społeczności i w tamtych czasach nie mówiło się głośno o takich sprawach. Ale działo się coś niedobrego. Albo prawie się działo. Coś wisiało w powietrzu. Moja córka też wtedy miała osiem lat. Była rówieśniczką Setha. Niemal dokładnie co do dnia. Ona też nie chciała tam chodzić. Powiedziała mi to bardzo wyraźnie.

– Co się tam takiego działo?

– Już mówiłam. Nikt o tym głośno nie rozmawiał.

– Ale pani wiedziała, prawda? Miała pani córkę. Może nie miała pani dowodów, ale wiedziała pani.

– Ma pan dzieci?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale przez trzynaście lat byłem kimś w rodzaju gliniarza.

A mężczyzną jestem całe życie. Po prostu czasami ludzie wiedzą takie rzeczy.

Kobieta pokiwała głową. Sześćdziesięciokilkuletnia, krzepka i kanciasta, o twarzy zarumienionej od ognia i jedzenia.

– Pewnie dziś nazwano by to złym dotykiem – powiedziała cicho.

– Ze strony Setha?

Kobieta znów kiwnęła głową.

– I jego ojca. I jego dwóch stryjów.

– To straszne.

– Tak, to było straszne.

– I co pani zrobiła?

– Córka już nigdy więcej tam nie poszła.

– Rozmawiała pani o tym z innymi?

– Początkowo nie. Ale potem nagle tama pękła i wszyscy wszystkim zaczęli opowiadać.

Żadna z dziewczynek nie chciała tam chodzić.

– Czy ktoś próbował rozmawiać z matką Setha?

– Seth nie miał matki.

– Dlaczego nie? – zdziwił się Reacher. – Odeszła od nich?

– Nie.

– Umarła?

– Nigdy jej nie było.

– Musiała być.

– W sensie biologicznym pewnie tak. Ale Jacob Duncan nigdy się nie ożenił. Nigdy nie widziano go w towarzystwie kobiety. Nigdy nie widziano żadnej kobiety w towarzystwie któregoś z braci. Ich matka zmarła dużo wcześniej. Od lat był tylko stary Duncan i jego trzech synowie. Potem on też zmarł i zostali tylko oni. A potem Jacob zaczął nagle przyprawiać do przedszkola małego chłopczyka.

– Nikt nie spytał, skąd się to dziecko wzięło?

– Ludzie między sobą gadali, ale jego nikt nie spytał. Uznali, że byłoby to niegrzeczne. Byli zbyt skryci. Chyba wszyscy uznali, że to ktoś z rodziny. Wie pan, sierota, czy coś w tym rodzaju.

– I co było dalej? Zakazaliście dzieciom tam chodzić i to spowodowało konflikt?

– Od tego się zaczęło. Dużo się szeptało po kątach. Duncanowie siedzieli jak odcięci w swojej zagrodzie i bardzo im to doskwierało.

– I zaczęli się odgryzać?

– Nie od razu.

– A od kiedy?

– Odkąd zaginęła dziewczynka.

• • •

Roberto Cassano i Angelo Mancini wsiedli do impali i odpalili silnik. W środku mieli zamontowany system nawigacji satelitarnej za kilka dodatkowych doliczeń dziennie, ale okazał się zupełnie bezużyteczny. Na ekranie pojawiły się cienkie czerwone kreski, niczym bohomyzy rysowane na kartce, i to wszystko. Żadna z miejscowych dróg nie miała nazwy – albo tylko numer, albo w ogóle nic. Na mapce nie było prawie nic widać, a to, co było, było niedokładne lub niekompletne. Nie było nawet skrzyżowania dróg przy motelu. Trochę przypominało to Vegas. Miasto rozrastało się tak szybko, że żadna firma produkująca systemy GPS nie mogła za tym nadążyć. Dlatego Cassano i Mancini przywykli do pilotowania w starym stylu, polegającego na sporządzeniu odręcznej mapki i zaznaczeniu wszystkich skrętów, które właściciel motelu skwapliwie im podawał. Starał się to robić jak najdokładniej, by uniknąć jeszcze gorszych cięgow od tych, które dostał na wstępie. Wystarczyły dwie fangi w nos, a od razu zaczął śpiewać. Z pewnością nie zaliczał się do bohaterów.

– Z parkingu w lewo – odczytał Mancini.

Cassano skrzył w lewo.

• • •

Dorothy wypłukała ekspres, napełniła świeżą kawą i włączyła, by zaparzyć trzecią porcję.

– Seth miał ciężko w szkole – podjęła opowieść. – Wszyscy się na nim wyżywali.

Ośmioletni chłopcy potrafią się zmówić. Pewnie uważali, że mają do tego prawo, bo słyszeli, o czym szepczą dorośli. Żadna z dziewczynek nie stanęła w jego obronie. Nie chciały do niego chodzić i nawet z nim nie rozmawiały. Dzieci potrafią być okrutne. I takie były dla niego.

Wszystkie z wyjątkiem jednej dziewczynki. Rodzice wpoili jej, że ma być sprawiedliwa i liczyć się z odczuciami innych. Ona też nie chciała do niego chodzić, ale z nim rozmawiała. A któregoś dnia zniknęła.

– I co było dalej? – spytał Reacher.

– Kiedy dzieje się coś takiego, robi się strasznie. Nie ma pan pojęcia, jak strasznie. Najpierw ludzi ogarnia szaleństwo. Wszyscy się miotają i zamartwiają, ale nikt nie dopuszcza myśli o najgorszym. Wie pan, przez pierwszych kilka godzin, trzy, może cztery, wszyscy sobie wmawiają, że gdzieś się zapodziała, poszła zbierać kwiaty i straciła rachubę czasu, że na pewno niedługo wróci. Oczywiście w tamtych czasach nie było telefonów komórkowych. Wielu nie miało nawet zwykłych telefonów. Potem zaczyna się myśleć, że dziewczynka zablądziła, więc ludzie wsiadają do samochodów i zaczynają jeździć i szukać. A potem robi się ciemno i wzywa się policję.

– I co policja działała?

– Tyle, ile mogła. Naprawdę się starali. Chodzili od domu do domu, świecili latarkami, wzywali przez megafony mieszkańców, żeby przeszukali stodoły i budynki gospodarcze. Przez całą noc jeździli, a o świcie sprowadzili psy i wezwali do pomocy policję stanową, a ta Gwardię Narodową. Sprowadzili też helikopter.

– I nic?

Kobieta pokręciła głową.

– Nic. I wtedy powiedziałam im o Duncanach.

– Powiedziała pani?

– Ktoś musiał. Gdy tylko zaczęłam, od razu dołączyli się inni. Wszyscy wskazywali palcem w jednym kierunku. Policja stanowa potraktowała to bardzo poważnie, ale pewnie nie mogła inaczej. Zabrali Duncanów do swojej siedziby pod Lincoln i przez kilka dni ich przesłuchiwali. Przeszukali ich domy. Do sprawy włączyło się FBI i przysłało ekipę techników.

– Znaleźli coś?

– Ani śladu.

– Zupełnie nic?

– Wszystkie testy wyszły negatywnie. Doszli do wniosku, że dziewczynki w ogóle tam nie było.

– I co dalej?

– Nic. Wszystko rozeszło się po kościach. Duncanowie wrócili do domu, dziewczynka nigdy się nie odnalazła. Sprawa pozostała nierozwiązana do dziś. Duncanowie byli bardzo rozgoryczeni. Zażądali ode mnie przeprosin za pomówienie, ale odmówiłam. Nie mogłam się z tym pogodzić. Mój mąż też nie. Część mieszkańców stanęła po naszej stronie, na przykład żona lekarza. Ale większość nie. Wiedzieli, skąd wieje wiatr.

Duncanowie zamknęli się w sobie. A potem zaczęli się na nas odgrywać. Po prostu mścić. Po żniwach nie zwieźli naszych zbiorów i wszystko się zmarnowało. Mąż popełnił samobójstwo. Usiadł dokładnie na tym krześle, na którym siedzi pan, i przyłożył sobie strzelbę pod brodę.

– Współczuję.

Kobieta nic nie powiedziała.

– Kim była ta dziewczynka?

Brak odpowiedzi.

– Pani córką, tak?

– Tak – szepnęła. – Była moją córką. Miała osiem lat i już zawsze będzie tyle miała. Zaczęła cicho płakać i wtedy zadzwoniła jej komórka.

Miała starą kanciastą nokię. Aparat leżał na kuchennym stole, wibrował i wygrywał starą melodyjkę, którą Reacher słyszał tysiące razy w barach, autobusach i na ulicy. Dorothy wzięła telefon do ręki, powiedziała „halo” i przez chwilę słuchała czegoś, co z daleka brzmiało jak przekazywana zdyszonym głosem wiadomość czy ostrzeżenie. Potem się rozłączyła i rzuciła aparat na stół, jakby ją parzył.

– Dzwonił pan Vincent. Z motelu.

– I co? – spytał Reacher.

– Odwiedziło go dwóch drani. Jadą tu. Przed chwilą wyjechali.

– Kto?

– Nie wiadomo. Dwóch bandziorów, których nigdy wcześniej nie widział. – Otworzyła drzwi i spojrzała przez sień na wyjście. Przez chwilę nic nie było słycać, potem Reacher wyłowił z panującej ciszy szum opon na asfalcie, zwalniający silnik i hamujący samochód. Na żwirze zachręściła opona, potem druga, potem jeszcze dwie. Samochód skręcił w podjazd i zaczął telepać się po nierównościach.

– Niech pan stąd idzie – szepnęła kobieta. – Proszę. Nie mogą tu pana zastać.

– Nie wie pani, co to za jedni?

– To ludzie Duncanów. Któż by inny? Nie mogą tu pana znaleźć.

– Nie dam rady stąd wyjść – powiedział Reacher. – Są już na podjeździe.

– Proszę się schować za domem. Błagam pana. Nie mogą tu pana znaleźć. Naprawdę. –

Wyszła do sieni, szykując się do spotkania ich twarzą w twarz w drzwiach wejściowych. Byli niedaleko i szybko się zbliżali. Chrząst żwiru był coraz głośniejszy. – Mogą chcieć wszystko przeszukać. Jeśli pana znajdą, niech pan powie, że sam pan się tu ukrył. Że przyszedł pan z pola. Proszę. Niech im pan powie, że nic o tym nie wiedziałam. Niech ich pan przekona. Powie, że nic nas nie łączy. – Wypchnęła go za próg i zamknęła za nim drzwi.

•••

Angelo złożył kartkę z mapką i schował do kieszeni. Znaleźli się na jakiejś gównianej wyboistej drodze, wiodącej do starej na wpół zrujnowanej gównianej farmy, której miejsce było w skansenie lub podręczniku historii. Ekran GPS-u świecił na biało, niczego nie pokazując. Prowadził Roberto Cassano, z impetem wjeżdżając w liczne dziury. Samochód i jego opony należały do Hertza, więc nie było się czym przejmować. Byli już blisko, gdy drzwi wejściowe otworzyły się i stanęła w nich starsza kobieta, trzymając się kurczowo framugi, jakby nogi za chwilę miały odmówić jej posłuszeństwa.

– Baba ma nieczyste sumienie – mruknął Mancini. – Mogę się założyć.

– Też tak myślę – potwierdził Cassano.

•••

Reacher rozejrzał się po podwórzu. Od zaparkowanego pick-upa dzieliło go około dwudziestu metrów, drugie dwadzieścia do ciągu szop, kurników i chlewów. Uchylił drzwi i zajrzał do sieni. Frontowe drzwi były zamknięte, ale słycać zza nich było podjeżdżający samochód. Chwilę potem samochód stanął i trzasnęły zamykane drzwi. Czuł, że stojąca przed domem kobieta jest przerażona i może spanikować. Wzruszył ramionami i już miał zamknąć drzwi, gdy jego wzrok padł na kuchenny stół.

Niedobrze.

„Mogą chcieć wszystko przeszukać”.

„Niech im pan powie, że nic o tym nie wiedziałam”.

Na stole widać było pozostałości po śniadaniu dla dwóch osób.



Dwie miseczki po owsiance, dwa talerze ze śladami jajek, dwa talerzyki z okruchami tostów, dwie łyżki, dwa noże, dwa widelce, dwa kubki po kawie.

Wpadł do kuchni i położył talerzyk po tostach na talerz po jajkach, miseczkę po owsiance na talerzyk po tostach, włożył kubek po kawie do miseczki po owsiance, schował nóż, widelec i łyżkę do kieszeni. Uniósł chybotałą stertę talerzy i poniósł przez kuchnię do tylnego wyjścia. Trzymając ją w jednej ręce, drugą zamknął za sobą drzwi i ruszył przez podwórze. Pod nogami miał mieszaninę ubitej ziemi i żwiru porośniętą warstwą szerniałych chwastów, dzięki czemu jego kroków prawie nie było słycać. Niestety drzenie ramion powodowało, że przy każdym kroku sterta naczyń głośno pobrzękiwała. W jego uszach brzmiało to jak dzwonek alarmowy. Minął pick-upa i skierował się do stodoły. Stodoła była stara, nieco zapadnięta i zbudowana z nasmołowanych desek w dość opłakanym stanie. Prowadziły do niej tradycyjne dwuskrzydłowe wrota. Zawiasy były zardzewiałe, skrzydła spaczone. Wsadził w szparę piętę, odchylił skrzydło biodrem i wcisnął się tyłem, ciągnąc za sobą ręce ze stertą talerzy.

W panującym wewnątrz mroku jedynym źródłem światła były szpary, przez które prześwitywały promienie słońca, tworząc pod stopami rozświetlone plamy i smugi i kłując w oczy. Podłogę stanowiło ubite klepisko pełne starych plam oleju i rdzy, powietrze śmierdziało kreozotem. Reacher postawił talerze na ziemi. Wokół stały stare maszyny rolnicze, równo pokryte łuszczącą się rdzą. Nie miał pojęcia, do czego co służyło, ale wszystkie były na kołach i miały fantazyjnie powyginane zębate ramiona, ostrza i lemieszce. Królestwo farmera. Nie jego działka. Ani trochę.

Zawrócił do wejścia, przyłożył oko do szpary i zaczął nasłuchiwać, układając w głowie plan działania. Nie może podjąć walki, chyba że byłby gotów pójść na całość i doprowadzić do zniknięcia na zawsze obu bandziorów i ich samochodu, ale musiałby wtedy wrócić do motelu i zmusić Vincenta do milczenia, też na zawsze. Gdyby tego nie zrobił w sposób ostateczny, prędzej czy później wszystko skupiłoby się na Dorothy. Dlatego przezorność nakazywała trzymać się z boku i nie wtrącać. I był gotów tak zrobić, chyba że wydarzenia w domu Dorothy zmuszą go do zmiany planów. Jej pojedynczy krzyk może być spowodowany strachem i nerwami. Ale jeśli krzyknie po raz drugi, będzie zmuszony bez względu na konsekwencje ruszyć do akcji.

Na razie nic nie było słycać.

Przez długie dziesięć minut nie było też nic widać. A potem z tylnych drzwi domu wyłonił się jakiś facet, tuż za nim pojawił się drugi. Przeszli dziesięć kroków, zatrzymali się i potoczyli dookoła wzrokiem, jakby się rozglądali po swoich włościach. Spojrzeli w lewo, spojrzeli na wprost, spojrzeli w prawo. Dwaj miastowi. Mieli wyczyszczone do połysku buty, wełniane spodnie i wełniane płaszcze. Obaj nieco poniżej metra osiemdziesięciu, mieli masywne klatki piersiowe i umięśnione ramiona, obaj byli ciemnowłosi. Dwaj typowi mięśniacy niczym z serialu telewizyjnego.

Ruszyli w lewo w stronę pick-upa. Sprawdzili pakę, otworzyli drzwi i zajrzeli do szoferki, po czym ruszyli dalej w stronę kurników, chlewów i stodoły.

Wprost na Reachera.

Zostało im do niego kilkanaście metrów.

Reacher poruszył ramionami, pozginał ręce w łokciach i pokręcił nadgarstkami, próbując je rozruszać. Zacisnął w pięść najpierw prawą dłoń, potem lewą.

Dwaj faceci byli coraz bliżej.

Spojrzeli w lewo, spojrzeli w prawo, pociągnęli nosami.

Zatrzymali się.

Lśniące buty, wełniane spodnie. Miastowi. Nie mieli ochoty brodzić w świńskich odchodach i kurzym pierzu i brudzić sobie butów. Spojrzeli po sobie, potem ten z prawej zwrócił głowę w stronę domu.

– Hej, ty tam, stara! – wrzasnął. – Przywlecz no tu swoje grube dupsko, ale już!

Drzwi domu otworzyły się i stanęła w nich Dorothy. Przez chwilę się wahała, po czym niepewnym krokiem ruszyła w stronę dwóch intruzów. Oni zrobili to samo, wolno ruszając ku niej. Spotkali się koło pick-upa. Mężczyzna z lewej znieruchomiał, mężczyzna z prawej jedną ręką chwycił Dorothy za ramię, drugą wyciągnął spod płaszcza pistolet. Musiał mieć na piersi kaburę.

Pistolet połyskiwał srebrzyście. Półautomatyczny, niklowany lub z polerowanej stali. Reacher stał zbyt daleko, by rozpoznać markę. Może colt. Albo podróbka. Mężczyzna uniósł broń i przytknął lufę do skroni Dorothy. Trzymał pistolet na płask, jak filmowy opryszek. Kciuk i trzy palce ciasno oplatały rękojeść. Czwarty palec spoczywał na spuście. Dorothy szarpnęła głową. Opryszek ścisnął ją za ramię i przyciągnął ku sobie.

– Reacher?! – zawołał. – Tak się nazywasz? Jesteś tam? Gdzie się chowasz? Słyszysz mnie? Policzę do trzech, a ty wyjdiesz. Bo jak nie, to zastrzelę to stare babsko. Trzymam spluwę tuż przy jej głowie. Powiedz mu, babciu.

– Nikogo tu nie ma – jęknęła Dorothy.

Na podwórzu zapadła cisza. Trzy postacie, jedyne na setkach hektarów wokół.

Reacher stał bez ruchu ukryty w ciemnościach. Widział, jak Dorothy przymyka oczy.

Opryszek z pistoletem powiedział: „Raz”. Reacher się nie poruszył.

Opryszek powiedział: „Dwa”.

Reacher stał nieruchomo.

Opryszek powiedział: „Trzy”.

Reacher stał bez ruchu, obserwując scenę przez szparę w deskach. Zapadła trwająca długą sekundę cisza, po czym opryszek cofnął rękę i schował pistolet pod połę płaszcza. Puścił też ramię kobiety, a ona zatoczyła się do tyłu. Oba mięśniaki spojrzali w lewo, spojrzali w prawo, spojrzali po sobie. I wzruszyły ramionami. Chłopcy zrobili, co do nich należało. Upewnili się. Odwrócili się i jak na komendę ruszyli w stronę domu, obeszl go i zniknęli z pola widzenia. Chwilę później Reacher usłyszał trzaśnięcie drzwiami, silnik zaskoczył, żwir zachrzęścił, skrzynia biegów zajęczała na wstecznym biegu. Potem usłyszał jeszcze szum opon na asfalcie, zmianę biegów i odgłos oddalającego się samochodu.

Na podwórze powróciła cisza.

Reacher stał bez ruchu w mrocznej samotni. Nie był durniem. Najprostszy na świecie podstęp: jeden głośno i ostentacyjnie odjeżdża, drugi chowa się za węglem. Reacher znał się na takich sztuczkiach i sam często je stosował. Niektóre nawet wymyślił.

Dorothy stała, opierając się jedną ręką o bok pick-upa i starając dojść do siebie. Reacher patrzył na nią z niepokojem. Bał się, że niesiona euforią może wykrzyknąć radośnie, że dranie już odjechali i że Reacher może już spokojnie wyjść z ukrycia. Ale potem stwierdził, że bierze w niej górę dwudziestopięcioletnie doświadczenie trzymania emocji na wodzy. Bez słowa ruszyła w stronę domu śladem tamtych dwóch. Nie było jej przez całą minutę, potem pojawiła się z drugiej strony domu. Zrobiła pełny obchód. Wokół puste pola. Zima. Nie ma gdzie się ukryć.

– Odjechali! – zawołała.

Reacher podniósł talerze i przepchnął się przez niedomknięte wrota stodoły. Zmrużył oczy w blasku słońca i zadygotał na zimnie. Ruszył przed siebie i dołączył do kobiety. Odebrała od niego naczynia, a on przyjrzał się jej uważnie.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Przez chwilę było ciężko – wyznała.

– Pistolet był przez cały czas zabezpieczony. Facet nawet nie próbował go odbezpieczyć.

Obserwowałem go. Od początku blefował.

– A gdyby to nie był blef? Wyszędłbyś wtedy?

– Prawdopodobnie – rzekł Reacher.

– Dobrze się spisałeś z tymi talerzami. Nagle sobie o nich przypomniałam i pomyślałam, że to koniec. Ci ludzie nie wyglądali na takich, którzy mogą tego nie zauważyć.

– A na jakich wyglądali?

– Na twardzieli. Na bezwzględnych oprychów. Oświadczyli, że reprezentują Duncanów.

Reprezentują, a nie u nich pracują. To coś nowego. Duncanowie nigdy wcześniej nie korzystali z ludzi z zewnątrz.

– Co twoim zdaniem teraz zrobią?

– Nie wiem. Myślę, że oni też nie wiedzą. Gdy nie ma się gdzie ukryć, to nie ma też gdzie szukać, prawda?

– Może odwiedzą lekarza?

– Może. Duncanowie wiedzą, że się poznaliście.

– Może ja też powinienem tam pojechać?

– A ja powinnam wrócić do motelu. Zdaje się, że poturbowali pana Vincenta. Jego głos nie brzmiał zbyt radośnie.

– Na południe od motelu stoi stara stodoła, obok stara szopa. Na prawo od szosy. Całe z drewna, wokół pustkowie. Do kogo to należy?

– Do nikogo. Należały do jednej z farm, które wykupiono pod budowę, do której nigdy nie doszło. Pięćdziesiąt lat temu.

– Zostawiłem tam samochód, półcieżarówkę. Zabrałem ją tym futbolistom wczoraj

wieczorem. Podwieziesz mnie?

- Nie. Nie przejadę z tobą jeszcze raz koło domów Duncanów.
- Przecież nie mają rentgena w oczach.
- Mają coś więcej. Setkę par oczu na swoich usługach.
- Wolisz, żebym przeszedł obok nich pieszo?

– Nie musisz. Możesz iść stąd na zachód przez pola, aż zobaczysz maszt telefonii komórkowej. Jeden z sąsiadów dzierżawi działkę operatorowi. Dzięki temu ma na opłaty za wywózkę. Przy maszcie skręć na północ. W ten sposób obejdziesz posiadłość Duncanów od tyłu i dotrzesz do stodoły.

- Jak to daleko stąd?
- W sam raz na poranny spacer.
- Spalę całe śniadanie.

– Od tego są śniadania. Tylko nie zapomnij skręcić w prawo na północ, dobra? Gdybyś poszedł w lewo, doszedłbyś do domu Setha Duncana, a tam nie chciałbyś się chyba znaleźć. Wiesz, gdzie tu północ, gdzie południe?

- Gdy poczuję ciepło, znaczy: idę na południe. Gdy poczuję zimno, znaczy: idę na północ.

Jakoś sobie poradzę.

- Mówię poważnie.
- Jak twoja córka miała na imię?
- Margaret – powiedziała Dorothy. – Na imię miała Margaret.

• • •

Reacher obszedł od tyłu stodołę i rząd szop z kurnikami i chlewem i ruszył na przełaj przez pole. Słońce było jedynie jaśniejszą plamą na szarym niebie, ale na tyle wyraźną, by pozwalało orientować się w kierunkach. Jaśniejsza plama za lewym ramieniem o dziesiątej rano w zimowej Nebrasce niewątpliwie wyznaczała południowy wschód. Przez następne czterdzieści minut szedł na zachód, póki z porannej mgły nie wyłoniła się smukła sylwetka masztu telefonicznego. Maszt był wysoki i ażurowy i miał zamontowany na szczycie odbiornik w kształcie bębna i anteny w kształcie kijów baseballowych. Podstawa masztu była obrosnięta poczerniałymi krzakami i otoczona niskim płotkiem z drutu kolczastego. W oddali widać było zabudowania podobne do farmy Dorothy. Zapewne gospodarstwo jej najbliższego sąsiada. Ziemia pod nogami była twarda i nierówna, pełna zmrożonych grud, które pod jego ciężarem odskakiwały i toczyły się na boki lub kruszyły.

Przy maszcie skręcił na północ. Słońce już się przesunęło i stało teraz wyżej i niemal dokładnie za jego plecami. Do południa została jeszcze godzina. Zimowe słońce w ogóle nie grzało, plama światła była tylko troszkę jaśniejsza od reszty nieba i południe zapowiadało się żałośnie. Daleko na horyzoncie po prawej widać było ciemniejszą plamę. Domyślał się, że to trzy domy Duncanów. Były zbyt daleko, by można było rozpoznać jakieś szczegóły, w każdym razie coś wielkości człowieka. A to znaczyło, że także on z tej odległości jest nie do rozpoznania. Ze wschodu na zachód jest równie daleko, jak z zachodu na wschód. To samo ciemnoszare niebo, ta sama mgiełka. Mimo to zбочzył nieco w lewo i na wszelki wypadek zatoczył łagodny łuk.

• • •

Dorothy posadziła Vincenta na fotelu obitym czerwonym pluszem i obmyła mu twarz z krwi. Miał pękniętą wargę, rozcięty łuk brwiowy i wielkiego sińca pod okiem. Przeprósł ją, że tak długo trwało, nim zadzwonił do niej z ostrzeżeniem, ale na chwilę stracił przytomność. Zadzwonił, gdy tylko doszedł do siebie.

Dorothy burknęła, żeby tyle nie gadał.

Na drugim końcu salonu recepcyjnego leżał przewrócony stół, lustro za barem było stłuczone i odłamki srebrzystego szkła rozsypały się wśród butelek i przypominały minisztylety. Jeden z kubków NASA miał ukruszone ucho.

• • •

Angelo Mancini lewą ręką trzymał lekarza za kołnierzyk od koszuli, prawą miał zaciśniętą w pięść. Żona lekarza siedziała na kolanach Roberta Cassana. Gdy z początku próbowała odmówić, Mancini walnął jej męża w twarz, gdy znów odmówiła, uderzył go mocniej. Skapitulowała i usiadła. Cassano położył rękę na jej udzie, wsuwając kciuk parę centymetrów pod brzeg spódnicy. Zesztywniała ze strachu i odrazy.

– Porozmawiaj ze mną, dziecinko – szepnął jej do ucha. – Powiedz mi, gdzie kazałaś Reacherowi się ukryć?

– Nic mu nie kazałam.

– Spędziłaś u niego dwadzieścia minut. Wczoraj wieczorem. Ten cudak z motelu nam powiedział.

– Nic mu nie powiedziałam.

– To co tam robiłaś przez dwadzieścia minut? Dawłaś dupy?

– Nie!

– A mnie dasz?

Nie odpowiedziała.

– Speszyłaś się? – parsknął Cassano. – Cnotka się znalazła. Kot ci język odgryzł?

Przesunął dłoń parę centymetrów w górę uda i polizał ją po uchu. Szarpnęła się, zgięła w pasie i odchyliła dalej od niego.

– Wróc do mnie, dziecinko – mruknął.

Nie poruszyła się.

– Powiedziałem, wróc do mnie – powtórzył głośniejszym głosem.

Wyprostowała się, a on pomyślał, że chyba za chwilę zwymiotuje. To mu nijak nie pasowało. Nie do jego eleganckich ciuchów. Ale i tak jeszcze raz ją polizał, żeby było jasne, kto tu rządzi. Mancini kolejny raz przywalił lekarzowi, tak dla rozrywki. Podróżują po kraju i załatwiają sprawy, ale w Nebrasce tylko tracą czas. Nikt tu nic nie wie. Wszędzie głuche bezludzie jak na Księżycu i nie ma co robić. Komu by się chciało tu zostawać? Ten cały Reacher na pewno zwiął dawno temu. Pewnie o pierwszym brzasku był już w połowie drogi do Omaha. Uciekł ukradzioną półciężarówką, niezauważony przez miejscowych gliniarzy, którzy pewnie jak zwykle siedzą i pierdzą w stołki. Bo czyż nie przegapili wszystkich dostaw, które regularnie przejeżdżają tędy z Kanady do Vegas? Już od tyłu miesięcy? I żadnej nie wypatrzyli.

Zasrańcy.

Kmioty.

Imbecyle.

Wszyscy bez wyjątku.

Cassano zerwał się na nogi i zrzucił z kolan żonę lekarza, która klapnęła na podłogę. Mancini wymierzył lekarzowi pożegnalną fangę, po czym obaj wyszli i wsiedli do stojącej pod domem impali.

• • •

Reacher utrzymywał bezpieczną odległość od trzech mglistych plam po prawej, brnąc przed siebie. Jak wszyscy żołnierze, przywykł do chodzenia. Czasem długiego forsownego marszu nie da się niczym zastąpić, więc żołnierze przechodzą odpowiednią zaprawę. Tak już było w starożytnym Rzymie, nic się pod tym względem nie zmieniło i nigdy nie zmieni. Czuł, że utrzymuje dobre tempo, w czym niewątpliwie pomagało mu rześkie wiejskie powietrze.

Ale potem wdarła się w nie jakaś nowa woń.

Kawałek dalej widać było kępę zarośli przypominających miniatury las. Kilka krzaków dzikich malin lub dzikich róż, które jakimś cudem uratowały się przed zaoraniem i sterczały teraz uspione, ale nadal gęste i pełne kolców. Z samego środka kępy snuła się wąta, płożąca się nisko strużka dymu. Była niemal niewidoczna w zamglonym powietrzu, ale za to intensywnie pachniała. To nie była woń palącego się drewna ani papierosa.

To był zapach marihuany.

Reacher dobrze go znał. Znają go wszyscy gliniarze, nawet żandarmi wojskowi. Wojacy

lubią sobie po służbie pojechać, jak każdy. Czasem nawet na służbie. Dym pachniał Reacherowi szlachetną odmianą sativy, nie zwykłym sianem szmuglowanym z Meksyku. Pewnie jakaś miejscowa uprawa. Czemu nie? Pola kukurydzy idealnie nadają się na potajemne uprawy konopi. Kukurydza rośnie gęsto i wysoko i wydzielenie wśród niej kilkumetrowego poletka gdzieś w głębi łąnu umożliwia potajemną uprawę, której nikt nie zauważy. Opłacalności takiej uprawy nie da się porównać z uprawą kukurydzy, nawet z uwzględnieniem wszelkich federalnych dopłat. A tutejszym farmerom potrzebna jest gotówka na opłacanie zwózki plonów. Może to ktoś testujący jakość ostatniego zbioru i kalkulujący odpowiednią cenę sprzedaży?

Okazało się jednak, że pali jakiś smarkacz. Piętnasto-, może szesnastolatek. Reacher przedził się przez chaszczę i dostrzegł go w sięgającym piersi gąszczu suchych badyli. Chłopak był dość wysoki, dość chudy, na głowie miał bujną czuprynę z przedziałkiem pośrodku, czego Reacher już dawno nie widział u młodego chłopca. Był ubrany w grube drelichowe spodnie i kurtkę z zachodniemieckiego demobilu. Rozsiadł się na rozciągniętej na ziemi plastikowej torbie na zakupy, trzymając kolana pod brodą i opierając plecy o wystający z ziemi granitowy głaz. Głaz miał klinowaty kształt, jakby się ukruszył od większej całości i przetoczył na nowe miejsce. Zapewne to on spowodował oszczędzenie tego kawałka zarośli przez pługi. Wielkimi ciągnikami nie da się zbyt precyzyjnie kierować i kierowcy wolą z dala omijać takie przeszkody, co przyroda natychmiast wykorzystuje. A teraz korzysta z tego nastolatek, by potajemnie raczyć się trawką. Zapewne nie uprawiał jej w celach komercyjnych. Prędzej już mógł być pełnym zapału amatorem, który w sprzedaży wysyłkowej kupił paczkę nasion z Boulder czy San Francisco.

– Cześć – rzucił Reacher.

– Kurde – mruknął chłopak.

Głos miał spokojny i nie wydawało się, że jest na haju. Co najwyżej unosił się pół metra nad ziemią, nie więcej. Jak doświadczony palacz, który wie, jak dużo jest za dużo i jak mało jest za mało. Proces myślowy miał spowolniony i widać to było na jego twarzy. Z wolna świtającą w głowie pierwszą myśl: mają mnie? I zaraz drugą: a skąd.

– Kurde – powtórzył. – Ty jesteś ten gościu. Ten, co go Duncanowie szukają.

– Tak?

– Jesteś Jack Reacher. – Chłopak pokiwał głową. – Metr dziewięćdziesiąt, sto dwadzieścia kilo, brązowa kurtka. Szukają cię jak cholera. Strasznie im podpadłeś.

– Tak?

– Byli u nas rano chłopaki z Cornhuskers. Mamy wytrzeszczać gały. A tu proszę, sam mi się napatoczyłeś. Znaczy się to ty musiałeś wytrzeszczać gały, nie ja. Mam rację? – Zaczął głupekowo chichotać i Reacher pomyślał, że chyba wyniosło go trochę wyżej niż pół metra.

– Masz może komórkę? – spytał.

– Jasne. Zaraz puszczę SMS do kumpli, że widziałem tego gościa wielkiego jak szafa, dwa razy większego niż w życiu. Słuchaj, może byś chciał z nimi pogadać, co? Ale by dostali pierdolca, nie? Zrobiłbyś to? Pogadałbyś z moimi kumplami? Żeby wiedzieli, że nie wciskam im kitu?

– Nie – rzekł Reacher.

Chłopak spoważniał.

– Kurde, człowieku, jestem za tobą. Musisz się kryć, ja to kapuję. Ale kurde, koleś, nie pękaj. My cię nie zakapujemy. Znaczy się ja i moi kumple. Jesteśmy po twojej stronie. Dałeś popalić Duncanom, więc wszyscy jesteśmy za tobą.

Reacher nic nie powiedział. Chłopak z wysiłkiem skupił myśli, wysunął rękę z chaszczy i podał Reacherowi palącego się skręta.

– Chcesz dyma? – wymamrotał. – To by też był numer. Pojechać z takim gościem.

Skręt był gruby, fachowo skręcony z żółtego papieru i mniej więcej do połowy wypalony.

– Nie, dziękuję – powiedział Reacher.

– Wszyscy ich nienawidzą. Znaczy się Duncanów. Trzymają cały okręg za jaja.

– Pokaż mi okręg, gdzie tego nie ma.

– Kurde, gościu, wiem, co jest grane. Cały system śmierdzi. Nie musisz mi mówić. Ale Duncanowie są gorsi od innych. Zabili dzieciaka. Wiedziałeś o tym? Małą dziewczynkę. Miała

osiem lat. Wzięli i diabelnie ją wymęczyli, a potem zabili.

– Naprawdę?

– No pewno. Absolutnie.

– Jesteś pewny?

– Na bank, koleś.

– To było dwadzieścia pięć lat temu. A ty masz ile, piętnaście?

– Ale tak było.

– FBI było innego zdania.

– Co, tym gnojom wierzysz?

– A komu mam wierzyć? Ćpunowi, którego nie było nawet wtedy na świecie?

– Ale FBI nie słyszało tego, co ja słyszałem, człowieku.

– A co takiego słyszałeś?

– Jej ducha. Wciąż tu jest, po dwudziestu pięciu latach. Czasami sobie tu siedzę w nocy i słyszę, jak ten jej biedny duch jęczy. Jęczy, człowieku, i krzyczy, i skarży się w ciemnościach.

*Nasz statek dobił do brzegu.* Stara, bardzo stara fraza z czasów powszechnego żeglowania, oddająca nadzieję i zachwyty. Zdarzało się, że inwestor wydawał cały majątek na budowę i wyposażenie statku i zatrudnienie załogi, czasem nawet się w tym celu zadłużając. Potem statek wyruszał w ciągnące się latami nieznane, przebywał niewyobrażalne odległości, pływał po niemierzalnych głębiach i napotykał niesłychane niebezpieczeństwa. Brak było jakiegokolwiek łączności z nim. Nie było radia, telefonu, telegrafu, poczty. Żadnych wieści o jego losach. Aż w końcu czasami – choć na pewno nie zawsze – nadchodził ten szczęśliwy moment, gdy wysmagany wiatrami statek powracał, jego żagle na horyzoncie rosły w oczach i głęboko zanurzony kadłub pełen przypraw z Indii, jedwabiu z Chin albo herbaty, albo kawy, albo rumu, albo cukru mozolnie pokonywał wody kanału portowego. Wartość ładunku wystarczała właścicielowi na spłacenie wszystkich długów i zobowiązań i zostawało mu jeszcze na dostatnie życie przez następne dziesięć lat. Kolejne wyprawy przynosiły już tylko czyste zyski i właściciel obrastał w bogactwa, o jakich nigdy wcześniej nie marzył. *Nasz statek dobił do brzegu.*

Jacob Duncan użył tej frazy o jedenastej trzydzięci przed południem, zwracając się do braci w małym pokoiku bez okien na tyłach swojego domu. Jego syn Seth pojechał już do siebie i zostało tylko trzech starszych Duncanów, cierpliwie i spokojnie czekających na wieści.

– Miałem telefon z Vancouver – powiedział. – Nasz człowiek jest już w porcie. Nasz statek dobił do brzegu. Zwłoka wynika z warunków atmosferycznych w cieśninie Luzon.

– Gdzie to jest? – zapytał Jasper.

– Tam, gdzie Morze Południowochińskie spotyka się z Pacyfikiem. Ale nasze cargo jest już na miejscu. Dopłynęli. Transport może wyruszyć jeszcze dziś wieczorem. Najpóźniej jutro rano.

– To dobrze – powiedział Jasper.

– Jesteś pewny?

– A dlaczego nie?

– Sam się martwiłeś, że jeśli załatwią tego obcego, zanim problem z dostawą się rozwiąże, to wyjdziemy na kłamców.

– To prawda. Ale mamy to już z głowy.

– Tak sądzisz? Bo mnie się zdaje, że sytuacja się odwróciła, ale problem pozostał. A jeśli nasz transport dojedzie, zanim dopadną tego obcego? Wtedy też wyjdziemy na kłamców.

– Moglibyśmy wstrzymać dostawę.

– Nie możemy. Zajmujemy się transportem, nie magazynowaniem. Nie mamy takich możliwości.

– To co zrobimy?

– Pomyślimy. Właśnie to robimy. Gdzie teraz jest ten Reacher?

– Nie wiemy.

– Ale wiemy, że od wczoraj nie spał ani nie jadł. Wiemy, że nasi chłopcy od świtu penetrują drogi i nikogo nie widzieli. Więc gdzie się podział?

– Albo się zadekował w jakimś kurniku, albo idzie na przelaj przez pola – powiedział Jonas Duncan.

– Właśnie – rzekł Jacob. – Myślę, że najwyższa pora, żeby nasi chłopcy zjechali z gładkiej szosy i potrzęśli się trochę na polnych wertepach. Niech zrobią parę rund i się rozejrzą.

– Zostało ich już tylko siedmiu.

– Wszyscy mają komórki. Jeśli go zauważą, mogą od razu zawiadomić tych z południa.

Przekazać sprawę zawodowcom. Jeśli będzie trzeba. A przynajmniej będą koordynowali działania. Spuśćmy ich ze smyczy.

• • •



Reacherowi zaczynało się spieszyć. Znajdował się jakieś czterysta metrów na zachód od trzech domów Duncanów i nie miał zamiaru podchodzić ani trochę bliżej. Szedł równolegle do szosy i w oddali widział już drewniane budynki stanowiące cel jego marszu. Z tej odległości były zaledwie brązowymi kropkami na horyzoncie, od których oddzielało go płaskie pustkowie. Absolutna równina. Rozglądał się po niej, wypatrując samochodów. Czuł, że muszą się pojawić. Jego wrogowie objechali już pewnie wszystkie drogi i nie znalazłszy go, doszli do wniosku, że musi iść przez pola. W rezultacie wkrótce skierują na nie swoje psy gończe, o ile już tego nie zrobili. To oczywiste. Wyślą szybkie mobilne patrole, utrzymujące łączność komórkową, a może nawet radiową. Niedobrze.

Minęło pięć minut marszu, potem dziesięć, potem dwadzieścia. Trzy domy Duncanów skryły się za jego ramieniem, ale stodoła i szopa uparcie pozostawały na horyzoncie, choć musiały być bliżej, bo zrobiły się trochę większe. Czterysta metrów dalej z ziemi wyrastała następna kępa chaszczy, ale poza tym nic nie wystawało nawet na centymetr. Reacher musiał być widoczny jak na dłoni i zdawał sobie z tego sprawę.

• • •

Siedzący w Las Vegas Libańczyk imieniem Safir wziął do ręki telefon i wybrał numer. Sześć przecznic dalej odebrał Włoch nazwiskiem Rossi. Safir nie bawił się w ceregiele. Nie miał na to czasu. Jego pierwsze słowa brzmiały: „Wkurwiasz mnie”.

Rossi nie zareagował. Nie mógł, bo tego wymagał protokół. Znajdował się na samym szczycie swojego drzewa, a było to piękne, wysokie i rozłożyste drzewo o sięgających daleko korzeniach i gałęziach. Niestety w lesie rosły jeszcze większe i Safir był jednym z nich.

– Powierzyłem ci swoje interesy – przypomniał z wyrzutem Safir.

– Jestem ci za to bardzo wdzięczny – odrzekł Rossi.

– A teraz przez ciebie muszę się tłumaczyć. – Rossi pomyślał, że mówiąc to, Safir popełnia błąd, bo przyznaje się do słabości. Bo to znaczyło, że mimo swojej wielkości musi się tłumaczyć przed kimś jeszcze większym. Na zasadzie łańcucha pokarmowego. Na samym dole byli Duncanowie, nad nimi Rossi, nad nim Safir, ale nad Safirem jeszcze ktoś. Nieważne kto. Sam fakt istnienia kogoś takiego oznaczał, że Rossi i Safir jadą na tym samym wózku. Mimo bogactwa, władzy i dumy obaj są tylko pośrednikami. Żołnierzami wspólnej sprawy.

– Przecież wiesz, że dostawy tej jakości są trudne do zdobycia – powiedział Rossi.

– Oczekuję dotrzymania danego słowa – odparł Safir.

– Ja też. Obaj jesteśmy ofiarami. Różnica między nami polega na tym, że ja coś w tej sprawie robię. Mam swoich ludzi na miejscu w Nebrasce.

– I co się tam dzieje?

– Podobno ktoś tam węszy.

– Co, jakiś gliniarz? – zaniepokoił się Safir.

– Nie, na pewno nie gliniarz. Kanał przerzutowy jest absolutnie bezpieczny. Jakiś przypadkowy ciekawski. Ktoś zupełnie obcy.

– Kto taki?

– Nikt. Jakaś wścibska menda.

– To jakim cudem wścibski nikt może opóźnić dostawę?

– Tak naprawdę myślę, że to nie on. Myślę, że mnie okłamują. Że szukają wymówki.

Dostawa się opóźnia, i tyle.

– To nie do przyjęcia.

– Zgadza się. Ale to rynek dostawcy.

– Kogo masz na miejscu?

– Dwóch moich chłopaków.

– Wysłałem dwóch moich.

– To nic nie da – powiedział Rossi. – Ja już się tym zajmuję.

– Nie do Nebraski, idioto – parsknął Safir. – Wysłałem dwóch moich ludzi do ciebie, żeby cię przypilnowali. Żebyś poczuł presję. Chcę, żebyś miał absolutną jasność, co się dzieje z takimi,

którzy mnie zawodzą.

• • •

Port Vancouver połączono z Zarządem Portu Rzeki Fraser oraz Zarządem Portu Północnej Fraser i powstały trójczłonowy twór nazwano Metroportem Vancouver. Powstała największa struktura portowa nie tylko w Kanadzie, ale na całym północno-wschodnim Pacyfiku, czwarty co do wielkości port na zachodnim wybrzeżu Ameryki Północnej i piąty w całej Ameryce Północnej. Port rozciąga się na sześciuset kilometrach wybrzeża, ma dwadzieścia pięć oddzielnych terminali i rocznie obsługuje trzy tysiące zawinięć do portu z łącznym tonażem stu milionów ton ładunków, co daje średni dzienny przeładunek grubo ponad ćwierć miliona ton. Niemal wszystkie te tony są pakowane w uniwersalne kontenery, które jak wiele tego typu wynalazków miały swój początek w pracowniach projektowych Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. W tamtych latach amerykański Departament Obrony był jedną z nielicznych agend rządowych na świecie, która miała dość zapału i energii, by coś jeszcze projektować, i jedyną posiadającą wystarczającą siłę przebicia, by te projekty wdrażać.

Uniwersalne kontenery to stalowe skrzynie, które można łatwo przystosować do różnych środków transportu, takich jak statki, platformy kolejowe czy ciągniki naczepowe. Stąd słowo „uniwersalne”. Wszystkie mają nieco ponad osiem stóp wysokości i osiem stóp szerokości. Najkrótsze i najrzadziej spotykane mają długość dwudziestu stóp, większość ma czterdzieści stóp, zdarzają się też o długości czterdziestu pięciu, czterdziestu ośmiu lub pięćdziesięciu trzech stóp. W sensie transportowym jednostką obliczeniową jest zawsze najmniejsza występująca długość i wielkość przewożonego kontenera wyraża się w przeliczeniu na wielokrotność kontenera dwudziestostopowego, w skrócie zwanego TEU od angielskiego *twenty-foot-equivalent-unit*. W ten sposób kontener dwudziestostopowy to jeden TEU, czterdziestostopowy to dwa TEU, i tak dalej. Metroport Vancouver przeładowuje dwa miliony TEU rocznie.

Cargo Duncanów przyplłynęło w dwudziestostopowym kontenerze – najmniejszym z możliwych, o wielkości jednego TEU. Jego waga brutto wynosiła 2771,5 kilograma, waga samego kontenera 2199,9 kilograma, co znaczyło, że do kontenera o ładowności ponad 27 ton zapakowano 571,6 kilograma towaru. Innymi słowy, kontener w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach był pusty. A jednak takie wykorzystanie kontenera nie było tak nieefektywne, na jakie wyglądało, ponieważ każdy gram umieszczonego w nim ładunku był wart więcej niż złoto.

Kontener zdjęto z pokładu południowokoreańskiego statku za pomocą dźwigu suwnicowego i ostrożnie złożono na skrawku kanadyjskiej ziemi, skąd inny dźwig przeniósł go od razu do składu inspekcyjnego, gdzie specjalna kamera odczytała jego kod BIC. BIC to skrót od Bureau International des Containers z siedzibą w Paryżu, natomiast numer kodu jest kombinacją czterech liter łacińskich i siedmiu cyfr. Z kodu komputery Metroportu Vancouver odczytały informację o właścicielu ładunku, porcie nadania i zawartości kontenera, a także uzyskały potwierdzenie, że ładunek przeszedł wstępną kontrolę kanadyjskiego urzędu celnego. W żadnej z tych informacji nie było ani szczypty prawdy. Z kodu komputery portowe dowiadywały się też o miejscu przeznaczenia kontenera i dacie przekazania go dalej, w czym tkwiło ziarno prawdy, choć bardzo niewielkie. Zgodnie z instrukcją kontener miał pojechać w głąb Kanady i w tym celu miano go załadować na platformę ciągnika, który już czekał. Dlatego przekazano go od razu do komory czujnikowej, gdzie sprawdzono cargo na obecność materiałów jądrowych z przemytu. Test został gładko zaliczony i kontener trafił na plac przeładunkowy. W tym momencie komputery portowe wygenerowały automatyczną wiadomość tekstową, która trafiła do czekającego kierowcy ciągnika, a ten od razu uruchomił silnik i podjechał na stanowisko załadunkowe. Kontener opuszczono na platformę i zamocowano, chwilę później ciągnik odjechał, by dziesięć minut później wyjechać za bramę portu. Kierowca ruszył na wschód, ciągnąc przyczepę o długości dwukrotnie przekraczającej długość kontenera o wadze tak znikomej, że dla potężnego silnika dieslowskiego niemal niezauważalnej.

• • •

Reacher przeszedł jeszcze sto metrów, stanął i wykonał pełny obrót, rozglądając się po polu. Pusto przed nim, pusto na zachód i pusto na wschód. Płaskie pustkowie bez śladów jakiegokolwiek aktywności. Ale za nim, daleko na południe, pojawił się jakiś pojazd. Był od niego jakieś półtora kilometra, może trochę więcej. Jechał po polu, podskakując i kolebiąc się na nierównościach, mdłe światło dnia odbijało się tępym blaskiem od chromowanej powłoki zderzaka.

Reacher przykucnął. Jego oliwkowobrązowy ubiór wtapiał się w zimowe oliwkowobrązowe otoczenie. Rozkładające się łodygi i liście, i grudy żyznej ziemi, nadgryzione przez przymrozki i przewiane przez wiatry. W powietrzu wciąż wisiała mgiełka, nieruchoma i niewidoczna niczym najcieńsza naturalna gaza.

Widoczny na południu pojazd z uporem parł do przodu. Dzielące ich pole było ogromne i pojazd znajdował się mniej więcej na jego środku. Poruszał się zakosami, wykonując kolejne skręty: skręt na skos w lewo, jazda kawałek prosto, skręt na skos w prawo i znów jazda przed siebie, za chwilę znów skręt skośnie w lewo i tak bez końca. Kierowca zawzięcie trzymał się raz wytyczonego toru, jakby przeczesywał teren reflektorem.

Reacher wciąż kucnął. Wiedział, że nieruchome obiekty nie przyciągają tak uwagi jak te w ruchu. Ale wiedział też, że w pewnej chwili samochód znajdzie się na tyle blisko, że jadący nim go wypatrzą. To nieuniknione. W którymś momencie będzie musiał się ruszyć. Tylko dokąd? W pobliżu nie było żadnych naturalnych kryjówek. Żadnych pagórków, żadnych drzew, żadnych strumyków. Zupełnie nic. A biegał dość wolno. Z całą pewnością zbyt wolno, by móc wygrać wyścig z samochodem na bezkresnym płaskim terenie.

Pojazd był coraz bliżej, wciąż jeszcze malutki z tej odległości, ale pracy w jego stronę twardo i nieustępliwie. W lewo w skos, prosto, w prawo w skos, prosto. Przy skrętach w prawo w skos ustawiał się przodem do Reachera. Dzielilo ich około kilometra i z tej odległości nie widział jeszcze kierowcy, a to znaczyło, że kierowca nie widzi jego. Jeszcze nie, ale to kwestia czasu. Dojrzy go z odległości mniej więcej dwustu metrów, kiedy jego przykucnięta sylwetka odetnie się od tła. Może stu pięćdziesięciu, jeśli szyba w samochodzie nie jest idealnie czysta. Może stu, jeśli kierowca jest krótkowidzem albo jest tym wszystkim znudzony, albo leniwy. Wtedy nastąpi u niego olśnienie i samochód gwałtownie przyspieszy. Maksymalna szybkość jazdy po polnych wertepach to jakieś pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. A więc minie od siedmiu do piętnastu sekund od chwili, gdy go dojrzy, do zrównania się z nim.

Mało.

Lepiej się ruszyć za wcześnie niż za późno.

Tylko dokąd?

Raz jeszcze się rozejrzał. Nic na prawo. Nic na lewo. Ale trzysta metrów przed nim znajdowała się kępa krzaków, którą wcześniej zauważył. Druga, na jaką się natknął na ponad trzykilometrowym odcinku. Gąszcz krzaków na wysokość piersi, jakby miniaturowy zagajnik z dzikich malin czy dzikich róż, teraz pozbawionych liści i pogrążonych w zimowym śnie, ale nadal pełnych sterczących kolców. Zarośla oszczędzone przez pługi. Pierwsze uchowały się dzięki wielkiemu głazowi w środku. Nie było powodu sądzić, że tu przyczyna może być inna. Żaden rolnik na świecie nie zostawiałby rok po roku kępy dzikich krzewów z miłości do dzikiej przyrody.

To miejsce dla niego.

Trzysta metrów do przebiegnięcia. Przy jego szybkości jakieś sześćdziesiąt sekund.

Tysiąc metrów dla ciężarówki. Przy jej szybkości jakieś siedemdziesiąt sekund.

Dziesięciosekundowy margines bezpieczeństwa.

Nie było się nad czym zastanawiać.

Należało zacząć biec.

Reacher podniósł się z kucek i zaczął przebierać nogami, sadząc sztywne niezgrabne kroki, machając rękami i ciężko dysząc przez otwarte szeroko usta. Dziesięć metrów, dwadzieścia, trzydzieści. Potem czterdzieści, potem pięćdziesiąt. Daleko za plecami usłyszał głośniejszy warkot silnika. Nie oglądając się za siebie, biegł, ślizgając się i potykając, i boleśnie odczuwając swoją powolność.

Jeszcze dwieście metrów.

Nie przestawał biec najszybciej, jak mógł. Słyszał samochód za plecami. Dźwięk silnika był wciąż stłumiony, wciąż pociesząco daleki. Ale szybko się zbliżał. Buczenie silnika, piszczący pasek klinowy, zasysanie powietrza, skrzypiące resory, klapiące opony.

Jeszcze sto metrów.

Zaryzykował spojrzenie do tyłu. Najwyraźniej kierowca się zagapił i był dużo dalej, niż mógłby być. Ale szybko nadrabiał. To SUV, nie samochód osobowy. Produkcji krajowej, nie z importu. Chyba GMC. Ciemnoczerwony, dość wiekowy. Wysoka maska i chromowany zderzak wielkości wanny.

Jeszcze pięćdziesiąt metrów. Dziesięć sekund. Zatrzymał się dwadzieścia metrów przed kępą, odwrócił i znieruchomiał, ciężko dysząc. Rozłożył ręce na boki.

No, bierzcie mnie!

Samochód pędził wprost na niego, ani na chwilę nie zwalniając. Reacher zrobił jeden długi krok w prawo, potem drugi i jeszcze jeden. Wymierzył idealnie. SUV był bezpośrednio przed nim, ukryty głaz znajdował się dokładnie za nim. Pojazd nie przestawał szarżować. Reacher zaczął iść do tyłu, potem biec. Zwinnie na palcach, cały czas mierząc wzrokiem odległość. Samochód wciąż pędził wprost na niego, kolebiąc się i podskakując na nierównościach, silnik wył na wysokich obrotach. Zostało mu jeszcze dwadzieścia metrów, dziesięć, pięć. Poczul na łydkach pierwsze dotknięcie suchych badyli i w tym samym momencie rzucił się w bok, uskakując z toru jazdy samochodu. Potoczył się po ziemi, czekając na mający nastąpić huk uderzenia rozpedzonego samochodu w ukryty głaz.

Nic takiego nie nastąpiło.

Kierowca z całej siły wdepnął hamulec i zatrzymał się niemal w miejscu, ze zderzakiem zagłębionym ledwie na metr w krzakach. Jakiś miejscowy. Musiał wiedzieć, co kryje się w środku. Reacher usłyszał, jak skrzynia biegów zaczyna jęczeć na wstecznym biegu, pojazd wyrwał do tyłu, koła zmieniły kierunek, drążek zmiany biegów został przestawiony na jazdę do przodu i pojazd ruszył wprost na niego, szybki i ogromny. Wielkie opony z terenowym bieżnikiem i białymi zabłoconymi literami na obwodzie zabuksowały, wyrzucając fontanny ziemi. SUV z napędem na cztery koła. Pod maską, sądząc po dźwięku, buczało potężne V8. Leżąc na ziemi, Reacher miał tuż przed sobą elementy zawieszenia, amortyzatory, układ wydechowy, obudowy przekładni różnicowych wielkości piłek futbolowych. Zerwał się, zrobił unik w prawo i rzucił się w lewo. Odtoczył się po ziemi i choć kierowca wykonał ostry skręt, nie zmieścił się i strzelające grudami ziemi koła minęły głowę Reachera o trzydzieści centymetrów. Owionęła go woń gorącego oleju i spalin. Szarzy towarzyszyła kakofonia dźwięków. Warkot silnika, zgrzytanie biegów, skrzypienie resorów. Kierowca wrzucił wsteczny bieg i zaszarżował tyłem. Reacherowi, który zdążył już uklęknąć, zostały sekundy na podjęcie decyzji: co teraz? Ukryć się w krzakach czy uciekać w pole?

Nie było się nad czym zastanawiać.

Wybiegnięcie na otwartą przestrzeń równało się samobójstwu. Samochód poruszał się dość topornie, ale Reacher nie miał szans, by uciekać przed nim na dłuższym odcinku. Nikomu by się nie udało. W końcu każdy opadłby z sił. Zerwał się i skoczył w krzaki. Kolce wczepiły mu się w spodnie, jadący tyłem samochód ruszył w jego stronę, korygując promień skrętu. Kierowca patrzył na niego przez ramię. Potężnie zbudowany osiłek z byczym karkiem, szerokimi barami i krótko obciętą czupryną. Reacher zaczął się przedzierać przez krzaki. Długie kolczaste wąsy szczepiały się i szarpały nogawki u kostek, on jednak parł przed siebie. Kierowca obrócił kierownicę do końca i jeszcze bardziej zawęził skręt, ale zabrakło mu kawałka. Reacher wskoczył w środek jego skrętu i przedzierał się dalej.

Dotarł do głazu.

Był ogromny, dużo większy od pierwszego. Może to właśnie od niego odkruszył się tamten głaz. Tamten miał klinowaty kształt, jakby ktoś odłupał go od macierzystej skały, ten wyglądał właśnie na tę macierzystą skałę. Był jak wielki tort, bez jednego kawałka. Ale nie tak płaski. Bardziej jak pomarańcza, od której oderwano dwie czy trzy części i którą częściowo zagrzebano w ziemi. Może pięćdziesiąt tysięcy lat temu lodowiec przyniósł go tu aż z terytorium Kanady, a potem pod ciężarem miliarda ton zmrożonego śniegu kawałek się ukruszył i przetoczył ponad trzy

kilometry dalej, gdzie przez kolejne stulecia wietrzał i wstawał w nowe miejsce. Ale macierzysta skała pozostała na miejscu i wciąż tu tkwiła, do połowy zagłębiona w żyznej ziemi i też już nieco zwietrzała. Potężna bryła granitu z płytką trójkątną szczeliną z jednej strony, jakby ją ktoś wygryzł. Jakby skała otwierała usta, spoglądając tam, gdzie oddalił się jej mniejszy krewniak. Szczelina miała około trzech metrów szerokości przy wlocie i się zwężała, kończąc się niemal szpiczasto jakieś półtora metra w głąb.

Reacher oparł się plecami o głaz, mając szczelinę z boku za prawym ramieniem. Samochód zawrócił, wyjechał z gąszczu i przez krótką szaloną chwilę Reacher pomyślał, że byczek za kierownicą rezygnuje i odjeżdża, jednak on zatoczył tylko szeroki powolny łuk na miękkiej ziemi i znów zaszarżował, tym razem przodem. Na jego twarzy pojawił się widoczny przez szybę triumfalny uśmiech. Pierwsze łodygi chaszczy położyły się pod naporem chromowanego zderzaka. Kierowca trzymał kierownicę oburącz, dokładnie celując w Reachera.

Miał zamiar przygwoździć jego nogi do skały.

Reacher zaczął się tyłem jak krab wdrapywać na głaz, wpierając dłonie i stopy w chropowatą skałę. Wspiął się na sam wierzchołek i stanął na nim wyprostowany, niepewnie balansując półtora metra nad ziemią. Samochód gwałtownie zahamował nie więcej niż trzy centymetry od powierzchni skały, z maską nieco poniżej stóp Reachera i dachem kabiny nieco powyżej. Szum silnika ścichł do poziomu wolnych obrotów na luzie i Reacher usłyszał cztery głuchoe pyknięcia. Kierowca zablokował od środka wszystkie drzwi, a to znaczyło, że nie jest do końca pewny swego i zabezpiecza się przed wyciągnięciem go ze środka i koniecznością podjęcia walki wręcz. Spryciarz. Wachlarz możliwości Reachera bardzo się w ten sposób zawęził. Mógł wskoczyć na maskę i próbować nogą wybić przednią szybę, ale szkło samochodowe jest dużo wytrzymalsze, niż na to wygląda. Wystarczyło też, by kierowca gwałtownie szarpnął do tyłu i Reacher spadłby z maski, chyba że udałoby mu się złapać za pręt bagażnika dachowego. Ramiona miał jednak zbyt osłabione, by wytrzymać dzikie harce po bezdrożach Nebraski, jakie samochód zacząłby zapewne wyczyniać przy szybkości pięćdziesięciu lub więcej kilometrów na godzinę.

Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

A może nie? Byczek za kierownicą stosował przejrzystą taktykę. Nie użył telefonu i nikogo nie zawiadomił. Chciał osobiście złapać Reachera, by cały splendor spłynął na niego.

Chciał osiągnąć cel, używając SUV-a jako młota i skały jako kowadła. Ale nie będzie zwlekał bez końca. Zawiadomi kumpli, gdy weźmie w nim górę frustracja.

Pora się ruszyć.

Reacher zsunął się po przeciwległej stronie powierzchni głazu i zagłębił w ciernisty gąszcz. Słyszał, jak za jego plecami samochód się wycofuje i objeżdża kępę. Pojawił się po prawej stronie, miażdżąc kołami krzaki i wykonując ciasny skręt, jakby objeżdżał wysepkę na środku jezdnii. Kierowca szarżował wolno, ale nieustępliwie. Reacher udał, że ma zamiar wyskoczyć z zarośli na otwartą przestrzeń, kierowca dał się nabrać i odbił kilkanaście stopni z ciasnego kręgu, ale Reacher gwałtownie zawrócił, przedarł się przez krzaki wokół głazu i wskoczył do szczeliny, wciskając się w nią do samego końca i wpierając ramionami w ukośnie schodzące się ścianki. Kierowca zaważał się na moment, po czym wyrwał do przodu, wykonał ostry zwrot na miękkiej ziemi i ruszył z impetem na Reachera, jadąc na tym samym co poprzednio niskim biegu i z tą samą czujną prędkością. Zostały mu trzy metry, metr, pół metra...

Końce szerokiego zderzaka ze zgrzytem wparły się w boczne ścianki szczeliny i samochód znieruchomiał, stając dokładnie tak, jak Reacher zaplanował. Chromowany zderzak utknął w szczelinie, zamykając trójkątną wyrwę nie dalej jak trzydzieści centymetrów od ud Reachera. Poczul falę gorąca od chłodnicy, wibracje pracującego silnika zaczęły rezonować w jego klatce piersiowej. Owionęły go opary oleju, benzyny i spalin. Oparł ręce na masywnym zderzaku i zaczął się zniżać do pozycji siedzącej. Miał zamiar wsunąć się pod samochód i przeczołgać na plecach nogami do przodu.

Nic z tego.

Kierowcy bardziej zależało na schwytaniu Reachera niż na stanie zderzaka.

Reacher był w połowie drogi do pozycji leżącej, gdy usłyszał, jak kierowca zmienia bieg na

najniższy. Idealny do karczowania drzew. Albo do gięcia chromowanych zderzaków. Silnik zawył, wszystkie cztery koła wryły się w ziemię i pojazd szarpnął do przodu, mając do pokonania tylko opór własnego zderzaka. Oba końce ramy zderzaka zazgrzytały i zderzak zaczął się wolno odginać do tyłu, pozwalając na powolne wciskanie się maski w szczelinę. Dwa centymetry, cztery, osiem. Opony obracały się z wysiłkiem, nieustępliwie wgryzając w podłoże głęboką rzeźbą bieżnika. Zderzak coraz bardziej się odkształcał, zamieniając się pod działaniem momentu obrotowego potężnego silnika V8 w kawałek stalowego złomu.

Środek zderzaka znajdował się już tylko piętnaście centymetrów od klatki piersiowej Reachera.

I wciąż się zbliżał. Końce zderzaka wygięły się i położyły na zamocowanych do ramy stalowych wspornikach, znacznie masywniejszych niż sam zderzak. Silnik zawył głośniejsz i samochód zaczął z całej siły wciskać się w szczelinę, dygocąc i prawie łamiąc zawieszenie. Jedna z przednich opon na moment straciła przyczepność i gwałtownie zabuksowała, wstrzeliwując fontannę ziemi, kamieni i poszarpanych chaszczki do wnętrza nadkola. Samochód szarpnął, zakolebał się i zatańczył, potem jednak opona odzyskała przyczepność, stalowe wsporniki puściły i pojazd szarpnął do przodu.

Był już tylko dziesięć centymetrów od piersi Reachera.

Potem osiem.

Wsporniki odgięły się jeszcze trochę i Reacher poczuł przez kurtkę dotyk gorącego metalu.

Czas się ewakuować.

Odwrócił głowę w bok, przytrzymał się chromowanej ramy zderzaka i wcisnął pod spód, jakby zanurzał się w wodzie. Był już w połowie, gdy stalowa płyta za zderzakiem zaczęła puszczać i giąć się, niemiłosiernie zgrzytając. Wygięcia się zapadły, a profile spłaszczyły. Silnik ryczał, rury wyły, samochód przesunął się o kolejne dwa centymetry i środek zderzaka uderzył Reachera w bok twarzy. Zdołał wcisnąć się pod spód, opierając się jedną ręką o gorący metal, drugą o zimny granit. Machając nogami i zapierając się obcasami, wyprostował je, poszorował tyłkiem po lodygach krzaków i rozplaszczyl się na plecach. Ostatni trójkątny fragment pustej przestrzeni nad jego twarzą zniknął, bo w tym samym momencie błotniki ostatecznie się poddały, resztki zderzaka gwałtownie się zwinęły w skierowany do przodu szpikulec i wcisnęły do końca w szczelinę.

Kierowcy to nie zadowolilo.

Trzymał stopę na wciśniętym do końca pedale gazu i parł dalej. Najwidoczniej nie był pewny, gdzie jest Reacher. Ze swojego miejsca nie mógł go widzieć, ale zapewne miał nadzieję, że udało mu się przyszpilić go do skały. Samochód nadal dygotał, szarpał i przysiadał, nie przestając przeć do przodu. Reacher leżał rozciągnięty płasko, mając buksujące opony po bokach, dygocący układ wydechowy nad sobą i różne ubłocone części metalowe tuż nad twarzą. Wszystko warczało, jęczało i podrygiwało. Jakieś śruby i nakrętki, jakieś rurki i paski. Reacher nie znał się zbyt dobrze na samochodach, nie umiał ich naprawiać i nie umiał ich też psuć. Zresztą i tak nie miał żadnych narzędzi.

A może?

Machinalnie poklepał się po kieszeniach i w jednej z nich poczuł twarde kawałki metalu. W pośpiechu wetknął do niej sztucce Dorothy i zapomniał wyjąć. Nóż, widelec, łyżka. Stare i ciężkie. Wyciągnął je. Wszystkie miały długie kanciaste trzonki z jakiegoś starodawnego gatunku nierdzewnej stali.

Tuż nad nosem miał szeroką płaską płytę osłaniającą spód bloku silnika. Widziana od dołu przypominała płytkie kwadratowe naczynie, czarne i ubłocone. Miska olejowa, domyślił się. Na olej silnikowy. W samym środku dojrzał sześciokątny łeb śruby. Do spuszczenia oleju. Mechanik odkręcał śrubę i spuszczał zużyty olej, potem od góry wlewał świeży.

Tylko że mechanik miałby do tego klucz.

Reacher nie miał.

Silnik wył na najwyższych obrotach. Samochód szarpał i podrygiwał. Reacher przesunął się metr do tyłu, uniósł ręce nad głowę i docisnął trzonek noża z jednej strony łba śruby, trzonek widelca z drugiej. Ścisnął końce palcami wskazującymi i kciukami, używając połowy zapasu siły

na ich dociśnięcie i zostawiając drugą na obrót.

Nic z tego.

Nabrał powietrza, zacisnął zęby i ignorując rwący ból w ramionach, ponowił próbę. Nadal nic. Zmienił koncepcję. Palcem i kciukiem prawej ręki docisnął końce sztućców do boków łba śruby, lewą chwycił za drugie końce i pociągnął.

Śruba drgnęła.

Nieznacznie. Znow nabrał powietrza i ścisnąwszy z taką siłą, że palce mu się spłaszczyły i zbiały, ponowił próbę. Śruba była ciasno wpasowana i niechętnie się obracała, a błoto i piasek na gwincie groziły, że lada chwila może zakleszczyć się na dobre, ale nie przestawał walczyć. Ciągnął spokojnie i równomiernie, skupiając się i ciężko dysząc. Po dwóch i pół obrotu olej z miski musiał spłynąć na gwint, bo nagle opór ustąpił i śruba zaczęła się gładko i lekko obracać. Reacher odrzucił sztućce i wsunął się głębiej pod samochód, potem wyciągnął ręce za siebie i końcami palców wykręcił śrubę do końca. Silnik wciąż pracował na wysokich obrotach i potężne ciśnienie w misce olejowej spowodowało, że olej chlusnął z otworu potężnym, grubym strumieniem, z sykiem rozlewając się po zmarzniętej ziemi, odbijając i obryzgując lepka mazią najbliższe krzaki. Był tak gorący, że aż dymił.

Reacher ułożył ręce wzdłuż ciała i ruchem robaczkowym zaczął sunąć ku tyłowi samochodu. Leżące na ziemi badyłe utrudniały mu zadanie, czepiając się ubrania, szarpiąc go i drapiąc. Uchwycił tylny zderzak i wysunął się spod podwozia. Podniósł się z ziemi, przykucnął i rozejrzał. Szukał kamienia wielkości pięści, by rozbić tylną szybę, ale niczego takiego nie było, ograniczył się więc tylko do walnięcia pięścią w szybę raz i drugi, mocno i jeszcze mocniej, potem odwrócił się i rzucił do ucieczki.



Reacher odbiegł trzydzieści metrów po zmrożonej ziemi i zatrzymał się. Kierowca SUV-a siedział z głową odwróconą do tyłu i z wlepionym w niego wzrokiem nerwowo szarpał dźwignię biegów i kierownicę. Wyjąc na wysokich obrotach, samochód z wysiłkiem wyrwał się ze szczeliny i wolno potoczył do tyłu. Reacher nie wiedział, jak szybko silnik pracujący bez oleju na takich obrotach ulegnie zatarciu.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że bardzo szybko.

Zaczął biec, klucząc. W lewo i w lewo, i jeszcze raz w lewo. Jadący na niskim biegu SUV powtarzał jego manewry, celując w niego poharatany zderzakiem, który żałośnie zwiślał na masce. Przy napędzie ustawionym na maksymalną trakcję opony wgrzyzały się w ziemię i żłobiły koleiny. Kierowca dodał jeszcze gazu i szarpnął kierownicę w lewo, próbując ubiec następny manewr Reachera i rozjechać go w chwili, gdy ten znów zmieni kierunek. On jednak go przechytrzył, skoczył w lewo i pojazd rozminął się z nim o dobre trzy metry.

Samochód zatrzymał się i Reacher zobaczył, że kierowca przestawia dźwignię i silnik zaczyna pracować na zwykłym biegu do jazdy po szosie. Pojazd wykonał szeroki kilkunastometrowy nawrót i z impetem ruszył z powrotem.

Reacher przez chwilę się przyglądał, w ostatniej chwili uskoczył w prawo, w prawo i jeszcze raz w prawo, po czym znów przechytrzył kierowcę, skacząc jeszcze raz w prawo, podczas gdy samochód szarpnął się w lewo i znów chybił. Pokieroszowany przód SUV-a zarył się głęboko w kępę krzaków, spod maski zaczęły dobiegać niepokojące zgrzyty i metaliczne stuki i silnik rozdzwonił się jak niezestrojone dzwonki kościelne. Łożyska, pomyślał Reacher. Na łbach korbowodów. Poznał trochę terminologię techniczną, wielokrotnie przysłuchując się rozmowom mechaników w bazach wojskowych. Dostrzegł panikę na twarzy kierowcy, któremu zaczęły migać lampki alarmowe. Spod maski wystrzelił obłok pary i kłęb niebieskiego dymu.

Samochód raz jeszcze szarpnął do tyłu i wyrwał się z zarośli.

Potoczył się do tyłu po krótkim łuku i stanął, gotowy na zmianę biegu. Bieg został zmieniony, ale samochód już nie ruszył. Wahał się tylko trochę do przodu na resorach i znieruchomiał. Reacher usłyszał rżenie, syk pary i silnik zgasł. Spod maski wydobył się ostatni czarny rozbryzg i głośne kasznięcie, jakby silnik wydawał ostatni dech.

Kierowca siedział w kabinie z zablokowanymi drzwiami.

Reacher znów rozejrzył się za kamieniem i znów bezskutecznie.

Znaleźli się w impasie.

Ale nie na długo.

Reacher miał lepsze pole obserwacji i dojrzał go pierwszy. Ogień pojawił się w szparach między maską a błotnikami, na samym dole z przodu. Początkowo był nieduży i bezbarwny i tylko otaczające go powietrze zaczynało się przegrzewać, a na lakierze pojawiały się pierwsze purchle. Po chwili nabrał żółtawej barwy i zaczął pluć czarnym dymem, szybko się rozprzestrzeniając. W ciągu minuty całą maskę silnika otoczyły jęzory ognia wydobywające się ze wszystkich szczelin. Widać było, jak na bużującym wewnątrz ogniu na całej powierzchni maski zaczyna się gotować i łuszczyć lakier.

Kierowca siedział jak skamieniały.

Reacher podbiegł do drzwi od jego strony i szarpnął za klamkę. Nadal były zablokowane. Załomotał pięścią w szybę i pokazał ręką buchające spod maski płomienie. Zrobił to, choć siedzący w środku mężczyzna musiał już wiedzieć, że jego pojazd się pali. Guma wycieraczek na szybie już się smażyła, po szybie płożyły się warkocze czarnego dymu. Kierowca wlepił w nie przerażony wzrok, spoglądał na Reachera i znów na szybę.

Wyglądało na to, że nie może się zdecydować, czego bardziej się boi: ognia czy Reachera.

Reacher zrobił kilka kroków do tyłu. Rozległ się szcęk zwalnianej blokady i kierowca

wyskoczył z kabiny. Był roslym, potężnie zbudowanym, blisko dwumetrowym młodzieńcem o wadze około stu czterdziestu kilo. Odskoczył na dwa metry i zamarł bez ruchu, z zaciśniętymi pięściami. Za jego plecami płomienie zaczynały już strzelać spod nadkoli przednich kół i rozprzestrzeniać się w dół, liżąc blachy nadwozia. Przednie opony dymiły. Chłopak stał jak skamieniały. Reacher podszedł bliżej, chłopak jakby się ocknął i zamachnął, ale chybił, bo Reacher schylił się, wałnął go w brzuch i złapał za kołnierz. Chłopak skulił się i w obronnym geście wcisnął głowę w ramiona. Reacher szarpnął go w górę i szybko odciągnął w pole na dziesięć, dwanaście, piętnaście metrów. Zatrzymali się, chłopak znów się zamachnął i znów chybił. Reacher zamarkował lewy prosty i wałnął go potężnym prawym sierpowym prosto w ucho. Chłopak zachwiał się, klapnął na tyłek i zamrugał zdumiony. Nagle znalazł się na gołej ziemi pośrodku pustkowia, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc. Dwadzieścia metrów dalej płonął jego samochód, buchające płomienie sięgały już przyokiennych słupków. Przednie opony się paliły, a blacha maski była wygięta od żaru.

– Ile jest benzyny w baku? – zapytał Reacher.

– Nie bij mnie więcej – sapnął chłopak.

– Odpowiedz na pytanie.

– Zatankowałem dziś rano do pełna.

Reacher schylił się, szarpnął go w górę i pociągnął dziesięć metrów dalej od samochodu, następnie jeszcze pięć. Chłopak początkowo dawał się ciągnąć, potem jednak zaparł się nogami i spojrzał na Reachera.

– Proszę, nie bij mnie więcej – jęknął.

– A dlaczego nie? Próbowałeś zabić mnie samochodem.

– Przepraszam.

– Przepraszasz?

– Musiałem to zrobić.

– Wypełniałeś tylko rozkazy?

– Poddaję się, w porządku? Dla mnie walka skończona. Możesz mnie uznać za jeńca wojennego.

– Jesteś ode mnie większy. I młodszy.

– Ale ty jesteś szalony.

– Kto tak powiedział?

– Tak nam powiedzieli. Po wczorajszym wieczorze. Przez ciebie trzech naszych wylądowało w szpitalu.

– Jak ci na imię? – spytał Reacher.

– Brett.

– Co tu jest grane? Wszyscy się tak nazywacie?

– Nie, tylko trzech z nas.

– Trzech na dziesięciu, tak?

– Tak.

– Trzydzieści procent. Niezły wynik.

Chłopak nic nie powiedział.

– Kto wami dowodzi?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Kto ci kazał tu przyjechać i rozjechać mnie samochodem?

– Jacob Duncan.

– Ojciec Setha Duncana?

– Tak.

– Wiesz, gdzie on mieszka?

Chłopak skinął głową i wskazał na południowy wschód, za palącym się SUV-em. Płomienie wdarły się już do środka, szyby popękały, siedzenia się paliły. Nad pojazdem unosił się słup czarnego, gęstego i oleistego dymu. Bił wprost do góry, docierał do poziomu niższego ciśnienia i rozchodził się na boki niczym minigrzyb atomowy.

A potem eksplodował zbiornik z paliwem.

Tył pojazdu uniósł się w pomarańczowej kuli ognia i ułamek sekundy później przez pole przetoczył się głuchy huk i towarzysząca mu fala uderzeniowa tak potężna, że odepchnęła Reachera krok do tyłu, i tak rozżarzona, że sam odskoczył kolejnych kilka kroków. Jęzory ognia wystrzeliły na piętnaście metrów w górę, od razu zgasły i pojazd z hukiem opadł na ziemię. Był już teraz tylko poczeriałym wrakiem w morzu ognia, nad którym wznosił się trzydziestometrowy słup rozżarzonego powietrza.

Reacher przyglądał się przez chwilę w milczeniu, po czym spojrzał na chłopaka.

– Dobra, Brett, teraz posłuchaj mnie uważnie. Pobiegniesz do domu Jacoba Duncana i przekażesz mu trzy wiadomości. Słuchasz mnie?

Chłopak odwrócił wzrok od ognia i spojrzał na Reachera.

– Tak – burknął.

– To dobrze. Po pierwsze, jeśli Duncan chce, może na mnie nasłać pozostałych sześciu chłopaków. Każdemu z nich poświęcę parę minut, ale potem sam go odwiedzę i skopię mu tyłek. Zapamiętałeś?

– Tak.

– Po drugie, jeśli chce oszczędzić zdrowie chłopaków, może się tu zjawić sam i od razu stanąć ze mną twarzą w twarz. Zapamiętałeś?

– Tak.

– I po trzecie, jeśli jeszcze raz zobaczę tych dwóch miastowych oprychów, to wrócą do domu w kawałkach. Wszystko jasne? Zapamiętasz?

– Tak.

– Masz komórkę?

– Tak.

– Daj mi.

Chłopak sięgnął do kieszeni i wyjął telefon komórkowy, czarny i malutki w jego ogromnej czerwonej dłoni. Podał Reacherowi, a ten go otworzył. Widywał telefony komórkowe rozdeptane na chodniku i wiedział, co jest w środku. Bateria i karta SIM. Uniósł przykrywkę, wyciągnął baterię i odrzucił ją pięć metrów w jedną stronę, potem wyjął kartę SIM i odrzucił telefon pięć metrów w drugą. Położył na dłoni kartę – płaski kawałek plastiku z wtopionymi złocistymi stykami – i wyciągnął w stronę chłopaka.

– Zjedz to.

– Co? – zachnął się chłopak.

– Zjedz to. To twoja kara. Za bycie bezużyteczną bryłą sadła.

Chłopak wahał się jeszcze przez chwilę, potem ostrożnie wziął kartę w dwa palce, otworzył usta i położył sobie na języku. Zamknął usta, zebrał trochę śliny i przełknął.

– Otwórz usta – polecił Reacher.

Chłopak otworzył usta i wysunął język. Jak dziecko u lekarza. Na języku niczego nie było.

– A teraz siadaj – polecił Reacher.

– Co?

– Tak jak przedtem.

– Myślałem, że mam biec do Duncanów.

– Masz. Ale jeszcze nie teraz. Dopiero gdy się stąd oddalę.

Chłopak usiadł z twarzą zwróconą na południe, z wyprostowanymi nogami, dłońmi złożonymi na kolanach i korpusem lekko pochylonym do przodu. Widać było, że się boi.

– Ręce za siebie – rozkazał Reacher. – Podeprzyj się.

– Dlaczego?

„Nie zostawia się broni wroga w stanie zdatnym do użytku”.

– Rób, co ci mówię.

Chłopak przełożył ręce do tyłu i oparł na nich ciężar ciała. Reacher stanął za nim i butem nacisnął prawy łokieć. Chłopak padł na wznak i zaczął się przetaczać z boku na bok, wyjąc z bólu. Potem usiadł i podtrzymując drugą ręką złamany łokieć, spojrzał z nienawiścią na Reachera. Ten

znów zaszedł go od tyłu i wymierzył potężnego kopniaka w tył głowy. Chłopak pochylił się najpierw do przodu, a potem – gdy jego pokaźny brzuch uniemożliwił dalszy skłon – upadł na bok. Rozciągnął się na zdrowym ramieniu i zamarł w bezruchu jak wielka litera L, którą ktoś narysował na poplamionej kartce. Reacher odwrócił się i ruszył w stronę widocznych w oddali drewnianych szop.

Kanadyjski ciągnik z przyczepą, na której umieszczono kontener z przesyłką Duncanów, jechał prosto na wschód szosą numer trzy w Kolumbii Brytyjskiej. Po prawej miał ciągnącą się równoległe do szosy granicę ze Stanami Zjednoczonymi, przed sobą prowincję Alberta. Szosa numer trzy to pełna wzniesień i ciasnych zakrętów droga, która biegnie przez wyludnione górskie tereny i niezbyt nadaje się dla długich i ciężkich pojazdów. Dlatego większość kierowców ciężarówek jako dużo lepszą alternatywę wybiera szosę numer jeden, która z Vancouver odchodzi na północ i dopiero potem skręca na wschód. W rezultacie ruch na szosie numer trzy był niewielki i jadąc nią, widziało się tylko długą, niemal pustą wstęgę asfaltu i dziki krajobraz. I od czasu do czasu żwirowe zjazdy na przydrożne parkingi.

Jeden z takich zjazdów znajduje się niecałe dwa kilometry przed granicą Parku Narodowego Waterton Lakes i w skali amerykańskiej leży tuż przy granicy między stanami Waszyngton i Idaho, mniej więcej w połowie drogi między Spokane a Coeur d'Alene, jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów na północ od obu tych miast. Z parkingu roztacza się wspaniały widok: lasy ciągnące się po południowy horyzont, ośnieżone zbocza Gór Skalistych na wschodzie i piękne jeziora na północy. Kierowca ciągnika zjechał na parking, ale nie z zamiarem podziwiania pięknych widoków. Zrobił to, bo tak go wcześniej poinstruowano, a także dlatego, że czekał już tam na niego biały furgon. Duncanowie siedzieli w tym biznesie od dawna, bo byli ostrożni i dopisywało im szczęście. Jedną z naczelnych zasad w ich katalogu środków ostrożności było to, by przeładunek następował jak najszybciej po przekroczeniu granicy celnej. Kontenery da się śledzić, a właściwie dzięki kodowi BIC są jakby specjalnie do tego przystosowane, więc lepiej nie ryzykować, że jakiś podejrzliwy celnik nagle ogłosi spóźniony alarm. Należało w ciągu paru godzin od odprawy przenieść towar do anonimowego, nierzucającego się w oczy środka transportu, którego nikt nie zapamięta. Białe furgony dostawcze należą do najmniej rzucających się w oczy i najtrudniejszych do zapamiętania pojazdów na świecie.

Ciągnik z przyczepą zatrzymał się, furgon podjechał bliżej i ustawił się tak, że pojazdy niemal stykały się tyłami. Obaj kierowcy wysiedli i nie zamieniając ani słowa, wyszli na drogę, by się upewnić, czy nic nie nadjeżdża. Jeden spojrzął na wschód, drugi na zachód. Nic nie jechało, co na tej szosie nie było niczym niezwykłym. Obaj zawrócili do swoich pojazdów i zabrali się do pracy. Kierowca furgonu otworzył tylne drzwi, kierowca ciągnika wspinał się na przyczepę, odciął plastikową plombę, przesunął dźwignie i otworzył drzwi kontenera.

Po minucie cała waga pięćset siedemdziesiąt jeden i sześć dziesiątych kilograma zawartość kontenera znalazła się w skrzyni ładunkowej, po upływie następnej minuty biały furgon już wyjeżdżał na szosę, skręcając na wschód. Chwilę później ciągnik z przyczepą zrobił to samo. Jego kierowca miał zamiar skręcić na północ w szosę dziewięćdziesiątkę, dojechać nią do szosy numer jeden i wrócić dużo wygodniejszą drogą do Vancouver, gdzie zapewne czekało już na niego następne zlecenie. Tym razem pewnie całkiem legalne, co dobrze wpłynie na jego ciśnienie, ale gorzej na zawartość portfela.

• • •

W Las Vegas Libańczyk Safir wybrał dwóch najlepszych ludzi i wysłał do pilnowania Włocha Rossiego, co nie okazało się mądrą decyzją. Jej głupotę przyszło mu odczuć już po niecałej godzinie. Gdy zadzwonił telefon i Safir odebrał, okazało się, że dzwoni Irańczyk nazwiskiem Mahmeini. Mahmeini był klientem Safira, ale w ich relacjach biznesowych brakowało równowagi. Mahmeini był klientem Safira w takim sensie, w jakim król jest klientem królewskiego szewca. Był kimś nieporównanie potężniejszym i ważniejszym, władczym i okazującym wszystkim lekceważenie. Klientem śmiertelnie niebezpiecznym dla szewca, który robi mu niewygodne buty.

Albo nie dotrzyma terminu.

– Miałem dostać zabawki już tydzień temu – warknął Mahmeini.

Safirowi tak zaschło w ustach, że nie mógł wydusić słowa.

– Chciałbym, żebyś spojrział na to z mojego punktu widzenia – ciągnął Mahmeini. – Te zabawki zostały już wcześniej rozdysponowane między poważnych ludzi na poważnych stanowiskach w celu użycia w określonych terminach. Jeśli nie będę mógł ich dotrzymać, poniosę straty.

– Wyrównam je – zachrypiał Safir.

– Jasne, że wyrównasz. I właśnie w tej sprawie dzwonię. Bo to wymaga szerszego omówienia. Moja strata nie będzie jednorazowa. To się będzie ciągnęło. Ucierpi na tym moja reputacja. Bo dlaczego moi odbiorcy mieliby znów mi zaufać? Stracę ich na zawsze jako odbiorców. A to znaczy, że już zawsze będziesz musiał pokrywać moje straty. Praktycznie do końca życia staniesz się moją własnością. Rozumiesz mój punkt widzenia?

– O ile wiem, przesyłka jest już w drodze. – Safirowi nic innego nie przyszło do głowy.

– Z tygodniowym opóźnieniem – zauważył Mahmeini.

– Ja też na tym tracę. I staram się coś z tym zrobić. Kazałem mojemu dostawcy wysłać na miejsce dwóch ludzi. Sam wysłałem dwóch moich ludzi do niego, żeby go przypilnowali.

– Ludzi? – parsknął Mahmeini. – Zatrudniasz ludzi czy gówniarzy?

– To dobrzy ludzie.

– Dopiero się dowiesz, co to są dobrzy ludzie. Wysłałem dwóch moich, żeby cię przypilnowali.

W słuchawce zapadła cisza i Safir z drżeniem serca czekał na pojawienie się dwóch irańskich oprychów w jego biurze, które z własnej głupoty ogołocił z połowy środków bezpieczeństwa. Lepszej połowy.

• • •

Reacher bez przeszkód dotarł do dwóch drewnianych budowli, co go specjalnie nie zdziwiło. Sześciu pozostałych futbolistów i dwóch miastowych oprychów tworzyło mogącą go ścigać ósemkę. Przy założeniu, że dwaj miastowi będą działali razem, dawało to siedem pojazdów mających do spenetrowania obszar wielu setek kilometrów kwadratowych. Jedno przypadkowe spotkanie można było z ich perspektywy uznać za wyjątkowo fortunne. Dwa były wręcz nieprawdopodobne.

Stara stodoła była tak jak poprzednio zamknięta i tak jak poprzednio chyliła się ku upadkowi, a jego półcieżarówka nadal stała ukryta w szopie. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś ją znalazł i próbował coś z nią zrobić. Powietrze w szopie było suche i pachniało kurzem i mysimi odchodami. Wokół cicho i pusto.

Reacher otworzył skrzynkę z narzędziami na pace i przyjrzał się jej zawartości. Największym pozostałym w niej narzędziem był klucz nastawny o długości około trzydziestu centymetrów, wykonany z polerowanego stopu stali. Ważył trochę ponad pół kilo i był produkcji amerykańskiej. Nie najlepsza broń, ale lepsza niż nic. Reacher wsunął go do kieszeni kurtki i przegarnął zawartość skrzynki w poszukiwaniu czegoś jeszcze. Znalazł dwa śrubokręty, jeden przysadzisty gwiazdkowy z gumową rączką, drugi smukły i długi z płaską końcówką do zwykłych śrub. Włożył je do drugiej kieszeni, zamknął skrzynkę i wszedł do kabiny. Uruchomił silnik, wyjechał z szopy i trzymając się wyżłobionych przez traktory kolein, dotarł do szosy. Skręcił na północ i ruszył w kierunku motelu.

• • •

Dwaj mięśniacy Safira wkroczyli do biura Rossiego z pistoletami w kaburach pod pachą i z czarnymi nylonowymi torbami w rękach. Położyli torby na biurku Rossiego i na jego oczach wypakowali zawartość. W pierwszej znajdował się tylko jeden przedmiot, w drugiej dwa. Pierwszym była szlifierka taśmowa z już założoną wstęgą gruboziarnistego papieru ściernego, drugim i trzecim palnik gazowy i rolka samoprzylepnej taśmy izolacyjnej.

Podręczne narzędzia profesjonalistów.

A także jednoznaczny sygnał dla kogoś w rodzaju Rossiego. W jego świetle ofiary rozbierano do naga, mocowano taśmą do krzesła i przykładano szlifierkę do takich delikatnych fragmentów ciała, jak kolana, łokcie czy klatka piersiowa. A nawet twarz. A potem, dla lepszego efektu, zapalano jeszcze palnik.

Nikt nie powiedział ani słowa.

Rossi podniósł słuchawkę i wybrał numer. Po trzech dzwonekach zgłosił się Roberto Cassano w Nebrasce.

– Co się tam, u diabła, dzieje? – warknął Rossi. – To nie może dłużej czekać.

– Uganiamy się za cieniem – poskarżył się Cassano.

– To go złapcie.

– Tylko po co? Skąd wiadomo, że ten facet naprawdę ma z tym coś wspólnego? Sam pan mówił, że to może być tylko wymówka Duncanów. Więc cokolwiek się z nim stanie, ani trochę nie przyspieszy to ani nie opóźni dostawy.

– Zdarzyło ci się kogoś okłamać?

– Nie pana, szefie.

– Kogoś innego?

– Pewnie.

– To wiesz, jak to się robi. Wszystko tak organizujesz, żeby nikt cię nie przyłapał na kłamstwie. I ci skurwiele Duncanowie tak właśnie zrobią. Specjalnie opóźnią dostawę i poczekają, aż złapiecie tego gnoja. Żeby wyszło na to, że cały czas mówili prawdę. Przyczyna i skutek. Więc czy nam się to podoba, czy nie, musimy grać w ich grę. Dlatego macie znaleźć tego zasańca. I to szybko. To nie może dłużej czekać.

Rossi odłożył słuchawkę. Jeden z Libańczyków zabrał się do rozwijania przewodu od szlifierki, po czym schylił się i wetknął wtyczkę do gniazdka. Pstryknął wyłącznikiem, maszyna przez sekundę groźnie zawarczała i zaraz stanęła.

Tak tylko na próbę.

Żeby wszystko było jasne.

• • •

Reacher dotarł do motelu i zaparkował obok zdemolowanego subaru lekarza. Stało w tym samym miejscu, tuż przed domkiem numer sześć. Wysiadł, przykucnął przy wraku i małym śrubokrętem odkręcił tablice rejestracyjne z półciężarówki. Potem to samo zrobił z tablicami subaru i przykręcił je do swojego pojazdu. Zdjęte z półciężarówki tablice wrzucił na pakę, schował śrubokręt do kieszeni i ruszył do głównej rotundy.

Vincent stał za barem, wycierając blat szmatą. Miał podbite oko, opuchniętą wargę i opuchliznę wielkości śliwy na policzku. Jedno z lusterek za jego plecami było rozbite i po podłodze walały się kawałki srebrzystego szkła, strzelając błyskami jak błyskawicami. Spod rozbitego lustra wyzierała stara, pożółkła płyta pilśniowa. Była poklejona kawałkami taśmy, wyglądała dość szpetnie i pogodny wystrój sali mocno ucierpiał.

– Przykro mi, że wpakowałem pana w kłopoty – powiedział Reacher.

– Nocował pan u mnie?

– Naprawdę chce pan wiedzieć?

– Nie, chyba nie chcę.

Reacher rzucił okiem na swoje odbicie w rozbitym lustrze. Jedno ucho – to, które otarł o głaz – było zakrwawione. Na twarzy miał zadrapania od kolców, to samo na rękach i plecach w miejscach, które odsłoniły zadarte do góry koszula i sweter.

– Czy ci dwaj mieli listę miejsc do sprawdzenia? – zapytał.

– Będą pewnie jeździli od domu do domu.

– Czym jeżdżą?

– Czymś z wypożyczalni.

– Kolor?

– Ciemny. Chyba granatowy. I chyba chevrolet, o ile się nie mylę.

– Powiedzieli, kim są?

– Powiedzieli tylko, że reprezentują Duncanów. Tak to nazwali. Przykro mi, że wyspałem Dorothy.

– Poradziła sobie – uspokoił Vincenta Reacher. – Niech się pan nie przejmuję. Miewała w życiu gorsze chwile.

– Tak, wiem.

– Sądzi pan, że to Duncanowie zabili jej dziecko?

– Chciałbym w to wierzyć. To by pasowało do naszego wyobrażenia o nich.

– Tylko co?

– Tylko że nie było żadnych dowodów. Absolutnie żadnych. A przeprowadzono bardzo skrupulatne dochodzenie. Włączyło się w nie kilka różnych instytucji, które podeszły do tego niezwykle profesjonalnie. Wątpię, żeby coś przeoczono.

– A więc tylko zwykły zbieg okoliczności?

– Musiało tak być.

Reacher nie odpowiedział.

– Co pan ma zamiar teraz zrobić? – spytał Vincent.

– Parę rzeczy – odrzekł Reacher. – Gdzieś tak ze trzy. A potem znikam. Jadę do Wirginii.

Wyszedł na parking i wsiadłszy do półciężarówki, uruchomił silnik, wyjechał na szosę i skręcił w kierunku domu lekarza.



Dwaj ludzie Mahmeiniego zjawili się w biurze Safira w Las Vegas jakąś godzinę po wyjściu jego osiłków. Żaden nie imponował posturą. Nie mieli wrzynających się w karki kołnierzyków koszul ani rozsadzających rękawy bicepsów. Obaj byli niscy i żyłaści, ciemnowłosi, potargani i niezbyt czysti. Obaj mieli martwy wzrok i wygniecione ubrania. Safir był Libańczykiem i zetknął się w życiu z wieloma Irańczykami. Na ogół byli miłymi ludźmi, zwłaszcza jeśli przyszło im mieszkać na obczyźnie. Ale zdarzali się też najgorsi z najgorszych. Ci dwaj niczego z sobą nie przynieśli. Żadnych toreb, żadnych narzędzi, żadnych urządzeń. Bo i niczego takiego nie potrzebowali. Safir wiedział, że pod pachami mają broń, a w kieszeniach noże. Bardziej martwiły go noże. Pistolety są szybkie, noże powolne. A ci dwaj potrafili bardzo powoli operować nożami. I bardzo pomysłowo. Safir wiedział o tym z autopsji. Widział na pustyni jedną z ich ofiar. Zwłoki uległy już częściowemu rozkładowi, ale i tak ustalenie płci ofiary zajęło glinom więcej czasu niż zwykle. Czemu trudno się było dziwić. Na zwłokach nie zostały żadne drugorzędne cechy płciowe. Absolutnie żadne.

Safir podniósł słuchawkę i wybrał numer. Po trzech dzwonek zgłosił się jeden z jego osiłków w biurze sześć przecznic dalej.

– Melduj aktualny stan – rzucił Safir do słuchawki.

– Wszystko jest do dupy – oświadczył osiłek.

– To wiem. Ale to mi nie wystarczy.

– Dobra, więc wygląda na to, że dostawcy Rossiego to banda kmiotków z Nebraski, niejacy Duncanowie. Wszyscy się strasznie napalili na jakiegoś frajera, który się tam kręci i węszy. Prawdopodobnie jedno z drugim nie ma nic wspólnego, ale Rossi myśli, że aby uratować twarz, Duncanowie będą zwlekali z dostawą tak długo, aż dopadną tego frajera, bo wcześniej zwalili na niego winę za opóźnienie. Rossi podejrzewa, że to gówno prawda, ale cała sprawa zatoczyła pełny krąg i dlatego sądzi, że póki nie złapią tego gnoja, nic się nie ruszy. Ma tam na miejscu swoich chłopaków, którzy już się tym zajmują.

– Jak intensywnie?

– Pewnie tak intensywnie, jak to możliwe.

– Powiedz Rossiemu, żeby im powiedział, że mają się bardziej postarać. Dużo, dużo bardziej. I upewnij się, że wie, że ja nie żartuję. Jasne? Powiedz mu, że u mnie w biurze też ktoś siedzi. Jeżeli coś mi się stanie, to jemu też się coś stanie, tylko wcześniej i gorzej. Dwa razy gorzej.

• • •

Reacher zapamiętał drogę do domu lekarza z poprzedniego wieczoru. W dziennym świetle okolica wyglądała inaczej. Była bardziej otwarta i mniej tajemnicza. Wystawiona na widok. Drogi były wąskimi wstążkami czarnej bitumicznej nawierzchni, które wystawały nieco ponad gruntowe pobocza, nie były osłonięte żywopłotami ani obrośnięte drzewami. Poranna mgła zdążyła się już podnieść i wisiała teraz nad okolicą w postaci niskich chmur nie więcej jak sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią, przez co całe niebo przypominało równomiernie podświetlony wiszący sufit. Nie było żadnych rozbłysków słońca, żadnych cieni.

Reacherowi udało się dojechać na miejsce bez żadnych problemów. Zwykły wiejski dom, płaska duża działka z ogrodzeniem na metalowych słupkach. Za dnia dom sprawiał wrażenie dość nowego, na dachu sterczała antena satelitarna. W pobliżu nie było żadnych samochodów, zwłaszcza żadnych granatowych chevroletów. A także żadnych sąsiadów. Do najbliższego musiało być z półtora kilometra. Z trzech stron posesję otaczało puste pole, które w stanie zimowego uśpienia czekało na przywrócenie do życia przez wiosenne orki i zasiewy. Wzdłuż czwartego boku ciągnęła się droga, a za nią następne pole, równie puste i płaskie. Lekarz i jego żona nie byli miłośnikami ogrodnictwa, i to rzucało się w oczy. Cała działka była porośnięta trawą, która ciągnęła się od

ogrodzenia aż po fundamenty domu. Żadnych ozdobnych krzewów, żadnych iglaków, żadnych rabatek.

Reacher zaparkował na podjeździe i ruszył w stronę domu. W drzwiach wejściowych umieszczono judasza – małą szklaną soczewkę, wyglądającą jak kropla wody na drewnie. Zabezpieczenie powszechnie używane w mieście, ale niespotykane na wsi. Reacher nacisnął dzwonek i przez długi czas nic się nie działo. Domyślał się, że nie jest tu dziś pierwszym gościem. Pewnie trzecim i pewnie stąd się brało wahanie lekarza i jego żony, czy otworzyć drzwi następnemu. W końcu jednak to zrobili. Szklana kropla na drzwiach na moment pociemniała, znów się rozjaśniła, drzwi się uchyliły i stanęła w nich kobieta poznana poprzedniego wieczoru. Na jej twarzy widać było zdziwienie, ale i ulgę.

– To pan – powiedziała.

– Tak, ja. Nie oni.

– I Bogu dzięki.

– Kiedy tu byli?

– Dziś rano.

– I co zrobili?

Kobieta nie odpowiedziała. Usunęła się tylko na bok i szerzej otworzyła drzwi. Gest milczącego zaproszenia. Reacher wszedł do środka i przeszedł przez hol. Twarz lekarza wystarczyła mu za odpowiedź. Była równie pokiereszowana jak twarz Vincenta z motelu. Podbite oczy, opuchnięte policzki, zaschnięta krew w nosie, popękane wargi. Sądząc po ruchach języka, zapewne także obruszone zęby. Lekarz przeciągał po nich językiem tak, jakby chciał je wcisnąć na miejsce i policzyć, ile mu jeszcze zostało. Pewnie ze cztery ciosy, pomyślał Reacher, wszystkie jednakowo silne, ale każdy w trochę inne miejsce. Ciosy zadawane przez profesjonalistę.

– Wie pan, kim byli ci ludzie? – spytał.

– Nie – odrzekł lekarz. – W każdym razie to nie miejscowi. – Mówił niewyraźnie i trudno go było zrozumieć. Nic dziwnego: ruszające się zęby, popękane wargi. I pewnie do tego kac. – Powiedzieli, że reprezentują Duncanów. Nie, że dla nich pracują. Więc chyba nie bandziory do wynajęcia. Ale nie wiemy, kim są ani co ich tu sprowadziło.

– Czego szukali?

– Pana, oczywiście.

– Bardzo mi przykro z powodu tych wszystkich kłopotów – powiedział Reacher.

– Jest jak jest – rzekł sentencjonalnie lekarz.

– A jak z panią? – Reacher zwrócił się do żony lekarza.

– Mnie nie bili – odrzekła kobieta.

– Tylko co?

– Nie chcę o tym mówić. Po co pan przyszedł?

– Potrzebuję pomocy lekarskiej.

– Jakiego rodzaju?

– Podrapały mnie kolce. Chcę prosić o opatrzenie skaleczeń.

– Serio?

– Nie, niezupełnie. Potrzebne mi środki przeciwbólowe, nic więcej. Moje ręce nie zdążyły odpocząć tak, jak tego chciałem.

– Czego pan naprawdę chce?

– Pogadać – powiedział Reacher.

• • •

Usiedli w kuchni i oboje zajęli się opatrywaniem skaleczeń Reachera głównie po to, by zająć czymś ręce. Żona lekarza poinformowała go, że jest z zawodu pielęgniarką. Wzięła do miseczki jakiś piekący płyn i przetręła skaleczenia wacikami. Zaczęła od twarzy i szyi, potem zajęła się rękami i kazała Reacherowi zdjąć koszulę. Plecy miał podrapane od szorowania po ziemi podczas przepychania się pod SUV-em.

– Jadłem dziś śniadanie u Dorothy. U niej w domu – oznajmił Reacher.

- Nie powinien pan nam tego mówić. Ona może mieć przez to kłopoty.
- Tylko jeśli doniesiecie Duncanom.
- Może być tak, że będziemy musieli.
- Mówiła, że jesteście przyjaciółmi.
- Może nie aż przyjaciółmi. Jest od nas dużo starsza.
- Powiedziała, że dwadzieścia pięć lat temu stanęła pani po jej stronie.

Kobieta zamilkła, ale nie przestała delikatnie dezynfekować skaleczeń na jego plecach. Delikatnie i bardzo sumiennie. Kciukiem i palcem wskazującym rozciągała każde skaleczenie i obficie nasączała płynem.

- Ma pan ochotę się napić? – spytał lekarz.
- Dla mnie za wcześnie – odrzekł Reacher.
- Miałem na myśli kawę. Wczoraj wieczorem pił pan kawę.

Reacher się uśmiechnął. Facet starał się pokazać, że coś jednak pamięta. Że nie był kompletnie zalany i wiedział, co się wokół niego dzieje.

- Filiżanka kawy jest zawsze mile widziana – powiedział.

Lekarz podszedł do zlewu, nalał wody do ekspresu i włączył. Potem wrócił do Reachera i ujął jego dłoń typowym lekarskim gestem: wsunął końce palców do wnętrza dłoni i zaczął oglądać, kręcąc nimi na wszystkie strony. Ręka lekarza była drobna, Reachera wielka i masywna i lekarz zmagał się z nią niczym rzeźnik z udźcem wołowym. Drugą ręką obmacał staw ramieniowy, wciskając w niego palce, wykręcając i szarpiąc.

- Wstrzyknę panu kortyzon – zaproponował.
- A jest mi to potrzebne?
- Pomoże panu.
- Jak bardzo?

– Trochę. Może nawet więcej niż trochę. Powinien się pan zdecydować. Zmniejszy to dyskomfort. Teraz to pana męczy. Pewnie wywołuje uczucie zmęczenia.

- Dobra. – Reacher kiwnął głową. – Niech pan wstrzykuje.
- Wstrzyknę. Ale w zamian za informację.
- Jakiego rodzaju?
- W jakich okolicznościach doszło do urazu?
- Po co to panu?
- Nazwijmy to ciekawością zawodową.

Żona lekarza skończyła swoje zabiegi. Rzuciła ostatni wacik na stół i podała Reacherowi koszulę, a on włożył ją i zaczął zapinać.

- Było tak, jak się pan domyślał – powiedział. – Znalazłem się na drodze huraganu.
- Nie wierzę panu. – Lekarz się skrzywił.
- Nie atmosferycznego. Znajdowałem się w podziemnym pomieszczeniu i wybuchł pożar.

Był jeden szyb ze schodami i dwa wentylacyjne. Miałem szczęście. Płomienie poszły szybami wentylacyjnymi, a ja byłem na schodach, więc mnie nie spaliły. Ale powietrze zasysane przez ogień pędziło w dół szybem ze schodami równie gwałtownie, jak płomień w górę szybów wentylacyjnych. Więc przypominało to walkę z huraganem w trakcie wspinania. Dwukrotnie udało mu się zwać mnie na dół. Nie mogłem utrzymać się na schodkach. W końcu musiałem wciągać się na rękach.

- Jak wysoko?
- Dwieście osiemdziesiąt stopni.
- Kurczę! To musiało się tak skończyć. I gdzie to było?
- To już wykracza poza pańską zawodową ciekawość.
- I co było potem?
- To też wykracza poza pańską zawodową ciekawość.
- Ale niedawno, tak?
- Wydaje się, jakby wczoraj – westchnął Reacher. – A teraz dawaj pan tę igłę.

• • •

Igła okazała się bardzo długa. Lekarz odszedł na chwilę i wrócił ze strzykawką, która – sądząc po wielkości – mogła służyć do szczepienia koni. Kazał Reacherowi zdjąć koszulę i usiąść przy stole z łokciami na blacie, po czym wbił igłę od tyłu w staw. Reacher czuł, jak przepycha się przez kolejne mięśnie i ścięgna. Lekarz zaczął wolno i równomiernie cisnąć tłoczek i Reacher poczuł, jak płyn rozchodzi się po stawie. Ale też niemal natychmiastową ulgę. Mięśnie przestały boleśnie się naprężać i uwierać. Wszystko odbyło się namacalnie w rzeczywistym czasie, jakby gojenie zostało cudownie przyspieszone. Potem lekarz zrobił to samo z drugim stawem. Wszystko odbyło się tak samo i przyniosło taki sam cudowny efekt.

– Wspaniale – mruknął Reacher.

– O czym chciał pan pogadać? – spytał lekarz.

– O starych czasach. Kiedy pańska żona była jeszcze dzieckiem.

Reacher znów się ubrał, wszyscy troje wzięli po kubku świeżo zaparzonej kawy i przenieśli się do pokoju, który okazał się wąskim prostokątnym pomieszczeniem z kompletem wypoczynkowym w kształcie litery L pod dwiema ścianami i wielkim płaskim telewizorem na trzeciej. Pod ekranem stała szafka ze sprzętem audiowizualnym połączonym grubymi kablami w jeden system, po bokach ustawiono dwie duże kolumny głośnikowe. Na czwartej ścianie znajdowało się niczym nieosłonięte okno, z którego roztaczał się wspaniały widok na czterysta hektarów pustkowi. Pograżona w zimowym śnie trawa, ogrodzenie i po horyzont płaskie i puste pola. Żadnych pagórków, żadnych parowów, żadnych drzew, żadnych strumieni. Ale też żadnych samochodów i żadnych patroli. Po prostu pustka. Reacher wybrał fotel, z którego mógł jednocześnie obserwować drzwi i okno. Lekarz usiadł na kanapie, żona obok niego. Widać było, że nie pali się do mówienia.

– Ile pani miała lat, gdy zaginęła córka Dorothy? – zaczął Reacher.

– Czternaście.

– Sześć lat starsza od Seta Duncana?

– Mniej więcej.

– A więc niezupełnie jego grupa wiekowa.

– Niezupełnie.

– Pamięta pani, kiedy się tu zjawił po raz pierwszy?

– Nie bardzo. Miałam wtedy dziesięć, może jedenaście lat. Wywołało to różne komentarze.

Pewnie lepiej pamiętam te komentarze niż samo jego zjawienie.

– I co mówili ludzie?

– A co mogli mówić? Nikt nic nie wiedział. Nie było żadnych informacji. Wszyscy uznali, że to pewnie ktoś z rodziny. Może sierota. Może w innym stanie zdarzył się wypadek, w którym zginęli jego rodzice.

– I Duncanowie nigdy tego nie wyjaśnili?

– Po co mieliby wyjaśniać? To była ich sprawa i niczyja więcej.

– Co się działo po zniknięciu córeczki Dorothy?

– Było strasznie. Prawie tak, jakby ktoś zdradził. Ludzie się zmienili. Wiadomo, że coś takiego wywołuje panikę, ale zakończenie powinno być szczęśliwe. Wszystko powinno się dobrze skończyć. A tu tak nie było.

– Dorothy uważała, że to sprawka Duncanów.

– Tak, wiem.

– Powiedziała mi, że stanęła pani po jej stronie.

– Bo tak było.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie?

– Miała pani czternaście lat – powiedział Reacher. – A ona ile? Ze trzydzieści? Trzydzieści pięć? Prawie dwa razy starsza. Więc to nie był akt solidarności dwóch kobiet czy dwóch matek ani dwóch sąsiadek. Nie w powszechnym rozumieniu. To musiało wziąć się stąd, że pani coś o sprawie wiedziała. Czy tak?

– Dlaczego pan pyta?

– Nazwijmy to zawodową ciekawością.

– To było ćwierć wieku temu.

– Dla Dorothy to jakby wczoraj.

– Nie jest pan tutejszy.

– Wiem – przyznał Reacher. – Jestem tu przejazdem w drodze do Wirginii.

– To niech pan tam pojedzie.

– Nie mogę. Jeszcze nie. Póki się nie upewnię, że Duncanowie naprawdę nie mają z tym nic wspólnego, a nie że tylko im się upiekło.

– Dlaczego tak panu na tym zależy?

– Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale tak jest.

– Duncanom upiekło się wiele rzeczy, może pan mi wierzyć. Codziennie coś im się udaje.

– Te inne sprawy mnie nie obchodzą. Jest mi obojętne, kto zwozi czyje zbiory, kiedy i za ile. Tym możecie zająć się sami. Do tego nie trzeba znajomości techniki raketowej.

– W tamtym roku pracowałam u Duncanów jako opiekunka do dziecka – powiedziała cicho żona lekarza.

– I co z tego?

– Tak naprawdę nie potrzebowali nikogo do opieki. Rzadko gdzieś wychodzili. A ściślej mówiąc, wychodzili bardzo często, ale szybko wracali. Jakby to była jakaś sztuczka czy fortel. A potem długo zwlekali z odwiezieniem mnie do domu. Wyglądało to tak, jakby mi płacili za to, że z nimi siedzę. To znaczy ze wszystkimi czterema, nie tylko z Sethem.

– Ile razy tam pani była?

– Z sześć razy.

– I coś się wydarzyło?

– W jakim sensie?

– Coś niedobrego?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Chodzi panu o to, czy się do mnie dobierali?

– A było tak?

– Nie.

– Czuła się pani zagrożona?

– Trochę.

– Zdarzyło się, że zachowywali się niewłaściwie?

– W zasadzie nie.

– Więc dlaczego po zniknięciu tej dziewczynki stanęła pani po stronie Dorothy?

– Bo tak czułam.

– Co pani czuła?

– Miałam czternaście lat i niewiele rozumiałam. Ale czułam, że coś jest nie tak.

– Wiedziała pani co?

– Powoli do tego doszłam.

– I co to było?

– Byli zawiedzeni, że nie jestem młodsza. Zachowywali się tak, jakbym była dla nich za stara. Bardzo mnie to zraziło.

– Była pani dla nich za stara, mając czternaście lat?

– Tak. I w dodatku nie byłam... no wie pan... bardzo dojrzała. Byłam tylko małą dziewczynką.

– A co się mogło zdarzyć, gdyby pani była młodsza?

– Nawet nie chcę o tym myśleć.

– I podzieliła się pani tymi odczuciami z policją?

– Oczywiście. Wszyscy im wszystko mówili. Gliniarze byli wspaniali. Działo się to dwadzieścia pięć lat temu, ale policja zachowywała się bardzo nowocześnie. Wszystkich traktowali poważnie, nawet dzieci. Słuchali wszystkiego, co kto miał do powiedzenia. Zapewniali nas, że możemy mówić o wszystkim, o sprawach istotnych i duperelach, ważnych i nieważnych, o faktach i pogłoskach. Dlatego wszystko od ludzi wyciągnęli.

– Ale niczego nie udało się dowieść?

Żona lekarza pokręciła głową.

– Duncanowie wyszli z tego czyści jak łąza. Bielutcy jak świeżo spadły śnieg. Aż dziw, że nie dali im Nagrody Nobla.

– A mimo to stanęła pani po stronie Dorothy.

– Wiedziałam, co czuję w środku.  
– Uważa pani, że dochodzenie przeprowadzono jak należy?  
– Miałam wtedy czternaście lat. Co mogłam uważać? Widziałam kręcące się psy i facetów w kurtkach z napisem FBI. Wszystko było jak w telewizji. Więc tak, myślałam, że wszystko jest jak należy.

– A teraz? Z perspektywy czasu?  
– Nigdy nie odnaleziono jej roweru.

• • •

Żona lekarza powiedziała, że większość wiejskich dzieci zaczynała prowadzić stare zdezelowane pick-upy rodziców w wieku około piętnastu lat, niektóre nawet wcześniej, o ile wzrost im na to pozwalał. Młodsze albo niższe jeździły rowerami. Wielkimi turystycznymi rowerami Schwinna z fotografiami baseballistów w szprychach i frędzlami na kierownicach. Odległości były duże i chodzenie pieszo trwałoby za długo. Ośmioletnia Margaret wyjechała z domu znanego Reacherowi i ruszyła drogą, którą Reacher też jechał. Gołe kolana, gołe łokcie, radość i podniecenie w oczach, większy od niej różowy rower. Ani jej, ani roweru nikt już więcej nie widział.

– Cały czas liczyłam, że odnajdą przynajmniej rower – powiedziała żona lekarza. – Wie pan, w przydrożnym rowie, czy gdzieś... W wysokiej trawie. Że będzie tam sobie leżał. Tak się dzieje w telenowelach i zawsze stanowi pierwszą poszlakę. Na miejscu znajdują odcisk buta albo upuszczony przez sprawcę kawałek papieru, albo coś w tym rodzaju. Ale tak się nie stało. Wszystko okazywało się ślepą uliczką.

– Więc do jakiego wniosku pani ostatecznie doszła? Odnośnie do Duncanów. Winni czy niewinni?

– Niewinni. Bo z faktami się nie dyskutuje, prawda?

– A jednak stanęła pani po stronie Dorothy.

– Głównie z uwagi na moje odczucia. Odczucia różnią się od faktów. A częściowo ze względu na nią. Bo to było dla niej straszne. Duncanowie okropnie się panoszyli i ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę, jak dużo w ich życiu od nich zależy. Byli prawie jak policja kontrolująca ludzkie myśli. Najpierw zażądali, żeby Dorothy ich przeprosiła. Nie chciała i wtedy kazali jej się zamknąć i zachowywać tak, jakby nic się nie wydarzyło. Nie wolno jej było nawet nosić żaloby, bo ich zdaniem to by stanowiło znak, że wciąż ich oskarża. Cały okręg bardzo się tym przejął. Było trochę tak, jakby Dorothy powinna była się poświęcić dla dobra ogółu. Jak w tej starej legendzie, kiedy dla dobra wioski matka musi oddać potworowi dziecko.

• • •

Na tym rozmowa się skończyła. Reacher zebrał trzy puste kubki po kawie i zaniósł do kuchni – częściowo przez grzeczność, częściowo, by rzucić okiem na pole z innego okna. Okolica była jak wymarła. Nic nie jechało, nic się nie działo. Chwilę później dołączył do niego lekarz.

– I co pan ma zamiar teraz zrobić? – zapytał.

– Pojechać do Wirginii – odrzekł Reacher.

– Aha.

– Ale z dwoma przystankami po drodze.

– Gdzie?

– Wstąpię na policję w siedzibie władz okręgu. Sto kilometrów na południe stąd. Chciałbym zajrzeć do akt tej sprawy.

– Myśli pan, że wciąż je mają?

Reacher pokiwał głową.

– W sprawie, w której uczestniczy wiele różnych instytucji, wszyscy starają się wypaść jak najlepiej. W rezultacie powstaje bardzo obszerna dokumentacja. I niechętnie się jej pozbywają. Zwłaszcza że, formalnie rzecz biorąc, sprawa wciąż jest otwarta. Wszystkie papiery leżą gdzieś w archiwum. Pewnie z metr sześcienny papierzysek.

– I pozwolą panu do nich zajrzeć? Komuś z ulicy?

– Przez trzynaście lat sam byłem kimś w rodzaju gliniarza. Zwykle udaje mi się dogadać z urzędasami.

– Po co chce pan do tego zaglądać?

– Żeby sprawdzić, czy znajdę jakieś dziury. Jeśli wszystko będzie w porządku, pojedę dalej. Jeśli nie, mogę tu jeszcze wrócić.

– Po co?

– Żeby te dziury wypełnić.

– Jak się pan tam dostanie?

– Sam się odwiozę.

– Jeżdżenie kradzionym pojazdem specjalnie panu nie pomoże.

– Mam na nim pańskie tablice. Nie zorientują się.

– Moje tablice?

– Proszę się nie martwić. Potem znów je zamienię. Jeśli w dokumentacji niczego nie znajdę, zostawię samochód w pobliżu posterunku na prawdziwych tablicach. Prędzej czy później ktoś się kapnie, do kogo należy, i zawiadomi Duncanów. To będzie dla nich dowód, że się już wyniosłem, i dadzą wam wszystkim spokój.

– Miejmy nadzieję. A ten drugi przystanek?

– Gliniarze będą drugim przystankiem. Pierwszy będzie dużo bliżej.

– Gdzie?

– Odwiedzimy żonę Setha Duncana. Pan i ja. Lekarska wizyta domowa. Sprawdzimy, czy wszystko dobrze się goi.



Lekarz od razu się nastroszył. Tej wizyty domowej wolałby nie odbywać. Odwrócił się i zaczął nerwowo krążyć po kuchni, machinalnie obmacując koniuszkami palców swoją pokiereszowaną twarz, wydymając usta i dotykając językiem ruszających się zębów. Na koniec wycedził:

- Ale Seth może być w domu.
- Miejmy nadzieję, że będzie – powiedział Reacher. – Upewnimy się, że jemu też się wszystko goi. A jeśli się okaże, że tak, będę mógł znów mu dołożyć.
- Będą u nich futboliści.
- Nie będą. Wszyscy futboliści kręcą się po polach i mnie szukają. To znaczy ci, którzy jeszcze mogą.
- No, nie wiem...
- Jest pan lekarzem. Złożył pan przysięgę. To pański obowiązek.
- Ale to niebezpieczne.
- Wstawanie rano z łóżka też jest niebezpieczne.
- Jest pan szalony, wie pan o tym?
- Wolę się uważać za sumiennego.

• • •

Reacher i lekarz wsiedli do półciężarówki, wyjechali na szosę i skręcili w prawo. Znajdowali się kilka kilometrów na południe od motelu i kilka na północ od trzech domów Duncanów. Gdy po paru minutach przejeżdżali obok nich, lekarz im się przyjrzał, Reacher też obrzucił je wzrokiem. Obóz wroga. Trzy białe domy, trzy zaparkowane obok samochody, ale poza tym cisza. Reacher przypuszczał, że do tej pory Brett numer dwa zdążył się już z nimi skontaktować. Zakładał też, że jego opowieści wysłuchano i ją odrzucono, uznając ją za efekciarstwo. Ale spalony SUV powinien dać im do myślenia. Duncanowie powoli przegrywali na wszystkich frontach i musieli zdawać sobie z tego sprawę.

Reacher skręcił w lewo, jak wczoraj wieczorem subaru, i pojechał krętą drogą, aż po prawej pojawił się dom Seta Duncana. W świetle dnia wszystko wyglądało tak jak wieczorem przy świetle elektrycznym. Biała skrzynka na listy z napisem „Duncan”, uśpiony na zimę trawnik, stara dwukółka. Długi prosty podjazd, dawny budynek gospodarczy służący za garaż z trzema bramami. Tym razem dwie z nich były otwarte i w mrocznym wnętrzu połyskiwały tyły dwóch samochodów: czerwonego sportowego i bardzo kobiecego, być może mazdy, i bardzo męskiego czarnego cadillaca.

- To samochód Seta – powiedział lekarz.
- Który? – spytał Reacher.
- Cadillac.
- Ładna bryka. Może należałoby ją trochę zdemolować. Wziąłem francuza. Mam to zrobić?
- Nie – sapnął lekarz. – Na litość boską.

Reacher się uśmiechnął, zaparkował tam gdzie wczoraj, po czym obaj wysiedli i odczekali chwilę. Było zimno, warstwa chmur nadal wisiała nisko, od spodu zaczynały się oddzielać pojedyncze strzępy, by ponownie spłynąć na ziemię w postaci popołudniowej i wieczornej mgły. Mglistość powodowała, że powietrze zdawało się migotać jak płyn, wyraźnie widoczne i szaroperłowe.

– Czas na występ – mruknął Reacher i ruszył do wejścia, a lekarz powłókł się parę metrów za nim. Reacher zapukał i po dłuższej chwili usłyszeli szelest kroków na drewnianej podłodze. Lekkich, powolnych i jakby niepewnych. Eleanor.

Otworzyła drzwi i stanęła w progu, trzymając lewą rękę na framudze drzwi i rozczapierzając

palce prawej na przeciwległej ścianie, jakby szukała oparcia. Albo chciała wyciągniętą ręką bronić domu przed zewnętrznym zagrożeniem. Miała na sobie czarną spódnicę i czarny sweter bez żadnych ozdób i bez naszyjnika. Na jej pociemniałych wargach utworzyły się strupy, nos miała spuchnięty, żółtawe sińce były otoczone białą skórą w miejscach, których nie udało jej się zamaskować makijażem.

– To pan – westchnęła.

– Przyprowaździłem lekarza – powiedział Reacher. – Chce sprawdzić, jak się pani miewa. Eleanor Duncan przeniosła wzrok na doktora.

– Wygląda nie lepiej ode mnie. To sprawka Setha czy kćóregoś z chłopaków? W każdym razie przykro mi.

– Ani jego, ani ich – uspokoił ją Reacher. – Wygląda na to, że kręci się tu dwóch obcych oprychów.

Eleanor bez słowa odjęła rękę od ściany i wykonała zapraszający gest.

– Seth jest w domu? – spytał Reacher, wchodząc do środka.

– Dzięki Bogu nie ma.

– Ale jego samochód stoi w garażu – zdziwił się lekarz.

– Przyjechał po niego ojciec i dokąds pojechali.

– Jak długo go nie będzie?

– Nie wiem. Ale wyglądało na to, że mają dużo spraw do omówienia. – Poprowadziła ich do kuchni, gdzie poprzedniego wieczoru była opatrywana, być może nie po raz pierwszy. Usiadła na krześle i uniosła twarz do światła. Lekarz pochylał się i delikatnie dotykając skaleczeń, wypytał ją o ich bolesność, o zęby i bóle głowy. Odpowiadała tak, jak wielu w podobnej sytuacji, starając się bagatelizować swoje obrażenia. Powiedziała, że nos i usta trochę ją jeszcze bolą, i tak, pobolewa ją głowa, i nie, zęby nie są całkiem w porządku. Ale jej mowa specjalnie nie ucierpiała, nie nastąpiła choćby częściowa utrata pamięci, źrenice prawidłowo reagowały na światło. Lekarz sprawiał wrażenie zadowolonego i oznajmił, że wszystko będzie dobrze.

– A jak Seth? – spytał Reacher.

– Zionie nienawością do pana – odparła Eleanor.

– Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

– Jest pan dużo większy od niego.

– A on jest dużo większy od pani.

Zamiast odpowiedzi obrzuciła Reachera przeciągłym spojrzeniem, po czym odwróciła wzrok, jakby nie wiedziała, jak się zachować. Miała niepewny wyraz twarzy – w zrobieniu bardziej ekspresyjnej miny przeszkadzały strupy na wargach i ból opuchniętego nosa. Widać było, że boli ją cała twarz. Reacher pomyślał, że pewnie otrzymała dwa potężne ciosy – pierwszy w nos, drugi niżej, w okolice ust. Pierwszy spowodował silne stłuczenie bez złamania kości nosowej, drugi rozharatał jej usta, nie wybijając zębów.

Dwa ciosy precyzyjnie wymierzone i zadane.

Dzieło zawodowca.

– To nie Seth panią pobił, prawda? – spytał.

– Nie, nie Seth – potwierdziła.

– A kto?

– Powtórzę za panem: wygląda na to, że kręci się tu dwóch obcych oprychów.

– Byli u was w domu?

– Dwukrotnie.

– Po co?

– Nie wiem.

– Co to za jedni?

– Nie mam pojęcia.

– Powiedzieli, że reprezentują Duncanów?

– Nie reprezentują. Duncanowie nie muszą wynajmować oprychów, żeby mnie pobić.

Doskonale radzą sobie sami.

– Ile razy Seth panią pobił?  
– Może z tysiąc.  
– To dobrze. Choć nie dla pani.  
– Ale dobrze dla pańskiego sumienia, tak?  
– Coś w tym rodzaju.  
– Niech pan bije Seta, ile pan chce. Codziennie, całymi dniami. Może go pan stłuc na miazgę. Zapraszam. Mówię poważnie.  
– To dlaczego pani nie odejdzie?  
– Nie wiem. Napisano na te tematy całe tomy i większość z nich czytałam. Tylko że dokąd miałabym odejść?  
– Gdziekolwiek, byle nie być tu.  
– To nie takie proste. To nigdy nie jest proste.  
– Dlaczego?  
– Bo nie, niech mi pan wierzy.  
– To co się naprawdę wydarzyło?  
– Cztery dni temu zjawili się tu dwóch mężczyzn – zaczęła opowieść Eleanor. – Mówili z akcentem ze Wschodniego Wybrzeża. Trochę jakby Włosi. Ubrani w drogie garnitury i płaszcze z kaszmiru. Seth wziął ich do swojej dziupli. Nie słyszałam, o czym tam rozmawiali, ale czułam, że mamy kłopoty. W domu unosił się prawdziwie zwierzęcy smród. Po dwudziestu minutach wszyscy trzej wyszli. Seth zachowywał się bardzo potulnie. Jeden z mężczyzn oświadczył, że kazano im dołożyć Sethowi, ale on wyprosił, żeby zamiast niego zajęli się mną. Początkowo myślałam, że mnie zgwałcą w obecności męża, bo taka panowała atmosfera. Ten zwierzęcy smród. Ale nie, Seth mnie tylko przytrzymał, a oni mnie pobili, najpierw jeden, potem drugi. Po jednym ciosie każdy. W nos i w usta. Wczoraj wieczorem znów się zjawili i wszystko się powtórzyło. A potem Seth pojechał do knajpy. Oto co się wydarzyło.  
– Bardzo pani współczuję – mruknął Reacher.  
– Ja sobie też.  
– Seth nie powiedział pani, kim byli ci ludzie? Albo czego od niego chcieli?  
– Seth nigdy nic mi nie mówi.  
– A nie domyśla się pani?  
– Inwestorzy. – Wzruszyła ramionami. – To znaczy, ci dwaj przyjechali tu w imieniu inwestorów. To jedyne, co mi przychodzi do głowy.  
– Inwestorzy w firmie Duncan Transportation?  
– Tak mi się wydaje. Podejrzewam, że to obecnie niezbyt opłacalny biznes. Benzyna strasznie zdrożała, prawda? Czy ropa, czy na czym tam jeżdżą. W dodatku jest zima, a to musi ujemnie wpływać na ich płynność finansową. Nie mają czego wozić. Ale tak naprawdę, to skąd mam wiedzieć? Wiem tylko, że wiecznie na coś narzekają. A w telewizji słyszę, że banki nie sprzyjają teraz małym firmom. Więc może musieli się zapożyczyć w jakimś nietypowym źródle finansowania.  
– Bardzo nietypowym – stwierdził Reacher. – Tylko skoro to wszystko dotyczy spraw finansowych Duncan Transportation, to dlaczego ci dwaj szukają mnie?  
– A szukają?  
– Tak – wtrącił lekarz. – Szukają. Byli u mnie w domu dziś rano. Cztery razy mi dołożyli i zagrozili, że z żoną obejdą się znacznie gorzej. A jedyne, o co pytali, to gdzie jest Reacher. Podobno to samo było w motelu. Odwiedzili Vincenta. I Dorothy, tę kobietę, która u niego pracuje. Jego gospodynię.  
– To straszne! – sapnęła Eleanor. – I co jej zrobili?  
– Przeżyła.  
– A twoja żona? Jak ona się czuje?  
– Jest wstrząśnięta.  
– Nie potrafię tego wyjaśnić – powiedziała Eleanor.  
– Nic nie wiem o interesach Seta.

– A wie pani cokolwiek o nim samym? – zapytał Reacher.

– To znaczy co?

– To znaczy, kim jest, skąd się tu wziął.

– Chcecie się panowie czegoś napić?

– Nie, dziękuję – powiedział Reacher. – Proszę mi tylko powiedzieć, skąd pochodzi.

– To odwieczne pytanie. Tak jak wielu, został adoptowany.

– Skąd?

– Sam tego nie wie. Myślę, że nawet jego ojciec nie jest do końca pewny. Odbyło się to za pośrednictwem jakiejś organizacji dobroczynnej. Wszystko było owiane mgiełką anonimowości.

– I żadnych opowieści?

– Żadnych.

– Seth nic nie pamięta? Ludzie mówią, że kiedy go tu przywieziono, był w wieku przedszkolnym. Powinien pamiętać, co się z nim działo przedtem, chociaż trochę.

– Nie chce o tym rozmawiać.

– A co z tą zaginioną dziewczynką?

– Drugie odwieczne pytanie. Bóg mi świadkiem, że nie jestem ślepa na wady Setha i jego rodziny, ale o ile wiem, śledztwo federalne oczyściło ich z wszelkich zarzutów. Czy to ludziom nie wystarcza?

– Pani w tym czasie tu nie było?

– Nie. Wychowałam się w Illinois, niedaleko Chicago. Poznałam Setha, kiedy miał dwadzieścia dwa lata. Próbowałam zostać dziennikarką, ale jedyna praca, jaką udało mi się znaleźć, była w redakcji gazety w Lincoln. Napisałam artykuł, oczywiście o cenach kukurydzy, bo o niczym innym się tam nie pisało. Tylko o kukurydzy i o osiągnięciach sportowych tamtejszego college’u. Seth był wtedy nowym dyrektorem naczelnym Duncan Transportation i przeprowadziłam z nim wywiad. A potem poszliśmy na drinka. Początkowo byłam nim zachwycona, ale z czasem coraz mniej.

– Da sobie pani radę?

– A pan? Bo to pana szuka dwóch oprychów.

– Ja stąd wyjeżdżam – oznajmił Reacher. – Jadę na południe, potem skręcam na wschód do Wirginii. Chce się pani ze mną zabrać? Może pani dojechać do międzystanowej i już nigdy tu nie wrócić.

– Nie. – Eleanor Duncan pokręciła głową.

– Na pewno?

– Na pewno.

– No to nie mogę pani pomóc.

– Już mi pan pomógł. Bardziej, niż potrafię to wyrazić. Złamał mu pan nos. Byłam taka szczęśliwa.

– Powinna pani ze mną pojechać – powtórzył Reacher. – Powinna się pani stąd wyrwać. Siedzenie tu i mówienie czegoś takiego to szaleństwo. Skoro tak pani czuje.

– Przetrwam go – rzekła Eleanor. – To chyba moja misja. Przetrwam ich wszystkich.

Reacher nic więcej nie powiedział. Spojrzał na kuchenne sprzęty, które Eleanor odziedziczy, jeśli uda jej się ich przetrwać. Było ich dużo i w dobrym gatunku. Dużo produkcji włoskiej, trochę niemieckiej, trochę krajowej. Oraz kluczyki do cadillaca w szklanej miseczce.

– To do samochodu Setha? – zapytał.

– Tak, do cadillaca – odparła.

– Trzyma go z pełnym bakiem?

– Zazwyczaj. A bo co?

– Bo mam zamiar go ukraść.

– Mam co najmniej godzinę drogi – powiedział Reacher. – Przydałoby mi się coś wygodniejszego niż ciężarówka. Zresztą tę powinien zatrzymać doktor. Może mu się przydać. Do pracy.

– Nie uda się to panu – zachnęła się Eleanor. – Jechałby pan skradzionym autem prosto na policję?

– Nie będą wiedzieli, że jest skradzione. Chyba że Seth ich zawiadomi.

– Oczywiście, że to zrobi.

– Proszę mu powiedzieć, żeby tego nie robił. Niech mu pani powtórzy, że jeśli to zrobi, to wrócę i połamię mu rękę. Niech siedzi cicho i jutro go sobie odbierze. Zostawię go gdzieś po drodze.

– Nie posłucha.

– Posłucha.

– On nikogo nie słucha.

– Tych dwóch oprychów posłuchał.

– Bo ich się boi.

– Mnie też się boi. On się boi wszystkich, proszę mi wierzyć, Seth już taki jest.

Nikt się już nie odezwał. Reacher zabrał z miseczki kluczyki do cadillaca, wręczył lekarzowi kluczyki do półciężarówki i ruszył do wyjścia.

• • •

Seth Duncan siedział przy kuchennym stole w domu ojca, łokieć w łokieć ze stryjem Jonaszem po jednej i stryjem Jasperem po drugiej stronie, mając ojca naprzeciwko. Wszyscy czterej ponuro milczeli, bo nie byli w kuchni sami. Byli z nimi Roberto Cassano oparty o zlew i Angelo Mancini oparty plecami o drzwi. Cassano ostentacyjnie obciągnął koszulę i poprawił jej ułożenie pod paskiem spodni, choć leżała nienagannie. Mancini rozpiął płaszcz i założył do tyłu ręce, jakby chciał rozmasować obolałe od długiej jazdy plecy. W rzeczywistości ich gesty były przemyślane i służyły ukazaniu pistoletów w kaburach pod pachami. Obaj byli uzbrojeni w identyczne colty Double Eagle, półautomatyczne z nierdzewnej stali. Duncanowie dostrzegli broń, zrozumieli przesłanie i zamilkli.

– Wytlumaczcie mi to jeszcze raz – powiedział Cassano. – Wyjaśnijcie mi. Przekonajcie mnie. W jaki sposób ten obcy powoduje opóźnienie dostawy?

– Czyja mówię twojemu szefowi, jak prowadzić interesy? – bąknął Jacob Duncan.

– Pewnie nie.

– Bo to są jego interesy. Na pewno jest w nich tysiąc drobiazgów, o których nie wiem.

I dlatego się nie wtrącam.

– A pan Rossi nie wtrąca się do was. Chyba że zaczynają się kłopoty.

– Zawsze może sobie znaleźć inne źródło dostaw, proszę bardzo.

– I na pewno to zrobi. Ale na razie mamy niezrealizowany kontrakt.

– Zrealizujemy go.

– Kiedy?

– Gdy tylko pozbędziemy się tego obcego.

Cassano pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Musicie, koledzy, zmienić taktykę – wtrącił Mancini. – Obcy kręcił się po terenie, to prawda, ale już się nie kręci. Pojechał dokądś ciężarówką zabraną wczoraj tym dwóm durniom. Gdzieś się zamelinował. Tego należy szukać. Należy od nowa obstać drogę.

• • •

Cadillac Seta Duncana był na tyle nowy, że miał wszelkie najnowsze bajery, i na tyle stary, by można go było nazywać tradycyjnym krążownikiem szos. Nie próbował konkurować z najnowszymi modelami BMW i Mercedesa dla młodych japiszonów, za to komfortem podróży na długich dystansach mógł dorównać samolotom i pociągom, co zawsze wyróżniało cadillaki spośród innych samochodów. Był to wspinały samochód i Reacherowi doskonale się nim jechało. Był długi i szeroki, ważył około dwóch ton, silnik pracował gładko, cicho i bez wysiłku. Pomyślano go tak, by dał się prowadzić jednym palcem ręki i jednym palcem stopy, a kierowca mógł się przy tym relaksować. Miał czarny lakier, czarną skórę i czarne szyby. Z głośników płynęły subtelne dźwięki radia, bak był w trzech czwartych pełny.

Reacher ustawił fotel i zawróciwszy za domem, ostrożnie wyjechał na szosę. Skreślił na południe i zaczął sunąć po asfalcie w otoczce ciszy i spokoju. Krajobraz wokół wciąż był ten sam: prosta pusta szosa z przodu, puste pola po lewej, puste pola po prawej, nisko wiszące chmury nad głową. I żadnego pojazdu w zasięgu wzroku. Piętnaście kilometrów na południe od domu Duncana minął starą, na wpół zrujnowaną gospodę z porośniętym trawą parkingiem. Gospoda była nieczynna i miała okna zabite deskami, dziurawy dach i odrapane ściany z wyzierającymi spod warstwy błota reklamami piwa: Pabst Blue Ribbon i Miller High Life. Poza tym aż po horyzont nie było nic.

• • •

Roberto Cassano wyszedł z domu Jacoba Duncana przez tylne drzwi i oddalił się kawałek po porośniętym trawą żwirze, żeby nikt nie mógł go podsłuchać. Daleko na północy widać było wiszącą chmurę czarnego dymu. Podpalony przez obcego SUV wciąż jeszcze się tlił.

Cassano wybrał numer Rossiego, który odebrał po trzecim dzwonku.

– Trzymają się swojej wersji, szefie – zameldował. – Nie będzie dostawy, póki nie dopadniemy tego obcego.

– Przecież to bez sensu – zachnął się Rossi.

– Nie musi mi pan mówić. Tu jest jak w krainie czarów Alicji.

– Jak mocno ich przycisnęliście?

– Duncanów? To właśnie moje pytanie: jak mocno mamy ich przycisnąć?

W słuchawce zapadła długa cisza. W końcu Rossi westchnął z rezygnacją.

– Problem w tym, że sprowadzają świetny towar – powiedział. – Nigdzie nie znajdę lepszego. Nawet w połowie tak dobrego. Nie możemy ich stracić. W przyszłości znów ich będą potrzebował. I to nie raz i nie dwa. Bez wątplenia.

– Czyli?

– Czyli podejmijcie ich grę. Znajdźcie tego cholernego obcego.

• • •

Lekarz wyszedł od Eleanor Duncan i przyjrzał się zaparkowanej pod domem półciężarówce. Nie miał ochoty do niej wsiadać. Nie miał ochoty nią jeździć. Nie miał ochoty być w niej widziany. Nie miał ochoty nawet się do niej zbliżyć. Należała do Duncanów i zabrano ją im siłą, i to w okolicznościach dość dla nich upokarzających. Dwaj jeżdżący nią futboliści zostali poturbowani i ośmieszeni. Dlatego Duncanowie uznają jej przejęcie za prowokację i srodze go za to ukarzą. Przyjdzie mu za to płacić do końca życia.

Ale jest lekarzem.

I jest trzeźwy.

Niestety, bo dzięki temu musi logicznie myśleć.

Ma swoich pacjentów i swoje obowiązki. Choćby wobec Vincenta z motelu. Ale także Dorothy, gospodyni z motelu. Oboje bardzo ucierpieli. On fizycznie, ona psychicznie. I ma też żonę, która siedzi teraz w domu trzynaście kilometrów stąd, samotna i wystraszona.

Popatrzył na kluczyk w dłoni i pojazd na podjeździe i szybko obmyślił trasę. Może zaparkować za domem Dorothy, tak żeby nikt nie zauważył. Może zaparkować za budynkiem motelu i osiągnąć ten sam efekt. A potem może zostawić wóz gdzieś na polu i wrócić na przelaj do domu.

Jego jeżdżenie sprowadzi się do trzech kilometrów bocznymi drogami i około sześciu szosą.  
Raptem dziesięć minut.  
Nie więcej.  
Nie ma się czym przejmować.  
Chyba nie.  
Wsiadł do szoferki i uruchomił silnik.

• • •

Anonimowy biały furgon dostawczy wciąż jeszcze jechał szosą numer trzy, ale opuścił już teren Kolumbii Brytyjskiej i znajdował się w Albercie, wytrwale przemieszczając się na wschód przez nikogo nieniepokojony. Kierowca nie tylko do nikogo nie dzwonił, ale miał nawet wyłączoną komórkę.

Panowała opinia, że maszty telefonii komórkowej w okolicach czterdziestego dziewiątego równoleżnika są monitorowane przez służby. Rozmowy mogły być podsłuchiwane i rejestrowane, a następnie analizowane. Służby po obu stronach granicy dysponowały komputerami z bardzo specjalistycznym oprogramowaniem. Do wywołania alarmu na granicy wystarczyło wypowiedzenie jednego słowa klucza. Ale nawet bez tego lepiej było nie dostarczać elektronicznych dowodów, że było się w określonym miejscu o określonej porze. Z tych samych powodów za paliwo zawsze płacono gotówką w miejscowej walucie, a płacący starał się mieć podniesiony kołnierz i kapelusz nasunięty na oczy, by utrudnić ewentualną identyfikację z kamer monitoringu.

Furgon niezmordowanie połykał kilometry, jadąc na wschód.

• • •

Rossi rozłączył się po rozmowie z Cassanem i przez pięć minut intensywnie myślał, po czym wybrał numer do biura Safira sześć przecznic dalej, nabrał powietrza i zapytał:

– Widziałeś kiedyś lepszy towar?

– Daj sobie spokój z tą handlową gadką. Już ci się dałem ustrzelić.

– I nigdy tego nie żałowałeś, prawda?

– Właśnie zaczynam.

– Rozumiem – westchnął Rossi. – Dlatego chciałbym coś z tobą przedyskutować.

– Dyskutować mogą równi sobie – burknął Safir. – My nie jesteśmy równi. Ja wydaję polecenia, ty prosisz.

– Dobra, więc chcę cię o coś prosić. Chcę prosić, żebyś zrobił krok do tyłu i coś rozważył.

– Co na przykład?

– Mnie zależy na tej dostawie, tobie zależy na tej dostawie, wszystkim zależy na tej dostawie. Dlatego proszę, żebyśmy zapomnieli o tym, co nas różni, i zjednoczyli wysiłki. Tylko na dzień lub dwa.

– W jakim sensie?

– Moi dostawcy w Nebrasce mają zagwozdkę.

– Wszystko wiem. Moi ludzie już mi powiedzieli.

– Chciałbym, żebyś wysłał ich tam do pomocy.

– Kogo mam wysłać? I gdzie?

– Twoich dwóch ludzi. Do Nebraski. Nie mają po co u mnie siedzieć. Twój interes to także mój interes. A ja już robię w tej sprawie wszystko, co mogę. Dlatego pomyślałem, że twoi ludzie mogliby pomóc moim i wspólnie szybciej rozwiązać problem.

• • •

Lekarz dotarł do gospodarstwa Dorothy przez nikogo niezauważony i zaparkował za domem, tuż obok jej pick-upa. Zastał ją w kuchni przy zmywaniu naczyń. Pewnie po śniadaniu. Tym, na które zaprosiła Reachera. Co z jej strony było szaleństwem.

– Jak się trzymasz? – zapytał.

– W porządku. Ty wyglądasz gorzej ode mnie.

- Przeżyję.
- Jeździsz samochodem Duncanów.
- Wiem.
- To nierozsądne.
- Podobnie jak częstowanie go śniadaniem.
- Był głodny.
- Potrzebujesz czegoś?
- Tak. Chciałabym wiedzieć, jak się to wszystko skończy.
- Pewnie niedobrze. Jest sam. I nie ma pewności, że on też się nie wycofa.
- Wiesz, gdzie jest teraz?
- Tak. Z grubsza.
- To nie mów.
- Nie mówię.
- Powinieneś pojechać do Vincenta – powiedziała Dorothy. – Sprawdzić, co z nim. Mocno go poturbowali.
- Właśnie się wybieram – odrzekł lekarz.

• • •

Safir się rozłączył i zamyślił na długie dziesięć minut, po czym wybrał numer swojego odbiorcy Mahmeiniego, osiem przecznic dalej, nabrał powietrza i powiedział:

- Widziałeś kiedyś lepszy towar?
  - Przejdź do rzeczy – burknął Mahmeini.
  - Łańcuch się zatkał.
  - Łańcuchy się nie zatykają. Zatykają się rury. Łańcuchy mają słabe ogniwa. Chcesz się przyznać, że to ty jesteś słabym ogniwem?
  - Tak mi się tylko powiedziało. Natknęliśmy się na przeszkodę. Zagwozdkę jak z *Paragrafu dwadzieścia dwa*. To wariactwo, ale tak jest.
  - I co dalej?
  - Wszyscy mamy jeden cel. Wszyscy czekamy na dostawę. I nie doczekamy się, póki ta zagwozdką nie zostanie usunięta. Takie są fakty, niestety. Żaden z nas nie może nic w tej sprawie zrobić. Jesteśmy tylko ofiarami. Dlatego proszę o odłożenie na bok wszelkich rozbieżności i wystąpienie razem we wspólnej sprawie. Tylko przez dzień lub dwa.
  - Jak?
  - Chciałbym, żebyś zabrał swoich chłopców z mojego biura i wysłał ich do Nebraski. Ja wysyłam tam swoich. Możemy wspólnie zadziałać i rozwiązać ten problem.
- Mahmeini milczał. Prawda była taka, że tak jak Safir i Rossi – o którego istnieniu dobrze wiedział – też był tylko ogniwem w łańcuchu. Podobnie jak Duncanowie, o których też wszystko wiedział, a także ich kontakt w Vancouver. Wiedział dokładnie, co jest grane. Wykazał się pilnością i odrobił zadanie domowe. Wszyscy stanowili ogniwa jednego łańcucha, tyle że on był ogniwem przedostatnim, drugim od końca, i dlatego odczuwał największy stres. Bo za nim byli już tylko Saudyjczycy, obrzydliwie bogaci i obrzydliwie bezwzględni. A to fatalna kombinacja.
- Dziesięć procent rabatu – powiedział wreszcie do słuchawki.
  - Oczywiście – odparł Safir.
  - Zadzwoń, gdy wszystko zorganizujesz – warknął Mahmeini i się rozłączył.

• • •

Lekarz zaparkował za główną rotundą motelu, w przejściu między półkolistą ścianą a półkolistą palisadą, za którą stały kontenery na odpadki i zbiorniki z propanem, tuż obok starego pontiaka Vincenta. Miejsce nie było najlepsze, bo półciężarówka trochę wystawała i można ją było wypatrzeć i od południa, i od północy, ale nie miał wyboru.

Znalazł Vincenta w salonie barowym. Siedział na jednym z czerwonych pluszowych foteli i nawet nie drgnął na jego widok. Miał podbite oko, rozciętą wargę, opuchliznę wielkości kurzego



jaja na policzku i wyglądał bardzo podobnie do lekarza. Stanowili dobraną parę, jakby jeden był lustrzanym odbiciem drugiego.

– Potrzebujesz czegoś? – spytał lekarz.

– Strasznie boli mnie głowa – odrzekł Vincent.

– Chcesz środek przeciwbólowy?

– Środek przeciwbólowy nic mi nie da. Chcę, żeby to się skończyło. Chcę, żeby ten facet dokończył to, co zaczął.

– Jest już w drodze do Wirginii.

– No to pięknie.

– Powiedział, że po drodze skontaktuje się z policją okręgową. Obiecał też, że jeśli w tych aktach sprzed dwudziestu pięciu lat będą jakieś niejasności, to jeszcze tu wróci.

– To za stara sprawa. Na pewno już się ich pozbyli.

– On twierdzi, że nie.

– Nawet jeśli nie, to nie pozwolą mu do nich zajrzeć.

– On twierdzi, że tak.

– A co on tam może znaleźć, czego inni przed nim nie znaleźli? Czyli tak czy inaczej, już tu nie wróci. Chciał po prostu złagodzić cios. Związał, a to tylko czcza obietnica. Zostawił nas w szambie.

W dziwnym okrągłym salonie zapadła cisza.

– To chcesz czegoś? – spytał po chwili lekarz.

– A ty? Chcesz drinka?

– Wolno ci mnie obsłużyć?

– Trochę późno, żeby się teraz tym przejmować, nie sądzisz? Więc jak, chcesz?

– Nie – odparł lekarz. – Lepiej nie. – Zamilkł i po chwili dodał: – Chociaż może jednego na drogę.

• • •

Safir oddzwonił do Rossiego.

– Należy mi się dwadzieścia procent rabatu – oznajmił.

– W zamian za co? – spytał Rossi.

– W zamian za pomoc. Za wysłanie tam moich ludzi.

– Piętnaście. W końcu sobie też w ten sposób pomagasz.

– Dwadzieścia – powtórzył Safir. – Mówimy nie tylko o moich chłopcach.

– Jak to?

– Ja też mam w biurze dwie niańki. Siedzą tu i słuchają. Już ci to mówiłem, nie? Więc myślisz, że zabiorę od ciebie swoich chłopaków, a oni tu zostaną? Mowy nie ma. Nie wchodzi w rachubę. Dlatego ustaliłem z moim odbiorcą, że oni też tam pojedą. Dzielimy się po równo tym ciężarem. Zresztą w takiej sprawie wszyscy chcemy mieć udział.

Rossi milczał.

– Dobrze – powiedział po chwili. – Bardzo dobrze. Naprawdę wspaniale. Będziemy mieli na miejscu sześciu naszych ludzi. To pozwoli szybko się z tym uporać. Ani się nie obejrzymy, a będzie po wszystkim.

– Podaj namiary.

– Do jakiej takiej cywilizacji w siedzibie władz okręgowych jest sto kilometrów na południe. Jedyne przyzwoite zakwaterowanie to tamtejszy Marriott Courtyard. Moi ludzie też mają tam bazę. Powiadomię ich, że mają wrócić i zarezerwować dodatkowe pokoje. Wszyscy się tam zjadą i będą mogli od razu przystąpić do działania.

• • •

Szosa cały czas była prosta jak strzała. Reacher utrzymywał stałą prędkość około stu kilometrów na godzinę, przejeżdżając nieco ponad półtora kilometra na minutę i nie czując śladu zmęczenia. Po pięćdziesięciu minutach minął stojącą przy drodze knajpę. Niska drewniana szopa

przy prawym poboczu miała w oknach brudne szyby i napisy reklamujące piwo, na niewielkim placu przed wejściem stały trzy samochody, umieszczona nad drzwiami tablica informowała, że knajpa zwie się Oaza. Po następnych dwóch kilometrach dojrzał na horyzoncie pierwsze oznaki cywilizacji: wieżę ciśnień i szyld Texaco, które odcinały się na tle popołudniowego nieba.

Miasteczko było maleńkie i z daleka wyglądało jak rzucona na szachownicę pół garstka klocków.

Kilometr dalej napotkał tablicę informacyjną Izby Handlowej, na której wyliczono pięć różnych sposobów na zostawienie w miasteczku pieniędzy. Jeśli podróżny ma ochotę coś zjeść, może skorzystać z jednego baru restauracyjnego i jednej restauracji. Ich nazwy nic Reacherowi nie mówiły, więc lokale nie należały do żadnych sieci. Jeśli chce zrobić coś z samochodem, w miasteczku jest jeden warsztat naprawczy i jeden zakład oponiarski. Jeśli chce przenocować, do wyboru ma tylko jeden hotel: Marriott Courtyard.

Reacher minął tablicę, zwolnił i się rozejrzał. Z doświadczenia wiedział, że w większości takich miejscowości lokale przy głównej drodze są zarezerwowane dla firm komercyjnych, a instytucje użyteczności publicznej w rodzaju policji czy władz okręgowych mają siedziby przecznice lub dwie w głąb zabudowy. Czasem nawet więcej. Łączyło się to z podatkami. Miasto nie mogło naliczać takiego samego podatku gruntowego za działkę oddaloną od głównej drogi.

Zwolnił jeszcze bardziej i minął pierwszy budynek. Był nim zrobiony z aluminium bar restauracyjny w kształcie wagonu kolejowego, wymieniony na tablicy informacyjnej. Pamiętał też, że wspominała o nim Dorothy. Powiedziała, że wpadają do niego miejscowi gliniarze na poranną kawę i pączki. Widać nie tylko na poranną, bo przed barem stał czarno-biały policyjny dodge. Oprócz niego widać też było dwie typowe farmerskie półciężarówki, obie powgniatane i ubłocone. Po drugiej stronie drogi wznosił się inny element miejskiej infrastruktury: stacja benzynowa Texaco z trzema stanowiskami naprawczymi. Dalej po obu stronach drogi ciągnęły się różnorakie punkty handlowe i usługowe: sklep z artykułami żelaznymi, sklep z alkoholami, bank, warsztat oponiarski, dilerstwo firmy John Deere, sklep spożywczy, apteka. Ulica była szeroka i pełna błota, po obu stronach ciągnęły się wyznaczone ukośnie miejsca parkingowe.

Reacher przejechał przez miasteczko i dotarł do dużego skrzyżowania z tablicą informującą, że szosa w lewo prowadzi do zakładu etanolu, w prawo do szpitala, na wprost do autostrady międzystanowej I-80, do której zostało jeszcze kolejne sto kilometrów. Zawrócił i ruszył z powrotem główną drogą. Odchodziło od niej kilka przecznic w prawo i trzy w lewo. Na rogach widniały tablice z nazwami ulic, wyglądającymi na nazwiska. Pewnie zasłużonych pierwszych osadników, słynnych futbolistów, ich trenerów lub wybitnych plantatorów kukurydzy. Skręcił w pierwszą w prawo. Nazywała się McNally i kawałek dalej stał przy niej hotel Marriott. Była szesnasta, co nieco komplikowało jego plany. Stare akta przechowują albo w budynku policji, albo w oddzielnym archiwum policyjnym. Tak czy owak, mający do nich dostęp urzędnicy kończą pracę o siedemnastej, została mu więc tylko godzina na dotarcie do nich. Nie mógł liczyć na dłużej. Samo zlokalizowanie akt może potrwać pół godziny. Teczka z aktami na pewno będzie gruba i choćby pobieżne przejrzanie zajmie więcej niż pozostałe pół godziny. Będzie musiał zostać do rana.

A może nie?

W każdym razie warto spróbować.

Podjechał bliżej i przyjrzał się hotelowi. Nie był pewny, czym się różnią zwykłe Marriotty od Marriottów Courtyard. Może tym, że pierwsze mieszczą się w wysokościowcach, drugie w niskich pawilonach? W każdym razie tak było w tym przypadku, hotel bowiem zajmował jednopiętrowy pawilon w kształcie litery H. W środkowym łączniku mieścił się hol recepcyjny, w bocznych skrzydłach rozmieszczono pokoje. Z przodu między skrzydłami znajdował się niewielki parking z wyznaczonymi miejscami dla mniej więcej dwudziestu samochodów, z których tylko dwa były zajęte. Tak samo wykorzystano przestrzeń z tyłu budynku. Dwadzieścia miejsc parkingowych i tylko dwa samochody. Hotel wyglądał na pusty. No cóż, zima w samym środku rolniczej głuszy.

Reacher skręcił w pierwszą w lewo i znów ruszył na północ, jadąc ulicą równoległą do głównej drogi i oddaloną od niej o trzy przecznice. Po chwili natknął się na drugą z dwóch restauracji. Specjalizowała się w żeberkach na różne sposoby i chełpiła specjalnym przepisem rodem z Kansas na grillowane żeberka nacierane kompozycją przypraw. Znów skręcił w lewo, wyjechał na główną drogę i wjechał na parking przed barem w kształcie wagonu restauracyjnego. Policyjny radiowóz wciąż tam stał, ale wewnątrz było pustawo. Reacher dostrzegł przez okno dwóch policjantów w mundurach, trzech cywili, kelnerkę i kucharza za kontuarem.

Zamknął cadillaca i wszedł do środka. Gliniarze siedzieli w jednym z przedziałów, zwrócenie do siebie twarzami, jeden mniej więcej w wieku Reachera, drugi młodszy. Obaj mieli szare

mundury z odznakami, dystynkcjami i tabliczkami z nazwiskiem. Na tabliczce starszego widniało nazwisko Hoag. Reacher przeszedł obok niego, po czym odegrał całe przedstawienie: stanął jak wryty, cofnął się i wykrzyknął z niedowierzaniem:

– Ty jesteś Hoag, tak? No nie wierzę!

Gliniarz spojrział na niego spode łba.

– Słucham? – mruknął.

– Pamiętam cię z „Pustynnej Burzy”. Zgadza się? Zatoka, rok dziewięćdziesiąty pierwszy.

Nie myślę się, prawda?

– Przykro mi, przyjacielu, ale będziesz musiał pomóc mojej pamięci – powiedział policjant.

– Od dziewięćdziesiątego pierwszego upłynęło dużo czasu.

Reacher wyciągnął rękę.

– Reacher, sto dziesiąta kompania żandarmerii wojskowej.

Policjant wytarł dłoń o spodnie i pokręcił głową.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek miał z wami do czynienia.

– Naprawdę? Byłbym gotów przysiąc. To może w Arabii Saudyjskiej? Tuż przedtem?

W trakcie „Pustynnej Tarczy”?

– Przed Zatoką byłem w Niemczech.

– Nie, w Niemczech chyba nie. Ale pamiętam nazwisko. I twarz też tak jakby. A może miałeś nad Zatoką brata? Albo kuzyna, albo kogoś z rodziny?

– Pewnie. Mój kuzyn tam był.

– Jest do ciebie podobny?

– Wtedy może był. Trochę.

– No to jesteśmy w domu. Sympatyczny koleś, nie?

– Ujdzie.

– I dzielny żołnierz, o ile dobrze pamiętam.

– Wrócił do domu z Brązową Gwiazdą.

– Wiedziałem. Siódmy korpus, zgadza się?

– Drugi batalion kawalerii pancernej.

– Trzeci pułk?

– Tak.

– Wiedziałem – powtórzył radośnie Reacher. Użył starego fortelu, z którego korzystają wszystkie wróżki świata. Zasypujesz ofiarę niekończącą się serią pytań, wymuszających odpowiedzi typu tak–nie, prawda–nieprawda, i ani się obejrzyysz, a powstanie między wami przekonujące złudzenie intymności. Prosta psychologiczna sztuczka oparta na uważnym słuchaniu odpowiedzi, macaniu i trafnym obstawianiu. Większość ludzi noszących na co dzień tabliczkę z nazwiskiem nie pamięta o tym, że ją ma, przynajmniej na początku rozmowy. A gliniarze w tych stronach to przeważnie byli wojskowi, których liczba znacznie przekracza średnią krajową. A jeśli nawet któryś nie był w wojsku, wszyscy mają liczne rodziny. Wielu braci i kuzynów. Można spokojnie założyć, że któryś z nich odbył służbę wojskową. Dla tego pokolenia „Pustynna Burza” była najważniejszym wyzwaniem wojennym, siódmy korpus był niewątpliwie najliczniejszą formacją bojową, a odznaczony Brązową Gwiazdą żołnierz drugiego batalionu kawalerii pancernej niemal na pewno służył w trzecim pułku, jako że pułk ten stanowił szpicę bojową całej jednostki. Wystarczy znaleźć odpowiedni algorytm i trafnie obstawić. Żadna filozofia.

– I co on teraz porabia? – zapytał Reacher.

– Tony? Wrócił do Lincoln. Dzięki Bogu ominęła go druga tura. Pracuje na kolei. Ma dwóch chłopaków, jednego w gimnazjum, drugiego w college’u.

– To wspaniale. Często się widujecie?

– Od czasu do czasu.

– Koniecznie pozdrów go ode mnie, dobrze? Jack Reacher, sto dziesiąta kompania żandarmerii. Wiesz, jak jeden szczur pustynny z drugim.

– A ty co teraz robisz? Bo na pewno spyta.

– Ja? No cóż, u mnie po staremu, bez zmian.

– Co? Wciąż jeszcze słyszysz?

– Nie. Miałem na myśli to, że wtedy byłem śledczym i nadal nim jestem. Tyle że teraz prywatnym. Pracuję na własny rachunek, nie dla Wujka Sama.

– Tu w Nebrasce?

– Tu tylko czasowo. – Reacher umilkł, po czym jakby go coś olśniło, bo dodał: – Wiesz co? Właściwie to mógłbyś mi nawet pomóc. O ile nie sprawi ci to kłopotu.

– Czego potrzebujesz?

– Jesteście teraz po służbie czy przed?

– Zaczynamy. Czeka nas dziś nocna zmiana.

– Pozwolisz, że się przysiadę?

Gliniarz nazwiskiem Hoag posunął się na kanapce, popiskując plastikiem i skrzypiąc skórą, a Reacher usiadł na zwolnionym miejscu. Było dobrze wygrzane.

– Tego McNally'ego też znałem. Nawiasem mówiąc, też był w drugiej pancерnej. Okazuje się, że ma kumpla, który ma kumpla, który ma ciotkę w tym okręgu. Jest farmerką. Jej córka zaginęła dwadzieścia pięć lat temu. Miała wtedy osiem lat i nikt więcej jej nie widział. Ta ciotka nigdy się z tym nie pogodziła. Sprawę prowadziła twoja policja okręgowa, z koleśkami z FBI dla ozdoby. Kumpeł kumpla McNally'ego podejrzewa, że FBI schrzaniło sprawę. I dlatego McNally zatrudnił mnie do przejrzania akt.

– Sprzed dwudziestu pięciu lat? – zdziwił się Hoag. – Jeszcze mnie tu wtedy nie było.

– Jasne. – Reacher kiwnął głową. – Pewnie obaj byliśmy wtedy w podstawówce.

– I tej małej nigdy nie znaleziono? A więc sprawa wciąż jest otwarta. Całkiem wystygła, ale otwarta. A to z kolei znaczy, że akta pewnie gdzieś jeszcze leżą. I że ktoś może to jeszcze pamiętać.

– Właśnie na to liczy McNally.

– I ma nadzieję dosolic FBI? Nie nam?

– Z tego, co mi wiadomo, wasi ludzie wykonali świetną robotę.

– A co spieprzyło FBI?

– Nie znalazło dzieciaka.

– I co to teraz da?

– Tego nie wiem. Ty mi powiedz. Wiesz, jacy są ludzie. Może niektórym po prostu ulży.

– Dobra – powiedział Hoag. – Sprzedam temat chłopakom. Ktoś się do ciebie odezwie jutro rano.

– A nie ma szans, żeby to ruszyć jeszcze dzisiaj? Gdyby udało mi się z tym uporać do północy, odchudziłoby to rachunek McNally'ego o jedną dobową stawkę. Nie śmierdzi kasą.

– Rezygnujesz z wystawienia wyższego rachunku?

– Wiesz, jak to jest, jeden weteran wojenny drugiemu. Nie mówiąc o tym, że już czeka na mnie inne zlecenie. Muszę jak najszybciej dostać się do Wirginii.

Hoag spojrział na zegarek. Dwadzieścia po czwartej.

– Wszystkie starocie leżą w archiwum w podziemiach budynku władz okręgu. Po siedemnastej nikomu nie wolno tam przebywać.

– A nie dałoby się tego stamtąd wyciągnąć?

– Kurczę, człowieku, strasznie dużo wymagasz.

– Nie potrzebuję akt sądowych. Niepotrzebne mi są dowody materialne, o ile w ogóle jakieś istnieją. Chcę tylko zajrzeć do papierów ze śledztwa.

– Za coś takiego mogą mi nieźle skopać tyłek.

– Chcę je tylko przejrzeć. Co w tym złego? Po jednej nocy wszystko wróci na miejsce. Nikt się nie zorientuje.

– Pewnie jest tego cała kupa. Parę kartonów papierzyk.

– Pomogę ci je dźwigać.

– McNally też służył w drugiej pancерnej? Tak jak Tony?

Reacher skinął głową.

– Tylko że w drugim pułku, nie w trzecim. Nie dorósł do poziomu Tony'ego.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– W Marriottcie. Gdzieżby indziej?

Zapadła cisza. Młodszy z gliniarzy przez cały czas milczał i tylko uważnie im się przyglądał, a Hoag był tego świadom. Mimo to tradycyjne wśród starych wiarusów podejście na zasadzie „kumplowi nie odmówię” wzięło górę nad czujnością, bo spojrzał na Reachera i powiedział:

– No dobra, znam tam jednego. Załatwimy to. Ale lepiej, żeby cię nie widzieli. Czekać na nas, sami ci to dostarczymy.

Reacher pojechał do hotelu i zaparkował cadillaca na samym końcu parkingu za budynkiem, tak by od frontu nie było go widać. Tak było bezpieczniej, gdyby się miało okazać, że Seth nie wytrzymał i roztrąbił całą sprawę. Potem obszedł budynek, wszedł do holu i odczekał, aż recepcjonista skończy rozmawiać przez telefon. Z treści rozmowy wynikało, że przyjmuje od kogoś rezerwację na dwa pokoje. Reacher poprosił o pokój na jedną noc na parterze. Trafił mu się pokój na samym końcu bocznego ramienia H, w bardzo cichym i dogodnym miejscu.

Pokój lśnił czystością i był elegancko urządzony i wyposażony. W wystroju dominowały brązy i zielenie z akcentami z mosiądzu i jasnego drewna. Czterdzieści minut później Hoag i jego partner zajechali pożyczonym vanem, załadowanym jedenastoma kartonami teczek z aktami. Po dalszych pięciu minutach wszystkie jedenaście kartonów znalazło się w pokoju Reachera.

• • •

Parę minut później, sto kilometrów dalej na północ, lekarz opuścił salon recepcyjny motelu. Pogawędził z Vincentem o tym i owym, ale czas zajęło mu głównie wychylenie trzech potrójnych miar jima beama. Dziewięciu porcji burbona w nieco ponad godzinę. Wypity alkohol i zapadający mrok spowodowały, że jego rozglądanie się po okolicy nie było tak skuteczne, jak mogłoby być. Wsiadł do półciężarówki, uruchomił silnik i wyjechał z kryjówki za budynkiem. Zawrócił, przejechał przez parking i wyjechał w prawo na szosę.

Sześciu futbolistów rozdzieliło się i każdy zaczął działać na własną rękę. Dwóch zaparkowało samochody na południowym odcinku szosy, dwóch na północnym, jeden kręcił się po płataninie dróg na południowy wschód od skrzyżowania, szósty wziął na siebie rejon na południowy zachód.

Lekarz nadział się na dwóch pilnujących północnego odcinka szosy.

Nadział się niemal dosłownie. Miał zamiar pozbyć się trefnego pick-upa w pierwszym dogodnym miejscu i wrócić do domu na przełaj przez pola. Rozglądał się, próbując dokładnie ustalić swoją pozycję i znaleźć odpowiednie miejsce na porzucenie pojazdu, ale wypity alkohol bardzo spowalniał jego reakcje. Powrócił wzrokiem do drogi na wprost i uzmysłowił sobie, że za sekundę walnie czołowo w podobną półciężarówkę, która z dwoma kołami na poboczu i dwoma na jezdni stała bez świateł przodem do niego po niewłaściwej stronie szosy. Krążący w żyłach burbon spowodował, że przekazanie sygnału od oczu do mózgu i z mózgu do rąk trwało na tyle długo, iż szarpnąwszy za późno kierownicą, zdał sobie sprawę, że teraz z kolei sunie ukosem na drugą półciężarówkę, zaparkowaną trzydzieści metrów dalej po drugiej stronie jezdni. Z całej siły wdepnął hamulec, wszystkie koła zostały raptownie zablokowane, pojazd wpadł w poślizg i stanął niemal dokładnie w poprzek szosy.

Półciężarówka przed nim ruszyła i zagroziła mu drogę ucieczki do przodu.

Półciężarówka za nim zrobiła to samo i zagroziła drogę do tyłu.

• • •

Mahmeini w Las Vegas zadzwonił na numer komórki. Odebrał ważniejszy z jego dwóch ludzi w biurze Safira, osiem przecnic dalej.

– Zmiana planów – oznajmił. – Jedziecie obaj do Nebraski. Natychmiast. Polecicie naszym firmowym samolotem. Pilot zna szczegóły.

– Jasne – odrzekł mężczyzna.

– To misja dwuzadaniowa – ciągnął Mahmeini. – Zadanie pierwsze polega na znalezieniu tego palanta, o którym wszyscy tyle mówią, i uciszeniu go raz na zawsze. Drugie na nawiązaniu bliższych kontaktów z Duncanami. Zdobądźcie ich zaufanie. A potem zlikwidujcie ludzi Safira i Rossiego, żebyśmy mogli odtąd omijać dwa zbędne ogniwa w łańcuchu. W przyszłości będziemy działali bezpośrednio. Zapewni nam to dużo większe zyski. I dużo lepszą kontrolę.

– Jasne – odrzekł mężczyzna.

• • •

Lekarz tkwił za kierownicą, trzęsąc się ze strachu i od nagłego przyływu adrenaliny. Futbolisci, potężnie zbudowani młodzieńcy w czerwonych bluzach Cornhuskers, wysiedli z samochodów i wolnym krokiem ruszyli w kierunku półciężarówki lekarza, zachodząc jeden od jednej, drugi od drugiej strony. Na moment stanęli po bokach kabiny, milczący i spokojni w przedwiecznym mroku, potem równocześnie szarpnęli drzwi pasażera i kierowcy. Młodzieniec po stronie pasażera ustawił się tak, by uniemożliwić ewentualną próbę ucieczki; młodzieniec po stronie kierowcy sięgnął do środka, złapał lekarza za kołnierz płaszcza i wyciągnął na zewnątrz. Lekarz jak kamień poleciał na asfalt, młodzieniec poderwał go, wymierzył potężny cios w żołądek, potem obrócił i zadał kolejne dwa ciosy w dolną część pleców, w okolicę nerek. Lekarz padł na kolana, pochylił się do przodu i chlusnął burbonem na szosę.

Młodzieniec po stronie pasażera zawrócił do swojego auta i ustawił je jak poprzednio, potem przestawił półciężarówkę lekarza i zaparkował tuż za swoją. Dołączył do kolegi i wspólnymi siłami wepchnęli lekarza do kabiny pojazdu pierwszego młodzieńca. Obaj też wsiedli i ruszyli w drogę z lekarzem sprasowanym między nimi na trzymiejscowej kanapie. Siedząc z brodą

opuszczoną na piersi, lekarz nie potrafił opanować dygotu.

•••

Siedzący w swoim biurze w Las Vegas Safir zadzwonił na komórkę. Odebrał jego człowiek w biurze Rossiego, sześć przecznic dalej.

– Zmieniło się – poinformował Safir. – Wysyłam was obu do Nebraski. Przefaksuję szczegóły na lotnisko.

– Jasne – odrzekł jego człowiek.

– Spotkacie się w hotelu z ludźmi Rossiego. Mahmeini też wysyła dwóch swoich. Będziecie w szóstkę współpracowali aż do ostatecznego wyeliminowania tego obcego. Ale równocześnie staraj się zbliżyć do Duncanów. Zbuduj przyjazne relacje. Potem zlikwidujcie ludzi Rossiego. W ten sposób znajdziemy się o krok bliżej matczynego cycka i podwoimy zyski.

– Jasne – odrzekł jego człowiek.

– A jeśli nadarzy się okazja, sprzątnijcie też ludzi Mahmeiniego. Myślę, że uda mi się dotrzeć do jego odbiorcy. Bo gdzie indziej znajdzie taki towar? Moglibyśmy czterokrotnie zwiększyć nasze zyski.

– Jasne, szefie.

•••

Młodzieńcy przejechali osiem kilometrów i skręcili na podjazd do domów Duncanów. Wyczuwszy zmianę szybkości i kierunku jazdy, lekarz uniósł głowę i westchnął boleśnie. Wymamrotał coś pod nosem, zamknął oczy i znów opuścił brodę na piersi. Młodzieniec po prawej dziabnął go łokciem w żebra.

– Musisz popracować nad dykcją, kolego – parsknął. – Będziesz miał dużo do opowiadania.

Podjechali z fasonem pod sam dom i zatrzymali się w poczuciu dobrze wypełnionej misji. Wyszli i pociągnęli za sobą swoją zdobycz. Podeszli do drzwi domu Jacoba Duncana i zapukali. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich gospodarz. Jeden z młodzieńców położył rękę na plecach lekarza, pchnął go do środka i zameldował:

– Siedział za kierownicą naszego wozu. Założył na niego swoje własne pieprzone tablice.

Jacob Duncan zmierzył lekarza wzrokiem, nie odrywając od niego oczu przez długie dziesięć sekund, potem uniósł rękę i poklepał lekko po policzku. Twarz lekarza była pobladła, wilgotna i lepka, podrapana i sina. Potem chwycił go za koszulę na piersiach, szarpnął i wciągnąwszy głębiej do holu, odwrócił i pchnął tyłem w stronę kuchni, jakby wtrącał więźnia do celi.

Zanim wszedł do kuchni, odwrócił się do młodzieńców i rzucił:

– Dobra robota, chłopcy. Teraz idźcie i ją dokończcie. Znajdźcie Reachera. Widać znów polazł gdzieś pieszo. Jeśli doktorek wie dokąd, szybko to z niego wydobędziemy i was powiadomimy. Ale nie traćcie czasu i już zacznijcie go szukać.

•••

Roberto Cassano nadal siedział w kuchni Jacoba Duncana, Angelo Mancini nadal mu towarzyszył. Popatrzyli na chwiejącą się ze strachu i od alkoholu żalostną postać lekarza, na którego twarzy widoczne były ślady po niedawnym spotkaniu z Mancinim. I wtedy zadzwonił telefon. Cassano rzucił okiem na wyświetlacz i stwierdziwszy, że to Rossi, wyszedł na dwór, odszedł parę kroków po wyżwirowanym podwórku i dopiero wtedy nacisnął przycisk „Odbierz”.

– Pojawiły się komplikacje – oznajmił Rossi.

– Mianowicie? – spytał Cassano.

– Musiałem trochę uspokoić sprawę po tej stronie. Zaczynały wymykać się spod kontroli. Musiałem się dogadać, zmienić trochę układ. Żeby się długo nie rozwodzić: jadą do was posiłki. Dwóch ludzi Safira i dwóch Mahmeiniego.

– To powinno przyspieszyć sprawę.

– Początkowo – potwierdził Rossi. – Ale potem zaczną się schody. Stawiam dziesięć do



jednego, że przyjadą z poleceniem wycięcia nas z łańcucha. Przypuszczam, że Mahmeini spróbuje też odciąć Safira. Dlatego nie możesz dopuścić, żeby któryś z nich zanadto zbliżył się do Duncanów. Ani na chwilę. Nie pozwól, żeby Duncanowie się z nimi zaprzyjaźnili. I uważaj na każdy swój krok od chwili, gdy pozbędziecie się obcego. Będziesz na celownikach czterech luf.

– Jak mamy to rozegrać?

– Macie przeżyć. I zachować kontrolę.

– Jak daleko możemy się posunąć?

– Na pewno możecie sprzątnąć ludzi Safira. W ten sposób wyeliminujemy jedno ogniwo i będziemy mogli dostarczać Mahmeiniemu po cenach Safira.

– Jasne.

– Ale w razie potrzeby, w obronie własnej możecie też załatwić ludzi Mahmeiniego. Tylko zróbcie to tak, żeby wyglądało na sprawkę ludzi Safira albo Duncanów. Mahmeini jest mi potrzebny. Tu nie ma co kombinować. Bez niego nie dotrę do końcowego nabywcy.

– Jasne.

– Więc rzućcie to wszystko, wracajcie do hotelu i spokojnie czekajcie. Pozostali też się tam zjawiają, przypuszczalnie bardzo szybko. Nawiążcie kontakt i ustalcie plan działania.

– Kto dowodzi?

– Irańczycy będą twierdzili, że oni. Ale mogą to sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi. Znacie tamtejszych ludzi i teren, więc miejcie oko na wszystko. I bądźcie bardzo ostrożni.

– Jasne, szefie – powiedział Cassano.

Dwie minuty później wraz z Mancinim siedzieli w granatowej impali, mając do przejechania sto kilometrów na południe po prostej jak strzała szosie.

• • •

Biały furgon wciąż jechał trójką, wciąż na terenie Kanady i wciąż kierując się na wschód. Przejechał już pół Alberta i zbliżał się do Saskatchewan. Przed chwilą minął skrzyżowanie z odchodzącą w prawo szosą numer cztery, która odbijała prosto na południe ku granicy, gdzie ze skromnej jednopasmowej szosy kanadyjskiej zamieniała się w pełną dostojeństwa amerykańską autostradę międzystanową I-15 do Las Vegas i dalej do Los Angeles. Nadanie statusu autostrady drodze, która nie tak dawno po obu stronach granicy była tylko zwykłym końskim traktem, było symptomatyczne dla poczucia ważności obu narodów, choć tym samym uznano drogę za bardzo niebezpieczną. Stanowiła oczywistą arterię, zakładano więc, że jest dokładnie monitorowana. Dlatego biały furgon minął skrzyżowanie, rezygnując z oferowanej przez autostradę wygody i tempa jazdy i pojechał dalej wąską i krętą szosą w stronę miasteczka o nazwie Medicine Hat. Dopiero tam kierowca miał zamiar skręcić na południe, zanurzyć się w leśne ostępy wokół jeziora Pakowki i odnaleźć bezimienny leśny trakt, który pozwoli niepostrzeżenie wjechać na terytorium Stanów Zjednoczonych.

• • •

Duncanowie ustawili lekarza przy końcu stołu, sami usiedli i przez dobrą minutę przyglądali mu się w milczeniu – Jacob i Seth po jednej stronie stołu, Jasper i Jonas po drugiej. Wreszcie odezwał się Jacob:

– Czy to był akt świadomego buntu?

Lekarz nie odpowiedział. Gardło miał opuchnięte i drapiące od wymiotów, zresztą i tak nie zrozumiał pytania.

– Czy może raczej wydumane poczucie słuszności? – ciągnął Jacob.

Lekarz nie odpowiedział.

– Musimy to wiedzieć – powiedział Jacob. – Musisz nam powiedzieć. To fascynujący temat. Należy go dokładnie przeanalizować.

– Nie wiem, o czym mówisz – wymamrotał lekarz.

– To może twoja żona będzie wiedziała – rzekł Jacob. – Myślisz, że powinniśmy po nią

pojechać, przywieźć ją tu i zapytać?

– Jej do tego nie mieszajcie.

– Słucham?

– Proszę. Proszę, żebyście jej do tego nie miesali.

– Mogłaby nas rozerwać. Bo wiesz, kiedyś już to robiła. Zналиśmy ją długo przed tobą. Była u nas parę razy w tym domu. I bardzo jej się podobało. Oczywiście płaciliśmy jej, więc to mogło rzutować na jej zachowanie. Powinieneś ją spytać, co robiła u nas za pieniądze.

– Była opiekunką do dziecka.

– Tak ci powiedziała? Właściwie trudno jej się dziwić.

– Bo tak było.

– Spytaj ją kiedyś jeszcze raz. Zaskocz ją, kiedy nie będzie przygotowana. Kiedyś twoja żona była młodą osobką o wielu talentach. Może kiedyś ci opowie. Nieźle się ubawisz.

– Czego ode mnie chcecie?

– Chcemy poznać podłoże psychologiczne tego, co zrobiłeś – powiedział Jacob Duncan.

– A co zrobiłem?

– Założyłeś swoje tablice rejestracyjne na nasz samochód. Lekarz nie odpowiedział.

– Chcemy się dowiedzieć dlaczego – ciągnął Jacob. – Nic więcej. Chyba nie prosimy o zbyt wiele? Czy zrobiłeś to z czystej impertynencji? Czy chciałeś coś w ten sposób udowodnić? Czy to miał być odwet za zniszczenie twojego samochodu? Czy uznałeś, że dlatego masz prawo do naszego? Chciałeś nam to okazać? Chciałeś dać nam odczuć, że posunęliśmy się za daleko?

– Nie wiem – powiedział cicho lekarz.

– A może ktoś inny podmienił te tablice?

– Nie wiem, kto je podmienił.

– Ale to nie byłeś ty?

– Nie.

– Gdzie znalazłeś naszą ciężarówkę?

– Na parkingu motelu. Dziś po południu. Stała obok mojego samochodu. Z już przełożonymi tablicami.

– Dlaczego nie przełożyłeś ich z powrotem?

– Nie wiem.

– Jeżdżenie na cudzych tablicach to przestępstwo, prawda? W najlepszym razie wykroczenie. Czy lekarze powinni popełniać przestępstwa?

– Pewnie nie.

– Ale ty je popełniłeś.

– Przepraszam.

– Nas nie musisz przeproszać. Nie jesteśmy sądem. Ani komisją etyki lekarskiej. Ale powinieneś przygotować sobie jakieś wytłumaczenie. Bo możesz stracić prawo uprawiania zawodu. Skąd twoja żona weźmie wtedy forszę? Może będzie musiała wrócić do starych sposobów? Odbyć swoistą podróż w przeszłość. Oczywiście nie do nas. My już byśmy nie chcieli. Zresztą nie wiem, kto by ją chciał? Taką pomarszczoną starą raszplę.

Lekarz nie odpowiedział.

– A w dodatku pojechałeś do mojej synowej. Chociaż wiedziałeś, że ci nie wolno.

– Jestem lekarzem. Musiałem.

– Z uwagi na przysięgę Hipokratesa?

– Właśnie.

– Która w pierwszym punkcie mówi: nie szkodzić.

– W niczym nie zaszkodziłem.

– Nie? To przyjrzyj się twarzy mojego syna.

Lekarz popatrzył na Seta.

– Ty to zrobiłeś.

– Nie zrobiłem.

– Przez ciebie mu to zrobiono.

- To nie byłem ja.
  - A kto?
  - Nie wiem.
  - Myślę, że dobrze wiesz. Wszyscy o tym mówią. Też musiałeś słyszeć, nie? Wiemy, że wciąż o nas rozmawiacie. Na tym swoim telefonicznym drzewie. Myślałeś, że to tajemnica?
  - To Reacher.
  - Wreszcie – parsknął Jacob. – Dochodzimy do sedna sprawy. A ty byłeś jego współnikiem.
  - Nie byłem.
  - Poprosiłeś go, żeby cię zawiózł do domu mojego syna.
  - Nie prosiłem. To on mnie zmusił.
  - Wszystko jedno. – Jacob wzruszył ramionami. – Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.
- Ale mamy do ciebie pytanie.
- Jakie pytanie?
  - Gdzie jest teraz Reacher?

Reacher był w swoim pokoju na parterze hotelu Marriott Courtyard i brodził po kolana w policyjnych raportach. Wyjętym z kieszeni płaskim śrubokrętem przeciął taśmy na wszystkich jedenastu kartonach i z każdego wyjął pierwszą z wierzchu stronę, by ustalić chronologię dokumentacji. Odpowiednio poprzesuwał kartony, ustawiając je w jednej linii. Zaczął od najstarszego i wziął się do zakurzonych papierzysk.

Tak jak się spodziewał, dokumentacja była bardzo szczegółowa i wszechstronna. Sprawa wymagała skrupulatności z uwagi na delikatny charakter, jak i uczestnictwo tak wielu instytucji z zewnątrz. W czynnościach śledczych wzięła udział policja stanowa, Gwardia Narodowa i FBI, i miejscowa policja starała się wypaść jak najbardziej profesjonalnie. Sprawy, w których uczestniczą różne organy porządku publicznego, z reguły zamieniają się w rywalizację i miejscowa policja nie chciała jej przegrać. Śledczy odnotowali każdy ruch, każdy grymas twarzy i każde pierdnięcie. Na swój sposób ich raporty oddawały kawałek miejscowej historii. Przy zbieraniu danych nie korzystano z komputerów i dokumentacja miała staromodny, ale za to bardziej osobisty charakter. Wszystkie raporty przepisano na maszynach, zapewne starych elektrycznych IBM. Wiersze tekstu były nierówne i zawierały mnóstwo błędów, które poprawiano, zamazując białym korektorem. Papier był żółkły, skruszały i pachniał stęchlizną. Nie było stert komórkowych billingów, bo nikt nie miał wtedy komórek, nawet gliniarze. Nie było wyników badania DNA i nikt nie powoływał się na współrzędne GPS.

Dokumentacja wyglądała dokładnie tak, jak tworzona przez Reachera w początkach jego kariery wojskowej.

Był początek lata i Dorothy zadzwoniła na policję z domu sąsiada w niedzielny wieczór o ósmej. Nie na numer alarmowy 911, ale na centralkę miejscowego posterunku policji. W teczce znajdował się zapis tej rozmowy, nie spisany z nagrania, ale odtworzony z pamięci sierżanta z nocnej zmiany. Dorothy podała nazwisko Coe i oświadczyła, że jej jedyna córka Margaret zniknęła i od ponad sześciu godzin nikt jej nie widział. Stwierdziła, że dziewczynka jest dobrym dzieckiem i nie sprawia żadnych problemów wychowawczych. Żadnych problemów, żadnych powodów do ucieczki. Była ubrana w zieloną sukienkę i wyjechała z domu na różowym rowerze.

Sierżant powiadomił kapitana, a kapitan wezwał śledczego, który właśnie skończył dzienną zmianę. Śledczy Miles Carson pojechał na północ z dwoma radiowozami i akcja się zaczęła. Wieczór był pogodny i do zapadnięcia nocnych ciemności została godzina letniego zmierzchu. Carson znalazł się na miejscu po czterdziestu minutach od zgłoszenia, po czym następne dwanaście godzin upłynęło na poszukiwaniach dość wiernie zrelacjonowanych przez Dorothy przy śniadaniu. Jeżdżono od domu do domu, przeszukiwano teren z latarkami, apelowano do mieszkańców przez megafony, by przeszukali stodoły i inne zabudowania gospodarcze. Radiowozy jeździły przez całą noc, o świcie policja stanowa przysłała patrole z psami, a Gwardia Narodowa użyczyła helikoptera.

Miles Carson okazał się skrupulatnym śledczym, jednak wszystkie jego wysiłki spęły na niczym.

W zasadzie Reacher mógł się przyczepić tylko do paru drobiazgów. Na przykład nie było powodu, żeby ze sprowadzeniem psów czekać aż do rana. Psy równie dobrze tropią po ciemku. Ale sprawa była o tyle bezprzedmiotowa, że z chwilą gdy Margaret wsiadła na rower, jej trop rozpląnął się w powietrzu, oddzielony od gruntu gumowymi oponami roweru. Psy podjęły trop do końca podjazdu do domu i na tym koniec. Można też było mieć wątpliwości co do sensu apelowania o przeszukiwanie zabudowań gospodarczych, bo jak w tej sytuacji miałby się zachować sprawca? Przyznać się do porwania? Choć trzeba podkreślić, że na tym etapie Carson nie brał jeszcze pod uwagę czynu przestępczego. Pierwszy tego typu sygnał dotarł do niego o dziewiątej rano następnego dnia, kiedy to Dorothy Coe puściły nerwy i zaczęła opowiadać o Duncanach. Rozmowa z nią trwała godzinę, została zrelacjonowana na dziewięciu stronach maszynopisu i Carson

natychmiast poszedł tym śladem.

Tyle że Duncanowie od początku wyglądali na niewinnych.

Mieli nawet alibi. Pięć lat wcześniej sprzedali rodzinną farmę, zatrzymując tylko półhektarowy kawałek ziemi w kształcie litery T, na którym zmieściły się trzy domy i prowadzący do nich podjazd i którego zgodnie z wiejską tradycją początkowo nie ogrodzili. Granice ich posiadłości wyznaczały jedynie miedze pozostawione przez sąsiadów w trakcie orki i dopiero później zdecydowali się postawić płot ze sztachetami na stalowych słupkach. Płot był ciężki i masywny, dużo solidniejszy niż inne płoty. Do postawienia go wynajęli czterech miejscowych wyrostków i tamtą pechową niedzielę wszyscy czterej spędzili od świtu do zmierzchu na miejscu, mierząc, przycinając i kopiąc głębokie doły pod słupki. Cały czas towarzyszyli im wszyscy trzej Duncanowie i ośmioletni Seth, nadzorując i kierując, sprawdzając dokładność wymiarów i generalnie włączając się do pracy. Chłopcy zeznali, że Duncanowie ani na chwilę nie opuścili placu budowy i nikt ich nie odwiedził, a już na pewno nie dziewczynka w zielonej sukience na różowym rowerze.

Mimo to Carsonabrał Duncanów na przesłuchanie. Na tym etapie podejrzenie popełnienia przestępstwa było już na tyle silne, że ze względów formalnych musiała się w to włączyć policja stanowa. W rezultacie Duncanów zawieziono do koszar policji stanowej pod Lincoln, gdzie Seta oddano pod opiekę tamtejszych policjantek, a te próbowały go nawet wypytywać, ale chłopiec nie miał im nic do powiedzenia. Trzech dorosłych Duncanów poddano wielodniowym przesłuchaniom. Reguły i procedury w przypadku porwania dzieci obowiązujące w Nebrasce w latach osiemdziesiątych były dość luźne, ale Duncanowie i tak do niczego się nie przyznali i bez oporu wyrazili zgodę na przeszukanie ich posiadłości. Ludzie Carsona zrobili to bardzo skrupulatnie, co nie było specjalnie trudne, bo właściwie nie mieli czego przeszukiwać. Kawek ziemi w kształcie litery T z niedokończonym płotem i trzy domy mieszkalne. Przeszukanie niczego nie dało i wtedy Carson wezwał na pomoc FBI, które przysłało ekipę specjalistów, wyposażoną w najnowocześniejsze w tamtych latach urządzenia. FBI też niczego nie znalazło, Duncanów zwolniono, odwieziono do domu i sprawa zaczęła stygnąć.

Reacher zakończył przegląd dokumentacji i precyzyjnie się na czworakach do pierwszego kartonu, gotów do zagłębienia się w szczegóły.

• • •

Lekarz nie odpowiedział. Stał bez słowa, poobijany i posiniaczony, pocąc się i trzęsąc. Jacob Duncan powtórzył pytanie:

- Gdzie jest teraz Reacher?
- Chciałbym usiąść – powiedział lekarz.
- Piłeś?
- Trochę.
- W motelu?
- Nie. Pomyślałem, że Vincent pewnie mnie nie obsłuży.
- To gdzie piłeś?
- W domu.
- I potem poszedłeś na piechotę do motelu?
- Tak.
- Po co?
- Chciałem zabrać coś z samochodu. Moją torbę lekarską.
- A więc gdy kradłeś naszą ciężarówkę, byłeś już pijany?
- Tak. Nie zrobiłbym tego na trzeźwo.
- Gdzie jest teraz Reacher?
- Nie wiem.
- Chcesz drinka?
- Drinka?
- Chyba znasz to słowo, nie?

– Tak, chciałbym drinka.

Jacob Duncan wstał i podszedł do szafki wiszącej na ścianie. Otworzył ją i wyjął niemal pełną butelkę burbona Wild Turkey, a z sąsiedniej szafki szklanę. Postawił wszystko na stole. Z krzesła w narożniku zrzucił stertę rupieci – gumiaki, starą korespondencję, kłębek sznurka – przeniósł krzesło przez kuchnię i podstawił lekarzowi.

– Proszę, siadaj – powiedział. – I się poczęstuj.

Lekarz usiadł, przysunął się z krzesłem do stołu i odkorkował butelkę. Nalał sobie potężną porcję, wychylił duszkiem do dna i nalał ponownie.

– Gdzie jest teraz Reacher? – spytał Jacob Duncan.

– Nie wiem – odrzekł lekarz.

– Myślę, że wiesz. I czas, żebyś dokonał wyboru. Możesz tu z nami posiedzieć i pijąc dobrego burbona, spędzić popołudnie na miłej rozmowie, albo możemy to zrobić inaczej. Na przykład możemy pozwolić Sethowi, żeby złamał ci nos. Jestem pewny, że chętnie to zrobi. Albo możemy tu przywieźć twoją żonę i trochę ją upokorzyć. Sądzę, że znając nas od tylu lat, specjalnie by się nie opierała. Żadnych śladów, żadnych widocznych obrażeń. Ale tego rodzaju doświadczenie mogłoby poważnie wpłynąć na przyszłe losy waszego małżeństwa, bo okazałoby się, że nie potrafiłeś stanąć w jej obronie. Bo zrozumiałaby to jako brak chęci z twojej strony, a nie brak możliwości. Więc się zastanów.

– Reacher wyjechał – powiedział lekarz.

– Wyjechał?

– Wyjechał dziś po południu.

– Jak?

– Ktoś go podwiózł.

– Niemożliwe. Obstawiliśmy szosę i na północ, i na południe.

– Widać za późno.

– Widziałeś, jak odjeżdża?

– Był w motelu. Myślę, że po to zamienił tablice, bo chciał wziąć waszą ciężarówkę. Ale potem ktoś się napatoczył i zabrał się z nim. Tak wolał.

– Kto to był?

– Nikt z naszych. Jakiś przejezdny.

– Jakim samochodem?

– Nie jestem za dobry w samochodach. Chyba białym.

– Powiedział, dokąd jedzie?

Lekarz zdążył już wypić prawie całą drugą porcję. Uniesienie szklanki, przełknięcie; uniesienie, przełknięcie.

– Mówił, że jedzie do Wirginii.

– Po co?

– Nie wiem. – Lekarz nalał sobie kolejną porcję. – Ale od początku mówił tylko o tym. Że jest w drodze do Wirginii. Wciąż to powtarzał.

– A co takiego jest w Wirginii?

– Nie mówił. Może kobieta. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

– Na podstawie czego?

– Na wycucie.

– Wyglądasz na zdenerwowanego – zauważył Jacob Duncan.

– Oczywiście, że jestem zdenerwowany – prychnął lekarz.

– Dlaczego? Po prostu wpadłeś do sąsiadów na drinka.

Lekarz nie odpowiedział.

– Sądysz, że on tu jeszcze wróci? – spytał Jacob.

– Sądzę, że nie.

– Wróci czy nie?

Lekarz nie odpowiedział.

– Powiedz nam coś o nim.

- Był żandarmem w wojsku – powiedział lekarz. – Zna się na rzeczy.
- Na jakiej rzeczy?
- Powiedział, że po drodze wstąpi na policję. Pewnie jutro rano. Powiedział, że chce zajrzeć do akt sprzed dwudziestu pięciu lat. Jeśli niczego nie znajdzie, pojedzie do Wirginii. Jeśli coś się okaże nie tak, wróci tu.
- Po co miałby wracać?
- Żeby was dopaść, po to.

• • •

Biały furgon w Kanadzie ostatecznie skręcił w prawo przed miasteczkiem Medicine Hat i ruszył na południe rzadko uczęszczaną drogą do jeziora Pakowki. Zrobiło się już całkiem ciemno, mroku nie rozjaśniały żadne światła, a na zachmurzonym niebie nie świecił księżyc ani gwiazdy. Nawierzchnia była usiana dziurami, wiła się nagłymi wirażami i wciąż to opadała, to pięła się pod górę. Jazda była ciężka i niezbyt bezpieczna choćby dlatego, że pęknięcie oski czy złamanie półwałka oznaczałoby prawdziwą katastrofę. Dlatego kierowca skręcił w lewo w znany mu z poprzednich jazd porośnięty trawą trakt i podskakując na wybojach, przejechał dwieście metrów dzielących drogę od polany używanej przez turystów na letnie pikniki. Zimą było tu zawsze zupełnie pusto. Kierowca widywał tu niedźwiedzie i kojoty, i rude lisy, i łosie, raz wydawało mu się, że widzi jelenia, choć mógł to być tylko cień. Innym razem widział chyba wilka, choć mógł to być jeszcze jeden kojot. Natomiast nigdy nie widział tu człowieka. Nie w zimie. Nigdy żywej duszy.

Zaparkował pod wielką sosną i przed ułożeniem się do snu zablokował wszystkie drzwi.

• • •

Roberto Cassano i Angelo Mancini wjechali wypożyczoną impalą na parking za hotelem i zaparkowali obok czarnego cadillaca, stojącego samotnie na końcu. Wysiedli, przeciągnęli się i spojrzeli na zegarki. Uznali, że przed dotarciem posiłków zdążą jeszcze zjeść szybką kolację. Tylko gdzie? W barze restauracyjnym czy w knajpie z żeberkami? Nie smakowało im ani tu, ani tu. Zresztą jak mogło smakować? Mieli wykwinny gust, a ci opóźnieni w rozwoju kmiotkowie nie mieli go za grosz. Ale byli głodni i coś musieli zjeść.

Zastanawiali się przez chwilę i ostatecznie wybrali bar restauracyjny. Wyszli przed hotel i ruszyli w stronę głównej drogi.

• • •

Duncanowie pozwolili lekarzowi dokończyć trzecią porcję burbona i puścili go wolno. Ściślej mówiąc, wypchnęli za drzwi i kazali wracać do domu. Przez chwilę postali w wejściu, obserwując, jak chwiejnym krokiem idzie po podjeździe, potem wrócili do kuchni. Jacob schował butelkę do szafki, włożył szklankę do zlewu i odniósł krzesło na miejsce w rogu.

- I co o tym myślisz? – spytał jego brat Jasper.
- O czym?
- Czy powinniśmy zadzwonić i nie dopuścić do pokazania mu akt?
- Nie bardzo widzę, jak moglibyśmy to zrobić.
- Moglibyśmy spróbować.
- Tylko niepotrzebnie nagłościlibyśmy sprawę.
- A może zadzwonić do Eldridge’a Tylera? Tak na wszelki wypadek – zastanowił się Jonas.
- Oznaczałoby to zaciągnięcie zobowiązania.
- Ale jeśli Reacher ma tu wrócić, byłaby to rozsądna inwestycja.
- Nie sądzę, żeby wrócił – powiedział Jacob. – Tak na pierwszy rzut oka.
- A na drugi?
- W sumie będzie zależeć od tego, na co tam natrafi, a na co nie.

Reacher natknął się na zeznanie ojca dziewczynki. Było długie i bardzo szczegółowe. Gliniarze nie są durniami i gdy znikają małe dziewczynki, ojcowie stają się pierwszymi podejrzany. Ojciec Margaret, Arthur Coe, zwany przez wszystkich Artie, w chwili zniknięcia córki miał trzydzieści siedem lat, czyli w latach osiemdziesiątych był dość stary jak na ojca ośmiolatki. Pochodził stąd i był weteranem wojny wietnamskiej. Nie skorzystał z propozycji komisji poborowej, by uznać go za jedyne go żywiciela rodziny, i pojechał do Wietnamu, odbył służbę i wrócił. Dzielny człowiek. Patriota. Gdy tamtego feralnego dnia Margaret wyjeżdżała z domu, był w szopie i coś naprawiał. Kiedy cztery godziny później żona przyszła powiedzieć, że córki nadal nie ma, zastała go przy tej samej pracy. Rzucił wtedy wszystko i zabrał się do szukania. W jego zeznaniu odbijały się te same odczucia, o jakich wspomniała Dorothy przy śniadaniu: poczucie nierealności, kurczowe trzymanie się nadziei, wiara w to, że dziecko tylko gdzieś się zasiedziało. Że po prostu z kimś się bawi albo zrywa kwiatki i straciło poczucie czasu, ale się zorientuje i na pewno zaraz wróci do domu. Z jego słów czytanych po dwudziestu pięciu latach nadal wzywały szok, ból i poczucie krzywdy.

Reacher uznał, że Arthur Coe nie miał z tym nic wspólnego.

Sięgnął głębiej i wyjął teczkę z odręcznym napisem ŻYCIORYS MARGARET COE. Zwykłą brązową kopertę, dość cienką, jak przystało na opis krótkiego życia ośmiolatki. Podgumowanej zakładki koperty nikt nigdy nie polizał, ale wilgoć panująca w archiwum spowodowała, że i tak się skleiła. Reacher podważył ją i odkleił. W kopercie było parę kartek i fotografia w poślódkiej przezroczystej osłonce. Reacher wyciągnął ją i zdębiał.

Margaret Coe była Azjatką.

Prawdopodobnie Wietnamką, ale mogła też być Tajką albo Kambodżanką, albo Chinką, albo Japonką, albo Koreanką. Dorothy nie była żadną z nich, Arthur zapewne też nie. Był urodzonym w Nebrasce białym farmerem, a Margaret została przez nich adoptowana. Była śliczną małą dziewczynką. Na odwrocie fotografii widniał napis skreślony kobiecą ręką: *Prawie osiem! Śliczna jak zawsze!* Zdjęcie było kolorowe, zrobione chyba przez amatora, ale niezłego. Nie była to zwyczajna, zrobiona w biegu fotka. Zdjęcie było przemyślane, dobrze skomponowane i wykonane dobrym aparatem. Musiało oddawać prawdziwy wygląd dziewczynki, skoro trafiło do akt policyjnych. Ukazywało pozującą z uśmiechem małą Azjatkę. Dziewczynka była nieduża, drobnokoścista i szczupła. Miała na sobie plisowaną spódniczkę i białą bluzkę.

Była ładnym dzieckiem.

W głowie Reachera rozbrzmiał nagle głos młodego ćpuna, spotkanego poprzedniego dnia na polu: „Słyszę, jak jej biedny duch jęczy. Jęczy, człowieku, i krzyczy, i skarży się w ciemnościach”.

Reacher postanowił zrobić sobie przerwę.

• • •

Sto kilometrów dalej na północ Dorothy Coe wyjęła z lodówki kotlet wieprzowy. Kotlet pochodził ze świni, którą ubili sąsiedzi mieszkający półtora kilometra od Dorothy, i stanowił przejaw nieformalnej samopomocy sąsiedzkiej, ułatwiającej ludziom przetrwanie trudnego okresu. Dorothy odkroiła warstewkę tłuszczu, lekko popieprzyła mięso, posmarowała cienką warstewką musztardy, posypała odrobiną brązowego cukru, włożyła do brytfanki i umieściła bez przykrycia w piekarniku. Nakryła do stołu dla jednej osoby – talerz, nóż i widelec. Nalała do szklanki wodę i postawiła obok talerza. Oderwała kawałek kuchennego ręcznika i złożyła w trójkątną serwetkę. Nakrycie do kolacji dla jednej osoby.

• • •

Reacher był głodny. Nie jadł nic od śniadania. Zadzwoił do recepcji i poprosił



recepjonistę o serwis do pokoju. Recepjonista poinformował, że hotel nie oferuje serwisu do pokoju, przeprosił za niedogodność i wspomniał o dwóch działających w mieście restauracjach, o których Reacher wiedział z tablicy informacyjnej. Recepjonista zapewnił go, że w obu może zjeść doskonały posiłek. Pewnie jest na prowizji z Izby Handlowej, pomyślał Reacher.

Włożył kurtkę i przeszedł korytarzem do głównego holu. Przy recepcji stało dwóch nowych gości, którzy właśnie się meldowali. Dwaj mężczyźni o bliskowschodnich rysach, chyba Irańczycy. Obaj niscy, dość obszarpani, nieogoleni i jakby niedomyci. Jeden z nich podniósł wzrok na Reachera, a ten grzecznie kiwnął głową i skierował się do wyjścia. Na dworze było ciemno i zimno. Reacher już wcześniej postanowił zjeść jutro śniadanie w przydrożnym barze, zatem na kolację niech będą żeberka. Skręcił w prawo w boczną uliczkę i zanurzył się w ciemnościach.

• • •

Lekarz szedł szybko dla rozgrzewki w przenikliwym zimnie i do domu dotarł w ciągu niecałej godziny. Żona czekała naburmuszona i lekarz od razu zaczął opowiadać. Dotarł prawie do końca opowieści, zanim zdobyła się na wypowiedzenie pierwszego słowa. Gdy w końcu zamilkł, jego żona burknęła:

– A więc zacząłeś uprawiać hazard, tak? Bo tak z tego wynika. Jakbyś obstawiał konia na wyścigach. Liczysz, że Reacher się tu zjawi, zanim Seth wróci do domu i się dowie, że siedziałeś i patrzyłeś, jak kradną mu samochód, tak?

– Wątpię, żeby Reacher tu wrócił – bąknął lekarz.

– A ja myślę, że wróci.

– Po co miałby to robić?

– Bo to Duncanowie uprowadzili dziecko. Kto inny, twoim zdaniem, miałby to zrobić?

– Nie wiem. Nie było mnie wtedy tutaj. Mieszkałem w Idaho i sam byłem dzieckiem.

Podobnie jak ty.

– Możesz mi wierzyć.

– Wierzę. Ale wolałbym, żebyś mi dokładnie wyjaśniła dlaczego.

Żona lekarza nie odpowiedziała.

– Może Seth nie wróci dziś do domu – powiedział lekarz. – Może przenocuje u ojca.

– To możliwe. Podobno często tak robi. Ale nie można na to liczyć. – Zaczęła chodzić po domu, sprawdzając, czy wszystkie okna i drzwi są pozamykane. – Może powinniśmy przesunąć meble i podeprzeć drzwi?

– To wybiją szybę i wejdą przez okno.

– To pancerne szkło, wytrzymałe napór tornada.

– Te byki ważą po sto czterdzieści kilo każdy. Widziałaś, co zrobili z moim autem.

– Musimy coś zrobić.

– Podpalą dom i wykurzą nas ogniem. Albo po prostu staną pod drzwiami i każą je otworzyć. I co wtedy zrobimy? Nie posłuchamy?

– Możemy tu przekocować dzień czy dwa. Mamy wodę i jedzenie.

– Mogą nas tu przetrzymać dłużej niż dzień czy dwa. Może na zawsze. Jeśli nawet jest tak, jak mówisz, to nie mamy gwarancji, że Reacher znajdzie jakiś dowód ich winy. Pewnie żaden dowód nie istnieje. No bo skąd? Gdyby coś było, FBI by to wtedy znalazło.

– Nie traćmy nadziei.

• • •

Reacher zamówił pasek żeberek od strony połudwicy, sałatkę coleslaw i kawę. W lokalu było ciemno i niechlujnie, ściany zdobiły stare szyldy i reklamy, zapewne w większości podróbki. Zapewne dostarczone przez hurtownika wyposażenia restauracyjnego, który sprowadził je z Tajwanu, gdzie zostały ręcznie pomalowane przez jednego i sztucznie postarzone przez drugiego pracownika tej samej fabryczki, którego zadaniem było podrapanie i zarysowanie świeżo położonej farby. Ale żeberka okazały się smaczne. Przyprawy miały subtelny aromat, mięso było miękkie i soczyste, kapusta w sałatce krucha, kawa gorąca, a rachunek śmiesznie niski. W dowolnej knajpie

na wschód od Missisipi i na południe od Sacramento mniej więcej tyle wyniosłby napiwek.

Reacher zapłacił i ruszył w drogę powrotną do hotelu. Na parkingu natknął się na dwóch mężczyzn wyładowujących torby z bagażnika czerwonego taurusa. Kolejni goście. Wyglądało na to, że hotel przeżywa prawdziwy zimowy najazd. Taurus był nowy i dość anonimowy. Zapewne z wypożyczalni. Mężczyźni byli rośli i wyglądali na Arabów. Syryjczyków lub Libańczyków. Reacher znał dość dobrze tamte strony. Obaj na niego spojrzeli, więc grzecznie kiwnął im głową i poszedł dalej. Po minucie był już w swoim pokoju, zabierając się do grzebania w kruchych i pozółkłych papierzyskach.

Tego wieczoru Duncanowie jedli jagnięcinę przy stole kuchennym Jonasa. Jonas uważał się za dobrego kucharza i rzeczywiście nie był najgorszy, a jego pieczenie można było uznać za ponadprzeciętne. Podawał je z ziemniakami, jarzynami i dużą ilością sosu, co wszystkim jedzącym bardzo odpowiadało. Były też obficie podlewane alkoholem, co pasowało im jeszcze bardziej. Do wspólnego posiłku zasiedli wszyscy czterej Duncanowie. Usadowili się po dwóch po przeciwnych stronach stołu, potem wszyscy razem sprzątnęli po kolacji i pozmywali. A potem Jasper spojrzął na swego brata Jacoba i powiedział:

– Zostało nam jeszcze sześciu chłopaków mogących chodzić i mówić. Trzeba zdecydować, jak ich tej nocy wykorzystać.

– Reacher tej nocy nie wróci – odrzekł Jacob.

– Możemy być pewni?

– Niczego nie możemy być pewni z wyjątkiem tego, że słońce wzejdzie na wschodzie i zajdzie na zachodzie.

– I dlatego lepiej być zbyt ostrożnym, niż za mało ostrożnym.

– No dobra. – Jacob wzruszył ramionami. – To wyślij jednego na południowy odcinek i powiedz reszcie, że mogą odpocząć.

Jasper podszedł do telefonu i wydał odpowiednie instrukcje. Odłożył słuchawkę, w kuchni zapadła cisza i wtedy Seth zapytał:

– Odwiezie mnie ktoś do domu?

– Nie, zostań jeszcze trochę, synu – poprosił Jacob. – Mamy jeszcze parę rzeczy do omówienia. Dostawa może być jutro o tej porze. A to znaczy, że trzeba się przygotować.

• • •

Cassano i Mancini wrócili z baru i poszli prosto do pokoju tego pierwszego, skąd Cassano zadzwonił do recepcji z pytaniem, czy ostatnio zameldował się ktoś nowy. Usłyszał, że tak, że właśnie wprowadziło się czterech mężczyzn, po dwóch. Dwójki przyjechały oddzielnie, ale tuż po sobie. Cassano poprosił recepcjonistę o połączenie z ich pokojami i najpierw odbył krótką rozmowę z ludźmi Mahmeiniego, potem z ludźmi Safira, zapraszając wszystkich na roboczą naradę do swojego pokoju. Uznał, że zwołując spotkanie u siebie, wywierając presję i nie zostawiając czasu na myślenie, ustanowi swego rodzaju dominację nad pozostałymi. Oczywiście nie chciałby, żeby ktokolwiek pomyślał, iż w jakimś gównianym pokoju gównianego hotelu w Nebrasce jest „u siebie”, ale znał się na psychologii i wiedział, że chcąc przewodzić, trzeba dbać o detale.

Pierwsi zjawili się dwaj Irańczycy, ludzie Mahmeiniego. Odzywał się tylko jeden, ale Cassano uznał to za normalne. W końcu w imieniu Rossiego wypowiadał się też tylko on, a Mancini milczał. Nikt się nie przedstawił i Cassano to również przyjął ze zrozumieniem. Takie obowiązywały reguły w ich biznesie. Irańczycy nie imponowali wyglądem. Byli niscy, obszarpani i jakby niedomocy, i wyglądali na milczków, którzy w skrytości coś knują. Cassano otworzył minibar i oświadczył, że mogą się częstować wszystkim, na co mają ochotę, ale żaden nawet nie spojrzął w tamtą stronę.

Po paru minutach dołączyli do nich Libańczycy, ludzie Safira. Niewątpliwie byli Arabami, ale byli rośli i bez wątplenia groźni. Znów odzywał się tylko jeden i znów nie podał nawet imion. Cassano zaproponował, żeby usiedli na łóżku, ale odmówili i stanęli oparci plecami o ścianę. Chcieli wzbudzić strach i prawie im się to udało. Widać też znali się na psychologii. Czekał, aż w pokoju zapadnie cisza, Cassano przez dobrą minutę przyglądał się wszystkim po kolei. Czterem

facetom, których nigdy wcześniej nie spotkał i którzy wkrótce spróbują go zabić.

– Zadanie jest proste – zaczął. – Sto kilometrów stąd na północ znajduje się teren rolniczy z czterdziestoma farmami. Kręci się tam jeden palant i rozrabia. Prawdę mówiąc, to nikt szczególnie ważny, ale nasz dostawca ma do tego osobisty stosunek. Dlatego wstrzymał dostawę do chwili pozbycia się intruza.

– Wszystko to wiemy – powiedział człowiek Mahmeiniego. – Co dalej?

– Dalej jest tak, że wszyscy tam jedziemy i działamy wspólnie, żeby rozwiązać problem.

– Kiedy?

– Powiedzmy jutro rano o świcie.

– Widziałeś tego palanta?

– Jeszcze nie.

– A jakoś się nazywa?

– Reacher.

– Co to za nazwisko?

– Amerykańskie. A ty jak się nazywasz?

– Moje nazwisko nie ma znaczenia. Masz jego rysopis?

– Duży, niebieskie oczy, biały, sto dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, sto dziesięć kilo wagi, brązowa kurtka z kapturem.

– To na nic – burknął człowiek Mahmeiniego. – Jesteśmy w Ameryce, w rejonie rolniczym. Pełno tu różnej zbieraniny i wszyscy oni tak wyglądają. Choćby przed chwilą widzieliśmy gościa, który wyglądał dokładnie tak.

– On ma rację – wtrącił człowiek Safira. – Myśmy też takiego widzieli. Potrzebny nam dokładniejszy rysopis.

– Nie mamy dokładniejszego – obruszył się Cassano. – Ale na miejscu będzie łatwiej. Podobno bardzo się wyróżnia. A miejscowi są gotowi nam pomóc. Powiedziano im, że mają zawiadamiać o nim telefonicznie. Tam jest tak płasko, że nie ma się gdzie schować.

– To gdzie on się chowa? – zapytał człowiek Mahmeiniego.

– Tego nie wiemy. Jest jeden motel, ale tam go nie ma.

Może nocuje pod gołym niebem.

– W taki ziąb? To możliwe?

– Są tam różne stodoły i szopy. Na pewno go znajdziemy.

– I co wtedy?

– Sprzątniemy go.

– To ryzykowne.

– Wiem. To twarde. Załatwił już czterech miejscowych.

– Nie obchodzi mnie, jakim jest twarde. – Człowiek Mahmeiniego się skrzywił. – Ani ilu miejscowych frajerów udało mu się załatwić. To na pewno same półgłówki. Mówiąc „ryzykowne”, miałem na myśli to, że nie jesteśmy na Dzikim Zachodzie. Mamy strategię bezpiecznej ewakuacji?

– Z tego, co wiem, to ktoś w rodzaju włóczęgi – powiedział Cassano. – Nikt nawet nie zauważy jego zniknięcia. Nie będzie żadnego śledztwa. Tam nie ma nawet policji.

– To dobrze.

– Tak jak powiedziałeś, to rejon rolniczy. Na pewno mają tam mnóstwo różnych maszyn. Zakopimy go. A jeśli chcemy zrobić prawdziwą frajdę naszym dostawcom, to najlepiej żywcem.

Przeszukanie terenu opisano w czterech oddzielnych raportach. Pierwszy był autorstwa funkcjonariuszy miejscowej policji, drugi policji stanowej, trzeci załogi helikoptera Gwardii Narodowej, czwarty agentów FBI. Raport załogi helikoptera był cieniutki i niczego nie wnosił. Margaret Coe była ubrana w zieloną sukienkę, co nie pomagało w poszukiwaniach na polach porośniętych łąkami kukurydzy. Co więcej, ponieważ był początek lata i pędy były młode, by nie niszczyć ich podmuchem od wirników, pilot nie schodził poniżej trzystu metrów. Nawet zaginięcie dziecka nie mogło naruszać hierarchii ważności w okręgu żyjącym z rolnictwa. W rezultacie nie wypatrzone niczego istotnego. Żadnych śladów świeżo rozkopanej ziemi, żadnych różowych czy chromowanych części roweru, żadnego wygniecionego fragmentu zieleni. Praktycznie nie było nic poza zielonym morzem kukurydzy.

Czysta strata czasu i paliwa lotniczego.

Funkcjonariusze miejscowej i stanowej policji odwiedzili wszystkie czterdzieści farm w okolicy. Najpierw w nocy wygłaszano przez megafony apele do mieszkańców, potem za dnia odwiedzone każdy dom i przepytano wszystkich mieszkańców, upewniając się, że nikt nie widział zaginionej dziewczynki i że wszystkie zabudowania gospodarcze zostały dokładnie przeszukane. Panowała niemal powszechna atmosfera pomocy i współpracy. Tylko jedna starsza para przyznała, że nie posłuchała apelu i nie przeszukała całej farmy, policja zrobiła to więc za nią. Nic nie znaleziono. Policja odwiedziła też motel i przeszukała każdy domek z osobna. Opróżniono kontenery na śmieci i sprawdzono cały teren w poszukiwaniu śladów. Niczego nie znaleziono.

Wyniki przeszukania działki Duncanów opisano w trzech oddzielnych raportach. Odwiedzili ją członkowie wszystkich ekip poszukiwawczych, z wyjątkiem załogi helikoptera. Jako pierwsza przeszukała ją policja okręgowa, potem funkcjonariusze policji okręgowej i stanowej razem, potem sama policja stanowa i jako ostatni agenci FBI. Oznaczało to mnóstwo zamieszania i wielki tłum funkcjonariuszy jak na tak nieduży teren. Przeszukania były bardzo szczegółowe, bo niewielkie rozmiary posiadłości Duncanów wzmogły jeszcze podejrzliwość przeszukujących. Przeglądając raporty sprzed ćwierćwiecza, Reacher wyraźnie czytał to między wierszami. Jak to bywa wśród prowincjonalnych gliniarzy, byli tą historią bardzo poruszeni. Wyglądało na to, że Duncanowie wręcz nienawidzą ziemi. Pozbyli się każdej zbędnej piędzi, zostawiając sobie tylko maleńki splechetek, który pomieścił podjazd z wąziutkim poboczem i wystarczył na zaledwie parę metrów wokół fundamentów trzech domów. I to wszystko. To była cała ich posiadłość.

Skromne rozmiary ułatwiły dokładne jej przeszukanie i w raportach opisano ją bardzo drobiazgowo. Sągi drewna na ogrodzenie rozebrano i dokładnie przejrzano. Żwir przegarnięto, a tyraliery policjantów przeszły po całym terenie, wypatrując jakichś śladów. Psy kilkakrotnie obwąchały dosłownie każdy centymetr kwadratowy ziemi.

Niczego nie znaleziono.

Przeszukujący przenieśli się do wnętrza domów i o ile przeszukanie terenu można było uznać za skrupulatne, oględziny w środku były jeszcze dokładniejsze. Przeprowadzono je, nie oszczędzając czasu ani wysiłku. Reacher uczestniczył w wielu przeszukaniach i wiedział, jak bardzo jest to uciążliwe. Tu przeprowadzono aż cztery oddzielne rewizje, nie pomijając najmniejszego zakątka i nie cofając się przed trudnościami. Wszystkie przedmioty wyjęto i rozłożono, zajrzano do wszelkich pustych wnęk w ścianach i zerwano podłogi. Reacher wiedział dlaczego. Wprawdzie nie napisano tego na papierze i nie powiedziano głośno, ale znowu można było czytać między wierszami. Oczywiście przede wszystkim szukano zaginionej dziewczynki, ale coraz bardziej zaczynano szukać fragmentów jej ciała.

Niczego nie znaleziono.

Wkładem FBI w poszukiwania było przysłanie ekipy kryminalistycznej w stylu lat osiemdziesiątych. Wyniki zostały szczegółowo opisane i udokumentowane na oficjalnych

formularzach śledczych Biura, które następnie skserowano, skompletowano, zszyto i przekazano miejscowej policji w ramach współpracy służb. Zebrano wszystkie włoski i włókienka, wszystkie płaskie powierzchnie sprawdzono pod kątem odcisków palców, posłużono się wieloma magicznymi lampami i gadżetami. Z Denver sprowadzono samolotem psa wytresowanego do poszukiwania zwłok i tym samym samolotem go odesłano, gdy jego obwąchiwanie nie przyniosło rezultatu. Przez pełne dwanaście godzin po domach Duncanów kręciła się grupa kryminalistów o różnych specjalizacjach.

Niczego nie znaleziono.

Reacher odłożył akta. W jego głowie coraz wyraźniej kształtował się obraz, jaki musiał się też ukształtować w głowach ówczesnych śledczych: obraz stygnącej sprawy.

• • •

Sto kilometrów dalej na północ Dorothy stanęła przy zlewie, by umyć talerz, nóż, widelec i szklankę, po czym zajęła się szorowaniem brytfanki po mięsie. Wszystko wytarła do sucha lnianą ścierką i odłożyła na miejsce: talerz i szklankę do szafki wiszącej na ścianie, sztucce do szuflady, brytfankę do dolnej szafki. Wyrzuciła serwetkę do śmieci, przetrła stół wilgotną ścierką i równo dostawiła krzesło. A potem przeszła do pokoju od frontu. Postanowiła posiedzieć jeszcze chwilę i niedługo położyć się do łóżka, by wstać o świcie i pojechać do motelu. Może będzie mogła pomóc Vincentowi w naprawie lustra za barem. Może uda jej się nawet skleić ukruszone ucho jego kubka NASA.

• • •

Reacher siedział na podłodze pokoju w hotelu Marriott, zatopiony w myślach. Była dwudziesta druga i jego zadanie praktycznie dobiegło końca – dwie godziny przed rzekomym terminem. Wstał, spakował wszystkie jedenaście kartonów i zamknął od góry na klapki. Ustawił wszystkie w równą stertę na środku pokoju: dwie kupki po cztery kartony, jedna złożona z trzech. Na klawiaturze telefonu na nocnym stoliku wybrał dziewiątkę i numer posterunku policji, który zapamiętał z notatki o zgłoszeniu Dorothy o zaginięciu córki sprzed ćwierć wieku. Numer się nie zmienił i zgłosił się dyżurny posterunku. Reacher poprosił o połączenie z Hoagiem, nie bardzo wierząc w powodzenie, ale w słuchawce coś kliknęło, przez moment było cicho i odezwał się Hoag.

– Skończyłem – oznajmił Reacher.

– Znalazłeś coś?

– Wasi ludzie wykonali świetną robotę. Nie masz się czym martwić. Już wyjeżdżam.

– Tak szybko? Nie zostaniesz zakosztować nocnego życia?

– Jestem prostym facetem, lubię spokój i ciszę.

– Dobra, zostaw wszystko w pokoju. Podjedziemy i zabierzemy. Kartony wrócą do piwnicy, zanim biurokraci zjawią się w pracy. Nawet się nie dowiedzą. Misja zakończona sukcesem.

– Masz u mnie dług – rzekł Reacher.

– Daj spokój. Jak to mówią, bądź sobą i trzymaj się ciepło.

– Spróbuję. – Reacher rozłączył się, zdjął z wieszaka kurtkę i ruszył do wyjścia. Jego pokój mieścił się na samym końcu bocznego skrzydła i Reacher musiał przejść przez cały korytarz środkowym łącznikiem, wyjść z holu na dwór i przebyć ten sam dystans do zostawionego na końcu parkingu samochodu. Schody z piętra kończyły się tuż przed holem w miejscu, gdzie znajdowałby się jeszcze jeden pokój, gdyby budynek był parterowy. W chwili gdy go mijali, z ostatniego schodka zszedł mężczyzna i podobnie jak Reacher ruszył w stronę głównego holu i wyjścia z hotelu. Jeden z dwóch, których zauważył podczas meldowania się w recepcji. Niewysoki, i dość niechlujny i zarośnięty. Sądząc po rysach, Irańczyk. Mężczyzna obrzucił go spojrzeniem i Reacher grzecznie kiwnął głową. Tamten odpowiedział tym samym i przez chwilę szli ramię w ramię w stronę wyjścia. Mężczyzna trzymał na palcu kółko z kluczykami do samochodu i doczepioną czerwoną plakietką Avisa. Znów na niego popatrzył i Reacher odwzajemnił spojrzenie. Przytrzymał otwarte drzwi i mężczyzna wyszedł na dwór, a Reacher za nim. Mężczyzna raz jeszcze się obejrzał i w jego wzroku pojawił się wyraz zadumy. Jakby nagle coś go zastanowiło.

Reacher skręcił w lewo i ruszył wzdłuż bocznego skrzydła, tym razem od zewnątrz. Irańczyk zrobił to samo. Nie było w tym nic niezwykłego, jako że obok zaparkowanego na samym końcu cadillaca stał teraz jeszcze jeden samochód. Granatowy chevrolet. Najpopularniejszy model w wypożyczalniach samochodów. Avis musi mieć ich tysiące.

„Granatowy chevrolet”.

Reacher stanął w miejscu.

Idący obok mężczyzna zrobił to samo.

Nikt nie wie, jak długo trwa proces powstawania myśli. Mówi się, że impulsy elektryczne pędzą nerwami z szybkością niewiele mniejszą od szybkości światła, ale to tylko transmisja danych. Przesyłka pocztowa. Wiadomość napisana w mózgu i wysłana w wyniku jakiejś nagłej reakcji chemicznej – dwie substancje przenikają do synaps i wchodzi w reakcję niczym ołów i kwas w samochodowym akumulatorze, ale miast wysłać prostackie dwanaście woltów do kierunkowskazu, mózg zalewa ciało całym strumieniem subtelnych poleceń, myśli bowiem nie muszą tworzyć się pojedynczo. Pojawiają się w nagłych rozbłyskach jak rodzące się gwiazdy, w kaskadach kropel i gejzerach odłamków, które pędzą równolegle, rozpychając się, konkurując i walcząc o pierwszeństwo.

Reacher ujrzał granatowego chevroleta i w ułamku sekundy powiązał go z relacją Vincenta i dwoma mężczyznami widzianymi ze stodoły Dorothy Coe, jednocześnie od razu podając to skojarzenie w wątpliwość z racji tego, że samochody marki Chevrolet i granatowy kolor karoserii należą do najczęściej spotykanych, i przypominając sobie widzianych w hotelu dwóch podobnych do siebie Irańczyków i dwóch podobnych do siebie Arabów i zadając sobie pytanie, czy pojawienie się dwóch par obcokrajowców o tej porze roku w hotelu w Nebrasce może być tylko zwykłym zbiegiem okoliczności czy też z dużą dozą prawdopodobieństwa sugeruje obecność trzeciej pary mężczyzn, którzy mogą lub nie być oprychami z farmy Dorothy, niezależnie od tego, jak nieprawdopodobne mogą się wydawać powiązania łączące tych sześciu mężczyzn i jak tajemnicze są ich zamiary, i obserwując mężczyznę przed sobą, jak upuszcza kluczyki do samochodu, przesuwa rękę i wkłada ją do kieszeni kurtki, jednocześnie uświadamiając sobie, że mężczyźni widziani na farmie Dorothy nie nocowali w motelu Vincenta, a poza nim w promieniu stu kilometrów jest tylko ten Marriott, co może oznaczać, że granatowy chevrolet na parkingu jest ich, a w każdym razie jest to całkiem prawdopodobne, a to z kolei może oznaczać, że idący przed nim i sięgający do kieszeni kurtki Irańczyk może być z nimi powiązany, z czego by wynikało, że może być jego wrogiem, choć nie wiadomo dlaczego, i jednocześnie zdając sobie sprawę, że „może” nie ma żadnej wartości w sensie prawnym, i jednocześnie przywołując w pamięci lata trudnych doświadczeń, że tacy jak ten Irańczyk sięgają do kieszeni na ciemnych parkingach z jednego z czterech i tylko czterech powodów: żeby wyjąć telefon komórkowy i zadzwonić po pomoc; żeby wyjąć paszport lub portfel z dowodem osobistym i udowodnić swoją niewinność lub okazać uprawnienia; żeby wyciągnąć nóż lub żeby wyciągnąć spluwę. Reacher uzmysłowił sobie to wszystko, zdając sobie jednocześnie sprawę, że jego wyprzedzająca zdecydowana reakcja w dwóch pierwszych przypadkach stanowić będzie poważne nadużycie, w dwóch pozostałych jedyną szansę na ujście z życiem.

Tak wyglądają rozbłyski, kaskady i gejzery myśli, które się rozpychają, konkurują i walczą z sobą o pierwszeństwo.

Lepiej być zbyt ostrożnym, niż potem żałować.

Reacher zareagował.

Wykonał półobrót i wymierzył niski sierpowy w środek klatki piersiowej Irańczyka.

Reakcja chemiczna w jego mózgu z natychmiastowym przekazaniem impulsu i reakcja chemiczna w każdym włókienku mięśni od lewej stopy po prawą pięść zmieściły się w drobnym ułamku sekundy, łączna odległość do celu wyniosła mniej niż metr i pokonanie jej potrwało następny ułamek sekundy. I całe szczęście, bo te kilka ułamków sekundy wystarczyło Irańczykowi na niemal całkowite zanurzenie ręki w kieszeni. Jego system nerwowy musiał zadziałać równie szybko, jak Reachera, i łokieć już gwałtownie drgał, co świadczyło o tym, że Irańczyk próbuje wyszarpnąć coś z kieszeni – może nóż, może pistolet, może telefon, może prawo jazdy, może paszport, może legitymację służbową, a może zupełnie niewinny list od kierownictwa uniwersytetu w Teheranie zaświadczający, że jego posiadacz jest światowym ekspertem z dziedziny genetyki roślin

i honorowym gościem władz stanu Nebraska, który przyjechał, by stukrotnie zwiększyć zyski miejscowych plantatorów i przy okazji ostatecznie zlikwidować plagę głodu na całym świecie. Jednak pięść Reachera poszła już w ruch bez względu na to, która z tych wersji okaże się prawdziwa. Oczy mężczyzny rozszerzyły się w spazmie nagłego strachu, jego ręka jeszcze gwałtowniej drgnęła, z kieszeni wysunęła się nasada dłoni o oliwkowej, porośniętej czarnymi włoskami skórze, tuż za nią pięć palców zakrzywionych i ściskających coś dużego i czarnego.

W tym momencie cios Reachera dosięgnął celu.

Sto dziesięć kilogramów obracającej się masy, potężna pięść, potężne uderzenie, zamek błyskawiczny kurtki wciska się w obojczyk Irańczyka, obojczyk poddaje się impetowi uderzenia i uciska klatkę piersiową, naturalna elastyczność klatki piersiowej pozwala jej zapaść się na dobre parę centymetrów, nagle zmniejszenie objętości klatki wyciska powietrze z płuc, wstrząs hydrostatyczny powoduje gwałtowne uderzenie krwi do serca, głowa leci do przodu, jak u manekina podczas testu zderzeniowego, ramiona zostają szarpnięte w tył, ciało poderwane w powietrze, głowa leci bezwładnie do tyłu i uderza w szybę w oknie z łomotem przypominającym uderzenie w kocioł perkusyjny, ręce, nogi i tułów opadają jak u szmacianej lalki, ciało wali się na ziemię z głuchym łoskotem, coś czarnego szoruje po asfalcie, Reacher obserwuje to coś kątem oka i widzi, że to nie portfel, nie telefon i nie nóż, ale półautomatyczny Glock siedemnastka, ciemny, kanciasty i złowieszczy. Pistolet nieruchomieje około dwóch metrów dalej, całkowicie poza zasięgiem Irańczyka. Po części dlatego, że znajduje się za daleko, po części dlatego, że mężczyzna leży rozciągnięty na asfalcie i się nie rusza.

Szczerze mówiąc, wyglądał tak, jakby już nigdy nie miał się ruszyć.

Nastąpiło coś, o czym Reacher słyszał, ale czego nigdy osobiście nie doświadczył.

Jego koledzy medycy w wojsku nazywali to *commotio cordis*, określając tym mianem niskoenergetyczny udar klatki piersiowej – niskoenergetyczny tylko w tym sensie, że nie powstały od walnięcia przez samochód czy podmuchu przy eksplozji, tylko jak od uderzenia płasko odbitą piłką baseballową, jak od zderzenia z innym futbolistą na boisku, jak od ciosu otrzymanego podczas bójki na pięści czy od niefortunnego upadku na twardy przedmiot. Paskudne testy przeprowadzane na zwierzętach dowiodły, że wszystko zależy od szczęścia i timingu. Na wykresach EKG widać pracę serca. Jeden z elementów wykresu nosi nazwę załamka T. Testy wykazały, że gdy udar następuje w chwili, gdy załamkowi T brakuje od piętnastu do trzydziestu milisekund do punktu szczytowego, może wystąpić śmiertelna dysrytmia, powodująca nagle zatrzymanie pracy serca, zupełnie jak w przypadku zawału. W sytuacji stresowej – takiej jak konfrontacja z wrogiem na ciemnym parkingu – serce bije dużo mocniej niż normalnie i szczyty załamków T następują po sobie dużo szybciej, w tempie dwóch lub nawet trzech na sekundę, co powoduje, iż szanse na to, że timing i szczęście zawiodą, dramatycznie wzrastają.

Irańczyk leżał jak martwy.

Nie oddychał.

Brak było wyczuwalnego pulsu.

Żadnych oznak życia.

Podstawowe zasady pierwszej pomocy, jakie wojskowi lekarze wbijali im do głowy, sprowadzały się do zastosowania sztucznego oddychania i uciskania klatki piersiowej w tempie osiemdziesięciu ucisków na minutę. Własna zasada Reachera mówiła: nigdy nie przywracaj do życia kogoś, kto chciał do ciebie strzelać, i Reacher podchodził do niej dość pryncypialnie. Dlatego odczekał minutę, stojąc beczynn timerem i zostawiając decyzję matce naturze, potem jednak odrobinę się wtrącił, bo przykucnął i docisnął kciuk i palec wskazujący do głównych arterii w szyi Irańczyka. Powszechnie uważa się, że czterominutowy brak dopływu tlenu do mózgu definitywnie kończy sprawę. Reacher dla pewności odczekał pięć, rozglądając się i nasłuchując. Nikt nie zareagował, nikt się nie pojawił. Irańczyk umarł, lekkie naprężenie mięśni wynikłe z utraty przytomności minęło i mięśnie ostatecznie zwiotczały wiotkością niedawnej śmierci. Reacher podniósł kluczyki i Glocka i się wyprostował. Kluczyk miał wytłoczone logo Chevroleta, ale do granatowej impali nie pasował. Reacher kilkakrotnie wcisnął przycisk odblokowania drzwi, ale te nie zareagowały. Glock był prawie nowy i miał pełny magazynek – siedemnaście dziewięćmilimetrowych parabelek



w magazynku i jedna w komorze. Reacher włożył go do kieszeni razem ze śrubokrętami.

Przeszedł na przód parkingu i ponownie wcisnął przycisk na kluczyku. Odezwał się żółty chevrolet malibu. Błysnął wszystkimi czterema kierunkowskazami i odblokował wszystkie czworo drzwi. Samochód był nowy, czysty i niczym się nie wyróżniał. Oczywiście z wypożyczalni. Reacher wsiadł, przesunął fotel do tyłu i uruchomił silnik. Bak był prawie pełny. W kieszeni na drzwiach znalazł papiery z wypożyczalni z dzisiejszą datą, wystawione na firmę w Las Vegas, której nazwa nic mu nie mówiła. W uchwytach między fotelami tkwiły butelki z wodą, jedna do połowy pusta, jedna nieotwarta. Reacher wyjechał tyłem z miejsca parkingowego, objechał hotel i zatrzymał się obok zwłok Irańczyka. Odnalazł właściwy przycisk i zdalnie otworzył pokrywę bagażnika. Wysiadł i ocenił sytuację. Do ściany hotelu było blisko, a bagażnik nieduży, ale Irańczyk też nie należał do największych.

Reacher pochylił się i obszukał kieszenie denata. Znalazł telefon komórkowy, nóż, portfel, chustkę do nosa i około dolara drobnymi. Zostawił bilon, wyjął baterię z telefonu i włożył do jednej kieszeni Irańczyka, resztę telefonu do drugiej. Nóż był sprężynowy i miał rękojeść wyłożoną masą perłową. Ciężki, solidny i ostry. Niezły majcher. Schował go do kieszeni obok klucza nastawnego i sprawdził zawartość portfela. Zawierał blisko czterysta dolarów w gotówce, trzy karty kredytowe i prawo jazdy wydane w stanie Nevada na nazwisko Ashgar Arad Sepehr, z miejscem zamieszkania w Las Vegas. Fotografia ukazywała kogoś w miarę podobnego do denata, karty kredytowe były wystawione na to samo nazwisko. Gotówka składała się głównie z dwudziestek, jeszcze szeleszczących i pachnących nowością, pewnie prosto z bankomatu. Reacher wyjął pieniądze, przetaił portfel chusteczką i włożył do kieszeni denata, potem uniósł ciało za rękę i nogi z zamiarem wtłoczenia go do bagażnika żółtego malibu.

Lecz nagle przyszedł mu do głowy lepszy pomysł.

Przeniósł zwłoki obok cadillaca i ostrożnie ułożył na ziemi. Wygrzebał z kieszeni kluczyk, otworzył bagażnik, podniósł ciało i włożył je do środka. Cadillac był staromodnym krążownikiem szos i jego ogromny bagażnik bez trudu pomieścił zwłoki. Zatrzasnął wieko, otworzył drzwi po stronie kierowcy i skrupulatnie wytarł chusteczką wszystkie wcześniej dotykane części: kierownicę, dźwignię zmiany biegów, lusterko, przyciski na radiu, uchwyty drzwi wewnątrz i z zewnątrz. Na koniec wcisnął przycisk, blokując wszystkie drzwi, i zawrócił w stronę malibu. Było żółte, ale poza tym niczym się nie wyróżniało. Krajowa produkcja, lokalne tablice rejestracyjne, tradycyjny kształt. Mimo krzykliwego koloru na drodze będzie mniej rzucał się w oczy niż cadillac. Jest także prawdopodobne, że policja nie zostanie powiadomiona o kradzieży. Faceci z innego stanu z nożami i pistoletami w kieszeniach z reguły nie są skorzy do podnoszenia alarmu. Na pewno mniej od rozwścieczonych miejscowych.

Reacher spojrział w lewo, spojrział w prawo, spojrział za siebie, spojrział przed siebie. Wszędzie cisza. Zimna pustka, którą zaczynała wypełniać wieczorna mgła. Wsiadł do malibu i nie zapalając światła, powoli wyjechał z parkingu. Przejechał do końca ulicy McNally'ego i się zawahał. Jeśli skręci w lewo na południe, sto kilometrów dalej wjedzie na międzystanową I-80, szybką sześciopasmową autostradę, którą jednym susem dotrze do Wirginii. Skręt w prawo zaprowadzi go z powrotem do czterdziestu farm, Duncanów, motelu Apollo Inn, Eleanor, lekarza i jego żony, i Dorothy Coe. Wszystko to czekało sto kilometrów na północ.

Czas decyzji.

W lewo czy w prawo? Na południe czy na północ?

Zapalił światła, skręcił w prawo i ruszył na północ.

Duncanowie przenieśli się z kuchni Jonasa do kuchni Jaspera, bo w jego szafce została jeszcze prawie cała butelka burbona Knob Creek. Wszyscy czterej rozsiedli się przy stole z poobtlukiwanymi szklankami z grubego szkła, z blisko dwoma centymetrami bursztynowego płynu w każdej. Wolno sącząc, rozmawiali przyciszonymi głosami. Ich najnowszej dostawie zostało od dwunastu do dwudziestu czterech godzin na dotarcie do celu. Zwykle tego typu wiadomość witali radosnym świętowaniem, niemal jak Boże Narodzenie, dziś jednak byli wyciszeni.

– Jak sądzisz, gdzie to teraz jest? – spytał Jonas.

– Stoi gdzieś zaparkowane na noc – odparł Jacob. – Przynajmniej taką mam nadzieję. Gdzieś blisko granicy, czeka, aż się rozwidni. Najważniejsza jest rozważa.

– Osiemset kilometrów – powiedział Jonas. – Czas na przekroczenie granicy plus jakieś dziesięć godzin. Plus nieprzewidziane opóźnienia.

– Jak długo może potrwać to czytanie akt policyjnych? – zapytał Jasper.

– Dobrze pytanie – mruknął Jacob. – Sam się nad tym zastanawiałem. To muszą być całe tomy. I gdzieś je muszą trzymać. Załóżmy, że urzędnicy zaczynają pracę o dziewiątej. Załóżmy, że kończą o piątej. Załóżmy, że dotarcie do akt będzie wymagało pokonania jakichś przeszkód biurokratycznych. To znaczy, że jutro koło południa będzie mógł zacząć. A więc będzie miał około pięciu godzin jutro i ewentualnie pełne osiem godzin pojutrze. To mu może wystarczyć.

– Możemy się go więc spodziewać najwcześniej za czterdzieści osiem godzin.

– Tylko tak spekuluję. Pewności nie mam.

– Jeśli nawet szybciej, to i tak mamy mnóstwo czasu.

– On tu w ogóle nie wróci – orzekł Seth Duncan. – Dlaczego miałby wracać? Stu ludzi czytało te akta i nikt nie zgłosił wątpliwości. A on nie jest sto razy sprytniejszy od innych. Nie może być.

Wszyscy milczeli.

– No co? – obruszył się Seth.

– Nie musi być sprytniejszy od innych, synu – powiedział Jacob. – A już na pewno nie sto razy. Wystarczy, żeby był sprytny inaczej. Nazywają to myśleniem lateralnym.

– Ale nie ma żadnych dowodów. Przecież wszyscy to wiemy.

– Zgoda. – Jacob pokiwał głową. – Tylko że właśnie w tym rzecz. Nie chodzi o to, co jest w aktach. Chodzi o to, czego w nich nie ma.

• • •

Malibu było jak połówka cadillaca. Miało cztery cylindry zamiast ośmiu, ważyło tonę zamiast dwóch i było mniej więcej o połowę krótsze. Ale na drodze sprawowało się całkiem przyzwoicie. Choć Reacher i tak specjalnie się nad tym nie zastanawiał. Dumał o śmierci Irańczyka i szansie na zmieszczenie się w milisekundowym okienku załamka T. Facet był drobnej, jakby ptasiej budowy, a Reacher przywykł zakładać, że ludzie różniący się od niego fizycznie różnią się także osobowością. To by oznaczało, że w przeciwieństwie do jego spokojnego i luzackiego usposobienia Irańczyk musiał być z natury nerwowy i wybuchowy. Wówczas w sytuacji stresowej, jak ta na parkingu, jego serce mogłoby walić nawet w tempie stu osiemdziesięciu uderzeń na minutę, co by oznaczało, że załamki T następują po sobie błyskawicznie z szybkością trzech na sekundę i prawdopodobieństwo trafienia w kluczowe okienko około piętnastu milisekund przed szczytem wynosiło mniej więcej czterdzieści pięć na tysiąc, czyli nieco ponad jeden do dwudziestu.

Miał pecha. To znaczy Irańczyk, oczywiście. Ale nie było się czym przejmować. Reacher tak czy inaczej musiałby go uśmiercić, i to zapewne w ciągu następnych kilkadziesiąt sekund. Nie miałby innego wyjścia. Z chwilą gdyby tamten wyciągnął spluwę, pole manewru Reachera bardzo by się zawężyło. Niemniej stał się pierwszą ofiarą. I pewnie ostatnią, przynajmniej na jakiś

czas. Reacher był pewny, że następnym będzie jeden z futbolistów. Zakładał, że Duncanowie już wiedzą, iż opuścił ich teren – na dzień lub dwa, ale może na zawsze. Sądził, że dawno dopadli lekarza i wycisnęli z niego wszystko, co wiedział. Duncanowie to ostrożni realiści. Pewnie na noc wycofają pięciu swoich futbolistów i zostawią na straży jednego, który będzie pilnował drogi od południa. I z tym samotnym strażnikiem będzie musiał się rozprawić. Ale nie za pomocą *commotio cordis*. Nie zada gwałtownego ciosu w umięśnioną klatkę futbolisty. Co to, to nie. Mógłby sobie złamać rękę.

Przejechał gładko pierwsze kilkanaście kilometrów i zaczął się rozglądać za barem przy drodze, który zapamiętał z jazdy wczoraj. Niewielka drewniana szopa z knajpą Oaza. Pewnie stoi tuż za granicami miasteczka, na działce nienależącej do miasta i niepodlegającej miejskim koncesjom i podatkom. Noc była mglista i wycinane przez reflektory świetlne tunele w półprzezroczystym powietrzu w pewnej chwili straciły ostrość krawędzi, które rozmyły się w dodatkowej poświacie. Daleko przed nim po lewej pojawiła się kolorowa plama światła, szybko przemieniająca się w świecące na zielono, czerwono i niebiesko neonowe reklamy piwa, a także świecące na żółto lampy na parkingu.

Reacher zwolnił, zjechał z szosy i zaparkował żółte malibu obok brązowej od rdzy półciężarówki. Wysiadł, zamknął drzwi i ruszył do wejścia. Z bliska knajpa nijak nie kojarzyła się z nazwą. Mieściła się w zwykłej drewnianej szopie, w której kiedyś mógł być magazyn lub dom mieszkalny, i nawet liternictwo szyldu nie pasowało. Świecące litery w nazwie Oaza krojem przypominały opisy na rysunku montażowym elektryka, jakby wykonano je pismem technicznym. Ze środka dobiegał gwar – beztroskie pokrzykiwania w barze częściowo opustoszałym z uwagi na późną porę, w którym niedobitki próbują podtrzymać atmosferę zabawy. Słychać też było muzykę, zapewne z szafy grającej. Reacher nie znał tego kawałka, ale był gotów go polubić.

Wszedł do środka. Drzwi otwierały się od razu na główną salę. Na całej długości prawej ściany ciągnął się bar, po lewej stało kilka stołów z krzeselkami. Na sali było około dwudziestu osób, w większości mężczyzn. Wystrój wnętrza w postaci drewnianych stołów, zwykłych krzeseł, stołków barowych i podłogi z desek był bardzo prosty i nic w nim nie kojarzyło się z nazwą, choć neon z zewnątrz powtórzono też wewnątrz i nazwa Oaza świeciła też za barem w otoczeniu dwóch wyciętych ze srebrzystej folii masztów radiowych ze strzelającymi z czubków błyskawicami.

Reacher precyzyjnie przesunął się między stołami i przyciągnął wzrok barmana, który na jego widok przesunął się bliżej. Był młody, miał jasną, przyjazną twarz.

– Wygląda pan na trochę zagubionego – powiedział.

– Bo chyba oczekiwałem czegoś innego. Myślałem, że tu będzie bardzo zielono.

Barman nie odpowiedział.

– Nazwa mnie zmyliła. Nie tak wyobrażam sobie oazę na pustyni.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę milczał, po czym się uśmiechnął.

– Bo to nie o taką oazę chodzi. Niech pan wyjmie telefon.

– Nie mam telefonu.

– Gdyby pan miał, toby się okazało, że nie działa. Brak zasięgu. Jesteśmy w półtorakilometrowym paśmie, gdzie nie dochodzi żaden sygnał telefonii komórkowej. Dlatego ludzie lubią tu przyjeżdżać. Do oazy niezmaconego spokoju.

– Nie wystarczy po prostu nie odebrać?

– Natura człowiecza na to nie pozwala, nie wie pan? Ludzie nie potrafią zignorować dzwoniącego telefonu. To ma jakiś związek z nieczystym sumieniem. Wie pan, dzwoni żona albo szef i zaczynają się kłopoty. Już lepiej, jeśli telefon wcale nie dzwoni.

– A macie chociaż automat? W razie jakiejś awarii?

Barman pokazał głowę.

– W korytarzu za barem.

– Dzięki – powiedział Reacher. – Właśnie po to się tu zatrzymałem.

Przeszedł wzdłuż rzędu stołków barowych, z których tylko kilka było zajętych, i dotarł do przejścia prowadzącego do toalet i tylnego wyjścia. Na ścianie naprzeciwko damskiej toalety wisiał automat. Zamontowano go na prostokątnej tafli korka, brudnej i pociemniałej ze starości i pokrytej

dziesiątkami wyblakłych numerów telefonicznych. Pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu bilonu i znalazł pięć ćwierćdolarówek. Trzeba było zatrzymać drobne Irańczyka, pomyślał. Wykręcił ten sam numer, na który zadzwonił kwadrans temu i na który Dorothy Coe dzwoniła ćwierć wieku wcześniej. Reacher poprosił o połączenie z Hoagiem i po dziesięciu krótkich sekundach miał go na linii.

– Prośba o jeszcze jedną przysługę – powiedział. – Na pewno dysponujesz książkami telefonicznymi z całego okręgu, prawda?

– Prawda – odrzekł Hoag.

– Potrzebny mi numer telefonu niejakiego Setha Duncana. Mieszka około stu kilometrów na północ od miasta.

– Moment. – Reacher usłyszał kliknięcie i stukot klawiatury. Mają bazę komputerową, nie papierowe książki, pomyślał. – Numer zastrzeżony – odezwał się Hoag.

– Zastrzeżony w tym sensie, że go nie masz, czy że go widzisz, ale mi nie powiesz?

– Zastrzeżony w sensie „nie proś, bo możesz mnie wkopać”.

– Dobra, nie proszę. A masz tam numer Eleanor Duncan?

– Nie. Są cztery na nazwisko Duncan, ale sami mężczyźni i wszystkie zastrzeżone.

– To podaj mi numer lekarza.

– Jakiego lekarza?

– No tamtejszego, miejscowego.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem – rzekł Reacher. – Nie znam jego nazwiska.

– To ci nie pomogę. Dysponuję tylko alfabetycznym wykazem według nazwisk. Będzie przy nim napisane: Smith, dr Bill czy jakoś tak. Coś w tym rodzaju. I to bardzo drobnymi literkami.

– Musi być jakiś odsyłacz do lekarza. Może być potrzebny w nagłym przypadku. Musi być jakiś sposób na dodzwonienie się do najbliższego lekarza.

– Niczego takiego nie widzę.

– Czekaj, już wiem – powiedział Reacher. – Znajdź mi numer Apollo Inn.

– Apollo jak ta rakieta kosmiczna?

– Dokładnie, jak ta rakieta kosmiczna.

Hoag postukał w klawiaturę i odczytał numer. Kierunkowy trzysta osiem dla zachodniej części stanu i siedmiocyfrowy numer. Reacher powtórzył je w myślach, powiedział „dzięki”, odwiesił słuchawkę i zadzwonił do Apollo Inn.

• • •

Szesnaście kilometrów dalej na południe człowiek Mahmeiniego też trzymał w ręku telefon. Zadzwonił na numer komórkowy szefa i gdy Mahmeini odebrał, zameldował krótko:

– Mamy problem.

– Mianowicie? – spytał Mahmeini.

– Ashgar dał nogę.

– Niemożliwe.

– Ale tak jest. Posłałem go na dół do samochodu po butelkę wody. Nie wrócił, więc zszedłem na dół sprawdzić. Nie ma ani jego, ani samochodu.

– Zadzwon do niego.

– Próbowałem z dziesięć razy. Ma wyłączony telefon.

– Nie wierzę.

– Co mam teraz zrobić?

– Masz go znaleźć.

– Nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

– Wiesz, że on pije – powiedział Mahmeini.

– Wiem. Ale w tej dziurze nie ma ani jednego baru. Tylko sklep z alkoholami, o tej porze już zamknięty. A poza tym żeby pojechać do sklepu z gorzałą, nie brałby samochodu. Poszedłby piechotą. To tylko trzy przecznice stąd.

- Musi być jakiś bar. Jesteśmy w Ameryce. Spytaj portiera.
- Portiera też nie ma. Tu nie jest Bellagio. Nawet nie dają butelek wody do pokoju.
- Ktoś musi być w recepcji. Spytaj tego kogoś.
- Nie mogę się nigdzie ruszyć. Nie mam samochodu. A tamtych nie poproszę o pomoc. To byłoby przyznanie się do słabości.
- Znajdź jakiś sposób – polecił sucho Mahmeini.
- Znajdź bar i znajdź sposób, jak się do niego dostać. To rozkaz.

• • •

Reacher wsłuchiwał się w sygnał. Brzmiał dźwięcznie i donośnie w jego uchu, może z racji staromodnej, ważącej chyba pół kilo słuchawki z czterocentymetrowym krążkiem wokół membrany. Wyobraził sobie dwa aparaty telefoniczne dzwoniące teraz w motelu osiemdziesiąt kilometrów na północ, jeden w recepcji, drugi za barem. Może nawet więcej niż dwa. Może jest jeszcze trzeci w służbowym kantorku i czwarty w mieszkaniu Vincenta. Może cały motel jest jedną wielką płataniną przewodów, niczym wewnątrz modułu księżycowego. Wszystkie bardzo długo dzwoniły, zanim słuchawka na którymś została w końcu podniesiona i głos Vincenta powiedział: „Motel Apollo Inn”. Znowu była w nim taka radość i entuzjazm, jakby odbierał telefon od pierwszego gościa w dniu otwarcia.

- Potrzebuję numeru telefonu Eleanor Duncan – powiedział Reacher.
- Reacher? A skąd ty dzwonicz?
- Spoza terenu. Potrzebny mi numer Eleanor.
- Wracasz tu?
- Cóż by mnie mogło powstrzymać?
- Nie jedziesz do Wirginii?
- Mam nadzieję, że kiedyś tak.
- Nie mam numeru Eleanor.
- Nie należy do drzewa telefonicznego?
- Skąd. Seth mógłby się wtedy podłączyć.
- Dobra, a lekarz jest u ciebie?
- W tej chwili go nie ma.
- A więc w barze zastój.
- Niestety.
- Masz jego numer?
- Poczekaj chwilę. – Reacher usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki i zapadła cisza.

Wystarczająco długa, by przejść przez salon barowy. Dało się słyszeć pyknięcie słuchawki podnoszonej na innym aparacie, zapewne w recepcji. Dwie podniesione słuchawki wychwytywały ciche przestrzenne echo odbijające się od kopulastego sufitu. Vincent odczytał numer kierunkowy i siedmiocyfrowy numer telefonu, Reacher powtórzył go w myślach i rzucił „dzięki”. Rozłączył się i wybrał podany numer.

• • •

Recepcjonista w Marriotcie poinformował człowieka Mahmeiniego, że jest bar, tyle że nie tu, a jakieś szesnaście kilometrów dalej na północ, tuż za granicami miasta. Znajduje się przy samej szosie, nazywa się Oaza i jest niedrogim i przyjaznym miejscem na wypicie drinka; i tak, zwykle jest czynny do późnych godzin nocnych; i tak, w mieście są taksówki; i tak, z przyjemnością wezwie dla niego taksówkę.

Niecałe pięć minut później człowiek Mahmeiniego wsuwał się na wyplamione winylowe tylne siedzenie zabytkowego chevrolleta caprice, którego kierowca wyjechał z parkingu, dotarł do końca ulicy McNally’ego i skręcił w prawo w główną drogę.

• • •

Lekarz odebrał dużo szybciej niż Vincent.

- Potrzebny mi numer Eleanor Duncan – powiedział Reacher.
- Reacher? – zdziwił się lekarz. – Gdzie pan jest?
- Wciąż poza terenem.
- Wraca pan?
- A co, stęskniłeś się?
- Nie powiedziałem Duncanom o cadillacu.
- Dzielny z ciebie gość. Seth wrócił już do domu?
- Kiedy wychodziłem, był jeszcze u ojca.
- Zostanie tam na noc?
- Podobno często zostaje.
- U ciebie wszystko w porządku?
- Nie najgorzej. Dopadli mnie ci futboliści.
- I co dalej?
- Nic specjalnego. Właściwie ograniczyło się do wymiany słów.

Reacher wyobraził sobie lekarza, jak stoi w przedpokoju lub kuchni i dygocząc ze zdenerwowania, wodzi wzrokiem po oknach i drzwiach.

- Jesteś trzeźwy? – zapytał.
- Trochę – odparł lekarz.
- Trochę trzeźwy?
- Obawiam się, że na więcej nie mogę ostatnio liczyć.
- Potrzebny mi telefon Eleanor Duncan.
- Jej numer jest zastrzeżony.
- Tyle to i ja wiem.
- Nie należy do telefonicznego drzewa.
- Ale jest twoją pacjentką.
- Nie mogę.
- Nie możesz już bardziej im podpaść.

– Nie tylko o to chodzi. Jest też kwestia dyskrecji. Jestem lekarzem. Sam powiedziałaś, że obowiązuje mnie przysięga.

– Mamy do usmażenia omlet – powiedział Reacher. – Nie da się tego zrobić bez rozbicia paru jajek.

- Będą wiedzieli, że to ja.
- Jak będę miał okazję, zapewnię ich, że nie.

Lekarz umilkł, potem głęboko westchnął i wyrecytował numer.

- Dzięki – rzucił Reacher. – I uważaj na siebie. Pozdrowienia dla żony.

Rozłączył się, wybrał numer i zaczął się wsłuchiwać w kolejny sygnał dzwonienia. Takie samo elektroniczne brzęczenie, ale tym razem gdzie indziej. We wnętrzu adaptowanej wiejskiej chałupy, pełnej pastelowych kolorów, drogich dywanów i olejnych obrazów. Pomyślał, że jeśli Seth jest w domu, to na pewno odbierze. Ich związek na taki właśnie wyglądał. Ale był pewny, że Seta nie ma. Duncanowie mieli podwójny kłopot i doświadczenie podpowiadało Reacherowi, że w tej sytuacji będą się trzymali blisko siebie i czekali, aż sytuacja się wyklaruje. Najprawdopodobniej Eleanor jest sama i to ona odbierze. A może nie? Może wbrew temu, co o naturze człowieczej sądzi poznany przed chwilą barman, zignoruje dzwoniący telefon?

Odebrała.

- Halo? – powiedziała.
- Seth w domu? – spytał Reacher.
- Reacher? Gdzie pan jest?
- Nieważne, gdzie ja jestem. Gdzie jest Seth?
- U ojca. Nie spodziewam się, żeby na noc wrócił do domu.
- To dobrze. Nie śpi pani jeszcze? Jest pani ubrana?
- A bo co?
- Bo chciałbym, żeby coś pani dla mnie zrobiła.



Tylna kanapa w starym caprice była wygnieciona w dwa oddzielne siedzenia, ale nie z woli projektantów, tylko w wyniku wieloletniego beztróskiego użytkowania. Człowiek Mahmeiniego usadowił się w prawym zagłębieniu za fotelem pasażera i przechylił głowę w lewo, by lepiej widzieć drogę przez przednią szybę. Po chwili przesunął się tył tablicy informacyjnej na poboczu i potem już nic więcej. Szosa przed nimi była prosta i pusta, bez jakichkolwiek jadących z naprzeciwka samochodów, co go zresztą niemile rozczarowało, bo gdyby Ashgar wyskoczył na jednego drinka, można by machnąć na to ręką. Albo na dwa. Albo nawet trzy. Pod warunkiem że szybciotko by wrócił. Ale całonocną nieobecność należało już uznać za dezercję.

Stary silnik trochę rzęził, wskazówka szybkościomierza drgała na dziewięćdziesiątce. Półtora kilometra na minutę. Jeszcze dziesięć kilometrów, jeszcze dziesięć minut...

•••

– Chciałbym, żeby pani dokładnie za godzinę i dziesięć minut wsiadła do swojego czerwonego sportowego autka i wyjechała z domu – powiedział Reacher.

– Wyjechała? Dokąd? – zdziwiła się Eleanor Duncan.

– Szosą na południe. Proszę się tylko przejechać. Osiemnaście kilometrów z dowolną szybkością. Potem może pani zawrócić i wrócić do domu.

– Osiemnaście kilometrów?

– Albo dwadzieścia. Albo trochę więcej. Ale nie mniej niż szesnaście.

– Dlaczego?

– Nieważne dlaczego. Zrobi to pani?

– Chce mnie pan wyciągnąć z domu, żeby coś tu zrobić?

– Nawet nie zbliżę się do pani domu. Przysięgam. Nikt się o tym nie dowie. Zrobi to pani?

– Nie mogę. Seth zabrał mi kluczyki. Jestem uziemiona.

– Nie ma pani zapasowych?

– Zapasowe też zabrał.

– Ale nie nosi ich w kieszeni – powiedział Reacher. – Przecież nawet swoje trzyma w miseczce w kuchni.

Eleanor nie odpowiedziała.

– Wie pani, gdzie je trzyma?

– Tak. Na swoim biurku.

– Na, czy w środku?

– Na. Leżą na samym wierzchu. Jakby mnie prowokował. Mówi, że posłuszeństwo bez pokusy jest nic niewarte.

– Dlaczego pani, na litość boską, jeszcze tam siedzi?

– A dokąd miałabym pójść?

– Niech pani zabierze te cholerne kluczyki. Proszę się wreszcie zbuntować.

– Czy to może zaszkodzić Sethowi?

– Nie wiem, jak mam odpowiedzieć na to pytanie.

– Szczerze. Niech pan odpowie szczerze.

– Może mu zaszkodzić pośrednio. Pośrednio i nie na pewno. Ale może.

W słuchawce zapadła cisza i dopiero po dłuższej chwili Eleanor powiedziała:

– Dobrze, zrobię to. Przejadę osiemnaście kilometrów szosą na południe i wrócę do domu.

Za godzinę i dziesięć minut od teraz.

– Nie. Za godzinę i sześć minut. Cztery minuty już straciliśmy na rozmowę.

Reacher odwiesił słuchawkę i wrócił na główną salę. Jak każdy dobry przedstawiciel tego zawodu, barman poruszał się szybko i sprawnie, obserwując salę i wyczuwając klientów. Spojrzał



na Reachera i gdy ten podszedł do baru, powiedział z uśmiechem:

– Chyba powinienem poprosić pana o autograf na serwetce, albo na czymś. Na pamiątkę. Jest pan pierwszym gościem, który tu przyjechał zadzwonić, a nie unikać telefonu. Nalać panu coś?

Reacher prześlizgnął się wzrokiem po półkach za barem. Wszelkiego rodzaju trunki, piwo beczkowe, piwo w butelkach, napoje bezalkoholowe. I ani śladu kawy.

– Nie, dziękuję – powiedział. – Nie mam ochoty. Zresztą muszę już jechać. – Ruszył między stolikami do drzwi i wyszedł na parking. Podszedł do samochodu, wsiadł, uruchomił silnik i wyjechał z parkingu, skręcił na północ.

•••

Człowiek Mahmeiniego dojrzał daleko po lewej kolorową poświatę. Świecące na zielono, czerwono i niebiesko neonowe napisy. Kierowca jeszcze przez chwilę trzymał wciśnięty pedał gazu, potem zdjął z niego nogę i samochód zaczął zwalniać. Silnik zakaszał, z rury wydechowej strzeliło i taksówka zjechała na pobocze. W oddali widać było słabe i ginące w mroku czerwone światła oddalającego się samochodu. Tak blade, że niemal niewidoczne. Taksówkarz przyhamował i człowiek Mahmeiniego ujrzał po lewej zwykłą drewnianą szopę. Umieszczone nad wejściem dwa niewielkie reflektorki rzucały bladą poświatę na najbliższe otoczenie. Na placu przed szopą stało kilkanaście samochodów, ale żółtego chevroleta z wypożyczalni wśród nich nie było.

Taksówka zajechała pod wejście i stanęła. Taksówkarz spojrzął przez ramię do tyłu i człowiek Mahmeiniego powiedział:

– Niech pan poczeka.

– Jak długo? – spytał kierowca.

– Chwilę. – Człowiek Mahmeiniego wysiadł i się rozejrzał. Światła samochodu na szosie już się zupełnie rozmyły, ale on i tak jeszcze przez chwilę patrzył w tamtą stronę, po czym ruszył do wejścia. Wszedł do środka i rozejrzał się po przestronnym wnętrzu. Stoły z krzesłami po lewej, długi bar po prawej. Na sali było około dwudziestu osób, w większości mężczyzn, ale żaden z nich nie był Ashgarem Aradem Sepehrem. Stojący za barem i obsługujący kogoś barman natychmiast zauważył pojawienie się nowego klienta. Przeciskając się między stolikami w stronę baru, człowiek Mahmeiniego miał wrażenie, że wszyscy obecni na sali mu się przypatrują. Niski, dość niechlujnie wyglądający, nieogolony i sprawiający wrażenie niedomytego facet o bliskowschodnich rysach. Obsługiwany mężczyzna odszedł od baru z dwoma kufłami piennego piwa i barman podszedł do następnego gościa przy barze, od razu wyłuskując wzrokiem kolejnego, jakby planował dwa ruchy do przodu.

– Szukam kogoś – powiedział do niego człowiek Mahmeiniego.

– To tak jak my wszyscy, proszę pana. To leży w naturze człowieczej, nieprawdaż? Nasza odwieczna tęsknota.

– Nie, szukam kogoś znajomego. Zaprzyjaźnionego.

– Kobiety czy mężczyzny?

– Mężczyzna podobny do mnie.

– Przykro mi, ale nikogo takiego nie widziałem.

– Jeździ żółtym samochodem.

– Samochody parkują na zewnątrz, ja jestem w środku.

Człowiek Mahmeiniego odwrócił się i potoczył wzrokiem po sali. Pomyślał o tylnych światłach samochodu odjeżdżającego na północ i powrócił wzrokiem do barmana.

– Na pewno?

– Nie chciałbym być niegrzeczny, proszę pana, ale gdyby dwóch takich zjawilo się tu jednego wieczoru, pewnie ktoś zawiadomiłby federalnych, nie sądzi pan?

Człowiek Mahmeiniego przełknął w milczeniu zaczepkę.

– Tak tylko mówię – ciągnął barman. – Ale jesteśmy w Nebrasce. Mamy tu różne obiekty wojskowe.

– A był tu ktoś inny, kto niedawno odjechał?

– Tu jest bar, przyjacielu. Ludzie cały czas wchodzą i wychodzą. Właśnie po to są takie

lokale.

Barman zwrócił twarz ku kolejnemu spragnionemu, dając tym samym do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona. Człowiek Mahmeiniego odwrócił się od baru, raz jeszcze rozejrzał po sali, dał za wygraną i ruszył do wyjścia. Wyszedł na dwór i sięgnął do kieszeni po komórkę. Brak sygnału. Przez chwilę stał nieruchomo, potem znów spojrzął na północ, gdzie rozplynęły się światła tamtego samochodu. Otworzył drzwi taksówki, pokonując skrzypiący opór zawiasów.

– Dzięki za cierpliwość – powiedział, wsiadając.

Taksówkarz obejrzał się przez ramię.

– Dokąd teraz? – zapytał.

– Niech pan mi da chwilę pomyśleć – powiedział człowiek Mahmeiniego.

• • •

Reacher jechał równo setką. Półtora kilometra na minutę, hipnotyczna prędkość. Słupy elektryczne przemykały do tyłu, opony śpiewały, silnik mruczał. Wziął do ręki pełną butelkę wody, otworzył i prowadząc jedną ręką, wypił połowę. Przełączył światła na szosowe. W zasięgu wzroku nie było nic poza wstęgą prostej pustej szosy ginącej w oddali w mroku. Spojrzął we wsteczne lustro. Za nim też nic nie jechało. Rzucił okiem na wskaźniki. Wszystko w normie.

• • •

Eleanor Duncan spojrzała na małego damskiego rolexa. Prezent od Setha, chyba nawet prawdziwy. Dodała godzinę i sześć minut do chwili odłożenia słuchawki. Wychodziło, że do wyjazdu zostało jej czterdzieści pięć minut. Przeszła z salonu do holu, a z niego do dziupli męża, niedużego kwadratowego pomieszczenia bez okna. Nie знаła jego pierwotnego przeznaczenia. Może niegdyś trzymano tu broń. Teraz był tu gabinet pana domu z akcentem na „pana”, a nie prowadzenie domowej buchalterii. Stał tu skórzany fotel klubowy i biurko z drewna cisowego z lampą z zielonym szklanym abażurem. Na regale było trochę książek, na podłodze leżał dywan. Wszystko pachniało Sethem.

Na biurku stało płytkie szklane korytko. Było pamiątką z Murano pod Wenecją i też było zielone. Leżała w nim garstka spinaczy i kluczyki do jej samochodu. Dwie ząbkowane metalowe szpadki z czarnymi główkami. Kluczyki do mazdy miaty, małego czerwonego kabrioletu. Lubiła nim jeździć. Czuła się w nim wolna i beztraska. Jak w dawnych brytyjskich MG i lotusach, tylko pewniej.

Zabrała jeden z kluczyków.

Wróciła do holu. Szesnaście kilometrów. Domyślała się, o co Reacherowi może chodzić. Podeszła do szafy i wyjęła chustkę na głowę. Jedwabną i śnieżnobiałą. Złożyła ją w trójkąt i obwiązała nim włosy. Podeszła do lustra. Wyglądała jak gwiazda z archiwalnego filmu po potyczce z równie archiwalnym bokserem wagi ciężkiej.

Wyszła tylnymi drzwiami na nocne zimno i przeszła do dawnej stodoły. Pusty garaż Setha po prawej, jej pośrodku, wrota otwarte na oścież. Wsiadła do auta, zwolniła zatraski nad przednią szybą i złożyła dach. Uruchomiła silnik, wyjechała z garażu i zatrzymała się na podjeździe. Silnik pracował, ogrzewanie zaczynało dmuchać ciepłym powietrzem, a jej serce waliło jak młotem. Spojrzała na zegarek. Zostało dwadzieścia dziewięć minut.

• • •

Reacher jeszcze przez pewien czas utrzymywał stałą prędkość stu kilometrów na godzinę, potem jednak zwolnił, zmienił światła i zaczął się wpatrywać w prawe pobocze. Po chwili jak na zamówienie wychynęła z ciemności stara opuszczona gospoda, wyraźnie widoczna w świetle reflektorów. Dziurawy dach, pokryte warstwą błota reklamy piwa, wyboisty placyk w miejscu dawnego parkingu. Zjechał z szosy i wjechał na teren gospody. Spod kół wystrzeliły kamyki. Objechał budynek dookoła.

Był długi, niski i przypominał uciętą w połowie stodołę. Nie licząc dwóch prostokątnych dobudówek z tyłu, bryła budynku była foremnym wydłużonym sześcianiem. W jednej z dobudówek

zapewne mieściły się niegdyś toalety, w drugiej kuchnia, co miało sens z uwagi na rozprowadzenie instalacji wodnościekowej. Między dobudówkami znajdowała się wnęka w kształcie szerokiej litery U, pusta, jeśli nie liczyć sterty naniesionych przez wiatr śmieci. Osłonięta z trzech stron i otwarta na ciągnące się ku wschodowi pola wnęka miała jakieś dziesięć metrów długości i niecałe cztery metry głębokości.

Do jego planu pasowała idealnie.

Reacher wrócił przed gospodę i zaparkował dziesięć metrów od południowej ściany, ustawiając się skośnie przodem do szosy. Zasłonięty od północy przez budynek był jak gliniarz z drogówki, czyhający z radarem na spieszących się kierowców.

Zgasił światła, ale zostawił silnik na chodzie. Wysiadł, obszedł samochód od przodu, stanął za węglem i oparł się plecami o ścianę. Stare deski po stu latach wyziębienia zimą i spiekania latem były cienkie i spękane, pachniały kurzem i starością. Reacher zwrócił twarz na północ i wbił wzrok w ciemność. Nie widział szosy, ale wiedział, że biegnie opodal.

Czekał.

Czekał dwadzieścia długich minut, nim na północy pojawiły się światła. Początkowo blade i ledwo widoczne, w odległości ośmiu czy dziesięciu kilometrów. Tyle że nie jako oddzielne reflektory, a półkolista poświata podrygująca i trzęsąca się, przygasająca, znów rozbłyskująca i znów przygasająca. Ruchoma bańka światła. Tak intensywnie biała, że niemal niebieskawa. Zbliżał się szybko jadący samochód.

Zapewne Eleanor Duncan, dokładnie o czasie.

Reacher czekał.

Po dwóch minutach samochód znalazł się jakieś trzy kilometry bliżej i półkolista plama światła urosła i stała się wyraźniejsza, wciąż podrygując i trzęsąc się, tyle że w jakimś dziwnym asynchronicznym rytmie. Reflektory strzelały na boki jednocześnie w dwie strony, rozbłyskując i przygasając nieregularnie i jakby przypadkowo.

Nadjeżdżały dwa samochody, nie jeden.

Reacher się uśmiechnął. Drugi to wartownik Duncanów. Futbolista, którego wysłali do pilnowania południowego odcinka szosy. Absolwent college'u, więc nie jakiś matoł. Musi mieć świadomość, że jego pięciu kumpli odpoczywa. Odesłano ich do domu w przekonaniu, że tej nocy nic się nie wydarzy, a jego wysłano na szosę tylko dla zachowania pozorów, tak na wszelki wypadek. Musiał też wiedzieć, że czeka go długa i nudna noc i wytrzeszczanie na próżno oczu, bez szans na wykazanie się. Więc co ktoś taki robi, gdy zza pleców wyskakuje mu Eleanor Duncan w swoim czerwonym sportowym samochodziku? Oczywiście postanawia się wykazać i zasłużyć na pochwałę. Opuścił bezproduktywne sterczenie na drodze i rusza w ślad za nią. Marzy mu się awans do ścisłego grona zasłużonych i już sobie wyobraża tę scenę i obmyśla tekst, z jakim wystąpi jutro rano. Dyskretnie odciągnie Seta Duncana na bok i szepnie mu do ucha, jak stary przyjaciel czy zaufany adiutant: „Tak, proszę pana, pojechałem za nią do końca i mogę panu dokładnie pokazać, dokąd pojechała”. A potem jeszcze doda: „Nie, proszę pana, nikomu o tym nie powiedziałem, ale pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć”. A potem jeszcze poszura niepewnie nogami i dowodzącym skromności tonem doda: „No tak, proszę pana, uznałem, że to znacznie ważniejsze niż pilnowanie pustej szosy i cieszę się, że pan też uważa, że słusznie postąpiłem”.

Reacher znów się uśmiechnął.

Ludzka natura.

Nadal czekał.

Następne dwie minuty i przesuująca się bańka światła znalazła się o kolejne trzy kilometry bliżej, teraz już bardziej spłaszczona i wydłużona. Dwa samochody w niewielkiej odległości od siebie. Drapieżnik i ofiara, w odstępie kilkuset metrów. W bańce światła nie było czerwonych refleksów, czyli reflektory futbolisty nie sięgały mazdy i nie odbijały się od jej karoserii. Musiał się trzymać co najmniej czterysta metrów za nią, pewnie dumny z siebie, że tak świetnie się kamufluje. Więc może jednak niezbyt bystry. W maździe było przecież wsteczne lustro, a halogenowe reflektory w zimową noc w Nebrasce muszą być widoczne z kosmosu.

Reacher się poruszył.

Oderwał się od narożnika, obiegł maskę malibu i usiadł za kierownicą. Przetawiał dźwignię biegów na tryb ręczny i włączywszy pierwszy bieg, lewą nogą wcisnął hamulec, prawą położył na pedale gazu. Nacisnął lekko gaz, czując, jak układ napędowy zaczyna wyrwać do przodu, walcząc z hamulcem, a samochód aż dygoce. Jedną rękę położył na kierownicy, drugą na wyłączniku światel.

I czekał.

Sześćdziesiąt sekund.

Półtorej minuty.

Mazda przemknęła od prawej do lewej – niewielki ciemny kształt goniący jasną plamę światła. Dach opuszczony, za kierownicą kobieta w białym szalu na głowie, szum opon i silnika, czerwona poświata tyłu. Mignęła i już jej nie było. Reacher jednocześnie zapalił światła, zdjął nogę z hamulca i dodał gazu. Samochód wystrzelił jak z procy, Reacher z piskiem zahamował, ustawiając się w poprzek jezdni. Otworzył drzwi, wyskoczył z auta i obiegł bagażnik w stronę pobocza, skąd przed chwilą wyjechał. Dwieście metrów na prawo od niego wielki SUV zaczynał gwałtownie hamować. Jego reflektory omiotły żółtą karoserię malibu, szarpnęły w dół i rozświetliły czarną nawierzchnię szosy, gdy przednie zawieszenie uległo zgnieceniu pod działaniem potężnej siły hamowania. Ogromne opony zawyły, pojazd stracił stateczność, przechylił się w prawo i wpadł w czterokołowy poślizg. Prawe koła ugięły się, wysoko umieszczony środek ciężkości spowodował gwałtowny przechył i lewe koła na moment zawisły w powietrzu, po czym z hukiem opadły na jezdnię. Tyłem pojazdu zamiotło o dziewięćdziesiąt stopni, SUV obrócił się i znieruchomiał równoległe do malibu, nie dalej jak trzy metry od niego. Zapadła cisza i tylko gwałtowny pisk opon rozpląnął się gdzieś w oddali. Spod kół wydobyły się obłoczki niebieskiego dymu, unosząc się i ogarniając nieruchome cielsko SUV-a błękitnym tumanem, który zaraz rozpląnął się w zimnym powietrzu.

Reacher wyjął z kieszeni glocka, podbiegł do drzwi kierowcy SUV-a i szarpnąwszy, otworzył je na oścież. Odskoczył do tyłu i wycelował w chłopaka. Nie był zwolennikiem dramatycznych gestów, ale z wieloletniego doświadczenia wiedział, jak należy postępować z zaszokowanymi i przez to nieobliczalnymi przeciwnikami. I dlatego na cały głos wrzasnął: „wsiądź z samochodu, wsiądź z samochodu, wsiądź z samochodu!”, a jego głos rzeczywiście zabrzmiał donośnie. Chłopak siedzący za kierownicą praktycznie wypadł na jezdnię, sekundę później Reacher był już przy nim, obracając na brzuch i przygniatając twarzą do asfaltu kolaniem wciskanym w tył karku. Jednocześnie wcisnął lufę glocka w potylicę i nie przestając wrzeszczeć: „nie ruszaj się, nie ruszaj się, nie ruszaj się!”, rozejrzał się na boki, by sprawdzić, czy nie pojawiają się jakieś nowe światła.

Nie było żadnych świateł, nikt nie nadjeżdżał. Chłopak nie miał obstawy. Nie zadzwonił po pomoc, bo nie chciał się dzielić swoją chwałą. Jak było do przewidzenia.

Reacher się uśmiechnął.

Ludzka natura.

W otaczającej ich ciszy słychać było tylko szum pracującego silnika malibu, ciemność rozświetlały cztery wiązki światła padające na przeciwległe pobocze. W powietrzu unosiła się woń spalonej gumy, przegrzanych hamulców, benzyny i oleju. Futbolista leżał jak martwy, nie próbując się ruszyć, w czym zapewne pomagał studziesięciokilogramowy ciężar na jego plecach, pistolet przytknięty do głowy i zapamiętane z telewizji sceny zatrzymań przez funkcjonariuszy SWAT. A może nawet widziane na żywo. Wiejskich chłopaków też czasami aresztują tak jak innych. A wszystko rzeczywiście odbyło się bardzo szybko, po ciemku, pośród wrzasków i szarpaniny, budząc przerażenie. Tak szybko, że chłopak mógł nawet nie dojrzeć twarzy Reachera i nie rozpoznać go z opowieści Duncanów. Mógł się w ogóle nie zorientować, z kim ma do czynienia.

Może leży spokojnie jak karny obywatel i czeka na sposobność, by zapewnić policjantów o swojej niewinności, jak każdy w jego sytuacji. To stanowiło mały problem, bo Reacher miał już zamiar skończyć z działaniami mogącymi sugerować akcję policyjną i przejść do czegoś, co w umyśle chłopaka nie pozostawi cienia wątpliwości, z kim i czym ma do czynienia. A chłopak był wielki i potężnie zbudowany. Dwa metry wzrostu, może nawet trochę lepiej, sto trzydzieści kilo wagi, może nawet trochę lepiej. Miał na sobie czerwoną bluzę Cornhuskersów, workowate dzinsy i buty wielkości kajaków.

– Jak ci na imię? – warknął Reacher.

Broda, usta i nos chłopaka były wprasowane w asfalt.

– John – wymamrotał. Zabrzmiało to jak zduszone stęknięcie z towarzyszącym mu cichym sykiem wypuszczanego powietrza.

– Nie Brett? – parsknął Reacher.

– Nie.

– To dobrze. – Reacher obrócił głowę chłopaka bokiem do asfaltu i wcisnął mu lufę glocka w ucho. Żrenice chłopaka uciekły w bok, tak że widać było tylko białka jego oczu.

– Wiesz, kim jestem?

– Teraz już wiem.

– To dowiedz się jeszcze dwóch rzeczy i spróbuj je dokładnie zrozumieć.

– Jakich dwóch rzeczy?

– Cokolwiek byś myślał na swój temat, ja jestem twardszy i o wiele bardziej brutalny.

Nawet nie masz pojęcia jak. Jestem gorszy od twoich najgorszych sennych koszmarów. Wierzysz mi?

– Tak.

– Naprawdę wierzysz? Tak jak wierzysz w mamusię i domową szarlotkę?

– Tak.

– Wiesz, co zrobiłem z twoimi kumplami?

– Tak.

– Co z nimi zrobiłem?

– Zmasakrował ich pan.

– Otóż to. Ale dla ciebie mam propozycję, John. Jestem gotów się z tobą dogadać i ocalić ci życie. Możemy to zrobić, jeśli obaj się postaramy. Ale jeśli choćby na centymetr odstępisz od wytyczonej linii, zabiję cię, odejdę i nigdy więcej o tobie nie pomyślę. I do końca życia będę spał jak niewinne niemowlę. Czy mamy w tej kwestii jasność?

– Tak.

– Czy to znaczy, że chcesz spróbować?

– Tak.

– Przychodzą ci do głowy jakieś głupie myśli? Chcesz się zabawić w futbolistę z boiska?

Masz zamiar odczekać na chwilę mojej nieuwagi?

– Nie.

– Trafna odpowiedź, John. Bo ja nie miewam chwil nieuwagi. Widziałeś kiedyś, jak do kogoś strzelają?

– Nie.

– Bo to nie wygląda jak na filmie, John. Kule wrywają z człowieka obrzydliwe kawały mięsa. Nawet ze zwykłej rany mięśni nigdy się do końca nie wychodzi. Nie w stu procentach. Wdają się różne infekcje, człowiek jest do końca życia osłabiony i obolały.

– Rozumiem.

– No to wstań. – Reacher podniósł się, odszedł parę kroków i wymierzył pistolet w chłopaka, dla lepszego efektu trzymając go oburącz w wyciągniętych rękach i celując w głowę jak do sylwetki na tarczy strzeleckiej. Chłopak na moment zwinął się w pozycji embrionalnej, potem zebrał w sobie, podparł rękami i podniósł do klęczek.

– Widzisz ten żółty samochód? – powiedział Reacher. – Staniesz teraz przy drzwiach od strony kierowcy.

– Dobra. – Chłopak podźwignął się na nogi, w pierwszej chwili niezbyt ich pewny i pochylony, ale szybko się wyprostował, a jego ruchy nabrały pewności.

– Lepiej się poczułeś, John? Wraca ci odwaga? Szykujesz się? Chcesz się na mnie rzucić?

– Nie – wybąkał chłopak.

– Trafna odpowiedź, John. Bo zanim zdążysz naprężyć choćby jeden mięsień, wpakuję ci dwie kule, jedna po drugiej. Wierz mi, już to kiedyś robiłem. Kiedyś mi nawet za to płacili i jestem w tym dobry. Podejdź teraz do samochodu i stań przy drzwiach od strony kierowcy. – Reacher powiódł za nim lufą pistoletu wokół maski malibu. Drzwi były wciąż otwarte, tak jak je Reacher zostawił, by nie tracić czasu w kluczowym momencie akcji. Chłopak stanął przy nich, Reacher podszedł od drugiej strony i mierząc do niego nad dachem samochodu, otworzył drzwi po stronie pasażera. Obaj stali przy otwartych drzwiach po obu stronach auta, które przypominało szykującego się do lotu ptaka z rozpostartymi skrzydłami.

– Wsiadaj – rozkazał Reacher.

Chłopak pochylił głowę, skurczył się w sobie i wcisnął na fotel. Reacher zrobił krok do tyłu i wycelował pistolet do wnętrza samochodu, prosto w miednicę i nogi chłopaka.

– Nie dotykaj kierownicy – zarządził. – Nie dotykaj pedałów. Nie zapinaj pasa.

Chłopak siedział nieruchomo z rękami złożonymi na udach.

– Zamknij teraz drzwi – polecił Reacher.

Chłopak to zrobił.

– Czujesz się już bohaterem, John?

– Nie.

– Trafna odpowiedź, chłopcze. Myślę, że nam się uda. Tylko pamiętaj, że chevrolet malibu to dobry produkt średniej klasy, zwłaszcza jak na produkt z Detroit, ale przyspieszenie ma do dupy. W każdym razie w porównaniu z kulą. A w spluwie mam pełny magazynek dziewięciomilimetrowych parabelek, które wylatują z lufy z szybkością ponad tysiąca czterystu kilometrów na godzinę. Sądysz, że czterocylindrowy wyrób GM zdoła przed nimi uciec?

– Nie.

– Dobrze, John, coraz lepiej. Cieszę się, że nauki twoich profesorów nie poszły na marne.

W tym momencie coś przyciągnęło jego wzrok. Uniósł głowę i nad dachem ujrzał we mgle plamę światła. Od południa zbliżała się półkolistą bladą poświata, drgając i kolebiąc się, nasilając, słabnąc i znów nasilając. Plama szybko robiła się coraz bielsza, niemal błękitna.

Od południa zbliżał się jakiś samochód.

Nadjeżdżający samochód był jakieś trzy kilometry od nich i jechał mniej więcej setką. Sto kilometrów na godzinę było na tej drodze maksymalną rozsądną szybkością. Reacherowi zostały niecałe dwie minuty.

– John, siedź spokojnie i przestań nawet myśleć – rzucił Reacher. – Nadchodzi moment najbardziej dla ciebie niebezpieczny. Rozegram to maksymalnie bezpiecznie. Będę najpierw strzelał, potem zadawał pytania. Niech ci się nie zdaje, że rzucam słowa na wiatr.

Chłopak siedział za kierownicą malibu jak skamieniały, Reacher obserwował ponad dachem zbliżającą się od południa zamgloną bańkę światła. Cały czas podrygiwała i trzęsła się, rozbłyskiwała i przygasiała, tyle że teraz już w naturalnym równym rytmie. Jeden samochód, jeszcze około półtora kilometra od nich. Niecała minuta.

Reacher czekał. Kontury bańki świetlnej nabrały ostrości i przemieniły się w rażące wzrok źródło światła nisko nad asfaltem, zaraz potem z jednego zrobiły się dwa punkty świetlne, owalne i zawieszane nisko nad jezdnią, oba jaskrawoniebieskobiałe. Cały czas zbliżały się, drgając i podskakując na twardym zawieszaniu i czułym jak w gokarcie układzie kierowniczym. Z oddali wyglądały na małe, potem naprawdę okazały się małe i umieszczone nisko na małym samochodzie. Małej i niskiej czerwonej maździe miacie. Samochód zwolnił i zatrzymał się przed malibu, oświetlając oślepiającymi halogenami jego żółtą karoserię.

Eleanor Duncan zgasiła światła szosowe i wjeżdżając dwoma kołami na pobocze, objechała malibu od tyłu. Dostrzegła Reachera, zatrzymała się i z łokciem nonszalancko opartym na drzwiach spytała:

– Dobrze się spisałam? – spytała.

– Idealnie. Miała pani doskonały pomysł z tym białym szalem na głowie.

– Z okularów przeciwsłonecznych zrezygnowałam. W nocy trochę ryzykowne.

– Trochę.

– Ale pan strasznie ryzykował. Mógł pana rozjechać na miazgę.

– To sportowiec i do tego młody. Sokoli wzrok, dobra koordynacja wzrokowo-ruchowa i kupa sprawnych mięśni. Uznałem, że w razie czego zdążę uskoczyć.

– I co z tego? Mógł skasować oba samochody. I co by pan wtedy zrobił?

– Zrealizowałbym wariant B: zastrzeliłbym go i wrócił z panią.

Zapadła cisza i Eleanor dopiero po chwili spytała:

– Potrzebuje pan jeszcze czegoś?

– Nie, dziękuję. Proszę wracać do domu.

– On doniesie o wszystkim Sethowi, wie pan o tym. Opowie, co pan mu zrobił.

– Nie opowie – powiedział Reacher. – Łączą nas wspólne plany.

Eleanor Duncan nie powiedziała nic więcej. Włączyła światła, wrzuciła bieg i bez słowa odjechała ze zdrowym warkotem podrasowanego silnika. Reacher popatrzył za nią dwa razy, raz, gdy była nie dalej jak kilometr, drugi, gdy jej tylne światła rozpływały się już w ciemnościach. Zaraz potem wsunął się na fotel pasażera, spojrzał na siedzącego za kierownicą młodzieńca, zatrzasnął drzwi i wycelował w niego glocka.

– Objedziesz tę starą gospodę od tyłu i zaparkujesz. Jeśli szybkościomierz przekroczy dziesięć kilometrów na godzinę, dostaniesz kulkę w bok. Bez natychmiastowej pomocy medycznej pomęczysz się jakieś dwadzieścia minut i umrzesz w straszliwych męczarniach. Możesz mi wierzyć, oglądałem to na własne oczy. A ściślej mówiąc, sam wielokrotnie się do tego przyczyniłem. Wyrażam się jasno?

– Tak.

– Powtórz to, John. Powiedz głośno, że wszystko jasne.

– Wszystko jasne.



- Jak jasne?
- Nie wiem, co mam powiedzieć.
- Masz powiedzieć, że wszystko jest jasne jak słońce.
- Proszę: jasne jak słońce.
- Dobra, to do roboty.

Chłopak wrzucił bieg, obrócił kierownicę i zatoczył długi i bardzo wolny łuk. Wjechał dwoma kołami na lewe pobocze, przejechał na prawe i podskakując na wybojach parkingu przed gospodą, okrążył budynek od południa i skręcił tuż za nim.

- Podjedź kawałek dalej i wjedź tyłem w tę wnękę. Jakbyś parkował tyłem w wolnym miejscu między samochodami. Każą coś takiego robić na egzaminie na prawko w Nebrasce?
- Na prawo zdawałem w Kentucky – odparł chłopak. – Jeszcze w szkole średniej.
- Czy to znaczy, że mam cię poinstruować?
- Umiem to zrobić.
- No to pokaż.

Chłopak podjechał do przodu, stanął równolegle do drugiej przybudówki i wjechał tyłem w płytką wnękę.

– Do samego końca – polecił Reacher. – Stań tak, żeby tylny zderzak był dociśnięty do przybudówki, a twoje drzwi znalazły się równo ze ścianą budynku. Tak blisko, żebyś zgniótł boczne lustro. Masz je urwać. Zupełnie zmiażdżyć. Możesz to dla mnie zrobić, John?

Chłopak wahał się przez moment, po czym bez słowa mocniej skręcił kierownicę. Całkiem zgrabnie mu poszło. Docisnął tylny zderzak do drewnianej ścianki przybudówki i rozgniół boczne lustro o ścianę budynku. Mimo to między jego drzwiami a budynkiem została mniej więcej dwucentymetrowa szpara. Obejrzał się do tyłu, popatrzył w lewo i spojrzął na Reachera, jakby oczekiwał pochwały.

– Może być – mruknął Reacher. – Teraz zgaś silnik.

Chłopak zgasił światła i wyłączył silnik.

– Zostaw kluczyk w stacyjce – polecił Reacher.

– Nie dam rady wysiąść – powiedział chłopak. – Nie otworzę drzwi.

– Wyczołgaj się na moją stronę. – Reacher otworzył drzwi, wysiadł i zrobiwszy dwa kroki do tyłu, chwycił pistolet dwiema rękami i wymierzył. Chłopak wyczołgał się na czworakach, nieporadnie sunąc nogami i wypiętym zadkiem do przodu. Stanął na ziemi i się wyprostował.

– Mam zamknąć drzwi? – zapytał.

– Znów zaczynasz coś kombinować, prawda? Wydaje ci się, że skoro zgasiłeś światła i zrobiło się ciemno, to może uda ci się mnie zaskoczyć, bo nie najlepiej widzę. Więc sądzisz, że to dobry moment. Ale to nieprawda. Mam sokoli wzrok i widzę wszystko. W konkursie widzenia po ciemku wygrywam z sowami. Sowa w goglach noktowizyjnych widzi gorzej ode mnie. Uwierz mi, chłopcze. Po prostu odpuść. Jeśli będziesz mnie słuchał, to się z tego wykaraskasz.

– Nic nie kombinuję – jęknął chłopak.

– No to zamknij drzwi.

Chłopak zatrzasnął drzwi.

– Teraz odsuń się od samochodu.

Chłopak odszedł parę kroków. Samochód stał wciśnięty w kąt płytkiej wnęki, zajmując fragment cztery i pół metra na metr osiemdziesiąt z całkowitej powierzchni dziesięć na niecałe cztery metry. Tak ustawiony był niewidoczny z szosy od północy i od południa, a po polu na wschód od budynku nikt się nie będzie kręcił do czasu wiosennej orki. Samochód został dobrze ukryty.

– Przesuń się teraz w swoje prawo – rozkazał Reacher.

– Gdzie?

– Tak, żeby linia strzału z mojej spluwy była równoległa do szosy.

Chłopak zrobił dwa kroki, dołożył jeszcze jeden i zatrzymał się, stając twarzą do budynku i plecami do pustej szosy.

– Jak stąd daleko do najbliższych zabudowań? – zapytał Reacher.

– Wiele kilometrów – odrzekł chłopak.  
– Ale ich mieszkańcy mogliby usłyszeć huk wystrzału w nocnej ciszy?  
– Może.  
– I co by sobie wtedy pomyśleli?  
– Że ktoś strzela do jakiegoś szkodnika. To tereny rolnicze.  
– Wolałbym, żebyś usłyszał taki wystrzał, John. Przynajmniej jeden. Wolałbym, żebyś wiedział, jak to jest, kiedy ktoś do ciebie strzela. To by ci ułatwiło myślenie. Dojście do rozsądnych wniosków.

– Nie mam zamiaru niczego próbować.  
– Dajesz mi na to słowo?  
– Słowo.  
– Od tej chwili jesteśmy z sobą związani. Myślisz, że ufając ci, postępuję rozsądnie?  
– Absolutnie.  
– Dobra, odwróć się i podejdz do swojego samochodu.  
– Chłopak ruszył, Reacher zrobił to samo, idąc trzy metry za nim. Okrążyli w ten sposób narożnik budynku, przeszli wzdłuż południowej ściany i przez parking wyszli na szosę.  
– Teraz wsiądź do auta w taki sam sposób, w jaki wysiadłeś z malibu – polecił Reacher.

Chłopak zatrzasnął drzwi kierowcy, obszedł samochód i otworzył drzwi po stronie pasażera. Reacher ani na moment nie spuszczał go z oka. Chłopak usiadł na fotelu pasażera i przeniósł najpierw jedną, potem drugą nogę do wnęki pod kierownicą, potem uniósł się na rękach i stękając, wpierając plecami w oparcie i pochylając głowę, przesunął się nad centralną konsolą na fotel kierowcy. Reacher nadal nie spuszczał z niego wzroku. Chłopak rozsiadł się na miejscu kierowcy, Reacher usiadł na fotelu pasażera i zatrzasnął drzwi. Na moment przełożył pistolet do lewej ręki, by zapiąć pas, ale zaraz znów trzymał go w prawej.

– Zapiąłem pas, John, ale ty swojego nie zapniesz, jasne? To na wypadek, gdyby ci przyszło do głowy walnąć w słup czy coś w tym rodzaju. Kapujesz? Jeśli zrobisz coś takiego, mnie się nie stanie, ale ty się najpierw pomęczysz, a potem i tak cię zastrzelę. Mamy jasność?

– Tak – powiedział chłopak.  
– Powtórz to głośno, John.  
– Mamy jasność.  
– Jak jasną jasność?  
– Jak słońce.  
– I jesteśmy z sobą związani, tak? Dałeś mi na to słowo?  
– Tak.  
– Przyrzekasz?  
– Tak.  
– Gdzie mieszkasz?  
– W bazie transportowej Duncanów.  
– Jak to daleko?  
– Stąd? Około pięćdziesięciu kilometrów. Najpierw na północ, potem na zachód.  
– Dobra, John. Zawieź mnie tam.

Człowiek Mahmeiniego siedział w pokoju w hotelu Marriott Courtyard i rozmawiał z szefem przez telefon. Rozmowa nie zaczęła się zbyt sympatycznie. Mahmeini nie był skłonny przyjąć do wiadomości, że Sepehr zdezerterował. Było to dla niego nie do zaakceptowania. Równie dobrze można by mu wmawiać, że Sepehrowi wyrosła trzecia ręka. To po prostu fizycznie niemożliwe.

– Ale z całą pewnością nie było go w tym barze – powtórzył jego człowiek.

– Nie było go, kiedy tam dojechałeś?

– W ogóle go tam nie było. To paskudne miejsce. Bardzo mi się tam nie podobało. Patrzyli na mnie jak na śmiecia. Jak na jakiegoś terrorystę. Wątpię, czyby mnie w ogóle obsłużyli. Ashgar nie wytrzymałby pięciu minut, żeby nie wdać się w bójkę. A nie było śladu żadnej awantury. Ani kropli krwi na podłodze. A byłaby kałuża. Ashgar ma broń, jest szybki i nie patyczkuje się z takimi palantami.

– A więc pojechał gdzie indziej – uznał Mahmeini.

– Obszedłem całe miasto. Nie zajęło mi to dużo czasu. Ulice pustoszeją po zmroku. Tu nie ma gdzie się schować. Nie ma go tu.

– Może jakaś baba?

– Chyba pan żartuje. Tu?

– Próbowaleś dzwonić?

– Dzwonię do niego bez przerwy.

W słuchawce zapadła długa cisza. Siedzący w biurze w Las Vegas Mahmeini próbował coś z tego zrozumieć i znaleźć jakieś wyjście.

– Dobra, kontynuujmy – powiedział w końcu. – Tamta sprawa jest bardzo ważna i trzeba się od rana nią zająć. Będziesz musiał działać sam. Poradzisz sobie, jesteś dobry.

– Ale nie mam samochodu.

– Dosiądź się do chłopaków Safira.

– Już o tym myślałem. Ale szlag trafi dynamikę akcji. Nie będę o niczym decydował. Stanę się pasażerem, i to dosłownie. A poza tym jak im wyjaśnię, że pozwoliłem Ashgarowi odjechać i zostawić mnie samego? Nie możemy wyjść na idiotów. Albo na mięczaków. Nie przed tymi ludźmi.

– To znajdź inny samochód. Tamtym powiedz, że wysłałeś Ashgara przodem albo że kazałeś mu pojechać dokądś w zupełnie innej sprawie.

– Znaleźć inny samochód? Gdzie?

– Wynajmij – burknął Mahmeini.

– Szefie, to nie Las Vegas. Tu nawet nie ma serwisu w pokojach. Najbliższy Hertz jest na lotnisku. W nocy na pewno nieczynny. Zresztą i tak nie mam jak tam dojechać.

Nastąpiła kolejna długa przerwa, podczas której Mahmeini przetrawiał wszystko od nowa, przewartościowywał, oceniał, obmyślał, improwizował.

– Czy tamci widzieli samochód, którym przyjechaliście? – spytał w końcu.

– Nie, na pewno nie. Przyjechaliśmy oddzielnie o różnych porach.

– Dobra. Co do dynamiki, to masz rację. To my musimy kierować akcją. A tamci nie mogą być pewni swego. Dlatego zrobisz tak. W ciągu godziny znajdziesz jakiś odpowiedni samochód. Ukradnij, jeśli trzeba. Potem obdzwoniś tamtych w ich pokojach. Bez względu na porę. Północ, pierwsza w nocy, obojętne. Powiesz im, że postanowiliśmy przyspieszyć akcję. Powiesz, że właśnie wyruszasz na północ. Dasz im pięć minut na zebranie się, bo inaczej pojedziesz sam. Wpadną w popłoch, zaczną się szykować i biegać do samochodów. Ty będziesz na nich czekał w swoim nowym samochodzie, tyle że oni nie będą wiedzieli, że jest nowy. Nawet nie zauważą, że Ashgara w nim nie ma, bo będzie ciemno i będą się spieszyli. Potem daj zdrowo po garach, żebyś tam dotarł

przed nimi. Gdy dojadą, powiesz im, że wysłałeś Ashgara na rekonesans. To ich zaniepokoi i spowoduje, że poczują się jeszcze mniej pewni swego. Cały czas będą się oglądali za siebie. I to tyle. Tak zrobisz. To się nazywa obrócić gównem w diament, co?

•••

Człowiek Mahmeiniego włożył płaszcz i zniósł torbę do holu. W holu było pusto, bo recepcjonista skończył pracę i poszedł do domu. Zapewne gdzieś na zapleczu drzemał nocny portier od wszystkiego, ale w holu nie było po nim śladu. Człowiek Mahmeiniego wyszedł na dwór z zamiarem znalezienia samochodu nadającego się do ukradzenia, co uważał za krok wstecz i osobistą zniewagę. Ludzie z jego szczebla już dawno mieli za sobą etap kradzieży samochodów, ale jak trzeba, to trzeba. Na szczęście wciąż jeszcze pamiętał, jak to się robi. Wiedział, że nie będzie miał żadnych trudności technicznych i upora się z zadaniem z właściwą sobie precyzją. Jedynym problemem była bardzo ograniczona oferta.

A człowiek Mahmeiniego miał określone wymagania. Po pierwsze, samochód musiał mu zapewnić odpowiedni prestiż. Bez przesady, ale jednak. Nie mógł sobie pozwolić najeżdżenie zardzewiałym i rozklekotanym pick-upem. W żadnym razie nie pasowałoby to do wizerunku prawej ręki Mahmeiniego, zwłaszcza jeśli miał zrobić wrażenie na Duncanach. Wizerunek to nie wszystko, ale na pewno pomaga wygładzić relacje. Przynajmniej w połowie przypadków pozory mają walor rzeczywistości.

Po drugie, samochód nie mógł być za nowy. Najnowsze modele są zbyt napakowane elektroniką. Komputery pokładowe, mikrochipy w kluczykach dopasowane do mikrochipów w zamkach. Oczywiście wszystko da się przewalczyć, ale zaimprovizowana kradzież uliczna ma praktyczne ograniczenia. Najnowsze modele najlepiej odholować lub wywieźć na lorze, a potem spokojnie rozbroić je w dziupli przy użyciu kabli wewnętrznej sieci i laptopów. Złodzieje działający samotnie i po ciemku potrzebują czegoś prostszego.

Dlatego potrzebował sedana jednej z głównych marek samochodowych, niezbyt nowego, ale i nie za starego. W Las Vegas znalazłby go bez problemu. Zajęłoby mu to góra pięć minut. Ale tu, w rolniczej Nebrasce, sprawa nie była taka prosta. Dopiero co obszedł całe miasteczko w poszukiwaniu Ashgara i wiedział, że dziewięćdziesiąt procent stojących na ulicach samochodów to pojazdy użytkowe – pick-upy albo terenówki z napędem na cztery koła, na ogół mocno poobijane i skorodowane stare graty. Wyglądało na to, mieszkańcy stanu Nebraska nie śmierzają groszem, a jeśli nawet mają pieniądze, to wołają się nimi nie chwalić.

Stanął i przeanalizował możliwości, dokonując w myślach przeglądu widzianych wcześniej fragmentów miasteczka i zaparkowanych samochodów. Żaden mu nie pasował. Przypomniał sobie drogowskaz do szpitala. Wiedział, że parkingi przyszpitalne są zwykle dobrym terenem łowieckim, bo lekarze lubią jeździć nowymi samochodami, a swoje lekko przechodzone sprzedają pielęgniarkom i studentom medycyny na praktykach, ale do szpitala musi być kawał drogi. Za daleko na pieszą wycieczkę, zwłaszcza bez gwarancji powodzenia.

Postanowił zacząć przegląd od hotelowego parkingu.

I na nim skończył.

Obszedł cały budynek hotelu i na dwóch parkingach natknął się na trzy pick-upy – w tym dwa z zamontowanymi budami kempingowymi – jednego starego osobowego chryslera z Arizony z wgniecionym zderzakiem i łuszczącym się od słońca lakierem, granatowego chevroleta impalę, czerwonego forda taurusa i czarnego cadillaca. Pick-upy i stary chrysler z oczywistych względów nie wchodziły w rachubę, impalę i taurusa skreślił jako zbyt nowe i w sposób oczywisty pochodzące z wypożyczalni, o czym świadczyły naklejki z kodem kreskowym na tylnych szybach. Niemal na pewno przyjechali nimi ludzie Safira i Rossiego, a przecież nie mógł im się pokazać w samochodzie któregoś z nich.

Zostawał cadillac. Był w odpowiednim wieku i prezentował się jak należy. Miał lokalne tablice rejestracyjne, nie kłuł zbyt mocno w oczy, był zadbane i wypucowany i miał czarne szyby. Wręcz wymarzony. I łatwiutki do ukradzenia. Postawił torbę na ziemi, położył się na plecach i wsunął pod spód na tyle, by jego głowa znalazła się tuż pod silnikiem. Na kółku z kluczami miał

minilatarkę diodową Mag-lite. Wyjął ją z kieszeni, zaświecił i zaczął się rozglądać. Samochody tej generacji miały umieszczony na ramie czujnik czołowego uderzenia. Prosty dwustopniowy akcelerometr, który w razie silnego uderzenia powodował odpalenie poduszek powietrznych, przy słabszych odblokowywał tylko wszystkie drzwi, tak by można było bez trudu dotrzeć do pasażerów i wyciągnąć ich z samochodu. Prawdziwy prezent konstruktorów dla złodziei samochodowych, którym producent nigdy głośno się nie chwalił i który szybko zastąpiono czymś bardziej wyrafinowanym.

Bez trudu odnalazł moduł wyglądający jak pokryte warstwą zaschniętego błota blaszane pudełko z wychodzącą z niego wiązką przewodów. Wyjął nóż i płaskim końcem rękojeści mocno w nie uderzył. Odpadły kawałki zaschniętego błota, ale poza tym nic się nie wydarzyło. Pomyślał, że warstwa błota może amortyzować uderzenie, wysunął więc ostrze noża i zeszkrobał błoto z przedniej ścianki pudełka. Schował ostrze i stuknął jeszcze raz. Bez efektu. Uderzył po raz trzeci, tym razem tak mocno, że aż się wystraszył, że towarzyszący temu dźwięk może kogoś zaalarmować, ale zadziałało. Ospały elektroniczny mózg cadillaca musiał dojść do wniosku, że samochód uderzył w coś przodem – nie tak mocno, by odpalać poduszki powietrzne, ale na tyle silnie, że pasażerom może być potrzebna pomoc kogoś z zewnątrz. Z góry dobiegły cztery stłumione zgrzytnięcia i drzwi zostały odblokowane.

Technika to cudowna sprawa.

Człowiek Mahmeiniego wygramolił się spod samochodu i chwilę później jego torba trafiła na tylne siedzenie, a on sam usiadł za kierownicą. Fotel kierowcy był przesunięty niemal do końca do tyłu, zostawiając miejsce na nogi jakiegoś olbrzyma. To tylko dodatkowy dowód na prawdziwość tego, co powiedział człowiekowi Rossiego: wszyscy amerykańscy farmerzy są ogromni. Odnalazł przycisk i przesunął fotel o jakieś trzydzieści centymetrów do przodu, potem jeszcze ustawił oparcie bardziej pionowo i przystąpił do dzieła.

Końcem noża pokonał blokadę kierownicy, podważył osłonę kolumny kierowniczej, ostrzem oskrobał właściwe kabelki i skręcił razem. Silnik zapalił i odezwał się dźwiękowy sygnał przypominający o niezapiętym pasie bezpieczeństwa. Zapiął pas, wyjechał tyłem z miejsca parkingowego i zatrzymał się pod łącznikiem H. Silnik cicho szumiał, automatyczna klimatyzacja zaczynała dmuchać ciepłym powietrzem.

Człowiek Mahmeiniego wyjął z kieszeni telefon i przez hotelową centralkę połączył się najpierw z ludźmi Safira, a potem z ludźmi Rossiego. Obie rozmowy przeprowadził ściśle według scenariusza Mahmeiniego. Oświadczył, że plany uległy zmianie, początek akcji został przyspieszony i wraz z Ashgarem właśnie wyruszają na północ, więc jeśli chcą do nich dołączyć, to mają pięć minut na wzięcie dup w troki, bo inaczej ich tu zostawią i pojedą sami.

•••

SUV Johna okazał się modelem Yukon GMC w kolorze złoty metalik, bogato wyposażonym w dodatkowe opcje. Wnętrze miało wykończone beżową skórą i fajnie się nim jechało. W każdym razie wydawało się, że John jest z niego dumny, i Reacher go rozumiał. Sam też z przyjemnością myślał o jeździe nim przez następne dwanaście godzin, czy ile mu tam jeszcze zejdzie w Nebrasce.

– Masz komórkę, John? – zwrócił się do chłopaka.

John o mgnienie oka za długo zwlekał z odpowiedzią.

– Nie.

– Tak dobrze ci szło – Reacher westchnął – a teraz chcesz wszystko spieprzyć. Oczywiście, że masz komórkę. Należysz do układu. Wysłali cię do pilnowania szosy. Nie masz jeszcze trzydziestki, a to pewnie znaczy, że rozkład jazdy masz we krwi.

– I tak potraktuje mnie pan jak tamtych – mruknął chłopak.

– A jak ich potraktowałem?

– Zrobił pan z nich kaleki.

– A oni co chcieli ze mnie zrobić?

Chłopak nie odpowiedział. Jechali szosą na północ wśród ciągnących się po horyzont pól

uprawnnych. W zasięgu reflektorów nie było nic poza prostą wstęgą pustej szosy. Reacher siedział obrócony lekko w lewo, lewą rękę miał opartą na kolanie, prawa z glockiem spoczywała luźno na lewym przedramieniu.

– Daj mi komórkę, John – powiedział spokojnie. Gałki oczne chłopaka drgnęły, powieki lekko opadły, w oczach pojawił się błysk niepewności. Wystarczająco wyraźny sygnał. Chłopak uniósł się lekko na siedzeniu, oderwał rękę od kierownicy i sięgnął do kieszeni spodni. W jego dłoni pojawił się telefon komórkowy, mały i czarny jak batonik czekoladowy. Wyciągnął rękę, ale aparat wysunął mu się z dłoni, na moment zawisł w powietrzu i upadł pod nogi Reachera.

– Cholera – syknął chłopak. – Przepraszam.

Reacher się uśmiechnął.

– Nieźle pomyślane, chłopcze. Teraz ja się schylę, żeby go podnieść, prawda? A ty mi wtedy rozłupiesz czaszkę swoją piąchą, tak? Dowiedz się, że nie urodziłem się wczoraj.

Chłopak nie odpowiedział.

– Więc pewnie zostawimy go tam, gdzie jest. Jeśli ktoś zadzwoni, zgłosi się poczta głosowa.

– Musiałem spróbować.

– To próba przeprosin? Bo przecież przyrzekłeś.

– Połamie mi pan nogi i wyrzuci na pobocze.

– Podchodzisz do tego zbyt pesymistycznie. Po co miałbym ci łamać obie?

– Nie jestem w nastroju do żartów. Ci czterej koledzy, których pan załatwił, już nigdy nie będą mogli pracować.

– Już nigdy nie będą mogli pracować u Duncanów. Ale w życiu można robić jeszcze dużo innych rzeczy. O wiele bardziej pożytecznych.

– Na przykład co?

– Na przykład przerzucać gówno na fermie drobiu. Albo kurwić się w Tijuanie. Z osłem. Jedno i drugie jest o wiele pożyteczniejsze niż praca u Duncanów.

Chłopak nie odpowiedział i tylko wbił wzrok w drogę.

– Ile Duncanowie ci płacą?

– Więcej, niż mógłbym zarobić w Kentucky.

– A dokładnie za co płacą?

– Głównie za bycie w gotowości.

– Kim są ci dwaj Włosi w długich płaszczach?

– Nie wiem.

– A czego chcą?

– Nie wiem.

– A gdzie są teraz?

– Nie wiem.

• • •

Jechali granatową impalą, mając za sobą pierwsze piętnaście kilometrów od wyruszenia z Marriotta. Roberto Cassano prowadził, Angelo Mancini siedział obok. Cassano usilnie starał się nie zgubić jadących przed nimi czerwonym fordem ludzi Safira, prowadzący forda usilnie starał się nie stracić z oczu samochodu ludzi Mahmeiniego. Wielki czarny cadillac naprawdę pędził, nie schodząc poniżej stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Przy tej szybkości zachowywał się dość niepewnie, kołysząc się, podrygując i pływając na zawieszaniu. Było na co popatrzeć. Angelo Mancini nie mógł oderwać od niego wzroku.

– Myślisz, że to z wypożyczalni? – spytał.

Cassano był bardziej skupiony. Oczywiście rozglądał się i oczywiście obserwował szaleńczą jazdę, ale jednocześnie myślał. Bardzo intensywnie.

– Nie sądzę – mruknął.

– To skąd oni to wzięli? No bo jak? Trzymają w każdym stanie własne samochody? Tak na wszelki wypadek? Jak to możliwe?

– Nie wiem – odparł Cassano.

– W pierwszej chwili pomyślałem, że to limuzyna. Wiesz, taka z szoferem. Ale nie. Zauważyłem, że ten mały wypierdek sam prowadzi. Nie żaden szofer. Tylko mi mignął, ale to na pewno był on. Ten, który tak się wymądrzał.

– Nie podobał mi się – zauważył Cassano.

– Ani mnie. A teraz jeszcze mniej niż przedtem. Są dużo lepsi od nas. Znaczą dużo więksi, niż myśleliśmy. Własne samochody w każdym stanie? Latają samolotem kasyna i wszędzie czeka na nich samochód? Co tu jest grane?

– Nie wiem – powtórzył Cassano.

– A może to samochód pogrzebowy? Może Irańczycy prowadzą zakłady pogrzebowe? Bo tak by mogło być, nie? Mahmeini dzwoni do najbliższego zakładu i każe podesłać jeden z samochodów pogrzebowych.

– Nie sędzę, żeby Irańczycy przejęli biznes pogrzebowy.

– No to jak? Znaczą, ile jest w sumie stanów? Pięćdziesiąt, tak? To by musiało oznaczać co najmniej pięćdziesiąt samochodów w rezerwie.

– Nawet Mahmeini nie może działać we wszystkich pięćdziesięciu stanach.

– Może nie na Alasce i nie na Hawajach. Ale widać, że ma samochody w Nebrasce. A jak wysoko na jego liście może być Nebraska?

– Nie wiem.

– Dobra, masz rację. – Mancini skapitulował. – To musi być z wypożyczalni.

– Już mówiłem, że to nie z wypożyczalni – burknął Cassano. – Nie może być. To nie jest bieżący model.

– Czasy są ciężkie. Może teraz wypożyczają starsze modele.

– To nie jest nawet model z ubiegłego roku. Ani nie sprzed dwóch lat. To praktycznie stary gruchot. Typowy wóz starszego faceta. Limuzyna dziadka sąsiada.

– Może mają tu wypożyczalnię starych gruchotów?

– Po co Mahmeinemu coś takiego?

– No to co to jest?

– To w sumie nieistotne. Nie patrzysz na sprawę z szerszej perspektywy. I nie dostrzegasz istoty rzeczy.

– Mianowicie?

– Kiedy wróciliśmy do hotelu, ten samochód stał już na parkingu. Zaparkowaliśmy tuż obok, pamiętasz? Wróciliśmy późnym popołudniem, a ci faceci byli tam przed nami. Wiesz, co to znaczą? To znaczą, że wyruszyli w drogę, zanim Mahmeiniego poproszono, żeby ich wysłał. Tu się dzieje coś bardzo dziwnego.

• • •

Yukon GMC w kolorze złoty metalik skręcił z szosy w lewo i ruszył w stronę granicy ze stanem Wyoming, jadąc na zachód szosą bliźniaczo podobną do poprzedniej i jak ona prostą, pustą i niewyróżniającą się niczym szczególnym. Reacher wyobraził sobie, jak grupa geodetów i planistów sprzed stu lat w skupieniu pochyla się nad pergaminowymi mapami i za pomocą długich linijek i zatemperowanych ołówków kreśli proste jak strzała drogi, po czym wysyła ekipy robotników, którzy budują je, udostępniając interior.

– Daleko jeszcze, John? – spytał chłopaka.

– Już niedaleko – odrzekł John, co jak zawsze okazało się pojęciem względnym. Czasami „już niedaleko” może oznaczać pięćdziesiąt czy sto metrów, w tym przypadku w Nebrasce oznaczało jednak piętnaście kilometrów i piętnaście minut. Dopiero po upływie tego czasu Reacher ujrzał kawałek od drogi po prawej skupisko mdłych świateł, które zdawały się otoczone pustką. John zwolnił i skręcił w prawo znów dokładnie pod kątem prostym, wjeżdżając na asfaltową drogę różniącą się wyglądem od szosy krajowej. Najwyraźniej została zbudowana za prywatne pieniądze i służyła jako droga dojazdowa do częściowo zrujnowanego zakładu przemysłowego o nieokreślonym przeznaczeniu. Z przodu rozciągała się betonowa płyta wielkości boiska piłkarskiego, która być może miała służyć jako parking, ale prędzej stanowiła płytę fundamentową

ogromnej hali produkcyjnej, która albo nigdy nie powstała, albo została rozebrana. Wprawdzie otaczał ją sięgający do ramion płot przeciwhuraganowy z rozciągniętymi wzdłuż krawędzi zwojami drutu żyłkowego, ale na podtrzymujących go słupkach zamontowano zwyczajne lampy stosowane do oświetlania przydomowych podwórek ze zwykłymi sześćdziesięcio – lub stuwatowymi żarówkami. Na całym ogromnym placu nie było nic poza dwoma szarymi furgonami, które stały na miejscach parkingowych wyznaczonych dla trzech pojazdów.

Droga dojazdowa rozszerzała się, umożliwiając wjazd i wyjazd z ogrodzonego terenu przez dwie oddzielne bramy i prowadząc wewnątrz ogrodzenia do długiego, parterowego, murowanego baraku w typowym stylu budownictwa przemysłowego z lat czterdziestych ubiegłego wieku. Zapewne był przeznaczony na biura stojącego obok zakładu produkcyjnego, który niemal na pewno produkował coś na potrzeby wojenne. Zostawić administracji państwowej wybór miejsca na zbudowanie zakładu produkcyjnego na potrzeby wojenne, a na pewno postawi go w środku głuszy, z dala od terenów przybrzeżnych zagrożonych ostrzałem, nalotami zabłąkanych samolotów i możliwością inwazji. W Nebrasce i innych stanach w głębi kraju było mnóstwo takich zakładów. Te, którym po wojnie udało się przebranżowić na potrzeby systemów obronnych z czasów zimnej wojny, przetrwały i może nadal działają. Te, które produkowały zwyczajne artykuły dla wojska – obuwie, amunicję czy środki opatrunkowe – przestały istnieć, nim zdążyły wyschnąć podpisy na traktatach o zawieszeniu broni.

– To tu – powiedział John. – Mieszkamy w tym biurówcu.

Parterowy biurowiec miał płaski dach z gzymsem z cegieł i rząd identycznych okien z małymi szybkami w pomalowanych na biało stalowych ramkach. Pośrodku znajdowały się prowadzące do wnętrza zwyczajne dwuskrzydłowe drzwi, oświetlone po bokach dwiema bladymi żarówkami. Od drzwi ciągnęła się wąska betonowa ścieżka do pustego prostokąta wielkości dwóch kortów tenisowych, wyłożonego porośniętą trawą kostką brukową. Zapewne niegdyś znajdował się tu parking dla szefostwa zakładu. Wszystkie okna w baraku były ciemne i całość wyglądała na wymarłą.

– Gdzie są wasze pokoje? – spytał Reacher.

– Na prawo od wejścia – odrzekł John.

– I tam są twoi koledzy?

– Tak. Już tylko pięciu.

– Plus ty, czyli sześć nóg do złamania. No to do roboty.



Reacher kazał chłopakowi wysiąść tak jak poprzednio przez drzwi od strony pasażera, co na tyle utrudniło mu ruchy, że nie mógł go niczym zaskoczyć. Mimo to Reacher nie przestawał trzymać go na muszce.

– A gdzie są te wszystkie ciężarówki do zwożenia plonów? – spytał, zerkając poza ogrodzenie.

– W Ohio. Pojechały do producenta na coroczną konserwację i remont. To bardzo specjalistyczne pojazdy, a niektóre z nich mają po trzydzieści lat.

– A do czego służą te dwa furgony?

– Do wożenia różnych rzeczy. Części zamiennych, opon, takiej tam drobnicy.

– Zazwyczaj są trzy?

– Jednego nie ma. Pojechał gdzieś parę dni temu.

– Po co?

– Nie wiem.

– A kiedy wrócą ciężarówki?

– Na wiosnę – odparł chłopak.

– Jak tu jest z początkiem lata?

– Jak w ulu. Pierwszy zbiór lucerny odbywa się pod koniec wiosny, a to wymaga wielu prac przygotowawczych i czynności konserwacyjnych po zbiorach. Panuje tu wtedy straszny ruch.

– Przez pięć dni w tygodniu?

– Zwykle siedem. Mówimy o szesnastu tysiącach hektarów. To ogromna masa towaru. – Chłopak zatrzasnął drzwi auta, zrobił krok i nagle znieruchomiał, bo znieruchomiał też Reacher, który stanął ze wzrokiem wbitym w wybrukowany prostokąt przed budynkiem. Popękana kostka brukowa, stary parking dla szefostwa zakładu. Zupełnie pusty.

– John, gdzie zwykle parkujesz swoją brykę? – spytał.

– Przed budynkiem, obok wejścia.

– A gdzie parkują twoi koledzy?

– Też tu.

– To gdzie oni są teraz?

• • •

Zapadła głucha cisza. Młodzieniec lekko rozchylił usta i odwrócił się do tyłu, jakby chciał wypatrzeć kolegów ukrytych za węglem budynku. Jakby mu chcieli zrobić kawał i go nastraszyć. Ale za budynkiem nikogo nie było. Spojrzał na Reachera i powiedział:

– Pewnie gdzieś pojechali. Pewnie ich dokądś wysłali.

– Po twoim telefonie? – spytał Reacher. – Po tym, jak zobaczyłeś panią Duncan?

– Nie, przysięgam. Do nikogo nie dzwoniłem. Może pan sprawdzić w telefonie.

– To kto mógł do nich dzwonić?

– Pewnie Duncan. Znaczą pan Jacob.

– Po co miałyby to robić?

– Nie wiem. Dziś w nocy nie miało się nic dziać.

– Zadzwoił do nich, a do ciebie nie?

– Nie, do mnie nikt nie dzwonił. Przysięgam. Niech pan sprawdzi telefon. Zresztą do mnie by nie dzwonił. Byłem wyznaczony do pełnienia straży. Miałem się stamtąd nie ruszać.

– To co się dzieje, John?

– Nie mam pojęcia.

– A gdybyś musiał zgadywać?

– Może chodzi o lekarza. Albo jego żonę. Albo oboje. Uważa się ich za najsłabsze ogniwo.

Przez alkohol. Może Duncanowie sądzą, że mają jakieś informacje.

– O czym?

– O panu, oczywiście. O tym, gdzie pan jest i co pan robi, i kiedy się pana spodziewać. To ich cały czas nęka.

– I żeby ich o to spytać, potrzeba aż pięciu chłopaków?

– Może chodzić o pokaz siły – rzekł John. – W sumie po to tu jesteśmy. Taka nagła wizyta w środku nocy może skruszyć każdego.

– Dobra, John. Ty zostajesz.

– Tutaj?

– Kładź się spać.

– Nic mi pan nie zrobi?

– Sam zrobiłeś sobie wystarczająco dużo. Nawet nie próbowałeś stawiać oporu mniejszemu i starszemu facetowi. Jesteś tchórzem, John. Sam to wiesz. To równie dobre jak wybity łokieć.

– Łatwo panu mówić. Ma pan broń.

Reacher włożył glocka do kieszeni, opuścił klapkę i wyciągnął ręce, rozczapierzając palce pustych dłoni.

– Już nie mam. Do dzieła, grubasku.

Chłopak nawet nie drgnął.

– No, dalej – zachęcił go Reacher. – Pokaż, na co cię stać.

Chłopak się nie ruszył.

– Jesteś tchórzem. Jesteś żaloszny. Karmienie cię to wyrzucanie dobrego jedzenia. Jesteś bezużytecznym, stuczterdziestokilogramowym worem gówna. I w dodatku jesteś brzydki.

Chłopak nie zareagował.

– Twoja ostatnia szansa. Rusz się i zostań bohaterem.

Chłopak odwrócił się i z pochyloną głową ruszył w stronę baraku. Po pięciu metrach zatrzymał się i obejrzał. Reacher obszedł yukona od tyłu i podszedł do drzwi kierowcy. John był prawdziwym wielkoludem i fotel był odsunięty za daleko, ale Reacher nie miał zamiaru przesuwając go w jego obecności. Nie pozwoliła mu na to jakaś durna męska ambicja. Wsiadł, uruchomił silnik i odjechał, i dopiero podczas jazdy ustawił fotel jak należy.

• • •

Yukona prowadziło się przyjemnie i tylko hamulce wydały mu się trochę gąbczaste. To pewnie efekt gwałtownego hamowania na szosie przed starą gospodą. Pięcioletnie zużycie tarcz i klocków w ciągu ułamka sekundy. Ale Reacherowi to nie przeszkadzało. Nie używał zbyt często hamulca, starając się maksymalnie przyspieszać, a nie zwalniać. Trzydzieści dwa kilometry po ciemnych wiejskich drogach to kawał drogi.

Przez całą drogę nic się nie wydarzyło. Nie widział żadnych świateł w ciemnościach, nie spotkał żadnych samochodów. Nic. Dotarł do głównej szosy na północ od motelu i po pięciu minutach go minął. Światła były zgaszone i motel sprawiał wrażenie wymarłego. Nie świecił się niebieski neon, nikt się nie kręcił, poza zdemolowanym subaru nie było żadnych samochodów. Subaru miało karoserię pokrytą kropelkami rosy, lekko sflaczałe opony i wyglądało żałośnie jak wrak porzucony po wypadku drogowym. Reacher pojechał dalej, potem skręcił w prawo, w lewo i znów w prawo wzdłuż granicy ciemnego pustego pola i zajechał przed dom z metalowym ogrodzeniem i pustą działką przed wejściem.

Wewnątrz paliły się światła. Dużo świateł. Dom był oświetlony rzęsiście jak statek wycieczkowy na pełnym morzu. Ale poza tym nic się nie działo. Na podjeździe nie było żadnych samochodów, żadnych pick-upów, żadnych SUV-ów. W blasku świateł nie kręciły się żadne rosłe cienie, nikt nie hałasował, nic się nie ruszało. Panował absolutny spokój, drzwi były zamknięte, okna całe.

Reacher wjechał na podjazd, zgasił silnik i podszedł do drzwi. Ustawił się twarzą na wprost judasza i nacisnął dzwonek. Przez dobrą minutę nic się nie działo, potem oko judasza pociemniało, rozjaśniło się, rozległ się brzęk zdejmowanego łańcucha i otwieranych zamków i w uchyłonych

drzwiach stanął lekarz. Wyglądał na wystraszonego i zgnębitego. Zza pleców widać było jego żonę, która stała w jasno oświetlonym przedpokoju ze słuchawką przy uchu. Staromodny czarny aparat telefoniczny na stoliku był wielki, miał obrotową tarczę i skręcony w sprężynę przewód. Kobieta z uwagą czegoś słuchała, na zmianę przymykając i wytrzeszczając oczy.

– Wróciłeś – powiedział lekarz.

– Wróciłem – odrzekł Reacher.

– Po co?

– U was wszystko w porządku? Bo spuścili ze smyczy futbolistów.

– Tak, wiemy. – Lekarz kiwnął głową. – Przed chwilą mieliśmy wiadomość. Żona właśnie wisi na drzewie telefonicznym.

– Tu ich nie było?

– Jeszcze nie.

– To gdzie są teraz?

– Nie jesteśmy pewni.

– Mogę wejść?

– Tak, oczywiście. Przepraszam. – Lekarz odsunął się na bok i Reacher wszedł do środka.

W przedpokoju było bardzo ciepło. Upał panował zresztą w całym domu, który Reacherowi wydał się teraz mniej przestronny niż poprzednio. Panowała w nim atmosfera oblężonej twierdzy. Lekarz zamknął drzwi, zaryglował oba zamki i założył łańcuch.

– Udało ci się zajrzeć do tych akt?

– Udało.

– No i?

– Nie pozwalają mieć pewności. – Reacher wszedł do kuchni, słysząc, jak żona lekarza wykrzykuje „Co takiego?!”. W jej głosie słychać było zaskoczenie, może nawet zdumienie. Reacher spojrział na nią, lekarz zrobił to samo, ale kobieta znów zamilkła i w napięciu słuchała, lekko mrużąc oczy, jakby notowała coś w pamięci. Lekarz poszedł za Reacherem do kuchni.

– Kawy? – spytał.

Co miało znaczyć: „Dziś jestem bezalkoholowy”.

– Pewnie – powiedział Reacher. – Całe wiadro kawy.

Lekarz zabrał się do nastawiania ekspresu. W kuchni było jeszcze cieplej niż w przedpokoju i Reacher zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

– Co masz na myśli, mówiąc, że akta nie pozwalają mieć pewności? – spytał lekarz.

– To, że mógłbym ułożyć scenariusz, jak Duncanowie to zrobili, ale brak dowodów, że to zrobili lub że tego nie zrobili.

– I chcesz je znaleźć? Dlatego wróciłeś?

– Wróciłem, bo wygląda na to, że ci dwaj Włosi, którzy na mnie nastawali, spiknęli się z całym ONZ-etem innych nacji.

I nie po to, by utworzyć międzynarodowe siły pokojowe, to pewne. Podejrzewam, że oni wszyscy się tu wybierają. Chcę wiedzieć dlaczego.

– Zraniona ambicja – powiedział lekarz. – Zaczepiłeś Duncanów, a oni tego nie tolerują. Ich ludzie nie mogą sobie z tobą poradzić, więc wezwali posiłki.

– To się nie trzyma kupy. Ci Włosi byli tu przede mną. Przecież wiesz. Słyszałeś relację Eleanor Duncan. Jest jakiś inny powód. Duncanowie czymś im się narazili.

– To dlaczego mieliby się mieszać do ich awantury z tobą?

– Tego nie wiem.

– I ilu ich tu jedzie? – zapytał lekarz.

– Pięciu – wtrąciła jego żona, która właśnie odłożyła słuchawkę i dołączyła do nich w kuchni. – I nie jadą, bo już tu są. Właśnie dostałam wiadomość z drzewa. Dwaj Włosi wrócili, a z nimi trzech innych mężczyzn, łącznie trzema samochodami. Włosi granatowym chevroletem, dwóch facetów czerwonym fordem i jeden jakimś czarnym samochodem. Wszyscy są przekonani, że to cadillac Seta Duncana.

Reacher nalał sobie kawy i się zamyślił.

– Zostawiłem cadillaca Setha na parkingu Marriotta – powiedział po dłuższej chwili.

– To czym pan tu przyjechał? – zdziwiła się żona lekarza.

– Zabrałem chevroleta malibu jednemu z tych oprychów.

– Tego, który stoi teraz przed domem?

– Nie, ten to yukon GMC, którego zabrałem jednemu z futbolistów.

– A co się stało z cadillakiem?

– Facet znalazł się na lodzie. Ukradłem mu chevroleta, więc on ukradł cadillaca. Takie niezamierzone wet za wet. To pewnie czysty przypadek, ale nie miał tam wielkiego wyboru. Pewnie nie chciał się pokazywać w jakimś starym dostawczym rupieciu i wolał się nie męczyć z nowoczesnymi zabezpieczeniami antykradzieżowymi. A cadillac akurat mu pasował. Może jako jedyny w całym mieście. Albo był za leniwy, żeby rozglądać się za czymś innym, albo szkoda mu było czasu, a cadillaca miał pod nosem. Wszyscy mieszkaliśmy w jednym hotelu.

– I widział pan tych ludzi?

– Włochów nie widziałem. Ale widziałem pozostałych czterech.

– To razem sześciu, nie pięciu. Co się stało z szóstym?

– Mogę panią zapewnić o jednym – rzekł Reacher. – Ten oprych, który ukradł cadillaca, swój bagaż położył na tylnym siedzeniu, a nie włożył do bagażnika.

– Skąd pan wie?

– Bo właśnie tam jest ten szósty. W bagażniku. Sam go tam wsadziłem.

– Ma czym oddychać?

– Już nie musi.

– Boże święty! Co się stało?

– Myślę, że niezależnie od innych powodów, przyjechali tu po to, żeby mnie dopaść.

Jakbym stał się dodatkowym wyzwaniem, z którym muszą się najpierw uporać. Jakby ich misja niespodziewanie się rozrosła. Nie mam pewności, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Przypuszczam, że wszyscy spotkali się w Marriottcie, Włosi określili cel misji i podali namiary pozostałym, ale chyba świadomie przekazali niezbyt precyzyjne dane. A w każdym razie z drugiej ręki, bo mnie jeszcze nie widzieli na oczy. Potem przypadkiem spotkałem w holu jednego z tamtej czwórki i dostrzegłem w jego wzroku nieme pytanie: czy to może być on? Czy to możliwe?

Widziałem po nim, że się nad tym zastanawia. Wyszliśmy na parking i kiedy włożył rękę do kieszeni płaszcza, walnąłem go. Słyszałeś kiedyś o *commotio cordis*? – zwrócił się do lekarza.

– Uraz ścianki klatki piersiowej – powiedział lekarz. – Powoduje śmiertelną dysrytmie serca.

– Miałeś z tym kiedyś do czynienia?

– Nie.

– Ani ja. Ale mogę cię zapewnić, że to naprawdę działa.

– I co było w tej kieszeni?

– Nóż, pistolet i prawo jazdy wydane w Las Vegas.

– Vegas? – zdziwił się lekarz. – A może Duncanowie wpadli w długi hazardowe? Może o to ta cała wojna.

– Może. – Reacher pokiwał głową. – Nie ulega wątpliwości, że Duncanowie od dawna żyją ponad stan. Skądś czerpią dodatkowe zyski.

– Dlaczego tak sądzisz? Od trzydziestu lat wymuszają pieniądze od farmerów. I z motelu. To kupa forsy.

– Nie bardzo. Tak naprawdę, to nie. To nie jest najzamożniejszy rejon świata. Mogliby zabierać nawet połowę cudzych zysków, a i tak by dużo nie uzbierali. A Seth mieszka jak panisko

i wystarcza im na opłacanie dziesięciu futbolistów tylko za to, że tu są. Nie mogliby tego wszystkiego finansować z sezonowego biznesu.

– Nie przejmujemy się tym teraz – wtrąciła żona lekarza. – Teraz najważniejsze jest to, że futboliści buszują, a my nie wiemy ani gdzie, ani po co. Dziś to jest ważne. Może dołączy do nas Dorothy Coe.

– Tu? Teraz? – zdziwił się Reacher.

– Tak czasami robimy – wyjaśnił lekarz. – Głównie kobiety. Wzajemnie się wspierają. Jak w siostrzanym przymierzu. Która czuje się zagrożona, dołącza do innych.

– Co w praktyce sprowadza się do Dorothy i mnie. Czasem innych, zależnie od tego, co jest przyczyną paniki.

– To nie najlepszy pomysł – orzekł Reacher. – Z taktycznego punktu widzenia. Bo to znaczy, że zamiast wielu celów będą mieli tylko jeden.

– Ale zwiększy naszą liczebność. A to działa. Czasami ci chłopcy są bardzo ostrożni. Nie lubią mieć zbyt wielu świadków, zwłaszcza gdy wysyłają ich przeciw kobietom.

• • •

Wzięli kubki z kawą i przenieśli się do jadalni, skąd roztaczał się widok na drogę i podjazd. Droga była ciemna i pusta, nic się na niej nie działo. W ciemnościach zlewała się z resztą terenu. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu na krzesłach, nie zapalając światła, by nie utrudniać sobie obserwacji. Pierwszy odezwał się lekarz:

– Opowiedz nam o tych aktach.

– Widziałem fotografię. Nie wiedziałem, że córka Dorothy była Azjatką.

– Wietnamką – uściśliła żona lekarza. – Artie Coe walczył w Wietnamie. Coś go tam musiało mocno tępnać, bo gdy się zaczął exodus na łodziach, to się zgłosili i ją adoptowali.

– Wielu stąd służyło w Wietnamie?

– Sporo.

– Duncanowie też?

– Oni chyba nie. Pewnie wyreklamowali się z racji ważnej społecznie pracy.

– Taką samą wykonywał Arthur Coe.

– Nie wszystkim to samo pisane.

– Kto był szefem miejscowej komisji poborowej?

– Ich ojciec. Stary Duncan.

– A więc synowie nie zostali w rolnictwie dla niego. Zostali, żeby się wymigać od wojska.

– Pewnie tak.

– Dobrze wiedzieć, że poza wszystkim są jeszcze tchórzami – mruknął Reacher.

– Opowiedz nam o aktach śledztwa – powtórzył lekarz.

– To długa opowieść. Jest aż jedenaście kartonów papierzysk.

– I co z nich wynika?

– Że śledztwo napotkało trudności.

– Jakiego rodzaju?

– Jedną z gatunku koncepcyjnych, poza tym różne drobiazgi. Sprawę prowadził śledczy Carson i w ciągu dwunastu godzin ziemia zatrzęsała mu się pod nogami. Zaczęło się od prozaicznego zgłoszenia o zaginięciu dziecka i stopniowo zamieniło w śledztwo w sprawie podejrzenia zabójstwa. Ale Carson nie zebrał jeszcze raz śladów pod kątem tej nowej koncepcji. Pierwszej nocy kazał mieszkańcom sprawdzać zabudowania gospodarcze, co w przypadku zaginięcia dziecka miało sens. Potem jednak już nigdy do tego nie wrócił i nie przeszukał ich jeszcze raz. Z jednym wyjątkiem: gospodarstwa należące do starszego małżeństwa, które tego nie zrobiło. Cała reszta praktycznie sama poręczyła za siebie, stwierdzając, że nie, u nas tego dziecka nie ma i nigdy nie było, dajemy słowo honoru. Carson powinien był zacząć od nowa i sam przeszukać zabudowania, traktując wszystkich jako potencjalnych podejrzanych. Ale tego nie zrobił. Na podstawie uzyskanych informacji skupił się wyłącznie na Duncanach. A oni wyszli z tego bez skazy.

– Myślisz, że ktoś inny maczał w tym palce?

– To mógł być pierwszy lepszy przejezdny. Lub ktokolwiek spośród mieszkańców.

Prawdopodobnie nie Dorothy i Arthur Coe, ale poza nimi było jeszcze trzydziestu dziewięciu innych potencjalnych sprawców.

– Ja jednak myślę, że to Duncanowie – wtrąciła żona lekarza.

– Trzy oddzielne służby uważały inaczej.

– Mogli się mylić.

Reacher pokiwał głową, ale w mroku nikt tego nie zauważył.

– Mogli – potwierdził. – Mógł też wystąpić jeszcze inny błąd koncepcyjny. A w każdym razie brak wyobraźni. Nie ulega wątpliwości, że Duncanowie ani na chwilę nie oddalili się ze swojej posiadłości, podobnie jak nie ulega wątpliwości, że zaginiona dziewczynka nigdy się tam nie pojawiła. Oba te fakty potwierdziła grupa wiarygodnych świadków. Czterech chłopaków pracowało przy stawianiu ogrodzenia. Również badania kryminalistyczne niczego nie wykryły. Ale Duncanowie mogli mieć współnika. Kogoś piątego. Ten ktoś mógł uprowadzić dziewczynkę i dokąś ją wywieźć. Carson nawet o tym nie pomyślał. Nigdy nie przesłuchał potencjalnych współników. A chyba należało. Pięć lat zwlekasz z budową ogrodzenia, a potem zabierasz się do pracy w dniu zniknięcia tego dziecka. To równie dobrze mogło być ukartowane alibi. Carson powinien był przynajmniej rozważyć taką możliwość. Ja na pewno bym tak zrobił.

– Kto mógł być tym piątym?

– Ktokolwiek. Na przykład jakiś przyjaciel. Albo któryś z ich kierowców. Nie ulega wątpliwości, że musiał w tym uczestniczyć jakiś pojazd, bo inaczej co się stało z rowerem? Nigdy go nie znaleziono.

– Sprawa roweru zawsze mnie gnębiła.

– Mieli jakichś przyjaciół? Widziała tam pani kogoś, będąc u nich opiekunką do dziecka?

– Pewnie parę osób widziałam.

– Kogoś szczególnie zaprzyjaźnionego? To musiałyby być bardzo bliska przyjaźń. Podobne zainteresowania, wspólne pasje, absolutne zaufanie. Ktoś tak samo podchodzący do życia.

– Mężczyzna?

– Prawie na pewno. Odludek jak oni.

– Nie mam pewności. Nie pamiętam. I dokąd mógłby ją wywieźć?

– Teoretycznie dokądkolwiek. To kolejny poważny błąd Carsona. Praktycznie nie sprawdził niczego poza domami Duncanów. Na przykład szaleństwem było nie sprawdzić ich bazy transportowej. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby to coś dało, bo zdaje się, że z początkiem lata panuje tam straszne zamieszanie, i to przez okrągły tydzień. W związku ze zbiorami lucerny, czymkolwiek to jest. Nikt nie ważyłby się zawieźć uprowadzonego dziecka gdzieś, gdzie kręci się mnóstwo naocznych świadków. Ale było jeszcze jedno miejsce, które Carson na pewno powinien był sprawdzić, a tego nie zrobił. Zupełnie je zignorował. Przypuszczalnie z niechlujstwa lub niewiedzy.

– To znaczy?

Reacher nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo właśnie w tym momencie szyba w oknie rozbłysła i pokój wypełniły poruszające się światła i cienie. Plamy światła zatańczyły na ścianach, suficie i twarzach siedzących, wydobywając je przez moment z mroku i ponownie w nim pograżając.

Snopy światła przesunęły się po słupkach i sztachetach ogrodzenia, błyskając jak stroboskopy.

Od wschodu pędził jakiś samochód.

Okazał się nim stary, zdezelowany pick-up Dorothy Coe, którego Reacher rozpoznał szybko po charczeniu dziurawego tłumika, warczącego jak ruszający spod świateł harley davidson. Podjechała szybko i jeszcze ostrzej zahamowała, zatrzymując się kawałek od domu. Widać dostrzegła na podjeździe złotego yukona i rozpoznała w nim samochód futbolistów. Musiała go dobrze znać. Żona lekarza wyszła do holu, otworzyła drzwi i pomachała, ale Dorothy Coe nawet nie drgnęła. Dwudziestopięcioletnie doświadczenie kazało jej zachować ostrożność. Mogła sądzić, że przyjazny gest żony lekarza został na niej wymuszony i stanowi podstęp. Reacher wyszedł na próg i zamasyście machnął w stronę yukona, potem wskazał na siebie. To mój samochód! To ją widać przekonało, bo podjechała pod samo wejście. Zgasila silnik, wysiadła i podeszła do drzwi. Na głowie miała naciągniętą na uszy wełnianą czapkę, ubrana była w szarą sukienkę i rozpięty pikowany płaszcz.

- Byli u was futboliści? – rzuciła.
- Jeszcze nie – odrzekła żona lekarza.
- Czego oni chcą?
- Tego nie wiemy.

Wszyscy troje weszli do środka, żona lekarza znów zarygłowała drzwi i założyła łańcuch, po czym przeszli do jadalni. W domu było tak gorąco, że Dorothy od razu zdjęła płaszcz. Wszyscy czworo usiedli, wpatrując się w okno jak w kinowy ekran. Dorothy Coe i Reacher znaleźli się obok siebie.

- U ciebie też ich nie było? – zapytał.
- Nie – odparła. – Ale pan Vincent widział przez okno, jak jeden przejechał obok motelu.

Jakieś dwadzieścia minut temu. Przyglądał się motelowi.

- To byłem ja – rzekł Reacher. – Przejeżdżałem tamtędy samochodem, który im zabrałem.

Zostało ich już tylko pięciu.

- Dobrze, rozumiem. Ale to mnie niepokoi.
- Dlaczego?

– Bo przynajmniej ktoś z nas powinien zauważyć, że któryś z nich się tu kręci. A nikt nikogo nie widział. To znaczy, że nie rozjechali się po okolicy. Wszyscy trzymają się razem i polują razem jak sfora wilków.

- Na mnie?
- Przypuszczalnie.
- Nie chcę sprowadzać ich wam na głowę. Mam odjechać?
- Może byłoby lepiej – powiedziała Dorothy.
- Chyba tak – potwierdził lekarz.
- Nie – sprzeciwiła się jego żona.

Zamilkli i niezdecydowani zwrócili twarze ku oknu, wbijając wzrok w ciemną drogę. Niebo lekko się wypogodziło, przez ciekłą warstwę chmur sączyło się blade światło księżyca. Dochodziła pierwsza w nocy.

•••

Motel był zamknięty na noc, ale Vincent wciąż jeszcze siedział w barze i gapił się w okno. Zauważył przejeżdżającego szosą złotego yukona i od razu go rozpoznał. Widział go nieraz. Jeździł nim młody człowiek imieniem John. Bardzo niesympatyczny gówniarz. Wyjątkowo bezczelny łobuz, nawet jak na standardy Duncanów. Kiedyś zmusił Vincenta, żeby uklęknął i głośno błagał o darowanie mu bicia. Musiał to robić jak pies z uniesionymi łapami, skacząc i wyjąc przez pięć minut.

Vincent przekazał wiadomość o przejeździe yukona na drzewo telefoniczne, potem wrócił

do okna i na nowo podjął obserwację. Przez następne dwadzieścia minut nic się nie wydarzyło, a potem zobaczył tych pięciu mężczyzn, o których wszyscy mówili. Ich dziwny, złożony z trzech pojazdów konwój wjechał na jego parking i się zatrzymał. Granatowy chevrolet, czerwony ford i czarny cadillac Setha Duncana. Z informacji telefonicznych wynikało, że samochodem Setha jeździ teraz ktoś inny. Nikt nie wiedział kto ani dlaczego. Teraz miał okazję przyjrzeć się kierowcy. Z cadillaca wysiadł krępy, niechlujny i nieogolony człowieczek o wyglądzie obcokrajowca. Podobny do bliskowschodnich terrorystów, których często oglądał w wiadomościach telewizyjnych. Z chevroleta wysiadło tych dwóch, którzy go napadli, z forda następnych dwóch – wysokich, dobrze zbudowanych i ogorzałych, też o obcym wyglądzie. Wszyscy stanęli w ciasnej grupce.

Vincent nie sądził, by aż pięciu oprychów zjawilo się tu tylko po to, żeby się z nim rozprawić. Mogli przyjechać w zupełnie innym celu i tylko skorzystać z jego parkingu, jako jedyne w promieniu wielu kilometrów. Robiło tak wielu przejezdnych, wjeżdżając na jego parking z różnych powodów: żeby odnaleźć coś na mapie, zdjąć wierzchnie okrycie, wyjąć coś z bagażnika, a czasem zwyczajnie rozprostować nogi. Nikt nie mógł mieć wątpliwości co do tego, że parking jest prywatny, ale wielu uznawało go za publiczny plac postojowy przy drodze.

Nie spuszczał z nich wzroku, obserwując, jak pięciu mężczyzn wdaje się w rozmowę. Okna motelu były standardowym produktem z lat sześćdziesiątych, kiedy to zamontowali je jego rodzice. Od środka były zabezpieczone siatką i otwierały się na zewnątrz przez obracanie zamontowanych na ramie korbek. Vincent pomyślał, że dobrze byłoby choć odrobinę uchylić jedno z nich. Właściwie było to jego obowiązkiem. Może uda mu się dosłyszeć, o czym rozmawiają. Mógłby zdobyć cenne informacje do wrzucenia na drzewo telefoniczne. Każdy korzystający z drzewa miał obowiązek uczestniczyć w zbieraniu danych. Na tym polegało działanie całego systemu. Zaczął wolniutko obracać korbkę. Z początku szło łatwo, potem jednak coś się zacięło. Taśma uszczelniająca przywarła do ramy. Farba, brud i lata nieotwierania zrobiły swoje. Włożył w szparę palce i spróbował pokonać opór. Zamierzał to zrobić ostrożnie i po cichu. Nie chciał, żeby okno nagle odskoczyło i narobiło hałasu. Mężczyźni wciąż rozmawiali. A właściwie mówił tylko ten z cadillaca, pozostali czterej słuchali.

• • •

– Wysadziłem kolegę kilometr wcześniej – mówił człowiek Mahmeiniego. – Wysłałem go na rekonesans. Będzie mi w tej roli bardziej przydatny. Manewr oskrzydający jest zawsze najlepszy.

– Ale z nami też będzie współpracował? – upewnił się Roberto Cassano.

– Oczywiście, że tak. A jak inaczej? Przecież stanowimy team, nie?

– Trzeba go było trzymać w grupie. Musimy wspólnie uzgodnić plan działania.

– Do takiego gówna? Niepotrzebny nam żaden plan. Mamy wykurzyć jednego frajera. Co za problem? Sam mówiłeś, że miejscowi nam pomogą.

– Wszyscy teraz śpią.

– To ich obudzimy. Przy odrobinie szczęścia do rana ze wszystkim się uporamy.

– I wtedy co?

– I wtedy zajmujemy się Duncanami. Wszystkim nam zależy na tej dostawie, a skoro już musieliśmy się tu przywlec, to trzeba poświęcić trochę czasu na to, co naprawdę ważne.

– I od czego zaczniemy?

– To ty mi powiedz. Już masz niejakie rozeznanie.

– Od lekarza – powiedział Cassano. – Lekarz to najsłabsze ogniwo.

– I gdzie jest ten lekarz?

– Mieszka na południowy zachód stąd.

– Dobra, to jedź i z nim pogadaj. Ja się zajmę czymś innym.

– Dlaczego?

– Bo skoro wiesz, że jest najsłabszym ogniwem, to Reacher też to wie. Stawiam dolce przeciw pączkom, że go tam nie ma. Więc jedź zmarnotrawić trochę czasu, a ja w tym czasie zajmę



się czymś pożytecznym.

• • •

Vincent przestał mocować się z oknem. Doszedł do wniosku, że nie uda mu się go otworzyć bez głośnego chrobotu, a przyciąganie uwagi pięciu oprychów nie było dobrym pomysłem. Poza tym narada na jego parkingu wyraźnie dobiegała już końca. Niechlujny człowieczek usiadł za kierownicą cadillaca Seta Duncana i wielki czarny samochód zatoczył szeroki łuk na żwirze. Światła reflektorów omiotły okno, ale Vincent zdążył w porę uskoczyć. Cadillac wyjechał na szosę i skręcił na południe.

Pozostali czterej mężczyźni nie ruszyli się z miejsca. Odprowadzili wzrokiem światła cadillaca, po czym wrócili do rozmowy, ustawiając się tym razem dwójkami. Stali zwrócenii do siebie twarzami, trzymając prawe ręce w kieszeniach płaszczy. Dwie identycznie wyglądające pary, jakby pozujące do symetrycznego tableau.

• • •

Roberto Cassano popatrzył za odjeżdżającym cadillakiem.

– On nie ma żadnego kolegi – prychnął. – Nikt nie robi żadnego rekonesansu. Zresztą o jakim rekonesansie mowa? To wszystko brednie.

– Oczywiście, że ma kolegę – obruszył się człowiek Safira. – Był w waszym pokoju i wszyscy go widzieliśmy.

– Ale już go nie ma. Zwiął. I zabrał ich samochód z wypożyczalni. Ten palant jest teraz sam. Tego cadillaca ukradł z parkingu przy hotelu. Widzieliśmy go tam wcześniej.

Ludzie Safira milczeli.

– Chyba że któryś z was maczał w tym palce – dodał Cassano. – Albo obaj.

– Co ty pieprzysz?

– Jesteśmy dorośli – prychnął Cassano. – Wiemy, jak się załatwia sprawy, więc nie udawajmy, że nie wiemy. Mahmeini kazał swoim ludziom wszystkich nas załatwić i to samo zrobił Safir, który kazał wam rozprawić się z resztą. Oczywiście Rossi nam też kazał się wszystkich pozbyć. Jestem z wami szczery i mówię, jak jest. Mahmeini, Safir i Rossi mają takie same plany. Każdy z nich chce przejąć cały tort. Wszyscy to wiemy.

– Myśmy mu nic nie zrobili – powiedział człowiek Safira. – Myśleliśmy, że to wy. Gadaliśmy o tym przez całą drogę. Oczywiście, że cadillac nie jest z wypożyczalni.

– My też nic nie zrobiliśmy. Chcieliśmy z tym poczekać.

– To tak jak my.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Przysięgnij.

– Ty pierwszy.

– Przysięgam na grób mojej matki – powiedział Cassano.

– A ja na moją – dodał człowiek Safira. – No to co się stało?

– Zwiął. Musiał zwiąć. Może się wystraszył. Albo brak mu dyscypliny. Może Mahmeini nie jest taki ważny, jak myślimy.

Co otwiera przed nami nowe możliwości.

Wszyscy zamilkli.

– Musimy coś postanowić – rzekł w końcu Cassano. – My czterej, nie sędzicie?

Moglibyśmy ukatrupić tego drugiego od Mahmeiniego i machnąć ręką. Rossi i Safir mogliby się podzielić jego kawałkiem tortu. To by ich na pewno zadowoliło. Nie mówią o nas.

– Proponujesz zawieszenie broni?

– Zawieszenia broni są na chwilę. Bardziej sojusz. Sojusz to coś trwałego.

Wszyscy umilkli. Ludzie Safira spojrzeli po sobie. Decyzja nie była trudna. Prowadzić wojnę na dwóch frontach czy na jednym? Historia zna mnóstwo przykładów, kiedy mądry ludzie decydowali się na to drugie.

• • •

Vincent stał przy oknie, nie odrywając wzroku od parkingu. Widział rozmawiających mężczyzn i choć wszyscy zachowywali się spokojnie, w ich postawie dawało się wyczuć napięcie. Potem po mowie ciała można było poznać, że wszyscy jakby się rozluźnili, zaczęli na siebie patrzeć i nawet wymieniać przelotne uśmiechy. A potem wyjęli ręce z kieszeni płaszczy i zaczęło się ściskanie dłoni, każdy z każdym na krzyż. Towarzyszyło temu lekkie poklepywanie po plecach i miny z gatunku „to na razie, trzymajcie się”, po czym dwaj ogorzali mężczyźni wsiedli do czerwonego forda. Zatrzasnęli drzwi, zapięli pasy i wtedy Włoch – ten, który cały czas trzymał mowę – nagle coś sobie przypomniał, bo zwrócił się twarzą do nich i postukał w szybę po stronie kierowcy.

Szyba zjechała w dół.

Włoch trzymał w ręku pistolet.

Schylił się i nastąpiły dwa oślepiające błyski jeden po drugim, jakby w środku zapalił się pomarańczowy stroboskop, rozświetlający wszystkie sześć szyb. Błyskom towarzyszyły dwie donośne detonacje, potem krótka przerwa i następne dwa błyski i dwie detonacje w równych odstępach.

Włoch odszedł od samochodu i Vincent dostrzegł jego dwóch śniadych pasażerów, jak bezwładnie zwisają na fotelach. Skurczyli się i zmaleli, jakby uszło z nich powietrze, głowy opadły im na piersi. Były nie tylko zalane czymś ciemnym, ale zdawały się odkształcone, jakby czegoś im brakowało.

Pod Vincentem ugięły się nogi. Opadł na kolana i z głową pod parapetem zwymiotował. A potem zerwał się i pognął do telefonu.

• • •

Angelo Mancini otworzył bagażnik forda i znalazł w nim dwie nylonowe torby podróżne na kółkach, co tylko potwierdziło jego podejrzenia. Prawdziwi mężczyźni noszą swoje bagaże, a nie ciągną na kółkach jak baby. Rozsunął zamek błyskawiczny jednej z nich i zobaczył w środku kilka koszul na drucianych wieszakach, wszystkie skrupulatnie złożone. Zdjął jedną, spłaszczył wieszak, otworzył wlew paliwa i drutem wepchnął rękaw koszuli do środka, pozostawiając resztę ze zwisającym drugim rękawem na zewnątrz. Podpalił wiszący rękaw zapalką wydartą z paczuszki zabranej z knajpy w miasteczku, potem spokojnie odwrócił się i wsiadł do granatowego chevroleta. Siedzący za kierownicą Roberto Cassano od razu ruszył.

• • •

Widoczna przez okno jadalni droga za ogrodzeniem wciąż pozostawała ciemna i pusta. Lekarz wstał, poszedł do kuchni i wrócił z tacą z czterema kubkami świeżej kawy. Jego żona trwała w zadumie, siedząca obok niej Dorothy Coe też milczała. Członkinie siostrzanego przymierza, które wzajemnie się wspierając, czekają na dalszy bieg wypadków. Kolejna długa noc z ponad dziewięć tysięcy nocy w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, z których większość upłynęła spokojnie, ale zapewne nie wszystkie. Dziewięć tysięcy zachodów słońca, które nie wiadomo co przyniosą.

Reacher też spokojnie czekał. Wiedział, że Dorothy chce usłyszeć, co znalazł w policyjnym archiwum, ale nie kwapiła się z zadaniem pytania, a on nie miał zamiaru ani jej popędzać, ani samemu poruszać tego tematu. Zetknął się z wieloma ludzkimi tragediami i wszystkie były bolesne i trudno było się z nimi pogodzić, ale w jego odczuciu trudno też było znaleźć coś gorszego od tego, co spotkało rodzinę Coe. Doprawdy trudno. Dlatego wołał milczeć. W ciszy minęło dziesięć minut, potem piętnaście. Wreszcie Dorothy przemówiła:

– Nadal mają te akta?

– Tak, mają – odrzekł Reacher.

– I zajrzałeś do nich?

– Tak, zajrzałem.

– Widziałeś jej zdjęcie?

– Tak, była śliczna.

– Prawda? – Dorothy się uśmiechnęła. Nie tyle z rodzicielską dumą, bo przecież uroda dziewczynki nie była jej zasługą, ile ze szczerym podziwem. – Wciąż za nią tęsknię. Co na swój sposób jest trochę dziwne, bo tęsknię za czymś, co było wtedy i co i tak by z czasem przeminęło. To, co mnie ominęło, wydarzyłoby się później. Miałyby teraz trzydzieści trzy lata. Byłaby dorosłą kobietą. I za tym nie tęsknię, bo nie mam w głowie wyraźnego obrazu jej teraz. Nie wiem, jak potoczyłyby się jej losy i kim by teraz była. Może miałyby dzieci i została tu, a może poświęciłaby się karierze zawodowej. Została prawniczką albo naukowcem i zamieszkała gdzieś daleko w wielkim mieście.

– Jak jej szło w szkole?

– Bardzo dobrze.

– Miała jakieś ulubione przedmioty?

– Wszystkie.

– Dokąd wtedy pojechała?

– Kochała kwiaty. Lubię myśleć, że wybrała się zbierać polne kwiaty.

– Często to robiła?

– Ciągle, gdy tylko nie była w szkole. Szczególnie w niedziele. Kochała swój rower i wciąż dokądś jeździła. To były spokojne czasy. Była dokładnie taka, jak ja w jej wieku.

Reacher zamilkł i na moment zapadła cisza.

– Kiedyś ja też byłem kimś w rodzaju gliniarza – powiedział po chwili. – Czy mogę ci zadać podstawowe pytanie?

– Tak – odrzekła.

– Czy naprawdę chcesz wiedzieć, co się z nią stało?

– Nie mogło się zdarzyć nic gorszego, niż to sobie wyobrażałam.

– Obawiam się, że mogło. I czasami tak właśnie jest. Dlatego pytam. Bo czasami lepiej nie wiedzieć.

Zamilkła i po dłuższej chwili wykrztusiła:

– Syn jednego z sąsiadów mówi, że słyszy, jak jęczy jej duch.

– Spotkałem go. – Reacher kiwnął głową. – Pali dużo trawki.

– Ja też to słyszę, czasami. Albo tak mi się wydaje. Sama już nie wiem.

– Nie wierzę w duchy.

– Ja właściwie też nie. Wystarczy na mnie spojrzeć. Reacher spojrział. Miał przed sobą zażywną kobietę koło sześćdziesiątki, zniszczoną pracą i dramatycznymi przejściami, lekko siwiejącą.

– Tak, naprawdę chcę wiedzieć, co się z nią stało – szepnęła.

– Zgoda – rzekł Reacher.

• • •

Dwie minuty później zadzwonił telefon. Staromodny aparat z mechanicznym dzwonkiem brzęczącym donośnie i smętnie, ale niezbyt natarczywie. Żona lekarza poderwała się i wybiegła do przedpokoju. Rzuciła „halo” i zamilkła, wsłuchując się w głos w słuchawce. Znowu ktoś z drzewa telefonicznego. W jadalni słychać było skrzekliwy, podniecony szmer wydobywający się ze słuchawki i czuć było, że słuchająca w milczeniu żona lekarza jest bardzo poruszona. Działo się coś niezwykłego. Dorothy Coe niespokojnie poprawiła się na krześle, lekarz wstał, a Reacher nie odrywał wzroku od okna. Na drodze nadal panował spokój.

W końcu kobieta odłożyła słuchawkę i wróciła do jadalni. Wyglądała na bardziej zaskoczoną niż zmartwioną, bardziej zdumioną niż wystraszoną.

– Vincent właśnie widział, jak Włosi zastrzelili dwóch ludzi z czerwonego forda. Z pistoletu. Obaj nie żyją. A potem podpalili samochód tuż pod jego oknami.

Wszyscy zamilkli i dopiero po chwili odezwał się Reacher:

– No cóż, to trochę zmienia postać rzeczy.

– W jakim sensie?

– Początkowo myślałem, że mamy do czynienia z sześcioma oprychami z jednej bandy i że między nimi a Duncanami istnieją jakieś dwustronne konszachty. Ale myliłem się. Mamy do czynienia z trzema parami z trzech oddzielnych band, Duncanowie zaś stanowią czwartą. A to już tworzy łańcuch pokarmowy. Duncanowie są coś komuś winni, ten ktoś jest winien komuś innemu, ten następnemu i tak dalej. Wszyscy w coś zainwestowali i teraz przyjechali pilnować swojego interesu. I przy okazji próbują wzajemnie się wyeliminować. Skrócić łańcuch pokarmowy.

– A więc trafiliśmy w sam środek wojny gangów.

– Spójrz na to od jaśniejszej strony. Wczoraj zjawilo się sześciu oprychów, a zostało już tylko trzech. Pięćdziesięcioprocentowy ubytek. Tylko tak dalej.

– Powinniśmy zawiadomić policję – powiedział lekarz.

– Nie – zachnęła się jego żona. – Policja jest sto kilometrów stąd, a futboliści są tu i teraz. Nimi powinniśmy się martwić. Musimy się dowiedzieć, co kombinują.

– Jak oni się porozumiewają? – spytał Reacher.

– Przez komórki.

– Mam komórkę w samochodzie. Należała do jednego z nich. Może uda nam się coś podsłuchać. Wtedy będziemy wiedzieli, co planują.

Lekarz odblokował zamki na drzwiach, odczepił łańcuch i wszyscy wyszli na podjazd.

Reacher otworzył drzwi yukona po stronie pasażera, pomacał po podłodze i wyjął komórkę, cienką i czarną jak baton czekoladowy. Stał przy drzwiach, otworzył klapkę i powiedział:

– Używają połączenia konferencyjnego, tak? Telefon dzwoni i cała piątka się słyszy.

– Prędeż wibruje niż dzwoni – poprawił go lekarz. – Wejdz w ustawienia i sprawdź wykaz połączeń i książkę telefoniczną. Powinieneś tam mieć numer dostępu.

– Ty to zrób – powiedział Reacher. – Nie jestem zbyt biegły w komórkach. – Obszedł samochód i podał aparat lekarzowi, po czym popatrzył w lewo. Mgłę na wschodzie rozjaśniała plama światła. Półkolistą poświata trzęsła się i podrygiwała, to rozbłyskując, to przygasając. Była tak biała, że aż niebieskawa.

Nadjeżdżał jakiś samochód.

Był jeszcze około kilometra od nich i jak poprzednio, rozmyta plama światła szybko przemieniła się najpierw w jedno źródło światła tuż nad powierzchnią drogi, potem rozdzieliła na dwa rażące wzrok owalne punkty świetlne. Umieszczone blisko siebie i nisko nad ziemią świeciły oślepiającym niebieskawym światłem. I jak poprzednio szybko się zbliżały, skacząc i podrygując na twardym zawieszaniu pod wpływem gwałtownych szarpnięć kierownicy. Z odległości wyglądały na małe, i takie pozostały. Zresztą cały samochód był nieduży: niska mazda miata, mała, sportowa i czerwona. Reacher rozpoznał ją z odległości jakichś dwustu metrów.

Eleanor Duncan.

Czyżby siostrzane przymierze zwierzało szyki?

Trzydzieści metrów od nich mazda zwolniła. Tym razem jej dach był podniesiony i sterczał jak ciasny kapelusik. Było zimno, a Eleanor nie musiała się już martwić tym, by dać się z daleka rozpoznać. Nie musiała swoim widokiem rozpraszać żadnych wartowników.

Piętnaście metrów od domu samochód ostro przyhamował i w mglistym powietrzu rozbłysła krwistoczerwona łuna od świateł stopu.

Sześć metrów przed domem samochód zaczął skręcać.

Gdy znalazł się trzy metry od drzwi, Reacher uzmysłowił sobie trzy rzeczy.

Po pierwsze, Eleanor Duncan nie należała do drzewa telefonicznego.

Po drugie, jego pistolet tkwił w kieszeni kurtki.

Po trzecie, jego kurtka została w kuchni.

Mazda wykonała ostry wiraż, koła zachrząściły na żwirze i samochód zatrzymał się tuż za pick-upem Dorothy Coe. Drzwi się otworzyły i ze środka wygramoliła się chuda postać Seta Duncana.

W rękach trzymał strzelbę.

Seth Duncan miał na twarzy aluminiową klamrę wyglądającą jak metalowa osłona nadgniętego owocu, bo wyzierały spod niej wszystkie barwy toczącej go pleśni: żółć, brąz i fiolet. Miał na sobie ciemne spodnie, ciemny sweter i kurtkę, w rękę trzymał stary model samopowtarzalnego remingtona 870. Pewnie kalibru dwanaście, pewnie z półmetrową lufą. Kolba z drewna orzechowego, magazynek na siedem nabojów – w sumie solidna broń ogólnego zastosowania. Wyprodukowano i sprzedano ponad cztery miliony sztuk tego modelu, z powodzeniem sprawdzającego się w marynarce wojennej do ochrony pokładów okrętów i w oddziałach marines w bezpośredniej walce na bliskie odległości. Do tych samych celów stosowano go też w armii lądowej, cywile używali go do polowań, a policja do rozpędzania demonstracji. Był też chętnie używany przez walniętych obrońców domostw, którzy odstraszaali nim intruzów pod hasłem „spieprzaj z mojego trawnika”.

Nikt się nie poruszył.

Reacher dostrzegł z niepokojem, że młody Duncan trzyma remingtona wprawnym chwytem, z palcem wskazującym na spuście. Przyciskał strzelbę do biodra i mierzył prosto w Rea chera, a to znaczyło, że jednocześnie ma na celu Dorothy Coe, lekarza i jego żonę, jako że wystrzelony ładunek śrutowy rozlatuje się nieco na boki, a cała czwórka stała razem na podjeździe, trzy metry od drzwi wejściowych. Strzał oddany do Reachera groził wieloma szkodami.

Nikt się nie odezwał.

Silnik mazdy pracował na wolnych obrotach, drzwi pozostały otwarte na oścież. Seth Duncan przyłożył kolbę do ramienia, przymknął jedno oko, wycelował i wolno ruszył w stronę domu. Gdyby poruszał się po wyboistym podłożu, można by to było uznać za zwykłe straszenie, ale na równym podjeździe mogło to być groźne. Wylot lufy ani na trochę nie schodził z celu.

Duncan zatrzymał się dziesięć metrów od stojących.

– Wszyscy siad. Tam, gdzie kto stoi. Siadać na ziemię i skrzyżować nogi.

Nikt się nie poruszył.

– Ta zabawka jest nabita? – zapytał Reacher.

– Chcesz się przekonać?

– Uważaj, żeby nie wystrzeliła.

– Spokojna głowa – parsknął Duncan świszczącym niewyraźnym głosem. W mówieniu przeszkadzał mu złamany nos i policzek dociskany do kolby remingtona.

Nadal nikt się nie ruszył.

Reacher za plecami usłyszał niepewny głos lekarza:

– Możemy porozmawiać?

– Siad – warknął Duncan.

– Powinniśmy porozmawiać. Jak rozsądni ludzie – powiedział lekarz.

– Siad.

– Nie. Powiedz, czego od nas chcesz?

Przejaw odwagi, ale zła taktyka, pomyślał Reacher. Lekarzowi wydawało się, że przeciągając sprawę, może coś osiągnąć. Zdaniem Reachera było akurat odwrotnie. Uważał, że nie ma chwili do stracenia. Ani chwili.

– Marzniemy – powiedział.

– I co z tego? – prychnął Duncan.

– Za zimno, żeby siedzieć na ziemi. Za zimno, żeby stać na dworze. Wejźmy do środka.

– Macie tu zostać.

– Dlaczego?

– Bo tak.

– To pozwól im chociaż włożyć płaszcze.

– Po co?

– Z szacunku dla siebie – rzekł Reacher. – Ty masz na sobie kurtkę. Jeśli jest na tyle ciepło, że kurtka jest niepotrzebna, to znaczy, że mięczak z ciebie. Jeśli jest na tyle zimno, że trzeba się opatulać, to każesz niewinnym ludziom niepotrzebnie marznąć. Jeśli uważasz, że ty i ja mamy porachunki, w porządku, ale ci ludzie nic nie zawinili.

Widać było, że Seth Duncan się zastanawia, choć ani na chwilę nie odjął kolby od ramienia, nie odsunął głowy i nie otworzył drugiego oka.

– Dobra, ale pojedynczo. Reszta zostaje jako zakładnicy. Pierwsza idzie pani Coe. Tylko po płaszcz. Nic poza tym. Niech pani nie dotyka telefonu.

Jeszcze przez chwilę nikt się poruszył, potem Dorothy Coe odłączyła się od gromadki, zawróciła do drzwi i weszła do środka. Po minucie wyszła ubrana w płaszcz, który tym razem zapięła na wszystkie guziki. Dołączyła do reszty i stanęła na poprzednim miejscu.

– Niech pani siada.

Dorothy podciągnęła płaszcz i usiadła, jednak zamiast skrzyżować nogi, ułożyła je kolanami w bok.

– Teraz żona doktora – powiedział Reacher.

– Nie mów mi, co mam robić – burknął Duncan.

– Tak tylko mówię. Panie mają pierwszeństwo, nie?

– Dobra, żona doktora. Możesz iść. Te same zasady. Tylko po płaszcz. Nie dotykaj telefonu. Nie zapomnij, że mam zakładników. W tym twojego ukochanego mężusia.

Żona lekarza wróciła po minucie w wełnianym płaszczu, czapce, rękawiczkach i szaliku.

– Siadaj – rozkazał Duncan.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok Dorothy Coe, oparła ręce na kolanach i wbiła wzrok w jakiś odległy punkt na polu. Reacher był pewny, że niczego tam nie widzi, ale woli to niż patrzeć na swojego prześladowcę.

– Teraz doktor – powiedział głośno.

– Dobra, możesz iść – zgodził się Duncan.

Lekarz wszedł do domu i po minucie wrócił w niebieskiej kurtce, pełnej zapieć na rzepy i zamków błyskawicznych na kieszeniach. Usiadł, nie czekając na rozkaz.

– Teraz ja – powiedział Reacher.

– Nie, ty nie. Ani teraz, ani później. Stój, gdzie stoisz. Nie ufam ci.

– Niezbyt to eleganckie.

– Siadaj.

– Zmusz mnie.

Duncan jeszcze mocniej przywarł twarzą do kolby, jakby szykował się do strzału.

– Siad – prychnął.

Reacher się nie poruszył. A potem spojrzał w prawo, dostrzegł plamę światła we mgle i uświadomił sobie, że jego szansa właśnie przechodzi mu koło nosa.

• • •

Futboliści nadjechali z impetem – pięciu w pięciu samochodach pędzących w konwoju trzech pick-upów i dwóch SUV-ów. Ostro zahamowali na drodze przy ogrodzeniu i wyskoczyli, zostawiając pojazdy zderzak przy zderzaku i z otwartymi drzwiami od strony kierowcy. Wszyscy mieli na sobie czerwone bluzy Cornhuskersów i poruszali się szybko i zwinnie, mimo iż najmniejszy był wielkości domku jednorodzinne. Jak na dany znak przeskoczyli równocześnie przez ogrodzenie i ruszyli ławą po uśpionym trawniku, omijając szerokim łukiem potencjalny tor pocisku z remingtona, który nadal tkwił w żelaznym uchwycie Duncana. Patrząc na wylot lufy, Reacher musiał przyznać, że nawet nie drgnęła. Znajdująca się nie dalej niż dziesięć metrów od niego, połyskująca niebieskawo lufa wymierzona była prosto w jego pierś, a jej złowieszczo czarny wylot był tak wielki, że mógłby pomieścić kciuk.

– Zaprowadźcie tamtych troje do środka i nie wypuszczajcie – rozkazał Duncan.

Futboliści szarpnęli lekarza, jego żonę i Dorothy Coe, zmusili do wstania i brutalnie

pociągnęli za ręce przez parę metrów dzielących ich od drzwi. Do środka wcisnęło się osiem osób, chwilę później czterech futbolistów wyszło i ruszyło ławą w stronę Reachera.

– Przytrzymajcie go – polecił Duncan.

Reacher nie tracił czasu na żałowanie utraconej szansy i robienie sobie wyrzutów. Czas na analizę błędów i wyciąganie wniosków przyjdzie później. Jak zwykle koncentrował się na tym, co teraz i co może stać się za chwilę. Strata czasu i energii na rozpamiętywanie popełnionych błędów z góry skazywała na porażkę. Choć trudno było powiedzieć, by Reacher miał przed sobą jasno wytyczoną drogę do sukcesu. Na pewno nie zaraz. Na razie widział tylko czekające go morze bólu.

Czterej rośli futboliści podeszli bliżej. Nie miał żadnych szans im się przeciwstawić.

Wymierzona w niego lufa ani drgnęła, a dwaj futboliści podeszli do niego z boków, ani na chwilę nie wchodząc w linię strzału. Chwycili go za ramiona, przyłożyli wielkie jak bochny dłonie do łokci od tyłu i do przegubów dłoni z wierzchu i cisnąc, wyprostowali jego ręce w przegubach i zgięli w łokciach. Kopnięciami rozsunęli mu nogi, zahaczyli kostki stóp o jego kostki, unieruchamiając mu nogi. Trzeci wielkolud podszedł od tyłu, ustawił się między jego rozsuniętymi nogami i mocarnymi ramionami oblał klatkę piersiową. Czwarty zrobił parę kroków do tyłu i stanął trzy metry od Duncana.

Reacher nawet nie próbował walczyć. Był bez szans. Absolutnie bez szans. Każdy z trzech trzymających go osiłków był o kilka centymetrów wyższy i dwadzieścia parę kilo cięższy. Bez wątplenia byli od niego wolniejsi, mniej sprytni i gorzej wyszkoleni, ale swoją masą przesądzali sprawę. Mógł odrobinę poruszyć nogami i odrobinę głową, ale nic więcej. Zresztą jedyny możliwy ruch nóg był do tyłu, a to by go mogło przeważać i powalić na twarz, choć zapewne trzymający go w uścisku wielkolud nie dopuściłby do upadku. Jedyny możliwy ruch głową pozwalał oprzeć brodę na piersiach lub o parę centymetrów odrzucić ją do tyłu. Za mało, by dosięgnąć stojącego za nim futbolistę.

Został obezwładniony i zdawał sobie z tego sprawę.

Seth Duncan odjął strzelbę od ramienia i oparł ją o biodro. Podszedł kawałek do przodu i podał broń czwartemu z futbolistów, potem zrobił następne kilka kroków i stanął nie dalej jak metr od Reachera. Miał przekrwione oczy i płytki, rzęzący oddech. Widać było, że lekko dygoce. Z wściekłości lub emocji.

– Mam dla ciebie wiadomość, kolego – wymamrotał.

– Tak, a od kogo? Od Krajowego Stowarzyszenia Palantów?

– Nie, ode mnie osobiście.

– A co, dopuściłeś do wygaśnięcia twojego członkostwa?

– Za dziesięć sekund okaże się, kto naprawdę jest palantem.

– I jak brzmi ta wiadomość?

– Właściwie to bardziej pytanie.

– Dobra, to jak brzmi?

– Pytanie brzmi: jak ci się to teraz podoba?

Reacher w bijatykach na pięści brał udział od piątego roku życia, ale nikt nigdy nie złamał mu nosa. Ani razu. Trochę dzięki szczęściu, trochę dzięki sprytowi. W ciągu tych lat wielu tego próbowało – albo celując w nos, albo zasypując go gradem niemierzonych ciosów – ale nikomu się nie udało. Nigdy, nikomu. Nawet nikt nie był tego bliski i Reacher na swój sposób był z tego dumny. Jego nos stał się niemal talizmanem. Honorową odznaką. Miał twarz, ręce i ciało usiane różnego rodzaju śladami i bliznami, ale uważał, że jego pokaźna i nienaruszona kość nosowa wszystko to równoważy.

Kość głośnia wszem i wobec: wciąż jeszcze sterczę!

Cios został wymierzony dokładnie tak, jak się tego spodziewał: dłoń zaciśnięta w pięść, prawy prosty, ciężki i potężny, skierowany lekko ku górze i mierzący nieco wyżej, jakby Duncan podświadomie zakładał, że Reacher spróbuje się uchylić w górę i do tyłu. Pewnie tak, jak robiła to jego żona Eleanor za każdym razem, kiedy ją bił. Ale Reacher nie uchylił się w górę do tyłu. Zamarkował odchylenie głowy w górę do tyłu i nie zamknawszy oczu, patrzył wzdłuż linii nosa, odliczając czas, po czym w precyzyjnie wybranym ułamku sekundy wygiął szyję i machnął głową

do przodu, wymierzając precyzyjną główkę czołem prosto w zaciśnięte palce Duncana. Nastąpiło gwałtowne zderzenie twardych kości czaszki Reachera z delikatnymi kośćmi dłoni Duncana. Kruche kości palców nie miały szans. Cienia szansy. Reacher miał czaszkę jak z betonu, łuk stanowi najmocniejszą konstrukcję ze wszystkich znanych człowiekowi, kości dłoni należą do najdelikatniejszych z wszystkich ludzkich kości. Duncan wrzasnął, zgiął rękę, przyłożył zwiniętą dłoń do piersi i skuliwszy się, wykonał z bólu pełen obrót. Rzucił przy tym bezradnie głowę i jęczał, rozglądając się na boki i nie wierząc własnym oczom. Musiał mieć ze trzy lub cztery pogruchotane paliczki i kilka pękniętych końcówek proksymalnych i dystalnych, jako że jego zgięte z potężną siłą palce uległy w wyniku zderzenia gwałtownemu sprasowaniu.

– Palant – parsknął Reacher.

Duncan wetknął prawą dłoń pod lewą pachę i zaczął na nią dmuchać, podskakując z bólu. Po dobrej minucie przestał i skulony, przygięty do ziemi zamarł w bezruchu, mierząc Reachera pełnym bólu, wściekłości i upokorzenia spojrzeniem zza aluminiowej klamry. Potem przeniósł wzrok na czwartego futbolistę, który stał zmartwiały ze strzelbą w rękę, i wykonał w stronę Reachera gwałtowny, pełen wściekłości i zniecierpliwienia ruch głową.

Wykończ go.

Czwarty futbolista zrobił krok do przodu. Reacher wiedział, że chłopak nie strzeli. Nikt nie strzela do czterech osób, z których trzy są jego przyjaciółmi.

Wiedział, że czeka go coś znacznie gorszego.

Chłopak obrócił strzelbę i chwycił prawą ręką za lufę, lewą za kolbę.

Wielkolud stojący za Reacherem złapał go lewym przedramieniem za szyję, ściskając gardło, prawą dłoń z całej siły docisnął mu do czoła.

Całkowicie go unieruchamiając.

Futbolista ujął strzelbę w dwie ręce kolbą do przodu i wyciągnął je do tyłu przez prawe ramię, jak do zadania ciosu dzidą. Potem pochylił się do przodu, dokładnie wycelował i z całej siły walnął w środek twarzy Reachera.

Chrupnięcie.

Ciemność.



Jacob Duncan zwołał nadzwyczajną nocną naradę z braćmi. Tym razem zamiast w kuchni Jonasa czy Jaspiera spotkali się u niego, na stole zaś stała wielka butelka burbona Wild Turkey, a nie Knob Creek, jako że gospodarz miał powód do radości i chciał to uczcić.

– Przed chwilą odłożyłem słuchawkę – oświadczył triumfalnie. – Na pewno ucieszy was wiadomość, że mój chłopak się sprawił.

– Jak? – zapytał Jasper.

– Dopadł Jacka Reachera.

– Jak? – zapytał Jonas.

Jacob Duncan odchylił się do tyłu i wyciągnął przed siebie nogi gestem człowieka zrelaksowanego i zadowolonego z życia, który ma do przekazania radosną opowieść.

– Jak wiecie, odwoziłem Seta, ale wysadziłem go na drodze przed domem, bo był trochę przybity i chciał odetchnąć nocnym powietrzem. Był sto metrów od domu, gdy o mało nie przejechał go samochód. W dodatku jego własny. Cadillac, który nagle wyskoczył z ciemności jak nietoperz z piekła. Oczywiście popędził do domu i wyciągnął z żony wszystkie szczegóły. Okazuje się, że wczoraj po południu odwiedził ich Reacher i ukraść mu cadillaca. Reacherowi towarzyszył lekarz. Wygląda na to, że zupełnie mu odbiło i dureń zawarł coś w rodzaju przymierza z Reacherem. Seth wziął swojego starego remingtona i pojechał autem Eleanor do domu lekarza. I rzeczywiście, znalazł tam Reachera we własnej osobie.

– I co z nim zrobił?

– Jest teraz w bezpiecznym miejscu. Wygląda na to, że wszystko odbyło się gładko i bez kłopotu.

– Żyje?

– Na razie. Ale właśnie o tym musimy porozmawiać. Jak długo ma zostać żywy.

W kuchni zapadła cisza. Jacob zamilkł, a bracia jak zwykle czekali, aż najstarszy i najrozważniejszy z nich – zawsze gotów podzielić się swą mądrością i doświadczeniem – ogłosi werdykt albo przeprowadzi analizę, albo zaproponuje jakieś rozwiązanie.

– Seth chce zastosować ostateczne rozwiązanie i szczerze powiem, że jestem skłonny się z nim zgodzić. Chce odbudować swoją wiarygodność wobec nas, co, jak mu oczywiście powiedziałem, nie jest niezbędne, ale prawdą jest też, że wszyscy, jak tu siedzimy, musimy odbudować naszą wiarygodność wobec naszego kolegi z południa, pana Rossiego.

– Jak Seth chce to zrobić? – spytał Jasper.

– Chce to zrobić tak, żeby się przy okazji okazało, że nasze lawirowanie było uzasadnione. Chce odczekać, aż nasza dostawa znajdzie się jakąś godzinę stąd i wtedy przekazać Reachera chłopcom Rossiego, udając, że kogoś o tym zawiadamia. Towar dojedzie w ciągu godziny i w ten sposób wyjdzie na to, że cały czas mówiliśmy prawdę i że to Reacher był przyczyną całego opóźnienia.

– To zbyt ryzykowne – bąknął Jonas. – Reacher to niebezpieczny facet. Nie powinniśmy go trzymać minutę dłużej niż to konieczne. Inaczej napytamy sobie biedy.

– Jak już powiedziałem, jest w bezpiecznym miejscu.

A ponadto, jeśli zrealizujemy plan Seta, udowodnimy, że potrafimy sami rozwiązywać swoje problemy. Że nie potrzebujemy żadnej pomocy z zewnątrz. Wrażenie słabości, jakie być może powstało, zniknie bez śladu.

– Mimo wszystko to wciąż bardzo ryzykowne.

– Są też inne względy – rzekł Jacob.

W kuchni zapadła cisza.

– Do tej pory nigdy nie zajmowaliśmy się ani nie przejmowaliśmy tym, co się dzieje z naszymi dostawami od chwili przejścia ich przez Rossiego. Zakładaliśmy, że są przedmiotem

kolejnych transakcji dokonywanych przez szereg pośredników i w końcu trafiają do finalnego odbiorcy. I teraz cały ten łańcuch, a w każdym razie duży jego fragment, został ujawniony. Wygląda na to, że trzy oddzielne ogniwa łańcucha przysłały tu swoich przedstawicieli i zapewne wszyscy są bardzo zdesperowani. Jest dla mnie jasne, że postanowili współpracować po to, by ostatecznie wyjść z impasu. Podobnie jak nie mam wątpliwości, że gdy tylko uda im się to osiągnąć, zaczną się wzajemnie eliminować. Tak by ten, który jako ostatni wyjdzie z tego cało, mógł potroić zyski.

– To już nie nasza sprawa – zauważył Jonas.

– Tyle że wydaje się, iż ludzie Rossiego są w gorącej wodzie kąpani. Było oczywiste, że któraś z grup będzie chciała przejąć inicjatywę. Moi informatorzy z drzewa telefonicznego donoszą, że dwóch z nich już nie żyje. Ludzie Rossiego zastrzelili ich pod motelem. Dlatego chciałbym im dać wystarczająco dużo czasu, żeby sami doprowadzili do dalszego skrócenia łańcucha. Tak by do jutrzejszego wieczoru Rossi stał się jedynym czynnym ogniwem. A wtedy rozpoczniemy z nim rozmowy o równym podziale dodatkowego zysku. Arytmetycznie rzecz biorąc, będziemy mogli podwoić nasze profity. Myślę, że Rossi bez oporu na to przystanie.

– To wciąż wydaje mi się zbyt ryzykowne.

– Nie lubisz forsy, braciszku?

– Nie lubię ryzykować.

– Wszystko, co robimy, jest obarczone ryzykiem. Przecież wiesz, prawda? Od dawna godzimy się ryzykować. To dodaje dreszczyku emocji.

Zapadło milczenie i dopiero po dłuższej chwili przerwał je Jonas:

– Lekarz nas okłamał. Powiedział, że Reacher złapał okazję i odjechał jakimś białym autem. Jacob pokiwał głową.

– I gorąco za to przeprosił. Podobno przykładowie teraz współpracuje. Oczywiście jest z nim żona, a to nie bez znaczenia. Lekarz twierdzi, że Reacher zostawił cadillaca w mieście i że bez jego udziału ukradł go potem ktoś inny. Według wiadomości z drzewa telefonicznego jakiś nieduży facet o bliskowschodnim wyglądem. Wygląda na to, że to on o mało nie przejechał Setha.

– Coś jeszcze?

– Lekarz mówi, że Reacher przejrzał akta śledztwa.

Następna długa chwila ciszy.

– No i? – odezwał się w końcu Jonas.

– Mówi, że nie pozwalają mieć pewności.

– Ale i tak skłoniły go do powrotu.

– Mówi, że Reacher wrócił przez tych, którzy się tu zjechali.

Nikt się nie odezwał.

– Lekarz twierdzi też, że Reacher spytał panią Coe, czy naprawdę chce wiedzieć, co się stało z jej córką.

– Reacher nie może znać prawdy. W każdym razie jak dotąd.

– Zgoda. Ale może zacząć do niej docierać.

– A więc trzeba go zabić. Na nic nie czekając.

– To tylko jeden dzień. Siedzi pod kluczem. Ucieczka stamtąd jest niemożliwa.

Kolejna chwila ciszy.

Wszyscy milczeli.

W końcu Jonas zapytał:

– Coś jeszcze?

– Eleanor pomogła Reacherowi oszukać wartownika – powiedział Jacob. – Nie posłuchała zakazu męża i samowolnie opuściła dom. Wspólnie z Reacherem użyli fortelu, żeby odciągnąć chłopaka od stanowiska. Nie spisał się i oczywiście trzeba go będzie wyrzucić. Zostawimy Sethowi decyzję, co zrobić z żoną. Zdaje się, że Seth pogruchotał sobie kości dłoni. Trzeba będzie się nim zająć. Wygląda na to, że Reacher ma cholernie twardą czaszkę. To wszystko, co miałem wam do przekazania.

Zapadło milczenie.

– Musimy podjąć decyzję w sprawie życia i śmierci. Wszystko się do tego sprowadza – powiedział Jacob.

Cisza.

– Kto chce pierwszy się wypowiedzieć?

Milczenie.

– To zacznę od siebie. Głosuję za pozwoleniem, by mój chłopak załatwił sprawy według swojej koncepcji. Głosuję za tym, żeby Reacher pozostał w ukryciu do chwili, aż nasz furgon będzie tuż-tuż. To tylko odrobinę zwiększy ryzyko. Przedłuży o jeden dzień, nie więcej. W ogólnym rozrachunku to nie ma znaczenia. Aja lubię zmyślne rozwiązania. Odrobinę elegancji w postępowaniu.

Długa chwila milczenia.

Wreszcie odezwał się Jasper.

– Wchodzę w to – powiedział.

– No dobra – zgodził się Jonas, choć bez entuzjazmu.

• • •

Reacher ocknął się w jasno oświetlonym betonowym pomieszczeniu. Leżał na plecach na betonowej podłodze u stóp stromego ciągu schodów. Pomyślał, że musieli go chyba znieść po schodach, a nie zepchnąć czy zrzucić, bo tył jego czaszki nie ucierpiał. Nie miał na niej otarć ani stłuczeń. Także wszystkie cztery kończyny były całe. Mógł też słyszeć, widzieć i się poruszać. Twarz bolała go straszliwie, ale to było do przewidzenia.

Pomieszczenie oświetlone było zwykłymi żarówkami. Było ich sześć, chyba stuwatowych, rozmieszczonych po całym pomieszczeniu i niczym nieosłoniętych. Beton był równy i jasnoszary, powierzchnie gładkie i czyste. Wyglądały na odlane w fabryce z betonu o podwyższonej wytrzymałości. Na płytach nie było złączeń, miejsca, gdzie stykały się z podłogą, były równe i lekko zaokrąglone. Jak basen przed obłożeniem kafelkami. Wiele lat temu Reacher pracował dorywczo przy kopaniu basenów i wiedział, jak wyglądają baseny na różnych etapach budowy.

Twarz piekielnie go bolała.

Czyżby zamknęli go w niewykończonym basenie? Raczej nie. Chyba że na czas budowy basen przykryto prowizorycznym dachem. Był wykonany z desek ułożonych na masywnych belkach, te zaś zrobiono z wielowarstwowej grubej sklejki. Wszystko obrobione maszynowo i wszystko bardzo wytrzymałe. Arkusze egzotycznego twardego drewna sklejono żywicą w jedną całość w gigantycznych przemysłowych prasach o ogromnej sile docisku i pocięto na belki, pewnie piłami sterowanymi komputerowo. Potem dostarczono je na wielkiej lorze i przeniesiono na miejsce za pomocą dźwigów. Każda z belek musiała sporo ważyć.

Ból twarzy stawał się nieznośny.

Reacher był oszołomiony i nie miał pojęcia, która jest godzina. Zegar w jego głowie stanął. Musiał oddychać przez usta, bo nos miał zapechany skrzepami krwi i opuchlizną. Na wargach i brodzie czuł zakrzepłą krew. Skrzep był gruby i niemal zupełnie suchy. Efekt krwotoku z nosa. I nic dziwnego. Musiał się skończyć jakieś pół godziny temu. Inaczej niż u Eleanor Duncan, jego krew krzepła bardzo szybko. Zawsze tak było. Zawsze był przeciwieństwem hemofilika. Czasami się to przydawało. Pewnie jakaś cecha ewolucyjna, wykształcona i przekazana przez pokolenia urodzonych twardzieli.

Potworny ból twarzy ani na moment nie odpuszczał.

W jego betonowym więzieniu były jeszcze inne rzeczy. Na przykład ciągi rur o różnych przekrojach i zielone metalowe skrzynie z powierzchniowymi nalotami. Także kable, niektóre w stalowych osłonach, inne luzem. W ścianach nie było okien. Puste gołe ściany i schody, kończące się na górze zamkniętymi na głucho drzwiami.

Pewnie to podziemie.

Może bunkier czy coś w tym rodzaju.

Reacher nie miał pojęcia.

Twarz bolała go jak diabli i ból stawał się coraz dotkliwszy. Dużo, dużo dotkliwszy. Między

oczami i w głębi nosa rozchodziły się fale koszmarnego bólu, wwiercając się w mózg w rytmie bicia serca. Waląc i zgrzytając, rozchodząc się po całej czaszce, pulsując i na moment przygasając, by dać miejsce następnemu uderzeniu koszmarnego bólu przy następnym uderzeniu serca. Ale może go pokonać. Może pokonać wszystko. Bił się od piątego roku życia i gdy nie było z kim, bił się sam z sobą. Choć rzadko uskarżał się na brak przeciwników. Brał udział w bijatykach w imieniu własnym i brata. Z rodzinnego obowiązku. Nie żeby brat był tchórzem. Wcale nie. Nie był ani tchórzem, ani słabeuszem. Był jak on potężnie zbudowany, ale cechował go rozsądek. Może nawet łagodność. To zawsze stawiało go na przegranej pozycji. Ktoś go zaczepiał, a Joe tracił pierwsze bezcenne sekundy na zastanawianie się. Dlaczego on to robi? Reacher tak nie postępował. Nigdy. Wykorzystywał pierwszą bezcenną sekundę na zadanie pierwszego bezcennego ciosu. Walcz i zwyciężaj. Walcz i zwyciężaj.

Twarz bolała go jak wszyscy diabli. Przyjrzał się swojemu bólowi i odseparował się od niego. Obejrzał go, przeanalizował, zidentyfikował i ujął w karby. Wyizolował. Rzucił mu wyzwanie. Ty przeciwko mnie? Możesz sobie pomarzyć, kolego. Otoczył go granicami, a potem murami. Zbudował mury i wtłoczył za nie ból, potem przysunął mury bliżej siebie, by zgnieść nimi ból, zmiażdżyć, obudować, otoczyć i pokonać.

Nie, nie pokonać.

Ból z wolna pokonywał jego.

Eksplodował w nim jak ładunki wybuchowe odpalone po kolei: pierwszy, drugi, trzeci... Nieustępliwie. W rytmie serca. Póki serce będzie bić, ból ani na chwilę nie ustąpi. To szaleństwo. W przeszłości został raniony odłamkiem, dostał postrzał w klatkę piersiową i był kilkakrotnie pocięty nożami. Ale to było gorsze. Dużo, dużo gorsze. To było gorsze od jego wszystkich bólów zebranych w jeden.

A to już bez sensu. Zupełnie bez sensu. Coś tu było nie tak. Widywał rozwalone nosy u innych. Nieraz. Nie było to nic przyjemnego, ale nikt nie robił z tego aż takiej tragedii. Nikt nie zachowywał się, jakby w jego głowie eksplodowały granaty. Łącznie z Sethem Duncanem. Ludzie się podnosili, trochę pluli krwią, trochę się krzywili i szli w swoją stronę.

Uniósł rękę do twarzy. Powoli. Wiedział, że dotknięcie odczuje jak postrzał w głowę. Ale musiał sprawdzić. Bo coś tu jest nie tak. Dotknął nosa i aż sapnął głośno i boleśnie. Jakby zaklął z bólu, wściekłości i odrazy.

Kość nosowa była złamana, wręcz odłamana. Uległa przesunięciu w bok pod gęstą powłoką ze skóry i chrząstek i sterczała jak czubek góry, który ktoś odciął i przyczepił do stoku w innym miejscu.

I bolała jak wszyscy diabli.

Może kolba remingtona miała metalową stopkę? Mosiężną lub stalową. Dla ochrony przed nadmiernym zużyciem. Nie zwrócił na to uwagi. Pamiętał, że w ostatnim ułamku sekundy odwrócił głowę na tyle, na ile udało mu się pokonać spoconą dłoń na swoim czole. Chciał, by możliwie jak najwięcej impetu skrupiło się na boku twarzy. To bezpieczniejsze od uderzenia czołowego. Silne uderzenie czołowe może spowodować, że odłamki kości przedostaną się do mózgu.

Przymknął oczy.

Otworzył je.

Wiedział, co musi zrobić.

Wiedział, że musi nastawić złamany nos. Wiedział też, ile go to będzie kosztować i co na tym zyska. Ból zelżeje, a jego nos odzyska normalny wygląd. No, prawie normalny. Ale na pewno znów straci przytomność. Nie miał co do tego wątpliwości. Lekkie dotknięcie rany koniuszkami palców niemal urwało mu głowę. Poczuł taki ból, jakby do siebie strzelił. Próba nastawienia nosa będzie jak wystawienie się na serię z automatu.

Zamknął oczy. Ból rozsadał mu głowę. Łagodnie ułożył ją na betonowej podłodze. Przynajmniej nie upadnie, tracąc przytomność, i nie dozna pęknięcia czaszki. Uniósł rękę i ujął koniec kości nosowej kciukiem i palcem wskazującym. W głowie eksplodowała mu bomba atomowa. Nacisnął i pociągnął.

Bez efektu. Chrząstka stawiała zbyt duży opór, jakby oplatając kość siateczką minigumek

i trzymając ją w miejscu. W zupełnie niewłaściwym. Strząsnął powiekami wilgoć z oczu i spróbował jeszcze raz. Nacisnął i pociągnął. W jego głowie eksplodowały ładunki termonuklearne.

Bez efektu.

Wiedział, co mu zostało. Naciskanie na kość nie dawało rezultatu. Musi w nią walnąć nasadą dłoni tak, by wskoczyła na miejsce. Musi obmyślić każdy szczegół ruchu, dokładnie się przymierzyć i w ostatniej chwili się nie zawahać. Jak walczący z kręgosłupem kręgarz, który wymierza nagły cios i nasłuchuje chrupnięcia.

Przećwiczył potrzebny ruch. Musiał trafić bokiem dłoni, dolną częścią nasady kciuka, nisko w punkt zetknięcia policzka z nosem, jakby zadawał cios karate. Cios lekko tylko muskający twarz i skierowany w górę, w bok i na zewnątrz. Musi przepchnąć wierzchołek góry z powrotem na miejsce. Na pewno zaskoczy. Gdy tylko to się stanie, skóra i chrząstki utrzymają go we właściwym położeniu.

Otworzył oczy. Nie był w stanie uzyskać właściwego kąta. Nie przy twarzy ułożonej na podłodze. Przeszkadzał mu łokieć. Wpierając dłonie i pięty w gładź podłogi, przeciągnął się po niej metr, trzy metry i oparł plecami o ścianę. Na wpół się położył z odchyloną głową, zostawiając sobie miejsce na łokcie pod wygiętymi w łuk plecami. Wparł się w betonową powierzchnię ramionami i biodrami, starając się unieruchomić całe ciało i nie upaść ze zbyt wysoka, a może nawet wcale.

Próba generalna.

Dotknął nasadą dłoni punktu uderzenia i pozwolił jej wyczuć, co ma do zrobienia.

Przećwiczył cały ruch. Wierzchem dłoni muśnie brew, która spełni rolę przewodnicy.

Na trzy, pomyślał.

Raz.

Dwa.

Chrupnięcie.

Ciemność.

Człowiek Mahmeiniego zaczynał się bać. Kręcił się po okolicy przez dwadzieścia minut w zupełnej pustce, a potem nagle natknął się na dom z białą, dumnie podświetloną skrzynką na listy z napisem „Duncan”. Dom był elegancki i widać było, że jego adaptacja musiała pochłonąć kupę forsy. Pewnie ich główna siedziba, pomyślał, ale okazało się, że nie. Znajdująca się w środku kobieta stwierdziła, że o niczym nie wie. Była dość młoda i miała ślady niedawnego pobicia. Oświadczyła, że Duncanów jest czterech: trzech braci i syn jednego z nich, którego ona jest żoną. Wszyscy są czymś zajęci i w domu nie ma nikogo poza nią. Dała mu też wskazówki, jak dojechać do trzech stojących razem domów, które człowiek Mahmeiniego zauważył już wcześniej, ale uznał za nieistotne. Wszystkie trzy wyglądały na dość zaniedbane, były otoczone starym ogrodzeniem na stalowych słupkach i nie sprawiały wrażenia domów należących do kogoś ważnego.

Mimo to zawrócił i jadąc szybko, omal nie przejechał jakiegoś idioty, który niespodziewanie wychynął z ciemności. Wyjechał na szosę i w oddali dojrzał słup ognia palącej się benzyny. Zignorował stojące w bok od szosy trzy domy i pognął na północ w stronę pożaru. Okazało się, że na parkingu motelu pali się samochód, a raczej to, co z niego zostało. Teraz była to już tylko żarząca się skorupa w morzu płomieni. Sądząc po kształcie, był to ford, którym jeździli ludzie Safira i którzy wciąż w nim tkwili. A raczej ich żalosne pokurczone szczątki, które jeszcze się paliły i roztopiały w żarze. Ich pozrywane więzadła odstawały, wykrzywione przez ogień dłonie sterczały niczym szpony, szalejące wewnątrz podmuchy rozpalonego powietrza powodowały, że ich korpusy jakby tańczyły w fotelach.

Oczywiście zabili ich ludzie Rossiego. A to musiało oznaczać, że to oni kilka godzin temu zabili Ashgara. Rossi zapewne realizuje swój plan. Dzięki dobrym układom z Duncanami trzymał w rękę początek łańcucha, a eliminując z niego Safira i Mahmeiniego i dostarczając bezpośrednio Saudyjczykom, mógł uchwycić także jego koniec. Całkiem rozsądne posunięcie, świadczące o biznesowych umiejętnościach Rossiego. Jego ludzie wszystkich zaskoczyli. Przejęli inicjatywę. Przeprowadzili prawdziwy zamach stanu. Można ich było podziwiać za wyczucie czasu. A także za umiejętności. Zasadzili się na Ashgara, załatwili go i pozbyli się ich samochodu – a wszystko w ciągu zaledwie pół godziny. To świadczyło o ich sprawności. Ashgar był twardy i z natury nieufny. Zawsze czujny, nie stanowił łatwego celu. Dobry partner i fajny kumpel, którego będzie musiał pomścić. Człowiek Mahmeiniego wyczuwał niemal jego fizyczną obecność, jakby był gdzieś blisko. Wszystko to spowodowało, że poczuł się samotny i porzucony na terytorium wroga. Były to odczucia z gruntu mu obce i to go dodatkowo wystraszyło. Postanowił dokonać korekty dotychczasowych planów. Pojawiły się nowe priorytety. Obcy może poczekać, jego głównym celem stali się teraz ludzie Rossiego.

Postanowił zacząć od razu od motelu. Wcześniej zauważył, że w środku ktoś się kręci i szpieguje ich przez okno. Mężczyzna z dziwną fryzurą. Ktoś miejscowy. Pewnie właściciel motelu. Przynajmniej dowie się, w którą stronę odjechali ludzie Rossiego.

• • •

Roberto Cassano zatrzymał się sześć kilometrów na północ od motelu, zgasił światła, zostawił silnik na chodzie i przeprowadził rozmowę telefoniczną z Rossim. Dochodziła wprawdzie druga w nocy, ale miał ważne sprawy do omówienia.

- Pan i Seth Duncan wspólnie to uzgodniliście, tak? – upewnił się.
- Kiedy dawno temu wchodziłem w ten biznes, on był moim pierwszym dostawcą. Dopiero potem włączyła się cała rodzina. Zdaje się, że u nich nic się nie dzieje bez jednomyślnej decyzji.
- I według pana to jest wciąż pański biznes, tak?
- Co masz na myśli?
- Pański, a nie czyjś inny?

– Jasne, że to wciąż mój biznes – obruszył się Rossi. – Bez dwóch zdań. To od zawsze był mój biznes i zawsze będzie. Co ci przychodzi do głowy, żeby pytać? Co się tam, u diabła, dzieje?

– Seth Duncan pożyczył swój samochód człowiekowi Mahmeiniego, oto co się dzieje.

W słuchawce zapadła cisza.

– Kiedy przyjechaliliśmy wczoraj po południu do Marriotta, na parkingu stał cadillac. Za stary, jak na wóz z wypożyczalni. A potem zobaczyliśmy w nim człowieka Mahmeiniego. Początkowo myśleliśmy, że go ukraść, ale nie. Miejscowi mówią, że to prywatna bryka Setha Duncana. A więc Duncan musiał go sam udostępnić. Pojechać nim do Marriotta i zostawić na parkingu do dyspozycji tamtego. I wydaje się, że poza pierwszym spotkaniem ten gość działa w pojedynkę. Początkowo myśleliśmy, że jego partnera załatwili chłopcy od Safira albo że sam się zmył, ale teraz sądzimy, że zabrał ich samochód z wypożyczalni i nie czekając na resztę, od razu tu przyjechał. Podejrzewamy, że siedzi teraz u Duncanów. Może nawet obaj tam siedzą jak najlepsi kumple. Zostaliśmy koncertowo wyrolowani, szefie. Chcą się nas pozbyć z układu.

– To niemożliwe.

– Szefie, pański dostawca pożyczył samochód konkurentowi. Zaprzyjaźnili się i poszli do łóżka. No bo jak to inaczej zrozumieć?

– Nie uda mi się dotrzeć do finalnego odbiorcy.

– Będzie pan musiał się postarać.

W słuchawce znów zapadło milczenie.

– No dobra – mruknął w końcu Rossi. – Pewnie nie ma rzeczy niemożliwych. Ruszajcie i rozprawcie się z ludźmi Mahmeiniego. Od tego zaczniacie. Pozbądźcie się ich tak, jakby nigdy nie chodzili po ziemi. A potem pokażcie Sethowi Duncanowi, jak bardzo się pomylił w ocenie. Znajdźcie jakiś sposób, żeby to do niego dotarło. Może na przykład przez jego żonę. Następnie zajmijcie się trzema starymi. Wytlumaczcie im, że jeśli jeszcze raz wykręcą nam taki numer, to przejmujemy całość ich biznesu, począwszy od Vancouver. Chcę, żeby za godzinę od teraz wszyscy trzej szczali po nogach ze strachu.

– A co z Reacherem?

– Znajdźcie go, urznijcie mu łeb i włóżcie do pudła. Pokażcie Duncanom, że możemy robić wszystko, co nam się spodoba. Dajcie im jasno do zrozumienia, że możemy osiągnąć każdego, wszędzie i zawsze. Niech wiedzą, że mogą być następni.

•••

Reacher ocknął się po raz drugi, tym razem wiedząc od razu, że jest druga w nocy. Zegar w jego głowie znów zaczął chodzić. Był też pewny, że znajduje się w piwnicy pod domem. Nie w żadnym niedokończonym basenie ani nie w podziemnym bunkrze. Betonowa konstrukcja była gładka i mocna, bo Nebraska należy do stanów nawiedzanych przez tornada i lokalne przepisy czy normy budowlane albo wymogi firm ubezpieczeniowych, a może po prostu uczciwość i zdrowy rozsądek architekta wymogły na właścicielu zbudowanie odpowiednio solidnego schronu. A to niemal na pewno wskazywało na piwnicę pod domem lekarza. Po części dlatego, że mieli za mało czasu na przewiezienie go w jakieś inne miejsce, po części dlatego, że dom lekarza był jedynym zbudowanym na tyle niedawno, by był dziełem architekta wzniesionym zgodnie z miejscowymi przepisami i normami budowlanymi. Kiedyś ludzie po prostu zakasywali rękawy i budowali sami swoje domy, trzymając kciuki za to, żeby wszystko było dobrze.

To dlatego rury w pomieszczeniu miały różne przekroje, bo rozprowadzano nimi wodę pitną, ścieki i wodę centralnego ogrzewania. Zielone metalowe skrzynie z powierzchniowym nalołem mieściły piec CO i podgrzewacz wody. Kable doprowadzono do tablicy, na której zapewne umieszczono bezpieczniki poszczególnych obwodów. Drzwi u szczytu schodów otwierały się na zewnątrz na przedpokój, nie do wewnątrz. Nikt rozsądny nie montuje drzwi otwierających się na biegnące w dół schody. Nieostrożni mieszkańcy mogliby się po nich turlać jak aktorzy w slapstickowej komedii. A poza tym tornada potrafią wiać z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę i wtedy lepiej, żeby siła wiatru dodatkowo dociskała drzwi schronu, a nie otwierała je na oścież.

Reacher usiadł. Najwyraźniej zemdłał, wciśnięty ze skuloną głową w kąt między ścianą a podłogą. Szyja trochę go bolała, co zresztą uznał za dobry znak. To znaczyło, że ból nosa przeszedł w ból émiący w tle. Uniósł rękę i sprawdził. Nos wciąż był strasznie obolały, miał otwarte krwawiące rany i był opuchnięty, ale kość nosowa tkwiła na właściwym miejscu. Z grubsza. Prawie. Mniej więcej. Pewnie nie wyglądał zbyt ładnie, ale jego nos od urodzenia nie należał do szczególnie kształtnych. Splunął na dłoń i spróbował zetrzeć zaschniętą krew z warg i brody.

Potem wstał. W schronie niczego nie trzymano. Nie było w nim półek z rupieciami, stert zakurzonych kartonów, stołu warsztatowego, tablic z uchwytami na narzędzia. Reacher pomyślał, że to wszystko jest pewnie w garażu. Bo gdzieś musiano to trzymać. W każdym domu można znaleźć takie rzeczy. Ale nie tu. Tu był tylko czysty, pusty schron na wypadek tornada, i nic poza tym. Nie było w nim nawet czegoś, na czym można by usiąść i zabić nudę. Starej wytartej kanapy ani płaskiego telewizora najnowszej generacji, starej lodówki ani stołu bilardowego, nawet barku z butelkami burbona. Nie było nic poza podstawowymi fragmentami domowej instalacji. Piec buzował i robił to dość hałaśliwie. Na tyle głośno, by zagłuszać wszelkie inne odgłosy. Reacher wspiął się na schody i przyłożył ucho do drzwi. Ludzkie głosy, ciche i niezbyt wyraźne, najpierw jeden, potem drugi, odzywające się jakby w regularnym rytmie. Chyba pytanie i odpowiedź. Chyba kobieta i mężczyzna. Pewnie Seth Duncan w roli pytającego i Dorothy Coe albo żona lekarza w roli odpowiadającej. Krótkie jedno – i dwusylabowe odpowiedzi, najczęściej przeczące i jakby beznamienne. Wolne też od oznak bólu i przerażenia. Po prostu zrezygnowane. Dorothy Coe lub żona lekarza często powtarzała „nie” głosem spokojnym i pewnym, jakby na każde kolejne pytanie miała tylko tę jedną odpowiedź. I którakolwiek z nich to była, nie była sama. Reacher wyraźnie wyczuwał cichy szmer przysłuchujących się rozmowie ludzi. Słyszał ich oddechy, poprawianie się na krzesłach, szuranie stopami. Pewnie lekarz i dwaj futboliści.

Reacher położył dłoń na klamce i ostrożnie nacisnął. Dała się nacisnąć, ale drzwi nie ustąpiły. Jak można było oczekiwać, zamknięto je na klucz. Drzwi były masywne i szczelnie spasowane z grubą framugą wmurowaną w solidny mur. Też z powodu tornad, miejscowych przepisów, norm, wymogów i solidności architekta. Puścił klamkę i wrócił na dół. Był ciekaw, czy przepisy, normy, wymogi i solidność nie nakazują umieszczania w schronie wyjścia awaryjnego. Może na przykład w postaci klapy w podłodze głównej sypialni? Pomyślał, że takie dodatkowe wejście miałyby sens. Huragany gnają bardzo szybko i śpiący domownicy mogą nie mieć dość czasu, by dobiec do schodów. Obszedł pomieszczenie z głową zadartą do góry, wpatrując się w sufit, co wywołało ostry protest jego obolałej szyi, nie znalazł jednak żadnej klapy. Nie było ani drugiego wejścia, ani wyjścia. Gładkie, nieprzecięte nigdzie deski podłogowe, ułożone ciasno na masywnych belkach z wielowarstwowej sklejki.

Zatrzymał się na środku pomieszczenia. Miał kilka możliwości, żadna jednak nie gwarantowała powodzenia, a o niektórych nie warto było nawet myśleć. Mógł zakręcić gorącą wodę, ale na efekt takiej prowokacji trzeba by długo czekać. Zapewne nikt nie zamierzał brać prysznicza w ciągu najbliższych kilku godzin. Mógłby też wyłączyć ogrzewanie, co o tej porze roku byłoby bardziej odczuwalne, ale reakcja i tak mogłaby być spóźniona, a zmarzliby nie tylko napastnicy, ale także niewinne ofiary. Mógłby wyłączyć wszystkie światła bezpiecznikami na tablicy rozdzielczej, ale napastnicy na górze mieli co najmniej jedną strzelbę i zapewne kilka latarek. Był po niewłaściwej stronie zamkniętych drzwi, nieuzbrojony i zmuszony do atakowania od dołu ku górze.

Niedobrze.

Bardzo niedobrze.



Seth Duncan przyłożył do dłoni torebkę mrożonego groszku z zamrażalnika i ułożył ją płasko na stole w jadalni. Lodowate zimno nieco uśmierzało ból, ale nie za bardzo. Potrzebował kolejnego zastrzyku świńskiego środka znieczulającego stryja Jaspersa i miał nadzieję wkrótce go sobie zaaplikować, ale chciał najpierw zrealizować wcześniejszy plan, który jak dotąd nieźle się sprawdzał. Właściwie tak dobrze, że pozwolił sobie wybiec myślami w przyszłość, do finału swych poczynań. Jego wieloletnie doświadczenia z życia w tych stronach nauczyły go, że rzeczywistość jest taka, jaką widzą ją ludzie. Jeśli nikt o czymś nie mówi, to znaczy, że to coś się nie wydarzyło. Jeśli nikt o kimś nie wspomina, to znaczy, że ten ktoś nigdy nie istniał.

Duncan siedział po jednej stronie stołu, mając za plecami ciemny prostokąt okna, po drugiej na krzesłach usiedli lekarz, jego żona i Dorothy Coe, jednakowo skupieni i milczący. Kolejno przepytывał każde z nich, zadając serię pytań, słuchając odpowiedzi, oceniając ich szczerść i kładąc podwaliny pod wersję, jaka będzie obowiązywać w przyszłości. Skończył przepytывanie lekarza i jego żony i zabierał się do Dorothy Coe. W drzwiach jadalni sterczała groźna sylwetka jednego z futbolistów ze starym remingtonem w rękach, drugi z chłopaków pilnował przedpokoju i stał oparty plecami o drzwi do piwnicy. Pozostali trzej kręcili się samochodami po okolicy, udając, że szukają Reachera. Należało zachować pozory z uwagi na ludzi Rossiego. Zgodnie z planem Reacher miał być złapany dopiero następnego dnia. Prawda jest taka, jak ją widzą ludzie.

– Widziała pani faceta nazwiskiem Reacher? – zaczął Duncan.

Dorothy Coe nie odpowiedziała. Spojrzała tylko w lewo w stronę przedpokoju. Uparte babsko, które chce się trzymać dziwnego pojęcia obiektywizmu, pomyślał Seth.

– Te drzwi do piwnicy są bardzo solidne – powiedział. – Wiem, bo kazałem takie same założyć u siebie podczas remontu. Mają stalowy rdzeń, który wchodzi w stalową framugę. Mają też potężne zawiasy i antywłamaniowy zamek. Mogą wytrzymać huragan piątej klasy i uderzenia pięćsetkilometrowego tornado. Mają certyfikat FEMA. Więc gdyby... czysto hipotetycznie... w piwnicy ktoś był, to może pani być pewna, że tam zostanie. Taki ktoś nie miałby cienia szansy na ucieczkę. Taki ktoś mógłby równie dobrze nie istnieć.

– Jeśli te drzwi są takie pewne, to po co trzymasz pod nimi straż? – burknęła Dorothy.

– Chłopak musi gdzieś stać. – Duncan się uśmiechnął. – Wolałaby pani, żeby się przeniósł do sypialni? Może mógłby się tam zabawić z pani przyjaciółką, a pani w tym czasie będzie grzecznie odpowiadała na pytania.

Dorothy Coe odwróciła wzrok i spojrzała na żonę lekarza.

– Czy widziała pani kiedyś faceta nazwiskiem Reacher? – powtórzył Duncan.

Dorothy Coe nie odpowiedziała.

– Kalendarz jest nieubłagany – powiedział Duncan. – Ani się pani obejrzy, a nastanie wiosna i zabierze się pani do orki i siewu. Przy odrobinie szczęścia deszcze dopiszą i żniwa będą dobre. Tylko co dalej? Chce pani, żeby ktoś zwiózł plony? Czy woli pani wetknąć sobie lufę w usta jak pani nieudaczny mąż?

Dorothy Coe nie odpowiedziała.

– Czy widziała pani kiedyś faceta nazwiskiem Reacher?

– Nie – odrzekła Dorothy Coe.

– Czy słyszała pani kiedyś o facecie nazwiskiem Reacher?

– Nie.

– Czy ktoś taki był kiedyś u pani w domu?

– Nie.

– Czy poczęstowała go pani kiedyś śniadaniem?

– Nie.

– Czy był w tym domu, kiedy przyjechała tu pani wieczorem?

– Nie.

Klamka na drzwiach do piwnicy – osiem centymetrów od biodra futbolisty stojącego pod drzwiami – bezszelestnie opadła o ćwierć obrotu, na sekundę znieruchomiała i wróciła do poprzedniego stanu.

Nikt tego nie zauważył.

Siedzący w jadalni Duncan zapytał:

– Czy w ciągu tej zimy odwiedzili panią jacyś obcy?

– Nie – odpowiedziała Dorothy.

– Ktokolwiek?

– Nie.

– Słyszała pani o jakichś zajściach na tym terenie?

– Nie.

– Czy coś się zmieniło?

– Nie.

– A pani chce coś zmienić?

– Nie.

– To dobrze. Bo mnie się podoba to status quo, bardzo mi się podoba. Cieszę się, że pani też. Bo wszyscy na tym skorzystamy. Nie ma powodu, żebyśmy nie mogli żyć z sobą w przyjaźni. – Wstał, zostawiając po sobie torebkę groszku i odrobinę skroplin na blacie stołu. – Wy troje zostajecie tu – rzucił. – Moi chłopcy się wami zajmą. Nie próbujecie wychodzić z domu i nie próbujecie korzystać z telefonu. Jeśli zadzwoni, nie odbierajcie. Dziś w nocy drzewo telefoniczne dla was nie działa. Spadliście z gałęzi. Kary za nieposłuszeństwo będą surowe i natychmiastowe.

Posługując się tylko lewą ręką, Duncan z trudem włożył kurtkę, minął futbolistę z remingtonem i ruszył do wyjścia. Wszyscy usłyszeli szcęk otwieranych i zamykanych drzwi i chwilę potem odjeżdżającą mazdę, której buczenie z rury wydechowej rozdarło na moment nocną ciszę.

• • •

Człowiek Mahmeiniego przejechał szosą na południe osiem gładkich kilometrów, po czym zgasił światła i zwolnił do szybkości piechura. Potężny silnik cicho szumiał, miękkie opony szmerły na asfalcie. Po chwili dojrzał skupisko trzech starych domów po prawej. W jednym z okien na parterze paliło się światło, ale poza tym domy wyglądały na wymarłe. Na podjeździe widać było trzy mocno wiekowe półciężarówki używane do pracy. I ani śladu granatowego chevroleta. Ale człowiek Mahmeiniego czuł, że chevrolet się tu zjawi. Był tego pewny. Rossi część uwagi poświęca próbie wyrolowania Safira i Mahmeiniego, ale na pewno zabezpiecza też tyły. Musi dbać o stosunki z Duncanami, zatem jego ludzie często do nich zaglądną, żeby ich uspokoić, udobruchać i zapewnić o swojej lojalności, ale przede wszystkim dopilnować, żeby nikt inny się do nich nie zbliżał. Tak postąpiłby każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie.

Człowiek Mahmeiniego minął wjazd na posesję Duncanów, zawrócił i zaparkował sto metrów dalej na południe po drugiej stronie szosy, stając dwoma kołami na asfalcie, dwoma na poboczu. Wielki czarny samochód ze zgaszonymi światłami w sposób naturalny wtopił się w ciemność, stając się tak niewidoczny, jakby okryto go siatką kamuflażową. Pewnie niektóre chromowane elementy mogły matowo połyskiwać w świetle księżyca, ale powietrze było lekko zamglone, a poza tym chłopcy Rossiego przed skrętem na posesję Duncanów będą obserwowali podjazd, a nie szosę za skrętem. Tak się zachowuje każdy kierowca. To tkwi w ludzkiej naturze. Prowadzenie samochodu jest czynnością na tyle umysłową, na ile fizyczną. Głowy się obracają, oczy penetrują, ręce się podporządkowują.

Człowiek Mahmeiniego czekał. Siedział z twarzą zwróconą na północ, spodziewając się, że chłopcy Rossiego właśnie stamtąd nadjadą. Jednak musiał się też liczyć z tym, że mogą przyjechać z południa, i dlatego ustawił lusterka tak, by mieć przegląd sytuacji także z tyłu. Zamglenie, dzięki któremu był mało widoczny, jemu też trochę przeszkadzało, powodując, że tylna szyba lekko zaparowała. Nic poważnego, ale nadjeżdżający z tyłu samochód bez świateł mógłby być trudny do

zauważenia. Tylko dlaczego chłopcy Rossiego mieliby jeździć bez świateł? Uważają się za panów sytuacji i zapewne są bardzo pewni siebie.

Osiem kilometrów dalej na północ wciąż świeciła luna od palącej się benzyny, lecz ogień wyraźnie przygasał. Nic nie pali się wiecznie. Księżyc przesłaniały czarne smugi dymu, ale poza tym w nocnym pejzażu nic się nie działo. Wszędzie panował spokój i cisza, pewnie jak przez ostatnie sto lat, a może i dłużej. Człowiek Mahmeiniego wbijał wzrok w niknącą w ciemnościach drogę, ale niczego nie mógł wypatrzeć.

Mógł tylko czekać.

A potem nagle coś dojrzał.

Daleko przed nim i nieco w lewo pojawiła się niebieskawa poświata. Plama światła, szybko przemieszczająca się z zachodu na wschód. Samochód jadący pod kątem prostym do szosy, który za chwilę do niej dotrze i zapewne w nią skręci. W lewo, na północ, albo w prawo, w jego stronę. Wyjął z kieszeni pistolet i położył na fotelu obok. Bańka światła zwolniła, na moment znieruchomiła, po czym zamieniła się w wyraźny błysk reflektorów. Samochód skręcił w prawo i jechał wprost na niego. Po światłach od razu poznał, że to nie chevrolet. Były za małe, za nisko umieszczone i zbyt żwawo podrygiwały. Światła porsche i ferrari jeżdżących po nocnym Las Vegas też tak wyglądały. Reflektory znajdowały się nisko nad ziemią, a snopy światła drgały i podskakiwały na twardym zawieszaniu. W porównaniu z nimi wielkie amerykańskie sedany poruszały się jak w letargu. Jak nieruchawe bryły, wolno kołyszące się na boki, w górę i w dół.

Wkrótce plama światła rozdzieliła się na dwa podrygujące punkty, które szybko przybrały kształt owalnych reflektorów umieszczonych blisko siebie i nisko nad jezdnią. Człowiek Mahmeiniego przyglądał się, jak dwieście metrów przed nim samochód zwalnia, by po następnych stu metrach skręcić pod kątem prostym we wjazd na posesję. Ta sama mała czerwona mazda miała, którą widział przed domem młodego Duncana. Samochód synowej starego. Widać przyjechała w odwiedziny. Z uwagi na późną porę pewnie nie w celach towarzyskich. Pewnie wcześniej zadzwoniła i uprzedziła o swojej wizycie. Powiadomiła teścia o odwiedzinach dziwnego Irańczyka, a teść kazał jej na wszelki wypadek przyjechać. Pewnie Duncanowie wiedzą, że przed świtem mogą się dziać różne dziwne rzeczy, i nie chcieli, by ktoś z ich bliskich wpadł w tarapaty.

Człowiek Mahmeiniego patrzył, jak mazda podskakuje na wybojach i parkuje obok starych półciężarówek. Jej światła zgasły, chwilę później zapalił się reflektor nad wejściem do domu, drzwi się otworzyły i ciemna postać weszła do środka. Zaraz potem lampa zgasła i wszystko znów pogrążyło się w ciemnościach.

Człowiek Mahmeiniego przeniósł wzrok na szosę i wrócił do czekania. Nocna mgła coraz bardziej gęstniała i zaczynała stanowić problem. Przednia szyba cadillaca zaparowała i całkiem zmatowiała. Pogmerał przy kierownicy, odnalazł dźwignię i włączył wycieraczki: w prawo, w lewo, w prawo, w lewo. Szyba została oczyszczona. Tylko że w porównaniu z nią tylna szyba zrobiła się jeszcze bardziej nieprzejrzysta. Była cała zaparowana. Teraz już nawet samochód jadący na światłach mógłby być trudny do rozpoznania. Blask jego reflektorów uległby rozproszeniu na milion punkcików świetlnych i zamienił się w rażącą wzrok plamę światła. Gorzej, niżby wcale jej nie było.

Nie odrywając wzroku od drogi, człowiek Mahmeiniego zaczął na oślep szukać przycisku ogrzewania tylnej szyby. Nie było to łatwe. Przy zgaszonych światłach pozycyjnych oświetlenie wnętrza samochodu też nie działało i na konsoli nic się nie świeciło. A przycisków i pokręteł było mnóstwo. W końcu był to luksusowy i w pełni wyposażony model. Zerknął w dół i dojrzał przycisk z zygzakowatym symbolem ogrzewania i czerwonym plastikowym oczkiem, kryjącym zapewne kontrolkę sygnalizacji włączenia. Nacisnął i odczekał, ale na tylnej szybie nic się nie zmieniło, za to poczuł ciepło rozchodzące się pod siedzeniem. Trafił na włącznik podgrzewania foteli, nie tylnej szyby. Wyłączył go i zezując jednym okiem na konsolę, a drugim na szosę, wymacał kolejny przycisk. Nacisnął go i z kilku głośników ryknęła muzyka. Pospiesznie go wyłączył i spróbował z kolejnym przyciskiem, tuż obok tamtego. Pod palcem przycisk zachęcająco pstryknął.

Zamek klapy bagażnika odskoczył i klapa majestatycznie uniosła się do pionu, z godnością pokonując opór hydraulicznych amortyzatorów i całkowicie zasłaniając widok do tyłu.

Niedobrze.

W dodatku bagażnik zapewne ma oświetlenie, które choć w rzeczywistości żółtawe i niezbyt intensywne, w nocnych ciemnościach musi przyciągać wzrok niczym tysiącwatowy reflektor.

Fatalnie.

Odruchowo nacisnął przycisk, po czym zdał sobie sprawę, że zrobił to podświadomie w nadziei, iż kłapa posłusznie opadnie. Że będzie tak jak wcześniej z ogrzewaniem fotela i radiem, które pozwoliły się w ten sposób wyłączyć. Ale oczywiście z pokrywą bagażnika było inaczej. Naciśnięcie przycisku spowodowało tylko ponowne zadziałanie mechanizmu zwalniającego blokadę, czemu towarzyszyło pstryknięcie i ciche bzyczenie. Kłapa bagażnika nawet nie drgnęła, pozostając w pozycji otwartej.

Pionowo w górę.

Całkowicie zasłaniając widok do tyłu.

Człowiek Mahmeiniego uświadomił sobie, że będzie musiał wysiąść i ją zamknąć.

Roberto Cassano i Angelo Mancini spędzili w tym rejonie trzy pełne dni i znajomość miejsca dawała im, ich zdaniem, ogromną przewagę nad ludźmi Mahmeiniego. Po prostu wiedzieli, jak tu wszystko wygląda. Choćby to, że cały teren jest płaski jak stół i pozbawiony jakichkolwiek punktów orientacyjnych. Jak olbrzymi stół bilardowy pokryty brązowym filcem. Ogromne, ciągnące się w nieskończoność pola bez rowów i żywopłotów, grunt twardy jak kamień. I dlatego – choć ich samochód był zwykłym sedanem do jazdy po mieście – mogli bez większych problemów jeździć po polach. Czuli się trochę tak, jakby wypływali małą łódeczką na otwarte wody, wiedząc z góry, że morze będzie spokojne. Mieli też okazję obejrzeć z bliska posesję Duncanów i poznać ją od środka, co pozwalało im spokojnie objechać ją od tyłu przy zgaszonych światłach. Wiedzieli, że w ciemnościach ich granatowy samochód będzie zupełnie niewidoczny i że będą mogli bez trudu pokonać główniane ogrodzenie i przedostać się do środka. Element zaskoczenia jest najważniejszy. Może nawet czyjeś oczy strzegą podjazdu od frontu, ale od tyłu na pewno nikt nie pilnuje. Duncanowie i ludzie Mahmeiniego siedzą pewnie w kuchni któregoś z domów i żłopiają taniego burbona, wznosząc toasty za pomyślność uzgodnionego na nowo układu biznesowego.

Dwie kule z pistoletu przerwą tę sielankę.

Jadąc szosą z północy, Cassano zgasił światła już na wysokości motelu. Ford wciąż jeszcze płonął, ale ogień dogasał. Z palących się resztek opon wydobywały się kłęby czarnego tłustego dymu, w miejscach rozlanego oleju płonęły chybotliwe ogniki. Chłopcy Safira zamienili się w czarne pokręcone straszdyła, skurczone i wtopione w zygzakowate sprężyny, pozostałość po fotelach. Obaj mieli szeroko otwarte usta, jakby próbowali rozpaczliwie krzyczeć, głowy były tyse, ręce powykrzywiane jak szpony. Mancini uśmiechnął się na ich widok, Cassano bez słowa minął motel i pojechał dalej, wpatrując się w drogę widoczną w blasku księżyca.

Sześć kilometrów na południe od motelu i dwa na północ od posiadłości Duncanów Cassano jeszcze bardziej zwolnił, skręcił na pobocze i wjechał na puste pole. Samochód zaczął się trząść i podskakiwać, bo choć w sensie geologicznym teren był równiną, opony musiały walczyć z mnóstwem twardych grud i małych nierówności. Resory pojękiwały i sprężynowały, kierownica wyrwała się z rąk, ale parli uparcie do przodu. Cassano zmniejszył szybkość do trzydziestu na godzinę i pojechał szerokim łukiem, mającym go doprowadzić na odległość około kilometra za otaczającym domy ogrodzeniem. Oceniał, że zajmie mu to tylko parę minut. W pewnym miejscu musiał gwałtownie przyhamować i objechać dużą kępę krzaków. Tuż za nią natknęli się na wypalony wrak SUV-a, który nagle wychynał na nich z ciemności, poczerniały i przysypany popiołem. Dzieło Reachera z wczoraj. Kawalek dalej teren jakby się wyrównał i już bez żadnych przeszkód dotarli do celu. W oddali widać było błądy prostokąt żółtawego światła, które wabiło niczym latarnia morska wskazująca położenie portu. Oświetlone okno kuchenne, synonim ciepła i spokoju. Świeciło się w domu najdalej wysuniętym na południe. W domu Jacoba Duncana, głównego machera.

• • •

Człowiek Mahmeiniego wysiadł z cadillaca i na moment znieruchomiał w zimnym nocnym powietrzu. Spojrzał kolejno na wschód i na zachód, na południe i na północ, ale wszędzie panował martwy bezruch. Zatrzasnął drzwi, by zgasić lampkę oświetlającą wnętrze kabiny, i zrobił krok w stronę bagażnika. Nie mylił się. Bagażnik był oświetlony, jarząc się żółtawo w otaczającej mgle. Od przodu było to praktycznie niewidoczne, ale na pewno nie od tyłu. Oko ludzkie to bardzo czuły narząd.

Zrobił następny krok, minął tylne drzwi i uniół rękę z płasko wyciągniętą dłonią, by wykonać dobrze opanowaną czynność. Wykonywał ją tysiące razy przy różnych okazjach: dłoń płasko na pokrywie jakies trzydzieści centymetrów od krawędzi, tak by siła pchnięcia rozłożyła się

równo na oba zawiasy, kłapa opadła równo, precyzyjnie dobrane sprężyny rozciągnęły się równomiernie, a pokrywa bagażnika łatwo i gładko osiągnęła punkt, w którym mechanizm zamka przechwyci ją i zablokuje.

Z tego wszystkiego udało mu się tylko ułożyć dłoń na pokrywie.

Trochę się przy tym przechylił, ale nie po to, by odegrać się na klapie i zatrzasnąć ją z hukiem, okazując irytację. Chciał się tylko lekko na niej oprzeć, ale ta zmiana położenia ciała spowodowała wysunięcie ramion do przodu, to zaś nieco pociągnęło głowę i zmieniło linię wzroku. W tej sytuacji musiał gdzieś spojrzeć, mając do wyboru oświetlone wnętrze dotąd zamkniętego bagażnika i zupełnie pustą, czarną wstęgę szosy. No cóż, w tej sytuacji każde ludzkie oko wybrałoby tę pierwszą ewentualność.

Zrobił to i spojrzął prosto w szeroko otwarte, martwe oczy Ashgara Arada Sepehra.

Jego oliwkowa skóra była trupio blada i żółtawa w świetle bagażnika. Liczne wstrząsy, ostre hamowania i gwałtowne przyspieszenia spowodowały, że ciało zostało wciśnięte w kąt głębokiego bagażnika. Kończyny były bezwładnie rozrzucone, szyja wygięta i Ashgar wyglądał tak, jakby się czemuś dziwił.

Człowiek Mahmeiniego skamieniał. Jego dłoń pozostała na zimnym metalu, usta rozwarły się szeroko. Prawie przestał oddychać, serce prawie przestało bić. A potem zaczął dygotać.

Ashgar Arad Sepehr tylko mu się przyglądał.

Człowiek Mahmeiniego zdjął rękę z pokrywy bagażnika i zrobił kilka niepewnych kroków. Zatrzymał się i strumień spalin z rury wydechowej silnika pracującego na wolnych obrotach owionął jego kolana. Przyłożył rozczapierzone palce do czoła i popatrzył w dół, nic nie rozumiejąc. Ashgar był niewątpliwie martwy, ale nie widać było ani kropli krwi. Żadnej rany postrzałowej między oczami, żadnych oznak fizycznej przemocy. Czaszka nie była zgruchotana, nie widać było śladów duszenia na twarzy i szyi, ran od noża, śladów walki stoczonej w obronie własnej. Niczego poza ciałem kompana, wciśniętym jak szmata w kąt bagażnika.

Człowiek Mahmeiniego odszedł kawałek – trzy metry, sześć – potem zawrócił, uniósł głowę i ręce i cicho zawył do księżycy. Zamknął przy tym oczy i otworzył szeroko usta, wydobywając gardłowy charkot i przebierając nogami, jakby biegł w miejscu. Był sam jeden, rzucony na pastwę losu w ogromnej ciemnej pustce.

Po chwili się uspokoił, otarł rękami twarz i zaczął dumać, jednak szczegóły wymykały się jego wyobraźni. Jego kolegę zabito sto kilometrów na południe stąd. Zrobił to nie wiadomo kto i nie wiadomo jak, bo nie zostawił żadnych widocznych śladów. Potem wsadził go do bagażnika samochodu, który nie mógł mieć nic wspólnego ani z ludźmi Rossiego, ani Safira. Następnie zabrał ich wypożyczony samochód, zmuszając go do ukradzenia tego właśnie auta, jako że stanowiło jedyny rozsądny wybór spośród wszystkich pojazdów w miasteczku. Został brutalnie i bezlitośnie zmanipulowany przez kogoś dramatycznie przewyższającego go inteligencją. Potraktowany jak bezwolna marionetka.

Wszystko to nie mieściło mu się w głowie.

Ale fakty pozostawały faktami. Podeszedł do bagażnika i zmusił się do ponownego zajrzenia do środka. Przyciągnął bliżej ciało Ashgara i przystąpił do szczegółowych oględzin, niczym patolog pochylający się nad stołem w prosektorium. Lampka oświetlająca bagażnik świeciła jasno i wydzielala dużo ciepła, ale w niczym mu to nie pomogło. Ashgar nie miał połamanych kości ani śladów pobicia. Szyja nietknięta. Żadnych ran, skaleczeń, obtarć, zadrapań, pod paznokciami nie było obcej materii. Zabrano mu nóż, pistolet i portfel z pieniędzmi, co było ciekawe. Wokół ciała w bagażniku wałało się trochę rupieci, jakie zazwyczaj można znaleźć w bagażnikach samochodów, co z kolei było dziwne. Bo to znaczyło, że nie starano się niczego uprzątnąć, usunąć rzeczy mogących doprowadzić do sprawy. W środku leżała na przykład pusta torba na zakupy z kasowym paragonem sprzed tygodnia, a także lokalna gazeta sprzed miesiąca, nieprzeczytana i nadal równiutko złożona, a także kilka zwiniętych i pożółkłych listków i parę grudek ziemi, jakby w bagażniku przewożono jakieś rośliny. Najwyraźniej samochód należał do kogoś, kto używał go do zwykłych celów i kto nie przygotował bagażnika do ponurej roli, jaką teraz odgrywał.

Więc czyj to samochód? To pierwsze, podstawowe pytanie. Odpowiedź zawarta była

w tablicach rejestracyjnych, oczywiście pod warunkiem, że są prawdziwe. Ale skoro niczego nie ruszono, może uda się ją uzyskać łatwiej i szybciej. Człowiek Mahmeiniego podszedł do przednich drzwi od strony pasażera, otworzył je i zajrzał do schowka. W środku znajdowała się czarna skórzana okładka w formie książki, na której wytłoczono złote firmowe godło firmy Cadillac. Wewnątrz znajdowały się dwie instrukcje obsługi – cienka dotyczyła systemu audio, gruba samochodu. W wycięciu na wewnętrznej stronie okładki wsunięto wizytówkę z nazwiskiem sprzedawcy, wewnątrz tkwił dowód rejestracyjny i poświadczenie ubezpieczenia. Wyciągnął oba dokumenty, rzucił okładkę na podłogę i zbliżył je do lampki oświetlającej wnętrze schowka.

Samochód należał do Setha Duncana.

Co zresztą było logiczne na swój brutalny i spektakularny sposób. Bo od początku nic się tu nie zgadzało i wszystko stało na głowie. Nie było innego logicznego wytłumaczenia. Nie istniał żaden obcy, który rzekomo namieszał. Nikt go nie widział i nikt go nie potrafił opisać dlatego, że po prostu nie istniał. Został wymyślony. Był wytworem wyobraźni i stanowił przynętę. Służył jako podstęp. Cała gadanina o opóźnieniu dostawy została wysrana z palca. Wszystko od początku do końca zmyślono. Zrobiono to po to, by zwabić ich do Nebraska i wyeliminować, pozabijać. Duncanowie wycinali pośredników. Skracali łańcuch, eliminując ogniwa między sobą a Saudyjczykami, by dzięki temu osiągnąć znacznie większe zyski. Zuchwałe, ale zrozumiałe posunięcie. I najwyraźniej możliwe do przeprowadzenia, najwyraźniej mieszczące się w granicach ich możliwości, bo najwyraźniej ich możliwości zostały w sposób groteskowy przez wszystkich niedocenione. Wcale nie byli tępyimi wiejskimi burakami, za jakich wszyscy ich uważali. Byli wysokiej klasy zimnymi bezwzględnyimi strategami – sprytnymi, wyrafinowanymi, potrafiącymi przejrzeć innych i uprzedzić ich działania. Uznali Mahmeiniego za najgroźniejszego przeciwnika, co tylko świadczyło o ich realistycznej ocenie, i od samego początku poważnie utrudnili mu działanie, eliminując Ashgara. Zrobili to jeszcze przed pierwszym gongiem, atakując w podstępny i niezrozumiały sposób i porzucając zwłoki w bagażniku auta, o którym wiedzieli na pewno, że zostanie odnalezione i zidentyfikowane jako należące do nich.

A więc nie tylko napaść, ale także wiadomość, dostarczona dramatycznie i przebiegle. Wiadomość mówiąca: „Możemy zrobić wszystko, co nam się spodoba. Możemy osiągnąć i uśmiercić każdego, wszędzie i o każdej porze, a wy się nawet nie zorientujecie, że to nasze dzieło”. A na wypadek gdyby wyrafinowane metody nie zostały zrozumiane, na parkingu przed motelem spalili samochód chłopców Safira z nimi w środku, brutalnie demonstrując siłę i bezwzględność. To nie sprawa chłopców Rossiego. Chłopcy Rossiego przypuszczalnie też już nie żyją, ukatrupieni gdzie indziej i w inny sposób. Może wykrwawili się na śmierć, może ich poćwiartowano, może nawet ukrzyżowano. Albo wręcz pogrzebano żywcem. Jeden z nich wspominał nawet o tym, mówiąc o sprawieniu przyjemności Duncanom.

Człowiek Mahmeiniego poczuł się strasznie osamotniony. Nie tylko tak się czuł – był sam. Był ostatnim pozostałym przy życiu. Nie miał przyjaciół ani sprzymierzeńców i nie znał okolicy. I żadnego pomysłu, co robić. Mógł się tylko bronić, odgryzać i szukać zemsty.

Odeszła mu ochota na cokolwiek więcej.

Wlepił wzrok w stojące w oddali trzy domy Duncanów. Zamknął klapę nad miejscem spoczynku Ashgara i z szacunku dla nieboszczyka tylko docisnął pokrywą końcami palców, jakby odgrywał smętny akord na kościelnych organach. Potem przeszedł do drzwi pasażera, wsadził głowę do środka i zabrał z fotela glocka. Zatrzasnął drzwi, obszedł samochód od przodu, przeszedł na drugą stronę szosy i wkroczywszy na czyjś zimowy ugór, ruszył przed siebie, równoległe do ogrodzonego płotem podjazdu do stojących sto metrów dalej domów Duncanów. W prawej ręce trzymał pistolet, w lewej nóż.

• • •

Niecały kilometr za domami Duncanów Cassano zwolnił, skręcił kierownicę i pozwolił autu potoczyć się na luzie w stronę posesji. Sto metrów od płotu zatrzymał się i zaciągnął ręczny hamulec. Sięgnął ręką do lampki na suficie, przestawił przełącznik tak, by otwarcie drzwi jej nie zapaliło, i spojrzał na siedzącego obok Manciniego. Obaj przez chwilę milczeli, po czym jak na

dany znak skinęli głowami i wysiedli. Wyciągnęli colty i schowali ręce za plecami, by lśnienie broni w świetle księżyca nie było widoczne od przodu. Zostało im do przejścia sto metrów.



Lekarz, jego żona i Dorothy Coe wciąż siedzieli w jadalni, choć w międzyczasie futbolista ze strzelbą opuścił stanowisko, przeszedł do salonu i wyciągnąwszy się na sofie, zaczął oglądać na wielkim płaskim telewizorze skrót fragmentów meczów NFL. Jego partner też odszedł od drzwi do piwnicy i oparłszy się plecami o ścianę w przedpokoju, popatrywał na ekran z daleka i trochę pod kątem. Obaj obserwowali akcję na boisku, z głośników wydobywał się ściszony, ale wyraźnie słyszalny pomruk publiczności. Światła w salonie były zgaszone, kolorowe refleksy z ekranu tańczyły po ścianach, za oknem trwała cicha spokojna noc. Telefon zadzwonił trzykrotnie, ale nikt go nie odebrał. Poza tym w domu panował spokój i równie dobrze mógł to być obrazek z cichego rodzinnego wieczoru podczas świąt Bożego Narodzenia czy Święta Dziękczynienia.

A potem nagle wszystko zgasło.

Obraz na ekranie zniknął, szum w głośnikach ustał, ucichł delikatny szmer systemu grzewczego. Zapadła głucha cisza i ciemność, zrobiło się jakby chłodniej, a ściany jakby się rozjechały, wtapiając dom w przepastną pustkę wokół niego.

Futbolista w przedpokoju oderwał się od ściany i stanął na środku wolnej przestrzeni, jego partner opuścił nogi na podłogę i usiadł wyprostowany na sofie.

– Co się stało? – prychnął.

– Nie wiem – rzucił jego kompan.

– Doktorze?

Lekarz wstał zza stołu i po omacku ruszył do drzwi.

– Światło zgasło – powiedział.

– Coś takiego, Sherlocku. A rachunek zapłacony?

– To nie to.

– A co?

– Może awaria sieci.

Chłopak w salonie po omacku dotarł do okna i wyjrzał w ciemność.

– Skąd tu można coś wiedzieć? – mruknął ze złością.

– A gdzie są bezpieczniki? – spytał chłopak z przedpokoju.

– W piwnicy – odparł lekarz.

– No to jasne. Reacher odzyskał przytomność i urządza sobie zabawę. – Dotykając końcami palców ściany, chłopak zawrócił do drzwi do piwnicy, wymacał dłonią drzwi i załomotał w nie pięścią.

– Włącz prąd, ty zasańcu! – wrzasnął.

Brak odpowiedzi.

W całym domu panowały grobowe ciemności. Nigdzie nawet najmniejszego błysku.

– Reacher, włącz światło!

Brak odpowiedzi.

Zimno i cicho.

Chłopak z salonu po omacku przeszedł do holu.

– Może jeszcze się nie ocknął. Może to naprawdę awaria.

– Masz tu jakąś latarkę, doktorku? – zapytał jego kompan.

– Tak, w garażu.

– Idź i przynieś.

– Nic nie widzę.

– To się postaraj.

Macając ściany, lekarz niepewnie poczłapał do kuchni, wpadając na pierwszego z chłopaków i ledwo unikając zderzenia z drugim, potracając kuchenne krzesło i waląc biodrem o krawędź stołu. Poruszał się w niełatwym świetle niewidomych. Wiodąc palcami po krawędziach

blatów, minął zlew, kuchenkę i dotarł do sionki w głębi kuchni. Z rękami wyciągniętymi przed siebie skręcił ostro w prawo i odnalazł drzwi prowadzące do garażu. Wymacał klamkę i wszedł do zimnego pomieszczenia. Po omacku odnalazł stół warsztatowy, sięgnął do góry i przesunął palcami po rozmieszczonych nad nim narzędziach. Młotek dobry do walnięcia w głowę. Śrubokręty dobre do dźgnięcia. Klucze w dotyku zimne jak lód. Namacał plastikowy korpus latarki i wyjął ją z uchwytu na ścianie. Przesunął wyłącznik i z latarki trysnął snop żółtawego światła. Postukał główką latarki o dłoń i światło rozbłysło nieco jaśniej. Odwrócił się i zobaczył stojącego tuż za nim futbolistę z salonu.

Chłopak uśmiechnął się, wyjął mu latarkę z dłoni i przyłożywszy ją sobie pod brodę, zrobił groźną minę jak straszdyło na Halloween.

– Dobrze się sprawiłeś, doktorku – powiedział. Odwrócił się i świecąc latarką po ścianach, ruszył do domu. Lekarz podążył za nim, idąc bardziej na pamięć niż za światłem. – Wracaj do jadalni – polecił futbolista, oświetlając mu przejście. Lekarz dołączył do kobiet, futbolista rzucił groźnym tonem: „Siedzieć tam wszyscy i ani mru-mru”, i zamknął za sobą drzwi.

– I co teraz? – spytał jego kompan.

– Trzeba sprawdzić, czy Reacher odzyskał przytomność.

– Zdrowo dostał.

– To jak myślisz?

– A ty?

Futbolista z latarką podszedł do drzwi piwnicy i w nie walnął.

– Reacher, albo włączysz prąd, albo stanie się tu coś złego! – wrzasnął.

Brak odpowiedzi.

Chłopak z latarką znów załomotał do drzwi i krzyknął:

– Reacher, ja nie żartuję! Włącz to cholerne światło.

Cisza.

– I co teraz? – spytał drugi z futbolistów.

– Przyrowadź tu żonę doktorka. – Poświecił w stronę jadalni i chwilę później jego kompan wrócił, prowadząc za łokieć żonę lekarza. – Krzycz! – rozkazał.

– Co?

– Krzycz sama albo ci pomogę.

Przez chwilę jeszcze milczała, mrugając, a potem wydała z siebie długi, świdrujący w uszach krzyk. Umilkła i znów zapanowała głucha cisza. Chłopak z latarką załomotał do drzwi piwnicy.

– Słyszałeś, zasrańcu?

Nic.

Chłopak machnął latarką w stronę jadalni, jego kompan szarpnął żonę lekarza, podprowadził do drzwi i wepchnął do środka.

– I co teraz? – zapytał.

– Poczekamy, aż się rozwidni.

– To jeszcze ze cztery godziny.

– Masz lepszy pomysł?

– Moglibyśmy zadzwonić do bazy.

– To nam powiedzą, że mamy sobie sami poradzić.

– Ja tam nie wejdę. Póki on tam jest.

– Ani ja.

– Więc co robimy?

– Przeczekamy go. Wydaje mu się, że jest sprytny, ale nie jest. Możemy siedzieć po ciemku. Każdy może. Do tego nie trzeba być naukowcem od rakiet.

Przyświecając sobie latarką, wrócili do salonu, usiedli obok siebie na sofie i położyli między sobą starego remingtona. Dla oszczędności baterii zgasili latarkę i w pokoju znów zrobiło się czarno, zimno i cicho.

• • •

Człowiek Mahmeiniego przeszedł sto metrów równolegle do podjazdu i dotarł do ogrodzenia, które w tym miejscu skręcało w lewo i zagrażało dalszą drogę. Miał przed sobą południowy odcinek poprzeczki litery T, w którą układała się cała posesja Duncanów. Ogrodzenie tworzyły dwunastocentymetrowe pręty, w większości wyszczerbione i pocięte, stanowiąc łatwą do pokonania przeszkodę. Bez trudu wspinał się na ogrodzenie, zeskoczył po drugiej stronie i na moment znieruchomiał. Po lewej stały trzy zaparkowane półciężarówki i mała mazda, na wprost miał dom wysunięty najdalej na południe. Tylko w środkowym domu było ciemno, w obu skrajnych paliło się światło, choć dość blade i stonowane. Jakby świeciło się gdzieś w głębi domu, a do okien docierała tylko wtórna poświata przez otwarte wewnątrz drzwi. W powietrzu czuć było dym z płonącego drewna, ale nie towarzyszyły temu żadne dźwięki i nie słychać było nawet szmeru prowadzonych wewnątrz rozmów. Człowiek Mahmeiniego się zawahał. Musi ocenić sytuację, przemyśleć ją i podjąć decyzję. W lewo czy w prawo?

• • •

Cassano i Mancini podeszli do posesji od tyłu. Wyłonili się z ciemnego uśpionego pola i zatrzymali przed ogrodzeniem na wysokości środkowego domu. O ile ich pamięć nie myliła, dom należał do Jonasa. Był ciemny i wyglądał na wymarły, ale w obu domach po bokach w kuchniach paliło się światło, rzucając świetlne refleksy na porośnięty chwastami żwir podwórka. Żwir był dobrze ubity, ale Cassano wiedział, że i tak trochę chrząści pod stopami. Przekonał się o tym, szukając spokojnego miejsca na przeprowadzenie rozmowy z Rossim. Uznał, że najbezpieczniej będzie zostać po zewnętrznej stronie płotu i przejść polem do punktu, z którego będzie najbliżej do wybranego celu. To im zapewni minimum hałasu przy pokonywaniu żwirowej nawierzchni. Tylko który z dwóch domów wybrać? Lewy czy prawy? Jaspera czy Jacoba?

• • •

Wszyscy Duncanowie siedzieli w piwnicy Jaspera i grzebali w starych kartonach w poszukiwaniu weterynaryjnego anestetyku. Resztkę świńskiego znieczulenia zużyli na nos Setha i jego zgruchotana dłoń wymagała użycia czegoś innego i mocniejszego. Dwa palce zdążyły już tak spuchnąć, że wydawało się, iż skóra na nich nie wytrzyma i lada chwila pęknie. Jasper pamiętał, że miał jakiś środek dla koni, i właśnie tego szukał, by nim potraktować dłoń Setha. Nie był lekarzem, ale wyobrażał sobie, że jeśli zanurzy w nim jego rękę, środek podziała na naruszone nerwy. Przecież muszą którąś przechodzić.

Seth nie skarżył się i czekał cierpliwie. Jasper pomyślał, że tym razem całkiem dzielnie się trzyma, jak przystało na prawdziwego mężczyznę. Po złamaniu nosa był obrażony na cały świat, ale teraz stawiał temu czoło. Pewnie dlatego, że odegrał się na sprawcy napaści. A także dlatego, że zaplanował, co z nim zrobi. Duma z odniesionego sukcesu i perspektywa zemsty mogą zastąpić najlepsze środki znieczulające.

– Może to to? – odezwał się Jonas. Trzymał w ręku półlitrową butelkę z brązowego szkła. Etykieta była poplamiona i zapisana ledwo czytelnymi długimi słowami, z których niektóre były po łacinie.

Jasper odwrócił głowę i przyjrzał się butelce w ręku brata.

– Brawo, stary. Właśnie to – powiedział.

W tym momencie nad ich głowami zadudniły czyjeś kroki.

Pierwszy wbiegł na górę Jacob, sądząc, że to któryś z futbolistów, ale nie mając pewności. Podłogi w domach Duncanów były typowe dla tradycyjnego wiejskiego budownictwa w Ameryce – wycięte z pni starych sosen, grube, masywne i twarde. Potrafiły przenosić dźwięki, jednak na tyle stłumione, że nie sposób było się zorientować, do kogo kroki należą. W przedpokoju nie było nikogo i dopiero w kuchni zobaczył obcego mężczyznę o drobnej budowie ciała i oliwkowej cerze. Miał ciemne włosy, wygniecione ubranie i mimo zapiętej pod szyją koszuli i krawata wyglądał dość niechlujnie. W lewej ręce trzymał nóż, w prawej pistolet. Ręka z nożem była opuszczona, ale uniesionym pistoletem mierzył prosto w pierś Jacoba.

Jacob znieruchomiał.

Mężczyzna odłożył nóż na stół i przytknął palec wskazujący do ust.

Jacob nie wydał żadnego dźwięku.

Za Jacobem do kuchni wbiegli syn i obaj bracia – zbyt szybko, by ich powstrzymać.

Mężczyzna zatoczył łuk lufą pistoletu tam i z powrotem i czterej Duncanowie posłusznie ustawili się obok siebie, stykając się ramionami. Mężczyzna przekręcił dłoń na płask i zamachał lufą w górę i w dół. Nikt nawet nie drgnął.

– Wszyscy na kolana – warknął.

– Kim pan jest? – zapytał Jacob.

– Zabiłeś mojego kolegę.

– Nikogo nie zabiłem.

– Któryś z was, Duncanów, to zrobił.

– Nikogo nie zabiliśmy. Nawet nie wiemy, kim pan jest.

– Na kolana.

– Kim pan jest?

Mężczyzna wziął ze stołu nóż.

– Który z was jest Seth? – zapytał.

Seth zawahał się na moment, po czym uniósł zdrową rękę jak uczeń w szkole.

– Ty zabiłeś mojego kolegę i wsadziłeś jego ciało do bagażnika swojego cadillaca.

– Nie, to Reacher ukradł mi samochód wczoraj po południu. To on.

– Nie ma żadnego Reachera.

– Ależ jest. To on złamał nos mojemu synowi. I pogruchotał mu dłoń – odezwał się Jacob.

Lufa pistoletu nie drgnęła, ale mężczyzna odwrócił głowę i przyjrzał się Sethowi.

Aluminiowa klamra na twarzy, opuchnięte palce.

– Nie ruszaliśmy się z domu przez cały dzień – dodał Jacob. – Ale Reacher był w Marriotcie. Wczoraj wieczorem. Wiemy, że tam był. To on zostawił tam cadillaca.

– To gdzie jest teraz?

– Nie mamy pewności. Ale sądzę, że gdzieś niedaleko.

– A jak tu wrócił?

– Może to on zabrał wasz samochód. Czy pański kolega miał przy sobie kluczyk?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Kim pan jest? – powtórzył Jacob.

– Reprezentuję Mahmeiniego.

– Nie znamy nikogo o tym nazwisku.

– Kupuje wasz towar od Safira.

– Takiego też nie znamy. Nasz towar dostarczamy Włochowi z Las Vegas, panu Rossiemu.

Nie wiemy, co się z nim potem dzieje.

– Próbujecie wszystkich wykiwać.

– Nic podobnego. Staramy się tylko zapewnić bezpieczną dostawę.

– I co z nią jest?

– Jest w drodze. Ale nie możemy sfinalizować transakcji, póki nie pozbedziemy się Reachera.

– Dlaczego?

– Wie pan dlaczego. Takich interesów nie robi się przy obcych. Powinien nam pan w tym pomagać, a nie straszyć spluwą.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Niech pan odłoży broń, usiądziemy i pogadamy – zaproponował Jacob. – Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

Mężczyzna nie przestawał w niego mierzyć.

– Ludzie Safira też nie żyją – rzucił.

– To pewnie Reacher. Cały czas się tu kręci.

– A co z ludźmi Rossiego?

– Ostatnio ich nie widzieliśmy.

– Naprawdę?

– Przysięgam.

Na chwilę zapadła cisza.

– No dobra – rzekł w końcu mężczyzna. – Czasy się zmieniają i życie idzie do przodu. Od teraz będziecie dostarczali bezpośrednio panu Mahmeiniemu.

– Jesteśmy związani umową z panem Rossim.

– Już nie.

Jacob Duncan nic nie powiedział.

• • •

Cassano i Mancini postanowili zacząć od domu Jacoba Duncana. Ich decyzja była o tyle oczywista, że to Jacob był głową rodziny. Odeszli parę kroków od ogrodzenia i ruszyli wzdłuż niego do miejsca dokładnie naprzeciwko kuchennego okna. Padające z niego światło kładło się jasną plamą na żwirze podwórza, kończącą się niecałe dwa metry od ogrodzenia. Przeszli przez nie i cicho ruszyli przez podwórze, omijając bokami jasną plamę. Dotarli do domu, przyglęli do ściany i ostrożnie zajrzeli do środka.

W kuchni nie było nikogo.

Mancini uchylił drzwi i Cassano wślizgnął się do środka pierwszy. W domu panowała cisza. Tak absolutna, jakby nikogo w nim nie było. Nie tylko czuwającego, ale nawet śpiącego. Cassano i Mancini mieli doświadczenie w przeszukiwaniu domów i potrafili wyczuć takie rzeczy. Wiedzieli, jakich dźwięków należy nasłuchiwać.

Wyszli na podwórko, wrócili po swoich śladach do ogrodzenia i wyszedłszy na pole, skręcili w lewo. Dotarli po ciemku do miejsca naprzeciwko oświetlonego okna w domu Jaspera, znów przeszli przez ogrodzenie i obchodząc plamę światła na żwirze, podeszli do domu. Przyglęli do ściany i zajrzeli do środka.

To, co zobaczyli, trochę ich zaskoczyło.

A właściwie dużo bardziej niż trochę.

W środku byli Duncanowie i Irańczyk i sądząc po minach, nie było to spotkanie towarzyskie. Nikt się nie uśmiechał, nikt nie wznosił toastów. Człowiek Mahmeiniego stał z nożem w jednej i pistoletem w drugiej ręce, a czterej Duncanowie kawałek dalej, zbici w gromadkę. Szyba w oknie była nierówna i przez cieńsze fragmenty dawało się usłyszeć cichy głos Jacoba.

• • •

– Proszę pana, jesteśmy w tym biznesie od dawna. Wszystko w nim opiera się na wzajemnym zaufaniu i lojalności i nie możemy nagle wszystkiego zmieniać. Mamy umowę z panem Rossim i tylko z nim. Skoro, jak pan mówi, pan Safir wypadł z gry, to może pan Rossi będzie mógł teraz dostarczać bezpośrednio wam. To wam zapewni dodatkowe zyski, ale to wszystko, co można zaproponować. Choć nawet i to nie zależy od nas.

– Mahmeiniego nie zadowoli połówka tortu, kiedy na stole leży cała – powiedział człowiek Mahmeiniego.

– Ale rzecz w tym, że na stole nic nie leży. Powtarzam, że naszym odbiorcą jest tylko pan Rossi.

– Doprawdy? – Mężczyzna zmienił pozycję, stanął bokiem i uniósłszy prawą rękę na wysokość ramienia, przymrużył oko i powolnym mechanicznym ruchem wieżyczki armatniej pancernika przeciągnął lufą pistoletu po Duncanach. Zatrzymał ją najpierw na Secie, potem na Jasperze, potem na Jonasie, potem na Jacobie, po czym znów omiótł całą grupę od Jonasa, przez Jaspiera do Setha, by zaraz powtórzyć wszystko od początku. Ostatecznie wylot lufy znieruchomiał dokładnie między oczami Jonasa, a palec na spuście lekko zbiegał.

W tym samym momencie szyba w oknie i głowa mężczyzny eksplodowały, posypały się odłamki szkła i niewielkie pomieszczenie wypełnił potężny huk wystrzału z broni kaliber czterdzieści pięć i gryzący dym. Na ścianę chlusnęła krew i odłamki kości, mały śniadoskóry człowieczek runął na podłogę, a do środka wdarł się przez okno najpierw Mancini, zaraz za nim Cassano.

• • •

Po dwóch godzinach obaj futboliści poczuli się śmiertelnie znużeni beczynnym siedzeniem po ciemku. Zresztą nie tylko znużeni, ale też trochę spięci, zdenerwowani, rozdrażnieni i upokorzeni. Zdawali sobie sprawę, że każda minuta beczynności przybliży ich do przegranej, a godzenie się z jakąkolwiek przegraną nie było dla nich łatwe. Nie należeli do ludzi uległych i nigdy nie godzili się z porażką. Obaj mieli wysokie mniemanie o sobie i ktoś pozbawiający ich uczestnictwa we wrzawie towarzyszącej wybranym fragmentom meczów NFL był nie do przyjęcia.

– Przecież mamy, do cholery, strzelbę – burknął pierwszy.

– To wielka piwnica. Może być gdziekolwiek – zauważył drugi.

– Mamy latarkę.

– Ledwo świeci.

– Może wciąż leży nieprzytomny. Może naprawdę wywalił bezpiecznik, a my tu siedzimy jak idioci.

– Na pewno odzyskał już przytomność.

– A jeśli nawet, to co z tego? On jest sam, a my mamy strzelbę i latarkę.

– Był zawodowym żołnierzem.

– To jeszcze nie znaczy, że ma magiczną siłę.

– A jak byśmy to zrobili?

– Moglibyśmy przymocować latarkę taśmą do lufy i zejść jeden za drugim na dół, tak jak pokazują na filmach. Dojrzelibyśmy go, zanim on dojrzałby nas.

– Mamy go nie zabijać. Seth chce to zrobić później. Osobiście.

– Możemy celować nisko. Postrzelić go w nogi.

– Albo zmusić do poddania się. Tak by było lepiej. Musiałby się chyba poddać, nie? Mając przeciwko sobie dwóch z bronią. Moglibyśmy go skrępować taśmą. Nie mógłby już więcej majstrować przy bezpiecznikach. Od razu trzeba było tak zrobić.

– Tylko że nie mamy taśmy.

– Zajrzyjmy do garażu. Jeśli znajdziemy jakąś taśmę, to się zastanowimy.

Znaleźli. Świecąc latarką, przeszli przez hol, kuchnię i sień do garażu i na środku warsztatu ujrzeli dużą nową rolkę srebrzystej taśmy uszczelniającej do rur, jeszcze w fabrycznej osłonce. Zanieśli ją do domu, nie do końca pewni, czy mają się z czego cieszyć. Czuli się już jednak niejako zobowiązani. Wyjęli taśmę z fabrycznej osłonki, odkleili końcówkę, rozwinęli kawałek i w odbitej od ściany poświacie przystąpili do przymocowania latarki do lufy strzelby. Dała się całkiem niezłe wpasować między szczerbinę a muszkę i tylko jej główka skierowana była troszkę do góry z uwagi na podstawę muszki i wystawała nieco poza wylot lufy. Niezłe, tylko aby dobrze ją przymocować, należało owinać taśmą wyłącznik, a to wyznaczało punkt, z którego nie było już odwrotu. Jeśli to zrobią, będą musieli przystąpić do akcji. Zostawienie zapalanej latarki

i dopuszczenie do wyczerpywania się baterii bez dalszego ciągu byłoby bez sensu.

– No to jak? – Pierwszy się wahał.

Do świtu zostało jeszcze około trzech godzin. Trzy godziny nudy, nerwów, złości, upokorzenia.

– Zróbmy to – odrzekł drugi.

Ułożył sobie strzelbę w poprzek nóg i przyłożył latarkę do lufy, a pierwszy chłopak zaczął rozwijać taśmę i owijać nią latarkę, jakby bandażował złamane zębra. Robił to tak długo i skrupulatnie, że całość przybrała wygląd grubo opatulonej mumii. Na koniec odgryzł parocentymetrową końcówkę i dokładnie ją docisnął. Wziął całość w obie ręce, ścisnął i wygładził krawędzie. Drugi z chłopaków podniósł strzelbę z kolan i machnął nią na boki, w górę i w dół. Latarka trzymała się pewnie, snop padającego z niej światła poruszał się wraz z wylotem lufy.

– Dobra – powiedział. – Spoko. Możemy ruszać. Świeci jak celownik laserowy. Nie można nie trafić.

– Tylko pamiętaj, celuj nisko – przypomniał pierwszy chłopak. – Gdy tylko go dojrzysz, opuść lufę i strzelaj w nogi.

– Chyba że się wcześniej podda.

– Jasne. Chodzi tylko o to, żeby go obezwładnić. Ale jeśli się poruszy, strzelaj.

– Jak myślisz, gdzie on może być?

– Wszędzie. Może u stóp schodów, poza zasięgiem wzroku. Albo schowany za podgrzewaczem wody. Jest wystarczająco duży.

Przeszli za snopem światła przez hol i zatrzymali się przy drzwiach piwnicy.

– Otwórz i stań za mną – polecił chłopak ze strzelbą. – Zacznę powoli schodzić i świecić na wszystkie strony. Daj mi znać, jeśli go dojrzysz. Musimy się wzajemnie wspierać rozmową.

– Dobra – rzucił pierwszy chłopak i położył rękę na klamce. – Gotowi?

– Ja tak.

– Dobra, to na trzy. Ty liczysz.

– Raz – powiedział chłopak ze strzelbą. – Dwa.

– Czekaj – syknął pierwszy. – On może stać tuż za drzwiami.

– Na szczycie schodów?

– I tylko czeka, żeby od razu nas zaatakować.

– Tak sądzisz? Musiałby się tam czaić od godziny.

– Czasami potrafią się czaić cały dzień.

– Snajperzy. A ten nie był snajperem.

– Ale to możliwe.

– Pewnie stoi schowany za podgrzewaczem.

– A jak nie?

– Mogę strzelić przez drzwi.

– Ale jeśli go tu nie ma, to tylko go ostrzeżesz.

– I tak będzie wiedział, bo zobaczy światło na schodach.

– Te drzwi mają stalowy rdzeń. Słyszałeś, co mówił Seth.

– No to co robimy? – spytał chłopak ze strzelbą.

– Moglibyśmy poczekać do świtu.

Nuda, nerwy, złość, upokorzenie.

– Nie – powiedział zdecydowanym tonem chłopak ze strzelbą.

– Dobra, to ja szybko otwieram, a ty, nie czekając, od razu strzelasz w dół, tam gdzie ma nogi. Albo mógłby mieć. Tak na wszelki wypadek. Nie czekaj, aż coś dojrzysz, tylko od razu naciskaj spust, cokolwiek by się działo.

– Dobra, tylko potem musimy naprawdę szybko zbiec na dół.

– Zbiegniemy. Zaskoczmy go i ogłuszmy. Założę się, że ta rura strasznie głośno strzela.

Gotowy?

– Gotowy. – Chłopak ze strzelbą ocenił w myślach łuk, jaki zatoczą drzwi, zrobił krok do przodu i sprężył się z przymkniętym jednym okiem i palcem na spuście.

– Tylko celuj nisko – przypomniał mu pierwszy chłopak.

Ował światła spoczął na dolnej ćwiartce drzwi.

– Na trzy. Ty liczysz.

– Raz.

– Dwa.

– Trzy.

Pierwszy z chłopaków nacisnął klamkę i szarpnąwszy drzwi, otworzył je na oścież. W tym samym momencie drugi nacisnął spust, lufa kaliber dwanaście plunęła ogniem i rozległ się ogłuszający huk wystrzału.



Reacher przyjrzał się tablicy rozdzielczej i postanowił wyłączyć prąd jednocześnie w całym domu. Znając ludzką naturę, był pewny, że futboliści nie okażą się idealnymi wartownikami. Zresztą idealnych wartowników właściwie nie ma i jest to jeden z odwiecznych problemów wojska. Podczas warty zawsze pojawia się znużenie, uwaga ulega rozproszeniu, czujność maleje. Historia wojskowości pełna jest przykładów katastrof spowodowanych przez niesumienne wartowników. A futboliści nie byli nawet w wojsku. Reacher zakładał, że wytrzymają dziesięć, może piętnaście minut w pełnej gotowości, po czym zaczną się nudzić. Może zrobią sobie kawę, może włączą telewizor, żeby się rozerwać. Na wszelki wypadek odczekał pół godziny, po czym wyłączył prąd w całym domu, by wszystko jednocześnie przestało działać.

Wiedział, że wtedy znów dojdzie do głosu ludzka natura. Dwaj futboliści na górze przywykli do dominacji i stawiania na swoim, do osiągania celów i wygrywania. Niemożność oglądania telewizji czy brak kubka gorącej kawy nie stanowią wielkich porażek i nie oznaczają końca świata, ale dla takich jak oni są jak cios w żołądek na chodniku przed barem. Odbiorą to jako prowokację, która zacznie ich gryźć i z którą łatwo się nie pogodzą. Aż w końcu rozdęte ego pchnie ich do działania. Zacznie się od ataków złości, przeistoczy w groźby i zakończy czynną interwencją, która będzie tylko żalostną amatorszczyzną.

Wynika to z ludzkiej natury.

Reacher nacisnął główny wyłącznik, po ciemku dotarł do schodów i wszedłszy na szczyt, przyłożył ucho do drzwi. Drzwi były masywne i ściśle przylegały do framugi, więc usłyszał niewiele poza waleniem dwa centymetry od swojego ucha i wrzaskiem żony lekarza, który bez wahania uznał za wymuszony i zignorował. Nieraz słyszał krzyczących ludzi i bez trudu potrafił odróżnić krzyk prawdziwy od udawanego.

Nie zareagował i nadal czekał. Przez blisko godzinę nic się nie działo – dłużej, niż wcześniej zakładał. Wszyscy lubiący się popisywać to tchórze, ale ci dwaj zachowywali się jak prawdziwe baby. Przecież, na litość boską, mają strzelbę i na pewno zdobyli skądś latarkę. Więc na co jeszcze, u diabła, czekają? Na zgodę mamusi?

Czekał.

W końcu wyczuł ich obecność tuż za drzwiami i usłyszał szmer rozmów. Założył, że jeden z chłopaków będzie trzymał strzelbę, drugi latarkę i że spróbują powoli zejść po schodach, jak to wielokrotnie widzieli na filmach. Założył też, że ich głównym celem będzie obezwładnienie go, a nie zabicie – głównie dlatego, że między usunięciem zawodnika z drużyny a zamordowaniem człowieka istnieje psychologiczna przepaść, ale także dlatego, że Seth Duncan zapewne kazał im zachować go przy życiu, by móc się później nad nim popastwić. Więc jeśli nawet strzelą, to będą celowali w nogi. A jeśli mają odrobinę oleju w głowie, to od tego zaczną, bo prędzej czy później uświadomią sobie, że najlepszym dla niego ruchem będzie ustawienie się u szczytu schodów i próba zaskoczenia ich.

Poczuł, że klamka się poruszyła, po czym znów zapadła cisza. Przyłgnął plecami do ściany od strony zawiasów, uniósł nogę i wparł ją w przeciwległą ścianę na wysokości pasa. Dostawił do niej drugą i zapierając się stopami i dłońmi o ściany, powędrował w górę. Pochyloną głową dotknął sufitu, jego siedzenie zawisło na wysokości blisko półtora metra nad ostatnim schodkiem.

I nadal czekał.

A potem drzwi gwałtownie się otworzyły i przez ułamek sekundy dojrzał latarkę przyczepioną do lufy, z której niemal w tej samej chwili padł strzał skierowany w dół, tuż pod jego zgiętymi kolanami. Klatka schodowa wypełniła się ogłuszającym hukiem, ogniem i dymem, zawirował ceglany pył, drzazgi drewna odłupanego od schodów i strzępy plastiku z odstrzelonej główki latarki, wystającej poza wylot lufy. Błysk wystrzału i latarka zgasły i wszystko pograżyło się w ciemnościach. Reacher opuścił prawą stopę na najwyższy schodek, lewą na przedostatni i ani

przez chwilę nie tracąc równowagi, stanął przygotowany do działania. Odtwarzając obraz utrwalony w pamięci, przechylił się w stronę, gdzie dostrzegł strzelbę, chwycił ją dwiema rękami i wyszarpnął z rąk futbolisty, po czym natychmiast pchnął tam, gdzie musiała znajdować się jego twarz. Było to klasyczne osiągnięcie dwóch celów naraz: uderzony kolbą futbolista runął do tyłu, a pociągnięta równocześnie dźwignia wydała podwójne chrupnięcie i strzelba została zarepetowana. Reacher pchnął ramieniem skrzydło drzwi i poczuł, że walnęło w drugiego futbolistę. Wparował za nim do przedpokoju, skierował lufę w podłogę i nacisnął spust. Właściwie nie chciał żadnego z nich zranić. Chodziło mu bardziej o sekundowy błysk światła, który pozwoli zorientować się w sytuacji. Jeden z futbolistów leżał na podłodze z lewej, drugi stał zgięty po prawej. Reacher rzucił się na niego i powtórzył ten sam manewr co poprzednio: walnął chłopaka kolbą w twarz i znów wykorzystał pchnięcie do ponownego zarepetowania. Rozległo się głośnie dwukrotne „chrup”, chłopak runął na podłogę i Reacher wymierzył mu serię potężnych kopnięć w co popadło: głowę, żebra, ramiona, nogi, po czym odwrócił się i kopiąc na oślep w ciemnościach, zrobił to samo z pierwszą ofiarą, wymierzając jej serię kopniaków w głowę, klatkę piersiową, brzuch, ramiona. Wrócił do drugiego futbolisty, potem znów do pierwszego, cały czas kopiąc w dzikim zapamiętaniu i nie bacząc na to, w co i z jaką siłą wymierza kopniaki, i robiąc to, aż zyskał pewność, że żadna z dwóch ofiar nie jest już zdolna ruszyć palcem.

Wtedy dopiero przestał, cofnął się i zaczął nasłuchiwać. Jedyнным dźwiękiem, jaki usłyszał, były przyspieszone oddechy dochodzące z pokoju po lewej. Z jadalni.

– Doktorze?! – zawołał. – Tu Reacher. Jestem cały. Nikt nie został postrzelony. Wszystko pod kontrolą. Trzeba tylko włączyć światło.

Brak reakcji.

Cały dom tonął w ciemnościach.

– Doktorze, im szybciej, tym lepiej. Słyszysz?

Z jadalni dobiegły jakieś szmery. Szurnięcie krzesła po podłodze, pacnięcie dłonią w ścianę, przypadkowe kopnięcie w nogę od stołu. Reacher usłyszał, że drzwi jadalni się otwierają i bardziej wyczuł, niż zobaczył, że ktoś wychodzi.

– Masz drugą latarkę? – zapytał.

– Nie – odrzekł lekarz.

– Dobra, to zejźdź na dół i włącz główny bezpiecznik na tablicy. Tylko uważaj na schodach, bo mogą być trochę naruszone.

– Już teraz? – spytał lekarz.

– Za chwilę. – Reacher odwrócił głowę i zawołał: – Hej, wy tam na podłodze?! Słyszycie mnie? Słuchacie?

Brak reakcji. Czarno jak w grobie. Reacher ostrożnie ruszył przed siebie, szurając po podłodze i wymacując drogę czubkami butów. Natknął się na głowę pierwszego z chłopaków, wymacał jego brzuch i wcisnął w niego wylot lufy. Potem wsparł się na strzelbie jak na tyczce, przekroczył przez leżącego i metr dalej natknął się na drugiego z futbolistów. Obaj leżeli na plecach w jednej linii, zwróceniu do siebie stopami. Reacher stanął między nimi i bokiem lewego buta kopnął w podeszwę jednego, potem bokiem prawego buta w podeszwę drugiego. Ustaliwszy ich ułożenie, zwrócił strzelbę lufą do podłogi i zamachnął się krótkim łukiem na boki, niczym pałkarz na boisku, który rozluźnia mięśnie przed odbiciem piłki.

– Jeśli któryś z was choćby drgnie, obu odstrzelę jaja. Najpierw jednemu, potem drugiemu.

Brak reakcji.

Żaden nawet nie pisnął.

– Dobra, doktorze, możesz iść. Tylko uważaj – rzekł Reacher. Usłyszał, że lekarz rusza z miejsca i obmacując ścianę, dociera do drzwi do piwnicy. Słychać było jego powolne, ostrożne kroki na schodach i palce sunące po ścianie, skrzypienie obluzowanych stopni pod nogami i odgłos pewniejszych kroków po betonowej posadzce.

Po chwili rozbłysło światło, ekran telewizora ożył i znów zabrzmiał pełen emocji głos komentatora sportowego. Ogrzewanie wystartowało z głośnym pstryknięciem i zaczęło cicho szumieć. Reacher przymknął oczy, by nagła jasność go nie oślepiła, i dopiero po chwili ostrożnie

rozchylił je w dwie wąskie szparki i spojrzął pod nogi. Obaj futboliści leżeli zakrwawieni, jeden nieprzytomny, drugi tylko lekko zamroczony. Reacher naprawił to kopniakiem i dopiero wtedy rozejrzał się, dostrzegając na sofie rolkę taśmy. Pięć minut później obaj futboliści przypominali kurczaki ułożone do siebie plecami i przytroczone w trzech miejscach: za szyję, w pasie i za kostki nóg. Razem stanowili o wiele za duży ciężar, żeby ruszyć ich z miejsca, i Reacher zostawił ich tam, gdzie leżeli, przy okazji zasłaniając nimi dziurę w parkiecie, jaka powstała po jego strzale w podłogę.

To mamy z głowy, pomyślał.

•••

To mamy z głowy, pomyślał Jacob Duncan. Przyprawdzili z szosy cadillaca, martwych Irańczyków rozebrali do naga, ubrania wrzucili do pieca, a ciała przeciągnęli na podwórze i porzucili, by zająć się nimi później. Ścianę i podłogę w kuchni wyszorowali do czysta, okruchy szkła zmiotli, dziurę w szybie zasłonili pergaminem i kleili taśmą. Zajęli się też ręką Seta, potem Jasper przyniósł z pokoju dodatkowe dwa krzesła i cała szóstka – czterech Duncanów, Cassano i Mancini – obsiadła ciasno kuchenny stół, stykając się łokciami. Gospodarz wyjął z szafki butelkę Knob Creek i wszyscy ze wszystkimi wypili toasty za pomyślną akcję i przyszłą owocną współpracę.

Jacob Duncan pił odchylony do tyłu, czując satysfakcję. Zauważył Cassana przez szybę i widząc, że ma ich wszystkich na muszce czterdziestkiąpiątki, wygłosił swoją kwestię nieco wolniej i dobitniej, niż to było konieczne. Chciał mieć pewność, że jego niewzruszona lojalność wobec Rossiego zostanie odnotowana i scementuje ich dalszą współpracę. Trzymając nerwy na wodzy, poczekał na strzał Cassana, który rzeczywiście po chwili nastąpił. Okazał refleks i odwagę w obliczu bezpośredniego zagrożenia i doprowadził do perfekcyjnego zakończenia. Czekając radośnie perspektywa podwojenia zysków, Reacher siedzi bezpiecznie zamknięty pod ziemią, pilnowany przez dwóch pewnych ludzi, dostawa jest coraz bliżej. Ta ostatnia kwestia była najważniejsza, bo jak zwykle część dostawy zostanie u nich, do użytku w rodzinnym gronie. Coś jak rozkurz wagowy w transporcie, dzięki czemu transakcja znacznie zyskiwała na atrakcyjności.

Jacob uniósł szklanekę i wzniósł toast.

– Za nas – powiedział.

Wszystko dobrze się układało.

•••

Reacher znalazł w kuchennej szufladzie nóż do sprawiania mięsa i odciął pozbawioną główki latarkę od lufy strzelby. Laicy nie rozumieją działania prochu strzelniczego. Ładunek na tyle potężny, by wyrzucić z lufy ciężki pocisk z szybkością setek kilometrów na godzinę, osiąga ten cel dzięki wybuchowi o tak ogromnej energii, że bańka gazu po opuszczeniu lufy niszczy wszystko na swojej drodze. Dlatego właśnie wszelkie wojskowe latarki mają metalowe obudowy i są umieszczane za muszką, nie przed nią. Wyrzucił pogruchotaną plastikową obudowę do śmieci, rozejrzał się po kuchni i spytał:

– A gdzie moja kurtka?

– W szafie – odparła żona lekarza. – Po powrocie do domu zebrałam wszystkie nasze okrycia i powiesiłam w szafie. Pańskie przy okazji też. Pomyślałam, że lepiej je schować. Że może ma pan w nim coś ważnego.

Reacher wyrzucił przedpokój.

– I ci chłopcy nie obszukali mi kieszeni?

– Nie.

– Chyba powinienem jeszcze trochę skopać ich po głowach. Może to poprawi ich IQ.

Żona lekarza kazała mu usiąść i dokładnie obejrzała jego obrażenia.

– Pański nos wygląda strasznie – stwierdziła.

– Wiem, czuję to – powiedział Reacher. Miał go w polu widzenia. Sterczał między oczami, siny i spuchnięty. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się oglądać swojego nosa inaczej jak w lustrze.

- Mąż powinien to obejrzeć.
- I tak mi nie pomoże.
- Nos trzeba nastawić.
- Już to zrobiłem.
- Chyba pan żartuje.
- Mówię poważnie. Lepiej już się nie da. Ale mogłaby mi pani opatrzeć skaleczenia. Tym samym, co poprzednio.

Dorothy Coe włączyła się do pomocy i obie zaczęły od obmycia mu twarzy ciepłą wodą i starcia zakrzepłej krwi. Potem w robocie znalazły się waciki nasączone płynem ściągającym, którymi potraktowały liczne pęknięcia skóry. Otwarte skaleczenia piekły jak diabli, jednak żona lekarza okazała się bardzo skrupulatna i następne pięć minut nie należało do najprzyjemniejszych. W końcu jednak opatrzyła wszystko i Dorothy raz jeszcze obmyła mu twarz ciepłą wodą i osuszyła papierowym ręcznikiem.

- Boli pana głowa? – spytała żona lekarza.
- Trochę.
- Wie pan, jaki dziś dzień?
- Tak.
- A kto jest prezydentem?
- Czego?
- Stowarzyszenia Plantatorów Kukurydzy w Nebrasce.
- Nie mam pojęcia.
- Powinam obandażować panu twarz.
- Nie ma potrzeby – zaprotestował Reacher. – Niech mi pani tylko pożyczyci nożyczki.
- Po co?
- Zobacz pani.

Podawała mu nożyczki, a on sięgnął po rolkę taśmy uszczelniającej. Odciał równo dwudziestocentymetrowy kawałek i położył na stole stroną klejącą do góry. Potem odciał pięciocentymetrowy kawałek, wyciął z niego trójkąt i umieścił klejącą stroną na środku odcinka na stole, po czym uniósł całość dwiema rękami i nakleił sobie na twarz, mocno dociskając końce do policzków. Przez całą szerokość jego twarzy, tuż pod oczami, biegła teraz srebrzysta wstęga.

– Nie ma lepszego polowego opatrunku – wyjaśnił. – Kiedyś koledzy z marines przerzucili mnie samolotem z Libanu do Niemiec z kawałkiem takiej taśmy w dolnej części brzucha, zapobiegając wylaniu się wnętrzości.

- To nie jest sterylne.
- Ale prawie.
- I na pewno bardzo niewygodne.
- Ale dzięki temu mogę normalnie widzieć. To najważniejsze.
- Wygląda, jakbyś miał na twarzy wojenny znak.
- To jeszcze lepiej.

Lekarz przez chwilę mu się przyglądał, ale powstrzymał się od komentarza.

- I co teraz? – spytał tylko.

Wrócili do jadalni i usiedli po ciemku, żeby lepiej widzieć drogę. Zostało jeszcze trzech futbolistów, którzy kręcili się gdzieś po okolicy i nie można było wykluczyć, że zjawią się, by złuzować kolegów, zamienić się obowiązkami czy wzajemnie podtrzymać na duchu. Reacher miał nadzieję, że prędzej czy później do tego dojdzie, i trzymał dla nich w pogotowiu rolkę taśmy i remingtona.

– Nie mamy nowych wiadomości – zauważył lekarz.

– Bo nie pozwolili wam korzystać z telefonu. – Reacher pokiwał ze zrozumieniem głową. – Ale wiecie, że dzwonił, więc sądzicie, że coś mogło się wydarzyć.

– Sądzimy, że wydarzyły się trzy rzeczy, bo dzwonił trzy razy.

– Domyślcie się, co to mogło być?

– Pewnie wojna gangów. Zostało jeszcze trzech bandziorów i były trzy telefony. Może wszyscy już nie żyją.

– Niemożliwe, żeby wszyscy trzej nie żyli. Musiałby przeżyć co najmniej jeden zwycięzca. Samobójstwa morderców nie są częstym zjawiskiem w wojnach gangów.

– No dobrze, to może dwóch nie żyje. Na przykład ten z cadillaca załatwił dwóch Włochów. Reacher pokręcił głową.

– Jeśli już, to raczej na odwrót. Ten w cadillacu stanowi łatwy łup, bo jest sam i jest nowy. To dość nietypowa okolica. Trzeba trochę czasu, żeby się z nią oswoić. A Włosi są tu dłużej niż on. Są tu nawet dłużej ode mnie, a ja mam wrażenie, jakbym był tu od zawsze.

– Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby to była wojna gangów – wtrąciła żona lekarza. – Dlaczego jakiś gangster w Las Vegas czy gdzieś indziej miałby ustąpić tylko dlatego, że jego dwaj ludzie dostali po łapach w Nebrasce?

– Ci dwaj na parkingu przed motelem dostali gorzej niż po łapach.

– Wie pan, co miałam na myśli.

– Proszę się zastanowić – powiedział Reacher. – Przypuśćmy, że główny macher siedzi w Las Vegas, leży sobie nad przydomowym basenem i popala cygaro, i nagle dzwoni jego dostawca i oświadcza, że wycina go z łańcucha. Co wtedy robi? Oczywiście wysyła na miejsce swoich ludzi, tylko że ich też wycinają. Jest bankrutem, nie ma już czym straszyć, jest bezsilny. Dla niego to koniec.

– Na pewno ma więcej ludzi.

– Rzecz w tym, że wszyscy mają więcej ludzi. Mogą podjąć walkę dwóch na dwóch albo dziesięciu na dziesięciu, albo dwudziestu na dwudziestu. I zawsze ktoś wygrywa, a ktoś przegrywa. Przyjmują do wiadomości werdykt sędziego i działają dalej. Są jak jelenie na rykowisku. Mają to w DNA.

– O jakich gangach mówimy?

– Zwyczajnych. Takich, które ciągną wielką forszę z czegoś nielegalnego.

– Jakiego czegoś?

– Tego nie wiem. Ale na pewno nie chodzi o długi z hazardu. To nie jest coś teoretycznego w postaci cyfr na papierze. To coś konkretnego. Coś namacalnego. Coś, co ma wagę i rozmiary. Musi mieć. Tym zajmują się Duncanowie.

Mają firmę transportową, więc dostarczają coś, co potem przechodzi z rąk do rąk, od A do B, od B do C, od C do D.

– Narkotyki?

– Nie sądzę. Nie ma sensu wozić narkotyków na południe do Vegas. Mogą je tam sprowadzać wprost z Meksyku albo z Ameryki Południowej. Albo z Kalifornii.

– To może gotówka z narkobiznesu? Żeby ją przepuścić przez kasyna i wyprać. Trafia do Vegas z wielkich miast Wschodniego Wybrzeża tranzytem przez Chicago.

– Możliwe. W każdym razie to coś bardzo wartościowego i dlatego podnoszą taki rwetes. To musi być coś takiego, że na widok dostawy adresat uśmiecha się i zaciera ręce z radości. Może nastąpiło jakieś opóźnienie i dlatego tylu ludzi się koło tego kręci. Wszyscy są zaniepokojeni i chcą na własne oczy ujrzeć dostawę, bo to coś konkretnego i bardzo cennego, czego chcą dotknąć i zobaczyć swoją część. Ale przede wszystkim chcą pomóc w usunięciu głównej przeszkody.

– To znaczy?

– Myślę, że mnie. Albo dostawa się opóźniła z jakiejś innej przyczyny, a Duncanowie zwalili to na mnie i użyli jako wymówki, albo jest to coś tak niezwykłego, że nikt obcy nie może tego zobaczyć. Może przed przyjęciem dostawy teren musi być jak gdyby odkażony. Zdarzyło się kiedyś, żeby przez jakiś czas kazali wam trzymać się z dala od jakiegoś miejsca?

– Nie przypominam sobie.

– A byliście kiedyś świadkami dostawy czegoś niezwykłego? Pojawienia się jakichś wielkich dziwnych pojazdów?

– Ciągłe widzujemy ich ciężarówki. Ale nie w zimie.

– Słyszałem, że wszystkie są teraz w Ohio.

– Bo są. Teraz mają tu tylko kilka furgonetek.

– Z których jednej w bazie nie było. – Reacher pokiwał głową. – Trzy miejsca parkingowe, dwie furgonetki. Co może być aż tak cenne i mieścić się w furgonetce?

• • •

Jacob Duncan zauważył, że widok trupa w bagażniku cadillaca poruszył Roberta Cassana i radykalnie zmienił jego nastawienie. Manciniego zresztą też. Obaj widać uznali, że Reacher stanowi realne zagrożenie. Ale jak inaczej mogli zareagować na widok zwłok bez żadnych zewnętrznych oznak? Bez jednego śladu. Co Reacher mógł zrobić Irańczykowi? Tak go wystraszyć, że umarł? Jacob widział, że obaj Włosi roztrząsają to w myślach, i cierpliwie czekał na wynik tych deliberacji. W końcu Cassano spojrzał na niego przez stół i powiedział:

– Bardzo gorąco przepraszam.

Jacob spojrzał na niego zdziwiony.

– Za co mnie pan przeprasza?

– Za nasze wcześniejsze podejście. Za niepotraktowanie poważnie sprawy Reachera.

– Przeprosiny przyjęte.

– Dziękuję.

– Tylko że to nie zmienia sytuacji. Reacher nadal stanowi problem. Wciąż jest na wolności i działa. I póki się go nie pozbedziemy, nic się nie wydarzy. Trzech naszych ludzi go szuka i jeśli będzie trzeba, będą pracowali całą noc i cały dzień. Tak długo, jak to będzie konieczne. Bo nie chcemy, żeby pan Rossi choć przez chwilę pomyślał, że w naszym nowym układzie nie jesteśmy w pełni odpowiedzialnymi partnerami. To dla nas bardzo ważne.

– My też powinniśmy dołączyć – powiedział Cassano.

– My wszyscy?

– Miałem na myśli siebie i Manciniego.

– Istotnie. – Duncan skinął głową. – Może powinniście. Może powinniśmy nawet zrobić z tego zawody o to, kto lepszy.

I może nagrodą powinno być prawo pierwszeństwa przy stole, przy którym usiądziemy negocjować nowy podział zysków.

– Jest was więcej od nas.

– Ale wy jesteście profesjonalistami.

– A wy znacie teren.

– Chcecie wyrównać siły? Proszę bardzo. Wycofamy naszych trzech chłopaków i odeślemy ich do domu, a ich miejsce zajmie mój syn. Tylko on. Będzie was dwóch na jego jednego. Aż do ostatecznego załatwienia sprawy. I niech lepszy zwycięży. A zwycięzca zgarnia łupy, spija śmietankę i tak dalej, i tak dalej. Chcecie tak?

– Mnie tam obojętne – mruknął Cassano. – Rób, jak chcesz. I tak pokonamy waszych, ilu by

ich było. – Wysączył do końca burbona i odstawił szklanke. Obaj z Mancinim wstali od stołu, wyszli przez tylne drzwi i ruszyli przez podwórze do samochodu za płotem. Jacob Duncan odprowadził ich wzrokiem, potem odchylił się na krzesło i odetchnął z ulgą. Wiedział, że zmarnotrawią teraz kilka długich i bezowocnych godzin, po czym w odpowiednim momencie Reacher zostanie „pojmany”, ludzie Rossiego poniosą prestiżową porażkę i szale przechyłą się na jego korzyść. Tylko trochę, ale wystarczająco. Jacob się uśmiechnął. Sukces, triumf i całkowita rehabilitacja. Wszystko gładko i finezyjnie.

• • •

Za oknem jadalni wciąż nic się nie działo i droga tonęła w ciemnościach. Na poboczu nadal stały dwa pojazdy futbolistów, SUV i półciężarówka, jakby smętne i porzucone. Na niebie na chwilę pojawił się księżyc. Wychynął zza cienkiej warstwy chmur, ale zaraz schował się za dużo grubszym kozuchem.

- Nie chce mi się tak beczynn timer tu siedzieć – odezwał się lekarz.
- To nie siedź – odparł Reacher. – Idź się połóż i prześpij.
- A co ty będziesz robił?
- Nic. Poczekam, aż się rozwidni.
- Dlaczego?
- Bo zapomnieli postawić wam latarnie.
- Masz zamiar wyjść?
- Kiedyś tak.
- Po co?
- Mam parę miejsc do odwiedzenia i parę spraw do załatwienia.
- Ktoś z nas powinien czuwać. Mieć na wszystko oko.
- Ja to zrobię.
- Musisz być strasznie zmęczony.
- Dam sobie radę. Idźcie się położyć.
- Jesteś pewny?
- Tak.

Nie trzeba ich było długo namawiać. Lekarz spojrział na żonę i oboje wyszli z jadalni, zaraz po nich wyszła też Dorothy Coe, kierując się zapewne do pokoju gościnnego. Przez chwilę słychać było otwieranie i zamykanie drzwi, odkręcanie kurków i spuszczenie wody w toalecie, po czym dom pogrążył się w ciszy zakłócaną tylko przez szum systemu grzewczego i postękiwanie dwóch futbolistów leżących na podłodze w holu. Reacher usiadł sztywno wyprostowany na krzesło i wbił szeroko rozwarte oczy w ciemność. Naklejony na twarz opatrunek z taśmy uszczelniającej lekko szczypał i przez pierwsze dwadzieścia minut Reacherowi udawało się zachować czujność, potem jednak zaczął zapadać w coś w rodzaju transu. Nie zaskoczyło go to, bo już wielokrotnie doświadczał tego w przeszłości. Jego stan był jak wstrzymana animacja, jak coś pośredniego między snem a jawą, kiedy to połowa świadomości człowieka funkcjonuje, a połowa jest zupełnie bezużyteczna. Nie był idealnym wartownikiem i wiedział o tym. Ale nie ma idealnych wartowników. To odwieczny problem każdego wojska.

Siedział, pół śpiąc, pół czuwając. Częściowo funkcjonujący, częściowo bezużyteczny. Usłyszał samochód i dostrzegł światła, ale stracił długą sekundę na walkę z sobą, zanim dotarło do niego, że nie śni.

Samochód nadjechał z prawej, anonsując się światłem reflektorów i szumem silnika. Zwolnił do szybkości pieszego i wolniutko minął zaparkowaną półciężarówkę futbolisty, stojącego przed nią SUV-a, po czym chrzęszcząc kołami na żwirze, skręcił w podjazd i stanął.

I dopiero wtedy Reacher go dojrzał.

W rozproszonym i odbitym świetle rozpoznał granatowego chevroleta Włochów i wziął do ręki remingtona. Samochód stał i nic się nie działo. Zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów od domu, na samym początku podjazdu, i stał z niezgaszonym silnikiem i zapalonymi światłami, ale nikt z niego nie wysiadł. Stwarzało to problem taktyczny. W drewnianym domu przebywa trójka niewinnych cywilów, na podjeździe pod domem stoją dwa zaparkowane pojazdy i dwa dalsze na drodze za płotem, stanowiąc dla napastników doskonałą osłonę. Napastników jest dwóch, on zaś tkwi w domu pełnym okien i drzwi od frontu i od tyłu.

Nieźbyt korzystne warunki do stoczenia bitwy na broń palną.

Najlepiej, gdyby Włosi wysiedli i podeszli do frontowych drzwi. Gra od razu byłaby skończona. Reacher mógłby z zaskoczenia otworzyć drzwi i strzelić im prosto w twarz. Ale oni siedzieli w samochodzie i się nie ruszali. Może rozmawiają, może penetrują wzrokiem okolicę? Reacher widział zwrócone ku sobie jasne plamy twarzy. Tak, naradzali się.

• • •

– To strata czasu – powiedział Angelo Mancini. – Tu go nie ma. Nie może go tu być. Musiałby być w zмовie z trzema futbolistami.

Roberto Cassano pokiwał głową i spojrzał na półciężarówkę i SUV-a na poboczu drogi, potem przeniósł wzrok na złocistego yukona GMC i stojącego za nim na podjeździe starego zdezelowanego pick-upa.

– To gruchot tej starej – stwierdził. – Tej farmerki.

– Przyjechała tu spędzić noc – domyślił się Mancini.

– Chyba ten koleś od Mahmeiniego miał rację. Chyba wszyscy wiedzą, że lekarz jest najsłabszym ogniwem, i go pilnują.

– To żadna pułapka, bo zostawili na widoku swoje samochody. Nikt się na to nie nabierze.

– Akurat dla nas to dobrze. Uszczuplają swoje siły. To zwiększa nasze szanse gdzie indziej.

– Chcesz tu zajrzeć? Na wszelki wypadek?

– A po co? Jeśli nawet tu jest, to jako ich więźni.

– Początkowo też tak pomyślałem. Ale potem przyszło mi do głowy, że niekoniecznie. Że może być odwrotnie i to oni są jego więźniami.

– Jeden na trzech?

– Widziałeś, jak załatwił tego w bagażniku cadillaca.

– Sam nie wiem. Właściwie miałbym ochotę sprawdzić. I może należałoby. Ale słyszałeś, co powiedział stary: uczestniczymy w zawodach i nie wolno niepotrzebnie tracić czasu.

– Nie zajmie nam to dużo czasu.

– Wiem. Ale jeśli go tam nie ma, to wyjdziemy na idiotów.

Futboliści od razu zadzwonią do Duncanów i im o tym doniosą. Będą się z nas naśmiewali, że próbowaliśmy go szukać gdzieś, gdzie nie mogło go być.

– Nikt nie powiedział, że będą przyznawali punkty za styl.

– Ale będą. Punkty za styl są zawsze. To długie zawody i idzie o kupę forsy. Jeśli stracimy twarz, nigdy jej nie odzyskamy.

– No to dokąd?

Cassano spojrzał na pick-upa na podjeździe.

– Jeśli stara jest tu, to znaczy, że jej dom stoi pusty. A ludzie szukający kryjówek kochają



puste domy.

• • •

Reacher obserwował, jak wyjeżdżają tyłem z podjazdu i oddalają się. W pierwszej chwili nie pojął dlaczego, potem jednak doszedł do wniosku, że musieli szukać Seta Duncana. Rozejrzeli się po zaparkowanych pojazdach, nie znaleźli czerwonej mazdy i odjechali. Logiczne. Położył remingtona na podłodze, rozkraczył nad nim nogi, odchylił się do tyłu i zapatrzył w ciemność.

• • •

Przez długie dziewięćdziesiąt minut nic się nie działo. Nikt nowy się nie pojawił, nikt z domowników się nie poruszył. A potem na niebie po prawej pojawiły się pierwsze jaśniejsze smugi. Stopniowo nabierały srebrzystopurpurowych barw i widnokrąg z czerni zaczął przechodzić w szarość, nabierając wyrazistych kształtów aż po horyzont. Strzępy chmur na niebie zapłonęły różowym blaskiem, znad ziemi uniosła się sięgająca kolan warstwa mgły. Wstawał nowy dzień. Niestety nie najlepszy, pomyślał Reacher. Będzie wypełniony bólem zarówno tych, którzy sobie na to zasłużyli, jak i zupełnie niewinnych.

Nadal czekał.

Nie mógł odjechać, bo nie miał kluczyków do pick-upa Dorothy, żeby go przestawić. Pewnie są w kieszeni jej płaszcza, ale nie miał ochoty w niej grzebać. Zresztą specjalnie mu się nie spieszyło. Była zima i do pełnego brzasku została jeszcze co najmniej godzina.

• • •

Osiemset kilometrów na północ, nieco powyżej czterdziestego dziewiątego równoleżnika, brzask następował trochę później. Tu przez warstwę igliwia przenikały dopiero pierwsze zwiastuny dziennego światła, wydobywając z mroku biały furgon stojący na polance na końcu trawiastego traktu. Kierowca obudził się, zamrugał i się przeciągnął. Noc upłynęła cicho i spokojnie. Nie niepokoiły go ani niedźwiedzie, ani kojoty, ani rude lisy, ani łosie, ani wilki. Ani żadni ludzie. Nie zmarzył dzięki puchowemu śpiworowi, był tylko zdrętwiały, bo kabiny furgonów nie należą do największych i musiał spać na siedząco w fotelu, którego oparcia nie dawało się do końca położyć. Jak zawsze w takich chwilach przyszło mu do głowy, że jego towar ma się lepiej od niego. Na pewno jest mu tam wygodniej. No, ale towar był cenny i trudno dostępny, on zaś nie. Był realistą i wiedział, gdzie jego miejsce.

Wsiadł i odlał się pod starą sosną, potem wrócił do kabiny i zjadł skromną wałówkę na podróż, potem rozmasował sobie obolałe plecy, po czym jeszcze raz się przeciągnął, rozprostowując mięśnie. Robiło się coraz jaśniej i nadchodziła jego ulubiona pora na przekraczanie granicy. Wystarczająco jasno, żeby wszystko było widać, i za wcześnie na obecność innych. Po prostu idealnie. Do granicy zostało mu raptem trzydzieści parę kilometrów, większość po niezaznaczonych na mapach leśnych duktach, które doprowadzą go do punktu niecałe cztery kilometry na północ od granicy. Nazywał to miejsce punktem transferu i tam jego podróż dobiegała końca. Jego, ale nie towaru.

Wsiadł do kabiny, uruchomił silnik i jeszcze przez minutę go grzał, wpatrując się w zegary i wskaźniki na desce rozdzielczej. Potem wrzucił pierwszy bieg, zwolnił ręczny hamulec, obrócił kierownicę i ruszył wolniutko, trzęsąc się i telepiąc na wybojach.

• • •

Reacher usłyszał z holu jakieś dźwięki. Szum spuszczonej wody, woda lejąca się z kranu, otwieranie i zamykanie drzwi. Przed uchylonymi drzwiami jadalni przesunęła się sylwetka sztywnego od snu lekarza, który tylko skinął głową na powitanie i przekroczywszy leżących na podłodze futbolistów, skierował się do kuchni. Chwilę później Reacher usłyszał syczenie i bulgotanie ekspresu do kawy. Słońce było już na tyle wysoko, że na szybie okna pojawiło się odbicie zaparkowanego za płotem SUV-a. Na ciągnącym się za nim polu skrzyła się warstewka szronu.

Lekarz wniósł do jadalni dwa parujące kubki kawy. Był w swetrze włożonym na pizamę, włosy miał potargane od snu, krwistość skaleczeń utonęła w rumieńcach na twarzy. Postawił kubek przed Reacherem, z drugim obszedł stół i usiadł na krześle po drugiej stronie.

– Dzień dobry – mruknął.

Reacher nie odpowiedział.

– Jak twój nos? – spytał lekarz.

– Świetnie.

– Jest coś, czego mi nie powiedziałaś.

– Jest mnóstwo rzeczy, których ci nie powiedziałem.

– Powiedziałaś, że dwadzieścia pięć lat temu śledczy nie przeszukali jednego ważnego miejsca. Powiedziałaś, że wynikało to z ich niechlujstwa lub niewiedzy.

Reacher kiwnął głową i upił łyk kawy.

– I właśnie tam się dziś wybierasz?

– Tak, tam.

– Myślisz, że po dwudziestu pięciu latach coś znajdziesz?

– Pewnie nie.

– To po co tam jedziesz?

– Bo nie wierzę w duchy.

– Nie bardzo rozumiem.

– Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał.

– O jakie miejsce chodzi?

– Dorothy mówiła, że pięćdziesiąt lat temu wykupiono dwie farmy pod inwestycję, której nigdy nie zrealizowano. Zabudowania gospodarcze jednej z tych farm wciąż stoją. Daleko w szczerym polu. Stodoła i mniejsza szopa.

– Wiem, o które chodzi. – Lekarz pokiwał głową.

– Farmerzy uprawiają ziemię aż do samych zabudowań.

– Tak, wiem. Pewnie nie powinni, ale szkoda im, żeby dobra ziemia leżała odłogiem.

Granicznych miedz nigdy nie wyznaczono i pewnie nigdy ich już nie wyznaczą. Więc to jak dar niebios, a Bóg mi świadkiem, że ludzie tego potrzebują. To dla nich dodatkowy przychód, z którego nie muszą się rozliczać.

– Więc gdy śledczy Carson zjawił się dwadzieścia pięć lat temu, to co tam zobaczył? Na początku lata? Zobaczył pół miliona hektarów kukurydzy po pas, kilka rozrzuconych wśród niej domów i kilka zabudowań gospodarczych. Odwiedził każdy dom z osobna i mieszkańcy każdego oświadczyli, że sprawdzili swoje zabudowania gospodarcze. Więc Carson machnęła ręką i sobie poszedł, a stara stodoła i szopa umknęły jego uwadze. Bo pytanie brzmiało: „Czy sprawdziliście s w o j e zabudowania gospodarcze?”. I wszyscy, zapewne zgodnie z prawdą, odpowiedzieli twierdząco. Carson musiał widzieć tę starą stodołę i szopę, ale oczywiście założył, że do kogoś należą i jak wszystkie zostały sprawdzone. A one były niczyje i nikt do nich nie zajrzał.

– Myślisz, że mogły być miejscem zbrodni?

– Myślę, że to pytanie powinien był zadać Carson dwadzieścia pięć lat temu.

– Teraz już niczego tam nie będzie. Nie może być. Te zabudowania to jedna wielka rudera.

Od pięćdziesięciu lat stoją puste, zarastają chwastami i butwieją.

– Tak myślisz?

– Oczywiście. Sam powiedziałaś, że są niczyje.

– To dlaczego do samych wrót stodoły prowadzą koleiny?

– A prowadzą?

– Tak, pierwszej nocy w szopie obok schowałem samochód futbolistów. Bez problemu tam dojechałem. Widywałem gorsze drogi w Nowym Jorku.

– Stare koleiny czy nowe?

– Trudno powiedzieć. Pewnie takie i takie. W każdym razie wygniatane latami. Całkiem głębokie i wyraźne. Niezarośnięte chwastami. Pewnie nieczęsto ktoś tamtędy jeździ, ale jednak. I to raczej dość regularnie. W każdym razie na tyle regularnie, żeby koleiny pozostawały niezarośnięte.

– Nie rozumiem tego. Kto i po co miałby tam jeździć?

Reacher nie odpowiedział. Siedział, gapiąc się w okno, za którym robiło się coraz jaśniej i pola zmieniały barwę z szarej na brunatną. Zaparkowana za płotem półciężarówka lśniła w pierwszych promieniach słońca.

– A więc myślisz, że ktoś porwał dziecko i zawiózł do tej opuszczonej stodoły?

– Nie jestem już taki pewny. Był to czas zbioru lucerny i po okolicy kręciło się mnóstwo pojazdów. Poza tym myślę, że wtedy to miejsce nie było aż tak bardzo opuszczone. Że coś się wokół działo. Ludzie coś robili, dokąś jechali. Na drogach był większy ruch niż teraz. Więcej różnych pojazdów. Chyba za dużo, żeby porywać dziecko w biały dzień.

– Więc, według ciebie, co się z nią stało?

Reacher nie odpowiedział. Siedział w milczeniu wpatrzony w obraz za oknem. Widać było sęki na listwach ogrodzenia i kępy zamarzniętych chwastów wokół słupków. Trawa przed domem była wyschnięta i krucha od zimna.

– Nie jesteś miłośnikiem ogrodnictwa – stwierdził.

– Nie mam do tego smykałki – przyznał lekarz. – A poza tym brak mi czasu.

– Ktoś w ogóle zajmuje się tu ogrodami?

– Właściwie nie. Ludzie są zbyt zmęczeni. Rolnicy rzadko poświęcają czas ogrodom.

Uprawiają ziemię dla zysku, nie dla przyjemności.

– Jasne.

– A dlaczego pytasz?

– Bo tak się zastanawiam. Gdybym był małą dziewczynką na rowerze i kochał kwiaty, to gdzie bym się wybrał na zbieranie? Na pewno nie do takiego domu jak twój. Ani pewnie do żadnego innego. Ani w ogóle gdziekolwiek, bo każda piędź ziemi jest tu zaorana i wykorzystana pod zasiewy. W sumie przychodzą mi do głowy tylko trzy możliwe miejsca. Na polu widziałem dwa głązy obrośnięte krzakami. Na początku lata muszą tam kwitnąć piękne polne kwiaty. Może jest nawet więcej takich miejsc, ale to nie ma większego znaczenia, bo z początkiem lata dostęp do nich byłby i tak praktycznie niemożliwy. Żeby do nich dotrzeć, trzeba by całymi kilometrami przedzierać się przez łany kukurydzy. Ale jest jeszcze jedno miejsce, gdzie rosną takie same krzaki.

– Gdzie?

– Wokół tej opuszczonej stodoły. Pewnie wyrosły z nasion przyniesionych przez wiatr.

Rolnicy orzą ziemię bardzo blisko, ale przy samych budynkach zostawiają wąski niezaorany pas.

– Myślisz, że mogła sama tam pojechać?

– Myślę, że to możliwe. Mogła znać to miejsce i wiedzieć, że tam zawsze są kwiaty. I ktoś inny mógł wiedzieć, że ona wie.

Duncanowie przenieśli się do kuchni Jonasa, bo przez szpary w zaklejonej szybie wpadało zimne powietrze, a spalone w piecu ubranie Irańczyka wypełniło dom smrodliwym dymem. Skończyli też pić burbona i zastąpili go kawą. Słońce już wzeszło i od czterdziestu minut trwał nowy dzień. Jacob Duncan spojrzął na zegar na ścianie i powiedział:

– W Kanadzie też już jest widno. Słońce wzeszło tam jakieś dziesięć minut temu. Założę się, że dostawa już ruszyła. Znam tego chłopaka. Lubi wyruszać wcześnie. To solidny pracownik. Nie marnuje czasu. Wkrótce dojedzie do punktu transferu.

• • •

Szosa wiodąca na południe z Medicine Hat wkrótce po minięciu jeziora Pakowki robi się gorsza. Najpierw znikają pobocza i droga jest już tylko wstęgą asfaltu z poszarpanymi krawędziami, potem około pół kilometra ciągnie się szuter skleiony smołą, po czym i to się kończy na leśnej polanie, która pozornie stanowi ślepy zaułek. Biały furgon wjechał jednak bez wahania między dwie sosny i przez chwilę przedzierał się przez niskie poszycie, by kawałek dalej wjechać na prowadzący na południe wyboisty dukt – niegdyś szeroką, a obecnie gęsto zarośniętą przecinkę przeciwpożarową, którą wycięto z myślą o powstrzymaniu ognia roznoszonego przez zachodnie wiatry. Furgon toczył się wolno, kołysząc się na boki, a koła co chwila wpadały i wygrzebywały się z rozpadlin, jakby pojazd nie tyle jechał, ile kroczył. Wokół rozciągał się leśny gąszcz, kończący się kilka kilometrów dalej w pobliżu miasteczka Hogg Parish w stanie Montana, jednak trasa furgonu nie wiodła tak daleko. Kończyła się mniej więcej w połowie odległości do miasteczka, na północnym krańcu strefy bezpieczeństwa trzy kilometry przed granicą, w punkcie położonym dokładnie symetrycznie wobec końca trasy amerykańskiego przewoźnika, który zapewne już na niego czekał, wypoczęty i gotowy do odbycia ostatniego etapu podróży.

• • •

Lekarz poszedł do kuchni i wrócił z kubkami świeżo zaparzonej kawy.

– A może to był wypadek? – zastanowił się. – Może weszła do stodoły i coś jej się stało?

– Z rowerem? – powiedział Reacher.

– To możliwe. Za mało o niej wiemy. Niektóre dzieci zostawiłyby rower na drodze, inne wzięłyby go do środka. Mogła się czymś zranić. Albo nie móc wyjść. Wrota są teraz zakleszczone. Wtedy mogły się jeszcze ruszać, ale też z trudem. Mogła się znaleźć w pułapce i nikt nie usłyszał jej krzyków.

– I co dalej?

– Ośmiolatka bez jedzenia i picia długo by nie wytrzymała.

– Niezbyt sympatyczna śmierć.

– Ale i tak lepsza od innej.

– Może.

– Albo mogła pod coś wpaść, pod ciężarówkę albo osobowy. Jadąc do stodoły. Sam mówiłeś, że ruch mógł być dużo większy. Kierowca spanikował i ukrył ciało. Razem z rowerem.

– Gdzie?

– Gdziekolwiek. W stodole albo gdzieś wiele kilometrów dalej. W innym okręgu. Może nawet w innym stanie. Może dlatego nigdy niczego nie znaleziono.

– Może – powtórzył Reacher.

Lekarz zamilkł.

– Teraz chyba ty mi czegoś nie mówisz – odezwał się po chwili Reacher.

– Zostało nam niedużo czasu.

– Ile?

- Jakieś pół godziny.
- Pół godziny do czego?
- Do zjawienia się tych trzech łobuzów na śniadanie. Wiedzą, że ich dwaj kumple tu są, i uznają to za swoją tymczasową bazę. Zmuszą żonę, żeby przygotowała im śniadanie. Takie feudalne traktowanie ludzi strasznie ich rajuje.
- Tak przypuszczałem. – Reacher kiwnął głową. – Przygotuję się.
- Jest wśród nich ten, który złamał ci nos.
- Wiem. Mogę cię o coś spytać?
- O co?
- Twój garaż bardziej przypomina wasz ogród czy wasz telewizor?
- Bardziej telewizor.
- To dobrze. Usiądź i pilnuj drogi. Zaraz wracam. – Reacher wziął remingtona i przeszedł

przez kuchnię i sionkę do garażu. Garaż był duży i pusty, bo subaru wciąż jeszcze stało na parkingu przy motelu. Podłoga była zamieciona, w garażu było czysto i porządkie. Całą jedną ścianę obudowano półkami z tym wszystkim, czego zabrakło w piwnicy. Pod przeciwległą ścianą stał stół warsztatowy – czysty, przyzwoicie wyposażony i schludny. Do blatu przymocowano imadło, na wielkiej tablicy z uchwytnymi umieszczono logicznie ułożony zestaw podręcznych narzędzi.

Reacher wyjął ze strzelby pięć nabojów z magazynka i jeden z komory zamkowej, odwrócił ją do góry kabłąkiem spustu i umieścił w imadle. Znalazł elektryczną wyrzynarkę i umieścił w niej ostrze do cięcia drewna. Włączył, przyłożył drgające ostrze do kolby z drewna orzechowego i przeciął w poprzek w najcieńszym punkcie, potem skręcił ostrze i wyciął obły kształt rękojeści pistoletu. Pilnikiem wygładził ostre krawędzie, patrząc, jak na podłogę lecą opiłki brązowego orzecha niczym czekoladowe wiórki. Na koniec obłożył rękojeść warstewką pianki i kawałkiem papieru ściernego, zdmuchnął trociny i przejechał dłoń po rękojeści, uznał, że spełni zadanie.

Zmienił ostrze na oksydowaną piłkę do metalu z małymi ząbkami i przytknął do lufy dwa i pół centymetra przed końcem podstawy. Piłka zaczęła jęczeć i piszczeć, aż wreszcie trzydziestocentymetrowy kawałek lufy spadł z brzękiem na podłogę. Znalazł pilnik do metalu i wygładził zadziory nowego wylotu lufy. Zwolnił docisk imadła, wyjął strzelbę i dwukrotnie zarepetował „chrup-chrup, chrup-chrup”, po czym załadował naboje – pięć do magazynka, jeden do komory zamka. Miał gotowego do strzału obrzyna z pistoletową rękojeścią, który długością nie przekraczał jego przedramienia.

Wracając, zajrzał do szafy w holu i wyjął swoją kurtkę. W kieszeniach nadal tkwiły Glock i nóż sprężynowy, a także dwa śrubokręty i klucz francuski. Nożem rozpruł podszewkę lewej kieszeni, tak by zmieścił się w niej cały obrzyn, i włożył kurtkę. Na koniec odblokował zamek przy frontowych drzwiach, wrócił do jadalni i zaczął czekać.

• • •

Trzej futboliści zjawili się pojedynczo jeden po drugim, pierwszy zgodnie z przewidywaniem lekarza dokładnie pół godziny po rozmowie. Przyjechał czarną półciężarówką, zaparkował na drodze pod płotem i przebiegł po podjeździe z taką pewnością siebie, jakby czuł się jak w domu. Otworzył drzwi i Reacher położył go jednym potężnym ciosem klucza w potylicę. Chłopak opadł na kolana i runął na twarz. Reacherowi zajęło trochę czasu i kosztowało sporo wysiłku odciągnięcie go po lśniącem parkiecie i skrępowanie taśmą. Zrobił to niedbale, ale na tyle solidnie, by chłopak nie mógł się wyzwolić. Rumor towarzyszący uderzeniu kluczem i zwaleniu się futbolisty oraz stękanie Reachera obudziło obie kobiety, które wyszły z pokoi w szlafrokach.

- Pewnie zjeżdżają się na śniadanie – stwierdziła żona lekarza, patrząc na leżącego.
  - To sobie dziś nie pojedzą – mruknął Reacher.
  - A co będzie jutro? – zapytała Dorothy Coe.
  - Jutro będzie nowy dzień. Jak dobrze znasz Eleanor Duncan?
  - Ona nie ma z tym nic wspólnego.
  - To ona będzie w tym roku zwoziła plony. Będzie szefową.
- Dorothy Coe nie odpowiedziała.

– Mamy zejść panu z drogi? – spytała żona lekarza.  
– Byłoby bezpieczniej. Lepiej, żeby któryś z tych osiłków nie przygniótł pani, upadając.  
– Jedzie następny – poinformował z jadalni lekarz cichym głosem, w którym słychać było napięcie.

Drugiego osiłka spotkał taki sam los i w tym samym miejscu, co pierwszego. Nie było już czasu ani miejsca na odciąganie go i Reacher zgiął mu tylko nogi w kolanach, żeby dało się zamknąć drzwi, i wstępnie okleił taśmą.

Ostatni zjawił się wielkolud, który złamał Reacherowi nos.

I nie przyjechał sam.

Biały SUV zaparkował na drodze za płotem i zza kierownicy wysiadł wielkolud odpowiedzialny za złamanie Reacherowi nosa, ale zaraz otworzyły się też drzwi po stronie pasażera i wysiadł chłopak imieniem John. Ten sam, którego Reacher zostawił w bazie i kazał mu położyć się do łóżka, a ten nie posłuchał. Widać czekał na wiadomości od kolegów i dowiedziawszy się, że jest już po wszystkim, postanowił przyjechać i dołączyć do zabawy.

Głupi, głupi, głupi.

W przedpokoju było za ciasno, by się w nim swobodnie poruszać. Na podłodze leżało czterech futbolistów, jak wyrzucone na brzeg wieloryby. Mieli kończyny skrępowane taśmą, głowy bezwładnie zwieszane. Reacher przepchnął się między ich cielskami i wyjrzał przez okno. Dwaj nowo przybyli mijali już pick-upa Dorothy i żółtego yukona Johna, spiesząc do wejścia w radosnym oczekiwaniu i chcąc jak najszybciej uciec z wilgotnego zimna.

Reacher otworzył drzwi i wyszedł im na spotkanie, wyciągając z kieszeni obrzyna zamaszystym gestem, jakim korsarz dobywa zza pazuchy staromodny pistolet skałkowy. Trzymając go w lekko zgiętej w łokciu prawej ręce, wycelował w osiłka od łamania nosów, jednocześnie nie spuszczać wzroku z Johna.

– Zawiodłeś mnie – powiedział.

Obaj futboliści stanęli jak wryci i wlepili w niego tak zdumiony wzrok, że aż go to zdziwiło, zaraz jednak przypomniał sobie srebrzystą taśmę na swojej twarzy. Musiał wyglądać niczym wojownik w barwach wojennych. Uśmiechnął się i poczuł, jak taśma ściąga mu mięśnie twarzy.

Przeniósł wzrok na osiłka od łamania nosów i powiedział:

– To nie było nic poważnego i dało się naprawić. Ale wątpię, czy będziesz mógł to samo powiedzieć o sobie.

Żaden z chłopaków się nie odezwał.

– Wyjmij kluczyki i rzuć mi – polecił Reacher, nie spuszczać wzroku z osiłka od nosa.

– Co?

– Znudzil mi się yukon Johna. Teraz pojeżdżę sobie trochę twoim.

– Tak myślisz?

– Jestem tego pewny.

Brak odpowiedzi.

– To czas decyzji, chłopcy. Albo zrobicie, co wam każę, albo zaczną strzelać.

Chłopak sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki. Uniósł rękę, żeby było je dobrze widać, zamachnął się od dołu i rzucił do Reachera, ten jednak nawet nie spróbował ich złapać. Kluczyki odbiły się od niego i upadły na żwir. Reacher chciał mieć lewą rękę wolną i skupiać uwagę na jednej rzeczy. Przeniósł wzrok na osiłka.

– Jak się czujesz ze swoim nosem? – spytał.

– Całkiem nieźle.

– Wygląda na to, że ci go już kiedyś złamano.

– Dwukrotnie – odparł chłopak.

– No cóż, jak to mówią, do trzech razy sztuka. Podobno ten trzeci jest szczęśliwy.

Żaden się nie odezwał.

– John, połóż się twarzą do ziemi – rozkazał Reacher.

John się nie poruszył.

Reacher strzelił w ziemię przed jego stopami. Rozległ się huk, obrzyn szarpnął, a odgłos strzału potoczył się po okolicy, głośny i głęboki jak detonacja ładunku odpalonego w kamieniołomie. John zawył i podskoczył. Nie został trafiony, ale poderwane kamyki uderzyły go w łydki. Reacher odczekał, aż przestanie wrzeszczeć, i ostentacyjnie zarepetował broń, która znów wydała głośne „chrup-chrup” – zapewne najbardziej przerażający dźwięk na świecie. Łuska

wystrzelonego naboju wyskoczyła z komory, poszybowała łukiem w powietrzu, upadła obok kluczyków i odtoczyła się kawałek dalej.

John padł na ziemię. Najpierw niezgrabnie ugiął kolana, jakby klękał w kościele, potem rozłożył ręce i położył się twarzą do ziemi, jakby się zabierał do zrobienia stu pompek nakazanych przez rozszłoszczonego trenera. Reacher krzyknął przez ramię:

– Doktorze, przynieś tu, z łaski swojej, taśmę uszczelniającą!

Brak odzewu.

– Nie przejmuj się, doktorku. Ci chłopcy już tu nigdy nie wrócą. Dziś są tu po raz ostatni. Od jutra będziecie tu żyli jak normalni ludzie. Chłopcy stracą pracę, wrócą do domów i poszukają sobie nowego zajęcia.

Zapadła długa, pełna napięcia cisza, po czym lekarz wyszedł z domu z rolką taśmy w rękę, nie patrząc na futbolistów. Górę wzięło przyzwyczajenie i miał odwróconą twarz i wzrok wbity w ziemię. Podał rolkę Reacherowi i bez słowa zawrócił do domu. Reacher rzucił ją chłopakowi od nosa.

– Oklej kolegę tak, żeby nie mógł ruszyć ręką ani nogą – rozkazał. – Bo jak nie, to zrobię to sam, ale nie gwarantuję, że mu nie uszkodzę przy tym rdzenia kręgowego.

Chłopak wziął rolkę taśmy i zabrał się do roboty. Okleił przeguby rąk Johna trzema warstwami taśmy przeplecionej w ósemkę, potem kilkakrotnie owinął taśmę wokół środka, tworząc plastikowe kajdanki. Reacher nie znał wyrażonej w cyfrach wytrzymałości taśmy na zrywanie, ale wiedział jedno: żaden człowiek na świecie nie jest w stanie jej zerwać. Chłopak zrobił to samo z nogami Johna w kostkach, po czym Reacher rozkazał:

– A teraz go spętaj. Połącz ręce z nogami.

Chłopak przygiął nogi Johna do pośladków i czterokrotnie przeciągnął taśmę między skrępowanymi nogami i rękami, tworząc trzydziestocentymetrową pętlę. Wszystkie końcówki taśmy skrupulatnie docisnął, potem wyprostował się i zrobił krok do tyłu. Reacher wyjął klucz francuski i wyciągnął rękę. Na główce widać było ślady zaschniętej krwi i kępkę włosów, które zostawili dwaj poprzednicy. Rzucił klucz za siebie i wyjął sprężynowiec. Przez moment trzymał go w wyciągniętej ręce i też rzucił za siebie. To samo zrobił z wyjętym z kieszeni glockiem. Odwrócił się i położył obrzyna obok reszty, zdjął kurtkę i rzuciwszy na ziemię, okrył nią wszystkie cztery sztuki broni. Spojrzał na chłopaka, który złamał mu nos, i powiedział:

– Walka fair. Jeden na jednego. Rezerwowy futbolista z Nebraski przeciwko rezerwiście armii amerykańskiej. Gołe pięści, żadnych reguł. Jeśli uda ci się mnie wyminąć, możesz użyć tego, co wyciągniesz spod mojej kurtki.

Chłopak przez chwilę przyglądał mu się tępo, potem lekko się uśmiechnął, jakby nagle zaświeciło słońce, jakby otworzyły się przed nim zupełnie nieoczekiwane możliwości. Jakby w szczelnym murze pojawiła się furтка. Jakby jednym wykopem mógł osiągnąć strefę bramkową. Wzniósł się na palce, pochylił lekko do przodu, uniósł pod brodę prawą pięść i lekko wyciągnął lewą rękę. Przyjął postawę.

Reacher też się lekko uśmiechnął. Chłopak zaczął przebierać nogami jak sam markiz Queensberry\* i widać było, że nie ma pojęcia o walce na pięści. Zielonego. Pewnie ostatni raz widział boks na którymś z filmów z Rockym. Miał dwa metry wzrostu, ważył sto czterdzieści kilo i był jak wielki, połyskliwy i nieruchawy buhaj, któremu przyszło się zmierzyć z rysztołowym szczurem.

Studziesięciokilogramowym rysztołowym szczurem.

Chłopak zrobił krok do przodu i wspierając się na palce, przez chwilę boksował w powietrzu, robił uniki i tańczył na nogach, bezproduktywnie tracąc czas i energię. Reacher stał nieporuszony i patrzył na niego szeroko rozwartymi oczami, nie skupiając wzroku na niczym konkretnie i widząc wszystko w szerokim panoramicznym planie, obserwując ruch oczu, rąk i nóg. Chwilę potem chłopak wymierzył pierwsze lewe dziabnięcie – oczywisty cios kogoś praworęcznego, komu się wydaje, że walczy na ringu bokserskim. Lewe dziabnięcie przebiega po tej samej trajektorii co lewy prosty, jest jednak znacznie słabsze, bo wspiera go energia samej tylko ręki od łokcia w dół, bez istotnego udziału nóg, tułowia i górnej części ramienia. Cios pozbawiony



prawdziwej siły. Patrząc na zbliżające się ku jego twarzy różowe knykcie lewej pięści, Reacher w odpowiednim ułamku sekundy wystawił lewą rękę. Ruch był błyskawiczny, skierowany od siebie i w górę, jakby opędzał się przed natrętną muchą, i na tyle silnie wymierzony w wewnętrzną stronę nadgarstka napastnika, by zmienić trajektorię ciosu. Wystarczająco silnie, by pięść ominęła twarz i poleciała w pustą przestrzeń nad jego poruszającym się ramieniem.

Poruszającym się dlatego, że równocześnie stanowiło to przygotowanie do zadania ciosu. Wybił się z zakroczonej nogi, szarpnął ciało do przodu i skręcając się w pasie, by zwiększyć moment obrotowy, wyrzucił prawy łokieć w szczelinę powstałą z obrotu przeciwnika o dwa centymetry w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, celując łokciem w zewnętrzną krawędź lewego oczodołu w nadziei, iż spowoduje to pęknięcie czaszki aż do skroni. Uprzedził, że w walce nie obowiązują żadne reguły. Cios trafił w cel, wzmocniony stu dziesięcioma kilogramami napierającej masy ciała. Był tak potężny, że Reacher odczuł siłę uderzenia w całym ciele aż po palce stóp. Futbolistę odrzuciło do tyłu, ale utrzymał się na nogach. Najwyraźniej nie doznał pęknięcia czaszki, ale mocno to poczuł. Tak mocno, że jego usta się rozchyliły, jakby chciał zaskowyczeć. Nie zdążył jednak, bo Reacher zamknął mu je potężnym podbródkowym – gwałtownym i niezbyt eleganckim, ale skutecznym. Głowę chłopaka szarpnęło do tyłu w obłoczku krwistej mgielki, naprężenie potężnych mięśni naramiennych spowodowało odrzucenie jej do przodu. Korzystając z tego, Reacher wymierzył kolejny cios – tym razem lewym łokciem w krawędź prawego oczodołu. Ciosowi towarzyszyła gwałtowna rotacja w pasie, po czym nastąpił finałowy cios w gardło chłopaka i poprawienie kolanem w podbrzusze. Reacher obszedł go od tyłu i z całej siły zamachnął się nogą w zgięcia kolan. Cios był jak machnięcie kosą. Nogi chłopaka się ugięły i runął jak długi na plecy.

Sześć ciosów w trzy sekundy.

Żadnych reguł.

Rezerwowy futbolista Nebraski przeciwko rezerwiście armii amerykańskiej.

Ale futbolista był twardy. Albo się zląkł. Albo jedno i drugie. W każdym razie się nie poddał. Zaczął się wiercić na plecach jak żółw próbujący przekreślić się na nogi, rysując ramionami orły w warstwie żwiru i rzucając na boki głową. Może bardziej fair byłoby policzyć do ośmiu i pozwolić mu się zebrać, ale przeciwnik leżący na ziemi to marzenie każdego szczura rynsztokowego. Ostateczny cel każdej bójki i cenny dar niebios, którego nie wolno marnować, i Reacher go nie zmarnował. Wymierzył kopniaka w ucho i rozdeptał twarz leżącego obcasem buta, jakby rozgniatał karalucha. Pośród stękania, dyszenia i pojękiwania dało się słyszeć głośne chrupnięcie łamiącego się nosa.

Koniec zabawy. Osiem ciosów w sześć sekund, co jak na Reachera było wyjątkowo słabym wynikiem. Ale trzeba przyznać, że przeciwnik był naprawdę wyjątkowo rostry, miał zawziętość i wolę walki wyniesioną z boiska, przywykł do różnego rodzaju fizycznych kontuzji i próbował stanąć na wysokości zadania. No, prawie. W każdym razie nie był najgorszy w gronie przeciwników Reachera. Cztery lata zmagania na uniwersyteckim boisku odpowiadały pewnie czterem dniom wojskowej zaprawy w jednostce komandosów. Ale Reacher znał wielu, którzy nie dotrwali do trzeciego dnia.

Skrępował leżącego taśmą, oklejając mu ręce plastikowymi kajdankami i łącząc je z czterowarstwowym kołnierzem wokół szyi i kajdankami wokół kostek nóg, oraz dodatkowo czterokrotnie owijając taśmę wokół szyi Johna. Zawrócił do domu i poprawił pęta dwóm powalonym wcześniej futbolistom. Przeciągnął ich po lśniącym parkiecie przedpokoju, przysunął plecami do siebie i okleił razem w wielką nieforemną kukłę, jak wcześniej dwóch nocnych strażników. Wyprostował się i cicho odsapnął.

W tym samym momencie zabrzęczał stłumiony dzwonek telefonu.

•••

Okazało się, że dzwoni komórka Dorothy Coe. Dzwonek wydał się stłumiony, bo telefon dzwonił za zamkniętymi drzwiami. Dorothy wyszła z nim do holu, spojrzała na cztery oklejone taśmą postacie na podłodze i uśmiechnęła się z satysfakcją, jakby w całym ciągu przygnębiających

wydarzeń ujrzała wreszcie coś pocieszającego.

– Dzwonił pan Vincent z motelu – oznajmiła. – Chce, żebym przyszła dziś rano do pracy. Ma gości.

– Powiedział kogo? – spytał Reacher.

– Nie powiedział.

Reacher zastanawiał się przez chwilę.

– Dobrze – powiedział. Poleciał lekarzowi, by profesjonalnym okiem doglądał sześciu futbolistów, wyszedł przed dom i włożył kurtkę. Poutykał po kieszeniach swój podręczny arsenał, odszukał leżące na żwirze kluczyki i ruszył w stronę zaparkowanego za płotem białego SUV-a.

• • •

Eldridge Tyler poruszył się, ale tylko na tyle, by poprawić pozycję. Od świtu minęły już dwie godziny, ale Tyler należał do ludzi cierpliwych. Oko miał nadal przytknięte do lunetki, a ta była nadal skierowana na wrota stodoły, piętnaście centymetrów w lewo od krawędzi drzwiczek, piętnaście centymetrów poniżej przedłużenia górnej krawędzi. Podstawa lufy wciąż pewnie spoczywała na woreczkach ryżu. Powietrze było ciężkie i wilgotne, ale słońce już stało na niebie i widoczność była doskonała.

Tyle że rosłego mężczyzny w brązowej kurtce z kapturem wciąż nie było.

Jeśli Duncanom powiodło się w nocy, to może wcale się nie pojawić, ale Tyler nadal zachowywał maksymalną czujność. Był człowiekiem ostrożnym i do swoich obowiązków podchodził poważnie, a Duncanom mogło się w nocy nie powieść. W takim przypadku wielkolud w kurtce pojawi się tu bardzo niedługo. Po cóż miałby czekać? Potrzebuje tylko światła dziennego.

Tyler zdjął palec ze spustu, pogimnastykował dłoń, wyginając ją na wszystkie strony, i ponownie ułożył palec.

Biały SUV okazał się chevroletem tahoe. Reacherowi, który nie znał się na samochodach, wydał się identyczny jak yukon GMC. Kabina kierowcy wyglądała dokładnie tak samo, wszystkie przełączniki, zegary i kontrolki były takie same, prowadziło się go identycznie, a on reagował tak samo ciężko i topornie. Reacher dojechał do szosy i skręcił na południe. W powietrzu wisiała lekka mgiełka, ale słońce wyłoniło się zza wschodniego horyzontu już blisko dwie godziny temu.

Zwolnił, przestawił na luz i samochód jeszcze przez chwilę potoczył się siłą rozpędu, w końcu stanął na poboczu jakieś dwieście metrów przed motelem. Stąd widać było tylko sztyld w kształcie rakiety i wielką rotundę z recepcją i barem. Wysiadł i wolno ruszył po asfaltowej nawierzchni, z każdym krokiem powiększając pole widzenia. Najpierw dostrzegł spalonego forda. Stał na głównym parkingu na samych felgach, czarny wypalony szkielet z dwiema ludzkimi sylwetkami za pozbawionymi szyb oknami, spalonymi na węgiel i skurczonymi do wielkości małych manekinów. Chwilę potem dojrzał subaru pod domkiem numer sześć, poobijane i zmaltretowane, ale w porównaniu z fordem wciąż tchnące życiem.

I dopiero wtedy dojrzał granatowego chevroleta.

Stał zaparkowany za subaru, na wysokości domku numer siedem lub osiem, lub obu z powodu niestarannego parkowania. Wiodły do niego cztery krótkie koleiny wyżłobione w żwirze świadczące o tym, że siedzący w nim mężczyźni przyjechali zmęczeni, zniechęceni i źli i chcieli jak najszybciej odpocząć.

Reacher zszedł z szosy i poruszając się cicho po luźnym żwirze parkingu, ruszył do wejścia do rotundy. Mijając forda, poczuł, że wciąż bije od niego ciepło, a żar płomieni spowodował, że na karoserii pojawiły się fantastyczne esy-floresy. Drzwi do recepcji nie były zamknięte na klucz. Reacher wszedł do środka i zobaczył, że Vincent właśnie odwiesza słuchawkę telefonu zamocowanego na ścianie za ladą recepcji. Odwrócił się i spojrzał na oklejoną taśmą twarz Reachera.

– A tobie co się, u diabła, stało? – parsknął.

– Lekkie zadrapanie. Kto dzwonił?

– Poranny komunikat. Ci sami co zawsze. Jak w zegarku.

– Drzewo telefoniczne?

Vincent kiwnął głową.

– I co?

– Nic ważnego. Trzy samochody futbolistów kręciły się nocą po okolicy, ale jakby bez entuzjazmu. Teraz wszyscy dokądś pojechali. Czterej Duncanowie siedzą w domu Jaspera.

– Masz jakichś gości?

– Tych dwóch Włochów. Umieściłem ich w siódemce i ósemce.

– Pytali o mnie?

Vincent kiwnął głową.

– Pytali, czy tu byłeś. Pytali, czy cię widziałem. Niewątpliwie cię szukają.

– Kiedy przyjechali?

– Około piątej nad ranem.

Tym razem to Reacher kiwnął głową. Przez całą noc jeździli na próżno, aż w końcu zrezygnowali. Nie chcąc tracić godziny na jazdę do Marriotta i następnej godziny na powrót, postanowili przenoćować na miejscu. Zapewne mieli zamiar przespać kilka godzin i z samego rana znów ruszyć na poszukiwania, wyraźnie jednak zaspali. Ot, ludzka natura.

– Obudzili mnie – powiedział Vincent. – Byli wściekli. Podejrzewam, że mi nawet nie zapłacą.

– Który z nich zastrzelił tych ludzi w fordzie?

– Ja ich nie rozróżniam. Jeden strzelał, drugi podpalał samochód.

– I widziałeś to na własne oczy?  
– Tak.  
– Jesteś gotów zeznać to w sądzie?  
– Nie, bo to dotyczy Duncanów.  
– A zrobiłbyś to, gdyby Duncanów tu nie było?  
– Nie starcza mi wyobraźni na taki scenariusz.  
– Ale mnie powiedziałeś.  
– Prywatnie.  
– To powiedz mi jeszcze raz.  
– Jeden z nich zastrzelił tych gości, drugi podpalił samochód.  
– Dobra – powiedział Reacher. – To mi wystarczy.  
– Do czego?  
– Zadzwoń do nich. Powiedz, że za chwilę u nich będę. Mów szeptem. Powiedz im, że widzisz mnie przez okno, jak oglądam ten spalony wrak.  
– Nie chcę być w to zamieszany.  
– To ostatni dzień – uspokoił go Reacher. – Od jutra wszystko będzie inaczej.  
– Pozwól, że zaczekam i sam się o tym przekonam.  
– Jutro ludzie będą się tu dzielili na trzy kategorie. – Reacher się uśmiechnął. – Martwych, zastraszonych i mających odrobinę szacunku dla siebie. Powinieneś się znaleźć w tej trzeciej grupie.

Vincent nie odpowiedział.

– Znasz Eleanor Duncan? – spytał Reacher.

– Ona jest w porządku. Nigdy nie brała w tym udziału.

– Przejmie ich biznes. Od jutra to ona będzie ci wszystko dostarczała.

Vincent nie odpowiedział.

– Zadzwoń do Włochów dokładnie za minutę od teraz – rzucił Reacher, ruszając do wyjścia. Stawiając nogi na srebrzystych drewnianych listwach, minął domek numer jeden, potem domki numer dwa, trzy, cztery, pięć i sześć, obszedł od tyłu domki numer siedem i osiem i wrócił na ścieżkę przed domkiem numer dziewięć. Zatrzymał się w wąskim przejściu między domkami, mając okrągły domek numer osiem na wyciągnięcie ręki i domek numer siedem kawałek dalej. Na parkingu za plecami stały rzędkiem granatowy chevrolet, subaru i spalony ford. Wyjął z kieszeni glocka i sprawdził magazynek.

Był gotowy.

Zostało tylko czekanie.

Usłyszał dzwoniące wewnątrz telefony, najpierw w bliższym domku, potem w dalszym, oba dzwonki stłumione przez ściany i zamknięte drzwi. Wyobraził sobie, jak obaj zrywają się i siedząc na łózkach, mrugają szybko, by otrząsnąć się ze snu. Rzucają okiem na zegarek, rozglądają się po nieznanym wnętrzu, ich wzrok pada na telefony na nocnych stolikach, podnoszą słuchawki i słuchają przekazywanej zdyszonym szeptem wiadomości.

Czekał.

Wiedział, co się teraz wydarzy. Któryś pierwszy uchylił drzwi i kryjąc się za nimi z pistoletem w ręku, będzie wyciągał szyję, by sprawdzić, czy partner jest już na stanowisku. Potem zaczną się porozumiewać na migi i ustalać plan działania.

Czekał.

Pierwsze uchyliły się drzwi w domku numer osiem. Reacher dostrzegł dłoń na klamce, potem pistolet skierowany niemal pionowo w górę, potem przedramię, potem łokieć, potem tył głowy. Mężczyzna trzymał w ręku colta Double Eagle, przedramię miał okryte pomiętym rękawem koszuli, na głowie sterczały mu potargane czarne włosy.

Reacher cofnął się o krok i czekał. Po chwili do jego uszu dobiegł odgłos otwieranych drzwi w domku numer siedem. Bardziej wyczuł, niż usłyszał szelest nakrochmalonej bawełnianej koszuli, szmer cichych głosów i postukiwanie w piersi przy ustalaniu, kto co robi. Mignęły wyciągnięte ramiona pokazujące kierunki i rozczapierzone palce wyznaczające kolejność działań. Logiczne

było, żeby lokator domku numer osiem wypadł skokami, skrył się za domkiem numer sześć, obiegł od tyłu rotundę z recepcją i obstał parking od północy. Lokator siódemki powinien chwilę odczekać, potem wyskoczyć i obstać parking od południa. Prosta sprawa.

I dokładnie tak zrobili. Reacher usłyszał, jak stojący dalej mężczyzna wychodzi i odczekuje, podczas gdy będący bliżej zaczyna się poruszać. Szybko ocenił, że potrzeba mu ośmiu kroków, by zrównać się z pierwszym. Policzył w myślach i na „sześć” wypadł z ukrycia, na „siedem” uniósł glocka, a na „osiem” wrzasnął: „stać, stać, stać!”. Obaj mężczyźni stanęli jak wryci, praktycznie od razu się poddając. Pistolety mieli opuszczone przy udach i wyglądali na wyrwanych ze snu, niedospanych i dezorientowanych. Reacher ani o decybel nie obniżył głośności wrzasku: „rzuć broń, połóż broń na ziemi!”. Obaj mężczyźni bez chwili wahania zastosowali się do polecenia i oba colty z nierdzewnej stali niemal równocześnie upadły na żwir. Reacher wrzasnął: „cofnij się, cofnij się, cofnij się!”, i obaj cofnęli się na parking, oddalając się od swych pokoi i samochodu.

Reacher wysunął się i przyjrzał im się od tyłu. Obaj mieli na sobie spodnie i koszule, na nogach buty. Byli bez marynarek i płaszczy.

– Obróćcie się – rozkazał.

Obaj się obrócili.

– To ty! – burknął stojący po lewej.

– Wreszcie się spotykamy. Jak wam mija dzień?

Brak odpowiedzi.

– Wywróćcie kieszenie spodni. Do samego końca. Chcę zobaczyć podszewkę.

Bez słowa spełnili polecenie. Z kieszeni posypał się bilon: ćwierćdolarówki, dziesięciocentówki i lśniące nowością centy. Na żwir upadły też paczki chusteczek higienicznych i telefony komórkowe. Z jednej także kluczyk do samochodu z grubą czarną główką i plastikowym wisiorkiem w kształcie cyfry jeden.

– Teraz się odsuńcie. Cofajcie się, aż powiem dość.

Zaczęli się cofać, Reacher ruszył za nimi, utrzymując to samo tempo. Osiem kroków, dziesięć, aż do miejsca, gdzie leżały ich colty.

– Dobra, wystarczy – rzucił. Schylił się, podniósł jeden z pistoletów i wytrząsnął magazynek, który upadł na żwir. Magazynek był pełny. Powtórzył to samo z drugim i stwierdził, że w magazynku brakuje jednego naboju.

– Kto? – zapytał.

– Ten drugi – odpowiedział mężczyzna po lewej.

– Co za drugi?

– Drugi Irańczyk. Ty załatwiłeś jednego, my drugiego. Właściwie jesteśmy po tej samej stronie.

– Nie sądzę. – Reacher podszedł do zawartości kieszeni i podniósł kluczyk do samochodu.

Nacisnął przycisk na główce i usłyszał szcęknięcie blokady drzwi chevroleta. – Siadajcie z tyłu – rozkazał.

– Wiesz, kim jesteśmy? – spytał mężczyzna po lewej.

– Tak – odrzekł Reacher. – Dwoma gnojami, którzy właśnie dali dupy.

– Pracujemy dla pana Rossiego z Las Vegas. Jest dobrze ustawiony. Z kimś takim się nie zadziera.

– Wybaczcie, że nie zemdleję z wrażenia.

– Ma też forszę. Kupę forsy. Może moglibyśmy się dogadać.

– W jakiej sprawie?

– Szykuje się tu pewien interes. Moglibyśmy cię włączyć. Byłbyś bogaty.

– Już jestem bogaty.

– Nie wyglądasz. Mówię poważnie. Chodzi o naprawdę duże pieniądze.

– Mam wszystko, czego mi trzeba. To moja definicja zamożności.

Mężczyzna zamilkł na moment, po czym podjął próbę:

– Powiedz, co mogę zrobić, żebyś był zadowolony.

– Możesz usiąść na tylnym siedzeniu.

- Dlaczego?
- Dlatego, że boją mnie ręce i nie chce mi się ciebie ciągnąć.
- Nie, dlaczego chcesz, żebyśmy wsiedli?
- Bo wybierzemy się na przejażdżkę.
- Dokąd?
- Powiem, gdy wsiądziecie.

Obaj mężczyźni wlepili wzrok w jakiś punkt między sobą. Nie mieli odwagi spojrzeć sobie w oczy, żeby nie zapeszyć. Los dawał im szansę wybrnięcia z tego. Oni dwaj z tyłu, z przodu on sam za kierownicą. Reacher odprowadził ich lufą Glocka do drzwi samochodu. Jeden z mężczyzn wsiadł z bliższej strony, drugi obszedł wokół bagażnika. Reacher widział, że tęsknie spogląda na ciągnące się za szosą puste pole i po krótkiej walce wewnętrznej porzuca myśl o czmychnięciu. Bezkrzesna płaska przestrzeń, bez żadnych naturalnych kryjówek. I nowoczesny dziewięćmilimetrowy pistolet, zapewniający precyzję strzału na co najmniej piętnaście metrów. Mężczyzna otworzył drzwi, schylił głowę i wcisnął się na tylne siedzenie. Impala nie zalicza się do małych samochodów, ale limuzyną też nie jest, zwłaszcza z tyłu. Obaj mężczyźni musieli wcisnąć stopy pod przednie fotele i choć nie byli ani szczególnie tężdzi, ani wysocy, mieli mocno ograniczone ruchy i siedzieli ściśnięci.

Reacher otworzył drzwi kierowcy, położył kolano na fotelu i przechylił się do środka.

- To dokąd jedziemy? – zapytał mężczyzna, który wcześniej próbował pertraktować.
- Niedaleko – odrzekł Reacher.
- Nie możesz nam powiedzieć?
- Staniemy obok Forda, który podpaliliście.
- Co, tylko ten kawałek?
- Przecież mówiłem, że niedaleko.
- I co dalej?
- Podpalę wasz samochód.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Nic z tego wszystkiego nie rozumieli i rozmowniejszy z nich znów się odezwał:

– Chcesz powiedzieć, że pojedziesz z nami dwoma na tylnym siedzeniu? Znaczący, bez niczego?

– Jeśli chcecie, możecie zapiąć pasy. Ale to naprawdę niepotrzebne. Jestem ostrożnym kierowcą. To niedaleko i nie spowoduję wypadku.

Mężczyzna bąknął „ale...” i zamilkł.

– Wiem, o co ci chodzi – rzekł Reacher. – Że będę odwrócony plecami i możecie na mnie skoczyć.

- No.
- Ale nie skoczycie.
- Bo co?
- Bo nie. Po prostu to wiem.
- Ale dlaczego nie?

– Bo już będziecie martwi. – Reacher strzelił prosto w czoło pierwszego Włocha, ułamek sekundy później zrobił to samo z drugim, wykonując szybkie i płynne „trach-trach”, niemal bez słyszalnej przerwy. Tylna szyba eksplodowała, na pozostałe w oknie fragmenty szkła chlusnęła krew i odłamki kości, które reagują z opóźnieniem i poruszają się dużo wolniej niż pociski. Obaj mężczyźni jeszcze wolniej odchylili się do tyłu, jak starsi ludzie układający się do drzemki, tyle że z otwartymi oczami. Z otworów w ich czołach wypłynęły wielkie krople czerwieni, przechodząc w strużki spływające ku nasadzie nosa.

Reacher odchylił się do tyłu, wyprostował i spojrział na północ. Parabellum dziewięć milimetrów. Doskonała amunicja. Dwa wystrzelone pociski pewnie dopiero teraz spadają na ziemię jakieś półtora kilometra dalej, tak gorące, że wbijają się w podmarzniętą glebę.

• • •

Reacher zajrzał do domku numer siedem i z kieszeni płaszcza wyjął portfel. W środku znajdowało się wydane w Nevadzie prawo jazdy na nazwisko Roberto Cassano z adresem w Las Vegas, cztery karty kredytowe i nieco ponad dziewięćdziesiąt dolarów w gotówce. Reacher wziął z tego sześćdziesiąt, wrócił do samochodu i przejechał czterdzieści metrów, zaparkował tuż obok wraku spalonego forda. Wszedł do biura, wręczył Vincentowi sześćdziesiąt dolarów za dwa pokoje na jedną noc i wziął od niego trochę szmat i paczkę zapalek. Od razu po zapaleniu szmacianego lontu w otworze paliwa wycofał się i pobiegł do zostawionego na poboczu tahoe. W chwili gdy mijał parking, z chevroleta zaczynały wydobywać się pierwsze płomienie. Po ujechaniu jakichś czterystu metrów zobaczył w lusterku błysk eksplodującego zbiornika paliwa. Z tej perspektywy kula ognia i potężna chmura dymu wyglądały tak, jakby stojąca obok rakieta była prawdziwa i naprawdę startowała w kosmos.

•••

Do Eldridge'a Tylera dotarł odgłos strzałów. Dwie niezbyt głośne detonacje, jedna tuż po drugiej, gdzieś daleko. Właściwie tylko ciche pyknięcia w mroźnym powietrzu. Ktoś strzelał, ale to nie był karabin. Ani strzelba. Tyler znał się na broni palnej i wiedział, jak brzmi rozchodzący się w powietrzu huk strzałów z różnych typów. Pistolet lub rewolwer, pomyślał, jakieś pięć, sześć kilometrów stąd. Może polowanie dobiegło końca? Może go już dopadli? Znow się poruszył, prostując jedną nogę, potem drugą, wyciągając jedną rękę, potem drugą, poruszając ramionami i kręcąc szyją. Sięgnął do brezentowej torby, wyjął butelkę wody i kanapkę z żytniego chleba i położył jedno i drugie w zasięgu ręki. Potem wyjrzał przez wywietrznik i uważnie się rozejrzał. Bo może go jednak nie wykończyli. Będąc człowiekiem ostrożnym, Tyler nigdy nie dawał się zwieść pozorom. Kazano mu czekać i obserwować, będzie więc czekał i obserwował tak długo, aż dadzą mu nowe instrukcje.

Oparł się na rękach, wykręcił szyję i spojrzął za siebie. Słońce przesunęło się nieco bardziej na południowy wschód i płasko padające promienie rozświetlały wejście do jego kryjówki. Plastikowa osłonka przeciągniętego przez wejście drutu pokryła się kropelkami rosy i lekko lśniła, ale Tyler wiedział, że to tylko chwilowe. Za dziesięć minut rosa wyschnie i pułapka znow stanie się niewidoczna.

Odwrócił się i ułożył wygodnie, przykładając oko do lunetki i opierając palec na spuście.

Dorothy Coe skorzystała z łazienki na dole, by przed wyjściem do pracy w motelu wziąć szybki prysznic. Potem wstąpiła do kuchni na kawę i tosta w towarzystwie lekarza i jego żony, wdając się z nimi w rozmowę, która sprawiła, że zmieniła plany.

- A dokąd on pojechał? – spytała.
  - Nie jestem pewny – odparł lekarz.
  - Coś ci musiał powiedzieć.
  - Rozpracowuje jakąś teorię.
  - On coś wie. Czuję to.
- Lekarz pominął to milczeniem.
- Powiedz mi, dokąd pojechał – powtórzyła.
  - Do starej stodoły.
  - To ja też tam jadę.
  - Nie rób tego – ostrzegł ją lekarz.

• • •

Reacher zjechał z szosy na pobocze jakiś kilometr za skrzyżowaniem do stodoły. Stała pośrodku pustego pola półtora kilometra na zachód od szosy, lekko przechylona na bok, jakby przyklękła obok mniejszego sąsiada, rysując się wyraźnie w czystym porannym powietrzu. Reacher wysiadł, chwycił za pręt bagażnika na dachu i oparłszy nogę na fotelu, podciągnął się i stanął wyprostowany na dachu. Miał stąd jeszcze lepszy widok niż wcześniej z subaru, bo tahoe było wyższe. Powoli obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, osłaniając oczy od słońca z jednej strony i wytrzeszczając wzrok w mroku z drugiej. Daleko na północy widać było motel, daleko na południu trzy domy Duncanów, i nic więcej. Żadnych ludzi, żadnych pojazdów, nic się nie ruszało.

Zszedł na maskę i zeskoczył na ziemię. Postanowił nie wracać do traktu wyjeżdżonego przez traktory i ruszył na przelaj ku widocznym w oddali budynkom, kierując się na przerwę między stodołą a szopą.

• • •

Eldridge Tyler usłyszał, że coś podjechało. Cichutki szelest opon na chropowatym asfalcie, szum spalin z katalizatora, szmer pracujących podzespołów – wszystko ledwo słyszalne w idealnej wiejskiej ciszy. Usłyszał, że pojazd się zatrzymuje. Jakieś półtora kilometra stąd. To na pewno nie żaden z Duncanów z wiadomością dla niego. Oni podjechaliby pod samą stodołę albo zadzwonili. To także nie furgon z dostawą. Jeszcze nie. To nastąpi dopiero za kilka godzin.

Przekręcił się na bok i sprawdził wygląd pułapki z drutu. Miał opracowaną w głowie sekwencję czynności na wypadek pojawienia się kogoś: sięgnąć po strzelbę, przekręcić się na bok, usiąść, obrócić się i z bliska wystrzelić. Żaden problem.

Odwrócił głowę, przyłożył oko do lunetki i oparł palec na spuście.

• • •

Dziesięć minut później Reacher był już w połowie drogi do stodoły. Po drodze cały czas analizował sytuację i kalkulował. Był sam. Został już tylko on. Dziesięciu futbolistów unieszkodliwionych, Włosi nie żyją, ludzie z forda nie żyją, drugi Irańczyk też już załatwiony, wszyscy czterej Duncanowie siedzą w którymś ze swoich domów. Reacher czuł, że tej ostatniej informacji może zaufać. Tutejsze drzewo telefoniczne działało jak sprawna siatka wywiadowcza. W armii mówiło się na to *humint*<sup>1</sup>. Reacher wiedział, że na widok takiej sprawności armia z zazdrości by zzieleniała.

Szedł dalej, od czasu do czasu korygując kierunek marszu dokładnie na przerwę między



budynkami. Stodoła stała po prawej stronie, mniejsza szopa po lewej, obrastające je chaszczce wyglądały, jakby narysowane ołówkiem. Suche brunatne badyle, latem zamieniające się pewnie w bogactwo barw i kształtów. To musiało przyciągać uwagę dzieci, które mogły bez trudu tu dojechać rowerami traktem traktorowym. Dziecięce rowery mają zwykle solidne ramy i balonowe gumy.

Szedł dalej.

• • •

Eldridge Tyler uspokoił oddech, skupił uwagę i wyteżył słuch, starając się wyłowić wszelkie obce dźwięki. Znał te strony. Ziemia zawsze pęczniała, grzejąc się na słońcu, i kurczyła, stygnąc w cieniu. Podlegała drobnym wibracjom i mikroskopijnym wstrząsom, tłocząc kamyki i odłamki skał przez liczne warstwy ku powierzchni, gdzie rozłożone w koleinach i bruzdach czekały, aż ktoś na nie nastąpi, kopnie czy sprasuje tak, że będą mogły znów się przemieścić. Nie da się iść bezszelestnie po polu i Tyler o tym wiedział. Oko miał przy lunecie, palec na spuście, uszy wyczulone na każdy szmer.

• • •

Reacher zatrzymał się pięćdziesiąt metrów od celu i zamarł w bezruchu, przyglądając się budynkom i stosując zasadę kolistego rozumowania, zgodnie z którym jego teoria musiała być albo w całości prawdziwa, albo w całości fałszywa.

Ośmioletnia Margaret przyjechała sama zbierać kwiatki, ale jej zniknięcie nie było przypadkowe. Dowodziła tego sprawa roweru. Dziecko na tyle roztrzepane, by rzucić rower na ścieżkę i beztrudnie wbiec do stodoły, mogłoby przez nieuwagę w rozpadającej się ruderze doznać jakiegoś poważnego urazu. Ale dziecko na tyle sumienne i odpowiedzialne, by zabrać z sobą rower, zapewne byłoby wystarczająco uważne, by nie zrobić sobie krzywdy. Wynika to z ludzkiej natury. I logiki. Gdyby to był wypadek, rower znaleziono by na zewnątrz. Roweru nie było, zatem to nie był wypadek.

Oraz: pojechała do stodoły z własnej woli, ale nie z własnej woli weszła do środka. Bo czego zrywające kwiatki dziecko szukałoby w starej stodole? Dla wiejskich dzieci w stodole nie ma nic ciekawego. Żadnych tajemnic. Dziecka kochającego kolory, przyrodę i świeżość nic by nie ciągnęło do ponurego, mrocznego i śmierdzącego wnętrza. Nawet jeśli dwadzieścia pięć lat temu wrota dawały się jeszcze przesunąć, czy dziecko byłoby w stanie je poruszyć? Budynek miał ze sto lat i od chwili zbudowania popadał w ruinę. Wrota są zakleszczone i mogły takie być już wtedy, ale jeśli nawet nie, to na pewno były bardzo ciężkie. I czy ośmiolatce udałoby się precyzyjnie przeczesać rower przez małe i wysoko umieszczone drzwiczki? Ciężki rower z masywną ramą, kołami na balonach i sterzącymi na boki pedałami i kierownicą?

Nie, ktoś inny musiał zrobić to za nią.

Ktoś piąty.

Bez udziału kogoś piątego cała teoria brała w łeb. Bez kogoś piątego nie mogło być mowy o stodole. Bez udziału kogoś piątego wyprawa na kwiatki była bez sensu. Wszyscy Duncanowie mieli alibi, a mimo to Margaret Coe zniknęła. Zatem musiał tu być ktoś jeszcze, przypadkiem lub celowo.

Albo i nie.

Albo we wszystkim ma rację, albo we wszystkim się myli.

Gdyby Reacher miał się we wszystkim mylić, byłoby to przykre, ale nic wielkiego by się nie stało. Gdyby we wszystkim miał rację, oznaczałoby to istnienie kogoś piątego i należało to rozważyć. Musiał to być ktoś blisko związany z Duncanami, z którymi połączyły go raz na zawsze wspólne cele i straszna tajemnica. Musieli móc na niego liczyć, a jego bezwzględna lojalność gwarantowała albo wspólnota zainteresowań, albo haki, jakie na niego mieli. Był kimś, kto w sytuacjach awaryjnych zawsze służył im pomocą.

Reacher spojrzał na stodołę i stojącą obok szopę.

Jeśli jego teoria jest prawdziwa, ten piąty musi tu teraz być.

Jeśli ten piąty tu jest, jego teoria jest prawdziwa.

Reacher odwiedził budynki dwukrotnie, raz nocą i raz w dzień. Był człowiekiem spostrzegawczym, bo od szczegółów często zależało jego życie. Żył, bo dostrzegał szczegóły. Tyle że z pięćdziesięciu metrów nie można było dostrzec nic szczególnego. Po prostu dwie stare rozpadające się rudery. Jeśli ten piąty tam jest, powinien czekać w stodole trochę w bok od wejścia, powiedzmy ze dwa metry, siedząc na krzeselku ze strzelbą na kolanach i czekając, aż jego cel pojawi się w kwadracie otwartych drzwiczek. Ewentualnie mógłby też ukryć się w szopie nieopodal stodoły i leżąc na stryszku ze strzelbą i okiem przy lunetce, obserwować przedpole przez jeden z wywietrzników, które Reacher widział podczas obu poprzednich wizyt. O wiele trudniej byłoby mu strzelić, ale może uważał się bardziej za strzelca wyborowego niż egzekutora strzelającego komuś w twarz. I może uważał wnętrze stodoły za tak nienaruszalne, że nikt obcy nie miał prawa go widzieć. Nawet ktoś, kogo za chwilę czekała śmierć. Ale jeśli nawet pierwsza wersja odpowiadała prawdzie, to i tak należało zacząć od sprawdzenia szopy. Tego domagała się zwykła logika.

Reacher skręcił w lewo ku dłuższej ścianie szopy i ruszył niezbyt szybko i niezbyt wolno, krokiem ni to marszowym, ni spacerowym. W sumie tak jest ciszej, niż kiedy się biegnie lub skrada. Zatrzymał się dwa metry od szopy, na granicy płataniny porastających ją chaszczki, i się zadumał. Było bardzo prawdopodobne, że piąty albo sam służył kiedyś w wojsku, albo nasłuchiwał się wojskowych opowieści od przyjaciół i krewnych. Mieszka w sercu Ameryki, gdzie wszyscy mają wielu braci i kuzynów. Może nie jest wykwalifikowanym strzelcem wyborowym i może nie służył nawet w piechocie, ale mógł słyszeć o typowych dla tej służby problemach, z których jednym jest to, że gdy strzelec leży w kryjówce i czeka na pojawienie się celu, coraz bardziej dręczy go to, co się dzieje za nim. To wynika z ludzkiej natury. To niemożliwy do opanowania odruch i dlatego strzelcy wyborowi działają w dwuosobowych zespołach, w których ten drugi jest obserwatorem. Formalnie zadaniem obserwatora jest wypatrywanie celów i obliczanie odległości i poprawki na wiatr, ale tak naprawdę służy on jako druga para oczu i tarcza bezpieczeństwa. Poza wszystkim innym powodzenie misji snajpera zależy od równomiernego oddechu i spokojnego bicia serca i wszystko, co pomaga uspokoić jedno i drugie, jest wręcz bezcenne.

Zatem czy piąty może mieć z sobą obserwatora? Kogoś szóstego? Raczej nie, bo jest już ktoś szósty, kto siedzi teraz za kierownicą szarego furgonu. A więc obserwator byłby siódmy, a siedem osób to trochę dużo jak na prowincjonalną grupę spiskową. Dlatego piąty jest raczej sam, a dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa musiał się posłużyć jakimś systemem wczesnego ostrzegania, jak choćby świeżo usypany chrząszczący żwir lub rozrzucone wokół tłuczone szkło, lub drut rozciągnięty przez wejście do szopy. Coś, co go ostrzeże, robiąc hałas, i co mu pozwoli spokojnie leżeć i czekać.

Reacher ominął chaszczki i ruszył w stronę wejścia. Zatrzymał się kilkadziesiąt centymetrów przed nim i zaczął nasłuchiwać, ale w środku panowała cisza. Wciągnął powietrze w nadziei, że poczuje ulotną chemiczną woń mogącą wskazywać na znajdujący się w pobliżu pojazd – opary benzenu i węglowodoru zmieszane z organicznymi zapachami ziemi i butwiejącego drewna – ale jego nos nadal zatykały skrzepy krwi i prawie nic nie czuł. Właściwie nie prawie, tylko zupełnie nic. Dlatego wziął do jednej ręki obrzyna, do drugiej glocka i uważnie się rozglądając, zrobił krok do przodu.

I dojrzał rozciągnięty w poprzek drut.

Kawałek cienkiego elektrycznego przewodu w czarnej plastikowej osłonce, jaki majsterkowicze kupują w sklepach sieci Radio Shack. Przewód był rozciągnięty w poprzek wejścia na wysokości połowy łydki, pokryty lekkim nalotem po dopiero co obeschniętych kroplach rosy, co znaczyło, że umieszczono go tu jeszcze przed świtem, minimum dwie godziny temu, to zaś z kolei znaczyło, że piąty jest człowiekiem czujnym, przewidującym, cierpliwym i bardzo zdeterminowanym. Znaczyło także, że Duncanowie wezwali go dzień wcześniej – pewnie wczoraj późnym popołudniem – „na wszelki wypadek”. Potwierdzało to też ostatecznie, że stodoła jest dla nich ważnym miejscem.

Reacher się uśmiechnął.

Od początku do końca miał rację.

Obszedł wejście szerokim łukiem, uważając, by nie wdepnąć w splątane chaszczę. Założył, że jak większość ludzi człowiek w szopie jest praworęczny, i postanowił zająć go od lewej, wiedząc, że wówczas będzie musiał wykonać dłuższy i mniej poręczny ruch bronią, zanim lufa skieruje się na cel. Uważnie patrzył przy tym pod nogi, ale nie znalazł żadnych dodatkowych pułapek, dostrzegł za to półciężarówkę do połowy ukrytą pod podłogą stryżku. Jej tylna kłapa była opuszczona i brudna biała farba na krawędzi połyskiwała blado w mroku. Podeszedł na piętnaście centymetrów do rozciągniętego drutu i stanął, pozwalając oczom przyzwyczać się do ciemności. Wnętrze szopy tonęło w ciemności, którą rozjaśniały tylko pojedyncze smugi światła słonecznego przeciskające się przez szpary między spaczonymi deskami. Półciężarówka Chevrolet Silverado stała zimna i obumarła. Powyżej, jeden długi krok od dachu szoferki, zaczynała się podłoga stryżku, a na niej Reacher dostrzegł skuloną ludzką sylwetkę. W świetle wdzierającym się do wnętrza przez wywietrzniki widać było tyłek, nogi, plecy i łokcie, i sterczące najbliżej zelówki butów. Miał przed sobą uzbrojonego w strzelbę piątego sprawcę.

Reacher uniósł wysoko nogi i przekroczył drut najpierw lewą nogą, potem prawą i po cichu zanurzył się w mrok. Stawiając małe kroki, wstrzymując oddech i dostawiając stopę do stopy jak linoskoczek idący po linie, podążył lewym, wygładzonym na twardo śladem opon, i dotarł do tylnej klapy półciężarówki. Mógł stąd dojrzeć nogi mężczyzny na stryżku, ale nic ponadto. Potrzebny mu był lepszy kąt widzenia, ale by go uzyskać, musiał wejść na pakę, a to oznaczało koniec skradania się. Wiedział, że metalowa podłoga może zabrzączać, zawieszenie zaskrzypieć i bardzo szybko zrobi się bardzo głośno.

Otworzył usta, zaczerpnął głęboko powietrza i wolno je wypuścił.

Eldridge Tyler nie słyszał nic aż do chwili, gdy trzy metry za i dwa i pół metra pod nim rozpętała się kakofonia dźwięków. Coś ciężkiego walnęło w burtę półciężarówki, potem rozległ się odgłos kroków na metalowej pace, potem nosowy głos wrzasnął: „nie ruszaj się, nie ruszaj się!”, potem coś strzeliło w dach tuż nad jego głową i towarzyszący temu huk w zamkniętej przestrzeni prawie go ogłuszył. Potem ten sam głos znów wrzasnął: „nie ruszaj się, nie ruszaj się!”, a potem usłyszał „chrup-chrup” oznaczające ponowne zarepetowanie broni, z dachu posypał się gorący śrut z wystrzelonego ładunku. Kłęb pyłu z przestrzelonych desek zawirował w powietrzu i opadł niczym brunatny śnieg.

W szopie zapadła cisza i nosowy głos powiedział:

– Zabierz ręce od strzelby, bo ci strzelę w dupę.

Tyler zdjął palec wskazujący prawej ręki ze spustu i odjął lewą od podstawy lufy. Głos odezwał się tuż za nim i trochę w lewo. Tyler uniósł się lekko na dłoniach i odwrócił, wyginając kręgosłup i wykręcając szyję. Ujrzał rosłego mężczyznę, co najmniej metr dziewięćdziesiąt i ponad sto kilo, ubranego w brązową kurtkę z kapturem i wełnianą pilotkę. Trzymał się trochę sztywno, jakby coś go bolało. Wyglądał dokładnie tak, jak go opisano, tyle że dodatkowo miał jeszcze na twarzy kawałek taśmy uszczelniającej. Nikt mu o żadnej taśmie nie wspominał. Mężczyzna trzymał w ręku strzelbę z obciętą lufą i wielki metalowy klucz. Był praworęczny i miał potężne bary. Środek jego czaszki znajdował się mniej więcej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów nad podłogą paki silverada, czyli dokładnie tam, gdzie Tyler wyliczył.

Przymknął oczy.

• • •

Reacher ujrzał mężczyznę po sześćdziesiątce, szerokiego w barach, ale niezbyt wysokiego, z twarzą ogorzałą od przebywania na świeżym powietrzu. Miał na sobie kilka warstw bielizny pod flanelową koszulą i wełnianymi spodniami. Zza niego wyzierały fragmenty oksydowanej stali i wypolerowanego drewna orzechowego. Droga broń myśliwska, leżąca na czymś przypominającym woreczki ryżu. Obok stała butelka z wodą i leżała paczuszka, zapewne z wałówką.

– Twoja druciana pułapka nieźle zadziałała, co? – parsknął.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Jak się nazywasz?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Zejdź tu do mnie na dół. Strzelbę zostaw tam, gdzie jest.

Mężczyzna się nie poruszył. Miał przymknięte oczy i zapewne myślał. Reacher wyobraził sobie, że w jego głowie kołacze się teraz podstawowa wątpliwość, jaka zawsze nęka każdego złapanego złoczyńcę: co o mnie wiedzą?

– Wiem niemal wszystko, co się zdarzyło – powiedział Reacher. – Brak mi tylko paru szczegółów.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Dwadzieścia pięć lat temu zjawiała się tu dziewczynka zbierająca kwiaty. Pewnie przyjeżdżała tu co niedziela. W tę konkretną niedzielę byłeś tu również ty. Chcę wiedzieć, czy znalazłeś się tu przypadkiem, czy celowo?

Mężczyzna otworzył oczy, ale nic nie powiedział.

– Zakładam, że celowo.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Był początek lata – ciągnął Reacher. – Nie znam się specjalnie na polnych kwiatkach, może dopiero co rozkwitły. Chciałbym wiedzieć, ile czasu zajęło Duncanom ustalenie jej zwyczajów.

Trzy tygodnie? Dwa?

Mężczyzna lekko się poruszył. Głowa pozostała w tym samym miejscu, ale ręce przesunęły się w stronę broni.

– Uczciwie ostrzegam. Jeśli ta lufa choćby drgnie w moją stronę, zastrzelę cię.

Ręce mężczyzny przestały się ruszać, ale nie wróciły na poprzednie miejsce.

– Zakładam, że dwa tygodnie. Zauważyli ją w pierwszą niedzielę, obserwowali w drugą i wysłali cię w trzecią.

Cisza.

– Chcę, żebyś to potwierdził. Chcę wiedzieć, kiedy Duncanowie cię zawiadomili. Chcę wiedzieć, kiedy wezwali tych chłopaków do budowy ogrodzenia. Chcę poznać cały plan.

Cisza.

– Chcesz mi wmówić, że nie wiesz, o czym mówię?

Cisza.

– Dobra, wobec tego zakładam, że wiesz, o czym mówię.

Brak reakcji.

– Chcę wiedzieć, jak spiknąłeś się z Duncanami. Jak się poznaliście? Czy z racji wspólnych zainteresowań? Czy wszyscy należeliście do tego samego obrzydliwego kręgu?

Mężczyzna milczał.

– Robiłeś to już kiedyś wcześniej?

Milczenie.

– A może to był twój pierwszy raz?

Milczenie.

– Musisz ze mną porozmawiać. To twoja jedyna szansa na ujęcie z tego z życiem.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Przymknął oczy, a jego wetknięte pod ciało ręce znów zaczęły się przesuwac w stronę broni. Leżał na boku podparty łokciem, zwinięty w kłębek i zwrócony przodem do Reachera. Wylot lufy jego strzelby przesunął się nieco w lewo, ręka ujęła jej podstawę. Mężczyzna wyraźnie nie chciał ująć z tego z życiem. Chciał popełnić samobójstwo. Nie strzelając do siebie, a jedynie sięgając po broń. Reacher znał takie postępowanie. Tak zwane policyjne samobójstwo. Wcale nierzadkie wśród aresztowanych za pewne typy przestępstw.

– Kiedyś to się musiało skończyć, prawda? – rzekł Reacher.

Mężczyzna skinął głową. Ruch był ledwo dostrzegalny, jakby go nie było. Strzelba nie przestała się obracać, centymetr po centymetrze mozolnie wyplątująca z ubrania mężczyzny i wyciągana pomiędzy desek, gdzie widać się zaklinowała.

– Otwórz oczy – powiedział Reacher. – Chcę, żebyś widział, jak to się stanie.

Mężczyzna otworzył oczy. Reacher odczekał, aż przekręci strzelbę o dziewięćdziesiąt stopni, i strzelił, celując w brzuch. W ciasnym pomieszczeniu rozległa się następna potężna detonacja, a kąt strzału spowodował, że stalowe kulki przebiły się w górę przez żołądek ofiary i wbiły głęboko w klatkę piersiową, powodując natychmiastową śmierć. Reacher pomyślał, że okazał wielkoduszność, której na pewno zabrakło w stosunku do Margaret Coe.

• • •

Odczekał chwilę, po czym wdrapał się na dach szoferki silverada, wciągnął się na stryszek i kucnął obok zwłok mężczyzny. Obrócił je, wyciągnął spod nich strzelbę i zniósł na dół. Droga zabawka, zrobiona na zamówienie na bazie standardowego winchestera. Musiała kosztować majątek, ale to w końcu równie dobry sposób wydawania pieniędzy, jak każdy inny. W komorze tkwił pocisk Magnum kaliber trzysta trzydzieści osiem, pięć takich samych w magazynku. Reacher pomyślał, że strzelanie czymś takim do człowieka z odległości stu dziesięciu metrów to zdrowa przesada, przyszło mu jednak na myśl, że siła ognia może się okazać przydatna.

Wziął strzelbę i wyszedł z szopy, znów robiąc krok nad rozciągniętym w wejściu drutem. Przez chwilę stał z twarzą do słońca, a potem obrócił się i ruszył w stronę stodoły.

• • •

Drzwiczki we wrotach miały zawiasy otwierające się na zewnątrz i były zamknięte na zamek typowy dla drzwi frontowych w podmiejskich domach. Otwór na klucz osłaniała zaśnieżona mosiężna plakietka, a znajdujący się za nią stalowy język zapewne wchodził w stalowe gniazdo zagłębione na wręgi i przykręcone dwoma wkrętami do ościeżnicy. Główną przeszkodą była masywna ościeżnica. Reacher przystawił do niej zdobyczną strzelbę i z odległości trzydziestu centymetrów wystrzelił dwukrotnie, celując w miejsca, gdzie według niego znajdowały się wkręty, potem jeszcze dwa razy pod innym kątem. Pociski magnum zrobiły swoje, drzwiczki odskoczyły na centymetr i zawisły na kawałkach drewna. Reacher włożył palce w powstałą szczelinę i z całej siły pociągnął. Oderwał się kawał drewna długości ręki, upadł na ziemię i drzwiczki puściły. Reacher odciągnął je do końca, przez chwilę stał jeszcze na słońcu, po czym schylił głowę i wszedł do środka.

Wyszedł ze stodoły po jedenastu minutach i zobaczył jadącego drogą dla traktorów pick-upa Dorothy Coe. W szoferce siedziały trzy osoby – Dorothy za kierownicą, lekarz przy drzwiach pasażera i wciśnięta między nich jego żona. Reacher stał odrętwiały, mrużąc oczy w blasku słońca. W jednej ręce trzymał zdobyczną strzelbę, druga zwisała luźno. Dorothy najpierw zwolniła, potem zatrzymała się w pewnej odległości, jakby bała się usłyszeć to, co on ma do powiedzenia.

Po trwającej w nieskończoność minucie drzwi samochodu się otworzyły i wysiadł lekarz, jego żona przesunęła się po winylowej kanapie i wysiadła za nim. Dopiero wtedy otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i wysiadła Dorothy. Na moment znieruchomiała, schowana za otwartymi drzwiami i z ręką opartą na ich ramie. Reacher raz jeszcze zamrugał, dotknął oklejonej taśmą twarzy i ruszył w ich stronę. Dorothy przez chwilę milczała, potem dwukrotnie spróbowała zadać pytanie, które więzło jej w gardle. Dopiero za trzecim razem udało jej się wypowiedzieć je do końca:

- Jest tam?
- Tak.
- Jesteś pewny?
- Jest tam jej rower.
- Wciąż? Po tylu latach? Jesteś pewny, że to jej?
- Podobny do opisanego w policyjnych aktach.
- Musi być strasznie zardzewiały.
- Tylko trochę. W stodole jest sucho.

Dorothy zamilkła i wbiła wzrok w horyzont nieco w bok od stodoły, jakby nie mogła się zdobyć na patrzenie na nią wprost. Stała zmartwiała i tylko jej dłoń oparta o ramę drzwi ścisnęła ją z taką siłą, że zbieleły palce.

– Potrafisz powiedzieć, co jej się stało? – spytała.  
 – Nie. – Formalnie rzecz biorąc, mówił prawdę, bo nie był przecież patologiem. Ale wystarczająco długo był żandarmem, by trochę wiedzieć, a reszty się domyślić.

- Powinam tam wejść i sama zobaczyć.
- Nie rób tego – ostrzegł.
- Muszę.
- Nie musisz.
- Ale chcę.
- Lepiej, żebyś tego nie zrobiła.
- Nie możesz mi zabronić.
- Wiem.
- Nie masz prawa mnie powstrzymywać.
- Tylko proszę, nic więcej. Proszę, nie wchodź tam.
- Muszę.
- Lepiej nie.
- Nie musisz cię słuchać.

– To posłuchaj jej. Posłuchaj Margaret. Wyobraź sobie, że dorosła. Wyobraź sobie, kim by mogła być. Nie byłaby ani prawniczką, ani naukowcem. Kochała kwiaty. Kochała kolory i kształty. Byłaby malarką albo poetką. Artystką. Kimś wrażliwym i twórczym. Kochała życie i byłaby pełna życia. Troszczyłaby się o ciebie i byłaby mądra. Spojrzałaby na ciebie, pokręciła głową, uśmiechnęła się i powiedziała: „No już, mamusiu, zrób, co ci radzi ten pan”.

- Tak sądzisz?
- Powiedziałyby: „Mamusiu, zaufaj mi”.
- Ale ja muszę ją zobaczyć. Po tych wszystkich latach pustki, kiedy nic o niej nie

wiedziałam.

- Lepiej, żebyś tego nie robiła.
- To tylko jej kości.
- To nie tylko jej kości.
- Cóż więcej mogło z niej zostać?
- Nie w tym rzecz – powiedział Reacher. – Chodzi o to, że nie tylko j e j kości.

• • •

Przekazanie towaru w okolicach czterdziestego dziewiątego równoleżnika odbyło się zgodnie z planem. Biały furgon przejechał wolno na południe, pokonał ostatni kawałek terytorium Kanady i po raz ostatni zaparkował na dzikiej leśnej polance, jakieś trzy kilometry od granicy. Kierowca wysiadł, przeciągnął się i okrążył furgon. Z podłogi przed fotelem pasażera wziął gruby zwój sznura i obszedł furgon od tyłu. Otworzył drzwi i zrobił ponaglący ruch ręką. Stłoczone wewnątrz kobiety i dziewczynki chętnie i bez chwili wahania wysypały się na zewnątrz. Dla nich to było ziszczenie marzeń. Od dawna na to czekały i dużo za to zapłaciły. Za chwilę wszystkie miały się znaleźć w Ameryce.

Cała szesnastka – sześć młodych kobiet i dziesięć dziewczynek o średniej wadze po czterdzieści kilo każda – pochodziła z tajlandzkich wiosek i stanowiła towar o łącznej wadze pięciuset siedemdziesięciu dwóch kilogramów. Wszystkie kobiety były szczupłe i urodziwe, dziewczynki miały po mniej więcej osiem lat. Stały, mrużąc oczy w świetle poranka i rozglądając się po otaczających je wysokich drzewach i potupując zdrętwiałymi nogami. Widać było, że są zmęczone i zdrętwiałe, ale pełne radosnego wyczekiwania.

Kierowca ustawił je w ciasnym półkolu. Nie mówił ani słowa po tajsku, one nie znały angielskiego, musiał więc zdać się na prezentację na migi, jak wielokrotnie już to robił. Zresztą tak było nawet szybciej, niż gdyby próbował wszystko wyjaśnić słownie. Zaczął od poklepania dłonią powietrza, by je uciszyć i przyciągnąć uwagę. Potem uniósł palec do ust, skręcił ciało od lewej do prawej i powiódłszy wzrokiem po całym półkolu, z przesadną ekspresją odegrał pantomimę nakazującą zachowanie absolutnej ciszy. Wskazał palcem ziemię, potem zwinął dłoń i przytknął do ucha, co znaczyło: w ziemi są czujniki! Ziemia podsłuchuje! Kobiety skwapliwie pokiwały głowami na znak, że rozumieją. Wskazał na siebie, powiódł ręką po nich i wyciągnawszy ją na południe, poruszył palcami. Teraz wszyscy razem pójda pieszko. Kobiety znów pokiwały głowami. Wiedziały, że tak będzie, bo je o tym uprzedzono przed wyruszeniem w drogę. Kierowca wyciągnął obie ręce spodem dłoni do dołu, poruszał nimi w pionie i potoczył wzrokiem po grupie. Trzeba iść ostrożnie i zachowywać spokój. Kobiety skwapliwie kiwały głowami, dziewczynki nieśmiało zerkały zza opadających na oczy włosów.

Kierowca rozwinął sznur, odmierzył końcówkę długości około dwóch metrów i owinął wokół ręki pierwszej z kobiet, potem odmierzył następne dwa metry i owinął wokół ręki pierwszej z dziewczynek, potem znów dwa metry i ręka kolejnej dziewczynki, potem następna kobieta i następna, póki cała szesnastka nie została połączona, tworząc wąż. Sznur miał im tylko pomagać, a nie krępować ruchy, stanowić coś na kształt ruchomej poręczy. Pozwalał grupie utrzymać jednakowe tempo i zapobiegał zejściu z drogi i zgubieniu się w gęstwinie. Nawet bez wracania i szukania zabłąkanych uczestniczek przeprawa przez las była wystarczająco niebezpieczna.

Kierowca przywiązał końcówkę sznura do swojej ręki i ruszył przodem, klucząc między drzewami i kępami zarośli i prowadząc za sobą kobiety. Szedł powoli i ostrożnie, gotowy interweniować w przypadku rozmów czy jakiegokolwiek zamieszania za plecami. Jak zwykle panowała cisza i nic się nie działo. Azjaci potrafią być zdyscyplinowani, zwłaszcza gdy są nielegalnymi imigrantami, zwłaszcza gdy są to kobiety i małe dziewczynki.

• • •

Mimo ich wysiłków dwadzieścia minut później usłyszano coś na dwóch stacjach nasłuchowych oddalonych niemal tysiąc kilometrów od siebie: najpierw w Fargo w Dakocie Północnej, zaraz potem w Winnipeg, w prowincji Manitoba. Ściśle mówiąc, nie tyle usłyszano, ile



odnotowano drganie igieł sejsmograficznych w chwili, gdy grupa przeszła nad ukrytym w ziemi czujnikiem drgań. Amplituda drgań była minimalna i ledwo przekraczała poziom szumów tła. Funkcjonariusz amerykańskiego Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Fargo przyjrzał się wykresowi drgań i uznał, że to jeleń, pewnie wirgiński. Może nawet cała rodzina jeleni. Jego kolega w Kanadzie spojrzął na wykres i pomyślał, że to pewnie podmuch wiatru strącającego z drzew czapy śniegu.

• • •

Szły powoli i ostrożnie, stąpając lekko i znosząc cierpliwie trudy trzeciego z czterech etapów podróży. Pierwszym był rejs po morzu w kontenerze, drugim jazda białym furgonem, teraz miały do pokonania odcinek drogi pieszo, na koniec czekał je jeszcze jeden przejazd furgonetką. O wszystkim je szczegółowo poinformowano w małym kantorku nad sklepem w miasteczku w pobliżu ich rodzinnych wiosek. W ich stronach było wiele biur organizujących podobne przerzuty, jednak to było powszechnie uznawane za najlepsze. Cena za przerzut była wysoka, ale w zamian miało się gwarancję doskonałej obsługi. Człowiek z biura zapewnił je, że jego jedyną troską jest dopilnowanie, by dotarły do Ameryki w jak najlepszej kondycji, świeże jak stokrotki. W tym celu kontener będący ich domem na czas morskiej podróży – najdłuższego etapu z wszystkich czterech – był wyposażony we wszelkie niezbędne udogodnienia. Wnętrze było oświetlone żarówkami dającymi światło dzienne, które zasilano z akumulatorów samochodowych. Wszystkie pasażerki miały własne materace z kocami, w bród jedzenia i wody, toalety chemiczne i apteczki pierwszej pomocy. Wentylację zapewniały otwory udające dziury przeżarte przez rdzę, a gdyby te nie wystarczyły, w środku znajdowały się wentylatory zasilane z tych samych akumulatorów, a także butle z tlenem, z których można było sączyć tlen, gdyby pasażerom zrobiło się duszno. Było nawet urządzenie do ćwiczeń wysiłkowych, aby do sześciokilometrowej przeprawy przez tereny przygraniczne mogły przystąpić w dobrej kondycji. Było gdzie się umyć i posmarować skórę środkami nawilżającymi. Powiedziano im także, że furgonetki będą podobnie wyposażone, tyle że nieco skromniej, bo jazda nimi potrwa dużo krócej.

Miały wrażenie, że trafiły na doskonałego organizatora, który o wszystkim pomyślał.

A najważniejsze było to, że wcale nie kręcił nosem na towarzyszące matkom nieletnie córki. Niektórzy organizatorzy godzili się przerzucać wyłącznie osoby dorosłe, bo dorośli mogli od razu brać się do pracy. Inni akceptowali wprawdzie dzieci, ale z reguły tylko starszych chłopców, bo ci też mogli od razu pracować, natomiast ten bez oporu przyjmował dziewczęta i nie kręcił nosem nawet na całkiem małe, co uznawano za szlachetne z jego strony. Jedynym utrudnieniem było to, że ze względu na obyczajność obie płcie musiały podróżować oddzielnie. W rezultacie rozdzielono mężów i żony, braci i siostry, po czym w ostatniej chwili powiadomiono, że statek mający zabrać mężczyzn i chłopców z jakiegoś powodu jest opóźniony i kobiety będą musiały wyruszyć w podróż pierwsze. Jednocześnie zapewniono, że nie stanowi to żadnego problemu, bo do chwili przyplłynięcia drugiego statku kobietami zaopiekują się miejscowi.

Uprzedzono je, że sześciokilometrowy przemarsz przez leśne ostępy będzie najtrudniejszym etapem podróży, ale okazało się, że wcale nie jest źle. Maszerowały z przyjemnością, wdychając świeże powietrze. Było zimno, ale do zimna były przyzwyczajone, bo zimy w Tajlandii też bywają ostre. Zresztą były na to przygotowane i ciepło się ubrały. Najwspanialej było w chwili, gdy ich przewodnik nagle się zatrzymał, przytknął palec do ust i zamachał ręką w poprzek ich ścieżki, jakby pokazywał linię na trawie. Potem wyciągnął rękę i bezgłośnie wypowiedział magiczne słowo „Ameryka”. Ruszyli dalej, a one jedna po drugiej przekraczały niewidzialną granicę, uśmiechając się do siebie radośnie i sunąc zwiewnie jak baletnice po amerykańskiej ziemi.

• • •

Czekający po amerykańskiej stronie granicy kierowca szarego furgonu Duncanów dostrzegł nadchodzącą grupę z odległości około stu metrów. Jak zwykle jego kanadyjski kolega szedł przodem, narzucając tempo i trzymając w ręku koniec sznura. Za nim ciągnął się ludzki wąż, prześlizgując się przez gęstwinę tak płynnie i lekko, jakby fruwał. Kierowca Duncanów otworzył

tylne drzwi i czekał, gotów na przejęcie dostawy. Kanadyjczyk jak zwykle wręczył mu końcówkę sznura, jakby przekazywał pałeczkę w biegu sztafetowym, po czym bez słowa pożegnania zawrócił i po chwili zniknął w leśnej gęstwinie. Kierowca Duncanów na migi polecił kobietom wsiąść, ustawił się przy drzwiach i przypatrując się z uśmiechem twarzom wsiadających, każdej podawał rękę, jakby oficjalnie witał je w ich nowym kraju. W rzeczywistości kierowca miał naturę hazardzisty i robił w duchu zakłady, którą z dziewczynek Duncanowie zostawią dla siebie. Wiedział, że kobiety od razu trafią do agencji towarzyskich w Vegas, a dziewięć dziewczynek rozjedzie się po kraju, ale jedna co najmniej przez jakiś czas lub, technicznie rzecz biorąc, na zawsze zostanie u Duncanów. Dziesięć kupujemy, dziewięć odsprzedajemy, głosiła ich dewiza i kierowca furgonu lubił na tym etapie zakładać się sam z sobą, którą spotka to szczęście. Ze wstępnego przeglądu wyszło mu, że w rachubę wchodzi cztery kandydatki, potem jednak poczuł nagłe podniecenie na widok piątej, mimo iż zdawał sobie sprawę, że zanim trafi w jego ręce, jej wygląd ulegnie radykalnej zmianie.

• • •

Dorothy Coe tkwiła za otwartymi drzwiami pick-upa całe dziesięć minut. Stojąc przed nią w milczeniu, Reacher miał nadzieję, że zasłania jej w ten sposób stodołę. Był gotów tak stać dopóty, dopóki to będzie potrzebne – dziesięć godzin, dziesięć dni, dziesięć lat lub do końca świata – byle nie dopuścić, by weszła do środka. Jej wzrok błędził gdzieś daleko, wargi lekko się poruszały, jakby toczyła z sobą wewnętrzną walkę: zobaczyć – nie zobaczyć, wiedzieć – nie wiedzieć.

W końcu spytała:

– Ile ich tam jest?

– Około sześćdziesięciu.

– O mój Boże!

– Zapewne po dwie, trzy rocznie. Gustują w tym. To jak nałóg. Nie ma tam żadnych duchów. Duchy nie istnieją. Głosy, które słyszał ten młody narkoman, należały do świata żywych.

– Kim one były?

– Pewnie Azjatkami.

– Można to poznać po ich kościach?

– Ostatnia z nich to coś więcej niż same kości.

– Skąd oni je brali?

– Zapewne z rodzin imigrantów. Niemal na pewno nielegalnych, przemyczanych przez zieloną granicę jako żywy towar na potrzeby branży seksualnej. To właśnie tym Duncanowie się zajmują. Na tym zbijają majątek.

– Wszystkie były dziećmi?

– Mniej więcej ośmioletnimi.

– Są tam pochowane?

– Nie – powiedział Reacher.

– Leżą rzucone na stertę?

– Nie na stertę. Leżą porozkładane, jak w świątyni.

W rozmowie nastąpiła bardzo długa przerwa.

– Powinam to zobaczyć – oświadczyła w końcu Dorothy Coe.

– Nie rób tego.

– Dlaczego nie?

– Są też fotografie. Fotograficzne pamiątki. W srebrnych ramkach.

– Powinam to zobaczyć.

– Będziesz żałowała. Do końca życia będziesz żałowała, że to widziałaś.

– Ale ty widziałaś.

– I już żałuję. Wolałbym tego nie oglądać.

Dorothy Coe znów umilkła i ciężko dysząc, wbiła wzrok w horyzont.

– I co powinniśmy teraz zrobić? – spytała w końcu.

- Wybieram się do domów Duncanów. Siedzą tam sobie i myślą, że wszystko się dobrze układa. Czas im udowodnić, że się mylą.
- Chcę jechać z tobą – oznajmiła Dorothy.
- To nie jest dobry pomysł – rzekł Reacher.
- Muszę.
- To może być niebezpieczne.
- Mam nadzieję, że będzie. Są rzeczy, za które warto umierać.
- Jedziemy z wami. Oboje – powiedziała żona lekarza. – Ruszajmy zaraz.

Dorothy Coe usiadła za kierownicą swego pick-upa, lekarz z żoną wcisnęli się obok, Reacher ze zdobyczną strzelbą wsiadł do skrzyni ładunkowej i tak przejechali wyboistym traktem traktorowym i kawałkiem szosy do miejsca, w którym zostawił białe tahoe futbolisty od łamania nosów. Stało nietknięte w tym samym miejscu. Reacher ruszył przodem, pozostała trójka za nim. Przejechali szosą kawałek na południe i zatrzymali się niecały kilometr przed skrzyżowaniem do posiadłości Duncanów. Mieli stąd dobry widok na całą okolicę. Reacher zdjął lunetkę ze strzelby i użył jej jako miniaturowego teleskopu. Wszystkie trzy domy widać stąd było jak na dłoni. Na podjeździe stało pięć zaparkowanych pojazdów: trzy stare półciężarówki, czarny cadillac Seta i czerwona mazda Eleanor Duncan – ustawione rzędem na lewo od ostatniego w szeregu domu Jacoba. Wszystkie były pokryte rosą i wyglądały smętnie i martwo, jakby dawno temu je porzucono. Oznaczało to, że wszyscy czterej Duncanowie są w środku i nie ma nikogo więcej. A więc dokładnie tak, jak Reacher miał nadzieję.

Wysiadł i przeszedł parę kroków do tyłu, by porozumieć się z resztą. Wyjął z kieszeni obrzyna i wręczył Dorothy Coe.

– Wracajcie do domu i zabierzcie kluczyki futbolistom – powiedział. – Potem wróćcie tu trzema samochodami. Wybierzcie te, które mają najpełniejsze baki. Wracajcie najszybciej, jak się da.

Dorothy zawróciła i ruszyła szosą na północ, Reacher wrócił do tahoe, wsiadł do środka i zaczął czekać.

• • •

Trzy stojące na uboczu domy. Zima. Wokół pusta równina bez jakichkolwiek kryjówek. Klasyczne zadanie taktyczne. Standardowa doktryna dowodzenia piechotą nakazuje w takich warunkach wstrzymanie się od działań i wezwanie na pomoc artylerii lub lotnictwa bombowego. W przypadku wojny partyzanckiej należałoby rozdzielić siły i zaatakować cel granatnikami raketowymi równocześnie z czterech stron, z głównym uderzeniem od północy z uwagi na najmniejszą liczbę okien od tej strony. Ale Reacher nie dysponował siłami, które dałoby się rozdzielić, podobnie jak nie miał do dyspozycji granatników, artylerii ani lotnictwa. Był sam i miał do pomocy alkoholika w średnim wieku i dwie kobiety, z czego jedną w szoku. Pod względem uzbrojenia dysponowali strzelbą z dwoma nabojami w magazynku, dziewięćmilimetrowym glockiem z szesnastoma nabojami i obrzynem kaliber dwanaście z trzema nabojami, a także nożem sprężynowym, kluczem francuskim, dwoma śrubokrętami i paczką zapalek. Trudno to nazwać imponującym arsenałem.

Po ich stronie był jednak czas, bo mieli do dyspozycji cały dzień, a także korzystne ukształtowanie terenu. Tkwili pośrodku szesnastu tysięcy hektarów niczym nieosłoniętej równiny. Także płot Duncanów był po ich stronie. Ogrodzenie, które ćwierć wieku temu postawiono dla zapewnienia Duncanom alibi, nadal sprawiało wrażenie solidnego. Zgodnie z prawem niezamierzonych konsekwencji ich własny płot obróci się teraz przeciwko nim i ugryzie ich w tyłek.

Reacher raz jeszcze przyłożył lunetkę do oka. Na posesji Duncanów nic się nie działo. Wszędzie panował martwy spokój i nie licząc dymu wydobywającego się z kominów pierwszego i trzeciego domu, nic się nie ruszało. Dym snuł się na południe, rozwiewany przez wiatr. Może nawet bardziej wietrzyk niż wiatr, ale powietrze zdecydowanie się poruszało.

Reacher czekał.

• • •

Po piętnastu minutach zobaczył we wstecznym lusterku nadjeżdżający krótki konwój.

Pierwszy jechał pick-up Dorothy, za nią złoty yukon z lekarzem za kierownicą, konwój zamykała żona lekarza w czarnym pick-upie, którym o świcie przyjechał pierwszy z futbolistów. Wszystkie trzy pojazdy zwolniły, zjechały na pobocze i ustawiły się w ciasnym szyku za tahoe, a ich kierowcy odruchowo odwrócili wzrok od posesji Duncanów. Zadziałały dawne przyzwyczajenia.

Reacher wysiadł z tahoe, zebrał wszystkich wokół siebie i poinformował o swoim planie. Kazał Dorothy zatrzymać obrzyna i podał lunetkę żonie lekarza, od niej zaś wziął szal i telefon komórkowy. Potwierdzili, że rozumieją swoje zadania, a on odprawił ich gestem ręki. Wszyscy troje wsiedli do pick-upa Dorothy i ruszyli na południe. Reacher został sam z trzema zaparkowanymi na poboczu pojazdami i kluczami do wszystkich w kieszeni. Policzył w myślach do pięćdziesięciu i ruszył do akcji.

• • •

Czarny pick-up był o jakieś trzydzieści centymetrów dłuższy od pozostałych dwóch pojazdów i Reacher postanowił użyć go jako drugiego. To znaczyło, że yukon Johna stanie się trzecim, ale nie miał z tym problemu, bo dobrze się nim jeździło.

Przeszedł poboczem i uruchomił silniki we wszystkich trzech pojazdach, po czym zaczął je kolejno przesuwac, zbliżając się do podjazdu Duncanów i ustawiając we właściwej kolejności. Miał nadzieję, że dzięki temu dłużej pozostanie niezauważony. Bez lunetki obraz posiadłości Duncanów był dużo mniej szczegółowy, ale wyglądało na to, że wszędzie panuje spokój. Ustawił czarnego pick-upa pięćdziesiąt metrów przed skrzyżowaniem na posesję i zaparkował złotego yukona tuż za nim, potem pobiegł do tyłu, wsiadł do białego tahoe i podjechał nim do samego wjazdu. Skręcił i stanął przodem w stronę domów.

Wysunął się z kabiny, przykucnął i nałożył szczęki klucza francuskiego na pedał gazu, ustawiając go tak, by trzonek znalazł się w poziomie. Obrócił radełkowane pokrętło i mocno zacisnął szczęki na pedale. Obiegł samochód od tyłu i otworzył wlew paliwa. Wetknął koniec szala do otworu, wepchnął do środka dłuższym śrubokrętem i podpalił zwisający koniec. Zawrócił do drzwi kierowcy, przechylił się do środka i włączył bieg. Pracujący na wolnych obrotach samochód powoli ruszył. Idąc obok, Reacher wcisnął guzik elektrycznej regulacji fotela, który zaczął wolniutko sunąć do przodu. Minął położenie dla kierowcy średniego wzrostu, minął położenie dla kogoś bardzo niskiego i sunąc dalej, dotknął przednią krawędzią trzonka klucza. Odgłos pracującego silnika zmienił się i samochód lekko przyspieszył. Przyspieszył też Reacher i nie zdejmując palca z przycisku, spowodował, że fotel coraz bardziej napierał na trzonek, a pojazd jechał coraz szybciej. Reacher zaczął biec i wkrótce fotel osiągnął kraniec zakresu regulacji i się zatrzymał. Reacher odskoczył i pozwolił samochodowi toczyć się dalej. Pojazd poruszał się dość wolno, nie przekraczając piętnastu kilometrów na godzinę, ale na tyle szybko, by bez trudu pokonywać opór żwirowego podłoża. Wygniecione w żwirze koleiny utrzymywały tor jazdy, szal we wlewie paliwa palił się coraz większym płomieniem.

Reacher zawrócił i pobiegł w stronę szosy. Wsiadł do czarnego pick-upa, ruszył do przodu i minął skręt na posesję. Zatrzymał się, wjechał tyłem na podjazd i manewrując do przodu i do tyłu, ustawił go dokładnie w poprzek podjazdu, całkowicie go blokując. Między końcami samochodu a płotami wzdłuż podjazdu zostały tylko kilkudziesięciocentymetrowe szpary. Nie przestając toczyć się do przodu, białe tahoe z czerwonym płomieniem z tyłu zdołało już pokonać połowę dystansu między szosą a domami. Reacher zgasił silnik pick-upa, wyjął kluczyk i zawrócił biegiem w stronę szosy. Ukrył się za maską złotego yukona i zaczął czekać na rozwój wypadków.

Białe tahoe paliło się już żywym ogniem. Podskakując na nierównościach, pokonało ostatnie dwadzieścia metrów podjazdu, uderzyło przodem w środek domu i znieruchomiło. Dwutonowy ciężar i niewielki moment napędowy spowodowały, że drewniana ściana domu uległa tylko lekkiemu wgnieceniu. Od deski odłamało się kilka szczap, z okna na parterze posypała się wybita szyba, ale nic więcej. Na pewno nie można było tego uznać za groźne staranowanie.

Ale wystarczyło.

Płomienie ogarniające tył pojazdu strzeliły do przodu i wróciły na tył, spokojnie kontynuując dzieło. Rozpalone powietrze gwałtownie się wzburzyło i jęzory ognia zaczęły lizać

parapety i sięgać drzwi. Spod tylnych nadkoli buchnęły kłęby czarnego dymu i opony zaczęły dymić. Strzelający w górę dym napotkał wiejący wyżej wiaterek, a ten zaczął go rozwiewać w kierunku południowym i zachodnim.

Reacher zabrał z siedzenia yukona strzelbę.

Płomienie przesuwwały się coraz bardziej ku przodowi tahoe, wolno, ale systematycznie zdobywając teren i strzelając na boki i w górę. Tyłne opony paliły się już żywym ogniem, przednie zaczynały dymić. Chwilę później przewód paliwowy musiał ulec przerwaniu, bo pojazd utonął w gwałtownym błysku ognia o odmiennej barwie, płomień wystrzelił spod maski tahoe i zaczął lizać ścianę domu. Rozeszły się po niej liszaje ognia, łuszcząc płyty poczerniającej farby. W końcu ściana zaczęła się palić, z początku wolno i opieszale, potem coraz szybciej i gwałtowniej, jakby przypuszczający atak przedarli się przez ostateczną linię obrony i rozchodząc się na boki, zaczęli zajmować nowy teren. Ciąg powietrza w wybitym oknie przyciągnął płomienie, które zaczęły lizać futryny. Reacher zadzwonił z pożyczonej komórki.

– Środkowy dom się pali – powiedział do słuchawki.

– To dom Jonasa – odrzekła Dorothy ze swojego punktu obserwacyjnego na polu, niecały kilometr na zachód od domów. – Widzimy kłęby dymu.

– Widzisz, żeby ktoś się ruszał?

– Jak dotąd nie – odpowiedziała, po czym zaraz dodała: – Zaraz, czekaj. Widzę Jonasa.

Wychodzi tylnymi drzwiami. Skręca w lewo. Kieruje się ku frontowi domu.

– Jesteś pewna, że to on?

– Na sto procent. Mamy teleskop.

– Dobra. Nie rozłączaj się.

Położył włączoną komórkę na masce yukona i wziął do ręki strzelbę. Była wyposażona w metalowy celownik ze szczerbinką tuż przed gniazdem lunetki i metalową muszkę u wylotu lufy. Reacher uniósł strzelbę, pochylił się do przodu, oparł łokcie o maskę i wycelował w przerwę między środkowym a prawym domem. Dzielilo go od niego około stu trzydziestu metrów. Czekał.

Dojrzał wylaniającą się zza domu sylwetkę. Mężczyzna, niski i przysadzisty, około sześćdziesiątki, może trochę starszy. Okrągła czerstwa twarz, rzadkie siwe włosy. Reacher po raz pierwszy widział któregoś ze starszych Duncanów. Poruszając się sztywno, mężczyzna przeszedł między domami, wyszedł przed nie i znieruchomiał w krwistej poświacie. Spojrzał na płonące tahoe, ruszył w jego stronę i znów zamarł w bezruchu. Odwrócił głowę i wlepił wzrok w tarasującego wyjazd pick-upa.

Reacher wycelował w środek torsu mężczyzny i pociągnął za spust.

Zdobyczna strzelba biła wysoko i pocisk trafił Jonasa Duncana gdzieś między dolną wargą a czubkiem brody. Pocisk rozorał korzenie jego przednich siekaczy, przebił miękką tkankę ust i gardła, zgruchotał trzeci krąg, przebił rdzeń kręgowy, przebił tkankę tłuszczową z tyłu karku i wbił się w narożnik domu Jacoba. Jonas osunął się na ziemię, a jego zeszywniałe ciało gwałtownie zwiotczało i nabrało giętkości, zamieniając się w groteskową stertę kończyn ze zwróconą w górę twarzą i otwartymi szeroko oczami. Z ziejącej rany wyciekły ostatnie krople dotlenionej przez mózg krwi i Jonas zakończył życie.

• • •

Reacher otworzył zamek, zużyta łuska z brzękiem spadła na maskę yukona, stoczyła się po pochyłości i upadła na ziemię. Reacher wziął do ręki telefon.

- Jonas załatwiony – zameldował.
- Słyszeliśmy wystrzał – potwierdziła Dorothy Coe.
- Coś się dzieje?
- Na razie nic.

Reacher przytrzymał telefon przy uchu. Dom Jonasa palił się już na całego. Frontowa ściana stała w ogniu, wydobywające się z wnętrza jęzory płomieni rzucały pomarańczowe błyski i tańczące cienie, rozplaszczały się na suficie, lśniły czerwono za całymi jeszcze szybami i wypelzały z pozbawionych szyb otworów okiennych, łącząc się w jedno morze ognia. Wiatr rozwiewał dym i rozżarzone powietrze na sąsiedni dom po prawej.

W słuchawce odezwała się Dorothy Coe:

– Widzę Jaspiera. Wyszedł z domu, ma broń. Chyba rewolwer z długą lufą. Widzi nas. Patrzy prosto na nas.

- Jak daleko jesteście?
- Jakies pięćset metrów.
- Nie ruszajcie się. Jeśli nawet do was strzeli, na pewno spudłuje.
- To chyba jednak strzelba.
- To jeszcze lepiej. Pocisk w ogóle do was nie doleci.
- Biegnie. Minął dom Jonasa. Kieruje się w stronę domu Jacoba.

Reacher dojrzał mężczyznę przebiegającego przez wąskie przejście między domami Jonasa i Jacoba. Niski, przysadzisty mężczyzna, podobny do brata. Głos Dorothy Coe w telefonie poinformował:

– Wszedł do środka. Widzimy go przez okno w kuchni Jacoba. Są z nim Jacob i Seth.

Reacher czekał. Pożar domu Jonasa był już nie do opanowania, stojące pod nim tahoe zamieniło się w kulę ognia z poczeriałym wrakiem w środku. Szyby w oknach zaczynały wypadać wybijane przez jęzory ognia, które uderzały w nie poziomo jak pięści i natychmiast strzelały ku górze. Płomienie docierały już do dachu. Ze środka dobiegła głośna detonacja, powietrze zadrgało, cały dom jakby kaszlnął, w oknach parteru pojawił się niebieskawy błysk i kula żaru wypadła na zewnątrz, wyraźnie odcinając się barwą od płomieni w tle. W ciągu paru sekund uniosła się wolno pod dach, ciągnąc za sobą jeszcze potężniejszy warkocz ognia.

– W kuchni Jonasa coś wybuchło – poinformowała Dorothy. – Pewnie butla z gazem. Cały tył domu się pali.

Reacher czekał.

Ogień przepalił podłogę na parterze, nastąpiło kolejne kasznięcie i płonące belki runęły do piwnicy. Zwieńczenie lewej ściany zapadło się do środka, zwieńczenie prawej runęło na zewnątrz w przerwę między domami. Buchnęły snopy iskier, a ciągi rozpalonego powietrza wystrzeliły je na trzydzieści metrów w górę. Prawa ściana domu Jonasa zawaliła się, zasypując przejście i tworząc

stertę płonących zgliszczy pod lewą ścianą domu Jaspera. Potężne fale rozpalonego powietrza uderzyły w nietknięte dotąd powierzchnie i niemal natychmiast buchnęły z nich płomienie.

– Dobrze idzie – mruknął Reacher do słuchawki.

Chwilę potem strop między parterem a piętrem w domu Jonasa zawalił się w gejzerze iskier, lewa ściana straciła punkt oparcia i powolnym, niemal dostojnym ruchem złamała się na pół. Górna część wpadła do środka w szalejące płomienie, dolna wygięła się na zewnątrz i oparła o ścianę domu Jacoba. Płonące belki i żarzące się resztki zassały tlen i pojawiły się nowe potężne jęzory ognia, liżąc ściany w górę i na boki. Zaczynały się nawet palić chwasty porastające żwir.

– Myślę, że jest trzy na trzy – powiedział Reacher. – Chyba mamy wszystkie.

– Jasper znowu wyszedł – zameldowała Dorothy. – Chyba biegnie do samochodu.

Reacher przeniósł wzrok na muszkę i chwilę później ujrzał Jaspera biegnącego w stronę zaparkowanych pojazdów. Patrzył, jak dopada białej półciężarówki, cofa, zakręca i rusza wzdłuż ciągu domów. Samochód przemknął przez kurtynę iskier, minął ciało Jonasa i skręcił w stronę szosy, kierując się prosto na Reachera. Wprost na tarasującego drogę czarnego pick-upa. Jasper chyba dopiero teraz go zauważył, bo gwałtownie zahamował tuż przed przeszkodą. Wyskoczył z szoferki, podbiegł do pick-upa, otworzył drzwi po stronie pasażera i wsiadł.

Po sekundzie wysiadł.

W stacyjce nie było kluczyka.

Nic dziwnego, znajdował się bowiem w kieszeni Reachera.

Reacher odłożył telefon na maskę yukona.

Jasper Duncan znieruchomiał. Stał w odległości jakichś czterdziestu metrów, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Dla dobrego strzelca czterdzieści metrów to żadna odległość.

Reacher trafił Jaspera w głowę i ten osunął się na ziemię tak samo, jak wcześniej jego brat, zostawiając po sobie w powietrzu różowy obłoczek drobinek krwi i kości, który na moment zawisł niemal nieruchomo, by zaraz ulec rozwianiu przez wiatr.

Reacher wziął do ręki telefon.

– Jasper załatwiony – oznajmił.

Rzucił strzelbę za siebie i wsiadł do yukona. Nie miał więcej amunicji, a to oznaczało, że ta faza rozprawy dobiegła końca i należy przystąpić do następnej.



Reacher minął wjazd do domów Duncanów i sto metrów dalej skręcił w prawo w szczerze pole, miażdżąc oponami grudy stwardniałej ziemi i podskakując na nierównościach. Zatoczył szeroki łuk i osiągnąwszy linię domów, skręcił ku nim przodem i się zatrzymał, nie gasząc silnika i nie zdejmując nogi z hamulca. Z tej perspektywy było widać, że południowa ściana domu Jacoba trwała nietknięta przez ogień, sądząc natomiast po wydobywających się z za domu kłębach dymu i jęzorach ognia, północna ściana domu stoi już w płomieniach. Nieco z przodu i około sześciuset metrów w lewo widać było pick-upa Dorothy, który, tak jak jego yukon, stał zwrócony przodem do domów, kojarząc się z warującym psem myśliwskim, który czając się, czeka na sygnał do ataku.

Reacher podniósł telefon do ucha.

– Stoję teraz w bok od ciebie. Co widzisz? – spytał.

– Domu Jonasa już prawie nie ma – odrzekła Dorothy. – Właściwie sterczy tylko komin. Cegły są rozpalone do czerwoności. Za chwilę to samo będzie z domem Jaspera. U niego też wybuchła butla z gazem.

– A co z domem Jacoba?

– Ogień przesuwają się od północnej ściany ku południowej. Ostro buzuje. Musi się tam robić naprawdę gorąco.

– Nie rozłączaj się. To nie potrwa długo.

• • •

Potrwało niecałą minutę.

– Wyszli – zameldowała Dorothy Coe i sekundę później Reacher ujrzał, jak Jacob i Seth obiegają od tyłu narożnik domu. Biegli zakosami nisko schyleni, kryjąc się przed strzelcem, który w ich mniemaniu wciąż na nich dybał od strony szosy. Udało im się dobiec do jednej z półciężarówek i Reacher patrzył, jak w przysiadzie otwierają drzwi, gramolą się do środka i kulą na siedzeniach. Za ich plecami północna ściana domu Jacoba wybrzuszyła się i wolno i majestatycznie osunęła na ziemię, wyrzucając w górę gejzery iskier rozbłyskujących niczym fajerwerki. Runęły płonące belki, spływając jak lawa z wulkanu, sięgając niemal płotu i zamieniając pionową ścianę ognia w poziomą. Chwilę później południowa ściana domu przechyliła się wolno do tyłu i runęła w płomienie, pozostawiając po sobie jedynie sterzący komin.

– Jak to wygląda? – zapytał Reacher.

– Dokładnie tak, jak mówiłeś – odrzekła Dorothy Coe.

Reacher dostrzegł za kierownicą Jacoba Duncana, niższego i tęższego od siedzącego obok Seta, którego twarz wciąż była zasłonięta klamrą. Samochód cofnął się dziesięć metrów, niemal wjeżdżając tyłem w szalejące morze płomieni, ruszył do przodu i walnął w ogrodzenie, próbując je wyłamać. Przedni zderzak trochę się wygiął, pokrywa silnika nieco wybrzuszyła, płot się zakołysał, ale wytrzymał. Stawiający go głęboko wkopali słupki, użyli masywnych belek i grubych sztachet i solidnie przyłożyli się do pracy, dając kolejny asumpt do zadziałania prawa niezamierzonych konsekwencji.

Jacob Duncan ponowił próbę. Cofnął się, choć już dużo mniej niż poprzednio, bo ogień szybko się rozprzestrzenił, i znów walnął w ogrodzenie. Rzuciło nimi w kabinie niczym szmacianymi lalkami, ale ogrodzenie nie puściło. Reacher dostrzegł, że Jacob znów się ogląda, ale szalejące za nimi płomienie i zwaly gruzu nie pozwalały na dłuższy rozbieg.

Jacob zmienił taktykę. Ustawił się tak, by przód ciężarówki znalazł się dokładnie pośrodku między dwoma słupkami, wolno podjechał do płotu, dotknął osłoną chłodnicy sztachet i pozostając na niskim biegu, dodał gazu i zaczął cisnąć. Miał nadzieję, że pracując całą mocą silnika, osiągnie to, czego nie załatwiło uderzenie.

Nie osiągnął. Sztachety wygięły się, końce przechyliły do tyłu, cały płot zawibrował, ale

wytrzymał. Zaraz potem koła straciły przyczepność i zaczęły buksować, wyrzucając fontanny żwiru, a płot zwolniony od naporu odprężył się i odepchnął pojazd na dobre piętnaście centymetrów.

Reacher patrzył, jak drzwi kabiny się otwierają, Jacob i Seth wyskakują i pędzą do cadillaca, chcąc nim spróbować szczęścia. Cadillac był cięższy, miał większy moment obrotowy i większą moc. Ale gorsze opony. Zaprojektowano je z myślą o bezszelestnej jeździe po gładkim asfalcie, a nie dobrej przyczepności na luźnym podłożu. Tym razem za kierownicą usiadł Seth, ale prawie się nie rozpędził w obawie, że mógłby zbiornikiem paliwa wjechać w płomienie. Przejechał półtora metra do przodu, walnął chromowaną osłoną chłodnicy w sztachety ogrodzenia i koła niemal natychmiast zabuksowały.

Gra była skończona.

– Zaraz ruszą – uprzedził Reacher.

Ostatni szaniec za plecami Duncanów poddał się i płonąca konstrukcja domu runęła, tworząc spłaszczające się i rozrastające na boki pole ognia, które trzaskało, prychało gazami i pluło iskrami. Po pogorzeliśku tańczyły jęzory ognia, coraz to strzelając, rozszczepiając się i zanikając. Żar był taki, że paliło się powietrze, a słupy ognia strzelały na trzydzieści metrów w górę. Jacob i Seth skulili się, zasłonili twarze ramionami i skoczyli w stronę ogrodzenia.

Wspięli się na płot, zeskoczyli po drugiej stronie i puścili się biegiem.

Jacob i Seth pędzili wprost przed siebie, wiedzeni zwierzęcym instynktem ucieczki od ognia, ale po trzydziestu metrach zwolnili, zatrzymali się i rozejrzeli po swym żałośnie małym pustym terenie. Chyba dopiero teraz dostrzegli yukona, bo wlepili w niego pełen niedowierzania wzrok. Rozpoznali w nim samochód używany przez jednego z pieprzonych futbolistów, z których żaden nie biegł im teraz z odsieczą. Chwilę potem dostrzegli też starego pick-upa Dorothy Coe, powrócili wzrokiem do yukona i uświadomili sobie prawdę. Jeszcze raz spojrzeli po sobie i pobiegli w różne strony, Jacob w swoją, Seth w swoją.

Reacher uniósł telefon do ucha.

– Jeśli ja stoję na tarczy zegara na dziewiątej, a ty na dwunastej, to Jacob kieruje się na dziesiątą, a Seth na siódmą. Seth jest mój, wy zajmijcie się Jacobem.

– Zrozumiano – odpowiedziała Dorothy Coe.

Reacher zdjął nogę z hamulca i kierując jedną ręką, zatoczył łagodny łuk w prawo, zaczynając od północy i stopniowo przemieszczając się na wschód. Trzęsło nim po polnych wertepach, jakby jechał po tarce, a żar bijący od ognia rozpałał szybę przy jego twarzy. Widział przed sobą Setha, który potykając się o takie same wertepy, biegł w stronę szosy, mając do niej jeszcze około siedemdziesięciu metrów. Dojrzał w jego dłoni jakiś podłużny przedmiot i niemal równocześnie w słuchawce telefonu zabrzmiał głos Dorothy Coe.

– Jacob jest uzbrojony.

– W co?

– Krótką broń. Chyba rewolwer. Dokładnie nie widzimy. Za bardzo nami trzęsie.

– Zwolnijcie i dobrze się przyjrzyjcie.

Odezwała się po dziesięciu długich sekundach:

– Chyba zwykły sześciostrzałowiec.

– Wystrzelił już?

– Nie.

– Dobra, poluzujcie mu, ale go nie zgubcie. Zresztą i tak nie ma dokąd uciec. Niech się trochę zmęczy.

– Zrozumiano.

Reacher położył telefon na siedzeniu i ruszył w kierunku południowym, trzymając się trzydziści metrów za Sethem, który parł do przodu, wymachując zawzięcie rękami. Reacher nie widział dokładnie bez lunetki, ale był gotów się założyć, że podłużny kształt w jego ręku to również rewolwer. Pewnie z ojcowskiego kompletu dwóch identycznych sztuk.

Reacher przyspieszył i skrócił dystans do dwudziestu metrów. Seth biegł resztką sił, ciężko pracując kolanami i ramionami i odrzucając głowę do tyłu. Przedmiot w jego ręku był na pewno bronią o krótkiej lufie, nie dłuższej niż palec. Do szosy zostało mu już tylko około czterdziestu metrów. Reacher nie rozumiał, dlaczego Sethowi tak zależy, żeby się tam dostać. Nie widział w tym sensu. Szosa była tylko pustą wstążką asfaltu, bez żadnych samochodów, za nią rozpościerało się tak samo puste pole. Może zadziałał miejski atawizm. Może młody Duncan wyobraził sobie, że ten fragment miejskiej infrastruktury w jakiś sposób go uratuje. A może po prostu zamierzał dotrzeć nią do domu. Może w domu miał więcej broni. W każdym razie biegł we właściwym kierunku. Ale jeśli tak, to był albo szalonym desperatem, albo największym optymistą na świecie. Musiałby przebiec blisko cztery kilometry ze ścigającym go samochodem na karku.

Reacher utrzymywał odległość dwudziestu metrów, obserwując swoją ofiarę. Gdzieś daleko z tyłu rozległa się głucha detonacja. Pewnie eksplodowała ostatnia z butli z gazem, bo we wstecznym lusterku yukona rozbłysnęła gejzer iskier. Znajdujący się dwadzieścia metrów przed maską Seth nie przestawał biec.

A potem nagle stanął, odwrócił się i rozstawiwszy nogi, ujął rewolwer w dwie ręce, uniósł

na wysokość aluminiowej klamry na twarzy i wycelował. Ciężko dyszał i z wysiłku drżały mu ręce i nogi tak bardzo, że wylot lufy rewolweru zataczał kręgi wielkości piłki do koszykówki. Reacher przyhamował, wrzucił wsteczny bieg i cofnął się dziesięć metrów, uznając, że w odległości trzydziestu metrów jest wystarczająco bezpieczny. Osłaniał go masywny blok silnika V-8, choć i tak szansa na to, by rzeźący ze zmęczenia i niewyszkolony strzelec mógł z tej odległości trafić w samochód z krótkolufowej broni, była minimalna. Szansa na trafienie w głowę kryjącego się za szybą człowieka była mniej niż zerowa. Można się było raczej zastanawiać, czy jego strzał zmieści się w granicach okręgu.

Seth wystrzelił trzykrotnie, robiąc odpowiednio długie przerwy, ale nerwowo szarpiąc spust i zupełnie nie panując nad wahnięciami lufy w pionie i poziomie. Reacher nawet nie mrugnął okiem. Z profesjonalnym zainteresowaniem przyglądał się trzem błyskom z lufy, próbując zidentyfikować broń po huk, jednak z odległości trzydziestu metrów nie potrafił tego zrobić. Wiedział, że zdarzają się też siedmio-, ośmiostrzałowe rewolwery, ale są dość rzadkie, i dlatego założył, że Seth posługuje się standardowym sześciostrzałowcem. Jeśli tak, w magazynku zostały mu już tylko trzy naboje. Na fotelu obok rozległ się pełen niepokoju skrzek. Reacher podniósł telefon i usłyszał głos Dorothy Coe:

– Wszystko w porządku? Słyszeliśmy strzały.

– Wszystko dobrze – powiedział. – A u was? On tak strzela, że równie dobrze może trafić was. Gdziekolwiek byście byli.

– U nas wszystko gra.

– Co z Jacobem?

– Wciąż się telepie na południowy zachód. Ale już zwolnił.

– Trzymajcie się go – rzucił Reacher. Odłożył telefon i sięgnął do kieszeni po glocka.

Problem praworęcznego strzelca za kierownicą po lewej stronie samochodu polega na tym, że aby móc strzelić, trzeba najpierw wybić przednią szybę. W czasach szyb hartowanych było to łatwe, ale we współczesnych samochodach montuje się bardzo wytrzymałe szyby laminowane, sklejone z kilku warstw twardego tworzywa. Zresztą jego klucz francuski i tak został we wraku tahoe i pewnie na powrót osiągnął stan rudy żelaza.

Próbując odsapnąć, Seth zgiął się w pasie i jego głowa znalazła się niemal na wysokości łydek. Kilka razy wciągnął powietrze i głośno wypuścił, potem się wyprostował, wstrzymał oddech i znów uniósł broń. Tym razem udało mu się opanować drzenie rąk i lepiej skupić, dzięki czemu wylot lufy zataczał kręgi wielkości już tylko piłki do baseballu. Reacher skręcił kierownicę, wcisnął pedał gazu i wykonał ciasne kółko w prawo, potem udał, że wraca do pierwotnej pozycji, ale tak naprawdę skręcił kierownicę w drugą stronę i wykonał klasyczną ósemkę. Seth wystrzelił Panu Bogu w okno, znów wycelował i znów strzelił. Kula trafiła w górną listwę przedniej szyby po stronie pasażera, prawie dwa metry od głowy Reachera.

Reacher pomyślał, że został mu ostatni nabój.

Jednak rewolwer był już pusty. Reacher patrzył, jak Seth raz za razem pociąga za spust, bębenek się obraca i nic się nie dzieje. Albo w sześciostrzałowcu brakowało jednego naboju, albo magazynek mieścił tylko pięć pocisków. Jak smith sześćdziesiątka, pomyślał. W końcu Seth dał za wygraną, rozejrzał się z desperacją i cisnął pustym rewolwerem w yukona. I tym razem trafił. Chyba lepiej by wyszedł na rzucaniu kamieniami niż strzelaniu, bo rewolwer uderzył w przednią szybę dokładnie na wysokości twarzy Reachera, który aż drgnął i odruchowo schylił głowę. Rewolwer odbił się od szyby i spadł na ziemię. Seth odwrócił się i zaczął uciekać, ale teraz sprawa była już prosta.

Reacher wdepnął gaz, przyspieszył, dogonił biegnącego i jadąc z szybkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, staranował go od tyłu. Takie uderzenie przez samochód osobowy mogłoby go wyrzucić w powietrze i spowodować, że przeleciałby przez maskę i dach pojazdu, ale yukon nie był samochodem osobowym. Był potężnym SUV-em z płaskim masywnym przodem i uderzenie przypominało walnięcie młotem pneumatycznym. Setha grzmotnęła w całą powierzchnię ciała od kolan po ramiona jakby dwutonowa maczuga. Reacher odczuł uderzenie i głowa Setha w ułamku sekundy znikła mu z oczu, jakby ją wessało niezwykle pole grawitacyjne.

Samochód lekko podskoczył, co przypominało trafienie tylnym kołem na niewielką nierówność, i potoczył się dalej gładko, na ile pozwalał wyboisty grunt.

Reacher zwolnił, zatoczył szeroki łuk i wrócił sprawdzić, czy zostało mu jeszcze coś do zrobienia. Ale nie. Nie miał co do tego wątpliwości. Widział w życiu wiele trupów i Seth Duncan był bardziej martwy niż większość z nich.

Reacher wziął do ręki telefon, zameldował: „Seth załatwiony”, wrócił i szybko ruszył w stronę pick-upa.

Jacobowi Duncanowi udało się odbiec jakieś dwieście metrów od domu, ale niczego to nie zmieniło. Reacher zobaczył go w oddali samego jak palec na rozciągającym się wokół płaskim pustkowiu. Sto metrów dalej dojrzał też pick-upa Dorothy, który podążał w pewnej odległości za uciekającym mężczyzną, zataczając szerokie łuki jak czujny owczarek pilnujący stada. Albo okręt wojenny ubezpieczający konwój frachtowców.

– Martwi mnie ta jego spluwa – odezwał się w telefonie głos Dorothy.

– Z Seta był marny strzelec – parsknął Reacher.

– To jeszcze nie znaczy, że z Jacoba też.

– Dobra, stań i poczekaj na mnie. Zajmiemy się nim razem.

Reacher rozłączył się i tak skorygował kierunek jazdy, by przeciąć drogę ucieczki Duncana sto metrów za nim, i ruszył w stronę samochodu Dorothy. Gdy znalazł się obok, Dorothy wysiadła i podeszła od strony pasażera, on jednak opuścił szybę i powiedział:

– Nie, ty weź na siebie jazdę, ja wezmę na siebie strzelanie.

Wysiadł i wyminęli się przed maską, tuż obok widniejącego na niej wgniecenia. Nie zamienili ani słowa, na twarzy Dorothy malowała się zimna determinacja. Widać było, że z trudem trzyma nerwy na wodzy. Mimo to usiadła za kierownicą, przesunęła fotel do przodu i poprawiła wsteczne lustro, jakby to był zwykły ranek i właśnie szykowała się do wyskoczenia do sklepu po mleko. Reacher usiadł obok i wyjął z kieszeni glocka.

– Powiedz mi o tych fotografiach. O tych w srebrnych ramkach – powiedziała cicho.

– Nie chcę.

– Chcę się tylko upewnić, że jednoznacznie dowodzą winy Duncanów. Zwłaszcza Jacoba. Chcę mieć dowód. Proszę, żebyś mi powiedział. Nim to zrobimy.

– Nie ma co do tego wątpliwości. Nawet cienia.

Dorothy Coe kiwnęła głową i zamilkła. Wrzuciła bieg i samochód ruszył, tocząc się wolno i podskakując na nierównościach.

– Zastanawialiśmy się, co powinniśmy teraz zrobić – odezwała się po chwili.

– Znajdźcie sobie firmę transportową z sąsiedniego okręgu. Albo zostańcie przy Eleanor.

– Nie, mam na myśli stodołę. Lekarz uważa, że powinniśmy ją spalić. Ale ja nie jestem pewna.

– To ty musisz zdecydować.

– A co ty byś zrobił?

– To nie moja sprawa.

– Ale powiedz.

– Zabiłbym na glucho te drzwiczki, zostawił wszystko tak jak jest i już nigdy tam nie zajrzał. Pozwoliłbym, żeby wszystko zarosło kwiatami.

• • •

Ich rozmowa na tym się skończyła. Podjechali do Jacoba na pięćdziesiąt metrów, ograniczając się do wymiany suchych haseł. Jacob wciąż jeszcze biegł, ale już coraz wolniej. Wyglądał na wyczerpanego, potykał się i chwiał. Był niskim i tęgim mężczyzną z niewydolnością płuc, sztywnymi kończynami i licznymi niedomaganiem, jakie niesie podeszły wiek. W rękę trzymał rewolwer tak samo połyskujący nierdzewną stalą i z tak samo krótką lufą jak broń Seta. Pewnie też smith sześćdziesiątka i pewnie tak samo nieskuteczny w rękach ślaniającego się i rżęcego z wyczerpania starca.

– Co mam zrobić? – spytała Dorothy.

– Wyprzedź go z lewej – poradził Reacher. – Zobaczmy, czy się zatrzyma i podejmie walkę.

Nie zatrzymał się i nie podjął. Reacher opuścił szybę i wystawił glocka, Dorothy przemknęła blisko lewego boku Jacoba, ale on nie tylko nie strzelił, ale nawet nie odwrócił głowy. Parł uparcie do przodu i tylko odrobinę zmienił kierunek, zbacząc nieco w prawo.

– Zatocz koło i ustaw się dokładnie za nim – polecił Reacher.

– Dobrze. To za Margaret.

Wykonała szeroki łuk w lewo, zacieśniając go tak długo, aż wróciła na poprzedni tor jazdy. Przez chwilę pozwoliła SUV-owi toczyć się wolno, potem gwałtownie wcisnęła gaz i pojazd wyrwał do przodu, pokonując dziesięć metrów, dwadzieścia, trzydzieści... Duncan obejrzał się przerażony i uskoczył w lewo, Dorothy, mająca za sobą czterdzieści lat unikania kolizji na drodze, odruchowo szarpnęła kierownicą w prawo i tylko potrąciła go lewym reflektorem. Uderzenie w plecy i prawe ramię poderwało mężczyznę do góry, obróciło w powietrzu i rzuciło o ziemię.

– Zawracaj – rzucił Reacher. – Szybko.

Ale nie było co się spieszyć, bo Jacob Duncan nawet nie próbował się podnieść. Leżał na plecach z jedną nogą podkurczoną i drgającą jak u śniącego psa, drapał ręką zmarzniętą ziemię i konwulsyjnie rzucał głową. Miał otwarte oczy i dzikim wzrokiem łapał na boki. Jego rewolwer upadł na ziemię trzy metry dalej.

Dorothy podjechała i zatrzymała się dziesięć metrów od leżącego.

– Co teraz? – spytała.

– Myślę, że powinniśmy go tak zostawić. Chyba złamałaś mu kręgosłup. Poleży tak i powoli wyzionie ducha.

– Jak długo to potrwa?

– Godzinę, może dwie.

– No, nie wiem...

Reacher podał jej glocka.

– To idź i strzel mu w głowę. To będzie akt łaski, na który nie zasłużył.

– Możesz ty to zrobić?

– Mogę. Ale powinnaś ty. Czekalaś na to dwadzieścia pięć lat.

Skinęła wolno głową i spojrzała na pistolet tak, jakby nigdy czegoś takiego nie widziała.

– Jest zabezpieczony? – spytała.

– Glocki nie mają bezpieczników.

Otworzyła drzwi, postawiła nogę na stopniu, stanęła na ziemi i spojrzała na Reachera.

– To za Margaret – powtórzyła.

– I za wszystkie inne.

– I za Artiego. Mojego męża.

Ominęła otwarte drzwi i ruszyła niepewnym krokiem przez pole. Jej kilkanaście drobnych kroczków zamieniło krótki odcinek w daleką podróż. Jacob Duncan zeszywniał i wbił w nią wzrok. Podeszła i skierowała pistolet w dół i nieco w bok od siebie, jakby nie miała z tym nic wspólnego. Jakby w ten sposób chciała się od tego odciąć. Wymamrotała pod nosem jakieś słowa, których Reacher nie dosłyszał, i nacisnęła spust raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć razy, potem odwróciła się i odeszła.

Lekarz wraz z żoną czekali w stojącym na szosie pick-upie Dorothy. Reacher i Dorothy zatrzymali się obok i wszyscy czworo wysiedli. Z domów Duncanów zostały już tylko trzy sterczące kominy i rozległe, przysypane popiołem pogorzelnisko, na którym wciąż jeszcze płonęły pojedyncze kawały drewna, ale już wolno i leniwie. Nad pogorzelnikiem unosił się słup dymu. Wydawało się, że sięga nieskończenie wysoko i jest jedynym ruchomym elementem na niebie. Słońce stało w zenicie, niebo było przejrzyste błękitne.

– Czekasz dużo pracy – powiedział Reacher. – Włączcie w to wszystkich mieszkańców. Sprowadźcie koparki i wykopcie parę dołów, tylko naprawdę głębokich. Potem wrzucicie do nich barachło i głęboko zakopcie. Zostawcie tylko trochę miejsca na później. W którymś momencie dojedzie ten ich furgon, a jego kierowca jest tak samo winny.

– Mamy go zabić? – zdumiał się lekarz.

– Jeśli o mnie chodzi, możecie go zakopać żywcem.

– Już wyjeżdżasz?

Reacher kiwnął głową.

– Jadę do Wirginii – rzekł.

– Nie możesz zostać jeszcze trochę?

– Teraz to wasz show, nie mój.

– A co z futbolistami u mnie w domu?

– Puśćcie ich wolno i przykażcie, żeby się tu więcej nie pokazywali. Z radością was posłuchają. Nie mają tu już czego szukać.

– Ale mogą komuś donieść – zauważył lekarz. – Albo ktoś mógł dostrzec dym. Z daleka. To może sprowadzić na nas gliny.

– Jeśli się tu zjawią, zwalcie wszystko na mnie. Podajcie im moje nazwisko. Zanim zabiorą się do szukania, ja już będę daleko.

• • •

Dorothy podwiozła Reachera kawałek. Wsiedli razem do yukona i sprawdzili wskaźnik paliwa. Uznawszy, że benzyny powinno starczyć na jakieś sto kilometrów, uzgodnili, że Dorothy podwiezie go z pięćdziesiąt kilometrów i zawróci, a zatankowaniem yukona niech się już potem martwi John.

Pierwsze piętnaście kilometrów przebyli w milczeniu, jednak gdy przejechali obok opuszczonej gospody i znaleźli się na pustym i prostym odcinku szosy, Dorothy spytała:

– Po co jedziesz do Wirginii?

– Do kobiety.

– Twojej?

– Do kogoś poznanego przez telefon, nic więcej. Chciałem ją poznać osobiście. Choć nie jestem już teraz taki pewny. W każdym razie nie zrobię tego od razu. Nie w tym stanie, w jakim jestem.

– A czego brakuje twojemu stanowi?

– Nosa. – Reacher dotknął taśmy na twarzy i wygładził ją z obu stron. – Minie parę tygodni, zanim będę mógł pokazać się ludziom na oczy.

– Jak ona ma na imię? Ta kobieta w Wirginii.

– Susan.

– No więc myślę, że nie powinieneś czekać. Jeśli Susan nie spodoba się twój nos, to nie zwracaj nią sobie głowy.

• • •



Zatrzymali się w szczerym polu, niemal dokładnie w połowie drogi między Apollo Inn a Oazą i Reacher otworzył drzwi.

– Na pewno dasz sobie radę? – upewniła się Dorothy.

Skinął głową.

– Daję sobie radę zawsze i wszędzie, gdzie mnie rzuci – powiedział. – A ty? Dojdiesz do siebie po powrocie?

– Nie. Ale będzie mi łatwiej żyć.

Za kierownicą siedziała twarda i zaradna kobieta około sześćdziesiątki, bezpośrednia i prostolinijna, wyniszczona pracą i nieszczęściami, siwiejąca i zapadająca się w sobie, ale w lepszej kondycji niż dotąd. Reacher bez słowa wysiadł na pobocze i zatrzasnął drzwi auta. Spojrzała na niego przez szybę, potem odwróciła głowę, zawróciła i ruszyła z powrotem na północ. Reacher naciągnął pilotkę na uszy, włożył ręce w kieszenie w ochronie przed zimnem i zaczął czekać na okazję.

• • •

Czekał bardzo długo. Przez pierwszą godzinę nie przejechał żaden samochód, potem na horyzoncie coś się pojawiło i po minucie zbliżyło na tyle, że można było rozpoznać sylwetkę. Nieduży japończyk, honda albo toyota, stary, ze zmatowiałym na słońcu lakierem w kolorze niebieskim. Pewnie kupiony z szóstej ręki. Reacher podniósł się i wyciągnął rękę z wystawionym kciukiem. Samochód zaczął zwalniać, ale to jeszcze nie musiało nic znaczyć. Równie dobrze mógł zadziałać automatyczny odruch, który powoduje, że oczy kierowcy uciekają w prawo, a noga sama unosi się z pedału gazu. W tym przypadku kierowcą była kobieta. Młoda, pewnie studentka. Miała długie jasne włosy, tylne siedzenie było załadowane po sufit różnymi bambetlami.

Oszacowanie go zajęło jej niecałą sekundę, po czym kobieta przyspieszyła, wzbijając tuman kurzu i piszcząc oponami, i minęła go setką w ostrym podmuchu zimnego powietrza. Reacher popatrzył za odjeżdżającym samochodem. Rozsądna dziewczyna. Samotne kobiety nie powinny się zatrzymywać na pustkowiu i zabierać obszarpańców z twarzą oklejoną taśmą.

Znów usiadł na poboczu. Był bardzo zmęczony. Poprzedniego dnia obudził się wcześniej rano, wypłoszony z łóżka w motelu przez Dorothy, która przysłała posprzątać pokój, i od tamtej pory nie zmrużył oka. Naciągnął kaptur na pilotkę i położył się na ziemi. Skrzyżował nogi w kostkach i ramiona na piersi i niemal natychmiast zapadł w sen.

• • •

Obudził się, gdy zapadał już zmrok. Słońce schowało się za horyzontem i po niebie błąkały się ostatnie blaski bladego zimowego zachodu. Usiadł, po chwili wstał. Szosa była jak wymarła, ale Reacher był cierpliwy i miał wprawę w czekaniu. Po dziesięciu minutach na horyzoncie pojawiły się światła jakiegoś samochodu. Opuścił kaptur, żeby nie straszyc swoim wyglądem, stanął w swobodnej pozie z jedną nogą na trawiastym poboczu, drugą na asfalcie i wystawił kciuk. Po rozstawie świateł poznał, że zbliżający się pojazd jest większy od zwykłego samochodu osobowego. Sprawiał wrażenie dość wysokiego i stosunkowo wąskiego, na całej szerokości kabiny widniała wielka szyba. Nadjeżdżała jakaś furgonetka.

Szara.

Wyglądała jak szare furgonetki widziane w bazie Duncanów.

Kierowca zaczął zwalniać i tym razem nie był to tylko automatyczny odruch, furgonetka bowiem zatrzymała się tuż obok Reachera, kierowca przechylił się i otworzył drzwi od strony pasażera, i w kabinie zrobiło się jasno.

Za kierownicą siedziała Eleanor Duncan.

Ubrana była w czarne dzinsy i lśniąca kurtkę z kapturem i zamkami błyskawicznymi na niezliczonych kieszeniach. Uszyto ją z materiału, który na pewno nie pochodził od żywych organizmów ze świata roślinnego lub zwierzęcego.

– Cześć – rzuciła.

Reacher nie odpowiedział i tylko omiół wzrokiem kabinę i karoserię furgonetki. Była

pokryta warstewką soli i błota, które zdążyło już zaschnąć. Widać było, że samochód odbył długą drogę.

– Tym dokonywano przerzutów, prawda? Tym przewozili te kobiety, tak?

Eleanor skinęła głową.

– Kto tym razem był w środku?

– Sześć młodych kobiet i dziesięć dziewczynek. Wszystkie z Tajlandii.

– Całe i zdrowe?

– W dobrej kondycji. Zresztą nic dziwnego. Wygląda na to, że bardzo dbano o to, żeby dojeżdżały w dobrym stanie. Żeby nadawały się do użytku.

– Co z nimi zrobiłaś?

– Nic.

– To gdzie są teraz?

– W skrzyni ładunkowej tego furgonu.

– Co?

– Nie wiedzieliśmy, co z nimi zrobić. Oczywiście zwabiono je tu pod fałszywym pretekstem. Rozdzielono z rodzinami. Uznaliśmy, że należy odesłać je do domu.

– I jak macie zamiar to zrobić?

– Wiozę je do Denver.

– A co jest w Denver?

– Tajskie restauracje.

– I to jest wasze rozwiązanie? Tajskie restauracje?

– To nie takie głupie, jak wygląda na pierwszy rzut oka. Zastanów się, Reacher. Nie można z tym pójść na policję, bo znalazły się tu nielegalnie. Na całe miesiące zamkną je w rządowym areszcie, a dla nich byłoby to straszne. Pomyśleliśmy, że powinny przynajmniej znaleźć się wśród ludzi, którzy mówią ich językiem. W środowisku, które je wesprze. A ludzie z branży restauracyjnej mają rozliczne kontakty, prawda? Niektórzy z nich też trafili tu przez zieloną granicę. Pomyśleliśmy, że może uda im się skorzystać z tych samych kanałów przerzutowych, tylko w odwrotnym kierunku, i wrócić do domu.

– Kto to wymyślił?

– Wszyscy wspólnie. Wałkowaliśmy to cały dzień, potem głosowaliśmy.

– Pogratulować.

– Masz lepszy pomysł?

Reacher nie odpowiedział. Patrzył w milczeniu na szarą budę furgonu, na której sól i brud ułożyły się w fantazyjne esy-floresy. Dotknął zimnej blachy.

– Chcesz je zobaczyć? – spytała Eleanor Duncan.

– Nie.

– To ty je uratowałaś.

– Uratował je szczęśliwy traf. Dlatego nie chcę ich widzieć. Nie chcę oglądać ich twarzy, bo wtedy zacznę myśleć o tym, co by się z nimi stało, gdyby nie ten traf.

Zapadło długie milczenie. Silnik pracował na wolnych obrotach, wiał zimny wiatr, niebo coraz bardziej ciemniało i robiło się coraz zimniej.

– Chcesz, żebym cię podwiozła do autostrady?

Reacher skinął głową i wsiadł do środka.

• • •

Przez pierwsze trzydzieści kilometrów w ogóle nie rozmawiali i dopiero gdy minęli Oazę, odezwał się Reacher:

– Cały czas o tym wiedziałaś, prawda?

– Nie. To znaczy, tak. – Zamilkła i po chwili dodała: – Myślałam, że wiem coś dokładnie odwrotnego. Naprawdę tak myślałam. Zdawało mi się, że wiem na pewno. Wierzyłam w to głęboko, aż w końcu zdałam sobie sprawę, że tylko próbuję sobie wmawiać.

– Wiedziałaś, skąd się wziął Seth?

– Powiedziałam ci, że nie wiem. Wtedy, kiedy ukradłeś jego samochód.  
– A ja ci nie uwierzyłem. Do tego momentu bez oporu odpowiadałaś na czternaście kolejnych pytań, ale gdy spytałem cię o Setha, zawahałaś się. I zaproponowałaś drinka. Zabrzmiało to tak, jakbyś grała na zwłokę.

– Czy to znaczy, że wiesz, skąd wziął się Seth? – spytała Eleanor.

– W końcu się domyśliłem.

– To opowiedz swoją wersję.

– Duncanowie lubili małe dziewczynki. Zawsze tak było. To było ich hobby. Tego typu ludzie trzymają się w grupach. W czasach przed internetem kontaktowali się listownie i podczas potajemnych spotkań twarzą w twarz. Wymieniali się zdjęciami i innymi zabawkami. Zapraszali się na spotkania i gościnnie w nich uczestniczyli. Grupy wzajemnie się wspierały. Sądzę, że w grupie interesującej się małymi chłopcami coś się wydarzyło, jej członkowie musieli się chwilowo zapaść pod ziemię i powierzyć swoich podopiecznych znajomym. Zakładano, że to tylko na jakiś czas i gdy wszystko ucichnie, podopieczni do nich wrócą. Tylko że po Setha nikt się nie zgłosił. Pewnie jego opiekuna albo zatłukli na śmierć w kryminale, albo zrobili to sami gliniarze w pokoju na tyłach komisariatu. Duncanowie znaleźli się w sytuacji bez wyjścia, ale specjalnie się nie przejęli. Może uznali, że sprawienie sobie syna bez włączania w to kobiety jest całkiem fajnym pomysłem. Postanowili go zatrzymać i Jacob go adoptował.

Eleanor Duncan pokiwała głową.

– Seth twierdził, że go uratowali. Kiedy jeszcze z sobą rozmawialiśmy, powiedział, że Jacob uratował go w odruchu altruizmu i szlachetności. I szacunku dla zasad. Wierzyłam mu. Ale potem z biegiem lat wyczułam, że Duncanowie robią coś złego. Tylko że to, co się teraz okazało prawdą, zawsze znajdowało się na końcu mojej listy podejrzeń. Zawsze, przysięgam. Wydawało mi się, że są zdecydowanymi wrogami takich spraw, a uratowanie Setha tylko to potwierdzało. Przez długi czas byłam ślepa. Myślałam, że szmuglują coś innego, na przykład narkotyki albo broń, albo nawet bomby.

– I co spowodowało zmianę?

– Różne strzępy informacji, które do mnie docierały. W końcu zrozumiałam, że chodzi o ludzi. Ale nawet wtedy myślałam, że sprawa dotyczy typowych nielegalnych imigrantów. Takich do pracy w knajpach i temu podobnych.

– I co się wydarzyło?

– Nic się nie wydarzyło. Aż do teraz nie miałam pewności. Przysięgam, że tak było. Ale stawałam się coraz bardziej podejrzliwa. Mieli za dużo pieniędzy. I za bardzo się tym przejmowali. Aż się zachłystywali. Ale nawet wtedy w to nie wierzyłam. Zwłaszcza w odniesieniu do Setha. Wydawało mi się, że z taką przeszłością uznaliby to za zbyt obrzydliwe. Nie chciało mi się wierzyć, że mogłoby to zadziałać w przeciwną stronę. Ale wychodzi na to, że się myliłam. Pewnie tak naprawdę znał tylko to i tylko w tym znajdował przyjemność.

– Też nie jestem psychologiem – mruknął Reacher.

– Tak bardzo mi wstyd. Już tam nie wrócę. Wszyscy myślą, że tak, ale ja nie wrócę. Nie mogłabym spojrzeć im w twarz. Już nigdy nie chcę ich widzieć.

– To co teraz zrobisz?

– Oddam ten samochód komuś, kto pomoże tym nieszczęsnym kobietom. Jako datek. Albo łapówkę. A potem dokądś wyjadę. Może do Kalifornii?

– Jak?

– Autostopem, jak ty. Zaczę wszystko od nowa.

– Uważaj na drodze. To bywa niebezpieczne.

– Wiem. Ale mi nie zależy. Myślę, że zasłużyłam na wszystko, co mnie może spotkać.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowa. Przynajmniej zawiadomiłaś policję.

– Ale się nie zjawili.

Reacher nie odpowiedział.

– A skąd wiesz, że ich zawiadomiłam? – spytała.

– Bo się zjawili. W pewnym sensie. Nikt nigdy mnie o to nie spytał. Nikomu nie przyszło do

głowy, żeby dodać dwa do dwóch. Wszyscy wiedzieli, że podróżuję autostopem, ale nikt nie spytał, jak to się stało, że wysadzono mnie na skrzyżowaniu prowadzącym donikąd. Po co ktoś miałby się tu zatrzymywać? Albo by go w ogóle tu nie było, albo by pojechał sto kilometrów dalej na południe.

– To kto cię przywiózł?

– Gliniarz... – odrzekł Reacher. – Funkcjonariusz policji stanowej w nieoznakowanym samochodzie. Nie powiedział mi tego wprost, ale to było dość oczywiste. Nawiasem mówiąc, sympatyczny gość. Zabrał mnie kawał drogi dalej na północ, prawie w Dakocie Południowej. Uprzedził, że mnie będzie musiał wysadzić na zupełnym pustkowiu, bo dalej nie jedzie i wraca. Nie rozmawialiśmy o powodach i nie sądziłem, że zawróci natychmiast, nawet nie wstępując do motelu. Ale tak właśnie zrobił. Zjechał na bok, wysadził mnie i od razu odjechał na północ.

– Dlaczego tak zrobił?

– GPS i polityka – wyjaśnił Reacher. – To był mój pierwszy domysł. W takim dużym stanie jak Nebraska ludzie pewnie używają różnych wybiegów, żeby zapewnić sobie odpowiednie włączenie się policji w ich kłopoty i pieklą się, gdy innym się to bardziej udaje. Dlatego pomyślałem, że może szykują dokumentację w postaci zdjęć z GPS, żeby w razie czego udowodnić, że jeżdżą po całym stanie i wszystkich traktują równo. Teraz wszystkie policyjne auta są wyposażone w czynniki satelitarne i wydrukami z nich mogą się zaślaniać przed komisją dyscyplinarną. Potem jednak zmieniłem zdanie. Pomyślałem, że może ktoś zawraca im głowę durnymi wymysłami, z którymi nie mają zamiaru nic zrobić, ale wolą się zabezpieczyć, by w razie czego udowodnić, że zareagowali i pojechali na miejsce. A jeszcze później zacząłem się zastanawiać, że może to nie był taki durny wymysł i że to ty mogłaś być jego autorką.

– Byłam. Cztery dni temu. I zgłoszenie wcale nie było wymysłem. Powiedziałam im, co podejrzewam. Ale dlaczego ten gliniarz nie wysiadł nawet z samochodu?

– Uprzedzenia i znajomość miejscowych układów. Założę się, że im powiedziałaś, iż Seth cię pobił.

– Powiedziałam. Bo tak było.

– I dlatego całą resztę zignorowali. Uznali, że mają do czynienia z maltretowaną żoną, która wymyśla niestworzone rzeczy, żeby zemścić się na mężu. Gliny tak czasem postępują. Nie powinno tak być, ale jest. A już na pewno nie mieli zamiaru mieszać się do domowych awantur. Zwłaszcza że dotyczyły jednego z Duncanów. Na tym polega znajomość miejscowych układów. Od Dorothy wiem, że część tutejszych chłopaków wstępuje do policji stanowej. Więc albo ich spytano, albo ta wiedza dotarła do policji w inny sposób. W każdym razie konkluzja była jednoznaczna: w tym okręgu nie warto narażać się Duncanom.

– Nie wierzę.

– Ale próbowałaś – rzekł Reacher. – Bez względu na to, co się stało, musisz o tym pamiętać. Chciałaś postąpić właściwie.

• • •

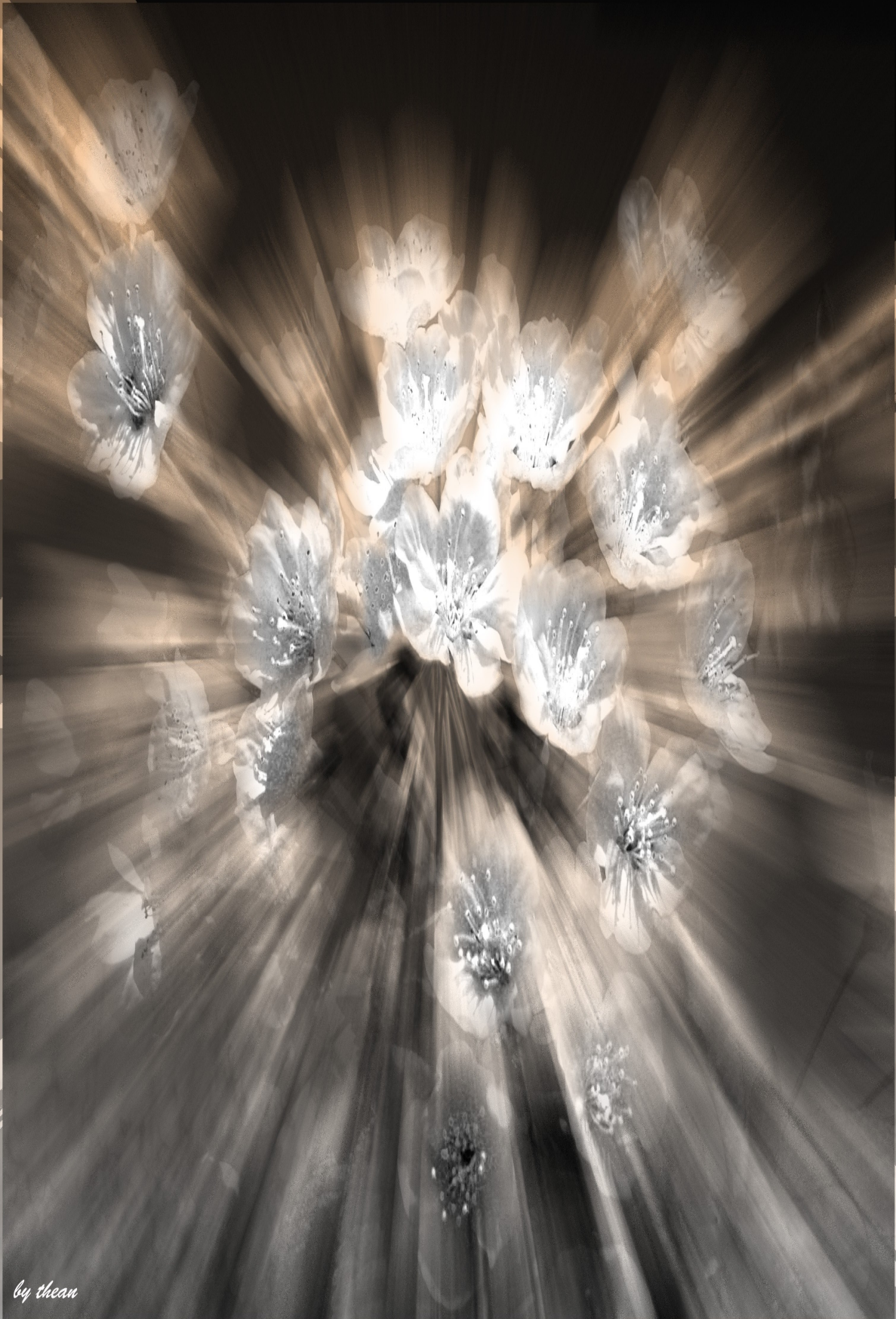
Wjechali w tereny podmiejskie, minęli tablicę reklamową Izby Handlowej, knajpę w aluminiowym wagonie, stację benzynową z szyldem Texaco i trzema stanowiskami naprawczymi, sklep z artykułami żelaznymi, sklep z alkoholami, bank, warsztat oponiarski i dilerstwo firmy John Deere, sklep spożywczy i aptekę, wieżę ciśnień, ulicę McNally'ego, kierunkowskaz do szpitala i wjechali w okolice, do których Reacher nigdy wcześniej nie dotarł. Silnik cicho mrucał, opony śpiewały i od czasu do czasu do uszu Reachera docierały jakieś dźwięki ze skrzyni ładunkowej, jakby ktoś się tam poruszał i rozmawiał, a czasami nawet śmiał. Siedząca obok Eleanor Duncan prowadziła skupiona po tonącej w ciemnościach drodze i tylko od czasu do czasu Reacher zerkał na nią kątem oka.

Po godzinie i stu kilometrach ujrzał skupisko lamp jodowych rżęsiście oświetlających koniczynę wjazdów i zjazdów z autostrady i wielkie zielone tablice informujące o leżących na wschód i zachód miejscowościach. Eleanor zatrzymała się, Reacher wysiadł i pomachał jej na pożegnanie. Skręciła w pierwszy wjazd na zachodnią nitkę autostrady w kierunku na Denver i Salt

Lake City, on przeszedł pod mostem, wyszedł na wschodnią nitkę i stanął z jedną nogą na asfaltowym poboczu i drugą wysuniętą lekko na pasmo ruchu. Wystawił kciuk i przywołał na twarz uśmiech, starając się wyglądać przyjaźnie.

<sup>1</sup> *Humint* – zbitka angielskich słów *human* i *intelligence* (wywiad osobowy).





*by thean*